

PATRICIA Shaw

Dolina Lagun

Patrycja Shaw urodziła się w Melbourne. Pracowała jako nauczycielka i publicystka, zanim odkryła, że największą jej pasją i powołaniem jest pisanie książek. W swych powieściach "dramatycznych i barwnych jak sama Australia" zagmatwane losy bohaterów po mistrzowsku splata z obrazem przemian na kontynencie.

Nakładem wydawnictwa "Książnica" ukazały się również powieści tej autorki:

Ognie fortuny,

Pióro i kamień,

Rzeka słońca,

Zatoka orchidei.

PATRICIA Shaw

Dolina Lagun

Przełożyła z angielskiego Alina Siewior-Kuś

Wydawnictwo „Książnica”.

Skan i korekta Roman Walisiak.

Tytuł oryginału Valley of Lagoons

Opracowanie graficzne Marek J. Piwko

Zdjęcie na okładce © Amanda Rohde

Copyright © 1989 by Patricia Shaw Wszelkie prawa zastrzeżone

For the Polish edition

Copyright © by Wydawnictwo „Książnica”, Katowice 2006

ISBN 83-7132-926-1

Wydawnictwo „Książnica” Sp. z o.o.

Al. W. Korfantego 51/8

40-160 Katowice

tel. (032) 203-99-05, 254-44-19

faks (032) 203-99-06

Sklep internetowy:

<http://www.ksiaznica.com.pl>

e-mail: [ksiazki@ksiaznica.com.pl](mailto:ksiazki@ksiaznica.com.pl)

Wydanie pierwsze Katowice 2006

Skład i łamanie: Z.U. „Studio P”, Katowice.

Opis z okładki.

W roku 1825 żaglowiec „Emma Jane” wypływa z portu w Wielkiej Brytanii, kierując się ku Australii - krainie nowych możliwości. Na pokładzie wiezie skazańców transportowanych do kolonii karnych oraz garstkę pasażerów gotowych stawić czoło wszelkim trudom niebezpiecznej podróży.

Jest wśród nich arystokrata, który ucieka przed wierzycielami ścigającymi go za długi karciane. Pragnąc dołączyć do elity Australii, nie cofnie się przed niczym, byle osiągnąć cel. Będzie oszukiwał, wykorzystywał i zdradzał każdego do czasu, aż piękna Irlandka

wymierzy mu sprawiedliwość.

Australijska historia nie przypomina historii,  
ale najpiękniejsze kłamstwo...

Jest pełna niespodzianek i przygód,  
sprzeczności i rzeczy niewiarygodnych,  
ale wszystko to prawda, wszystko rzeczywiście się zdarzyło.

Mark Twain, Morę Tramps Abroad, 1897.

## CZĘŚĆ PIERWSZA.

Stany Zjednoczone, rok 1957.

### ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Czarna limuzyna spokojnie przepłynęła przez bramę dla VIP-ów na lotnisku La Guardia, strażnik na drugim punkcie kontrolnym machnięciem dłoni dał znak, że droga wolna. Eduardo Rivadavia pochylił się i poklepał kierowcę po ramieniu.

- Wiesz, gdzie jechać?

- Tak, sir - zapewnił go kierowca. - Jesteśmy dokładnie na czas.

Eduardo pokiwał głową i usiadł wygodnie. Lotniska tej skali wciąż stanowiły dla niego labirynt; kiedy teraz jechał między rzędem prywatnych samolotów z dziobami zadartymi w powietrze, nie potrafił pojąć, jak właścicielom udaje się zlokalizować swoją własność.

Zapalił cygaro i zsunął się niżej, znikając z zasięgu wzroku przechodniów.

Nie cierpiał tego samochodu, czuł się w nim jak gangster, a przypuszczał,

że cygaro tylko umacnia to wrażenie. Jednakże jako ambasador Argentyny w ONZ musiał się zgodzić na to, żeby po Nowym Jorku woził go kierowca w tej długiej, brzydkiej, złowrogo wyglądającej limuzynie.

Gdyby nie mżawka, skorzystałby z okazji, żeby przyjrzeć się niewielkim samolotom. Jego siostra Maria namawiała go, żeby taki kupił. Wyszła za Teksasczyka i mieszkała w Dallas. Ponieważ reszta rodziny pozostała w Argentynie, Maria obawiała się, że Eduardo czuje się w Nowym Jorku samotny.

Westchnął. Teraz, kiedy jego jedyna córka wychodziła za mąż, Maria zapewne będzie jeszcze usilniej upierać się przy konieczności kupna samolotu. Nie potrafił jej przekonać, że taka ekstrawagancja spowoduje tylko problemy. W Argentynie szalał kryzys,

7

wieści o tym, że dyplomata rozbija się prywatnym samolotem, tylko ściągną na niego uwagę i nieuchronną krytykę. Nie mogła zrozumieć, że ambasador nie jest żoną Cezara. Argumentowała, że samolot zakupi konsorcjum Rivadaviów, że rząd nie wyda na to ani grosza. Nie był w stanie jej uzmysłwić, że opinia publiczna nie będzie chciała znać prawdy. Dla opozycji stanowiłoby to dowód, że jego też oplotły macki korupcji; już i tak trudno było trzymać się z dala od ich oszczerczych strategii, nie musiał jeszcze sam dawać im amunicji do ręki. A poza tym lubił wielkie samoloty i sprawnie działające zatłoczone lotniska.

Maria zawsze taka była, zawsze chciała, żeby inni mieli to samo co ona. Jej wybuchy entuzjazmu dla nowych zabawek, jak je nazywał Eduardo, stały się tematem rodzinnych żartów. A ponieważ jej mąż, Hank

Wedderburn, miał prywatny samolot, tak długo będzie dręczyć rodzinę Rivadaviów, aż coś innego zajmie jej uwagę.

Wciąż padało, szara drobna mżawka sprawiała wrażenie, że przeprasza, że ma nadzieję, iż napuszeni nowojorczycy jej nie zauważą. Eduardo zgasił cygaro i zamknął okno, przygnębiony i samotny.

Powinienem być szczęśliwy, mówił sobie, to dzień ślubu mojej córki.

Mam nadzieję, że deszcz przestanie padać na czas. Mówią, że tak. Elena wychodzi za porządnego chłopaka, któremu na niej zależy, rozsądnego człowieka pochodzącego z podobnej rodziny, ale z tak daleka! Kto by pomyślał, że wybierze Australijczyka?

Elena śmiała się z niego.

- Tatusiu! Czemu ciągle powtarzasz „z tak daleka”? Do Argentyny też zewsząd jest daleko, więc co za różnica? Zamieszkamy na ranczu. To ja znalazłam się w dziwnej sytuacji. Wyjechałam z rancza, żeby zamieszkać w Nowym Jorku, a kończę na innym ranczu.

Inne ranczo, tak powiedziała, jakby położone było przy tej samej drodze. Ech, młodzi! Najczęściej nie mają pojęcia, w co się pakują. Eduardo nie dowiedział się jeszcze, jaki to rodzaj gospodarstwa, usłyszał tylko tyle, że tam też hodują bydło. Nie chciał za bardzo wypytywać narzeczonego i na razie wywnioskował jedynie, że miejsce nie jest zaznaczone na żadnej mapie i że leży daleko od miasta.

8

Lukę MacNamara powiedział mu, że dom jest komfortowo urządzone, że Elena będzie miała wygodne życie, ale tamtejsze standardy są przecież inne. Co rozumiał przez „wygodne życie”? Jego córka, Elena Maria Rivadavia de Figueroa, przywykła do wysokiego standardu, jak cała

rodzina Rivadaviów od pokoleń, tylko że młoda para, podekscytowana małżeńskimi planami, nie potraktowałyby jego wątpliwości poważnie. Żałował, że żona umarła, potrzebował jej teraz, okazałaby więcej siły, nie owijałaby w bawełnę.

W innej sytuacji przed wyrażeniem zgody porozmawiałby z rodzicami młodzieńca, ale ojciec Luke'a nie żył, a matka dopiero dzisiaj rano przylatywała z Australii, tak więc nie miał okazji do zadania bardziej wnikliwych pytań, zlecił tylko w ambasadzie przeprowadzenie dyskretnego śledztwa.

A co tam! Niech będą szczęśliwi. Niech dzisiaj wszyscy będą szczęśliwi. Eduardo wolał przygnębienie. Hank i Maria tak przeżywali ślub, jakby Elena była ich córką. Przypuszczał, że zostało mu dzisiaj tylko kilka minut spokoju.

Na Wielkanoc zabrali Luke'a do domu, żeby poznał rodzinę. Brat Eduarda, Luis, był pod wrażeniem jego wiedzy na temat bydła. To poprawiło Eduardowi nastrój.

- Zaproponuj mu pracę!
- Zaproponowałem - odparł Luis - ale on chce wracać do domu.
- Więc co w takim razie robi w Stanach?
- W jego rodzinie panują podobne zwyczaje jak w naszej - wyjaśnił Luis łagodnie. - Tak jak ty chciał poznać świat, ale teraz uświadomił sobie, że woli pracę na farmie. Nie wszyscy mamy twoje talenty, żeby z taką łatwością znaleźć miejsce w świecie handlu. On jest bardziej podobny do mnie, odpowiada mu wiejskie życie. Wszyscy jesteśmy z ciebie bardzo dumni, Eduardo, jesteś wybitnym człowiekiem i ten młodzieniec cię szanuje, ale pozwól mu wrócić do domu. Niech jedzie. Nie sądzę, żebyś

miał powody martwić się o Elenę. Gdyby Lukę musiał podjąć pracę w Nowym Jorku, żeby się z nią ożenić, byłby nieszczęśliwy. Możesz sobie wyobrazić mnie pracującego w Nowym Jorku?

- Dlaczego nie? Dałbyś sobie radę z jego pracą w Komisji Handlu, przecież dotyczy rolnictwa.

Luis się roześmiał.

9

- Ale musiałbym tam mieszkać, na tym polega problem. Oni chcą zamieszkać na ranczu. Rozumiem ich. Ty zatrzymaj sobie Nowy Jork. Kierowca wyrwał go z zadumy.

- To ten samolot, sir - powiedział. - Już schodzą do lądowania.

Mały samolot sprawnie siadł na pasie, potoczył się i zatrzymał. Hank i Maria zeszli po trapie i pobiegli do samochodu, chroniąc się przed deszczem pod parasolami.

Maria zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Eduardo! Jak to miło z twojej strony, że po nas przyjechałeś. Nie trzeba było! Na pewno masz dzisiaj mnóstwo zajęć.

- Nie, tylko przeszkadzałem. Chętnie skorzystałem z możliwości ucieczki. Hank nachylił się i mocno uściskał mu dłoń.

- Mimo to jesteśmy wdzięczni. I kto by pomyślał, że mała Elena wyjdzie za mąż? Jeszcze nie kupiliśmy prezentu. Postanowiliśmy, że poczekamy i przekonamy się, czego by chcieli. Maria uważa, że czek byłby w złym guście. Inni ludzie, inne zwyczaje. I proszę, wychodzi za Australijczyka. Co o tym myślisz?

Eduardo uśmiechnął się nieszczercze. Lubił Hanka, ale teksańska wylewność zawsze sprawiała, że brakowało mu słów.

- Hank ma słabość do Australijczyków - powiedziała Maria.
- Ach tak - odparł Eduardo. - A dlaczego? Maria zamrugała zaskoczona.
- Dlaczego? Nie wiem. Dlaczego, Hank?

Hank wzruszył ramionami i żona uznawszy, że sprawa jest bez znaczenia, pośpiesznie mówiła dalej:

- Ciocia Cecilia jest przekonana, że w Australii mieszkała gałąź rodziny Rivadaviów. Dawno temu, w ubiegłym wieku, tak jej się wydaje.

Brat uśmiechnął się do niej protekcjonalnie.

- Nigdy o tym nie słyszałem. Ciocia Cecilia znajduje gałęzie rodziny wszędzie tam, gdzie jej wygodnie.

- Może mieć rację, nigdy nic nie wiadomo. Ale powiedz, co ze ślubem?

Wszystko dopięte na ostatni guzik? Żałuję, że nie mogłam być tutaj, żeby pomóc Elenie. Kto przychodzi?

- Ci co zwykle. Rodzina. Przyjaciele jej i jego. Luis, Isobel i dzieci zatrzymali się w Waldorfie, robią sobie wakacje. Ciotki

10

z przyjaciółmi są w Connecticut. Rodzina Garcíów i inni z Buenos Aires wynajęli mieszkania, a dziadek Batiste jest u wuja Julia na Long Island...

- Eduardo - przerwała mu Maria - nie pytam o naszą rodzinę, tylko o jego!

Słyszałam, że będą lord i lady!

- Tak, lord i lady Heselwoodowie.

- Nie wiedziałem, że w Australii są lordowie - odezwał się Hank.

- Oni nie są Australijczykami, tylko Anglikami. To przyjaciele

MacNamarów, rodziny Luke'a. - Eduardo mówił tak, jakby za często musiał to wyjaśniać.

- Lukę musi mieć doskonałe koneksje, skoro przyjaźni się z arystokracją -



powiedziała Maria. Wyczuwała, że Eduardo nie jest nadmiernie zachwycony tym małżeństwem. Spojrzała przez okno. - Kocham Nowy Jork, to takie powściągliwe miasto. Wszyscy stawiają kroki z taką rozwagą.

- Eduardo - roześmiał się Hank - twoja siostra ma doprawdy dziwne skojarzenia. Większość ludzi twierdzi, że Nowy Jork jest ekscytujący.

- Ojej! - obruszyła się Maria. - Bycie ekscytującym jest zbyt przewidywalne. Wszyscy, którzy tu przyjeżdżają, dokładnie wiedzą, czego się spodziewać. Australia jest ekscytująca. Chciałabym bardzo pojechać do Australii. Pionierski kraj... musi tam być jak w Ameryce Północnej w filmach o Dzikim Zachodzie, cała ta przestrzeń.

- I brak wody - dodał Hank. - Na tym polega różnica. Nasi pionierzy mieli szczęście, że trafili na dobrze nawodniony kraj. Im bardziej na zachód jesteś w Australii, tym większe susze, wiele rzek płynie w głąb lądu i po prostu znika w piasku.

- Rzeki nie mogą płynąć w głąb lądu, Hank - zaproponowała jego żona.

- Mogą, prawda, Eduardo?

- Byłeś w Australii, Hank? - zaciekawiał się Rivadavia.

- Tak, podczas wojny.

- A byłeś w tej części, z której pochodzi Luke, w Queenslandzie? Nigdy wcześniej o niej nie słyszałem.

- Eduardo, przynajmniej raz cię wyprzedzam - stwierdził Hank. - Jasne, że tam byłem, ale to nic wielkiego. Po mojemu więcej niż dwieście tysięcy żołnierzy i lotników zna tę część świata. W Australii były potężne bazy amerykańskie, a największa

koncentracja wojsk znajdowała się w Townsville, mieście na wybrzeżu, które było idealnym punktem startowym do wojny na Pacyfiku. Często się zastanawiam, czy któryś z nich wrócił, w tamtych czasach kraj stwarzał mnóstwo możliwości, zresztą skoro o tym mowa, dzisiaj też.

W końcu rozmowa zainteresowała Eduarda.

- Jakiego rodzaju możliwości?
- Wszelkiego. Fantastyczne, ciągnące się po horyzont pastwiska... Mają tam farmy hodowlane, rancza tak wielkie jak cały Teksas.

Jego szwagier nie krył zdumienia. Nauczono go wierzyć, że w Teksasie wszystko jest największe.

- Żarty sobie ze mnie stroisz?
- Wcale nie. A jak duża jest farma twojego przyszłego zięcia?
- Nie chciałem pytać.
- Powinieneś być zapytać. Australijczykom to nie przeszkadza.

Powiedzieliby ci, gdyby ich dziadkiem był Jesse James. Połowa z nich pochodzi od skazańców i wcale się tego nie wypiera. Wręcz przeciwnie, są dumni.

- O mój Boże!

Nawet Maria była wstrząśnięta.

- Jestem pewna, że Lukę MacNamara nie pochodzi od skazańca.
- A skąd wiesz? - Hank świetnie się bawił, kpiąc sobie z nich. Kochał ich bardzo, przyjęli go serdecznie, dali poczucie przynależności, coś, czego wcześniej nie doświadczył, ale ze śmiertelną powagą traktowali swoją genealogię i jeżyli się na byle docinek.

Hank wciąż z gniewem wspominał swój powrót z wojny do domu po wielu miesiącach spędzonych w szpitalu. Zadzwoił do rodziców z San

Francisco, żeby powiedzieć, którym autobusem przyjedzie; przez dwa dni podróżował przez kraj, zbyt podniecony, żeby zająć się lekturą czasopism, które kupił dla zabicia czasu. Wreszcie wysiadł na starym dworcu - po dwuletniej nieobecności był w domu. Nikt na niego nie czekał, a kiedy szedł przez miasto, doświadczał dziwnego zaskoczenia, bo wydawało się o wiele mniejsze niż we wspomnieniach. Frontowe drzwi były zamknięte, ale klucz leżał w tym samym co zwykle miejscu. W kuchni na stole pod cukiernicą znalazł kartkę,

12

matka zawsze je tam zostawiała. Pisała, że poszli z ojcem do kina. Chciał od razu wyjechać, ale potrzeba, by być w domu, z rodziną, okazała się zbyt silna. Rozpaczliwie pragnął im opowiedzieć o tym, co się wydarzyło, wyrzucić to z siebie. Kiedy jednak zaczął mówić o wojnie i zobaczyli, że cały się trzęsie, ojciec mu przerwał:

- Wojna się skończyła, chłopcze. Zostaw to za sobą. Głos Eduarda wyrwał go z bolesnej zadumy.

- Skoro byłeś w Townsville, to może byłeś też w miasteczku Luke'a, Dolinie Lagun?

- Dolina Lagun - powtórzyła Maria. - To taka romantyczna nazwa.

Ogromnie mi się podoba.

Hank pokręcił głową.

- Nie. Zresztą nie sędzę, żeby to było miasto. Sprawdziłem na mapie i nie mogłem go znaleźć.

- Ja też nie - jęknął Eduardo. - Lukę pokazał mi palcem, ale można się tylko domyślać. Wygląda na to, że jest położone setki mil w głąb lądu od Townsville, które leży na wybrzeżu.

- Czyli jest tam całkiem jak w Argentynie albo Teksasie, prawda? - roześmiał się Hank.

Eduardo skrzywił się i zmienił temat.

- Jesteśmy na miejscu. Popatrzcie na te wszystkie samochody na ulicy. Rezydencja zmieniła się dzisiaj w dom szaleńców, pełno w niej fotografów, krawcowych, fryzjerek, piszczących kobiet. Może wybierzemy się gdzieś na spokojny lunch?

- Nie! - krzyknęła Maria, niemal zrywając się z siedzenia.

- Muszę pomóc Elenie. Na pewno jest mnóstwo rzeczy, które mogę zrobić. I wysiadła, nim jeszcze limuzyna zatrzymała się przed frontonem domu. Maria i Hank pojechali tym samym samochodem do kościoła, o kilka minut wyprzedzając orszak panny młodej. Hank był poirytowany, nie znosił nigdzie się spóźniać.

- Nie ma powodu do pośpiechu - uspokajała go Maria.

- Przecież nie zaczną bez panny młodej.

- Nie w tym rzecz - narzekał Hank. - Lubię być wcześniej, żeby się rozejrzeć, dowiedzieć, kto jest kim. Patrz, wszyscy weszli do środka. Teraz zobaczymy tylko plecy.

13

Portier poprowadził ich długą nawą. Maria podziwiała kwiaty, Hank szukał znajomych twarzy.

- To matka pana młodego - szepnęła Maria, kiedy zajęli miejsca.

Hank zobaczył atrakcyjną kobietę z lekko opaloną twarzą i włosami zwiniętymi w węzeł pod toczkiem. Zauważył jej silne, zręczne dłonie, kiedy kładła rękawiczki i modlitewnik na wąskim pulpicie, i dostrzegł kontrast z oliwkowymi, wypiełgnowanymi dłońmi swojej żony.

- Gdzie jej mąż? - zapytał półgłosem.
- Cii! Nie żyje. Zginął na wojnie. Lukę to taki miły młody człowiek, prawda?

Mimo że widzieli tylko jego plecy, Hank z aprobatą skinął głową. Jak wszyscy wysocy mężczyźni doceniał to, że chłopak ma dobre sześć stóp wzrostu i szerokie ramiona, choć wciąż jest szczupły i tyczkowaty i potrzebuje lat, żeby nabrać ciała. Uśmiechnął się. Pan młody najwyraźniej czuł się niewygodnie w oficjalnym stroju, ciągle poprawiał smoking i prostował krawat. Hank ponownie popatrzył na młodego MacNamare, próbując dojrzeć jego twarz; było w nim coś znajomego. Co to było? Wedderburn usilnie szukał w pamięci. Sposób, w jaki porusza ramionami? Lekko zgarbiona sylwetka, charakterystyczna dla kowbojów? Może przypomina mu chłopców z domu. Poczul, że żołądek dziwnie mu się ściska, pot pokrywa ogorzałą twarz. Spuściwszy wzrok, zobaczył, że dłonie mu się trzęsą.

Maria, której uwadze nigdy nic nie umykało (zawsze to powtarzał), ujęła go pod ramię.

- Co się dzieje, Hank? Dobrze się czujesz?
- Tak, wszystko w porządku. Trochę tu duszno. Spojrzała na niego przenikliwie, kiedy wyjął chusteczkę, by przetrzeć twarz i kark.

Starzeję się, w tym rzecz, powiedział sobie. Wstał, gdy pierwsze akordy marsza weselnego tryumfalnie przetoczyły się przez kościół. Na końcu nawy w aureoli światła stała Elena z ojcem.

Hank zapomniał o swych niepokojach i na krótko zagubił się w urodzie tej dziewczyny, którą znał od dziecka. Jej śliczną twarz przysłaniała mgiełka

tiulowego welonu, spadającego z tej samej mantyli, w której ślub brała Maria.

- Jest piękna, prawda? - Maria z podnieceniem ścisnęła Hankę za rękę.

14

- Bardzo piękna - potwierdził odwracając się, by zobaczyć reakcję narzeczonego.

Lukę MacNamara jak każdy pan młody chciał zerknąć na swoją oblubienicę. Opuściło go zdenerwowanie, twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Potem sobie przypomniał, że powinien odwrócić się do ołtarza. Zobaczył stojącego w pierwszym rzędzie wysokiego mężczyznę i domyślił się, że to musi być Hank Wedderburn, ukochany wujek Eleny, powitał go więc konspiracyjnym mrugnięciem, po czym zajął prawidłową pozycję między drużbami, twarzą do księdza.

Hank zatoczył się jak od ciosu. Kolana się pod nim ugięły i złapał się ławki dla zachowania równowagi. Oczy przesłoniła mu mgła. Panna młoda przeszła obok z Eduardem, zdawało się, że organy grają głośniejsze.

- Co się dzieje? - zaniepokoiła się Maria. - Źle się czujesz?

- Nie za dobrze. Chyba na chwilę wyjdę na dwór.

- Pójdę z tobą.

- Nie, zostań. - Wyszedł z ławki do bocznej nawy, starając się iść pewnym krokiem. Kiedy zniknął w bocznych drzwiach, odprowadzały go spojrzenia ciekawskich.

Stał pod drzewem. Próbował wyjąć papierosa, ale paczka wypadła mu z drżących dłoni na trawę. Na opustoszałym kościelnym dziedzińcu Hank Wedderburn wybuchnął płaczem.

Nim pozostali wyszli z kościoła, zdążył umyć twarz pod fontanną i z

wysiłkiem przybrać wesołą minę, ale Maria zauważyła jego zaczerwienione oczy. Bardzo ją to przestraszyło. Musiał przyrzec, że przy najbliższej sposobności pójdzie do lekarza, ponieważ nie potrafił w żaden sposób wyjaśnić swojej słabości.

## ROZDZIAŁ DRUGI.

Podczas przyjęcia weselnego Hank postanowił, że wróci do sprawy, którą pozostawiał w uśpieniu przez czternaście lat.

Jednakże dopiero kilka tygodni później z zacisza swojego gabinetu w Dallas zadzwonił do agencji prywatnych detektywów.

15

Tego samego dnia po południu Thomas J. Clelland wsiadł do windy w słynnym Wedderburn Building, żeby spotkać się z samym Hankiem Wedderburnem. Zastanawiał się, o jakie zlecenie może chodzić.

Sprawdzenie partnera w interesach? Wątpliwe. Wedderburn może sam zrobić to lepiej dzięki swoim kontaktom. Kłopoty z żoną? Mało prawdopodobne. Tego rodzaju ustaleń dokonywano z dala od biura.

Sprytne żony pozostawały w przyjacielskich stosunkach z sekretarkami.

Wedderburn powitał go uprzejmie. Zależało mu na dyskretnym zbadaniu sprawy zupełnie błahej. Ot, zwykła ciekawość. Słyszał, że w czasie wojny Clelland pracował w wywiadzie wojskowym.

- Nie przywiązywałbym do tego zbyt wielkiej wagi, panie Wedderburn. Robi wrażenie, ale ja stacjonowałem w Nowej Zelandii. Nie miałem dużo do roboty poza przekładaniem akt i cieszeniem się tamtejszym stylem życia. Wtedy byłem zły, że utknąłem w takim miejscu, ale jak teraz patrzę wstecz, widzę, że miałem szczęście.

- Był pan w Australii?

- Nie. To też mnie ominęło.
- Moje śledztwo dotyczy Australii. Może pan tam pojechać? Pokrywam wszelkie koszty.

Clelland z trudem ukrył podniecenie.

- Mogę, proszę pana - odparł obojętnie. - Jeśli przyniesie to panu korzyść.
- Owszem. Zależy mi na informacjach o pewnym australijskim żołnierzu.

Clelland wiedział, że to jest za piękne, żeby było prawdziwe. Nie może wystawiać na ryzyko relacji agencji z Wedderburnem przez marnowanie jego czasu i energii.

- Nie chciałbym pozbawiać się możliwości wyjazdu do Australii, panie Wedderburn, ale jeśli tylko o to panu chodzi, możemy uzyskać te informacje stąd.

- Wręcz przeciwnie. To sprawa osobista. Nie chciałbym nikogo urazić. Nie mogę sobie pozwolić, żeby ktoś ze zrezygnacją słońca w składzie porcelany zaczął wtykać nos w archiwa wojskowe. Ta rodzina ma kontakty w ambasadzie australijskiej u nas. Nie chcę, żeby rozeszła się wieść, że ich krewny stał się przedmiotem czyjśgo zainteresowania. Ten człowiek nie żyje i nie był przestępcą, nic w tym rodzaju. Pan tam pojedzie, po cichu się rozejrzy

16

i przywiezie mi jego historię. Spokojnie i bez rozgłosu. Jego rodzina w żadnym razie nie może się o tym dowiedzieć.

- Trudno uzyskać dostęp do archiwów wojskowych bez zgody rodziny.
- Znajdzie pan jakiś sposób, przekupi pan kogoś, jeśli zajdzie potrzeba. Nie musi pan oszczędzać, wymagam natomiast całkowitej dyskrecji. -

Podał Clellandowi kartkę, na której wydrukowano słowa: JOHN PACE



MACNAMARA. DOLINA LAGUN. QUEENSLAND. AUSTRALIA. -

Niewiele tego - powiedział przeprasząco. - Podobno „zginął na wojnie”, choć równie dobrze mógł go przejechać dżip w Perth.

- Jasne. Znam faceta, który wrócił z wojny ze Szkarłatnym Sercem. Wziął go na rogi byk, kiedy szedł na skróty przez farmę niedaleko Auckland. -

Clelland spojrział na kartkę. - Gdzie jest ta Dolina Lagun?

- Dobre pytanie. Nie wiem dokładnie, gdzieś w głąb lądu od Townsville, miasta na północnym wybrzeżu wschodniej części stanu Queensland.

- A tak. Wiem, gdzie leży Townsville. Była tam wielka amerykańska baza wojskowa, prawda?

- Tak. Nie sądzę, by dowiedzenie się czegoś o tym człowieku nastęczało panu wielu trudności. Gdyby z miasta wyprowadzić wojsko, myślę, że wróciłoby do drzemki.

Odprowadził Clellanda do drzwi, a potem nagle poczuł, że musi coś dodać.

- Niech pan posłucha, nie chcę, żeby działał pan po omacku. Niedawno natknąłem się na człowieka noszącego to nazwisko. Zupełnie nieoczekiwanie. Myślę, że ten facet, ten Australijczyk, którego spotkałem w czasie wojny...

Clelland patrzył na niego zakłopotany. Wedderburn miał w oczach łzy.

- Przepraszam. Nigdy nie potrafiłem o tym mówić. - Wziął głęboki oddech. - Myślę, że on uratował mi życie.

Przeklęta wojna, pomyślał Clelland. Niektórzy wrócili z niej z koszmarnymi wspomnieniami ukrytymi głęboko na dnie serca. Już chciał powiedzieć: „Wszystko w porządku, stary. Wiem, jak to jest”, ale się powstrzymał. Nie wiedział. Łatwo rzucać takimi banałami, nic nie

kosztują. Czekał, aż Wedderburn pierwszy się odezwie.

Hank był mu wdzięczny za to milczenie.

17

- Dziękuję. Widzi pan, teraz, kiedy ta sprawa do mnie wróciła, muszę wiedzieć. Nie chcę omawiać tego z jego rodziną. Jeśli się mylę, zrobię z siebie skończonego głupca, a jeśli mam rację, może być jeszcze gorzej. Po co wskrzeszać całe to cierpienie? Zmuszać jego żonę, żeby powtórnie przez to przechodziła. To prywatna sprawa między mną a człowiekiem, który nie żyje od czternastu lat. I nie chodzi tylko o to, że mam u niego dług, a swoje długi wolę płacić. Problem polega na tym, że przez wszystkie te lata dręczyło mnie, że nie wiem, kim jest ten Australijczyk.

- Mam nadzieję, że będę mógł panu pomóc, panie Wedderburn. Czy w tym śledztwie może się przydać przebieg pańskiej służby?

- Nie. Przekaze mi pan wszystko, czego się uda tam panu dowiedzieć o zmarłym Johnie MacNamarze, i to wystarczy.

Clelland opuszczał biura Wedderburna z ciężkim sercem. Podróż do Australii była premią, ale współczuł Wedderburnowi. Ludzie tacy jak on dźwigali poczucie winy niczym ołowiany ciężar. Nie do zniesienia bowiem była świadomość, że ich koledzy zginęli, a oni żyli dalej.

Detektyw dziwił się, że taki rozsądny człowiek jak Wedderburn nie potrafi zrozumieć, iż to nieodłączny aspekt wojny. W holu przebiegł wzrokiem po liście przedsiębiorstw Wedderburna umieszczonej na ścianie i wyszedł na rozpaloną ulicę.

Po powrocie z Australii Clelland dostarczył swój raport Wedderburnowi. Mijały tygodnie, Wedderburn zapłacił rachunek, nie kwestionując jego wysokości, ale poza tym nie dawał znaku życia.

Pewnego dnia jednak zadzwonił.

- Możemy się spotkać na drinku?

- Pod jednym warunkiem - odparł Clelland. - Powie mi pan, czy trafiliśmy w dziesiątkę czy nie.

- Powiem. Mam ochotę odetchnąć świeżym powietrzem. Spotkajmy się u Lindy'ego koło parku, dobrze? Możemy usiąść na dworze.

Kiedy Clelland zjawił się w umówionym miejscu, Hank już siedział przy stoliku pod drzewem, popijając whisky. Detektyw kupił więc sobie bourbona i przyniósł do stolika.

- Przyszedłem uzbrojony - wskazał szklaneczkę. - Przykro mi, że w raporcie jest tylko jedno niewyraźne zdjęcie z batalionowego biuletynu.

18

Wszyscy wyglądają na nim jak ja, ale nie chciałem się zwracać do rodziny.

- Nie ma sprawy, Tom. Fotografia nie była mi potrzebna. Ważne były daty. Słyszał pan kiedyś wcześniej o szlaku Kokoda?

- Jezu, tak, najgorsze miejsce tej wojny.

- Słuszne określenie. Na szlakach w Nowej Gwinei było parno i gorąco jak w piekle, nic tylko dżungla i Japońcy za każdym krzakiem.

- Tak, pamiętam. Ciągle domagali się dostaw, ale trudno było do nich dotrzeć. Zrzuty trafiały do przepaści albo japońskiego obozu. Wydawało mi się jednak, że walczyli tam tylko Australijczycy.

- Jankesów nie było za dużo, mieliśmy cholernego pecha, że wyciągnęliśmy krótką słomkę. Bóg wie, jak się w to wplątaliśmy, byliśmy surowymi poborowymi, których prosto ze starych dobrych Stanów przetransportowali do Port Moresby, a stamtąd do Kokody. Wciąż widzę

tych wielkich twardych Australijczyków. Sprawiali wrażenie starszych od nas, mądrzejszych, sam nie wiem, nie mogłem tego zrozumieć. Mieli przepocone miękkie kapelusze naciągnięte na granitowe twarze, podwinięte rękawy... wyglądali jak batalion drwali. To nas zbiło z tropu. No i wydawali się okropnie pewni siebie. W dżungli roilo się od Japońców, ale nie było żadnej linii frontu, walczyliśmy, kiedyśmy się na nich natknęli, najczęściej na bagnety. Jezu, to były jatki.

- Doprawdy nie miałem pojęcia, że jacyś nasi żołnierze byli na szlaku Kokoda - wtrącił Clelland.

- Na Boga, byli i ginęli. Ale pański raport powiedział mi coś nowego. Dopiero teraz rozumiem, dlaczego czułem się gorszy od tych Australijczyków, to byli żołnierze zaprawieni w boju, słynne „szczury Tobruku”, których przerzucili stamtąd i postawili przeciwko Japońcom. Nie miałem o tym pojęcia. Nic dziwnego, że wyglądali na starszych. A nasi oficerowie też byli nowicjuszami, nie mieli wielkiego doświadczenia w walce. Wpadliśmy w potworne kłopoty, ponieśliśmy olbrzymie straty, więc wycofano nas stamtąd i przeniesiono na wybrzeże niedaleko Buni, skąd ruszyliśmy w głąb lądu.

- Tam wcale nie było lepiej, prawda?

- Wciąż przedzieraliśmy się przez cuchnącą dżunglę, otoczeni przez Japońców, ale mieliśmy większe szanse na planowane akcje. Mogliśmy korzystać z rzek i szybciej się poruszać, wiedzieliśmy,

19

gdzie jesteśmy. Kokoda to nie było miejsce dla nieopierzonych rekrutów. Tak czy owak wydawało się, że radzimy sobie dobrze. Ale pewnego dnia byłem z patrolem nad brzegami Adai i zaatakowali nas Japończycy. Dwaj

moi kumple zginęli od razu, potem żółtki załatwiły jeszcze dwóch. Wrzaski nie cichły przez całą noc. Skoczyłem w poszycie, zupełnie nie zważając na to, gdzie biegnę. Rano słyszałem Japońców bijących w krzaki, szukali mnie. - Hank dopił whisky i przywołał kelnera. - Jeszcze raz to samo - powiedział i znów zwrócił się do Clellanda. - Krótko mówiąc, złapali mnie, w usta napchali liści, związali i poprowadzili na polanę, gdzie trzymali trzech skrępowanych Australijczyków. Oni też byli zakneblowani, więc nie mogliśmy się porozumieć, ale poczułem się lepiej w ich towarzystwie. Nie chciałem umierać samotnie. Przez cały dzień nie dali nam jedzenia ani wody. Wieczorem Japońcy upili się i jeniec, który był najbliżej nich, solidnie oberwał. A potem dwaj japońscy oficerowie zaczęli skakać wymachując mieczami. Wyglądało to na jakąś zabawę. Byli zalani w trupa, zataczali się po całej polanie. Postawili nas na nogi, wyjęli nam kneble, ale nie rozwiązali rąk, i gęsiego wyprowadzili z polany. Jeden z Australijczyków musiał znać ich język. Nagle z całej siły kopnął idącego koło niego Japońca i wrzasnął na nas, żebyśmy uciekali. Wciąż go słyszę: „Wynoście się stąd do diabła! Chcą nas zarznąć, pieprzone dranie!” Nie musiał powtarzać. Rozdzieliliśmy się. Zanurkowałem w poszycie, zacząłem się czołgać. Za plecami słyszałem krzyki. Japońcy byli tak pijani, że zupełnie ich to zaskoczyło. - Hank zamyślił się na chwilę, po czym podjął: - Znowu byłem w dżungli, osłabiony i ze związanymi rękami, ale tym razem miałem więcej szczęścia. Szedłem wąwozem. Był zarośnięty paprociami, więc poruszałem się bardzo wolno, ze schyloną głową. Myślałem, że świetnie sobie radzę, że się oddalam od tej polany, ale najzwyczajniej zatoczyłem koło. Złapali Australijczyków. Nie musiałem patrzeć, żeby to wiedzieć; słyszałem, jak przeklinają, obrzucają

Japońców obelgami i to mnie przeraziło. Byłem tuż koło nich, ale strach mnie sparaliżował. Słyszałem, jak Japońcy biją Australijczyków, żeby się zamknęli. W końcu zrobiło się cicho. Nie mogłem tego znieść, więc podniosłem głowę na tyle, żeby sprawdzić, co się dzieje. Australijczycy znowu stali w szeregu, mieli skrępowane kostki i związane z przodu ręce. Jeden zaczął się wydzierać: „Oddajcie nam kapelusze, dranie! Chcemy umrzeć w pełnym umundurowaniu!”

20

To było szaleństwo, ale jeden z Japońców musiał ich zrozumieć i wysłał swoich ludzi, żeby poszukali tych przeklętych kapeluszy, żółtki zawsze przywiązywały wagę do protokołu czy jak to tam nazywają. - Hank wypił whisky jednym haustem. - Nigdy wcześniej nikomu o tym nie opowiadałem.

- Teraz opowie pan do końca - rzekł Clelland - nawet gdybym musiał postawić panu jeszcze dziesięć kolejek. Nie zostawi mnie pan w połowie tej historii.

- Tak... dali im te kapelusze. Australijczycy przymierzali je, śmiali się i obrzucali najgorszymi obelgami Japońców, którzy stali naprzeciwko z bronią i bagnietami w rękach. A ja patrzę i myślę, że wszyscy oszaleli, bo widzę, że jeden z Australijczyków lekko się odwraca i udaje, że poprawia kapelusz. Przez sekundę patrzył prosto na mnie. Mrugnął, bezgłośnie powiedział: „Niżej, stary”, po czym puścił taką wiąchę, że włosy stanęły mi dęba. Pozostali przyłączyli się do niego, Japońcy znowu ich bili, a ja uciekłem, zapuszczając się głębiej w dżunglę.

- Myśli pan, że specjalnie wywołali tę hecę z kapeluszami?

- Jestem o tym przekonany. Nie sądzę, by ktoś poza nimi mógł mnie

widzieć.

- A udało im się w końcu uciec?

Hank oparł brodę na splecionych dłoniach i utkwiał wzrok w zielonych trawnikach i starannie przystrzyżonym żywopłocie. Potem odchrząknął.

- Obcięto im głowy - odpowiedział z wysiłkiem. - Wszystkim trzem.

- Jezusie!

Przez długą chwilę obaj mężczyźni obserwowali zachodzące słońce.

Pierwszy odezwał się Hank.

- Z dokumentów, które pan mi przywiózł, wynika, że sierżant John Pace MacNamara został stracony przez Japończyków w okolicy rzeki Adai w Nowej Gwinei dwudziestego drugiego grudnia czterdziestego trzeciego roku.

- Był jednym z tych trzech?

- Tak.

- Wie pan którym?

Hank uśmiechnął się ze smutkiem.

- To MacNamara do mnie mrugnął. MacNamara powiedział: „Niżej, stary”.

21

- Skąd pan wie, że to MacNamara?

- Ponieważ do końca życia nie zapomnę tej twarzy. A kilka miesięcy temu znowu pojawiła się przede mną i znacząco mrugnęła.

Clelland patrzył na niego bez słowa.

- Nie, nie widuję duchów. Poznałem jego syna, skóra zdjęta z ojca.

- Boże wszechmogący! Wspomniał mu pan o tym?

- Nie. W tym momencie na scenę wkroczył pan.

- A tam, w Nowej Gwinei, jak udało się panu wydostać?

- Znaleźli mnie tubylcy. Czołgałem się przez dżunglę przez dziewięć dni, cały w pijawkach, pokąsany przez wszystkie możliwe insekty, rozpalony od malarii. Byłem w strasznym stanie. W szpitalu polowym musiałem w półśnie majaczyć, bo później przyszedł do mnie oficer. Powiedział, że zlokalizowali ciała, i zapytał, czy chcę znać ich nazwiska. Wyciągnął notes. Kompletnie się załamałem. Mówili, że moje krzyki słychać było wszędzie. Wsadzili mnie na okręt i przewieźli do szpitala w Townsville. Spędziłem tam kilka miesięcy, a potem pojechałem na Filipiny. I to koniec tej historii.

Clelland oparł się na krzesło i postukał w stolik.

- Nieprawda. Gdybym odbierał od pana meldunek, powiedziałbym, że to niedowarzony raport, żołnierzu, spróbujcie jeszcze raz. Coś pan pominął.

- Nie pominąłem. Mało pamiętam z tego czołgania się po dżungli...

- Mówił pan, że obcięto im głowy. Niech pan nie odwraca wzroku. Jeśli wycofał się pan z polany, skąd pan o tym wie? To jest część, którą pan głęboko zagrzebał. Równie dobrze może pan o niej opowiedzieć i zostawić za sobą, skoro tak daleko pan zaszedł. Widział pan, jak to się stało?

Twarz Hanka przybrała niezdrowy szary odcień.

- Słyszałem. Słyszałem szwargotanie Japońców, potem Australijczycy znowu krzyczeli, a później zapadła martwa cisza. Leżałem w trawie i modliłem się, żeby Bóg mnie stamtąd zabrał, płakałem, miałem dopiero dwadzieścia trzy lata. Aż nagle Australijczycy zaczęli wrzeszczeć.

Usłyszałem odgłos ciosu... i znów ta przerażająca cisza. Jeden z Australijczyków krzychał, żeby zostawili jego kumpla w spokoju... żeby mu tego nie robili, ale oni to zrobili... znowu ten odgłos rąbania. Ostatni



słowem się

22

nie odezwał. Usłyszałem, jak jemu też ucinają głowę. Chyba jest mi niedobrze.

Kiedy Hank wrócił, jego twarz miała normalną barwę.

- Ten ciężar musiał siedzieć mi na żołądku przez lata. Przykro mi, że pana na to wszystko naraziłem.

Clelland uśmiechnął się.

- Sam o to prosiłem. Cieszę się, że mój raport odpowiedział na pańskie pytanie.

- Czuję się lepiej, znając jego nazwisko. - Wedderburn podniósł głowę i uśmiechnął się. - Jest też pozytywny aspekt mojej wyprawy na antypody.

Podczas przepustki w Townsville ruszyłem z trzema innymi chłopakami na wędrowkę po okolicy. Do domu wszyscy wróciliśmy bogaci.

- Często się zastanawiam, jak zaczynają milionerzy. Hank wybuchnął śmiechem.

- Potrzeba uśmiechu losu, rzadko wystarcza praca rąk.

- Też doszedłem do tego wniosku - odparł Clelland z żalem.

- Wracając do naszej sprawy. Czasami myślę, że wydarzenia mają swój cel. Albo inny wymiar, sam nie wiem. Bo widzi pan, John Pace MacNamara miał syna. Ja nie. A teraz jego syn przyjechał do Nowego Jorku i ożenił się z bratanicą mojej żony.

Clelland zakrztusił się bourbonem.

- Żartuje pan?

- Ani mi to w głowie. Myślę, że wybiorę się do Australii i rozejrzę po terytorium MacNamary, tej Dolinie Lagun. Mam wrażenie, że przysłał mi

zaproszenie.

## CZEŚĆ DRUGA.

Argentyna, rok 1825.

### ROZDZIAŁ Trzeci.

W roku 1825 wicehrabia Forster towarzyszył brytyjskiej delegacji handlowej w podróży do Buenos Aires na spotkanie z członkami Związku Zjednoczonych Prowincji La Platy. Chociaż nie miał oficjalnej akredytacji i w dokumentach ambasady występował jako obserwator, dzięki wzrostowi wynoszącemu sześć stóp trzy cale i sposobowi zachowania często omyłkowo brano go za przewodniczącego delegacji.

Przez stulecia Forsterowie zdołali pozostać zarówno żarliwymi katolikami, jak i gorliwie lojalnymi obywatelami swego kraju. Ze względu na wyznanie Forster nie mógł pełnić funkcji państwowych, ale rząd brytyjski wysoko cenił sobie jego usługi, które wyświadczał w mniej oficjalny, często ukryty sposób. Jako osoba prywatna mógł swobodniej podróżować i zbierać więcej informacji niż wyznaczeni do tego urzędnicy, przy czym religia pozwalała mu nawiązywać kontakty z tymi, którzy protestanta przyjęliby podejrzliwie. Ta rola odpowiadała Forsterowi. Lubił brać udział w dyplomatycznych negocjacjach, wolny od ołowianych obciążeń biurokracji, a jako nieustraszony podróżnik swym entuzjazmem i urokiem zaskarbiał sobie sympatię napotykanym ludzi.

Teraz wszystkie te zalety były mu potrzebne w rozmowach z dumnymi i drażliwymi mieszkańcami Ameryki Południowej. Wiedział, że wyznanie już mu pomogło zbudować podwaliny wzajemnego zaufania, pozostało więc tylko dyskretnie poinformować o brytyjskich zamiarach dotyczących Malwinów. Rząd planował cichą aneksję wysp i istniały powody, by

wierzyć, że Związek La Platy nie zgłosi sprzeciwu.

25

W oczach najważniejszych osobistości z Buenos Aires nie wystarczało, że Brytyjczycy wspierali ich w walce z Hiszpanami. Nie zapomniano o nie tak dawnych konfliktach. W roku 1806 Brytyjczycy dokonali inwazji na tę ziemię, hiszpańskie wicekrólestwo La Platy.

Wicekról spakował manatki i zbiegł, mieszkańcy wzięli sprawy w swoje ręce i wypędzili Brytyjczyków. Zachęceni sukcesem potomkowie Hiszpanów zaczęli się uważać za patriotycznych Argentyńczyków. To dało im bodziec do zwrócenia się przeciwko Hiszpanom i wykorzystania rewolucyjnego ducha, który zapłonął w kraju. Byli zdecydowani uwolnić się spod hiszpańskiego jarzma.

Forsterowi przyjemność sprawiało życie towarzyskie Buenos Aires. Jako arystokrata zapraszany był do domów ludzi majątnych i wpływowych. Jednakże również to, jak niemal wszystko w jego życiu, miało swój cel. Szukał wysoko postawionego Argentyńczyka, który wsparłby brytyjską aneksję wysp i przekonał do niej innych. Wybór Forstera padł na Jorgego Luisa Rivadavię.

Był głową rodziny bogatych posiadaczy ziemskich pochodzenia hiszpańskiego. Główna hacjenda znajdowała się w górze rzeki Rosario. Jak rosyjska arystokracja mieli chłopów pańszczyźnianych, ale byli bardziej uprzemysłowieni od Rosjan. Główne źródło ich bogactwa stanowiły kopalnie srebra na północy, aczkolwiek mieli też olbrzymie hodowle rasowego bydła. Pracujący na farmach pastuchowie mieszanego pochodzenia, hiszpańskiego i indiańskiego, nazywani byli gauczami. Jorge Luis, obecnie po pięćdziesiątce, nie był wprawdzie członkiem

związku, ale miał wielkie wpływy wynikające z jego pozycji i fortuny. Uważano go za bohatera, brał bowiem udział w wojnie. Walczył przeciwko Hiszpanom na północy i z armią San Martina pomaszerował z Mendozy przez Andy do Chile, żeby tam zaatakować hiszpańskie bazy. Wojny zapewniły niezależność od Hiszpanii, ale po nich zapanowały przemoc i gwałt, przywódcy prowincji walczyli o supremację i nie zgadzali się na żadną formę wspólnego rządu. Kontrolę przejmowali wojskowi, a to zdecydowało, że rząd brytyjski chciał jak najszybciej załatwić sprawę Malwinów. Powszechnie było wiadomo, że z juntami rozmawia się źle.

Na swój taktowny sposób Forster zapewnił sobie towarzystwo Jorgego Luisa podczas pobytu w Buenos Aires i z zachwytem

26

przekonał się, że to interesujący i inteligentny rozmówca. Kilkakrotnie spotkali się na kolacjach. Argentyńczyk, choć dobrze wykształcony, jako że uczęszczał na uniwersytet w Kordobie, chciał pogłębić wiedzę o Anglii i jej konstytucji, a także lepiej zrozumieć skomplikowane zasady europejskiego handlu. Forster z przyjemnością spełniał jego prośbę, subtelnie i dyskretnie budując przychylną atmosferę dla brytyjskiej aneksji wysp.

Kiedy zaproszono go na kilka dni do hacjendy Jorgego, role się odwróciły i Forster zajął miejsce ucznia. Argentyński styl życia wydał mu się fascynujący. Posiłki spożywano bez pośpiechu na chłodnym białym dziedzińcu, ocienionym pergolą obrosniętą bujnie czerwonymi różami. Jorge przedstawił mu członków swojej rodziny i Forstera zaskoczyło, że większość mężczyzn zna angielski. Niestety, piękna żona gospodarza

mówiła tylko po hiszpańsku, ale ich najstarszy syn Juan zawsze chętnie służył jako tłumacz. Byli urodziwą rodziną. Jorge, z czarnymi włosami siwiejącymi na skroniach, cienkim wąsikiem i białymi prostymi zębami, był uosobieniem ognistego Latynosa, chociaż Forster zauważył też, że dzięki mocnej budowie wygląda na silnego jak byk. Juan był do niego bardzo podobny, ale ciemne oczy, które odziedziczył po matce, były większe, a przysłaniały je niewiarygodnie długie rzęsy.

Korzystając z pierwszej nieobecności matki przy stole, Juan zapytał lorda Forstera o opinię na temat rządu.

- Lord Forster jest dyplomatą - przerwał mu ojciec. - Nie życzyłby sobie komentować naszej polityki wewnętrznej.

- Kwestia wszakże jest interesująca - powiedział Forster przez wzgląd na obu interlokutorów. - Jak sądzę, jesteście spokrewnieni z ministrem, seniorem Rivadavią? Wydaje mi się rozsądnym i dalekowzrocznym politykiem.

- Wkrótce zostanie prezydentem - wtrącił pośpiesznie Juan.

Jorge pokręcił głową.

- Ty tak nie uważasz, ojcze? - zapytał go syn.

- Tego nie powiedziałem. To możliwe, aczkolwiek obawiam się o niego.

Jest doskonałym ministrem, świetnie orientuje się w kwestiach handlowych i ma prawdziwą wizję rozwoju naszego kraju, ale to nie uczyni z niego przywódcy. Uważam, że pokona go pułkownik Rosas.

27

- Niemożliwe! - zaprotestował Juan. - Rosas nie ma zdolności przywódczych. Zmieni gauczów w bandytów.

- Niezależnie od tego co o nim sądzimy, ten człowiek posiada ogromną

fortunę i potężne włości, z których może rekrutować swoje oddziały.

- Tylko głupcy za nim pójdą! - wykrzyknął Juan.

- Ty nazywasz ich głupcami, oni siebie uważają za patriotów. Wszyscy mamy marzenia. - Jorge zwrócił się do gościa ze smutkiem w głosie. - My też mieliśmy. Ludzie tańczyli na ulicach, kiedy nasze marzenie stało się rzeczywistością i uzyskaliśmy niepodległość. Widzieliśmy przed sobą wspaniałą przyszłość, a co mamy? Anarchię. Istnieje konflikt pomiędzy rządem centralnym a prowincjami, pomiędzy miastem a wsią. Caudillowie pokroju Lopeza w Santa Fe ogłosili się dyktatorami prowincji i zamierzają zaatakować rząd. To bardzo trudna sytuacja dla takich jak my posiadaczy ziemskich. Musimy organizować ochronę naszych rodzin i ziem przed Indianami i hordami uzbrojonych gauczów, a w dodatku, aby zachować porządek, musimy też wysyłać pieniądze i ludzi do Buenos Aires do walki z caudillami i ich oddziałami.

- Czy Rosasa można określić mianem caudilla? - zapytał Forster.

- Tak - odparł Juan.

- Nie - sprzeciwił się jego ojciec. - Jest potężniejszy i bardziej niebezpieczny. Jego matka pochodzi z rodziny Anchorena, najbogatszej w całym dorzeczu La Platy. Jak zapewne pan wie, lordzie Forster, dla człowieka ambitnego następnym krokiem po zdobyciu fortuny jest władza. Rosas nie zadowolili się jedną prowincją.

- Jednakże walczył po stronie rządu centralnego przeciwko prowincjom?

- To prawda - przytaknął Jorge. - Nie rozbija się młotkiem dzieła sztuki, które w końcu będzie twoje. Walczył po stronie związku, pokonał Lopeza i został bohaterem, a wdzięczny rząd podarował mu ziemię.

- Walczyłem przeciwko Quemalcoyowi, sir, i widziałem, co robili ludzie

Rosasa. To mordercy i grabieżcy, nie żołnierze - mruknął poirytowany Juan.

- Tak - potwierdził z dumą Jorge. - Mój syn brał udział w wojnach indiańskich, kiedy miał siedemnaście lat, i doskonale

28

się sprawił, ale ludzie z naszych kontyngentów zadarli z Rosasem. Po powrocie do domu zapaleńcy tacy jak mój syn zaczęli w stolicy występować przeciwko niemu. Mówią, że terroryzuje posiadaczy ziemskich swoimi gauczami, że puszcza ich wolno w miastach, gdzie grasują jak barbarzyńcy, i że powinno się odebrać mu bogactwo i władzę.

- I nie spoczniemy, będziemy krzyczeć o tym z dachów - oznajmił Juan.

- A kiedy Rosas dojdzie do władzy, znajdziecie się w poważnym niebezpieczeństwie - odparł jego ojciec.

- A co według ciebie mamy robić? Przymknąć oko? Ludziom trzeba powiedzieć prawdę o nim. Zresztą i tak wygramy. Rosas wycofał się do swoich hacjend. Bernadino Rivadavia nigdy nie powierzy mu stanowiska związanego z władzą.

- Bernadino nie będzie miał nic do powiedzenia - rzekł Jorge spokojnie. - Rosas nie siedzi cicho na pampie, tylko zbiera siły, staje się popularnym bohaterem. Ucieleśnia spełnienie marzeń przeciętnego człowieka.

Na dziedziniec wyszli muzycy, by umilić im czas melodiami.

Forster był rozczarowany tą przerwą, chętnie posłuchałby dłużej o owym Rosasie, człowieku, którego należało mieć na oku.

Nazajutrz Jorge zaprosił go na przejażdżkę po posiadłości. Forster zauważył, że ojciec i jego dwaj synowie, także młodszy, zaledwie trzynastoletni, mają broń. Towarzyszyła im świta złożona z gauczów.

- Martwię się o Juana - powiedział Jorge, klusując obok Forstera. - Dość będziemy mieć problemów i bez prowokowania Rosasa.
- Może chciałby pojechać ze mną? Zwiedziłby Anglię i Europę...
- To bardzo miłe z pańskiej strony, ale ja wysyłam go z kraju. Wojny burzą harmonię, żołnierz wraca do domu i życie nie jest już takie jak przedtem. Juan potrzebuje wyzwania. Mój ojciec umarł tuż przed moim powrotem, na moich barkach spoczęła ogromna odpowiedzialność. Jeśli Rosas dojdzie do władzy, będę musiał czym prędzej wyekspediować Juana za granicę, a to będzie łatwiejsze, jeśli zaproponuję mu coś konkretnego. Ogromne stado bydła zaganiało do otoczonych wysokim płotem zagród, pracujący przy tym ludzie machali do przejeżdżających,

29

pozdrawiając Jorgego dumnymi uśmiechami. Forster podziwiał barwne poncha, kapelusze z szerokimi rondami i pięknie tkane pasiaste derki. Zagrody zajmowały rozległy teren, pastuchowie zręcznie prowadzili bydło w różne części, pokrzykując przy tym i strzelając batami.

- Robi wrażenie, Jorge - przyznał Forster, aczkolwiek męczył go kurz i hałas czyniony przez setki zwierząt. Pragnął wrócić do spokojnej hacjendy. Jakby czytając w myślach gościa, Jorge zaproponował, że na lunch mogą zajść Aopulperii.

Forster wyraził zgodę, w duchu mając nadzieję, że będzie tam czysto, te obskurne zajazdy nie służyły ze schludności.

Kiedy Rivadavia ze swym orszakiem zajechał pod karczmę, powitały go radosne okrzyki wieśniaków. Pod rozłożystym drzewem ustawiono długi stół nakryty pięknym, obszytym koronką obrusem i zastawiony połyskującymi kryształowymi kieliszkami. Forster zauważył znajome



twarze pośród służby. Pojął, że Jorge kazał swoim ludziom przygotować lunch, na wypadek gdyby gość tu zawitał. Kiedy zsiadli z koni i zajęli miejsca przy stole, gitarzyści uderzyli w struny, dobywając z nich tęskne tony, zaraz też dołączyli skrzypkowie. Piękne kobiety zaczęły tańczyć, wirując czerwonymi halkami i uderzając obcasami w udeptaną ziemię. Jorge dołączył do głównej tancerki, a precyzja jego ruchów wywoływała u wszystkich okrzyki zachwyty.

Forster bił brawo, z przyjemnością obserwując taniec i łakomie wdychając zapach wołowiny piekącej się na otwartym rożnie. Zaczął jeść twardy chleb, pikantne sery i twarożki, podawane mu przez uważną służbę. Popijał je czerwonym winem z kieliszka, który uzupełniano po każdym łyku.

Juan także tańczył. Był jak dwie krople wody podobny do ojca, silny, średniego wzrostu, z muskularnymi ramionami napiętymi pod dobrze skrojonym, bogato haftowanym żakietem. Czarne oczy nadawały mu aurę wielkiej powagi do momentu, kiedy w uśmiechu błysnęły oślepiająco białe zęby. Bardzo przystojny, tak jak ojciec i oczywiście matka, pomyślał Forster.

Jorge wrócił do stołu, obejmując w talii dwie kobiety. Odprawił je i usiadł obok gościa.

- Ha! - krzyknął do Juana. - Nalej mi wina. Przesadziłem się.

30

- Przemęczyłem - powiedział Juan i jego ojciec się uśmiechnął.

- Widzi pan, jak doskonale włada angielskim? Uwielbia poprawiać ojca.

Czy dostaje pan dość do jedzenia?

- Z całą pewnością. A wino jest doprawdy wyborne.

- Dobrze. To nasze wino. - Z namysłem przez kilka minut obserwował Juana, po czym zwrócił się do Forstera. - Czy był pan kiedyś w Nowej Południowej Walii?

- Nie, nie byłem. Miałem nadzieję zawitać tam, wracając stąd do domu przez Przylądek Dobrej Nadziei, ale niestety plany uległy zmianie. Muszę jechać do Anglii.

- Przyjrzałem się mapie. Wygląda na to, że mają tam pastwiska równie rozległe jak nasze, grunta, które za grosze może kupić człowiek pierwszy zgłaszający do nich prawo.

- Tak istotnie jest. Ale dlaczego interesuje pana Nowa Południowa Walia, skoro tutaj ma pan te same możliwości?

Jorge zabębnił palcem w stół.

- Może i jestem człowiekiem ze wsi, ale żeby nasza rodzina mogła przetrwać przez wiele pokoleń i osiągnąć obecny status, zawsze musieliśmy interesować się polityką i trzymać rękę na pulsie. Dla przykładu wiem, że wy, Brytyjczycy, macie chrapkę na Malwiny i że są w naszym rządzie ludzie, którzy powiedzą: „Niech biorą te wyspy, bo czym one są? Nagimi skałami na środku oceanu.” Ja natomiast powiem, że są ziemią, a ziemia to nasze dziedzictwo. Musimy bronić każdej jej piędzi. Jest pan dobrym przyjacielem, w tej sprawie jednak będę się panu przeciwstawiał.

Forster przybrał pozory wystudiowanego zainteresowania, w duchu wszakże martwił się, że musi wrócić do Buenos Aires i szukać innego stronnika dla swojej sprawy. Brytyjczycy dostaną te wyspy, nie pozwolą, żeby trafiły w ręce Hiszpanów, przy czym żadnego z tych dwóch wielkich państw nie interesował argentyński punkt widzenia.

- Mamy problemy na najwyższym szczeblu politycznym - ciągnął Jorge - a ludzie znajdujący się na dole drabiny społecznej zaczynają pytać, dlaczego oni też nie mogą mieć ziemi. Gdybym był peonem, też przypuszczalnie zadawałbym to pytanie, ale nim nie jestem. Pochodzę z wielkiej rodziny, jednej z tych, które zbudowały nasz kraj, i kiedy słyszę odgłosy rewolucji, odpowiadam, że ziemia to moja własność.

- Pańscy ludzie wyglądają na zadowolonych, Jorge.

31

- Bo są zadowoleni, ale czy takie będą ich dzieci i wnuki? Wątpię. I proszę mi powiedzieć jedno. Dlaczego wy, Brytyjczycy, jesteście tacy pewni, że uda wam się zachować Nową Południową Walię, skoro w Ameryce Północnej ponieśliście klęskę?

- Ha! - uśmiechnął się Forster. - Tym razem nie popełnimy błędu. Zamierzamy tę kolonię trzymać twardą ręką. Pozostanie pod brytyjską władzą.

- Z przyjemnością słyszę pańskie słowa. To oznacza stabilizację w tej części świata. Kolonia będzie prosperować.

- Zamierza pan wysłać tam Juana?

- Tak, jeśli okaże się to konieczne dla jego bezpieczeństwa. Chcę też zainwestować w ziemię. Gdyby rodzina Rivadaviów oprócz farm w Argentynie miała też farmy w Nowej Południowej Walii, byłibyśmy lepiej zabezpieczeni. Jeśli zostaniemy zmuszeni do opuszczenia Argentyny... - Jorge wzruszył ramionami.

- Jestem przekonany, że gubernator Nowej Południowej Walii z radością powita inwestycje dokonywane przez naszych przyjaciół z Argentyny -

rzekł Forster. - A jeśli mógłbym służyć panu pomocą, proszę dać mi znać.

- Zrobię to. Mojego syna pociągają wyzwania. Wiem, że tak jest. Będzie mógł wyjechać w świat jak konkwistador, zamiast tutaj próbować szeptem uciszyć grzmot.

## CZEŚĆ TRZECIA.

Irlandia, rok 1825.

### ROZDZIAŁ Czwarty.

Ulice Dublina spowijała gruba szara mgła, utrudniając Pace'owi MacNamarze podążanie za przewodnikiem, człapiącą postacią, która w płaszczu z podniesionym kołnierzem i naciągniętą na oczy czapką niczym się nie różniła od innych przechodniów. Pace'owi nie powiedziano, gdzie odbywa się spotkanie, kazano tylko iść za tym człowiekiem.

- Ale on tak się skrada po zaułkach - mruknął pod nosem Pace - że bardziej przypomina to gonienie za diabłem niż za przyjacielem. Przy moim szczęściu w końcu pójdę nie za tym co trzeba.

Przewodnik skręcił za następny róg. MacNamara przyśpieszył, potrącając nadchodzących przechodniów. Na moment stracił nieznanego z oczu, po chwili dostrzegł go w słabo oświetlonych drzwiach tawerny. Co on sobie myśli? irytował się Pace. Że niby kim jestem? Psem tropiącym? Mam węszyć jego śladem?

Zgarbił plecy i równym krokiem przemierzał wąską uliczkę, jakby miał zamiar minąć tawernę, potem nagle zawrócił i wszedł do mrocznego wnętrza, w którym migotały lampy i w powietrzu snuł się dym palonego torfu, równie gęsty jak mgła na ulicach. Przepychając się spokojnie przez tłum, nie patrzył na boki, tylko czekał, aż pojawi się przed nim znajoma twarz albo ktoś go zawoła. Barman kiwnął głową, nalał drinka i bez

oglądania się za siebie zaniósł do boksu na końcu sali. Pace poszedł za nim i zajął miejsce przy stoliku.

Jacyś młodzieńcy świętowali, zupełnie odcinając dostęp do tej części baru.

Wyglądało to na rzecz przypadkową, ale nie uszło

33

uwadze MacNamary. Czujnym wzrokiem przepatrywał twarze, w tym mieście nie da się odróżnić przyjaciela od wroga. Stolik tylko kilka metrów dzieliło od drzwi z otwartą zasuwą. Wcale tym nie uspokojony, zastanawiał się, czy nie wpadł w pułapkę.

Przez boczne drzwi wszedł zmęczonym krokiem starszy mężczyzna. Nie śpieszył się. Pace udawał, że przygląda się miedzianym talerzom na odległym końcu kontuaru, dostrzegł jednak, że za nowo przybyłym zamknięto drzwi na zasuwę przy podłodze. Napiął mięśnie, gotów się zerwać, ale nieznajomy, rozcierając dłonie w czarnych mitenkach, usiadł obok niego.

Barman znalazł drogę między rozkrzyczanymi biesiadnikami i postawił na stole drugi kufel porteru. Nie podnosząc głowy, starszy mężczyzna poczekał, aż biały fartuch zniknie, po czym chrapliwie przemówił:

- Znasz mnie?

- Tak - skinął głową Pace, aczkolwiek aż do tej chwili nie dał tego po sobie poznać. Dan Ryan był jednym z organizatorów ruchu oporu przeciwko Brytyjczykom. Nikt nie wiedział, jakie dokładnie miejsce zajmuje Ryan w hierarchii, a tylko garstka go widziała. Pace widział go dwukrotnie na tajnych zebraniach.

- Szukają cię, chłopcze - powiedział Ryan.

- Powtarzają to od długiego czasu.

- Ale teraz wiedzą, o kogo im chodzi. Jesteś człowiekiem naznaczonym.  
Wyrzaz twarzy MacNamary nie uległ zmianie.

- Doprawdy?

- Tak. Ostrzegano cię, ale nie słuchałeś. Dlatego przyszedłem osobiście.

- Nie powinien pan być się fatygować.

Wszyscy święci, pomyślał Dan przyglądając mu się uważnie, jak to nigdy nic nie wiadomo! Ten wygląda na dwadzieścia parę lat, jest zawodowym zabójcą, a wciąż ma twarz ministranta.

- Przynoszę ci rozkaz - powiedział. - Wyjeżdżasz z Irlandii.

Młodzieniec o czarnych kręconych włosach nie okazał żadnej reakcji, aczkolwiek Ryan niemal czuł, jak piętami zapiera się w podłogę.

- Podjąłem ryzyko - ciągnął - i przyszedłem tutaj, żeby uratować ci skórę. Musisz jechać. Martwy nie będziesz dla nas użyteczny, a oni nie pozwolą, żebyś został męczennikiem, jeśli

34

tak sobie myślisz. Po prostu znikniesz, wrzucą cię do morza z kulą w plecach.

Czekał na odpowiedź. Żałował, że stracą takiego strzelca wyborowego jak MacNamara, nigdy nie zawalił roboty, ale jeśli uda się go wydostać z kraju, to i tak pokonają wroga. Podniesie to morale chłopców, nawet najmniejsze zwycięstwo to powód do radości. Także staruszka matka kogoś takiego jak MacNamara nie będzie miała spokoju od informatorów, kiedy Brytyjczycy dokręcą śrubę, a jeśli go dostaną w swoje łapy, wielu innych przestraszy się i zacznie myśleć o powrocie na rodzinne gospodarstwo.

- Nie pojedę - odrzekł MacNamara. - Nie uda im się wygnać mnie z kraju.

Poczekajmy, aż Anglicy się uspokoją. Przez jakiś czas przycichnę.

- Za późno. Rozeszła się wieść, żeby na ciebie polować. Nie masz gdzie się ukryć. Nie możemy ich powstrzymać i nie możemy wystawiać na ryzyko naszych bezpiecznych domów. Jedziesz, to nieodwołalne. - Ryan położył dłoń na stole, by urwać dalszą kłótnię, i przesunął po blacie kawałek papieru. - Na dworze czekają na ciebie chłopcy. Dopilnują, żebyś cały i zdrowy dotarł na statek.

- Żebym na pewno tam poszedł, chce pan powiedzieć?

- Statek wypływa dzisiaj w nocy. Tutaj masz jego nazwę i nazwisko kapitana. Jeśli coś pójdzie nie tak i rozdzielisz się z chłopcami, idź dalej.

- Dzisiaj? Nie jadę dzisiaj. Rodzice... muszę się z nimi zobaczyć.

- Damy im znać. Ucieszą się na wieść, że jesteś bezpieczny. Wolałbyś raczej, żeby usłyszeli o twojej śmierci?

- Dokąd płynie ten statek?

- Tym popłyniesz z Dublina do Bristolu, stamtąd do Londynu, gdzie kapitan wsadzi cię na inny statek płynący do Nowej Południowej Walii. Kapitan to dobry człowiek, wszystko załatwi. Koszty rejsu zostaną pokryte i dopilnuje, żebyś miał pieniądze na własne wydatki.

- Nowa Południowa Walia! To na samym końcu świata. A poza tym rządzą tam Anglicy. Z deszczu wpadnę pod rynnę.

- Nieprawda! Będziesz tam wolny. Będziesz mógł spokojnie żyć.

Posłuchaj, synu, nie zapominamy, co dla nas zrobiłeś. Ten jeden raz możemy się zrewanżować. Większość naszych chłopców

35

nie ma nawet szans tego dożyć. Jeśli tu zostaniesz, umrzesz. Chcesz, żebym jeszcze kogoś powiadomił o twoim wyjeździe?

- Nie - odparł MacNamara z rezygnacją i smutkiem. Ryan przypomniał sobie atak, który skłonił Pace'a do przyłączenia się do ruchu. Brytyjscy żołnierze wpadli na Mary Street w Kildare, wywlekali rodziny z domów i zaczęli strzelać. Dwie kobiety zginęły od zabłąkanych pocisków, a jedną z nich była młoda żona Pace'a MacNamary. Chociaż Brytyjczycy nie mają o tym pojęcia, tego dnia sami sobie zrobili na złość, myślał Dan. Szkoda, że nigdy się nie dowiedzą, ilu swoich stracili z rąk pogrążonego w żałobie męża w odwecie za tamten atak. Dla ludzi pokroju MacNamary zemsta nie była słodka, za to nigdy się nie kończyła.

## CZEŚĆ CZWARTA.

Anglia, rok 1825.

## ROZDZIAŁ Piąty.

Wciśnięty w mroczny róg, gdzie na wysokość kostek walały się nieczystości, Jack nie potrafił się zdecydować, co jest gorsze: ohydny odór przeludnionej celi czy przenikliwy, niosący deszcz ze śniegiem wiatr, który wpadał przez otwarte zakratowane okienko. Stała przy nim wiedźma i pochlebstwami próbowała skłonić więźniów, żeby kupili od niej wyżebrane resztki. Jack trzymał głowę schyloną, w obawie że ktoś go rozpozna jako Jacka Wodrowa, sławnego rozbójnika. Na razie udało mu się uchodzić za Jacka Drew, oskarżonego o nie tak ciężkie wykroczenia. Przyglądał się ludziom, którzy mieli być jego towarzyszami podróży, zesłańcami do Nowej Południowej Walii, i zastanawiał się, dlaczego rząd zadaje sobie trud wywożenia takich nieszczęśników, z których część już i tak ledwo żyła.

Złoczyńcy, tak nazwał ich sędzia, rozśmieszając Jacka do łez. Większość tych nieboraków psuła opinię prawdziwym złoczyńcom, ukarano ich za



kradzież czegoś, co ledwo wystarczyło na przeżycie jednego dnia.

Przeklęte statki ze skazańcami i więzienia pełne były po brzegi śmieci ze slumsów i domów biedoty, rząd wydawał fortunę, wysyłając ich w obce kraje, zamiast wykorzystać fundusze na nakarmienie ich, bo przecież głód był źródłem wszelkich problemów.

Wśród więźniów rozeszła się wieść, że na pełnym morzu wyrzucą ich z pokładu, i bardziej podatni już szaleli ze strachu. Jack w to nie wierzył.

Posiadacze ziemscy, szlachta i pozostający na ich usługach sądowi pieczeniarze byli za głupi, żeby wymyślić takie rozwiązanie. Gdyby zależało to od Jacka, mógłby rozważyć taki czysty i łatwy sposób pozbycia się mętów. Zatrzymałby zdrowych,

37

resztę wrzucił do oceanu i krzyżyk na drogę. Jakiś więzień zatoczył się na niego w ciemności i Jack kopnął go z całej siły.

- Trzymaj z daleka ode mnie swoje wrzody - warknął.

Zabawiał się wybieraniem ludzi, których by zatrzymał, i tych, których skazałby na topiel. Gdyby znalazło się kilku osiłków, może byłaby szansa na przejęcie statku? Nigdy wcześniej nie był na morzu, ale wydało mu się to możliwe. Będzie musiał głębiej się nad tym zastanowić.

Teraźniejszość jednak stwarzała inne problemy. Jack był przekonany, że jego miejsce nie jest pomiędzy tymi nieszczęśnikami. Swoją karierę rozbójnika postrzegał wyłącznie w kategoriach biznesowych, jako odskocznię do lepszego życia. Nie był chciwy, dla bogatych kupców i podróżników, których okradał, strata sakiewki nie stanowiła większej różnicy. Przez lata był ostrożny, nikomu nie ufał, a potem los się odwrócił i nieszczęścia spadły na niego niczym lawina kamieni z wysokiej skały.

Zebrał znaczną fortunę w monetach, niemal wystarczającą na kupno tawerny i dostatnie życie, ale kiedy wyszedł z domu, i to na niecałą godzinę, złodziej włamał się do jego mieszkania i ukradł wszystkie oszczędności. Jego oszczędności! Jack Wodrow, Czarny Jack, został obrabowany! Gdyby kiedykolwiek dorwał tego drania... ale na to nie miał większej nadziei.

W rezultacie podwoił swoje wysiłki. Pewnego wieczoru na Birmingham Road okradany kupiec rzucił się na niego. Jack zamierzał tylko go odepchnąć, ale muskiet wypalił... Wciąż miał przed oczyma, jak zdumiony mężczyzna osuwa się na ziemię. Wodrow uciekł potem do Londynu, schronienie znajdując w ogródkach wokół Saint Giles. I znowu miał pecha.

Szedł do domu ciemnymi, mglistymi zaułkami, kiedy zobaczył pijanego dandysa wytaczającego się z domu rozpusty Minelli. Łatwa zdobycz. W jednej chwili Jack był przy nim i przeszukiwał kieszenie. Niestety, z burdelu wypadli przyjaciele dandysa i osaczyli Jacka. Oddali go w ręce strażnika jako Jacka Drew, bo takie nazwisko im podał. Ich wysokie, pełne afektacji głosy uratowały mu życie. Strażnik nie kwestionował informacji, które usłyszał z ust szlachetnie urodzonych młodzieńców, i Jacka wpisano na listę przestępców jako złodzieja, a nie bandytę poszukiwanego za morderstwo.

Mocniej otulił się płaszczem. Sędzia skazał go na zesłanie do Nowej Południowej Walii, co było lepsze od szubienicy.

38

Nazajutrz zaprowadzono ich do kuźni, gdzie kowal zakuł ich w łańcuchy. Więźniowie narzekali na rygle na kostkach, ale Jack sztywno szurał

stopami, siłą powstrzymując się od protestu. Rób, co ci każą, powiedział sobie, nie usłyszą słowa skargi od Jacka Drew, dopóki nie znajdzie się daleko od tych brzegów. Skutych w łańcuchy więźniów popędzono ulicą do rzeki i załadowano na barki.

Jack przysłuchiwał się toczonym wokół rozmowom. Padały w nich ciągle te same pytania:

- Jaki to będzie statek?

- Ile czasu potrwa rejs do Nowej Południowej Walii? Więzień, od którego Jacka dzieliło dwóch towarzyszy niedoli,

odpowiedział:

- Około czterech miesięcy. Jack był zszokowany.

- Skąd wiesz? - jęknął.

- Bo byłem w połowie drogi - wyjaśnił mężczyzna. - Pływałem w Marynarce Królewskiej.

- A gdzie jest połowa?

- Na Przylądku Dobrej Nadziei, na samym dole Afryki. Afryka? Słyszał o Afryce, o lwach i lampartach. Ciekawe, czy

w Nowej Południowej Walii też są lwy i lamparty. Umiał czytać, potrafił też trochę pisać, ale tego rodzaju wiadomości znajdowały się poza jego zasięgiem. Miał tysiące pytań, wolał jednak ukryć swoją ignorancję.

Postanowił, że będzie się trzymał marynarza. Może okazać się użyteczny.

Barka zawiozła skazańców do ujścia Tamizy i zacumowała przy molu, gdzie wypchnięto ich na brzeg. Dołączyło tam do nich kolejnych dwudziestu więźniów skutych ciężkimi łańcuchami; niektórzy byli wiotkimi kilkunastoletnimi chłopcami.

- Co zrobiłeś? - zapytał Jack jednego z nich. - Obrabowałeś Bank Anglii?

Pozostali więźniowie wybuchnęli śmiechem, za to Jacka na ziemię powalił cios pałką w kark. Padł na szorstkie deski mola, z twarzy połała mu się krew.

- Żadnych rozmów! - krzyknął strażnik.

Marynarz pomógł Jackowi wstać i podtrzymywał go, kiedy zdejmowano im łańcuchy, żeby mogli wsiąść do łodzi, którymi mieli dopłynąć do statku, stojącego na kotwicy przy ujściu rzeki.

- Dobrze się czujesz, bracie?

39

Jack jęknął.

- Chyba tak. Przez chwilę myślałem, że urwał mi głowę, drań jeden.

Cholernie dobre pożegnanie brudnych brzegów Anglii. Następne miejsce nie może być gorsze.

Pomimo przenikliwego wiatru wszyscy wyciągali głowy, żeby przyjrzeć się statkowi, wysokim masztom i złowieszczo szaremu niebu. Kiedy podskakiwali na wzburzonych falach, podmuch rzucił im w twarz kropelki wody, które marynarz natychmiast sobie roztarł. Jack poszedł w jego ślady, zmywając krew z policzków, ciesząc się świeżym dotykiem słonej wody na skórze. Marynarz uśmiechnął się do niego.

- O to chodzi, stary. Nigdy nie walcz z morzem, bierz wszystko, co się da. Szturchnął go w bok i Jack obejrzał się na więźniów, twarze niektórych już przybrały zieloną barwę.

Wdrapali się po sznurkowym trapie na pokład i zanim mieli okazję spojrzeć za siebie, przez właz wepchnięto ich do brzucha statku. Kiedy prawie setka więźniów znalazła się na dole, zatrzaśnięto za nimi ciężką drewnianą bramę. Jack został przy bramie. Słyszał wykrzykiwane rozkazy,

odpowiedzi załogi i trzepotanie wielkich żagli rozwijających się na wietrze. Usłyszał gładki szum wyciągarki i trzask kotwicy podnoszonej z dna. Statek wyruszył wraz z odpływem.

Odwrócił się do stojącego obok marynarza.

- Nazywam się Jack Drew. A ty?

- Scarpy. Mów do mnie Scarpy. Nie mogę pojąć, co oni tu wyprawiają.

Pryczy wystarczy tylko dla połowy. W marynarce niektórzy mieli hamaki, a inni wspólne koje, czasami było tak, że jeden spał, a zmiennik pracował, ale tutaj nie będziemy przecież pracować. Nie mieści mi się to w głowie. I popatrz... - pokazał Jackowi żelazne pierścienie przymocowane w regularnych odstępach do pryczy. - Popatrz na to. Do tej pory widziałem to tylko na statku do transportu niewolników.

Jack zmierzył wzrokiem pierścienie.

- Przykują nas do nich, dranie?

- Na to wygląda.

- Cholera, nie jesteśmy niewolnikami. Nie pozwolimy im na to.

- Niewiele będziemy mogli zrobić. - Scarpy poszukał w kieszeni i wyjął małe opakowanie sera. - Masz, poczęstuj się.

40

Jack wziął kawałek i zjadł z apetytem, zaskoczony, że ten człowiek dzieli się z nim, choć ma tak mało dla siebie.

- Ile dostałeś? - zapytał.

- Czternaście lat. Uderzyłem oficera. W marynarce wychłostali mnie i wyrzucili. Powinienem był się bardziej postarać. A ty?

- Ja? Dożywocie - odparł Jack z wyższością.

- Cztery miesiące w tej norze z brudną bandą niczym się nie różnią od

dożywocia - ostrzegł Scarpy. - A podobno mamy tu kilku rzeźników.

Jack z namysłem pokiwał głową. Nie przejmował się groźbą przemocy, sam potrafił o siebie zadbać, ale martwiły go te żelazne pierścienie. A jeśli statek zacznie tonąć? Po plecach przebiegł mu dreszcz strachu. Kto poświęci wtedy czas na uwolnienie więźniów? Oblał się potem. Na ostatniej pryczy siedziało czterech mężczyzn pograżonych w posępnym milczeniu.

- Kto to?

- Irlandczycy. Więźniowie polityczni - wyjaśnił Scarpy. Jack znowu na nich zerknął, starając się odgadnąć, jakiego rodzaju przestępstwa popełnili, że zostali uznani za więźniów politycznych. Wszyscy mieli jasne oczy i zdrowy wygląd. Wpisał ich na listę potencjalnych sprzymierzeńców, zastanawiając się, czy też zauważyli te pierścienie.

- Gdzie będziemy kimać? - zapytał Scarpy'ego.

- Najlepiej koło wjazdu. Będzie trochę świeżego powietrza i widok na morze.

- Ale woda się może dostać do środka. Scarpy roześmiał się.

- Za jakiś czas będziesz się z tego cieszył.

- Dobra, w takim razie zrzucimy te wróble z grzęd. - Jack podszedł do pryczy i ściągnął na podłogę trzech młodzików i staruszka.

- Aj! - wrzasnął na niego zezowaty człowieczek. - Oni tu byli pierwsi.

- Zamknij gębę, szcurza mordo - poradził mu Jack. Scarpy przeciskał się między pryczami.

- Na rany Chrystusa, udusimy się tutaj. Widziałem, jak konie podróżowały w lepszych warunkach.

## CZEŚĆ PIĄTA.

Rejs „Emmy Jane”.

### ROZDZIAŁ Szósty.

„Emma Jane” była solidnym osiemsettonowym statkiem z ożaglowaniem rejowym, który wiele lat pływał pod banderą Kompanii

Wschodnioindyjskiej, a teraz trafił do nowego właściciela, firmy W&A Stuart and Company z Londynu, która była filią sławnego armatora z Aberdeen, Stuart Shipping Linę.

Zakupiwszy „Emmę Jane”, firma zdołała też zapewnić sobie usługi kapitana Hectora Millbanka, aczkolwiek wymagało to niejakich perswazji. Millbank, znakomity nawigator, spędził całe życie na morzu, a zaczynał jako majtek na statkach jego królewskiej mości. Żeglował po Morzu Chińskim i wiele razy opływał przylądek Horn, co jednak z punktu widzenia nowych właścicieli było znacznie ważniejsze, dwukrotnie odbył rejs do Sydney po niebezpiecznych wodach wokół Ziemi van Diemena, gdzie rozbijało się wiele dobrych statków.

Kiedy Millbank usłyszał, że w pierwszym rejsie pod ich banderą nie będzie przewoził towarów, ale transportował więźniów do kolonii karnej w Nowej Południowej Walii, był oburzony. Silnie zbudowany, z czarnymi włosami siwiejącymi na skroniach i schludnie przystrzyżoną brodą, Millbank w każdym calu wyglądał na wilka morskiego. Przenikliwymi oczami przewiercał braci Stuartów, jakby byli młodszymi oficerami na statku, a nie pracodawcami. Jego donośny głos słychać było w całym budynku.

Jednakże Walter Stuart przewidział taką reakcję. Spotkanie było z rozmysłem zaplanowane jako nieoficjalne, przy butelce najlepszej

szkockiej whisky. Czekał, aż jego brat Angus ułagodzi kapitana; przyznawał, że istotnie wiele od niego żądają, że zmiana statku handlowego w transportujący więźniów jest dość radykalna,

43

ale równocześnie zwracał uwagę, że chociaż będzie przewoził skazańców, to przecież zabierze tych ludzi w miejsce, gdzie po odbyciu kary będą mogli prowadzić normalne życie w kolonii. Wielu już tak zrobiło.

- Mowa tutaj o „Emmie Jane” - odparł Millbank. - Nie zgodzę się, żeby zmieniono ją w statek dla więźniów!

Ponieważ bracia potrzebowali kapitana, unikali oczywistej odpowiedzi, że tego rodzaju kwestie rozstrzygać może jedynie armator. Walter wiedział, że Millbank cieszy się opinią odpowiedzialnego kapitana, który swoją załogę traktuje sprawiedliwie. W niczym nie przypominał niektórych tyranów żeglujących po morzach południowych i Walter miał nadzieję, że ten rys współczucia w końcu weźmie górę.

- To nie myśl o statku transportującym więźniów budzi mój niepokój - powiedział. - Tych ludzi przewozi się wbrew ich woli, tak więc do nas należy obowiązek dopilnowania, by statki były solidne i prowadzone przez doświadczonych kapitanów. Nie muszę panu mówić, że wiele tych rejsów skończyło się tragicznie. Niekompetentne dowództwo przyniosło skutek w postaci wysokiego poziomu śmiertelności wśród więźniów. - Teraz Millbank słuchał go z uwagą. - Nie rozumie pan, kapitanie, że „Emma Jane” musi mieć odpowiedzialnego dowódcę, takiego, który posiada rozległą wiedzę o tamtych morzach.

Dodał, że na pokładzie znajdują się też pasażerowie płacący za rejs, choć będzie ich tylko kilkoro. Wreszcie osiągnęli porozumienie i Millbank



niepokoił się głównie o to, czy dostanie wystarczające zapasy. Walter odparł, że nie będą oszczędzać, żeby spełnić wymagania kapitana. Kapitan doczekał się pewnej satysfakcji. Nowi właściciele przeprowadzą remont generalny „Emmy Jane”, którego domagał się od lat. Rząd brytyjski zgodnie z warunkami kontraktu zawartego ze Stuartami zgodził się ponieść koszty koniecznych napraw.

Na kilka dni przed wyjściem w morze Millbank wkroczył na pokład „Emmy Jane”; planowany rejs wciąż budził w nim złe przeczucia, ale dał słowo. Widok kwater dla więźniów był dla niego wstrząsem. Cieśle zamienili je w labirynt drewnianych półek.

- Co wy wyprawiacie! - krzyknął. - Przecież tutaj nie pomieści się dziewięćdziesiąt ludzi!

44

Każda prycza oddzielona była od sąsiednich przybitymi na krzyż deszczułkami, co nadawało im wygląd szufladek.

- Pomieszczą się, kapitanie - odparł brygadzysta. - Pracujemy według specyfikacji. Czterech na jedną pryczę, ułożonych na przemian, głowa przy stopach. Będzie dobrze.

Pierwszy oficer Palmerston, który od wielu lat żeglował pod komendą Millbanka, podzielał posępny nastrój kapitana.

- Po jednym dniu będzie tu szambo - powiedział - ale nic nie możemy na to poradzić.

- Wręcz przeciwnie - zaproponował Millbank. - Na pełnym morzu będziemy wyprowadzać ich na pokład, żeby odetchnęli świeżym powietrzem, a niektórym przydzielimy pracę.

Kiedy wszakże obserwował więźniów wchodzących na pokład, nie był już

tego taki pewien. To byli nieszczęśnicy, szaleńcy toczący wokół dzikim wzrokiem. Inaczej teraz myślał o puszczeniu ich wolno po statku. Zszedł do swojej kajuty planując, że na Wyspach Kanaryjskich załaduje dodatkowe zapasy, dzięki czemu będą mogli ominąć Przylądek Dobrej Nadziei i z wiatrem przemierzyć morza południowe. Każdy oszczędzony dzień oznaczał skrócenie udręk skutych mężczyzn gnieźdzących się pod pokładem, nie miało więc sensu marnować czasu w Kapsztadzie. Wywołała to skargi pasażerów i załogi, ale odpowiadał za wszystkich obecnych na statku.

Pasażerowie... dzięki Bogu było ich tylko pięcioro, nie licząc lekarza i jego żony. Jedna podwójna kajuta pozostała pusta. Rezerwację odwołano, kiedy potencjalni pasażerowie dowiedzieli się, że „Emma Jane” transportuje skazańców. Z punktu widzenia Millbanka nie mogło stać się lepiej. Wykorzystała tę kajutę na izbę chorych.

Nim wydał rozkaz odbicia od brzegu, dokonał pierwszego wpisu w dzienniku pokładowym:

Statek w dobrym stanie. Oficerowie i załoga w komplecie. Doktor Brooks i jego żona obecni na pokładzie. Pięcioro pasażerów: jaśnie pan Jasin Heselwood z żoną, Pace MacNamara, Dermott Forrest z żoną. To będzie trudny rejs. Módlmy się o pomyślne wiatry.

Kiedy statek ruszył w stronę kanału La Manche, więźniowie zaczęli z wrzaskiem i szlochami rzucać się na bramę, ale stojący z drugiej strony dwaj strażnicy kompletnie ich zignorowali. Myśleli o tym,

45

że na końcu tej podróży dołączą do swego regimentu w odległej kolonii, gdzie czekają ich przygody oraz - taką mieli nadzieję - awans.

Z pistoletami w dłoniach słuchali szumu fal. Zatrudnienie w roli strażników więziennych na czas rejsu wydawało im się lekką pracą, sposobem na zabicie czasu do chwili zejścia na ląd w Sydney i podjęcia obowiązków wojskowych.

Żołnierzy szkolili oficerowie, którzy brali udział w wojnach w Europie albo na egzotycznym Wschodzie, dlatego niecierpliwie wyczekiwali romantycznego życia i heroiczych czynów ku chwale imperium brytyjskiego. Nie mieli pojęcia o warunkach panujących w Nowej Południowej Walii, do głowy im nie przyszło, że będą tam strażnikami pilnującymi więźniów, ścigającymi uciekinierów i patrolującymi granice, a sami więźniowie staną się żołnierzami walczącymi na pierwszej linii frontu na granicach Nowej Południowej Walii, za swoje wysiłki otrzymując tylko wyżywienie i nic za umiejętności walki.

Im bardziej na północ przesuwali się osadnicy, tym niebezpieczniejsze stawały się ich wyprawy, ale oni dostrzegali jedynie rozległe pastwiska. Nie potrafili pojąć, że częścią aborygeńskiej kultury jest zakaz niepokojenia ziemi, którą tubylcy zamieszkiwali od tysięcy lat; powszechnie sądzono, iż mieszkańcy tego kraju to nomadowie, nie wysuwający żadnych roszczeń terytorialnych.

W czasie kiedy „Emma Jane” opuściła wody kanału La Manche i wzięła kurs na południe, aborygeńskie plemiona północnych krain położonych ponad tysiąc mil od najdalszych granic Nowej Południowej Walii nigdy nie widziały białego człowieka. Byli to gwałtowni i silni ludzie, zadowoleni z życia według ustalonych od wieków praw, ich spokój jednak zburzyli plemienni posłańcy, którzy pokonywali długie szlaki kupieckie wiodące dokoła całego kontynentu, przynosząc wieść o białych

najeźdźcach naruszających granice, co było największą ze wszystkich zbrodni. Z głębokim smutkiem słuchali historii o śmierci czarnych w południowych krainach i płakali nad losem plemion, które straciły swoje terytoria. Gdy zwołano wielką naradę poświęconą tej tragedii, przybyły na nią ludy z całej północy: Tiwi, Tingum, Kabis, Mandanggia i Kungai, plemię Banjin z wyspy, mierzący sześć stóp wzrostu ludzie Keramai z pomalowanymi na czerwono i żółto muszlami na szyjach oraz ogromnymi włóczyniami i miotaczami włóczni,

46

Newegi ze swoją niebezpieczną bronią z twardego drewna, Kalkadoon, Mijamba i Wannamara, i nawet krwiożerczy Kebishus ze swoich wysp daleko na północy wysłali handlarzy, żeby wymienili perły na kamienne tomahawki. Przybyło wielu innych, z gór, z krainy nad cieśniną, z pustyni, a po powrocie do domu przygotowali się i czekali. Nie dadzą się zaskoczyć jak łagodne plemiona z południa.

Tymczasem nieświadomi niczego biali zajmowali coraz większą część kraju, sprowadzając kobiety, dzieci i stada. Martwili się zaskakującymi suszami, psami dingo zabijającymi owce, powodziami i pożarami, marzyli o złocie i zupełnie ignorowali właścicieli tej ziemi. A pasażerowie „Emmy Jane”, skuci pod pokładem albo przebywający w wygodnym salonie, płynęli na wojnę, o której rzadko wspominają podręczniki historii, a która ma swoją nazwę: wojna czarnych.

ROZDZIAŁ Siódmy.

Późnym popołudniem pierwszego dnia na morzu otwarto bramę i wszystkich więźniów wyprowadzono na pokład. Uzbrojeni członkowie załogi obserwowali, jak pierwszy oficer Palmerston zapoznaje skazańców

z życiem na statku.

Roley Palmerston miał krągłą sylwetkę, rumianą twarz rozjaśnioną szerokim uśmiechem i jowialny sposób bycia, który zadawał kłam jego prawdziwej naturze. Syn walijskiego górnika był twardym, surowym mężczyzną, budzącym postrach wśród marynarzy, z których wielu gotowych było opuścić statek, gdyby Millbank przestał być kapitanem. Więźniów jednego po drugim rozbierano do naga i kierowano na nich wąż z wodą morską. Strumień podciął im nogi i padli na pokład w płątanie białych rąk, nóg i pośladków. Załoga rubasznym śmiechem przywitała tę nieoczekiwaną rozrywkę.

Jack Drew był w pierwszej zmianie. Kiedy przestano ich polewać, pobiegł po swoje ubranie.

Drogę zastąpił mu marynarz.

- Zostaw te brudne łachy. Nie chcemy pcheł na naszym statku. - I całość powędrowała za pokład.

47

Jackowi wręczono szorstki ręcznik, kawałek mydła, koszulę, spodnie i płócienne buty.

- To na długo nie wystarczy - burknął oglądając cienkie podeszwy.

Marynarz uśmiechnął się ironicznie.

- Płyniesz, a nie idziesz, szanowny panie. Ubieraj się.

Na dole Jack zobaczył, że przez żelazne pierścienie przewleczono długi łańcuch, z którego złowieszczo zwisały krótsze.

- Stańcie rzędem - rozkazał strażnik. Kiedy wykonali polecenie, każdego przykuto do pryczy.

- A jeśli statek zatoni i my będziemy przykuci? - jęknął któryś z

więźniów, ale strażnik tylko się roześmiał.

- Co za różnica? Przecież i tak nie umiesz pływać!

Jack pałał gniewem, kiedy przypinano mu łańcuch do kostki. Nic nie mógł na to poradzić, ale w jego sercu płonęła żądza mordy.

Przez całą noc leżał w ciemności, słuchając szumu fal, jęków, westchnień, odgłosów wymiotowania towarzyszy niedoli; jego wściekłość potęgowała z chwili na chwilę. Wyznaczono cenę na jego głowę za zastrzelenie tego tłustego kupca, teraz jednak żałował, że nie zabił każdej ze swych ofiar, wiedziałby przynajmniej, dlaczego tak cierpi.

Głowa mu pękała z bólu, a parobek obok niego chrapał.

- Obudź się. - Potrząsnął nim. - Karczma się pali! Chłopak poderwał się jak wystrzelony z procy.

- Co? Co się dzieje?

- Ty - burknął Jack - przestań chrapać, do diabła!

- Może i chrapię, ale ty rzucasz się przez całą noc jak baba w bólach porodowych.

Przed pierwszym świtem więźniowie, szcękając łańcuchami, przeciągnęli zeszywniałe członki i ustawili się do kubłów na nieczystości.

Jack usiadł i odrzucił koc. W ustach miał sucho, pierwszy oddech nappełnił mu nozdrza odorem ludzkich ekskrementów.

- Jezu miłosierny! - krzyknął i splunął, jakby chciał się uwolnić od tego posmaku. Zwinął koc, żeby nie dotykał podłogi, po której strumieniami płynęła uryna. W nocy mężczyźni oddawali mocz koło prycz z lenistwa albo ze strachu, że obudzą innych, kiedy będą szukać kubłów, inni zaś dodali do moczu rzygowiny.

Brama się otworzyła i wszedł kapitan. Nie potrafił ukryć grymasu odrazy z powodu duszącego smrodu.

- Uroczo, nie? - krzyknął Drew. Przyłączyli się inni, rzucając obelgi.

Strażnicy wycelowali pistolety, gotowi do strzału.

- Jestem kapitan Millbank - oznajmił i poczekał, aż pomruk gniewu przetoczy się po drewnianych katakumbach, w których tłoczyły się istoty ludzkie. - Po raz pierwszy „Emma Jane” transportuje więźniów...

- Dla nas to też pierwszy raz! - zawołał ktoś. Odpowiedział mu rehotliwy śmiech.

- Zrobię co w mojej mocy, żeby wam pomóc - ciągnął Millbank zaskoczony, że odór tych nieszczęśników przytłumił współczucie dla nich. Śpieszył się, żeby jak najszybciej stąd wyjść. - Proponuję zdjąć wam łańcuchy, skoro jesteśmy na pełnym morzu...

Więźniowie zagrzechotali żelastwem, ucieszeni z tego ustępstwa, ale na Jacku nie zrobiło ono wrażenia.

- A dlaczego miałby pan tego nie robić? - ryknął. - Nie jesteśmy przeklętymi niewolnikami!

I natychmiast nastrój uległ zmianie, skazańcy znowu burzeli niezadowoleni, ale Millbank się nie ugiął, mówił pomimo hałasu, aż ciekawość kazała im się uciszyć.

- Wystarczy, że jeden więzień złamie regulamin, a wszyscy zostaną na powrót zakuci na czterdzieści osiem godzin. Przy dobrej pogodzie będziecie wyprowadzani na pokład na czas sprzątanania kwatery. Zażyjecie ruchu i świeżego powietrza. Dostaniecie te same posiłki co moja załoga. Musicie codziennie pić sok z cytryny, żeby nie nabawić się poważnej choroby zwanej skorbutem.

- Już mamy chorych, kapitanie! - zawołał Scarpy. - Co z nimi? - Zupełnie się nie przejmował. Po raz pierwszy w życiu ośmielił się podnieść głos na kapitana statku, ale uznał, że teraz nie ma nic do stracenia.

Millbank zamierzał mówić dalej, ale odór okazał się nie do zniesienia.

Pytanie dało mu pretekst do wyjścia.

Oczyściwszy płuca zatrzymał Williama, młodego stewarda.

- Powiedz doktorowi Brookswi, że chcę się z nim widzieć w mojej kajucie.

- Nie wydaje mi się, żeby doktor już wstał - odparł William.

49

- Więc go obudź. Dzisiaj wszyscy muszą być na pokładzie - polecił kapitan. - I to nie jest niedomówienie - mruknął pod nosem, idąc do swojej kajuty. Dopiero teraz zaczynało świtać mu w głowie, ile dodatkowej pracy wymagać będą skazańcy.

Wiatr był dość silny, pięknie wypełniał żagle. Dobry początek, aczkolwiek obecność więźniów gryzła kapitana. Będzie musiał trzymać ich silną ręką, byli niebezpieczni, a sądząc z wyglądu, niektórzy to prawdziwe rzezimieszki. Millbank westchnął. Nie miał jeszcze czasu pomyśleć o pasażerach.

Doktor Brooks zapukał w otwarte drzwi.

Godność, jaka emanowała z jego sylwetki pomimo lekkiego zgarbienia ramion, pozwoliła Millbankowi wierzyć, że doktor będzie miłym towarzyszem w czasie rejsu.

- Życzył pan sobie widzieć ze mną, kapitanie? - zapytał Brooks, w jednej dłoni ściskając prosty płaszcz, drugą niepewnie chwytając się krzesła.

- Tak, doktorze, proszę siadać. Wciąż nie czuje się pan najlepiej, co?



- Lepiej dzisiaj niż wczoraj. - Brooks uśmiechnął się blado. - I chyba jutro będzie lepiej niż dzisiaj.

- Tak trzymać, a rejs sprawi panu przyjemność. Pływał pan wcześniej?

- Niestety, to mój pierwszy raz. Wydaje mi się, że nogi mam z gumy.

Kapitan się roześmiał.

- Cóż, mam nadzieję, że nie obciążę pana nadmiernie zajęciami. -

Zauważył zdziwione mrugnięcie za okularami w rogowej oprawie, mówił jednak dalej: - Już czekają na pana pacjenci. Z przykrością muszę stwierdzić, że wśród skazańców.

Ponieważ doktor wydawał się zaskoczony, Millbank uznał, że winien jest mu wyjaśnienie.

- Nie byli w najlepszym stanie, kiedy ich zaokrętowano, i niektórzy już w porcie zapadli na chorobę morską...

Brooks nie krył zdenerwowania.

- To jakieś nieporozumienie! Nie jestem doktorem medycyny!

Millbankowi zabrakło tchu. Zaczął grzebać w papierach na biurku, aż znalazł dokument, którego szukał.

50

- Mam tu napisane „Dr Brooks”. Właściciele statku, bracia Stuartowie, zapewnili mnie, że jest pan lekarzem. Pan i pańska żona płyną na koszt armatora. Kto, jeśli nie lekarz, może spodziewać się bezpłatnego rejsu? Pytam pana!

Twarz Brooksa poczerwieniała.

- Przykro mi, kapitanie - zdołał wreszcie wyjąkać. - Zaszła pomyłka.

Jestem doktorem astronomii. Wykładam na uniwersytecie w Edynburgu.

- Dobry Boże! - wybuchnął kapitan. - A bracia Stuartowie dali panu

bezpłatny rejs, bo byli przekonani, że jest pan lekarzem! Jak panu się to udało? Nie musiał pan okazać im dyplomu? Zdaje pan sobie sprawę, że wystawił pan na niebezpieczeństwo wszystkich obecnych na tym statku?

- Kapitanie - odrzekł Brooks spokojnie - byłbym wdzięczny, gdyby mógł mnie pan wysłuchać. - Zamilkł czekając, aż gniew Millbanka ustąpi.

Kapitan zakaszłał.

- Proszę mówić.

- Kiedy załatwiałem formalności związane z rejsem, ani razu nie wspomniano, że powinienem przyjąć funkcję lekarza okrętowego.

Zapewniam pana, kapitanie, że protestowałbym niezwykle gorąco. To groteskowe. Musi mi pan uwierzyć. W żadnym razie nie chciałbym, żeby pan sądził, iż podstępem znalazłem się na tym statku. W rzeczywistości zaprosił mnie gubernator Nowej Południowej Walii, pan Brisbane.

Interesuje go bardzo astronomia, a ponieważ niebo półkuli południowej od dawna mnie intryguje, z radością się zgodziłem. Gubernator był taki uprzejmy, że zaprosił także moją żonę. Zamieszkamy w rezydencji rządowej, dopóki nie znajdziemy odpowiedniego mieszkania. Jeśli pan sobie życzy, natychmiast pójde do kajuty i przyniosę korespondencję od gubernatora Brisbane'a.

Przyjrzał się uważnie twarzy Millbanka, szukając jakiejś reakcji, ale spotkał się tylko z zimnym spojrzeniem.

- Poza tym, kapitanie, choć może wydaje się to panu przysługą ze strony armatora, jestem przekonany, że na tym nie stracą. Nie wyobrażam sobie, żeby Stuartowie rozdawali darmowe bilety w jedną stronę, zwłaszcza na prośbę jego ekscelencji gubernatora.

- Nie, to prawda - potwierdził Millbank ponuro. Przedstawiwszy swoje

wyjaśnienia, Brooks wyjął ogromną białą chustkę i wytarł twarz. Był łagodnie usposobionym człowiekiem

51

i szedł przez życie unikając konfrontacji. Poprawił się niespokojnie na krześle. Pragnął wyjść, ale brakowało mu odwagi, żeby wstać i opuścić kajutę kapitana.

- Przekłęci skąpcy - mruknął Millbank. - Wie pan, co się stało? Te szkockie dranie myślały, że dostaną dwie rzeczy w cenie jednej. Zobaczyli tytuł przy pańskim nazwisku i pomyśleli, że skoro na pokładzie jest już jeden doktor, to po co wysyłać drugiego?

- Chyba tak - szepnął Brooks.

- Cóż więc zrobimy? - warknął Millbank, a pasażer, nie mając pojęcia, patrzył na niego w milczeniu. - W żadnym razie nikt nie może się o tym dowiedzieć - ciągnął kapitan. - Doktorze Brooks, dopóki nie dopłyniemy do Port Jackson, jest pan doktorem medycyny, a astronomia to tylko pańskie hobby. Rozumie pan?

- Tak, kapitanie, rozumiem pańską intencję, aczkolwiek to się może nie udać. Co będzie, jeśli wezwą mnie do chorego?

- Pójdzie pan. Jest pan inteligentnym człowiekiem, we dwóch znajdziemy jakieś rozwiązanie.

- Z przyjemnością pomogę, jeśli potrafię, ale gdyby potrzebna była operacja?

- Pozostaje nam się modlić - odrzekł Millbank.

- Muszę powiadomić żonę o swoim nowym statusie. - Na twarzy Brooksa wciąż malowało się niedowierzanie.

- Oczywiście - zgodził się Millbank. - Należy wtajemniczyć pańską żonę.

Jakoś sobie poradzimy. Miałem lekarzy na pokładzie, którzy nie odróżniali karku od kolana, i takich, którzy nie widzieli nic poza dnem butelki z rumem. Jestem panu wdzięczny, sir, i przepraszam, że wyciągnąłem pochopne wnioski.

Wieczorem kapitan ubrał się z wielką starannością. Czekał ich długi i trudny rejs, Millbank chciał, żeby pasażerowie byli zadowoleni. Miał nadzieję, że przynajmniej niektórzy z nich będą się dobrze bawić. Przyciął brodę i wąsy, usunął krzaczaste wioski z nozdrzy, po czym cofnął się, by sprawdzić rezultaty swoich poczynań, złapał się jednak na tym, że znowu myśli o pasażerach.

Wielmożny pan Jasin Heselwood może sprawiać kłopoty. Wpatrując się w lustro, kapitan przywołał przed oczy postać Heselwooda.

52

Był to przystojny dżentelmen, wysoki i szczupły, z dość długimi jasnymi włosami rozdzielonymi z boku głowy i spadającymi na lewe oko, co nadawało mu zawadiacki wygląd, który zdaniem Millbanka nie do końca mijał się z prawdą.

Kapitan zawsze dbał, żeby powitać pasażerów, kiedy wchodzili na pokład; Heselwood wydawał się sympatyczny, troskliwy wobec żony, ładnej, kosztownie ubranej kobiety, którą bardziej zajmowały w tamtej chwili bagaże. Ta para miała tyle kufrów i sprzętów, w tym także fortepian, że wystarczyłoby dla całej wioski. Bosman uznał, że najlepszym miejscem dla fortepianu będzie salon. Trzeba było wezwać cieśli, żeby zrobili przejście.

Na pokładzie były tylko trzy kobiety i kapitan miał nadzieję, że dobrze się będzie między nimi układać. Był przekonany, że pani Heselwood i pani

Brooks polubią się od razu, liczył też, że przymkną oko na niedostatki pani Forrest.

Dermott Forrest był szewcem z Norwich, który ruszał na zdobycie fortuny w Sydney. Jego żona, pulchna i niewysoka kobieta z ładnymi brązowymi lokami wysypującymi się spod ogromnego niebieskiego czepka, już opowiedziała kapitanowi o planach, taki entuzjazm budziło w niej to wielkie przedsięwzięcie. Pomyślał, że jest strasznie gadatliwa, ale właśnie pogody ducha będą potrzebowali najbardziej w najbliższych miesiącach. William przyniósł starannie odprasowaną granatową marynarkę z błyszczącymi złotymi guzikami.

- Pasażerowie już się zebrali? - zapytał kapitan.

- Tak jest, sir, ta czwórka, której nie zmogła choroba. Pani Heselwood, doktor Brooks i pan Forrest nie czują się dobrze.

- Do diaska!

Na dobry początek polecił kucharzowi przygotować specjalny posiłek z czterech dań.

- No trudno. Nic nie można na to poradzić. Powiedz w kambuzie, że dania mają być gorące, bez nadmiaru tłuszczu. A teraz zmykaj.

Kiedy wszedł do sali jadalnej, Jasin Heselwood wyjaśniał powody nieobecności swojej żony.

- Mai de mer! Moja biedna żona bardzo cierpi, a w kajucie panuje straszna duchota. Człowiek się zastanawia, jak przetrwa w tropikach. Ach, kapitan! Jak rejs? Czy morze się uspokoi?

- Jest dostatecznie spokojne, panie Heselwood. Gdyby było zbyt spokojne, wpadlibyśmy w ciszę morską. - Kapitan zwrócił

się do pani Brooks. - Jestem rozczarowany. Miałem nadzieję, że doktor Brooks przyłączy się do nas dzisiaj wieczorem.

Dosłyszała nacisk, z jakim wypowiedział słowo „doktor”, i uśmiechnęła się nieznacznie.

- Tak, to wielka szkoda, ale na wszelki wypadek mąż zdecydował, że poprzestanie tylko na herbacie i biszkoptach.

Kapitan posadził po obu swoich stronach u szczytu stołu panią Brooks i panią Forrest, obok której miejsce zajął Heselwood.

- Nie ma sensu zostawiać wolnych krzeseł - powiedział.

- Stół wygląda wtedy jak podczas stypy po pochówku nieodżałowanego nieboszczyka.

MacNamara, czwarty pasażer, który odważył się zjeść pierwszą kolację na morzu, usiadł obok pani Brooks. Millbank uśmiechnął się do nielicznego grona.

- Mam nadzieję, że pozostali szybko przyzwyczają się do kołysania, zawsze przyjemnie jest spotykać się ze wszystkimi pasażerami przy kolacji.

Heselwood nachylił się nad stołem.

- Proszę mi powiedzieć, kapitanie, co będzie, jeśli jednak nie przyzwyczają się do kołysania? Jeśli choroba morska nie ustąpi?

- To zdarza się niezwykle rzadko, ale w takim wypadku pasażer musi rozważyć przerwanie rejsu. Choroba morska bywa osłabiająca i dla niektórych jedynym lekarstwem jest stały ląd.

Pani Forrest głośno westchnęła. Nie wyglądała zbyt dobrze, Millbank jednak zdecydował nie zwracać na nią uwagi pozostałych.

- Pani dobrze znosi rejs, pani Brooks?

- Tak. Nigdy nie czułam się lepiej. Niewykluczone, że odpowiada mi życie na morzu.

Pani Forrest uniosła głowę.

- Mój mąż bardzo żałuje, że nie może wziąć udziału w pierwszej kolacji. Nie spodziewał się, że będzie cierpiał na chorobę morską. Ale przesyła wszystkim pozdrowienia.

- Proszę podziękować panu Forrestowi za jego uprzejmość

- odrzekł kapitan, ruchem głowy dając znać Williamowi, że czas podawać.

Pani Forrest powiedziała, że jadą do brata Dermotta w Sydney, a Millbank domyślał się, że to były skazaniec, ponieważ oboje państwo Forrestowie nie wyjaśnili, w jaki sposób się

54

tam znalazł. Życzył im jednak szczęścia, rzemieślnicy są potrzebni w Nowej Południowej Walii, powinno im się powieść.

Pani Forrest zaczęła wrzucać kawałki chleba do zupy, kapitan zwrócił się więc do Irlandczyka.

- Panu nie przeszkadzają fale? Może wcześniej już pan żeglował?

- Nie - mruknął MacNamara.

Millbanka intrygował MacNamara, przystojny w typowy dla Irlandczyków sposób, z gładką skórą i łagodnymi piwnymi oczami, ale wymizerowany, z wychudłą twarzą. A w takim razie jak mógł sobie pozwolić na podróż w kajucie? Były statki, które przewoziły irlandzkich emigrantów pod pokładem za znacznie niższą opłatą. Ten młodzieniec przybył na trap „Emmy Jane” z kilkoma tylko rzeczami w węzełku, jakby poza domem zamierzał spędzić noc, a nie wiele lat.

- Skąd pan pochodzi, panie MacNamara? - zapytał kapitan.

- Ach, z hrabstwa Curragh, sir - odparł Irlandczyk zaskoczony, całą uwagę bowiem skupił na posiłku. Millbank usłyszał wahanie, nutę podejrzliwości w głosie, jakby rozmowa o pochodzeniu mogła nie być bezpieczna, i domyślił się powodu.

Pani Forrest, która jadła z otwartymi ustami, przestała żuć.

- Kapitanie, nie przedstawił mi pan tego dżentelmena.

- Proszę o wybaczenie, madame. Pozwoli pani, to pan Pace MacNamara.

A ta młoda dama to pani Dermottowa Forrest.

Irlandczyk skłonił się, nie podnosząc głowy. Millbank dostrzegł grymas na twarzy Heselwooda, pośpiesznie więc dodał:

- Czy poznała pani pozostałych pasażerów, pani Forrest? Naszych nieobecnych przyjaciół?

- Jeszcze nie, a przyznam, że jestem ich ciekawa, skoro przez wiele miesięcy będziemy razem podróżować.

- W takim razie dodam, że doktor Brooks niedługo do nas dołączy, a także żona pana Heselwooda. Zapraszam wszystkich do korzystania z salonu. To miła odmiana po kajucie. - Następnie wyjaśnił procedury obowiązujące na statku, obowiązki stewarda Williama i inne kwestie.

Jasin Heselwood słuchał w milczeniu, zbulwersowany informacją, że podróżuje na statku transportującym skazańców. Dla niego, wielmożnego pana Jasina Heselwooda, dżentelmena, zniewagą był statek, nieobyty stary kapitan, obrzydliwa jadalnia

55

z wypaczoną podłogą, zatechłymi szmatami, które uchodziły za zasłony, i ohydny jedzeniem. Odór dolatujący z kwatery więźniów już był intensywny, jednakże takich kwestii nie omawia się przy kolacji, nie



wspominając o obecności dam, choć mało były dystyngowane, przysiągł wszakże w duchu, że pogada z kapitanem przy najbliższej sposobności. A towarzystwo! Forrestowie byli zwykłymi rzemieślnikami i jeszcze ten pospolity Irlandczyk! Georgina nie przyjmie miło takich znajomości. Następných kilka miesięcy zapowiadało się na koszmar, nie, prawdziwe piekło! Heselwood pożałował nagłej decyzji o ucieczce przed wierzycielami do Nowej Południowej Walii. Powinien był to dogłębniej rozważyć.

Jednakże szkoda już się stała; przynajmniej ma w perspektywie spotkanie z przyjacielem, Johnem Hortonem, któremu według wszelkich znaków na niebie i ziemi doskonale się wiodło w Sydney.

Kiedy skończyli deser, na który podano ciężki pudding zalany słodkim sosem, twarz siedzącej obok niego kobiety przybrała barwę zupy z groszku.

Nim Milly Forrest dźwignęła się z krzesła, Jasin już skoczył na nogi.

Kapitan wezwał Williama, by pomógł damie wyjść, jednakże galanteria Jasina prawie ją uleczyła. Ze spuszczonego wzrokiem opierała się ciężko o jego ramię, póki nie przekazał jej stewardowi.

- Bardzo panu dziękuję, drogi panie Heselwood - zdołała wyjąkać, nim nudności zaczęły wzbierać jej w gardle, zmuszając do zaciśnięcia szczęki. Prowadzona przez Williama, opuściła salę jadalną.

Kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Jasin oparł się o nie i wybuchnął śmiechem.

- Mój Boże! Nie sądziłem, że uda jej się wyjść. Z każdym kęsem robiła się bardziej zielona.

- Biedna pani Forrest - odezwała się pani Brooks.

- Wcale nie biedna! Jadła jak świnia. To cud, że tak długo wytrzymała. Ale czego można oczekiwać od zwykłych rzemieślników? Słyszałem, że Nowa Południowa Walia jest ich pełna. Udają tam lepiej urodzonych, niż są.

Adelaide poczuła rozczarowanie. Pan Heselwood przez cały wieczór był taki uroczy, a teraz psuł to wrażenie szyderczymi uwagami. Uznała, że musi zaoponować.

56

- Mój mąż mówi, że kolonia opiera się na rzemieślnikach.

- Doprawdy? Boże broń! Ale co doktor może wiedzieć o zarządzaniu kolonią? O kontrolowaniu populacji więźniów i markietanek?

Zarumieniła się i zacisnęła dłoń na chusteczce. Nie spodziewała się, że tak ostro zareaguje na jej łagodną naganę.

- Niewiele jest tu do poznania - powiedział cicho MacNamara. -

Wystarczy wiedzieć, kto ma klucz do składów broni.

- Sądzę, sir, że pańskie uwagi są nie na miejscu - skrzywił się Heselwood.

- Tak samo jak pańskie - odrzekł MacNamara. - Może powinien pan posłuchać pani Brooks. Wy, Brytyjczycy, wiele musicie się nauczyć.

- Wszyscy jesteśmy brytyjskimi poddanymi, panie MacNamara. Nawet pan.

- Nie jestem brytyjskim poddanym z własnej woli. Może pewnego dnia ludzie w tej kolonii zmadrzeją i wyzwolą się spod brytyjskiego panowania. Heselwood roześmiał się, świadom, że kapitan nie pochwała takiego rozwoju wypadków.

- Jak zrobili to Irlandczycy?

- Jak to zrobimy! - poprawił go Pace.

- Jeśli zainteresuje to panów - wtrącił Millbank - chciałbym pokazać teraz na mapie szlak, którym popłyniemy.

Wyjście Heselwooda Millbank przyjął z ulgą. Obecność tej dwójki po obu stronach stołu nie wróżyła dobrze na przyszłość, ale na razie postanowił ich zignorować.

- Smakował panu posiłek, panie MacNamara?

- To był najlepszy posiłek, jaki w życiu jadłem, dziękuję, kapitanie. I proszę mówić mi Pace.

- Pace? Cóż za niecodzienne imię! Skąd się wzięło?

- Znalazła je moja matka. Myślę, że to nieco zniekształcona łacina, ale oznacza pokój. - Spojrzał na kapitana z ironicznym uśmiechem. - Wie pan, na dnie serca jesteśmy pokojowym narodem.

Millbank roześmiał się i wstał od stołu.

- Pańskie towarzystwo sprawiło mi wielką przyjemność, ale czas na mnie.

Pani Brooks, pozwoli pani, że odprowadzę ją do kajuty?

Wychodząc z Adelaide, odwrócił się jeszcze do Irlandczyka.

57

- Może pan wyjść na pokład, panie Pace, jeśli chce pan odetchnąć świeżym powietrzem.

Pace wstał, by życzyć im dobrej nocy, a potem krążył po salonie, przyglądając się rzeźbionym sprzętom i zdobiącym ściany obrazom, które przedstawiały statki. To był wspaniały statek, bez dwóch zdań, ale nie miejsce dla niego. Jego miejsce było w Irlandii, a każdy podskok na falach i zanurzenie kadłuba coraz bardziej go od niej oddalały.

- Dobry Boże - westchnął - zrobili ze mnie człowieka bez ojczyzny.

ROZDZIAŁ Ósmy.

Nim „Emma Jane” przybiła do portu na Wyspach Kanaryjskich, Millbank wiedział już, że ten rejs będzie trudniejszy, niż na początku sądził. Załoga narzekała na dodatkową pracę przy więźniach, przy czym wcale nie drobnym jej powodem było to, że ciągle spluwali na wyszorowane pokłady i korytarze, pasażerowie byli niezadowoleni, skazańcy zaś z każdym dniem przysparzali nowych trosk.

Na początku strażnicy i załoga sprzeciwiali się wychodzeniu więźniów na pokład, później ci ostatni zaczęli reagować coraz agresywniej. Nieważne, jak bardzo kapitan dbał o ich warunki bytowe, nie przestawali obwiniać go o swoje fatalne położenie i na każdym kroku z radością wykrzykiwali obelgi, zwłaszcza kiedy w zasięgu wzroku pojawiały się kajuty pasażerów. Millbank nie miał innego wyjścia, musiał polecić pasażerom, by trzymali się na uboczu, dopóki więźniowie nie wrócą pod pokład, co z kolei bardzo nie podobało się Jasinowi Heselwoodowi.

Doktor Brooks radził sobie nieźle w izbie chorych, gdzie pomagała mu Adelaide, która była kobietą uczynną i życzliwą, aczkolwiek nie potrafiła się przekonać do żony Heselwooda.

Millbank nie wątpił, że Adelaide Brooks celowo częstuje ją złośliwymi docinkami, żeby stworzyć przeciwwagę dla umizgów Milly Forrest, która z własnej woli została pokojówką pani Heselwood, trefiła jej włosy i szyła. Słyszając władcze tony, jakimi Georgina zwracała się do Milly, kapitan sam się wzdrygał.

58

Jednakże to były mniej ważne kwestie. Podczas postoju w porcie kapitan udał się do swojej kajuty, zdecydował bowiem, że tym razem nie wyjdzie na brzeg. W duchu przyznawał, że nie ośmieliłby się spuścić statku z oka

nawet na kilka godzin.

Palmerston wstawił głowę w uchylone drzwi.

- Uzupełniamy zapasy, kapitanie. Kwatermistrz mówi, że jeśli będziemy zużywać produkty w takim tempie, przekroczymy przyznane nam sumy. Musimy obciąć racje więźniom.

- Nie zrobimy tego. Przyrzekli mi wystarczające zapasy. Stuartowie nauczą się, żeby nie płatać mi figli. Chcą, żeby więźniowie zrobili w Sydney dobre wrażenie, i tak będzie. Ale dokonam tego tylko wtedy, kiedy będą mieli znośne warunki, w przeciwnym razie nie dożyją końca rejsu. Powiedz kwatermistrzowi, żeby załadował tyle, ile pomieszczą ładownie. Palmerston pokręcił głową.

- Dobrze, choć te męty na pewno panu nie podziękują.

- Zostaw to mnie. Zamów dodatkowy rum dla załogi, to im wynagrodzi dodatkową pracę przy załadunku.

Rozległ się dzwon na pokładzie.

- Jest pilot. Poślij pasażerów na ląd w jego łodzi. Nie chcę, żeby się tu kręcili dłużej niż to konieczne, na wypadek gdyby któryś z naszych gości pod pokładem wpadł na pomysł, że może dopłynąć wpław do brzegu.

Po wyjściu Palmerstona Millbank wezwał do siebie bosmana McLure'a.

- Tak się zastanawiam, czyby nie porozmawiać z kilkoma więźniami.

Ważne jest, żeby zrozumieli, co dla nich robimy.

- To na nic - odparł McLure. - Choćby im podetknąć dobre intencje na talerzu, nie rozpoznają ich.

- Warto spróbować. Gdyby udało mi się skłonić ich do współpracy, ułatwiłoby im to życie. Chodzi mi o przywódców, za którymi pójdzie reszta owieczek.

McLure zapalił fajkę.

- Zastanówmy się. Jest jeden, którego wszyscy się boją, nazywają go Wielki Karlie, ale on rządzi za pomocą pięści, nie mózgu. Następny to Irlandczyk, zebrał wokół siebie całkiem sporą garstkę. Nazywa się O'Meara. Nigdy nie wywołuje problemów, tylko patrzy.

- Przeprowadź go do mnie. Kto jeszcze?

59

- Jack Drew, skazany na dożywocie. Trochę za sprytny jak na mój gust, ale zaczynają traktować go jak szefa.

- Anglik?

- Tak.

- Dobrze. Zacznę od niego.

Kapitan był przekonany, że przy odrobinie współpracy ze strony więźniów może na resztę rejsu wprowadzić lepszą organizację. Dorywcze prace zawsze kończyły się katastrofą, a codzienne wycieczki na pokład wyczerpywały cierpliwość wszystkich obecnych. Gdyby miał gwarancję dobrego zachowania, kapitan gotów był wyprowadzać skazańców wieczorem. W urocze tropikalne noce załoga często urządzała koncerty, kilku śpiewało, ktoś grał na skrzypkach, ktoś tańczył. Ostatnią rzeczą, na jakiej zależało kapitanowi, było trzymanie więźniów pod pokładem jak zwierzęta, ale stwarzali coraz więcej kłopotów i nie nadążał z wymierzaniem kar. Na razie nie zgadzał się na chłostę, jednakże obawiał się, iż niedługo nie będzie miał innego wyjścia, jak polecić, by wybatożono jednego czy drugiego. Pasażerowie byli teraz w drodze na Teneryfę i Millbank żałował, że nie może odpłynąć bez nich, co dałoby mu okazję do ukarania więźniów bez świadków.

Strażnicy, którzy miny mieli bardziej ponure niż ich podopieczni, wprowadzili Jacka Drew, rosłego mężczyznę z wydatną szczęką, długimi brązowymi włosami związanymi na karku i śladami po ospie na wysokich kościach policzkowych. Głowę trzymał butnie zadartą i patrzył arogancko na kapitana.

- Czego pan ode mnie chce?

- Odzywasz się dopiero wtedy, kiedy cię zapytam, nie wcześniej - burknął Millbank i gestem dał znać strażnikom, żeby opuścili kajutę. - Nazywasz się Drew?

- Owszem.

Millbank powstrzymał się od rozkazu, żeby skazaniec zwracał się do niego per „sir”, miał ważniejsze sprawy na głowie.

- Chcę zrobić co w mojej mocy, żeby ułatwić ten rejs więźniom.

- Co to ma wspólnego ze mną?

- Panie Drew, słyszałem, że więźniowie pana szanują. Wy tłumaczę panu moje plany, a pan im to powtórzy. Chcę, żeby zrozumieli, że próbuję im pomóc.

Drew roześmiał się pogardliwie.

60

- Kiedy wezwał mnie pan do siebie, pomyśleli, że jestem kapusiem.

Brakuje panu piątej klepki. Millbank cierpliwie wyjaśniał:

- Panie Drew, mamy przed sobą długi rejs, prawie czteromiesięczny...

- Czteromiesięczny? - przerwał mu Jack. - Ktoś mi to mówił, ale nie wierzyłem. Więc to szczerza prawda?

- Jak najszczerza.

Jack gwizdnął i Millbank dostrzegł szansę przedarcia się przez gruby

pancerz, którym otoczył się więzień.

- Chciałby pan zobaczyć naszą trasę na mapie świata?

- Chętnie - odparł Drew. - I nie miałbym nic przeciwko kropelce rumu.

Millbank uśmiechnął się.

- Czemu nie? - Może alkohol zmiękczy tego twardziela. Nalał rumu i podał więźniowi, który wypił jednym haustem, wytarł usta i cmoknął z radości.

- To było dobre.

Odwrócił się w stronę mapy i uważnie patrzył, kiedy kapitan wskazał Przylądek Dobrej Nadziei, a potem długą drogę przez morza południowe.

- Wieją tu wiatry, które nazywamy ryczącymi czterdziestkami - wyjaśniał Millbank. - Zaczynają się na przylądku Horn na południowym czubku Ameryki Południowej, przez Ocean Indyjski mijają Afrykę, o tutaj, a dalej przeprowadzą nas koło Ziemi van Diemena, skąd popłyniemy na północ do Port Jackson i Sydney.

Obserwował, jak Jack z nosem niemal przytkniętym do mapy studiuje szlak.

- Po mojemu dalej od Anglii nie możemy się znaleźć - skomentował i Millbank kiwnął głową.

Jack wciąż patrzył na mapę.

- Gdzie są Indie?

- Tutaj. Daleko na północ od Port Jackson.

Drew wrócił do krzesła. Sprawiał wrażenie, że zaspokoił swoją ciekawość, Millbank skierował więc rozmowę na interesujący go temat.

- A teraz wróćmy do więźniów.

- W czym rzecz?



- Panie Drew, nie obchodzi pana, co się z nimi stanie?

61

- Obchodzi mnie tylko jedno: żeby znaleźć się jak najdalej od nich.

Większość z nich i tak tego nie doceni. Nieważne, w jakim gniazdku się ich umieści, i tak zrobią w nim kupę, więc co za różnica? Zabierze mnie pan z tego gówna, może będę mógł coś panu poradzić.

Millbanka zdumiała bezczelność tego człowieka.

- To wykluczone, nie mogę robić żadnych wyjątków.

- No to ma pan pecha! Angielskie prawo umieściło nas na pańskim statku, więc niech pan teraz nie skomli, żebym panu pomógł. Pan dostaje za to pieniądze. Jest pan tak samo zły jak cała reszta, niech pan nie myśli, że jak będzie pan udawał ciamajdę, to dam się nabrać. Niech pan sobie znajdzie innego alfonsa.

Millbank uderzył pięścią w biurko i wezwał strażników, którzy natychmiast wbiegli do środka.

- Zabrać go - rozkazał, ale Drew całkiem się już rozkręcił:

- Możecie mnie wyrzucić do Nowej Południowej Walii, proszę bardzo, ale żadne więzienie bez ścian mnie nie powstrzyma! I nadejdzie dzień odpłaty, do diabła! Wy, Anglicy! - splunął.

- Nie nazywajcie mnie więcej Anglikiem! Przekonacie się, że nie jesteśmy niewolnikami!

Kiedy strażnicy wywlekli go z kajuty, wszedł bosman szczerząc zęby.

- Twarda sztuka z niego!

- Owszem - przytaknął kapitan. Wybuch więźnia nie zrobił na nim wrażenia, spotykał typów niebezpieczniejszych od Jacka Drew. Członek załogi zarobiłby chłostę za takie zachowanie, ale kapitan nie chciał, żeby

pierwsza informacja o karze cielesnej w dzienniku pokładowym dotyczyła zwykłej niesubordynacji. Prawne położenie więźniów było sprawą delikatną.

- Wysłałem go do izolatki na kilka dni - oznajmił McLure.
- To na jakiś czas zamknie mu usta. Mówiłem panu, że od tych drani nie doczeka się pan rozsądku.

Millbank westchnął.

- Nie wiem, może masz rację. Jeśli tak, to od dzisiaj będziemy musieli przykręcić śrubę. Ale najpierw pogadam z tym drugim, O'Mearą. Równie dobrze mogę się przekonać, co ma do powiedzenia.

62

Bosman wrócił spod pokładu czerwony z gniewu jak burak.

- Wyprowadziłem O'Mearę, ale nie zgodził się iść w pojedynkę. Upiera się, żeby mieć świadka. Nie wiem, do czego zmierza ten świat.

- Więc niech przyjdą obaj - odparł Millbank, zdecydowany zachować cierpliwość.

- Tak jest, sir. - McLure wepchnął dwóch więźniów przez drzwi. - Ten to O'Meara, ten to Brosnan. Macie stać na baczność przed kapitanem.

Obaj więźniowie przytknęli palce do czoła w geście szacunku, choć w ich oczach malowała się wrogość. Stali w milczeniu, podczas gdy Millbank przedstawiał plany dyżurów i poprawienia warunków w kwaterze dla więźniów. Na początku słuchali ze zdumieniem, potem spojrzeli po sobie i wybuchnęli śmiechem.

- Chce pan, żebyśmy rozweselili chłopaków, tak, kapitanie? - odezwał się O'Meara jedwabistym głosem. - Jasne, powiem panu, co powinien pan zrobić. Wysadzi nas pan na brzeg i pozwoli, żebyśmy sami znaleźli drogę

do kolonii. Nie chcielibyśmy sprawiać panu kłopotów, prawda, Pat?

- Najmniejszych - dodał Pat. - Przyjemnie tu. - Podeszedł do otwartego bulaja i wyjrzał. O'Meara zrobił to samo. Obaj stali plecami do kapitana.

- Baczość! - ryknął Millbank, ale go zignorowali.

- Mówią, że to Wyspy Kanaryjskie - ciągnął Brosnan tonem swobodnej pogawędki. - Pięknie tu.

- Każę was obu wychłostać - ostrzegł Millbank i nagle O'Meara odwrócił się ku niemu.

- Niech pan tylko spróbuje! Dotknie nas pan, a nauczymy tych rzezimieszków na dole takich sztuczek, o jakich jeszcze pan nie słyszał!

- Ach, Dinny - zbeształ go Brosnan - nie denerwuj się. Kapitan robi co w jego mocy. Widzi pan, sir, Dinny chce powiedzieć, żeby uwolnił pan czterech Irlandczyków z więzienia, a reszta jest pańska, rozumie pan? To nie nasza sprawa, co robi pan ze swoimi ziomkami. Jeśli chodzi o nas, pan da nam spokój, my damy panu spokój. Nie potrzebujemy pańskiej pomocy, żeby jakoś to przetrwać.

Millbank poddał się i odesłał obu, choć ostatnie słowo należało do Brosnana.

63

- Ma pan tam na dole kilku naprawdę złych chłopaków, kapitanie. Ale czego się pan spodziewał? To pływające więzienie, a nie uczciwy statek handlowy.

Obelga okazała się celna, pogarda, jaką zobaczył w ich oczach, dotknęła go mocniej niż wrzaski Jacka Drew. Brosnan miał rację. Dowodzenie statkiem, na którym pod pokładem tłoczą się ludzie w warunkach gorszych niż dla zwierząt, plamiło wszystkie dumne lata spędzone przez Millbanka

na morzu.

Tego wieczoru siedział samotnie w kajucie przy butelce białego jamajskiego rumu. Postanowił, że jeśli „Emma Jane” pozostanie pływającym więzieniem, on przejdzie na emeryturę.

Każdy następny tydzień rejsu był gorszy od poprzedniego. Wśród załogi panowało niezadowolenie, więźniowie coraz bardziej się buntowali. Kiedy rozbili prycze, kapitan w końcu przystał na nalegania Palmerstona.

Wybrano na chybił trafił dziesięciu skazańców i wychłostano, ponieważ nikt nie chciał podać nazwisk prowodyrów.

Heselwood wiecznie narzekał i groził, że w Kapsztadzie zażąda u władz brytyjskich inspekcji statku. Millbank nie reagował. Rozumiał gniew Heselwooda, ale nie mógł pozwolić na ingerencję osób trzecich.

Dopilnował, żeby Przylądek Dobrej Nadziei ominęli nocą.

Myśląc o tym, uśmiechnął się ponuro. Dobry Bóg zainterweniował, kiedy więźniów od otwartego buntu dzielił tylko włos. Z mrocznych wód opływających Antarktydę nadeszły porywiste wichry i przez wiele dni rzucały statkiem. Było to straszliwe doświadczenie dla pasażerów, ale siła sztormu odczuwana we wnętrznościach statku przeraziła więźniów do szpiku kości. Panika stłumiła ogień rewolty i teraz myśleli wyłącznie o tym, żeby bezpiecznie dotrzeć do portu. Traktowali załogę z większym szacunkiem i w końcu na statku zapanował spokój, aczkolwiek to ponure zawieszenie broni nastąpiło dopiero w połowie rejsu.

Kiedy w zasięgu wzroku pojawiły się dzikie zachodnie wybrzeża Ziemi van Diemena, Millbank stwierdziwszy, że zapasy niebezpiecznie stopniały, po raz kolejny został zmuszony do obcięcia racji wody. Jednakże widok stałego lądu złagodził ten cios.

„Emma Jane” płynęła wzdłuż wschodniego wybrzeża wielkiej południowej krainy, a grupka znużonych pasażerów z podziwem

64

patrzyła na zielone wzgórza i wznoszące się za nimi mgliste błękitne góry.

- Ależ tu pięknie - westchnęła Adelaide. - Właściwie spodziewałam się zobaczyć pustynie w rodzaju Sahary.

- Czy ktoś tu mieszka? - wykrzyknęła Milly. - Płyniemy wzdłuż tego wybrzeża od wielu dni, a nie widzieliśmy ani jednej krowy czy konia, nie wspominając o osadnikach.

- Może śpią do późna, moja droga - odparł Heselwood i Milly wybuchnęła perlistym śmiechem.

- Teraz nazywa ją „moją drogą” - szepnęła do męża Adelaide. - Cóż za zmiana. Oczywiście Heselwood jest wobec niej taki przyjacielski, bo Milly ciągle opowiada o pieniądzach, jakie mają ona i Dermott.

- Nie jesteś zbyt miła - mruknął Brooks.

- Miła czy nie, taka jest prawda. Heselwood to szuler. Przez cały rejs obchodziły go tylko karty i zakłady z Palmerstonem i McLure'em. Miejmy nadzieję, że ci dwaj dostali swoje pieniądze.

- Jestem przekonany, że to najmniejsze ze zmartwień pana Heselwooda - rzekł Brooks z naciskiem.

- A ja nie. Jeśli Heselwoodowie są tacy ważni, jak każą nam myśleć, to dlaczego podróżują na takim statku... no chyba że brakuje im funduszy.

- Naprawdę nie wiem.

Adelaide z niecierpliwością wyczekiwała rozstania z Georginą i Milly, obie bowiem do cna wyczerpały jej cierpliwość. Zmuszona była spędzać z nimi codziennie wiele godzin, szyjąc, czytając albo grając w karty, co

często kończyło się kłótnią, bo Milly nie znosiła przegrywać. Georgina okazała się osobą sztywną, trudną do rozgryzienia, w przeciwieństwie do Milly, której rzadko zamykały się usta. Wieczory wcale nie były lepsze. Kolacje jadały z dżentelmenami, starając się znaleźć jakieś tematy do rozmów inne niż jedzenie, które stało się obrzydliwe. Wszyscy stracili na wadze.

Przy stole prym wodził Heselwood, zadufany w sobie i męczący, Dermott Forrest siedział jak manekin, pozwalając w swoim imieniu przemawiać żonie. Pace MacNamara potrafił być miły, kiedy mu to odpowiadało. Znał mnóstwo ciekawych irlandzkich opowieści i czasami śpiewał. Adelaide uśmiechnęła się. Często grała na fortepianie, akompaniując Pace'owi, co irytowało Georginę,

65

jako że fortepian był jej własnością. Nawet Brooks przyznawał, że Adelaide jest lepszą pianistką od pani Heselwood.

Bywały też wieczory, kiedy Heselwood do tego stopnia denerwował MacNamarę, że ten zniknął na wiele dni i posiłki spożywał z załogą.

Naprawdę miło było tylko wtedy, gdy kapitan siedział przy stole i razem z Brooksem nadawali ton rozmowom.

Millbank wyszedł na pokład.

- Dopłynęliśmy w bardzo dobrym czasie - powiedział zadowolony z siebie.

- Naszym kosztem, kapitanie - zwrócił uwagę Heselwood.

- Och, Jasinie - napomniała go Adelaide - spójrz na jasną stronę.

Gdybyśmy zrobili postój w Kapsztadzie, wciąż bylibyśmy na pełnym morzu, daleko od Port Jackson. Kiedy przybijemy do brzegu, kapitanie?

- Rano. Zamierzam wpłynąć do Port Jackson dopiero po wschodzie słońca, żeby państwo mogli dobrze się przyjrzeć jednemu z najwspanialszych portów na świecie. Rejs do portu Sydney to cudowne przeżycie, zobaczą państwo piękne dwory na wybrzeżu.

- Są tu piękne domy? - zdziwił się MacNamara.

- W kolonii?

- Na Jowisza, tak. A koloniści będą na nas czekali, ponieważ wieziemy im pocztę. Dostarczenie poczty jest zawsze wielkim wydarzeniem w Sydney.

- Mogę to zrozumieć - włączyła się Georgina. - Człowiek ma wrażenie, że jeszcze jeden krok i spadnie z krawędzi świata. Nie pojmuję, dlaczego ktoś chce mieszkać tak daleko od cywilizacji. Nie miałam pojęcia, że to będzie taki długi rejs. Przeraza mnie myśl o podróży powrotnej.

Przy lunchu wszyscy milczeli, ogarnięci ulgą, że są już u celu, i przypuszczalnie zdenerwowani tym, co czeka ich w owym obcym kraju.

- Nie miałam pojęcia, że to taki ogromny kontynent, kapitanie - odezwała się Adelaide. - Odkąd opuściliśmy południowe wody Oceanu Indyjskiego, ciągle majaczył gdzieś w pobliżu. Otacza go aura tajemniczości, złowieszcza aura... - Zadrżała.

- Mnie wydaje się przerażający.

Adelaide miała przeczucie tragedii, jej mąż nie.

66

- Z całą pewnością nie jest przerażający, moja droga. Interesujący, tak. Tajemnice to przyprawy życia i należy się im poddać. Większa część tego kontynentu nie została dotąd zbadana, niewykluczone, że będziemy świadkami cudownych odkryć.

Nawet Jasin był w doskonałym nastroju.

- Kto wie? Może pobijemy Hiszpanów, znajdziemy złote miasta i wrócimy do domu bogaci jak Krezus.
- To nie wykracza poza granice prawdopodobieństwa - stwierdził Brooks.
- Taki stary kontynent... byłoby dziwne, gdyby nie zawierał pokładów złota. Co pan o tym sądzi, kapitanie?
- Zgadzam się. Ale gdzie szukać? W tym problem.

Jasin był zaskoczony, że jego żart potraktowali z taką powagą.

- A to dopiero! Czemu wcześniej o tym nie słyszałem? Natychmiast rozpocznę poszukiwania własnej kopalni złota.

- My też - zachichotała Milly. - Prawda, Dermott? Dermott się zgodził.

Adelaide zauważyła wysilony uśmiech Georginy i domyśliła się, że ta ma już powyżej uszu towarzystwa Forrestów. Podczas rejsu Milly, doskonała krawcowa, uszyła kilka sukien z bel materiałów, które Georgina wiozła ze sobą, a także wyświadczala jej inne drobne przysługi, ale teraz wszystko wskazywało na to, że Georgina zamierza zerwać kontakty z Milly. I nic dziwnego, myślała Adelaide, tych dwóch kobiet nic przecież nie łączy. Przed pójściem do łóżka Adelaide wyszczotkowała spadające jej na ramiona złote loki. Były gęste i błyszczące, ale zazdrościła Georginie prostych jasnych włosów, zawsze schludnych i gładkich.

- Wyglądasz dzisiaj ślicznie - powiedział Brooks, przerywając jej rozmyślenia.

- Dziękuję, ale będę musiała coś zrobić z cerą, całkiem zbrązowiałam.

Niebiosa tylko wiedzą, co gubernator sobie pomyśli. Czuję się bardziej jak dziewczyna z farmy niż żona szanowanego astronoma.

- Wyglądasz ślicznie - powtórzył jej mąż. - Nikt nie może twierdzić inaczej. Mamy wszyscy szczęście, żeśmy dopłynęli na miejsce w dobrym



zdrowiu. Tak więc, moja droga, chodźmy już na spoczynek. Jutro czeka nas emocjonujący dzień. Nie mogę się doczekać spotkania z gubernatorem Brisbane'em. Ma własne obserwatorium na terenie rezydencji, cóż za luksus.

67

Po kolacji Pace MacNamara wyszedł na pokład, by przyjrzeć się mrocznym ceniom tajemniczego łądu. Sam spędził rejs w zawieszeniu, ani tu, ani tam. Próbował nawiązać kontakt z irlandzkimi więźniami politycznymi; nie zaskoczyło go, że jeden z nich, Caimen Court, jest jego znajomym. Chciał im pomóc, ale Dinny O'Meara odrzucił jego ofertę.

- Wiedziałem, że znam tę twarz! Co ty robisz, podróżując w wielkim stylu? Jesteś kapusiem czy tylko dezerterem? Nie chcemy twojej pomocy. Nic od ciebie nie chcemy!

- Pilnuj języka, O'Meara! - krzyknął Pace. Court, rozjemca, interweniował.

- Zostaw nas, Pace. O'Meara nie będzie słuchał słów rozsądku.

- On był tym snajperem, prawda? - zapytał Brosnan szeptem, który obudziłby umarłego, co O'Mearę jeszcze bardziej rozgniewało.

- W takim razie dlaczego płynie tym statkiem jak jaśnie pan? Nie będziemy z nim rozmawiać, słyszycie?

Zirytowany Pace odszedł, ale wciąż go bolało, że ci dzielni ludzie, którzy walczyli za Irlandię, zepchnięci zostali na dno nędzy, pomiędzy złoczyńców. Zwłaszcza Court. Uczył się na księdza w Maynooth, po roku jednak zmuszony został do wybierania pomiędzy ojczyznę a Kościołem.

Wybrał Irlandię. To właśnie Court pisał broszury, obsługiwał prasy drukarskie i szukał nowych rekrutów, aż złapano go na gorącym uczynku;

razem z nim wpadł jego pomocnik Jim Connelly, który także znajdował się na statku. Obu oskarżono o zdradę. Na wspomnienie krzyku, jaki się wtedy podniósł, Pace uśmiechnął się do siebie. Sędzia ojcowskim okiem spojrział na dwóch uczciwych młodzieńców, którzy jak twierdził adwokat, zostali „oszukani” przez starszych od siebie, i nie potrafił skazać ich na śmierć w kwiecie wieku. Zamiast tego wydał wyrok dożywotniego więzienia w Nowej Południowej Walii.

Niewykluczone, że na decyzję sędziego wpłynął „anonimowy” list z informacją, że jeśli Court i Connelly zostaną powieszani, jego syn, także w kwiecie wieku, zginie tą samą śmiercią tego samego dnia. Pace wiedział o tym aż nazbyt dobrze. Groźba z całą pewnością zostałaby zrealizowana, pokazano mu cel.

Obaj są więc tutaj, rozmyślał, a ich celem jest Botany Bay. Zaczął nucić pod nosem piosenkę, której nauczyli go marynarze,

68

a która wydawała mu się bez sensu. Zawołał do pełniącego wachtę majtka:

- Płyniemy do Port Jackson, prawda?
- Tak jest, sir.
- To powiedz mi, dlaczego śpiewamy piosenkę „Bound for Botany Bay”?
- W Botany Bay był pierwszy port, sir, ale woda wyschła, więc przenieśli się dalej na północ, do Port Jackson. Ale wciąż wielu myśli, że ich miejscem przeznaczenia jest Botany Bay.

Błękitnego nieba nie znaczyła żadna chmura, kiedy „Emma Jane” zbliżała się do piaskowych cyplów przy wejściu do Port Jackson. Żagle obwisły, małe kolorowe chorągiewki trzepotały lekko, powitalny wystrzał z armaty zahuczał nad oceanem i portem, podrywając na nogi mieszkańców. Do

burty podpłynął kuter, spuszczone łódź dla pilota, ponownie rozłożono żagle i „Emma Jane” przepłynęła obok białej wieży latarni morskiej Macquarie. Czekala ją jeszcze sześciomilowa droga do wielkiego portu Sydney Cove. Marynarze śpiewali przy pracy, jakby tryumfalnie wracali do domu po odniesieniu wielkiego zwycięstwa, a pasażerowie ustawili się przy relingu, równie podekscytowani jak załoga.

Kapitan Piper, inspektor celny, był starym przyjacielem Millbanka. Kiedy do statku zbliżyła się barka celników, kapitan z radością zobaczył na jej pokładzie Pipera.

- Witaj z powrotem! - zawołał do Millbanka, kiedy marynarze wciągali go na pokład.

- Cieszę się, że tu wróciłem. - Millbank uścisnął mu rękę. - Wygląda na to, że Sydney powiększyło się dwukrotnie od czasu, kiedy byliśmy tu ostatnio.

- Tak, to prawda. Pewnego dnia będzie pięknym miastem. Ale słyszę, że teraz transportujesz więźniów...

Twarz Millbanka pociemniała.

- Pierwszy i ostatni raz - powiedział. - Mamy nowych właścicieli. Myślę o emeryturze, jeśli dalej tak ma być.

- Przykro mi to słyszeć - rzekł Piper. - Co będziesz robił? Zamieszkaż w małym domku na wsi?

- Na pewno nie - uśmiechnął się Millbank. - Myślałem raczej o Buenos Aires. Zawsze miałem słabość do Ameryki Południowej.

69

- Na Boga, chętnie bym się do ciebie przyłączył - stwierdził Piper, idąc za nim do kajuty. - Ja też przechodzę na emeryturę.

Kapitan przygotował Piperowi dokumenty przewozowe do kontroli, ale gość najwyraźniej nigdzie się nie śpieszył.

- Coś się stało? - zapytał Millbank.

- Och nie - odrzekł Piper. - Jestem tylko trochę zmęczony. Miałem kłopoty finansowe, to wszystko. Musiałem sprzedać dom w porcie. Kupił go Wentworth, ja z rodziną przenoszę się do Bathurst.

- Co za szkoda - westchnął Millbank przygnębiony.

- Nie jest tak źle. Sydney to ponure miejsce, odkąd władzę przejął Darling. Straszny biurokrata, z radością wyrwę się z jego łap.

- Darling? A kto to jest?

- Ależ, szanowny panie, to nasz nowy gubernator. Generał Ralph Darling. Osadnicy pokonali Brisbane'a i doprowadzili do jego odwołania.

Kiedy Piper skończył inspekcję, a statek ruszył do portu w Sydney Cove, Millbank odszukał doktora Brooksa i jego żonę. Byli już spakowani, doktor odział się w swoje tweedy i miękką czapkę, Adelaide wyglądała uroczo w brązowym czepku i powiewającej na wietrze pelerynie. Stali przy relingu, z nadzieją myśląc o ekscytujących dniach, które ich czekają - w tej scenie było coś z obrazu. Ruszył ku nim, posłaniec przynoszący złe wieści.

- Zrobi pan ze mną ostatnią rundę po statku, doktorze? - zapytał, a doktor, jak zawsze zgodny, nie protestował. Przy sterze kapitan przystanął i ujął Brooksa pod ramię. - Mam dla pana wiadomość i obawiam się, że będzie to dla pana szokiem.

- A cóż to może być w taki piękny dzień, kapitanie?

W tak beztroskim nastroju Millbank nie widział go przez cały rejs.

Kapitan, który nigdy nie służył z dyplomacji, próbował znaleźć sposób na

złagodzenie ciosu.

- Gubernator Brisbane wyjechał z kolonii.

Brooks wciąż się uśmiechał, jakby jego twarz nagle zastygła. W pewnym momencie odwrócił się w stronę wybrzeża.

- Słyszał mnie pan?

- Tak.

Stali w milczeniu, drobny szkwał minął statek w drodze na pełne morze.

Brooks ścisnął czapkę i roześmiał się nerwowo.

70

- To nie może być prawda, kapitanie. Kadencja gubernatora Brisbane'a kończy się dopiero za kilka lat.

- Został odwołany. Wiem o tym od Pipera. Mówi, że to stało się dość nieoczekiwanie.

Nad ich głowami mewy zatoczyły koło, Brooks zdawał się śledzić je wzrokiem.

- Zna pan kogoś w kolonii? - zapytał Millbank.

- Nie. Nie jesteśmy ludźmi szukającymi przygód, prowadziliśmy spokojne życie. Nawet nie znam nikogo, kto był w koloniach. Żywej duszy. Co my teraz poczniemy?

Millbank, zawsze praktyczny, musiał przerwać tę rozmowę, miał jeszcze sporo do zrobienia.

- Cóż, nie możecie zapukać do drzwi rezydencji gubernatora, jeśli nie jesteście pewni, że ktoś was tam oczekuje. Popytam w waszym imieniu.

Myślę, że powinniśmy poczekać, aż pozostali pasażerowie wyjdą na brzeg, a potem będę mógł sprawdzić, co się dzieje.

Obejrzeni się na Adelaide, która wciąż obserwowwała port.

- Co ja jej powiem? - jęknął Brooks. - To ją załamie.
- Prawdę, człowieku. Bo co innego? - Millbank wzruszył ramionami. - Niech się pan nie martwi. Znajdziemy jakieś wyjście.

I pośpiesznie odszedł, wymijając marynarzy, którzy opuszczali żagle i nie mogli się doczekać, kiedy znowu postawią stopy na suchym lądzie.

Heselwoodowie i Forrestowie także czekali, otoczeni kuframi i skrzyniami; kapitan zadał sobie pytanie, co też przyszłość ma dla nich w zanadrzu. Aby nie spotkać się z pasażerami, wybrał okreśną drogę wzdłuż sterburty, gdzie wpadł na Pace'a MacNamare, który wyglądał na zupełnie innego człowieka niż ten posępny podejrzliwy mężczyzna wchodzący na pokład pod osłoną nocy.

- Ha, MacNamara! Podobało się panu życie marynarza?
- Otworzyło mi oczy na wiele spraw, sir - odparł Pace - i było dobre, ale ucieszę się, kiedy zejść ze statku.
- Nie brał pan pod uwagę zamustrowania się u mnie? Mieliśmy nadzieję, że będzie chciał pan zostać marynarzem. Nieźle sobie pan radzi z pasażerami.
- Dziękuję, ale nie. Był pan dla mnie bardzo dobry. Wykonywałem różne prace, żeby zapełnić Sobie czas.

71

»

- Słusznie pan mówi. Niech pan zajdzie do Palmerstona, zwróci panu pieniądze za podróż w charakterze wynagrodzenia za pańską pracę. Machnięciem zbył podziękowania MacNamary, wyrzucił z myśli problemy Pipera i Brooksa, po czym zszedł pod pokład, żeby porozmawiać ze strażnikami. Kiedy pasażerowie opuszczą statek,

skazańcy mają doprowadzić się do porządku i przebrać w stroje więzienne. Nieważne, ile czasu to potrwa, ale zejda po trapie „Emmy Jane”, wyglądając tak porządnie, jak to możliwe. I na tym się sprawa zakończy. Miał nadzieję, że Brooksowi wystarczy rozsądku, żeby trzymać żonę z daleka od nich, ponieważ nie miał żadnej kontroli nad złośliwymi językami tych nieszczęśników.

## CZEŚĆ SZÓSTA.

Sydney.

## ROZDZIAŁ Dziewiąty.

Gubernator nie miał zamiaru wchodzić w skład komitetu witającego przypadkową zbieraninę nowo przybyłych. Trafił do portu, wracając do domu wraz z sekretarzem Macleayem z zebrania Australijskiego Towarzystwa Rolniczego. Jego członkami pod przewodnictwem wielce szanownego Johna Macarthur'a byli kuzynowie Macarthur, ich szwagier Bowman oraz takie osobistości, jak Forbes, Oxley i zręczliwy wielebny Marsden. Prosili o przyznanie im własności ziemi poza granicami osiedlenia, a ponieważ mogli zebrać spore fundusze i mieli poważne wpływy w Londynie i Szkocji, gubernator Darling wątpił, by zdołał się im przeciwstawić. Kolonia rozpaczliwie potrzebowała nowych inwestycji, ale gubernator nie zamierzał zostać marionetką w rękach wielkich hodowców. W zamian będzie domagał się większej dyscypliny i zrozumienia, że koloniści niezależnie od tego, kim są, muszą z większym szacunkiem traktować jego urząd. I na Boga, dopnie swego!

Opuszczając zebranie, powiedział Macleayowi, żeby stangret zawadził o port. Chociaż nie był żeglarzem, statki bardzo go fascynowały.

Doskonale resorowany powóz i eskorta złożona z kawalerzystów z

czterdziestego regimentu przy wtórze stukotu podków jechały George Street. Darling oparł się o siedzenie, by uniknąć wzroku motłochu. Robienie interesów z urodzonymi w kolonii osadnikami było dość skomplikowane, nie mieli bowiem za grosz szacunku dla jego wysokiego urzędu. Uważali, że są socjetą, dziwaczna myśl

73

w koloniach, a co gorsza mieli czelność opowiadać, że tworzą naród. Żałował, że w takim stopniu musi polegać na nich w kwestiach finansowych. Wielorybnictwo także zapewniało eksport, ale kutry uciekały z Sydney, bo ich właściciele woleli nie dzielić się zyskami. Nie, jedyną odpowiedzią była wełna.

- Doskonale - powiedział do Macleaya - jeśli chcą, żeby dać im tysiące akrów poza terenami zasiedlonymi, zgadzam się.

- Tak jest, sir - odparł sekretarz.

- Skoro są tacy głupi, żeby się wyprawiać tam, gdzie szaleją czarni, bandyci i Bóg wie kto jeszcze, to niech im będzie. Czasami się zastanawiam, czy nie można by do tego zmusić także tych, którzy odsiedzieli wyrok. W końcu przywieziono ich tutaj jako skazańców.

Macleay miał nadzieję, że gubernator nie będzie próbował wcielić w czyn równie radykalnych projektów, to wywołałoby zamieszki, ale już dawno się przekonał, że przełożonego nie interesują opinie sekretarza.

- Niech się zatrzyma - polecił Darling i Macleay zastukał w szybkę.

Powóz i jego orszak stanęły, konie niecierpliwie przebierały nogami.

Darling patrzył na morze. Jedną sprawą było traktowanie osadników jak równych sobie, zupełnie inną natomiast utwierdzanie ich w przekonaniu, że posiadają jakąkolwiek realną władzę.



- Co to za statek? - zapytał patrząc na port. - Nigdy go tu nie widziałem.
- To „Emma Jane”, sir, z Londynu. Wpłynęła dzisiaj rano.
- Wiezie pocztę?
- Tak jest, sir. Tak mi się wydaje.
- Ach, moja żona się ucieszy. Myślę, że rozprostuję nogi. Odbierz pocztę urzędową. Weźmiemy ją ze sobą.
- Odnoszę wrażenie, że do tej pory już ją odesłali, sir. Darling wysiadł z powozu.
- Kazałem ci po nią iść!

Ruszył przed siebie, z przyjemnością wciągając w płuca świeże morskie powietrze, które oczyściło mu głowę z cygarowego dymu. Wyprostował się, świadom, że jest obiektem badawczych spojrzeń. Minął robotników portowych, z których jeden uchylił kapelusza.

- Dzień dobry, gubernatorze.

74

Darling nieznacznym przymknięciem powiek odpowiedział na powitanie; przekonał się, że w tym kraju osoby niższego stanu często pierwsze zwracają się do stojących wyżej od siebie, ale nie zamierzał naginać się do ich zwyczajów. Nawet wśród klasy posiadaczy byli zapaleńcy, którzy domagali się demokracji, cokolwiek mogło to znaczyć. Jednakże on nie będzie ich zachęcał. Odwrócił się, by popatrzeć na miasto.

- Możecie żądać wszystkiego, co wpadnie wam do głowy - powiedział do siebie - ale póki ja tu jestem, nie odstępimy od istniejących reguł.

Wszystko czego mi potrzeba, to zachowanie status quo przez sześć lat, potem wrócę do Londynu po szlachectwo. Następny gubernator może sobie wprowadzać demokrację.

Macleay udał, że nie słyszy. Gubernator często mówił do siebie, co denerwowało sekretarza, który musiał zgadywać, kiedy Darling zwraca się do niego, a kiedy nie oczekuje żadnej reakcji. Jednakże Alexander Macleay znosił to bez skargi, miał własne plany. Przejście z funkcji sekretarza London Transport Board na lukratywną posadę sekretarza kolonialnego było dla niego potężnym awansem i doskonale zdawał sobie sprawę, że nie może narażać swojej kariery, irytując przełożonego nieodpowiednim zachowaniem. Miał pięćdziesiąt dziewięć lat i liczną gromadkę dzieci do wyżywienia, nie mógł sobie pozwolić na marnowanie czasu. Już przyjął należne mu dwadzieścia hektarów ziemi przy Onslow Avenue nad Elizabeth Bay i planował zbudowanie dworu w stylu regencji, nie ustępującego niczym siedzibom szlacheckim.

Po nabrzeżu spacerkiem szli gapie, handlarze owoców i ryb toczyli swoje wózki koło wyprostowanego jak struna gubernatora. Macleay dostrzegł, że celnik pokazuje go brodatemu kapitanowi, także więc przybrał pozę stosowną do swojego wysokiego urzędu.

- Proszę wybaczyć, sir - rzekł kapitan Millbank - ale powiedziano mi, że jest pan sekretarzem kolonialnym.

- Tak jest, sir. Alexander Macleay, do usług.

Millbank zmierzył wzrokiem szkockiego pobratymca. Usłyszał słowa, ale zrozumiał, że ten człowiek na pewno nie będzie na jego usługi.

- To prawdziwy uśmiech fortuny. Potrzebuję właśnie pana. Mam dość delikatną sprawę...

75

- Interesy załatwiam w gabinecie - przerwał mu Macleay.

- Jednakże to sprawa nie cierpiąca zwłoki. - Millbank wyjaśnił sytuację

doktora Brooksa i jego żony, wciąż pozostających na pokładzie „Emmy Jane”.

Macleay nerwowo obejrzał się na gubernatora, który na szczęście oddalał się od nich.

- Gubernator i jego żona nie przyjmują pod swój dach nieznajomych.

- Tak przypuszczałem - odparł Millbank. - Znajdę dla nich mieszkanie, ale co z posadą w obserwatorium? Może mógłby pan poradzić, do kogo doktor Brooks powinien się udać w sprawie pracy.

- Kapitanie, obserwatorium jest zamknięte. Znajduje się na terenach rezydencji i gubernator nie zgodzi się, by włóczyli się tam obcy. Drugie posiada stosowniejszą lokalizację, ale nie potrzebujemy nowych astronomów. Zapewniam pana, nie ma tam żadnych wakatów.

- Nie możemy jednak zostawić ich samych sobie, panie Macleay, skoro doktor Brooks przybył do Sydney na zaproszenie wicekróla.

Macleay zobaczył, że gubernator zawrócił.

- Nie mam pojęcia, co powinni zrobić, sir, i naprawdę nie sędzę, by była to sprawa obecnej administracji. - Już miał uwolnić się od natręta, kiedy podeszła do nich para. Należeli do szlachty, a sądząc po kroju ubrań, przyjechali wprost z Londynu. Mężczyzna był młody, wysoki i jasnowłosy, odziany w doskonałej jakości surdut, szarą kamizelkę z perłowymi guzikami i spodnie wyglądające na kaszmirowe, a jego pani, niemal dorównująca mu wzrostem, miała na sobie elegancki granatowy kostium podróżny i mały kapelusik na gęstych włosach; niewykluczone, że stanie się to nową modą dla dam w Sydney, które wciąż nosiły czepki z klapkami.

Gubernator Darling, na którym nieznajomi także zrobili wrażenie, dał znak

Macleayowi. Sekretarz natychmiast pośpieszył ku niemu.

- Kto to jest?

- Nie wiem, sir.

- Więc się dowiedz. Zrób to dyskretnie, może będę chciał, żeby mi ich przedstawiono.

Po kilku minutach Macleay wrócił z nieznaną parą.

76

- Pozwoli pan, ekscelencjo, przedstawić sobie pana Jasina Heselwooda i jego żonę. Pan Heselwood jest trzecim synem sir Edwarda Heselwooda, earla Montone'a.

- Oczywiście - powiedział Darling, odprawiając sekretarza. - Znam pańskiego ojca, sir, dobrze go znam. Pułkownik dwudziestego siódmego regimentu?

- Tak, wasza ekscelencjo. To uprzejme z pana strony, że pan pamięta - odrzekł Jasin.

Gubernator zwrócił się do Georginy.

- Podejrzewam, że to najnowsza moda z Londynu, madame. Musi pani odwiedzić nas w rezydencji i opowiedzieć pani Darling o nowinkach w modzie. Będzie chciała usłyszeć o tym pierwsza. Obawiam się, że jesteśmy zapóźnieni, żyjemy tak daleko od centrum cywilizacji,

- Z największą przyjemnością, wasza ekscelencjo - rzekł Jasin, oceniając Darlinga jako parweniusza. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek goszczono go w Moor House, jednakże zaproszenie do rezydencji gubernatora, nim jeszcze zdążyli postawić stopę w Sydney, było szczęśliwym początkiem.

W tej samej chwili pośpieszyła ku nim Milly, ciągnąc za sobą męża.

Domagała się od Jasina, żeby przedstawił im gubernatora, co ten zirytowany uczynił z taką niechęcią, na jaką się odważył.

Darling sztywno kiwnął głową Forrestom i odszedł.

Patrzyli, jak powóz rusza w otoczeniu wspaniałej gwardii konnej w złotoszkarłatnych mundurach.

- Cóż to za podniecające przeżycie poznać członka rodziny królewskiej zaraz po przyjeździe! -wykrzyknęła Milly. - Będę miała co pisać w liście do domu!

- On nie jest członkiem rodziny królewskiej - sprostował Jasin - a my musimy już iść...

- Och, w żadnym razie. Brat i bratowa Dermotta są tutaj, wnoszą nasze bagaże. Chodźmy, przedstawię was. - Podekscytowana Milly ujęła Georginę za ramię, ta jednak zaraz się uwolniła.

- Nie teraz, dziękuję. Naprawdę musimy już iść.

- A gdzie wasi przyjaciele? - zapytała Milly. - Nie pokazali się?

- Otrzymaliśmy wiadomość, że coś ich zatrzymało, ale czekają na nas - skłamał Jasin, po czym gestem dał znać tragażowi, żeby za nimi podążyli.

77

- Nie przynoszę dobrych wieści - powiedział Millbank do Adelaide i doktora Brooksa w zaciszu ich kajuty. - Na nabrzeżu spotkałem sekretarza kolonii. Nie ma wielkiej nadziei na zatrudnienie pana pod obecną administracją. Może najlepiej będzie, jeśli osobiście zwróci się pan do gubernatora, kiedy już znajdziecie jakieś lokum.

Adelaide była spięta, choć wszystkie konsekwencje tej komplikacji jeszcze do niej nie dotarły.

- Nie idziemy do rezydencji? Przecież zostaliśmy zaproszeni! Oczekują

nas tam, kapitanie.

- Nic na to nie wskazuje - odrzekł Millbank. - Jest tam nowa załoga, że tak powiem.

Doktor Brooks opadł na koję. Twarz miał popielatą.

- I co my teraz zrobimy? - wykrzyknęła Adelaide. - Dokąd pójdziemy?

- Znam miejsce, gdzie możecie się zatrzymać - uspokoił ją Millbank. -

Właścicielki to moje dobre znajome, panny Higgins. Prowadzą szacowny pensjonat. Jestem pewien, że wam się spodoba.

Brooks wstał.

- Doskonale. Zamieszkamy w pensjonacie na czas postoju „Emmy Jane” w porcie. Kapitanie Millbank, był pan dla nas bardzo uprzejmy. Czy może zapewnić nam pan kajutę na rejs powrotny?

- To wykluczone! - zawołała Adelaide. - Jak możesz coś takiego mówić, Brooks? Nie pozwolę, by spotkało nas takie upokorzenie. Przed wyjazdem wszystko sprzedaliśmy, dom, meble, zapomniałeś? Jeśli teraz wrócimy, staniemy się pośmiewiskiem.

- Co innego możemy zrobić?

- Za wcześnie, by odpowiedzieć na to pytanie - przerwał im Millbank. -

Jeśli na mnie poczekać, zaprowadzę was na Macquarie Street i przedstawię pannom Higgins. Dotarliście tak daleko, powinniście dać kolonii szansę.

- Chyba tak - zgodził się Brooks. - Powiadają, że Sydney to miejsce dość egzotyczne.

- Czyżby? - prychnęła jego żona. - Według mnie wygląda zupełnie prostacko.

## ROZDZIAŁ Dziesiąty.

Ten jeden raz więźniowie zbierali się spokojnie, jak dzieci z sierocińca, które boją się, że nie zostaną wzięte na wycieczkę. Krótkoterminowi beztrąsko powtarzali, że w tym zalanym słońcem mieście spędzą tylko kilka lat, potem wrócą do starego kraju.

Skazany na dożywocie Jack Drew nie miał takich nadziei. Słyszał, że ponoć można uciec za góry, a stamtąd do Chin, i z niecierpliwością czekał w wolno posuwającej się kolejce, żeby wyjść na pokład i samemu obejrzeć okolicę.

Szczękając łańcuchami, wdrapał się na pokład i tam, pod nieprawdopodobnie błękitnym niebem Nowej Południowej Walii, Jack po raz pierwszy zobaczył swoje nowe więzienie. Rozejrzał się zdumiony. Na brzegu stali ludzie, witając ich, więźniów, machaniem! Wykrzykiwali słowa zachęty, podczas gdy znudzeni żołnierze, którzy mieli ich przejąć na lądzie, czekali w nierównym szeregu na rozkazy. Przed nimi rząd wysokich masztów wyrastał nad nabrzeżem, wyglądając jak wierzbową aleją zimą.

A potem zdarzyło się coś dziwnego. Jack stwierdził, że się uśmiecha. Od bardzo długiego czasu nie miał zbyt wielu powodów do uśmiechu.

Powiódł wzrokiem po wielkiej błękitnej zatoce, po białych zabudowaniach Sydney, po ciągnącym się na horyzoncie łańcuchu gór i doświadczył uczucia, że oto otwiera się przed nim bezkresna przestrzeń, że może wędrować w nieskończoność po niezatłoczonym świecie.

Nad jego głową pstrokate ptaki zataczały leniwe koła, później pofrunęły ku wzgórzom, znikając w błękitnie. Dokoła Jacka na pokładzie „Emmy Jane” krzżeli się marynarze. Wyszedł na brzeg w otoczeniu innych

skazańców, choć nie czuł, że do nich należy. Dla niego wszyscy ci ludzie byli intruzami we wspaniałym krajobrazie.

Mężczyźni w bawełnianych kombinezonach podbiegli, żeby przypiąć więźniom łańcuchy do przegubów, żołnierze stali na straży, a oficer w prostym czarnym mundurze wystąpił, żeby przyjąć się nowo przybyłym.

- Kto to? - zapytał Jack jednego z robotników.

79

- Komendant baraków więziennych, nazywa się Noble, ale wcale nie jest szlachetny - szepnął robotnik i podążył dalej.

Wielki Karlie stał w rzędzie przed Jackiem. Odkaszlnął i z przyzwyczajenia splunął, co zobaczył Noble.

- Zapiszcie nazwisko tego łajdaka! - wrzasnął na strażników. - Nie pozwolę na bezczelność. Czterdzieści batów.

- Jest pan sędzią? - krzyknął Connelly. - Czy człowieka chłoscze się za oczyszczenie gardła z odoru statku?

- Dla niego też czterdzieści batów - rozkazał Noble. Jack spojrzał na O'Mearę, który wydawał się gotować do skoku, ale żołnierze z muszkietami wycelowanymi do strzału otoczyli skutych więźniów. Robotnicy zatrudnieni do założenia łańcuchów kulili się, by zejść z linii ognia.

Noble'owi podano dwa nazwiska. Wezwał stojącego obok młodego oficera.

- Wyślij tę dwójkę do Moreton Bay, a także... - Spojrzał na cichych i ponurych teraz więźniów. - Dziesięciu ludzi z pierwszego rzędu. Logan odwała świetną robotę w Moreton Bay. Przydadzą mu się nowi.

- Gdzie jest Moreton Bay? - zagadnął Jack jednego z robotników, który



taszczył ciężkie łańcuchy.

- Gdzieś na północy. Nie podnoś głowy, kolego, Moreton Bay to piekło na ziemi. Wolałbyś nawet o nim nie słyszeć.

ROZDZIAŁ Jedenasty.

Pace MacNamara nie śpieszył się z wysiadaniem. Poczeka, aż Roley Palmerston skończy pracę, i pójdzie na brzeg razem z nim. Obserwował, jak Heselwoodowie opuszczają statek, piskliwie instruując brygadzystę w kwestii prawidłowego wyładowywania fortepianu, i przysłuchiwał się dokerom. Georgina jeszcze trochę pozrzedzi i instrument wyląduje w Nowej Południowej Walii z głuchym tąpnięciem.

Potem nieszczęśni więźniowie wyszli niczym starzy pustelnicy ze swych jaskiń i zostali sprowadzeni na brzeg przez żołnierzy w takich samych mundurach, jakie nosili ci, co najechali Irlandię.

80

Pace nie miał pojęcia o organizacji kolonii karnej i widok mundurów budził w nim niepokój. Cieszył się, że będzie z Palmerstonem, obawiał się bowiem, że może pierwszego dnia popełnić jakiś błąd. Miał teraz dwa cele: poznać jak najlepiej to miejsce oraz dowiedzieć się, dokąd zabrali Caimena Courta i trzech pozostałych Irlandczyków.

Dopiero późnym popołudniem Palmerston uporał się ze swymi obowiązkami. W porcie pełno było spacerowiczów. Na końcu Campbell's Wharf Pace się zawahał.

- No, nie wiem. To jak zapuścić się w koszary na O'Connell Street. W życiu nie widziałem tylu żołnierzy.

- Wciąż możesz się zamustrować na nasz statek.

- Nie, ja uciekam, Roley. Nie mogę wracać.

- W takim razie nie przejmuj się Sydney. Zostaw przeszłość za sobą. Tutaj jesteś imigrantem, nikt nie będzie cię niepokoił. Połowa jaśnie panów tutaj to też uciekinierzy, zdegradowani z armii albo umykający przed wierzyicielami.

Przeszli na drugą stronę ulicy i ruszyli w kierunku George Street. Im bardziej zagłębiali się w miasto, tym mocniej chodniki były zatłoczone: damy spacerowały ze swoimi dżentelmenami, przedsiębiorcy w jedwabnych kapeluszach i surdutach omawiali sprawy niezwyklej wagi, mężczyźni w moleskinach i wysokich butach wymijali handlarzy, którzy wykrzykiwali ceny warzyw, ryb i ostryg. Pace miał wrażenie, że jest na wiejskim jarmarku, na którym w ten jeden dzień w roku spotykają się ludzie z najróżniejszych warstw.

Faetony wymijały wlokące się piaszczystą drogą wozy, obok zdążali jeźdźcy. Pace przystanął zdumiony.

- Nigdy nie myślałem, że zobaczę tu takie piękne konie
- powiedział, idąc w stronę siwka przywiązanego do słupka.
- Ten jest niesamowity.
- Chodź, MacNamara - ponaglił go Palmerston zniecierpliwiony. - Przez ciebie będę miał mniej czasu na picie.

Pace z ociąganiem się odwrócił i wpadł na mężczyznę, który w każdym calu wyglądał na angielskiego dziedzica.

- Przepraszam, sir - bąknął robiąc krok do tyłu. Dżentelmen odpowiedział uśmiechem.
- Podoba ci się ten koń?
- Bardzo - odparł Pace.
- Znasz się na koniach?

- Całkiem nieźle, ale ten zbił mnie z tropu.

- To zrozumiałe - rzekł nieznajomy. - Jest przecież z naszej hodowli. Nie zdobyłby nagrody na wystawie, za to ma wszystkie cechy niezbędne w tym kraju, potrzebujemy silnych zwierząt na odległości, jakie tu pokonujemy. Jesteś nowy w kolonii?

Pace kiwnął głową, wciąż z zainteresowaniem przyglądając się ogierowi.

- Cóż, może w takim razie potrzebujesz pracy? - zapytał dżentelmen. - Zawsze brakuje nam dobrych stajennych.

Pace podniósł na niego wzrok ze zdumieniem.

- Chyba faktycznie potrzebuję.

- Jak się nazywasz?

- MacNamara, sir.

- Dobrze, MacNamara. Spotkam się tu z tobą za cztery dni. W samo południe. Jestem William Macarthur. Mamy farmę i sporą stadninę w Parramacie. Lepszej pracy nie znajdziesz.

- Wskoczył na siodło i machając na pożegnanie, pokłusował drogą.

- Mówią, że Irlandczycy mają szczęście - odezwał się Roley. - Jesteś tu od dziesięciu minut, a już masz robotę i dach nad głową. Skoro załatwiłeś interesy, to idziemy do hotelu Jacka Boundy'ego.

Hol małego piętrowego hotelu był pusty. Roley zajrzał do baru, szukając swojego przyjaciela Jacka Boundy'ego.

- Nie ma go tu - powiedział. - Może jest w biurze.

- Ruszył korytarzem i zapukał do drzwi.

Otworzyła kobieta, chwilę mu się przyglądała, a potem zarzuciła ramiona

na szyję.

- Roley! Wróciłeś! Na zbawienie boskie, jesteś lekarstwem dla oczu.

- Przyjemnie tu wracać. A to, Katrin, jest Pace MacNamara, dopiero przyjechał do Sydney.

- Miło mi panią poznać - przywitał się Pace. Była urodziwą kobietą, na oko trzydziestoletnią, z czarnymi jak sadza, wysoko upiętymi włosami. Z tego co Roley mówił o jej mężu, Pace spodziewał się zobaczyć starszą niewiastę.

- Gdzie jest Jack? - spytał Palmerston. - Winien mi jest kufelek za ostatni raz.

- Jack? - powtórzyła. - Jack nie żyje.

82

- O nie! - wykrzyknął Palmerston oszołomiony. - Co mu się stało? I kiedy? Katrin, przepraszam, że taki jestem natrętny.

- Nie mogłeś wiedzieć - westchnęła. - Umarł jakieś cztery miesiące temu. Utopił się. Pamiętasz, kupił działkę za Parramattą, pastwisko dla owiec. Ale tam były powodzie. Jack utonął, kiedy próbował wrócić rzeką.

- A to ci dopiero! - Palmerston pokręcił głową. - Biedny Jack! Ale co ty teraz poczniesz?

- Prowadzę pub, i tyle. Nie ma sensu rozczulać się nad sobą. Chodźcie, postawię wam drinka.

Pierwszy wieczór w Sydney okazał się burzliwy, pani Boundy szczerze stawiała drinki, by uczcić powrót Roleya. Pace nie widział dotąd, by żałobny strój tak dobrze wyglądał jak na tej postawnej kobiecie w czarnej jedwabnej sukni z jedyną ozdobą, perłową broszą przy wysokim kołnierzu. Miała zaraźliwy śmiech, zaskakujący u kobiety, dudniący, kłębiący się w

gardle, chociaż potrafiła też ostro zganić, kiedy jedna z dziewcząt rozlała trunki, niosąc tacę z kieliszkami.

Nie zdradził się ze swoją reakcją na surowe słowa tej kobiety o słodkiej twarzy, ale nagła zmiana jej nastroju przestraszyła go, rozczarowała. No cóż, powiedział sobie, albo się jest szefem, albo nie. Ona po prostu odgrywa swoją rolę.

Rano obudził się z potwornym kacem. Ze zdziwieniem stwierdził, że nie jest w pokoju, który przydzieliła mu Katrin. Pokręcił głową, próbując przypomnieć sobie zdarzenia nocy, a potem wybuchnął śmiechem.

Oczywiście! W którymś momencie wyszedł z Gwynneth, Walijką, jedną z usługujących dziewczyn, która powiedziała mu, że za określoną cenę może dzielić z nią łóżko. Zapomniał zapytać o wysokość sumy, ponieważ jednak Gwynneth nie było, zostawił dziesięć szylingów pod cienką jak papier poduszką. Warto było. Poza tym przez całą noc nie wydał ani pensa i doskonale się bawił.

Umył się i wrócił do swojego pokoju, żeby przebrać się w czystą koszulę, a potem poszedł do kuchni. Gwynneth już pracowała, obierała warzywa.

W świetle dnia zauważył, że jej twarz przecina szeroka blizna, ale nic nie powiedział. Biedna kobieta, przypomniał sobie teraz, jak mówiła, że cały personel hotelowy to więźniarki. Weszła kucharka i podała mu śniadanie składające się z owsianki, jajek i wielkiego plastra wołowiny,

83

zdecydowanie za obfite po miesiącach chudych posiłków na pokładzie „Emmy Jane”, ale postarał się tej dobrej kobiety nie zawieść. Obie z Gwynneth wiedziały wszystko o mieście i chętnie odpowiadały na jego pytania.

Kiedy opuszczał cichy o tej porze hotel bocznymi drzwiami, wiedział dokładnie, dokąd idzie: do baraków więziennych koło parku, skąd skazańców wysyłano do pracy. Zamierzał warować przy bramie, nawet przez wiele dni, jeśli będzie trzeba, chciał bowiem poznać zwyczaje osadzonych.

Słońce grzało mu plecy, gdy szedł długą ulicą, mijając sklepy, z których dumny byłby Dublin, zaglądając na stragany, do lombardów i pubów. Przeciął na skos pustą działkę, na której pasły się tłuste krowy, i kiwnięciem głowy pozdrowił praczki z wielkimi koszami. Z każdym krokiem coraz lepiej wyczuwał atmosferę miasta. Uśmiechnął się do siebie.

- To miejsce nie jest żadnym więzieniem.

Kiedy wszakże skręcił za róg, jego oczom ukazało się więzienie i szubienica, na której wciąż wisiało ciało, czarny cień na tle niewinnie błękitnego nieba.

- Jezu Chryste! -jęknął. Sam siebie oszukiwał, pijany winem i wreszcie syty, otumaniony po nocy z dziewczyną, zauroczony pięknem Port Jackson. Tutaj też byli, zatruwali tę wspaniałą ziemię, tak jak czynili to w Irlandii, stawiali szubienice na rozstajach jako znak swego barbarzyństwa. Dostrzegął już wysokie ściany więzienia i strażników przy ciężkich żeliwnych wrotach. W uszach zabrzmiał mu głos Dana Ryana, naglącego go do odwrotu, ale widok szubienicy na nowo rozniecił w nim gniew i umocnił w postanowieniu, by odnaleźć rodaków.

Przez cały ranek siedział na ławce po drugiej stronie ulicy i obserwował szczękających łańcuchami więźniów, bacznie każdemu się przypatrując. Kobiety powiedziały mu, że tylko grupy wykonujące prace w mieście

mieszkają w barakach, pozostali czekają tu na przydział.

Widok mężczyzn z trudem stawiających kroki w ciężkich łańcuchach doprowadzał go do wściekłości, ale koncentrował się na najważniejszej sprawie. Nie mógł sobie pozwolić na przegapienie jakiegokolwiek twarzą.

Około południa dwóch cywilów wjechało konno na teren więzienia, a krótko potem wyładowany po brzegi wóz zatrzymał się przed bramą.

Konie stały cierpliwie, ogonami odganiając muchy,

84

podczas gdy woźnica poprawiał sznury i sprawdzał brezentowe okrycie.

Mniej więcej godzinę później cywile wraz z dwoma żołnierzami opuścili więzienie. Skręcili na drogę i zatrzymali się przy wozie.

Dwaj przechodzący drogą mężczyźni także stanęli, by popatrzeć.

- Kim jest ten gość? - zapytał ich Pace, wskazując starszego z cywilów, który miał na sobie dobrej jakości strój i szpicrutę wetkniętą pod pachę. - Wygląda jak wojskowy.

- To major Mudie - wyjaśnił jeden z nieznajomych.

- Właściciel ziemski bogaty jak król, ale diabeł wcielony. Okrutnik.

- I w dodatku sędzia - dodał drugi. - Z nim nie ma dyskusji. - Splunął, by podkreślić swoją pogardę. - Jest właścicielem wielkiej farmy, którą nazwał Castle Forbes. Ten drugi to Larnach, jego zięć i zarządca. Wcale nie lepszy.

Wkrótce brama się rozwarła i wyprowadzono czterech więźniów z niedokładnie zgolonymi brodami.

- Ha! Widzisz? - powiedział jeden z nieznajomych.

- Mudie wybiera najlepszych. Zawsze jest pierwszy. Wczoraj przybył nowy transport.

- Jakże to? - spytał skonsternowany Pace.

- Mudie płaci komendantowi Noble'owi i wybiera robotników na swoją farmę. Szuka krzepkich. Harują u niego jak woły, więc muszą być wielcy i silni.

Więźniów popchnięto w stronę wozu i przykuto łańcuchami do tylnej deski. Woźnica skoczył na kozioł i trzasnął batem.

- Wišta wio!

Mudie pojechał na czele małej kawalkady, wóz gwałtownie ruszył, zatrzeszczały obite metalem koła, więźniowie potoczyli się do przodu. Żołnierze najwyraźniej się nie śpieszyli, rozmawiali ze strażnikami, podczas gdy Larnach w kapeluszu naciągniętym na oczy pokłusował, by zrównać się z Mudiem.

Pace wpatrywał się w więźniów. Kiedy się zbliżyli, rozpoznał jastrzębią twarz Jacka Drew, tego, który powiedział kapitanowi, co o nim myśli.

Następnego nie potrafił rozpoznać, za to obok szedł człowiek, który wyglądał jak O'Meara. Pace wyszedł na drogę, żeby lepiej się przyjrzeć, i zobaczył Brosnana. Pobiegnął im naprzeciw.

85

- Hej, Brosnan! Dokąd was zabierają?

Brosnan spojrzał na niego zdziwiony, po czym usunął się i szturchnął O'Mearę, wskazując mu Pace'a.

O'Meara wychylił swą byczą głowę; twarz wykrzywił mu gniew.

- Erin go Breagh! - krzyknął buntowniczo.

Larnach usłyszał okrzyk, zawrócił konia i pokłusował, wyciągając bat z uchwytu przy siodle. Z odgłosem przypominającym wystrzał zamachnął się i przeciągnął po plecach O'Meary. Na koszuli z szorstkiego płótna



pojawiła się krwawa linia.

- Ty łajdaku! - krzyknął Pace, jak zwykle reagując błyskawicznie, za szybko dla Larnacha. - Ty przeklęta świni! - Pociągnął za bat, zrzucając Larnacha na ziemię, po czym wymierzył mu cios pięścią prosto w twarz. - Trzymaj ten swój diabelski bat przy sobie!

Przy wtórze obelg Larnacha rzucili się na niego żołnierze i strażnicy.

Odciągając go, kopali i miażdżyli ciężkimi butami, a O'Meara krzyknął:

- Jesteś cholernym głupcem, MacNamara!

Siedział w celi bez okien, posiniaczony, pobity, z jednym okiem zapuchniętym i przeszywającym bólem w lędźwiach. Wokół panowały ciemności, za to kamienna podłoga była sucha. Pomacał ręką po ścianie, odnajdując tylko nowe źródła bólu w ciele, i oszołomiony zadawał sobie pytanie, po co się męczył. Znowu złożył głowę na zimnej podłodze. Każdy ruch oznaczał większy ból. To minie, powtarzał, musisz tylko leżeć. Koło jego twarzy uchyliły się drzwi, na ziemi postawiono dzbanek z wodą i położono skibkę chleba. Napił się, ale jedzenia nie tknął, na samą myśl wzbierały w nim mdłości. Był wdzięczny za ciszę i mrok w celi, bo nic go nie drażniło i nie wzmagało łupania w głowie. Prawdziwa laska.

Podniósł się na nogi. Kości mu trzeszczały, mięśnie się nie poddawały, jak wyschnięte sznury. Nie żałował, że uderzył Larnacha, i uśmiechnął się na wspomnienie O'Meary nazywającego go cholernym głupcem. Typowe dla tych ograniczonych drani, lubią prowadzić własne wojenki, nigdy nie ma z nich większego pożytku w walce, ale okazują wielkiego ducha i całym sercem kochają Irlandię.

Przynajmniej wiedział teraz, gdzie wysłano dwóch jego pobratymców, chociaż nie był pewien, jaki los spotka Pace'a MacNamare.

Doszedł do wniosku, że nawet w koloniach wspinała brytyjska sprawiedliwość musi mieć coś do powiedzenia. Nie mają prawa więzić go bez procesu, zresztą to nie było prawdziwe więzienie, tylko baraki. Stosują tu takie same sztuczki jak w kraju, zabierają więźniów do wojskowych koszar, poza zasięg cywilnego prawa. Jedyna różnica polegała na tym, że tutaj to były baraki dla skazańców. Będą musieli go zwolnić albo postawić przed sądem, a tam powie im, co o tym myśli.

Na górze komendant Noble gryzł palce w swoim gabinecie. Nie wiedział, kim jest ten więzień, dlatego wezwanie go na przesłuchanie mogłoby okazać się niebezpieczne, w barakach ściany miały uszy, a więźniowie dysponowali sposobami porozumienia się ze światem zewnętrznym. Im szybciej Mudie zabierze tego gościa z baraków, tym lepiej, ktoś na pewno go szuka.

I rzeczywiście. Palmerston i Katrin Boundy wszędzie o niego wypytywali. Okazało się, że pił do późnej nocy w pokojach dla służby z Ruby i Gwynneth, a w końcu wylądował w łóżku Gwynneth. Pani Boundy była wściekła, ale na razie nikogo nie ukarała. Dziewczyny szeptały między sobą, że Irlandczyk wpadł jej w oko, choć każdy wyraźnie widział, że ona z kolei wpadła w oko Roleyowi Palmerstonowi.

Niektórzy spośród personelu uważali, że MacNamara mógł zapuścić się w dzielnicę Rocks, ale Ruby oznajmiła, że był na to za sprytny. Katrin miała dobre stosunki z konstablami, którzy przeszukali ten teren, ale nie znaleźli ani śladu.

Kilka dni później Palmerston przypomniał sobie Williama Macarthura i tak długo czekał pod budynkiem Australijskiego Towarzystwa Rolniczego,

aż posiadacz ziemski się pojawił.

- Mógłbym zamienić z panem słowo, sir?
- Czy ja pana znam?
- Jestem pierwszym oficerem na „Emmie Jane”, sir. Zatrudnił pan u siebie do pracy przy koniach mojego przyjaciela MacNamara.

William skinął głową.

- Owszem. Ja zawsze dotrzymuję słowa. Gdzie on jest?
- Zaginął, sir. Nie możemy go znaleźć. William wzruszył ramionami.
- To kończy sprawę - oznajmił i otworzył drzwi na ponurą klatkę schodową, która prowadziła do sali obrad.

87

- Nie - upierał się Palmerston. - MacNamara to porządny człowiek. Jestem przekonany, że coś mu się stało.

William nie przerwał wchodzenia po stopniach i sfrustrowany Palmerston krzyknął za nim:

- Pańska strata, sir!
- Nie można stracić czegoś, czego się nigdy nie miało - napomniął go William, ale Palmerston wiedział, że ryba połknęła haczyk, ciekawość wzięła górę.
- Pace MacNamara zaginął! Chciał u pana pracować.
- Ale co ja mogę zrobić?
- Zna pan jego nazwisko, wie, jak wygląda. Może pan upomnieć się o niego jako o swojego pracownika. Może pan popytać w miejscach dla mnie niedostępnych.
- Bardzo dobrze, popytam tu i tam. Gdzie pana znajdę, jeśli czegoś się dowiem?

- W hotelu Nelson przy King Street.
- A tak. Hotel nieszczęsnego Boundy'ego. Teraz naprawdę muszę już iść. Dwa tygodnie później „Emma Jane” opuściła Port Jackson z wielkim ładunkiem zboża i wełny. Na pokładzie wszyscy, począwszy od kapitana, skończywszy na majtkach, żałowali, że odpływają, nie mając wieści o MacNamarze, ale Katrin Boundy przyrzekła, że nie zaniecha poszukiwań. Bosman uważał, że Pace musiał wpaść w ręce jakichś zbójów i jego ciało wrzucono do morza, a Palmerston, acz z wielkim żalem, skłaniał się ku temu pogładowi.

Tymczasem Pace'a MacNamarę pewnego wieczoru postawiono przed zaprzyjaźnionym z Mudiem sędzią, który za sześć tłustych jagniąt uznał Irlandczyka za winnego napadu i pobicia oraz skazał na czternaście lat ciężkich robót w więzieniu Bathurst.

## ROZDZIAŁ Dwunasty.

Umknąwszy Forrestom i upewniwszy się, że cały dobytek jego i Georginy znalazł się w bezpiecznym miejscu, Jasin zdołał znaleźć dorożkę, która miała ich zawieźć do Wilkin House, usytuowanego, jak wyjaśnił stangretowi, przy South Head Road.

88

- Wiem - odparł stangret. - Dom Jimmy'ego Wilkina. Jasin nieco się przestraszył.
- Odniosłem wrażenie, że jego właścicielem jest pan John Horton.
- Teraz tak. Ożenił się z córką, kiedy staruszek kopnął w kalendarz. Jasin pomógł Georginie wsiąść.
- Fatalnie, że Horton nie wyszedł nam na spotkanie, ale musiał mieć ważny powód.

- Lepiej, żeby tak było. To strasznie irytujące. Mógł przynajmniej przysłać powóz. Skłaniam się ku myśli, że powinniśmy wynająć pokój w hotelu.

- To byłaby strata pieniędzy. W końcu Horton nas zaprosił. Pojedziemy do niego. Przejazdźka dobrze nam zrobi po rejsie tym obrzydliwym statkiem. W mieście droga trochę się poprawiła, władzę nad okolicą przejęły dziwne wysmukłe drzewa z cętkowanym listowiem. Za nimi małe farmy i chaty sprawiały wrażenie opustoszałych w południowym upale. Ciszę przerywały jedynie rytmiczny stukot końskich kopyt i szczęk kół, powietrze stało nieruchome, nie mącił go najmniejszy powiew.

Jasin miał wiele spraw do przemyślenia; teraz musiał zastanowić się nad tym, jak przeżyją w kolonii kilka następnych lat, nim będą mogli wrócić do Londynu. Spadek Georginy kurczył się zastraszająco szybko, a Jasin wiedział, że nie może się spodziewać pomocy od ojca.

Poza zawierzeniem swojej szczęśliwej gwiazdzie przy stoliku do gry albo zakładach końskich nie przychodziły mu do głowy żadne inne pomysły na zdobycie funduszy, nie tracił jednak optymizmu. Przypomniawszy sobie listy Hortona, w których ten pisał, że wielu ludziom udało się zdobyć fortunę w Nowej Południowej Walii. Trzeba się tylko dowiedzieć, jak to zrobili.

Minęli kilka dość wytwornych domów, położonych daleko od drogi. Za rogiem zobaczyli wielki dwór z bardzo ładnym ogrodem.

- Czy to tutaj? - zawołał Jasin do stangreta, ale ten pokręcił głową.

- Nie, została nam jeszcze mila.

Jasin ujął Georginę za rękę. Nie miał pretensji, że narzekała, wręcz przeciwnie, zgadzał się z nią. Był przekonany, że żona

zasługuje na lepsze życie niż to, jakie dotąd był w stanie jej zapewnić,

słusznie więc domaga się odpowiednich standardów. Zachowała się przyzwoicie, zgadzając się jechać z nim do kolonii, aczkolwiek była na tyle uczciwa, żeby przyznać, iż alternatywą był powrót do matki mieszkającej w hrabstwie Sussex. Dom tej kobiety był ponury i zimny, ona sama zaś nieustannie nosiła żałobę po jakimś dalekim krewnym. Jasin czasami się zastanawiał, czy teściowa kiedykolwiek usuwa z domu czarne draperie.

- Jesteśmy na miejscu! - zawołał stangret i zeskoczył z kozła, żeby otworzyć bramę.

Georgina wyjęła małe flakonik perfum i musnęła twarz delikatną koronkową chusteczką.

- Muszę okropnie wyglądać - westchnęła zmartwiona, ale Jasin zaprzeczył.

- Moja droga, wyglądasz prześlicznie.

Powóz jechał krętym podjazdem pomiędzy rozłożystymi drzewami.

Wreszcie ich oczom ukazał się dom, najdziwniejszy, jaki Jasin w życiu widział, zbudowany z kamienia jak chata robotnika, ale w ładnym piaskowym kolorze, i otoczony szerokimi werandami.

Przez otwarte frontowe drzwi wybiegła na schody kobieta.

- Heselwoodowie! Dobry Boże, musicie być Heselwoodami!

Jasin skłonił się i obdarzył ją swym najbardziej czarującym uśmiechem.

Kobieta zachichotała, kołysząc lokami.

- Jakie to straszne! To znaczy... John wyjechał!

Jasin odwrócił się, żeby pomóc Georginie wysiąść. Wstrząsnęła nim informacja, że Horton jest nieobecny, ale teraz już nie mógł sobie pozwolić na zmianę planów.

- Rozumiem, że mamy przyjemność z panią domu, żoną pana Hortona?
- O tak, jestem Vicky. Proszę do środka. Tak mi przykro. Nie oczekiwałam państwa tak szybko.

Georgina zebrała obfitą spódnicę i ruszyła za nią po schodach.

- Mam nadzieję, że nie przybywamy nie w porę, pani Horton. Prawda, nasz statek przybił do portu przed czasem...

- I nikt po was nie wyszedł! - przerwała jej Vicky. - To okropne. John bardzo się zmartwi.

90

- Nic się nie stało - odrzekł Jasin, z ulgą przekonując się, że wewnątrz domu jest dość przyjemne.

Vicky, której usta ani na chwilę się nie zamykały, poprowadziła ich szerokimi chłodnymi korytarzami do pokoju. Jasin ukradkiem wymienił spojrzenia z Georginą. Po raz pierwszy w życiu pani domu osobiście pokazywała im pokój i byli tym zakłopotani.

- Tak wiele o was słyszałam - mówiła Vicky. - Nie mogłam się doczekać, kiedy cię poznam, Jasinie. Mogę tak się do ciebie zwracać?

- Oczywiście - mruknął.

- John tyle mi opowiadał o waszych szkolnych czasach, o tym, jak świetnie się bawiliście. Pewnego dnia zabierze mnie do Londynu. A ty, Georgino... o tobie mówił, że jesteś królową londyńskiego towarzystwa. Och, taka jestem podniecona! Mówił, że jesteście najpiękniejszą parą w mieście, i wcale w to nie wątpię. - Otworzyła drzwi i wbiegła do środka, żeby odciągnąć zasłony.

W długim pokoju pyszniło się mahoniowe łóżce z baldachimem. Wysokie drzwi balkonowe prowadziły na werandę, gruby kwadratowy dywan

barwy mchu zakrywał prawie całą podłogę, pod ścianą stały miękkie fotele.

- Mam nadzieję, że pokój wam odpowiada! -wykrzyknęła Vicky. - Jeśli czegoś będziecie potrzebowali, po prostu powiedzcie. Och, ależ mi głupio, że nie przygotowałam się na wasze przybycie.

- Czuję się jak kucyk na pokaz - szepnął Jasin do żony, ta jednak zignorowała jego uwagę, stojąc sztywno i czekając, aż Vicky wyjdzie. Jasin niemal słyszał jej gniewne tupanie.

W końcu Vicky ruszyła do drzwi.

- Przyślę wasz bagaż. I pewnie umieracie z ochoty na filiżankę herbaty. Przyjdźcie do salonu, kiedy będziecie gotowi. - Starannie zamknęła za sobą drzwi.

Georgina rzuciła kapelusz na łóżko.

- Doprawdy! Co za osoba! Na początku wzięłam ją za gospodynię. Ale to żona Hortona. Jego matka dostałaby ataku.

- Cóż, w każdym razie pieniędzy im nie brakuje, sądząc po tych sprzętach - stwierdził Jasin.

- Racja - odrzekła Georgina. - Prawdę mówiąc, wolałabym zjeść podwieczorek tutaj, ale pani domu może zechce się do nas przyłączyć. - Usiadła na łóżku, podziwiając puchową kołdrę

91

i poduszki w białych poszewkach obszytych piękną koronką.

- Muszę przyznać, że pościel ma szalenie wytworną. I tak tu czysto, nigdzie nawet pyłku.

- Tak, to wielka ulga po tym okropnym statku. Jestem niemal w stanie wybaczyć Hortonowi, że po nas nie wyszedł. Ciekaw jestem, gdzie się



podziewa.

- John przebywa w naszej posiadłości w Hunter Valley

- wyjaśniła Vicky przy herbacie, podsuwając gościom tacę z kanapkami. -  
Pewnie jesteście głodni.

Po gorących rogalikach z dżemem i gęstą śmietaną przyszła kolej na galaretki i najróżniejsze ciasta, na których widok ślinka napływała do ust.

Ku zachwytowi Vicky Jasin jadł z apetytem; tłumaczył, jaką odmianą są smaczne potrawy po obrzydlistwach, które serwowali im na statku.

Wokół nich krążyły dwie pokojówki, nalewając herbatę i zabierając puste talerze. Georgina z wysiłkiem zachowała powagę, kiedy Vicky je przedstawiła.

- To jest Lettie, a to Bridie. Będą na wasze usługi. Dziewczęta dygnęły z uśmiechem, a Georginę bardzo

ubawił widok zaskoczenia na twarzy Jasina. Uświadomiła sobie, że po raz pierwszy od wyjazdu z Londynu zdołała się nieco odprężyć, może więc ta wizyta w koloniach nie będzie jednak taka zła.

- Kiedy spodziewasz się Johna w domu? - zapytał Jasin.

- Za dzień lub dwa - odparła Vicky. - Jeśli się nie pojawi, wyślę do niego posłańca z wiadomością o waszym przyjeździe. Ale poczekacie, prawda?

- Jeśli nie sprawimy kłopotów - rzekła Georgina.

- Jak daleko jest ta posiadłość? - Jasin wciąż był zdezorientowany. - To jakieś gospodarstwo?

- Farma owcza, nazywa się Chelmsford. Kupił ją mój ojciec, ale nie przepadał za buszem. Brakowało mu pubu i przyjaciół.

Jasin zakaszłał.

- Twój ojciec był właścicielem hotelu?

- Tak, i tam poznał Johna. Szukał zarządcy do Chelmsfordu i John przyjął tę pracę.

- Horton prowadzi hodowlę owiec? - zdumiał się Jasin.

92.

- O tak, daję słowo. Jest teraz większa, stado liczy kilka tysięcy sztuk. Przynosi ogromne zyski. John i ja mieszkaliśmy tam po ślubie, ale po śmierci ojca przenieśliśmy się do tego domu. To było smutne. Tatuś zawsze marzył o takim domu, ale umarł, nim skończono budowę.

Sprzedaliśmy hotel i zatrudniliśmy zarządcę w Chelmsfordzie. Ostatnio jednak były z nim problemy, dlatego John wyjechał.

- A gdzie znajduje się ta farma? - dążył Jasin.

- W Hunter Valley, około stu mil na północ - wyjaśniła Vicky. - Wybaczcie, ale teraz już pójde, mam parę spraw do załatwienia. Rozgoście się, proszę. Czy kolacja o ósmej wam odpowiada?

- Oczywiście - przytaknęła Georgina, myśląc o tym miękkim, zapraszającym łóżku. Będzie wygodnie odpoczywać przez całe popołudnie.

Jasin wyszedł na werandę, żona podążyła za nim.

- I co ty o tym wszystkim myślisz? - zapytał, ale Georgina położyła palec na ustach: okna balkonowe były pootwierane i ktoś mógł ich podsłuchać. Wolno poszli ku schodom na końcu werandy.

- Przejdę się do bramy - oznajmił Jasin. - Rozprostuję nogi. Masz ochotę mi towarzyszyć?

- Nie, dziękuję, zamierzam się położyć.

Chwilę odprowadzała go wzrokiem, później odwróciła się i zajrzała do wygodnego saloniku. Ze zdziwieniem zobaczyła, że Vicky siedzi przy

biurku ustawionym tuż koło drzwi. Uniosła głowę i uśmiechnęła się.

- Lubię tu pracować, bo widzę stąd bramę i wiem, kiedy John wraca do domu.

Nazajutrz przy śniadaniu Jasin był znudzony i niespokojny. Georgina pozostała w łóżku, twierdząc, że jest wyczerpana, musiał więc samotnie stawić czoło Vicky. Męczyła go jej nieustanna paplanina i irytował dziwny posiłek złożony z wołowiny i jajek.

Nie potrafił sobie wyobrazić, czym kierował się Horton, poślubiając równie pospolitą osobę, poza oczywiście powodami finansowymi. Nawet jednak w takim wypadku wydawało się to dość desperackim krokiem.

Georgina powiedziała, że Hortonowie sprawiają wrażenie szczęśliwej pary, tak przynajmniej

93

twierdzi jego żona, ale dlaczego nie miałyby być szczęśliwa? Horton to dżentelmen i porządny człowiek. Dla niej to doskonała partia.

- Jeździsz konno, Jasinie? - Vicky przerwała mu rozmyślenia.

- Tak.

- Cóż, w takim razie o ile nie masz innych zajęć, może wybierzesz sobie któregoś konia? Przejazdźka poprawi ci nastrój.

Spojrzał na nią gniewnie. Jak śmie traktować go tak protekcyjnie!

Jednakże perspektywa wydostania się na jakiś czas z domu przytłumiła zdenerwowanie.

- Doskonały pomysł. Pójdę się przebrać. Vicky ruszyła do kuchni.

- Powiem Fredowi, żeby osiodłał Dossie. Ona zna okolicę.

Jasin zgrzytnął zębami. Nie wyobrażał sobie, żeby nawet po powrocie Hortona mógł dłużej tu przebywać, dokąd jednak mieliby się przenieść?

Postanowił nie zwierzać się ze swoich trosk Georginie, ona wszakże miała własne rewelacje.

- Jasinie, miałam przerażający poranek. Te dwie pokojówki przyniosły mi śniadanie, można odnieść wrażenie, że to one są właścicielkami. I posłuchaj - zniżyła głos do szeptu - to więźniarki, same mi o tym powiedziały. Przywieziono je tu Bóg wie skąd i mówią o tym wprost. A jakby tego było mało, cała służba to więźniowie!

Jasin przebrał się czym prędzej. Nie potrafił wyjaśnić powodów zatrudniania takich osób, stwierdził tylko, że nie wyglądają groźnie.

- I jak? - zapytał, obciążając marynarkę i nasadzając czapkę.

- Bardzo poprawnie - odparła Georgina. - Ale poczekaj, omal nie zapomniałam... to nie wszystko. Biedny Horton jest w buszu, gdzie roi się od dzikich tubylców i setek bandytów, którzy uciekli z więzienia. Mówią, że pani Horton przez cały czas modli się, żeby mąż wrócił żywy.

- Moja droga Georgino - powiedział Jasin przeciągając zgłoski - a od kiedy to słuchasz paplaniny służących? - Wziął szpicrutę i wyszedł. Zamykając drzwi, miał wrażenie, że zostawia za nimi problemy nie do rozwiązania. Dopiero teraz doń dotarło,

94

jaką lekkomyślnością była nagła decyzja o wyjeździe do Nowej Południowej Walii. Był zły na Hortona, że wysunął taką sugestię. I był zły na ojca, obwiniając go o swe obecne trudności.

To ojciec nalegał, żeby Jasin wstąpił do regimentu Harralda, w przeciwieństwie jednak do brata nienawidził wojskowego życia; nie potrafił znieść ciągłych rozkazów i życia według regulaminu, szybko więc zrezygnował. Ojciec wpadł we wściekłość, po czym zaczął oskarżać syna

o hulaszcze życie w Londynie i trwonienie wielkich sum w klubie. Ale co miał robić? Żaden Heselwood nie mógł myśleć o handlu. A jeśli w rodzinnym skarbcu nie starczało funduszy na utrzymanie trzech synów, to nie była jego wina. Nie widział sensu dalszego przebywania w Moor House, zwłaszcza że najstarszy z braci, Edward, już zapewnił sobie tytuł i posiadłość.

Łatwo oczekiwać od kogoś, że będzie zachowywał styl życia odpowiadający jego pozycji w hierarchii społecznej, rozmyślał Jasin, tylko nikt nigdy nie wyjaśnił mu, jak można to zrobić bez pieniędzy. No chyba że wżeni się w majątną rodzinę... Z jego strony aktem buntu było małżeństwo z Georginą, która w posagu niedużo miała do zaoferowania poza wielkim nazwiskiem, i Jasin nigdy tego nie żałował, ale ojciec jeszcze bardziej się od niego oddalił.

Teraz, niepokojąc się o bezpieczeństwo Hortona, całą winą obciążał rodzinę. To oni ponosili odpowiedzialność za to, że znalazł się w tak trudnej sytuacji.

Przeszedł na ukos przez dziedziniec w kierunku stajni. Jego brat Edward był dobrym człowiekiem, dość rozpieszczonym, ponieważ ciągle niedomagał. Ojciec nalegał, by spadkobiercą został syn pierworodny, co spowodowało rozdźwięk między braćmi. Edward wydawał się zadowolony, przyjemność sprawiało mu życie na wsi, ale dlaczego to samo miałby robić Jasin? Po śmierci ojca całość stanie się własnością Edwarda i Jasin nie będzie miał nawet prawa do własnej sypialni.

- O Boże -jęknął, modląc się o bezpieczeństwo Hortona. Mógł liczyć na pożyczkę od przyjaciela, jeśli sytuacja się pogorszy, a pogorszy się na pewno. Chociaż była dopiero dziesiąta rano, oddałby wszystko za

szklaneczkę brandy. Nerwy miał w strzępach. Miesiące spędzone na morzu, rozważania o zaletach i wadach tej szalonej decyzji przypłacił desperacją i poirytowaniem.

95

Kiedy zobaczył osiodłanego konia, ogarnęła go wściekłość. Wierzchowiec był pospolity, przysadzisty i nudny jak flaki z olejem, w sam raz dla matron. Jeśli tak pani Horton ocenia jego umiejętności jeździeckie, to będzie musiała się jeszcze raz zastanowić. Minął stajennego i ruszył, przystając przy każdym boksie.

- Jak się nazywa? - zapytał, szpicrutą wskazując energicznego karego araba z białą plamką na czole.

- To Prince Blue.

- Osiodłaj go. Stajenny się wzdrygnął.

- To koń pani, sir.

- Doprawdy? Jestem pewien, że przebieżka dobrze mu robi.

- Pani Horton nie lubi, jak ktoś inny jeździ na jej koniu - sprzeciwił się stajenny, podczas gdy koń przebierał nogami i głośno dyszał, wietrząc okazję.

- Bzdura. Osiodłaj go i wyprowadź.

Na drodze poczuł się wreszcie wolny. Powiał chłodny wietrzyk, niosąc intensywny aromat eukaliptusów, który Jasinowi wydał się dziwny, aczkolwiek całkiem przyjemny. Oczyszczający zapach. Koń szedł luźnym kłusem; Jasin, zadowolony z jego lekkiego kroku, z uznaniem poklepał zwierzę po karku. Na rozstajach skręcił w głąb łądu i popuścił cugli.

Prince Blue z ochotą ruszył galopem, uwalniając energię zmagazynowaną w potężnych mięśniach, i Jasin ze śmiechem go ponaglił.

- Ten koń jest za dobry dla kobiety! - zawołał. Takiego wierzchowca pragnąłby mieć na własność. Ściągnął cugle, zmuszając konia do kłusa, i jechał polnymi drogami, rozglądając się po okolicy.

Przy lunchu widział wyraźnie, że Vicky nie była zadowolona z jego wyboru wierzchowca, nic jednak nie powiedziała, najwyraźniej nie chcąc denerwować przyjaciół Johna, Jasin udał więc, że rozumie się samo przez się, iż co rano będzie brał Prince'a Blue.

Przez następnych kilka dni towarzyszyła mu Georgina, z wdziękiem godząc się na Dossie, choć była doskonałą amazonką, przyzwyczajoną do lepszych wierzchowców. Raz poprosiła Jasina, żeby pozwolił jej wsiąść na Prince'a Blue, ale on nie chciał o tym słyszeć.

- Moja droga - roześmiał się - ja pierwszy go zobaczyłem. Musisz się nauczyć wcześniej wstawać.

96

W sobotę Jasin pojechał sam, ponieważ zapowiadało się na deszcz.

Przejażdżki były dla niego jedynym pretekstem do wyrwania się z nudnego domu. Codziennie spodziewano się, że Horton wróci, dlatego na później odłożyli zwiedzanie miasta.

Przy imponującej bramie zatrzymał go sąsiad Hortona, Lachlan Cormack.

- Zapewne pan jest Heselwoodem, przyjacielem Hortona. Proszę wejść, przedstawię panu moją żonę.

Jasinowi dziwna wydała się taka bezpośredniość, ale nie mając nic lepszego do roboty, zsiadł z konia i ruszył podjazdem do Cormack House, dwupiętrowego dworu, z którego jak później odkrył, rozciągał się wspaniały widok na morze.

Pani Cormack była cichą, zamkniętą kobietą, ale zrobiła mu przyjemność,

mimo wczesnej pory podając schłodzone białe wino. Oboje byli Szkotami, do Nowej Południowej Walii przyjechali dziesięć lat temu, żeby zainwestować w owce. Jasin przypuszczał, że teraz są po czterdziestce; zaintrygowało go, że owce najwyraźniej przynoszą wielkie zyski, ale nie mógł zarzucić ich pytaniami. Poza tym ich bardziej interesowały wieści ze starego kraju.

- Zechce pan zjeść z nami lunch? - zaproponowała Mary Cormack, ale Jasin odmówił.

- Kiedy indziej więc - powiedział Cormack. - Po powrocie Hortona musi pan przyjść do nas z żoną na kolację.

Jasin przyjął zaproszenie, myśląc przy tym, że ostatnio wszystko kręci się wokół Hortona.

Po opuszczeniu domu Cormacków kontynuował spacer, gdy jednak był w drodze powrotnej, nagły deszcz wzniecił kłęby kurzu, błyskawica przecięła pociemniałe niebo, a po niej zadudnił najgłośniejszy grzmot, jaki Jasin słyszał w życiu. Podskoczył przestraszony, za to koń tylko gniewnie rzucił łbem. W ciągu kilku minut niebo przybrało czarną barwę i otoczyła ich ściana deszczu, ale arab pewnie kroczył dalej. Jasin był pod takim wrażeniem, że postanowił zrobić wszystko, by zdobyć tego konia na własność. Chwaląc Prince'a Blue, już wspomniał, że chciałby go kupić, ale Vicky nie potraktowała tego poważnie.

Poprzez ulewny deszcz Jasin zobaczył, że dwaj robotnicy otworzyli bramę, ucieszył się więc, że oszczędzono mu tego zadania. I Byli to mężczyźni o surowym wyglądzie, z bujnymi brodami, okryci kocami, w skórzanych kapeluszach na głowach. Kiedy ich mijał, dostrzegł, że do siodła mają przytroczone sakwy, a przy końskich



łbach w ciężkich olstrach wiszą strzelby, zadał więc sobie pytanie, czy to przypadkiem nie bandyci. Jeden zawołał coś do niego, ale Jasin się nie odwrócił, na wypadek gdyby rzeczywiście okazali się niebezpieczni. Lepiej zrobi, jeśli zaalarmuje domowników. Wtedy jednak zobaczył, że ku bramie biegnie Vicky - bez płaszcza, bez parasola, jakby postradała zmysły, z lokami przyklejonymi do głowy, z twarzą mokrą od deszczu. Wstrzymał wierzchowca, ale ona go minęła.

Jeździec na przedzie niewielkiej kawalkady spiął ostrogami konia, po czym się schylił i podniósł przemokniętą kobietę, sadzając ją na siodle przed sobą.

- Wielkie nieba! - krzyknął Jasin na widok tego spektaklu.

- Heselwood, ty zbroju! - zawołał ktoś do niego. Przyjrząwszy się dokładniej, Jasin zobaczył, że ów brodacz to

Horton. Poznał go po wesołych oczach dandysa, którego niegdyś tak dobrze znał.

- Na Boga! To ty?

Horton ujął dłoń przyjaciela w mocny uścisk, podczas gdy rozradowana Vicky tuliła się do męża.

- Mój drogi! - krzyknął Horton przez szum deszczu. - Co za szczęśliwy powrót do domu!

Dom Hortonów obudził się do życia. Nowy John Horton, z przyciętymi bokobrodami, zamieniwszy robocze ubranie na modny strój, przewodził wystawnym kolacjom, lunchom, wesołym piknikom i trwającym długo w noc karcianym partyjkom. Z całej okolicy zjeżdżali się ludzie, by wziąć udział w przyjęciach i poznać gości z Anglii.

Codziennie rano Horton udawał się do swojego gabinetu, gdzie pracował nad księgami rachunkowymi i przyjmował procesje interesantów. Jasin obserwował jeźdźców, posłańców, agentów i osadników, jak pewnym krokiem zmierzają do biura Hortona. Czuł się pominięty.

Georginie wielką przyjemność sprawiała zazdrość miejscowych kobiet, które podziwiała jej oszalamiające kreacje. Znalazła się w centrum uwagi, prowadziła nawet rozmowy z mężczyznami, choć niektórzy, o ile Jasin potrafił wywnioskować, byli tylko zwykłymi farmerami. Ku jego zdumieniu Vicky i Georgina, mimo że przed powrotem Hortona ich wzajemne relacje groziły

98

konfliktem, teraz stały się nierozłączne. W chwili słabości wspomniął o tym żonie, ta zaś ze spokojem wyjaśniła:

- Mój drogi, zdajesz sobie sprawę, że po raz pierwszy odkąd jesteśmy małżeństwem, nie musimy o nic się martwić? Żadnych wierzycieli, żadnych nie ogrzanych pokoi. Ciesz się tym, kochanie. Dzień zapłaty musi nadejść.
- Nie wiem, co na to odpowiedzieć.
- Więc chodź do łóżka - zaśmiała się - i nie będziesz nic musiał mówić.
- Georgino! Jesteś wstawiona!
- Chyba tak - odparła, ułożona wygodnie na ciepłej białej pościeli.
- Horton się zmienił - narzekał Jasin krążąc po pokoju. - To inny człowiek. Ustatkował się, w tym cały problem. Wiesz, że należy do klubu dżentelmenów w Sydney, ale nie był tam, odkąd tu zamieszkał? - Zapatrzył się na granatowe rozgwieżdżone niebo. - No, rozumiesz, mógłby mnie tam wprowadzić. Mam sprawy do załatwienia.

- Jakie na przykład, mój drogi?
  - Cóż, wiesz, że mam dobrą rękę do kart.
  - Wręcz przeciwnie, sądząc z tego, co słyszę. Powiedziano mi, że przedwczoraj ostrzygli cię do skóry.
  - Co to znaczy: ostrzygli? Skąd bierzesz te okropne wyrażenia?
  - Jak rozumiem, ma to coś wspólnego z owcami. Wiesz jednak, o co mi chodzi. Przegrałeś, kochany. Są lepsi od ciebie. A spodziewałeś się znaleźć łatwe ofiary.
  - I ty w to wierzysz? Georgina wołała nie odpowiadać. Kiedy Jasin i jego przyjaciele grali na pieniądze w Devonshire Clubie w Londynie, rezultaty okrywała tajemnica. Żaden dżentelmen nie nudził damy równie przykrymi szczegółami. Jednakże partie rozgrywane w domu Hortona były otwarcie omawiane. Wszyscy się nimi interesowali, nawet służba. A Jasin regularnie przegrywał z Hortonem i jego przyjaciółmi. Żałowała, że o tym wspomniała, wino rozwiązało jej język i niepotrzebnie zezłościła męża.
  - Strasznie duszno - powiedział. - Przejdę się przed snem.
- Z niesmakiem wciągnął w nozdrza delikatny aromat nocy, obserwował, jak wielki nietoperz kieruje się ku rozłożystemu figowcowi.

99

Mówili mu, że te zwierzęta to latające lisy, zupełnie inne niż wampiry występujące w Europie, mimo to wtulił głowę w ramiona. Wybiła dopiero jedenasta, w klubach gra się rozkręca, a on siedzi tu i gapi się na nietoperze!

- Ha, Jasin! Myślałem, że poszedłeś do łóżka. - Horton opadł na stojący w pobliżu fotel. - Wspaniała noc!
- Cudowna - przyznał Jasin. - Może przejedziemy się do miasta na

partyjkę?

Horton milczał, a Jasin czekał mając wrażenie, że od odpowiedzi zależy jego życie. W końcu nie mógł dłużej znieść tej ciszy.

- Zaszalejemy jak za dawnych czasów - dodał.

- Jasinie, czuję, że cię zawiodłem. Pobyt tutaj musi okropnie cię nudzić, ale ja pożegnałem się z hazardem.

- Aha! Tak mi się zdawało, że trafiłem na nawróconego grzesznika.

- Niezupełnie. Pozwól jednak, że ci to wyjaśnię. Hazard w tutejszych klubach wygląda zupełnie inaczej niż w domu. Wejście do takiego klubu zależy od dwóch czynników, dobrego nazwiska albo pieniędzy. Rzecz w tym, że w Sydney za mało jest dżentelmenów, żeby kluby mogły się utrzymać, więc rozszerzyli członkostwo na naprawdę odrażające typy.

- Dopóki nie oszukują... - zaczął Jasin.

- Nie, czekaj - przerwał mu John. - Wygląda to tak: nowobogaccy próbują przebić dżentelmenów i grają o wysokie stawki. Dla mnie za wysokie, po prostu szalone. I grają za gotówkę. To nie jest gra dla dżentelmenów, chodzi o pieniądze. Nie chcieli nawet przyjąć ode mnie weksla, kiedy tu przyjechałem.

- Przeklęte złe maniere - skrzywił się Jasin. - To istotnie problem, miałem nadzieję, że uda mi się napęścić sakiewkę przy stoliku.

- Pozwól, że cię przestrzegę, z twoim pochodzeniem byłbyś wymarzonym celem dla niektórych z tych parweniuszy. Mają forsy jak lodu. Będą podbijać stawkę. To piekielnie irytujące, a klub nie może nic na to poradzić. Jeśli mogę zapytać wprost, stary druho, jaka jest twoja sytuacja?

- Z praktycznego punktu widzenia można tylko powiedzieć, że właściwie żadna - odparł Jasin z uśmiechem. - Naprawdę muszę coś znaleźć.

- Zawsze możesz zainwestować w ziemię. Istnieje możliwość nabycia za grosze tysięcy akrów poza granicami osadnictwa.

100

- Jeśli poza granicami osadnictwa oznacza to, co podejrzewam, Horton, to chyba postradałeś zmysły.

Horton wybuchnął śmiechem.

- W takim razie zapomnij o ziemi. Znasz gubernatora, powinieneś porozmawiać z nim, zapytać, czy nie ma dla ciebie posady w swoim gabinecie.

Jasin otworzył szeroko oczy.

- Zaczynam wierzyć, że naprawdę masz coś z głową. Najpierw chcesz mnie wypchnąć w dżunglę, a teraz proponujesz, żebym siedział w jakimś obskurnym biurze i kłaniał się w pas temu parweniuszowi.

Horton wstał.

- Posłuchaj, Jasinie, czas pogadać bez owijania w bawełnę. Chodź, poszukamy brandy.

Zasepiony gość podążył za nim. Z Hortona zrobił się prawdziwy mieszczanin, ale brandy chętnie się napije.

- Może zagramy partyjkę cribbage'a?

- Doskonale, ale po kolei. Chciałem ci powiedzieć - zaczął Horton, nalewając brandy do szklaneczek - że czy ci się to podoba, czy nie, zmieniłem tutaj swój styl życia. Teraz jestem z tego zadowolony.

- Oszczędź mi opowiastki o uczciwym robotniku, stary, bo się rozplącę.

Posąg pani Horton na pewno ci się przydał.

- Rzeczywiście się przydał, nie zamierzam tego ukrywać, ale ciężko pracowałem i wiem, czego chcę. I mam dla ciebie propozycję.

- Nie wątpię. Co to jest tym razem?
- Potrzebuję zarządcy farmy w Chelmsfordzie.
- I poważnie proponujesz mi, żebym wyjechał w dzicz i prowadził twoją farmę?
- Tak, tobie jako mojemu przyjacielowi... Jasin liczył karty.
- Na Boga, Heselwood - John nagle podniósł głos - stój spokojnie i słuchaj! Mój świętej pamięci teść nie potrafił zarządzać Chelmsfordem, bo był analfabetą. Do prowadzenia wielkich hodowli potrzebni są wykształceni ludzie. Mnóstwo przy tym pracy papierkowej. Wielu osadników straciło ziemię, bo nie rozumieli zasad. Nie da się tego robić z doskoku. Trzeba prowadzić rejestry zapasów i stad, płacić robotnikom, dokonywać codziennie wpisów do dziennika i tak dalej. Jak myślisz, dlaczego

101

napisałem, żebyś tu przyjechał? Chciałem, żebyś zarządzał Chelmsfordem, jesteś mi potrzebny, mogę ci ufać. Jasin pokręcił głową.

- To wszystko jest nazbyt absurdalne. Doceniam zaszczyt, ale go nie przyjmuję. Bez obrazy, nie nadaję się do takiej pracy. Do diaska, wyschłem na wiór. To piekielnie dobra brandy.
- I nawet się nad tym nie zastanowisz?
- Nigdy w życiu. Wolałbym już wrócić do Londynu.
- Z podwiniętym ogonem, prosto w ramiona komorników?
- Spokojnie, stary! - wykrzyknął Jasin. - To był chwyt poniżej pasa.
- Masz rację, wybacz. Posunąłem się za daleko, tak bardzo chciałem cię przekonać, ale pomyśl o tym. Oferta jest ważna, dopóki nie znajdę zarządcy.

- Co się stało z ostatnim?
- Umarł.
- Z jakiego powodu? Przeszyła go włócznia? Horton wybuchnął śmiechem.
- Jesteś niesamowity, Heselwood! Nie, był chory. Jego żona na razie tam mieszka, zajmuje się domem.
- Jego żona? Zapomniałem o tym aspekcie. Horton, możesz sobie wyobrazić Georginę jako żonę farmera?
- Nie bądź śmieszny. To nie na tym polega. I będziesz miał nadzorcę. Zapomnijmy na razie o tym i zagrajmy w cribbage'a.
- Doskonały pomysł. Wciąż nie chce mi się spać.

Kiedy pierwsze promienie słońca zapowiedziały nadejście dnia, znacząc jasne niebo pasami różu, a z wysokich drzew jęły skrzeczeć sroki, Vicky obudziła się i zaskoczona stwierdziła, że męża wciąż nie ma w łóżku. Narzuciła szlafrok i poszła do kuchni, gdzie służba już zaczęła pracę, a potem ruszyła werandą, z przyjemnością wdychając świeże, wilgotne powietrze. Krowy prowadzono na dojenie, stado białych kakadu kierowało się nad pole kukurydzy, by siać tam spustoszenie.

Zbliżając się do otwartych drzwi, Vicky usłyszała pokrzykiwania i śmiechy dwóch biesiadników. Zajrzawszy do środka, z rozbawieniem zobaczyła, że zwykle starannie ubrany Heselwood zupełnie przestał zważać na pozory: był nieogolony, długie jasne włosy spadały mu na oczy.

- Jeszcze jedna partia i kończymy - oznajmił jej mąż, niepewnie podnosząc się na nogi.

102

- Jeszcze jedna partia - zgodził się Jasin, tak więc Vicky na palcach

odeszła.

Horton uporządkował karty.

- A może tym razem zrobimy zakład?
- Doskonale - powiedział Jasin. - Ale o co?
- Dobry zakład musi zawierać element ryzyka - stwierdził John.
- Ale jeśli ustalimy sumy, a ja przegram, to będę musiał od ciebie pożyczyć, żeby ci oddać - rzekł Jasin. - Bo nie przyjmiesz mojego weksła - dodał i obaj ryknęli śmiechem.

Horton uderzył pięścią w stół, jakby zaprowadzając porządek w sali, i Jasin się wyprostował.

- Tak. A wracając do rzeczy, musimy poważnie się zastanowić, co postawimy. - Rozejrzał się uważnie po pokoju.
- Barometr - zaproponował John. - Postawię mój barometr przeciwko... a ty co masz?
- Nie chcę twojego przeklętego barometru. Musimy się postarać, żeby było warto grać.
- Wiem! - wykrzyknął John, po czym nachylił się i szeptem dodał: - W przyszłym tygodniu są urodziny Vicky. Zawsze chciała fortepian, a ty go masz. Będziemy grać o twój fortepian.
- Hejże, chwila. To fortepian Georginy. Żywcem obedrze mnie ze skóry.
- Zgodziłeś się na wysokie ryzyko - przypomniał John. - A co może być bardziej ryzykowne niż perspektywa obdarcia ze skóry?
- Chyba nie myślisz, że postawię fortepian przeciwko twojemu staremu barometrowi.
- W takim razie przeciwko czemu go postawisz?



- Zakład jest aktualny? - upewnił się Jasin, bo do głowy wpadł mu pomysł.
- Oczywiście.
- Doskonale. Fortepian za konia.
- Jakiego konia?
- Prince'a Blue.
- Chryste, nie. To koń Vicky.
- To fortepian Georginy - odbił piłeczkę Jasin.
- Ale Vicky umie strzelać. Będzie mnie goniła ze strzelbą.
- Więc mamy nasze wysokie ryzyko. Obdarcie ze skóry albo strzał w plecy w czasie ucieczki. - Zaczął bębnić palcami po stole,

103

wpatrując się w Hortona przez obłok niebieskiego dymu. - Jeśli nie masz ochoty, możemy iść spać.

- Zakład stoi - odparł Horton, rzucając karty na stół.

Słyszając obu mężczyzn zataczających się korytarzem i śpiewających rubaszną wersję „Cockles and Mussels”, Georgina wyskoczyła z łóżka i pobiegła do łazienki. Z wielkim ręcznikiem na ramionach i ociekającą twarzą zawołała coś do Jasina, który radośnie pomachał i wciąż nucąc piosenkę, padł w poprzek łóżka. Zdjęła mu buty, wepchnęła go na środek posłania i przykryła kołdrą, po czym zostawiła, żeby chrapał do południa. Ubrała się po cichu i wyszła na dwór, dziwiąc się w duchu, że oto ona, która rzadko wstawiała przed dziesiątą, jest już na nogach o siódmej, a w dodatku sprawia jej to przyjemność. Lubiła jeść pierwszy posiłek dnia w pokoju śniadaniowym, bardzo miłym zakątku domu.

Vicky śmiała się ze stanu, do jakiego doprowadzili się ich mężowie,

ponieważ jednak w pomieszczeniu były pokojówki, Georgina nie potrafiła dzielić jej radości. Była wstrząśnięta, że Vicky pozwala im chichotać.

- Musiało pójść świetnie - powiedziała Vicky, kiedy dziewczęta wyszły. - Zarządzanie Chelmsfordem to dla was idealne zajęcie.

- Nie wiem, wciąż mnie to martwi. Tak mało wiemy o tego rodzaju przedsięwzięciach. W gruncie rzeczy zupełnie nic.

- Nie przejmuj się, Georgino. Na farmie jest doskonały nadzorca. Wie, co robić, a jego żona zajmuje się gotowaniem. Potrzebujemy zarządcy, który będzie tam mieszkał i kierował całością, miał na oku wszystkich pracowników.

Wcześniej Vicky powiedziała o propozycji Georginie, ale obie uznały, że zachowają wiedzę o tym dla siebie, dopóki mężczyźni nie przedyskutują sprawy.

- Dom jest bardzo wygodny - mówiła Vicky - choć oczywiście możesz go urządzić wedle własnych życzeń; na farmie są cieśle. Napiszesz, czego potrzebujesz, a ja z radością ci pomogę. Horton zapłaci za wszystko, co niezbędne do utrzymania domu w dobrym stanie, bo to podnosi wartość posiadłości.

Choć ten radykalny plan budził w niej niepokój, równocześnie Georgina widziała w nim ratunek. Na początek będą mieli dach nad głową. Vicky powiedziała jej, i to bez najmniejszego zażenowania,

104

że zarobią dość pieniędzy, żeby w swoim czasie kupić własną posiadłość. Wydawało się to Georginie dość szokującym krokiem, ale z drugiej strony przypominała sobie siostrę babki, Cecilie, która z szejkiem uciekła na pustynie Lewantu; ta historia nigdy nie była tematem rozmów z obcymi,

za to wywoływała ożywione plotki w rodzinnym kręgu. A hodowla owiec wydawała się jedynym zajęciem dla dżentelmenów w tej części świata.

- Nie potrafię powiedzieć, co zdecyduje mój mąż, ale jeśli uzna, że ta propozycja mu odpowiada, to chyba możemy spróbować.

Georgina wyobrażała sobie posiadłość jak z angielskiej wsi, otoczoną zielonymi polami, ze starannie przystrzyżonymi żywopłotami i łagodnie wijącym się strumieniem, na której jak rozumiała, hodowano o wiele więcej owiec niż zwykle w kraju.

- Nie zapominaj, że jutro idziemy na garden party do rezydencji gubernatora - rzekła Vicky. - Będzie tam zamęt, ale gubernatorowi szczególnie zależy na waszym przyjściu.

- Przyjęcie z pewnością będzie przyjemne - odparła Georgina. Nie mogła się już doczekać i postanowiła, że włoży brzoskwińową suknię z crepe de Chine, obszytą brukselskimi koronkami, i pasujący do niej czepek.

Nazajutrz znowu pojawiła się na wczesnym śniadaniu, sama, bo Jasin jeszcze spał. Zgodnie z jej nadziejami Horton już poszedł do gabinetu na tyłach domu, co dało jej okazję wypytania pani domu.

- Vicky, czy John wspomniał Jasinowi o Chelmsfordzie? Nic mi nie powiedział.

- Jasin odrzucił propozycję - odparła Vicky głosem nabrzmiałym gniewem.

- Och. - Georgina wzięła z tacy kilka plasterków bekonu i usiadła przy stole. W pokoju panowała nietypowa cisza. Czuła lekką ulgę, a jednocześnie rozczarowanie. Bez wątpienia Jasin uznał cały ten pomysł za niemożliwy i przypuszczalnie miał rację, nie było więc sensu omawiać go z żoną. Przyznawała w duchu, że Jasin czasami zachowuje się niemądrze,

ale nie jest głupi. To ona postąpiła głupio, dając się ponieść tej propozycji jak romantyczna pensjonarka. Mimo to nie rozumiała, dlaczego Vicky dąsa się z tego powodu, nie zamierzała też przeproszać za decyzję męża. Jadła śniadanie w pełnym godności milczeniu. Od

105

pani domu zależało, czy zechce się odezwać. Jeśli nie, to niech tak będzie. Vicky sama nie wypila drugiej filiżanki herbaty, nie zaproponowała jej też Georginie. Zamiast tego wstała i odstawiła krzesło na miejsce z głośnym szuraniem i trzaskiem.

- Musimy być gotowi do wyjazdu do rezydencji o drugiej!  
- Dziękuję - odrzekła Georgina spokojnie, pragnąc, żeby zirytowana gospodyni wreszcie wyszła, bo wtedy będzie mogła sobie dolać herbaty sama. Nawet bezczelne pokojówki zniknęły, jak ptaki chowające się przed niebezpieczeństwem, kiedy w pobliżu pojawia się jastrząb, pomyślała Georgina. Jednakże Vicky wciąż stała przed nią nadąsana. Georgina wzięła małą grzankę i posmarowała dżemem.

Vicky, która nie potrafiła z taką łatwością radzić sobie ze stresem jak jej gość, w końcu wybuchła.

- Przypuszczam, że skoro mąż nie powiedział ci o Chelmsfordzie, to nie powiedział ci też o zakładzie?

Georgina z wielką starannością odstawiła pustą filiżankę.

- Nie, nie powiedział - odparła spokojnie. - A powinien?

- Och! - krzyknęła Vicky i sfrustrowana wybiegła z pokoju. Georgina mogła wreszcie nalać sobie herbaty. Humory Vicky bardzo ją zmęczyły. Nieważne, o co się założyli, to nie była sprawa kobiet. Horton i Jasin robili niemądre zakłady przez całe swoje życie, nikt nigdy nie zwracał na nich

uwagi. Vicky zaś okazała fatalne maniery, wyładowując zły nastrój na gościu. Ale czego można się tu spodziewać?

Kiedy do pokoju wszedł Jasin, Lettie przyniosła świeże porcje bekonu i jajek, po czym znowu uciekła. Jasin był w doskonałym humorze.

- Vicky wygląda na podenerwowaną - zauważyła Georgina.

- Przejdzie jej.

- A co mianowicie jej przejdzie, jeśli wolno spytać? Jasin zmagął się z twardym plastrem bekonu, dzięki czemu miał pretekst, by nie odrywać wzroku od talerza.

- Wtedy w nocy Horton i ja graliśmy w cribbage'a o fant. Wygrałem. To była świetna partia, o mało mnie nie pobił.

- A co było tym fantem?

- Koń. Prince Blue.

106

Georgina, która nie miała doświadczeń w hazardzie, nie zapytała, co postawił Jasin.

- Ale to przecież koń Vicky!

- Koń należał do nich obojga. Ona prawie nigdy na nim nie jeździ. Za dobry z niego wierzchowiec, żeby traktować go jak zabawkę. Horton kupi jej innego.

Georgina wzruszyła ramionami. Wciąż była zła na Vicky za jej niegrzeczne zachowanie. Poza tym cieszyła się, że Jasin wszedł w posiadanie dobrego konia - to w istocie były oszczędności.

W powozie, którym jechali do rezydencji gubernatora, Georgina zaczęła jednak żałować tego zakładu. Vicky przeżywała to ciężko, ignorowała wszystkich, nastroju nie poprawiała jej nawet przesadna beztroska jej

męża.

Kiedy powóz skręcił na podjazd rezydencji, przechodnie zaglądali do środka, próbując rozpoznać pasażerów, i Georgina poczuła ulgę, kiedy strażnicy wysłali pieszych boczną ścieżką, a ważnych gości skierowali ku głównej bramie.

Lokaj w liberii otworzył drzwi powozu. Weszli po schodach na werandę, gdzie czekali jego ekscelencja gubernator z małżonką. Po krótkiej pogawędce poprowadzono ich przez dom do ogrodu, gdzie przyjęcie już trwało.

Rozciągał się stamtąd bajeczny widok na połyskliwą zatokę, orkiestra czterdziestego regimentu we wspaniałych mundurach paradnych grała wojskowego marsza powitalnego. Na krzesłach ustawionych koło orkiestry siedzieli goście, którym przyjemność sprawiał koncert, inni, ci mniej ważni, już tłoczyli się przy stołach pokrytych adamaszkowymi obrusami, by uszczknąć coś z podwieczorku.

Lokaj wręczył Hortonowi cztery bilety ze złotą obwódką, które upoważniały ich do wejścia do wielkiego barwnego namiotu, gdzie podawano uroczysty podwieczorek.

John i Jasin poprowadzili damy przez trawniki, pozdrawiając przyjaciół i znajomych. Georgina miło spędzała czas do przerażającej chwili, kiedy zobaczyła nadchodzącą w ich stronę Milly Forrest, która jak zawsze ciągnęła za sobą męża.

Ponieważ Georgina nie przedstawiła ich sobie, Hortonowie ruszyli dalej. Jasin skłonił się zdawkowo Dermottowi, a Milly piskliwie, prawie na jednym oddechu, opowiadała o przyjemności, jaką sprawiło jej zaproszenie do rezydencji gubernatora, oraz o cudownym pobycie w

Sydney.

107

Mając poczucie, że sytuacja czegoś od niego wymaga, Dermott zwrócił się do Jasina.

- Jak układają się pańskie sprawy, panie Heselwood?
- Całkiem nieźle, dziękuję.
- To dobrze. Kolonia jest wspaniałym miejscem, prawda?
- Tak.

Jako że Jasin nie próbował podtrzymać rozmowy, Dermott brnął dalej:

- To śmieszne. Milly i ja ciężko pracowaliśmy i oszczędzaliśmy, żeby tu przyjechać. Widzi pan, chcieliśmy mieć pełne kieszenie, kiedy tu się przeniesiemy, tak na wszelki wypadek. A powinniśmy byli zrobić to dawno temu. Gotówka płynie strumieniem. Warsztat szewski ma tylu klientów, że musieliśmy zatrudnić pracowników, otworzyliśmy też warsztat siodlarski. W naszym okręgu brakuje dobrych siodlarzy. A pan czym się zajmuje, panie Heselwood?

Jasin uniósł brwi. Tym ludziom nie trzeba wiele czasu na nabranie kolonialnych manier. W kraju facetowi pokroju Forresta nawet by się nie śniło zadawać tego rodzaju pytanie. Westchnął znudzony.

- Zastanawiam się nad przejęciem wielkiej hodowli owiec, rozumie pan.
- Och, więc ma pan zamiar zostać posiadaczem ziemskim, co? Cóż, to oczywiście odpowiednia rzecz dla człowieka z pańską pozycją - rzekł Forrest ciężko. - Proszę wybaczyć, panie Heselwood, ale skoro znowu się spotkaliśmy, zastanawiam się, czy mógłbym prosić pana o radę?
- W jakiej sprawie? - zapytał Jasin. Zauważył, że z domu wyszedł gubernator.

- Widzi pan, sir, mam odłożoną całkiem sporą sumkę, którą powinienem zainwestować, ale zupełnie się w tych sprawach nie rozeznaję. Może udzieliliby mi pan kilku wskazówek, kiedy oczywiście znajdzie pan wolną chwilę.

Jasin słuchał go z uwagą, choć nie pokazał tego po sobie. Uśmiechnął się i zamienił słowo z mijającym go znajomym, dopiero potem obojętnie i protekcyjnie odpowiedział:

- Skoro pan uważa, że mogę być pomocny.  
- Byłbym bardzo wdzięczny. Warsztat jest przy Quay Street. Proszę wpaść, jak będzie pan miał czas.

Jasin zmarszczył czoło.

108

- Zobaczymy, co da się zrobić. Ale teraz muszę zabrać żonę, czekają tam na nas.

- Tak, oczywiście. - Dermott cofnął się o kilka kroków. - Chodź, Milly. Pani Heselwood musi iść.

Jasin uśmiechał się pod nosem, kiedy szli w stronę namiotu. Z całą pewnością odwiedzi Forresta, miał już kilka pomysłów, jak Dermott mógłby zainwestować pieniądze.

Sekretarz Macleay przekazał mu zaproszenie od gubernatora, by usiedli przy głównym stole. Jasin odpowiedział z niezwykłą znajomością protokołu.

- Proszę w naszym imieniu, sir, podziękować jego ekscelencji za łaskawość. Z wielką radością przyjmujemy zaproszenie, aczkolwiek nie możemy z niego skorzystać, jesteśmy tu bowiem z naszymi gospodarzami, państwem Hortonami. Byłoby nieuprzejmością z naszej strony zostawić



ich samych.

Macleay odszedł, by przekazać wiadomość.

- Doskonale powiedziane, sir - rozległ się donośny władczy głos. -  
Lojalność to dzisiaj rzadki ptak.

Do Jasina z wyciągniętą ręką podszedł starszy białowłosy mężczyzna.

- Jestem Macarthur, sir, John Macarthur. Pan zapewne jest młodym  
Heselwoodem, a ta urocza dama to pańska żona.

- Zbyt pan uprzejmy, sir - powiedziała Georgina. Jasin spojrział na swego  
rozmówcę z zainteresowaniem. O Macarthurach mówiono z taką  
rewerencją, jakby byli członkami rodziny królewskiej.

- Wręcz przeciwnie - zaprzeczył Macarthur. - Jestem zauroczony. Pańska  
żona, Heselwood, jest piękniejsza, niż mi mówiono. Będę musiał ukarać  
moich informatorów. Idziecie na podwieczorek?

Oboje kiwnęli głowami.

- Zatem ruszajmy. Musimy iść ze wszystkimi, bo wiecie, na takich  
przyjęciach ludzie rzucają się na jedzenie jak szarańcza. Słyszę, że myśli  
pan o zarządzaniu Chelmsfordem, co, Heselwood?

Jasin z wysiłkiem ukrył irytację. Po raz pierwszy znalazł się w miejscu,  
gdzie wszyscy wszystko o wszystkich wiedzieli.

- Horton wspominał mi o tym - odparł.

- To poważna praca. Powinien pan przyjechać do Camdenu i zobaczyć,  
jak to się robi. Za wielu nowych gości pojawia się

109

tu z przekonaniem, że, wszystko wiedzą, a kończy się na tym, że robią  
okropny bałagan.

Jasin zadawał sobie pytanie, czy staruszek próbuje go sprowokować, z

miejscowymi nigdy nic nie wiadomo. Jednakże Macarthur nie przerywał, wciąż mówił, gdy weszli do namiotu.

- Jak powiedziałem, przyjeżdża tu zbyt wielu Anglików przekonanych, że wszystko wiedzą, gdy tymczasem o niczym nie mają pojęcia. To dotyczy też wicekrólów - dodał głośno, patrząc na gubernatora i jego żonę, którzy krążyli między stołami.

Jasin wyszczerzył zęby, rozbawiony tą uwagą. Macarthur, widząc jego reakcję, jeszcze bardziej podniósł głos.

- Pewnego dnia - oznajmił wszystkim - będziemy mieć australijskich gubernatorów. Ludzi, którzy tutaj się urodzili i wiedzą, co robią.

Jego oświadczenie wywołało pożądany efekt: goście szturchali się i wierzili zakłopotani.

Jasin o mało nie wybuchnął śmiechem. Nie dbał o to, kto jest gubernatorem, orientował się natomiast, że Macarthurowi chodzi o zaszokowanie ludzi, i polubił go za to.

- Kiedy więc przyjedzie pan do Camdeny? - podjął Macarthur.

- Niedługo, sir.

Macarthur spojrzał na niego z gniewem.

- Nie znoszę takiego gadania! Może pan przyjechać w przyszłym tygodniu. Jestem pewny, że pańska żona poradzi sobie bez pana.

Strzyżenie owiec to bardzo ważna sprawa dla naszego kraju, nie możemy sobie pozwolić na marnotrawstwo, bo wtedy wszyscy ucierpimy. Ach, tam jest pani Macarthur, muszę wracać do obowiązków.

Hortonowie też czekali.

- A to dopiero - odezwał się John. - Wszyscy mamy siedzieć przy stole gubernatora.

- To dobrze - uśmiechnął się Jasin. - A przy okazji, Horton, czy twoja propozycja dotycząca Chelmsfordu jest wciąż aktualna?

- Tak. Zmieniłeś zdanie?

- Zmieniłem - przytaknął Jasin i John klepnął go w plecy, zadowolony, że jego plan wypalił, Jasin jednak nie sięgał myślą poza wizytę w Camdenie, twierdzy Macarthurów. Interesująco będzie poznać tak zwaną elitę kolonii, nigdy nie wiadomo, co

110

z tego może wyniknąć. I zawsze to odmiana po uwięzieniu w domu Hortona. Co wszakże jeszcze nie znaczyło, że Jasin zagrzebie się na odległej farmie przyjaciela.

Przeciskając się przez tłum w stronę stołu gubernatora, nie usłyszał ostrej wymiany zdań pomiędzy Hortonem i jego żoną.

- Vicky, dobre wieści!

- Jakie?

- Heselwood jednak zgodził się prowadzić Chelmsford.

- Tak? Cóż, może tam jechać pod jednym warunkiem: odda mi Prince'a Blue. W przeciwnym wypadku nie zgadzam się. Słyszysz mnie, Johnie? Nie zgadzam się!

- Zgodzisz się, madame. Są mi tam potrzebni. Złożyłem mu tę ofertę i nie cofnę raz danego słowa. Będziesz taka uprzejma i zarządzanie posiadłościami zostawisz mnie. A teraz chodźmy, gubernator na nas czeka.

ROZDZIAŁ Trzynasty.

Pewna para przybyła na przyjęcie ze sporym wyprzedzeniem i zajęła miejsca przy orkiestrze.

Doktor Brooks uparł się, żeby Adelaide siedziała, podczas gdy on pójdzie

po herbatę i ciastka. Wiedziała, że powinna okazać zadowolenie, ale nie potrafiła otrząsnąć się z przygnębienia. Brooks chciał, żeby się rozerwała, cieszyła tą okazją, ale od przyjazdu do Sydney Adelaide nic nie cieszyło. Oboje żyli w wielkim stresie, odkąd się dowiedzieli o wyjeździe gubernatora Brisbane'a, i żadne nie radziło sobie z sytuacją, w jakiej się znaleźli. Pokój w Bligh House był czysty, posiłki skromne, acz syte, a panny Higgins bardzo miłe, ale dziwnie było mieszkać w pensjonacie i przez cały dzień nie mieć żadnego zajęcia. Brooks nie pracował, Adelaide nie prowadziła domu.

Zwiedzali miasto, dla oszczędności chodząc na piechotę, ale nie potrafili znaleźć tańszego i czystego lokum. Tygodnie mijały, skromny kapitał topniał w oczach.

Brooks wreszcie uzyskał audiencję u gubernatora Darlinga, nie osiągnął jednak nic poza zaproszeniem na to garden party.

Kiedy orkiestra zaczęła grać, położył dłoń na ramieniu żony.

111

- Są doskonali, prawda?

Adelaide kiwnęła głową. Wiedziała, że Brooks robi co w jego mocy, żeby ją rozweselić, ale orkiestra zupełnie jej nie interesowała. Ani trochę.

Brooks znowu coś mówił, wołałaby, żeby choć na chwilę zamilkł, a potem dotarło do niej, co powiedział.

- Kto? - wykrzyknęła.

- Milly Forrest. Popatrz tam!

I rzeczywiście: przez trawniki żeglowała Milly w obszernej różowej krynolinie.

Adelaide w samą porę powstrzymała męża.

- Dokąd się wybierasz?
- Pomyślałem, że ją do nas zaproszę. Miło jest zobaczyć znajomą twarz.
- Ani się waż sprowadzać tu tę kobietę, żeby się nad nami litowała.

Udawaj, że jej nie widzisz.

- Dlaczego, moja droga? Nie mamy powodów do wstydu.
- Doprawdy? Cóż, przypomnij sobie, że powinniśmy mieszkać w rezydencji, a nie siedzieć na trawniku. Nie życzę sobie jej widzieć.

Brooks na powrót usiadł, skubiąc ciastko, Adelaide z pozornym zainteresowaniem słuchała muzyki.

Kiedy orkiestra spakowała instrumenty, w milczeniu wrócili do pensjonatu.

Po przyjęciu u gubernatora Brooks ze zdwojoną siłą szukał pracy. Był świetnym matematykiem, proponował swoje usługi w każdej szkole w okolicy, jednakże jako człowiek prawdomówny nie mógł się wyprzeć swoich przekonań i wszystkie drzwi zamykały się przed nim, bo kiedy pytano go o wyznawaną religię, odpowiadał krótko:

- Żadna.

Zarządy szkół nie brały nawet pod uwagę zatrudnienia ateisty.

Odpowiadał na ogłoszenia, pytał w bankach, próbował wszystkiego, ale bez skutku, i Adelaide zaczęła się gniewać.

- To twoja wina! - wykrzyknęła. - Dlaczego nie możesz powiedzieć, że należysz do Kościoła anglikańskiego albo innego, jakie to ma znaczenie?
- Dla mnie ma - odparł przeproszająco. - Moja droga, sądzę, że powinniśmy wrócić do Anglii, póki jeszcze możemy.

112

- Nie! W żadnym razie! Pożegnaliśmy się ze wszystkimi, wyjeżdżaliśmy z

wielkim hukiem, nie możemy już wracać.

Przypomniała sobie, jak przed opuszczeniem Londynu nalegała na zakup modnych strojów, nie chciała bowiem odstawać od towarzystwa w Sydney, przez co wydali więcej, niż zamierzali. Teraz wszystkie te piękne ubrania gniotły się w małej szafie.

Mijały tygodnie, za każdym razem gdy Brooks szedł płacić pannom Higgins, Adelaide widziała jego niepokój i popadała w przygnębienie.

Aż pewnego popołudnia wrócił z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Znalazłem pracę - oznajmił. Ogarnęła ją wielka ulga.

- Och, Brooks, wiedziałam, że ci się uda. Gdzie?

- Jestem teraz kancelistą w kościele Świętego Jakuba u dziekana Tomlinsona. Jak rozumiem, moje obowiązki będą polegać na prowadzeniu ksiąg, zbieraniu kazań wielebnego w tom dla potomności i innych tego typu zajęciach.

- Ale jak? No wiesz, co z religią? Co o tym powiedział?

- Nie zapytał - wyjaśnił Brooks, ze znużeniem rzucając pelerynę na łóżko.

- Jest niemożliwy, bezgranicznie pompatyczny i zadufany w sobie, nie wpadło mu do głowy o to zapytać, sam więc nic nie mówiłem.

Myśl o Brooksie pracującym w kościele zaniepokoiła Adelaide, odsunęła jednak od siebie troski.

- Ile będzie ci płacił?

- Trzydzieści szylingów na tydzień, co doprawdy jest królewskim wynagrodzeniem - odparł Brooks z goryczą. - Mam nadzieję, że jesteś zadowolona, nic lepszego nie znajdę. Rano zastawiłem w lombardzie zegarek, co było ciężkim przeżyciem, możesz mi wierzyć.

Adelaide objęła męża.

- Nie gniewaj się na mnie. Teraz się wszystko dobrze ułoży.

Potrzebowaliśmy czegoś na początek, później na pewno pojawi się lepsza oferta.

Brooks lubił myśleć, że jest człowiekiem pokornym; idąc w pierwszy dzień do pracy, usiłował przygotować się na ten prawdziwy sprawdzian pokory. Posada kancelisty, duszna zakrystia pełna sprzętów liturgicznych, to nie tylko degradacja, mówił sobie,

113

to forma kary boskiej. Nie, uśmiechnął się, to po prostu cudowna ironia losu i tak powinien tę sytuację odbierać. Rozpaczliwie potrzebował jakiegokolwiek zatrudnienia, a w tej pracy bez trudu sobie poradzi.

Przynajmniej ma dokąd co rano wychodzić i to jest ważne.

W nowej pracy pozostał tylko kilka godzin.

Badając księgi rachunkowe, przekonał się, że ma przed sobą dowody wieloletnich oszustw niezręcznie dokonywanych przez dziekana.

Podrobione kwity, kwoty darowizn nie odpowiadające potwierdzeniom z banku, sfalszowane listy wypłat, wszystko było nie w porządku. Brooks patrzył na to wstrząśnięty do głębi.

Tomlinson chwalił się, że jest właścicielem hodowli owiec w Bathurst, dodał przy tym, że arcybiskup, doktor Scott, który obecnie rezydował w Parramacie, także zainwestował w rolnictwo dla dobra kolonii, a chociaż Brooksowi, człowiekowi niewierzącemu, wydawało się to dość dziwne, nie zamierzał tego komentować. Teraz jednak zrozumiał, że Tomlinson, zamiast zawierzyć Bogu, wykorzystywał fundusze kościelne do finansowania własnych interesów. Sytuacja była groteskowa, położenie Brooksa beznadziejne. Konfrontacja z Tomlinsonem nie miała sensu, zbyt

byłaby obrzydliwa, poza tym i tak musiałby odejść.

Zdjął kapelusz z wieszaka przy drzwiach. Jego życie też stało się obrzydliwe, mieszkał w małym smutnym pokoju, odcięty od możliwości kontynuowania badań, prowadził pozbawioną znaczenia i celu egzystencję. Wyszedł z zakrystii, zostawiając księgi Tomlinsona rozłożone na biurku, i skierował się na osamotniony zakątek wybrzeża, Darling Point, by czekać tam na nadejście nocy i po raz ostatni spojrzeć na cuda wszechświata.

Adelaide krzyczała i krzyczała, wreszcie panny Higgins uspokoiły ją dawkami leczniczej brandy. Nie chciała przyjąć do wiadomości, że mąż popełnił samobójstwo, rzucając się do morza.

Olive Higgins zgadzała się z nią. Doktor Brooks z całą pewnością nie mógł odebrać sobie życia w pierwszym dniu nowej pracy w kościele. Kobiety twierdziły, że musiał doznać ataku serca i spaść z brzegu, jednakże koroner wydał orzeczenie o samobójstwie. Byli świadkowie, tak powiedział.

Adelaide spaliła świadectwo zgonu.

Pogrzeb był żalosną ceremonią na omiatanym wiatrem piaszczystym cmentarzu. Ponieważ żaden duchowny nie zgodziłby się

114

odprawić nabożeństwa za samobójcę, Olive Higgins czytała modlitwy, jej siostra udzielała odpowiedzi. Po pogrzebie Adelaide napisała do rodziny i przyjaciół w Anglii, że drogi Brooks zmarł na atak serca.

Wieczorem Olive Higgins przyniosła jej herbatę. Oznajmiła, że zamieni słowo z arcybiskupem na temat Tomlinsona, który odmówił odprawienia pogrzebu tak dobrego i szlachetnego człowieka, na co Adelaide



wybuchnęła histerycznym śmiechem. Dotąd była w szoku i nie wiedziała, co się wokół dzieje, teraz jednak w głowie zaczynało się jej rozjaśniać. Brooks był ateistą, nie zgodziłby się na religijny pogrzeb, byłby mu z całego serca przeciwny, a taki stał się jego udziałem.

Po żałobie przyszło otrzeźwienie. Kiedy piekarz w drodze do kuchni jak dawniej zaczął pogwizdywać, a pokojówki przestały mijać jej drzwi na palcach, Adelaide zmusiła się, by stawić czoło światu. Najpierw poszła do banku, gdzie odkryła prawdziwy stan ich finansów, i ogarnięta paniką uciekła do pensjonatu.

Zachęcona przez panny Higgins, postanowiła się zająć krawiectwem, jako że to był jej zawód, nim wyszła za Brooksa. Uszyła suknie dla panien Higgins i dla pani Kelso, która z mężem, emerytowanym majorem, zajmowała pokój na piętrze. Pani Kelso dała jej zamówienie pod presją właścicielki pensjonatu, ale była taka zadowolona z rezultatu, że przysłała do Adelaide parę przyjaciółek.

Kilka miesięcy później młoda wdowa nie narzekała na brak klientek. Miała małą pracownię, przystosowała się do nowego życia i była zadowolona, że jednak pozostała w Sydney. Czuła się wolna, niemal anonimowa, mogła chodzić, gdzie chciała, i zdrowie jej się poprawiło. Kolory wróciły jej na policzki, nerwy się uspokoiły, włosy znów nabrały połysku.

Pewnego dnia pojawiła się nowa klientka, Milly Forrest.

Adelaide powitała ją zaskoczona.

- Milly, widziałam suknie, które szyłaś na statku. Jesteś o niebo lepszą krawcową niż ja.

- Już nie szyję sobie ubrań - odparła Milly, przeglądając szkice modeli

wykonane przez Adelaide. - Nie muszę. Dermott i Fred mają dwie siodlarnie i warsztat szewski. Czy to nie dziwne, jak toczą się losy? Na statku byliśmy tylko szewcem i jego żoną, którzy mieli nadzieję, że powiedzie im się w nowym kraju, a wy należeliście do wyższych kręgów, zaprosił was gubernator.

115

Adelaide przyjrzała się jej uważnie, zadając sobie pytanie, czy w paplaninie tej niemądrej kobiety kryje się złośliwość, ale tak czy owak nie mogło jej to dotknąć. W odwecie po prostu każe Milly zapłacić więcej.

- Uwielbiamy Sydney - trajkotała dalej Milly. - I och, Adelaide, strasznie mi przykro, że doktor umarł, był takim miłym człowiekiem... Czy to prawda, że odebrał sobie życie? W głowie mi się to nie mieści.

Adelaide wyjęła jej z rąk szkice.

- Byłabym wdzięczna, gdybyś ze względu na niego więcej o tym nie wspominała. Powiedziałam ludziom, że umarł na atak serca.

- To dobry pomysł. Możesz na mnie liczyć. Lubiłam twojego męża.

Nieważne, jak umarł, nie żyje i to jest smutne. Ale wygląda na to, że jakoś sobie radzisz.

- O tak - odparła Adelaide ze znużeniem. - Na początku to był szok, ale człowiek musi żyć dalej.

Nim zaczęły omawiać krój sukien, Milly miała do przekazania jeszcze jedną nowinkę.

- Pamiętasz naszych przyjaciół Heselwoodów? Adelaide skinęła głową.

- Będziemy robić z nimi interesy, wiesz, zostaniemy współnikami. Jasin się tym zajmuje. Myślimy o kupnie hodowli owiec.

- To wspaniale - odrzekła Adelaide i szczerze tak uważała. Milly mogła

okazać się dobrą klientką. Co do Heselwoodów, żałowała, że drogiego Brooksa nie ma pomiędzy żywymi, mogłaby wtedy powiedzieć: „A nie mówiłam?”

ROZDZIAŁ Czternasty.

Czasami Jasin miał wrażenie, że nic mu się nie układa. Realizacja planów nigdy nie przebiegała gładko, ciągle musiał uciekać się do wymyślanych na poczekaniu wyjść awaryjnych. Opuścił dom Hortona i pogalopował na ulubionym wierzchowcu, bardzo z siebie zadowolony. Georgina w komfortowych warunkach

116

czekała na jego powrót z tej pierwszej samotnej wyprawy. Cieszył się na wizytę w Camdenie, gdzie postanowił przede wszystkim skupić się na nawiązaniu kontaktów z odpowiednimi ludźmi.

Podróż do Parramatty brzegiem rzeki była bardzo przyjemna. Jasin zatrzymał się na noc w zajezdzie, gdzie zjadł sutą kolację i spędził czas w miłym towarzystwie. Posiadłość Macarthurów wszyscy znali i chętnie udzielali wskazówek. Jasin dotarł do celu bez niespodzianek.

Drzwi otworzył służący.

- Do pana Macarthura - oznajmił Jasin.
- Którego, sir?
- Pana Johna Macarthura.
- Przykro mi, sir. Pan Macarthur zachorował. Przebywa w Sydney i w najbliższym czasie się go nie spodziewamy.

Jasin stał zbity z tropu. Co za cholerna przeszkoda. Służący już chciał zamknąć przed nim drzwi.

- Czy to wszystko, sir?

- Chciałbym porozmawiać z innym panem Macarthurem.

- Którym, sir?

Na Boga, co za nieznośny człowiek! Ilu Macarthurów zamieszkuje ten dom?

- Sprowadź mi tego, który będzie najbliżej - odparł przeciągając zgłoski.

Służący odszedł, a Jasin powiódł wzrokiem wokół siebie. Posiadłość istotnie wyglądała na rozległą, za to sam dom go rozczarował. Jasin spodziewał się dworu, zdążył już zauważyć, że bogaci mieszkańcy kolonii preferują wytworne siedziby, i teraz zadawał sobie pytanie, czy ci ludzie rzeczywiście są tak bogaci, jak głoszą plotki. Miał nadzieję, że świat zubożalej szlachty zostawił definitywnie za sobą.

Na jego spotkanie pośpieszył mężczyzna niewiele od niego starszy.

- Przykro mi, że musiał pan czekać, sir. Życzył pan sobie widzieć się z moim ojcem?

Jasin był zaskoczony. Gdyby nie wymowne splaszczanie niektórych samogłosek, równie dobrze mógłby to być angielski dżentelmen.

- Obawiam się, że przybyłem w nieodpowiednim czasie - przeprosił. - Nazywam się Heselwood. Pan Macarthur zaprosił mnie

117

na ten tydzień, żebym nauczył się czegoś o rolnictwie i nie narobił bałaganu. William uśmiechnął się.

- Jakbym słyszał ojca. Powinien był zostać nauczycielem. Nie ma zamiaru zabierać do grobu swojej wiedzy. Bardzo mi miło pana poznać, panie Heselwood.

Jasin obejrzał się na podjazd z wykalkulowanym zmieszaniem.

- No cóż, chyba będę się zbierał w drogę powrotną.

- Och, w żadnym razie. Przebył pan długą podróż. Musi pan zostać. Chociaż ojciec nie jest o tym przekonany, mój brat James i ja całkiem dobrze sobie radzimy i z przyjemnością podzielimy się z panem naszą wiedzą.

- Jeśli jest pan pewien, że nie będę przeszkadzał...

- W żadnym razie. Często miewamy takich gości jak pan, którzy uczą się u nas podstaw. Zna pan Percy'ego Dalgleisha? Wyjechał w zeszłym tygodniu.

- Obawiam się, że nie znam - odparł Jasin i spróbował z innej beczki. - Mam jednak wrażenie, że spotkaliśmy się już wcześniej.

- To możliwe. Ojciec zabrał mnie do Anglii, kiedy miałem dziewięć lat, i jakiś czas tam mieszkałem.

- Bywał pan w Devonshire Clubie?

Jasin rozmyślnie zadał to pytanie, jednakże William mimo angielskiej edukacji odznaczał się rozbijającą szczerością urodzonych w kolonii synów bogatych osadników.

- Nigdy tam nie byłem - zaprzeczył. - Odprowadzimy teraz pańskiego konia do stajni i pokażę panu kwatery dla kawalerów. Poważnie chce się pan uczyć?

Zaskoczony Jasin zapewnił go, że tak.

- Świetnie. Dzisiaj zje pan z nami kolację, a jutro zaczniemy. Muszę pana ostrzec, że wstajemy o piątej. Jest sporo do zrobienia. Kończymy właśnie zaganiać stada, przybył więc pan w dobrym czasie. Mam nadzieję, że Camden wyda się panu interesującym miejscem, choć pewnie też trochę dziwnym, bo w najmniejszym stopniu nie przypomina farm owczych w Anglii.

Bracia bardzo uprzejmie traktowali gościa, jednakże nie byli posiadaczami ziemskimi dżentelmenami, jakich spodziewał się spotkać Jasin.

Pierwszego dnia rano obudził go nadzorca i rzucił na pryczę kraciastą koszulę i spodnie z moleskinu.

118

- Szef mówi, że będzie pan tego potrzebował, panie Heselwood. Nie może pan niszczyć swoich porządnych miejskich ubrań. Proszę się odziać, poczekam na pana.

Jasin wygramolił się z pościeli, zadając sobie pytanie, czy przypadkiem nie trafił do więzienia zamiast do szlacheckiej posiadłości ziemskiej, mimo to włożył robocze ubranie. Na szczęście pachniało świeżością, co stwierdziwszy, sięgnął po buty do jazdy konnej.

- Hola! - zawołał nadzorca. - Musimy znaleźć dla pana inne buty.

- Te mi wystarczą, dziękuję bardzo - oznajmił Jasin stanowczo, ale nadzorca wyjaśnił:

- Byłaby okropna szkoda, gdyby chodził pan w nich po tym błocie. Nigdy nie widziałem lepszych butów. Zniszczy je pan, a drugich takich pan nie znajdzie.

Przemawiał do Jasina raczej jak wuj niż jeden z pracowników Macarthurów.

- Przyniosę panu inną parę z magazynu. A przy okazji, wołają mnie Slim. Jasin patrzył na tego pięćdziesięcioletniego mężczyznę z włosami barwy siwego kurzu, wysokiego i chudego, z tak wąskimi biodrami, że spodnie niemal się z nich zsuwały, ale nadzorca nie marnował czasu.

- Idziemy, synu. Pożegnaj się z pryczą, wieczorem będziesz ją tulił jak ukochaną.

Gościem wstrząsnął tupet tego człowieka, mimo to w skarpetach poczłapał za nim do magazynu.

Przez resztę tygodnia miał powody, żeby pamiętać przestrogę Slima. Co noc padał na pryczę wyczerpany, czując ból w każdym mięśniu. Prawie wcale nie zsiadał z konia, przemierzając wiele mil po terenie posiadłości. Nadzorca i jego ludzie z wyschniętych strumieni i buszu wyławiali zabłąkane owce, nad brzegiem rzeki zaganiali tysiące zwierząt do zagród i z powrotem na wolność przy wtórze gorączkowych okrzyków. Wokół unosił się ostry odór, uganiały się psy, mężczyźni stali po pas w wodzie, myjąc owce.

Powiedzieli Jasinowi, żeby spróbował, rzucili mu wyzwanie, wszedł więc do rzeki, wziął mydło i namydlił wełnę, nie wierząc, że ktoś przy zdrowych zmysłach może poważnie brać pod uwagę takie działanie. W domu przecież było mnóstwo owiec, ale nikt

119

nie słyszał, żeby je kąpano jak tłuste niemowlęta. Kiedy pastuch podsunął mu następną, udał, że nie widzi, i z wysiłkiem wdrapał się na brzeg, ledwo prostując plecy. Zastanawiał się, czy będzie w stanie wsiąść na konia.

Miał wrażenie, że życie całkiem wymknęło mu się spod kontroli, i nie potrafił pojąć, jakim sposobem dał się zapędzić do tej szkółki dla parobków. Rzadko widywał Jamesa Macarthura, który zarządzał farmą, za to Williama wszędzie było pełno. Z usposobienia buszmen, wolał towarzyszyć swoim ludziom przy pracy.

Jasinowi pochlebilo, że bracia spodziewali się, iż bez trudu dopasuje się do nich. Tylko to powstrzymywało go od natychmiastowej ucieczki. Obaj odznaczali się wielkim poczuciem humoru. Kiedy popełniał błędy, śmiali

się z nim, nigdy z niego, i z dumą pokazywali swoim robotnikom, że angielski dżentelmen potrafi jeździć konno tak samo dobrze i długo jak oni, nawet jeśli wnętrza ud owego dżentelmena otarte były do krwi. Tego bolesnego sekretu Jasin im wszakże nie zdradził.

Bardzo dbali o konie, co Jasin rozumiał, ale równie mocno kochali też owczarki. Były to dziwne zwierzęta, krzyżówki dzikich psów dingo; Jasin uważał, że są złośliwe i brzydkie, choć nie ośmielił się mówić tego głośno, zgadzał się natomiast, że są mądre. Jak chętne szczeniaki uwielbiały uczyć się nowych sztuczek i doskonale panowały nad stadem. Jasin traktował je uprzejmie z obawy przed gniewem ich panów, ale sam już raczej sprawiłby sobie wilka.

O zachodzie słońca był wreszcie wolny, mógł wziąć kąpiel i odpocząć przed kolacją z Williamem i Jamesem - to była jedyna „cywilizowana” część dnia. Ubierając się, ze zdumieniem stwierdził, że wreszcie opuściły go wszystkie bóle, mimo to zdecydowany był wyjechać z Camdeny.

Tydzień wystarczy.

Wieczorem przy kolacji powie, że nazajutrz rano wraca do Sydney, ale jak zwykle go uprzedzono.

- I jak radzi sobie Jasin? - zagadnął James brata.

- Wcale nie tak źle - odparł William ku zdumieniu Jasina. - Przyjmij moje przeprosiny, Jasinie, że nie poświęciłem ci zbyt dużo czasu, ale za kilka dni się poprawię. Jasin sam musi o siebie dbać - wyjaśnił Jamesowi - i nie ma z tym problemów. Przyznaję, sądziłem, że po kilku dniach uciekniesz do Sydney. Pamiętasz Wyliego Millsa, Jamesie?

120

Bracia się roześmiali.



- Przyjechał tu prosto ze statku, bo postanowił zostać farmerem - zwrócił się William do Jasina. - Nie wytrzymał nawet tygodnia. Był przekonany, że ma połamane wszystkie kości. I nigdy nie nauczył się siodłać konia.

- Biedny Wylie - powiedział James łagodnie. - Było mi go żal. Kilka razy fatalnie spadł z konia. Ale próbował. To nie było życie dla niego, i tyle. A chłopcy potrafią być bezlitośni, kiedy upatrzą sobie ofiarę.

- O tak. Kilka razy próbowali z Jasinem, ale dali spokój, kiedy zobaczyli, że na nim nie robi to wrażenia.

Dla Jasina to była nowość. Nie zauważył, żeby robotnicy przestali go drażnić. Teraz jednak James i William śmiali się z człowieka, który zwał, a on zamierzał zrobić to samo. Nad pieczenią z jagnięciny przemyślał swoją wypowiedź.

- Nie chciałbym zbyt długo się wam narzucać... - zaczął, próbując znaleźć jakieś wyjście.

William zapewnił go, że jest mile widzianym gościem.

- W przyszłym tygodniu zaczynamy strzyżenie owiec, musisz to zobaczyć. Będę miał więcej czasu dla ciebie, a James wytłumaczy ci prowadzenie ksiąg, bez czego wszystkie moje wysiłki poszłyby na marne. Jasin zbyt był zmęczony, żeby się z nimi sprzeczać.

- Muszę powiadomić żonę. Ile czasu waszym zdaniem należy spędzić na farmie, żeby poznać wszystkie niezbędne procedury? Obawiam się, że nic z tego nie rozumiem.

- Co najmniej miesiąc - odparł William. - Zapewniam cię, nie będziesz żałował.

Jasin pokrzepił się solidnym łykiem wyśmienitego czerwonego wina na myśl o miesięcznym wyroku.

- A poza tym - ciągnął William - cieszymy się z twojego towarzystwa. Musisz poznać naszych przyjaciół. Przyrzekliśmy im, że cię nie puścimy, dopóki nie złożysz wizyt w okolicznych domach. Kiedy postrzygacze zaczną robotę, urządzimy proszoną kolację. Co ty na to, Jamesie?

- Doskonały pomysł. Następnym razem musisz odwiedzić nas z żoną, Jasinie. Złożysz nam towarzyską wizytę.

Jasin westchnął. Towarzyska wizyta. Czy dożyje tej chwili? Wieczorem napisał do Georginy, że musi zostać w Camdenie jeszcze kilka tygodni, i prosił, by przekazała Hortonowi, że poznaje

121

życie na farmie, haruje jak wół i zaczyna się obawiać, że wróci z nogami jak pająki. To rozbawi Hortona. Skoro nie mógł wycofać się z honorem, postanowił jeszcze trochę pocierpieć, chociaż jego plany zaczynały się krystalizować. W drugim tygodniu stwierdził, że farma jest o wiele bardziej interesująca niż włóczenie się przez cały dzień po domu Hortona. Okolica była brzydka i monotonna, niczym blizny przecinały ją poszarpane koryta strumieni, zaśmiecone pniami drzew. Towarzystwo protekcyjnych robotników, wysłuchiwanie grubych żartów i niewybrednego języka doprowadzało Jasina do furii, aczkolwiek te niedogodności rekompensowali William i James, którzy byli doskonałymi kompanami. Nie potrafił tylko pojąć, jak mogli zrezygnować ze świata. Jasin już postanowił, że po powrocie do Sydney sprzedadzą wszystkie sprzęty i przyzwoitym statkiem wrócą do Londynu, na zawsze strząsając australijski pył z butów. Horton może zatrzymać sobie swoją owczą farmę i wszystko, co wiąże się z hodowlą głupich owiec.

Szkolenie trwało, sympatyczny William pokazał Jasinowi odleglejsze

części farmy. Jasin ze zdumieniem przekonał się, że ten człowiek sporo podróżował po świecie, mówi płynnie po francusku i jest znakomitym botanikiem. Dzięki jego wskazówkom zaczął orientować się w rozmiarach farmy, zajmującej ponad trzydzieści tysięcy akrów.

Macarthurowie mieli stado mlecznych krów, stado wołów na ubój, sady, winnice i jakieś siedem tysięcy owiec. W sumie Macarthurowie do uprawy wykorzystywali trzysta akrów i zatrudniali około stu dwudziestu pracowników, w większości skazańców.

Swoich robotników odziewali w proste koszule z białej bawełny i spodnie, żywili ich i od czasu do czasu dawali racje whisky albo taniego wina oraz tytoniu. W składach znajdowały się wszelkie niezbędne na farmie narzędzia, a także ubrania i żywność, w tym suszone mięso, kiełbasy z ziołami, sery, dżemy i inne przetwory.

William pokazał Jasinowi, jak wygląda cały proces od kocenia się owiec do strzyżenia i mycia.

- Nasz brat John sprzedaje runo w Londynie i musimy gęsto się tłumaczyć, jeśli wysyłamy zanieczyszczony towar. Owce brudzą się w tutejszym kurzu, rzepy, gałązki i co tylko chcesz wczepiają się im w sierść, przez co musimy się męczyć i myć stado kilka razy, zanim zajmą się nim postrzygacze.

122

William produkcję dobrej jakości wełny traktował jak sztukę, dla niego tutejsza ziemia nie była ponura, tylko żyzna i szczodra. Zabrał Jasina do winnic i piwnic z winami, na padok, gdzie oglądali stado koni przyprowadzone przez handlarza. Obserwowali też postrzygaczy i co wieczór razem z nimi ekscytowali się zakładami o ilość runa i szybkość

poszczególnych robotników.

Stopniowo Jasin poznawał mieszkańców okręgu i przyjmował zaproszenia do ich domów, gdzie słuchał opowieści i z uwagą notował w myślach bogactwo i rozmiary posiadłości gospodarzy. James pokazał mu księgi hodowlane i starannie prowadzone dzienniki, w których rejestrowano wielkość runa i osiągnane zyski. Heselwood zaczynał rozumieć, że bracia idą śladem swoich wspaniałych rodziców.

- Australia w zeszłym roku wysłała za granicę milion funtów runa - oznajmił James z dumą. - To kazało im usiąść prosto i przyjrzeć się uważnie tej swojej kolonii karnej.

Jasin także siedział prosto i uważnie się przyglądał. Odkrył źródło pieniędzy w tym kraju i zamierzał również z niego skorzystać.

Bracia nie zapomnieli o przyrzeczeniu. Wydali wspaniałą kolację na cześć Jasina, na którą zaprosili ludzi z całego okręgu. Jedzenie było wyśmienite, wino także, a po kolacji William zabrał gości do składu wełny, gdzie jak co roku odbywały się tańce dla pracowników. Niektórzy spośród gości, w tym Jasin, podpili sobie przy kolacji i teraz wpadli między tłum, łapiąc dziewczęta i ciągnąc je na śliską posadzkę. Szaleli do ostrego rytmu skrzypiec i akordeonów, oklaskiwani przez robotników.

Jasin upatrzył sobie śliczną dziewczynę z bujnymi rudymi włosami i zielonymi oczami z plamkami złota. Kiedy taniec się skończył, nie chciał jej puścić.

- O nie. Znalazłem sobie królową balu. Jesteś moja. Dziewczyna roześmiała się; pochlebilo jej, że dżentelmen tak się nią zainteresował, i chętnie dalej z nim tańczyła.

Wytrzeźwiawszy nieco, Jasin przyjrzał się uważniej swojej partnerce:

zgrabny tyłeczek, wąska talia, pełne jędrne piersi, cera jak płatek róży.

- Ta buzia mogłaby wywołać drugą wojnę trojańską - powiedział.

Dziewczyna zachichotała.

- Jak się nazywasz? - zapytał okręcając ją wokół siebie.

123

- Dolour Callinan.

Przycisnął ją mocniej do siebie, manewrując w tańcu do drzwi, a potem na dwór. Oboje śmiali się i głośno oddychali. Pociągnął ją za wielkie koła ciężkiej platformy stojącej pod ścianą, w odosobnienie, i bojąc się, żeby nie uciekła, nie dał jej czasu. Całował ją w miękkie usta, pieścił piersi, a ponieważ nie próbowała się od niego uwolnić, z większą śmiałością wsunął dłoń pod jej spódnicę, dotykając gładkiego uda. Obejmował go, językiem doprowadzając do szaleństwa... Jasin wiedział, że oboje czują to samo.

- Chodź ze mną, Dolour - szepnął.

- Nie mogę. Nie teraz.

Jasin jęknął, trzymając ją przy sobie, w nozdrzach czując lekki aromat jej włosów.

- Musisz - nalegał.

- Nie. Przyłapią mnie. Przyjdę później.

- Gdzie przyjdiesz? - mruknął, nie chcąc ani na chwilę zrezygnować z żaru, który ich oboje ogarnął.

- Do pańskiego pokoju, panie Heselwood. Przyjdę w nocy. Jasina zaskoczyło, że zna jego nazwisko, ona zaś jego reakcję wzięła za wahanie.

- Nie chce pan, żebym przyszła?

- Chcę. Nie zapomnij, w przeciwnym razie sam cię poszukam.

Pośpiesznie umknęła. Oparty o ścianę, wyjął cienkie cygaro, żeby się uspokoić. Mała Irlandka, rozmyślał, urodzona do pieaszczot.

Reszta wieczoru wlokła się niemożliwie. Jasin poskakał trochę z inną dziewczyną, później odprowadził damy do głównego domu; za nimi William i jego przyjaciele dyskutowali na swój ulubiony temat, czyli o owcach. Na kolację podano smakowitą kombinację owoców i serów oraz wino. Jasin skubał i pił, żeby jakoś przetrwać do chwili, kiedy pod drzwi zajadą powozy, żeby odwieźć gości do domu. Wreszcie mógł uciec do swojego pokoju; martwił się, że Dolour mogła przyjść i pójść, martwił się, że może wcale się nie pokazać.

Dolour Callinan wiedziała, kim jest Jasin. Wszyscy na farmie wiedzieli, zwłaszcza kobiety. Przystojny angielski dżentelmen był głównym tematem rozmów, wszystkie dziewczęta, a także niektóre starsze kobiety robiły co w ich mocy, żeby choć rzucić na

124

niego okiem. Dolour pracowała w pralni i najpierw zobaczyła piękne jedwabne koszule, dopiero potem ich właściciela. Zawsze marzyła, by poślubić takiego jak on dżentelmena i zamieszkać w pięknym domu. Jak dotąd przed irlandzką dziewczyną nie pojawiła się okazja zdobycia fortuny, ale Dolour nie traciła nadziei.

Pani Macarthur uratowała ją z Manufaktury Kobiecej, do której posyłano wszystkie więźniarki, nim znaleziono dla nich miejsca. Komendantka w obecności Dolour ostrzegła panią Macarthur, że dziewczyna ma wybuchowy temperament i jest bezczelna, a na pobyt w kolonii karnej skazano ją za pobicie dziedziczki, u której służyła.

Dolour uśmiechnęła się na to wspomnienie. Przyłapano ją na migdaleniu się z synem i dzieźdźcem, nic wielkiego, tylko kilka pocałunków, i pani tak dłuęo biła ją ciężką laską, aż Dolour ją wyrwała z rąk chlebowdawnicy i oddała razy. Pierwszą część tej historii przemilczano, a Dolour w wieku dzieźdźnastu lat została wygnana z kraju.

Kiedy pani Macarthur dała jej szansę, Dolour z wrodzonej przekory postanowiła udowodnić, że komendantka, wścibska starucha, która dla więźniarek nigdy nie miała dobrego słowa, myli się co do niej. Tak więc od osiemnastu miesięcy pracowała w Camdenie, zachowując się jak trusia, i gospodyni wystawiała jej dobrą opinię. Jednakże Dolour przeczekiwała, wypatrując stosownej okazji. Odrzucała zaloty robotników, którzy byli tak samo biedni jak ona, i żyła nadzieją na poznanie jakiegoś majątnego młodzieńca, jednego z tych, którzy często przyjeżdżali do Camdeny z miasta, ale niestety na razie szczęście jej nie sprzyjało. Miała jeszcze do odsiedzenia wiele lat i pragnęła uwolnić się od tych więzów. Często myślała o ucieczce, ale wiedziała, że ją znajdą i odwiozą do manufaktury, trzymała się więc jakoś, żyjąc nadziejami i marzeniami.

A dzisiaj wieczorem, kiedy wcale się tego nie spodziewała, kto złapał ją, gdy szła po kolejną porcję truskawkowego ponczu pani Henry? Angielski dżentelmen we własnej osobie, z bliska jeszcze piękniejszy niż kiedykolwiek! Wyprowadził ją na dwór i całował, wiedziała, że mu na niej zależy. Nie piśnie o tym ani słowa. Ktoś by się wygadał i w jednej chwili wyrzuciliby ją z farmy.

Wciąż był w głównym domu, kiedy naga jak ją Pan Bóg stworzył wsunęła się do jego łóżka. Jasin jej pragnął, taka szansa może się nie powtórzyć.

Nikt nie wiedział, jak dłuęo miał tu

zostać. Leżała, wdychając jego zapach, myśląc o nim i miłości, jaką mu da. Nie przejmowała się, że może zajść w ciążę. To nie miało znaczenia. Nic się nie liczyło poza tym, że wybrała sobie ukochanego.

A kiedy przyszedł i zastał ją czekającą na niego, zalała go wielka radość. Wziął ją w ramiona z żądzą, która ją rozgrzała, i odwzajemniała pieszczoty tak namiętnie, że nie chciał jej wypuścić do świtu.

- Muszę iść - powtórzyła. - Chcesz, żebym jutro też przyszła?

Bez niej pokój wydawał się opuszczony i samotny. Jasin leżał, od nowa przeżywając każdy szczegół nocy. Nigdy nie miał kobiety, która oddawałaby mu się z takim zapamiętaniem i znajomością rzeczy, a zamierzał nauczyć ją więcej. Myślał, że osiągnął tej nocy szczyt rozkoszy, i zastanawiał się, w jaki sposób utrzymać ten przyływ namiętności.

Georgina nie pochwalałaby takich aktów miłosnych, w żadnym razie by ich nie tolerowała, poza tym nie była głupia, mogłaby zacząć zadawać pytania. Tego dnia wydawał się zainteresowany sprawami, którymi się zajmowali - oglądali konie na padoku - ale potrafił myśleć wyłącznie o Dolour i odliczał godziny do chwili, kiedy znowu ją weźmie w objęcia. Dostał list od Georginy. Pisała, że w domu Hortonów panuje wielka radość, bo Vicky spodziewa się dziecka, a Hortona cieszy też, iż Jasin swoją wizytę w Camdenie traktuje poważnie. W odpowiedzi Jasin pogratulował Hortonom i napisał, że nie może się doczekać, kiedy obejmie zarząd Chelmsfordu. Tym razem naprawdę tak myślał. Bracia Macarthurowie przekonali go, że taka praca jest wielką przygodą, a Jasin postanowił, że pewnego dnia kupi własną farmę. W Chelmsfordzie będzie szefem, którego wspomocze doświadczony nadzorca; teraz zdawał sobie



sprawę, że to cudowna okazja. Denerwował się na myśl, że mało brakowało, a odrzuciłby taką szansę. Winą obarczył Hortona, który zdaniem Jasina nie wyjaśnił mu szczegółowo, na czym rzecz polega. William namawiał go na zakup własnego gruntu tak szybko, jak się da.

- Na północ od Hunter Valley, gdzie będziesz, są miliony akrów ciągnących się w nieskończoność. Jasin pokręcił głową.

126

- Sprawdzalem na mapie. Te grunty leżą poza granicami, to nie jest cywilizowany kraj.

- Właśnie. I czekają, aż ktoś je zajmie. To jak żyła złota. Chciałbym pójść na północ, ale tutaj mamy za dużo do zrobienia. Mój przyjaciel botanik badał tamte rejony i twierdzi, że są idealne dla bydła. Wielkie rzeki i cudowne pastwiska.

- A jak tam można dotrzeć?

- Bierzesz przewodników. Idziesz na północ od Valley i zaznaczasz swoją działkę. Zostawiasz ludzi, żeby jej pilnowali. Po dokonaniu pomiarów przez geodetów możesz zarejestrować ją na swoje nazwisko i dzierżawić, póki nie będziesz mógł jej kupić.

- Gdybym tak zrobił, ile ziemi powinienem wziąć?

- Porozmawiamy o tym z Jamesem. Ale co najmniej kilkaset tysięcy akrów.

Jasinowi kręciło się w głowie.

- Czy tak zaczynał twój ojciec?

- Tak, a została jeszcze połowa kontynentu na północ od Hunter Valley. Ta ziemia czeka na ludzi, którym starcza odwagi, żeby ją wziąć.

- Trudno mi sobie wyobrazić siebie w takiej roli - roześmiał się Jasin. -

Nie wydaje mi się, żebym był typem pioniera.

William spojrział na niego z powagą.

- Może nie. Ale przecież nie ma potrzeby, żebyś sam machał siekierą. Siła robocza jest tania. Jedyne co musisz zrobić, to znaleźć ziemię i ją wziąć.

Cała reszta, jeśli będzie dobrze zarządzana, sama się sobą zajmie.

Gdyby Jasin potrafił wymyślić pretekst do pozostania w Camdenie, zrobiłby to, ale czas jego wizyty nieubłaganie dobiegał końca. Przez tydzień Dolour przychodziła do jego łóżka i kochali się z coraz większym żarem. Tracił zmysły na myśl, że musi ją tu zostawić. Kiedy w ciągu dnia myślał o niej, pragnął jej tak bardzo, że chciałby natychmiast po nią biec, ale musiał wędrować po farmie, jakby Dolour nie istniała.

- Kocham cię - wyznał jej - i nigdy nie pozwolę ci odejść.

- Jesteś żonaty - odparła Dolour cicho. - Mówili mi, że jesteś żonaty.

- I to jest moja wina? Skąd miałem wiedzieć, że cię spotkam i pokocham?

Moje małżeństwo to małżeństwo z rozsądku.

Odsuwała się od niego, zszokowana odkryciem, że to jednak prawda, ale on trzymał ją mocno, a Dolour wiedziała, że jest za późno.

127

Kochała go zbyt głęboko, by marnować drogocenny czas we dwoje.

James sam zaczął mówić o zakupie ziemi.

- Na twoim miejscu zająłbym się hodowlą bydła. Odnoszę wrażenie, że cała ta zabawa z owcami i wełną dość cię nudzi.

- W Chelmsfordzie jest hodowla owiec. Muszę się na tym znać.

- Oczywiście, ale jeśli ruszysz na północ, kup stada bydła. Liczba ludności rośnie, a to znaczy, że potrzeba więcej żywności. Owce hodujemy ze względu na wełnę.

Teraz Jasin był kompletnie zdezorientowany.

- Będę się musiał nad tym zastanowić. - Pomysł wyprawy na północ zaczął tracić na atrakcyjności.

- Tak, pomyśl o tym - odrzekł James. - Rzecz w tym, że owce wymagają dużego nakładu pracy. Potrzebujesz oborowych i pasterzy, a im bardziej się oddalasz od miast, tym trudniej znaleźć robotników. Hodowla bydła jest łatwiejsza. Musisz je utuczyć i sprzedać, to wszystko.

Nazajutrz pojechali do Parramatty. Podczas gdy bracia zajmowali się interesami, Jasin wszedł do tawerny, gdzie nawiązał rozmowę z innym Anglikiem.

- Skąd pan jest? - zapytał go nieznajomy.

- Z Camdeny - odparł Jasin, rozmyślnie źle rozumiejąc pytanie, bo chciał zrobić wrażenie na swym towarzyszu.

- Nazywam się Pelham. Kapitan Pelham. Wystąpiłem z regimentu i rozglądam się. Są tu okazje, jakich nigdy nie znajdziemy w kraju.

- Jakiego rodzaju okazje?

- Szybki zysk. Kupno i sprzedaż.

- Kupno i sprzedaż czego?

- Bydła, koni. I powiem panu coś jeszcze. Jestem absolutnie przekonany, że gdzieś tutaj jest złoto.

- Złoto. Mam nadzieję, że je pan znajdzie, stary druhu. Dokąd pan stąd pojedzie?

- Do Sydney, muszę znaleźć współnika. Jest pan zainteresowany?

- Niewykluczone. Gdzie znajdę pana w Sydney?

- Oto moja wizytówka. Hotel York, Phillip Street. Proszę mnie tam odwiedzić.

Jasin dostrzegł Macarthurów po drugiej stronie ulicy.

128

- Odwiedzę. Interesuje mnie bydło. Myślę o wyprawie na północ, wie pan.

- Strzał w dziesiątkę. Szuka pan we właściwym kierunku. Podczas lunchu z braćmi Macarthurami Jasin nie wspomniał

o spotkaniu z Pelhamem, zresztą była to kwestia odległej przyszłości. Na razie pojedzie do Chelmsfordu i tam się zastanowi nad następnym krokiem. Nie wszystko na raz.

- Jasinie, przyplłynąłeś do Sydney na „Emmie Jane”, prawda? - zapytał William.

- Owszem. - Zaprzeczanie nie miało sensu.

- Tak mi się wydawało. Mam dla ciebie dziwną historię.

- Jak wszystko na „Emmie Jane”. To był straszny rejs. Moja żona wciąż dochodzi po nim do siebie.

- Znałeś człowieka nazwiskiem MacNamara?

- Przelotnie.

- To dobrze - odparł William. - Wygląda na to, że pan MacNamara ściągnął sobie na głowę kłopoty, i jego przyjaciel, pierwszy oficer Palmerston, szukał go.

- A tak, pamiętam Palmerstona. Co to ma wspólnego ze mną?

- Widzisz, Jasinie, na prośbę Palmerstona próbowałem znaleźć MacNamarę i to mi się udało, ale wieści nie są zbyt dobre. Naraził się Mudiemu, posiadaczowi ziemskiemu z Hunter Valley. To podejrzany typ, chociaż sędzia. Przekonany o własnej ważności. Niestety, ma przyjaciół na wysokich stanowiskach. Zamknęli MacNamarę w więzieniu Bathurst, ale moi informatorzy twierdzą, że rozprawa nie była przeprowadzona zgodnie

z prawem.

Jasin się roześmiał.

- A co MacNamara zrobił?

- Solidnie przyłożył zięciowi Mudiego, za co wielu mieszkańców kolonii przyznałoby mu medal, ale ponieważ Mudie jest mściwy, był to bardzo nierozważny postępek.

- Typowe dla Irlandczyka.

- Tak się zastanawiałem - mówił William - skoro go znasz... Czy po powrocie do Sydney mógłbyś zajść do hotelu Nelson przy King Street i powiadomić przyjaciół MacNamary o miejscu jego pobytu? Bardzo się o niego niepokoją.

- Oczywiście - odparł Jasin. Cóż innego mógł powiedzieć swoim gospodarzom? Będzie się starał nie zapomnieć,

129

ale w Sydney czeka go wiele zajęć, mnóstwo spraw będzie musiał przemyśleć. Zwrócił się do Jamesa. - Rozmawialiśmy o nabyciu ziemi. Gdzie znajdę godnych zaufania przewodników?

- To zawsze jest problem - stwierdził William.

- Nie tym razem - wtrącił jego brat. - A Clarrie Shipman i jego kumpel Snow?

- Ha, właśnie! Chętnie skorzystają z okazji - roześmiał się William. - Będą mieli jakieś zajęcia. To starzy buszmeni, Jasinie, mieszkają w Camdenie, jeśli nie są na jednej ze swoich wędrówek. Dokładnie tacy ludzie są ci potrzebni. Nie mają wielkich wymagań, zadowolą ich samo jedzenie i butelczyna rumu z okazji świąt. Daj nam znać, kiedy zamierzasz wyruszyć.

Uczcili ostatni wieczór Jasina w Camdenie spokojną kolacją. Bracia Macarthurowie podarowali mu świetny pistolet oraz komplet map zbadanych rejonów Nowej Południowej Walii w skórzanym futerale, a także wypili za jego sukces w Chelmsfordzie i przyszłość jako hodowcy bydła.

Wracając do swojego pokoju, Jasin czuł się zdobywcą świata.

Fascynowała go rodzina Macarthurów, ich jedność i determinacja; w ustach braci wszystko brzmiało tak łatwo. Jasin wątpił, by istotnie było łatwe, mógł jednak na nich liczyć i przed wykonaniem następnego kroku na pewno zwróci się do nich o radę. Jeśli staremu Johnowi Macarthurowi udało się aż tyle osiągnąć, to Heselwood także jest w stanie tego dokonać. Jasina tak poniosły ambitne rojenia, że dopiero kiedy otworzył drzwi, przypomniał sobie o Dolour.

To była ich ostatnia wspólna noc. Ogarnięty namiętnością, błagał, żeby z nim pojechała.

- Nie mogę - odrzekła - to by źle dla ciebie wyglądało. Ale za kilka tygodni ucieknę stąd.
- Tak, koniecznie. I musisz dać mi znać, gdzie będziesz.
- Znajdziesz mnie bez problemu - powiedziała, a w jej głosie zabrzmiały tony strachu. - Wsadzą mnie do Manufaktury Kobiecej.
- Nie, musisz się przed nimi ukryć. Pomogę ci.
- To nie jest takie proste. Złapią mnie wcześniej czy później, więc wolę sama oddać się w ich ręce.

Usiadł na łóżku.

- Dlaczego miałybyś to zrobić?

- Bo tutaj nie będą mnie chcieli z powrotem - uśmiechnęła się Dolour. - Ty natomiast zgłosisz się po mnie jako po swoją służącą. A potem będę mogła iść, gdziekolwiek wskażesz.

- Ale co będzie, jeśli zgłosi się po ciebie ktoś inny?

- To jest właśnie najpiękniejsze. Nie muszę iść. Nie mogą mnie zmusić. Będę czekała na ciebie. Tylko że to straszne miejsce, kochany. Nie zostawisz mnie tam na długo? Będę śniła o tobie każdej nocy.

Objęła go mocno i znowu ją posiadł, pogodzony ze światem. Snuli plany na przyszłość, kiedy będą razem, wolni od tego sekretnego pokoiku, rozmawiali o wspólnych nocach i dniach. Jasin odkrył na nowo miłość fizyczną, doznał uniesień, o jakich nigdy nawet nie śnił; gdy Dolour wymknęła się w noc, poczuł się samotny.

Jak we śnie nazajutrz rano dziękował Williamowi i Jamesowi za ich wielką dobroć. To był inny Jasin Heselwood, ten człowiek, który wskoczył na siodło i pogalopował w dół zbocza i przez strumień ku bramie Camdena. Pewny siebie i ambitny, nie przypominał nerwowego dżentelmena, który czekał, aż przedstawią go kolonistom, który nie był pewien niczego poza swoją pozycją towarzyską. Teraz wiedział bez cienia wątpliwości, że pochodzenie przyda mu się w Nowej Południowej Walii, całą resztę może osiągnąć własnymi siłami.

Noc spędził w tym samym zajeździe co poprzednio, gdy zmierzał na farmę Macarthurów, rano zaś ruszył w dalszą drogę z jasno wytyczonym planem w głowie. Rzeczą najważniejszą było jak najszybsze zadomowienie się w Chelmsfordzie, dzięki czemu przesunie się na północ, nie ponosząc kosztów, i zdobędzie bazę do wyprawy w poszukiwaniu własnej ziemi. Kłusował w kierunku Sydney; Prince Blue był w doskonałej formie po

ruchliwych tygodniach na wsi.

Droga do Sydney zatłoczona była załadowanymi wozami jadącymi na targ, ale Jasin nie zwracał uwagi na otoczenie, zatopiony w myślach. Nie widział zbliżającego się ku niemu Lachlana Cormacka, dopóki ten nie wstrzymał konia i nie zawołał go.

- Panie Heselwood! Jasinie!

- Ależ to Cormack! Człowiek nie spodziewa się zobaczyć znajomej twarzy na tych drogach. Czy coś się stało? Wyglądasz na zdenerwowanego.

131

- Jadę ci naprzeciw, Jasinie. Przykro mi, że jestem posłańcem przynoszącym złe wieści, ale... John Horton nie żyje. Niech spoczywa w pokoju.

Jasin słuchał wstrząśnięty.

- Horton? Nie! Na pewno? Miał wypadek? Spadł z konia?

- To nie był wypadek. Zachorował na grypę i wydawało się, że jego stan się poprawia, ale to było chwilowe. Doktor powiedział, że miał obustronne zapalenie płuc. Robił co w jego mocy. Vicky i twoja dobra żona Georgina opiekowały się Johnem dzień i noc, ale umarł nagle wczesnym rankiem wczoraj. To straszne. Vicky ciężko to przeżywa.

Jasin, wciąż nie potrafiąc pogodzić się z myślą, że Horton odszedł z jego życia, bardziej był zdumiony niż pogrążony w żałobie. Horton wydawał się niezniszczalny: człowiek, który na nowo ułożył sobie życie i czerpał z tego wielką siłę. Jak mógł poddać się takiej głupiej i przedwczesnej śmierci? Jasin widział, że koloniści, ludzie tacy jak Cormack dla przykładu, szanują Hortona. Dziwne, dzisiaj rano myślał o Cormacku,



uświadomił sobie bowiem, że przyjaciele Hortona należą do tej samej grupy bogatych osadników, której został przedstawiony w Camdenie. Cormack został z tyłu, ale Jasin nie zważał na to. Prince Blue galopował, jakby zdawał sobie sprawę z konieczności pośpiechu. Godziny mijały i Jasin szczerze smucił się śmiercią Hortona, kiedy jednak dotarła do niego ostateczność tego faktu, pomyślał o Chelmsfordzie i innych posiadłościach przyjaciela i stwierdził, że Vicky będzie go teraz potrzebować bardziej niż kiedykolwiek. Kobieta nie może prowadzić farmy.

Na pogrzeb ściągnęli mieszkańcy całej okolicy, jednakże wdowa odmówiła przyjęcia żałobników w domu po ceremonii.

- Mogę to zrozumieć-powiedziała Georgina.-Nie zniosłabym ludzi pijących, jedzących i gawędzących w moim domu po śmierci kogoś bliskiego. To zupełny brak wrażliwości.

- Taki mają zwyczaj - mruknął Jasin, rozczarowany, że minęła go okazja lepszego zapoznania się z przyjaciółmi Hortona.

- To zwyczaj irlandzki, nie nasz - sprostowała Georgina. Siedzieli we dwoje w salonie, gdzie pokojówki z czerwonymi oczami podawały im podwieczorek.

- Zaniosłyście tacę pani Horton? - zapytała Georgina.

132

- Ona nic nie chce, psze pani. Siedzi w swoim pokoju, patrzy przed siebie i nic nie mówi.

- Zapukajcie cicho w drzwi, zanieście tacę. I żebyście jej nie niepokoiły.

- Tak, psze pani.

Po wyjściu pokojówek Georgina spojrzała na Jasina.

- Muszę powiedzieć, Heselwood, że dobrze wyglądasz. Nawet się

opaliłeś.

- Cud, że nie spaliłem się na węgiel. Ale ruch dobrze mi zrobił po tych długich miesiącach na statku.

- Wiesz, że Vicky spodziewa się dziecka?

- Tak, pisałaś mi o tym.

- Tyle było radości. Biedny Horton wpadł w ekstazę, a teraz nigdy nie zobaczy swojego dziecka. To takie smutne. A ponieważ wszyscy tak się cieszyli, uznałam, że będzie nie w porę, nawet trochę kłopotliwe, jeśli wspomnę o sobie.

- A o czym chciałaś wspomnieć?

- Ja też jestem przy nadziei.

- Tak? - Jasin o mało nie wylał herbaty. Georgina sprawiała wrażenie bezbronnej, patrzyła pytająco, czekając na jego reakcję, i poczuł, jak wraca dawne przywiązanie do niej. - To wspaniale. Muszę teraz zdwoić wysiłki, skoro będę miał syna i dziedzica. Myślę, że jednak doskonale nam się tutaj powiedzie.

- Nie chcę zbyt długo pozostawać w tym domu. Jeszcze przed śmiercią biednego Johna miałam wrażenie, że nadużywamy gościnności.

- Moja droga Georgino, można nam zarzucić wiele, ale w żadnym razie braku manier. Wszystko jest pod kontrolą. Jak tylko Vicky się pozbiera, porozmawiam z nią. Nic nas nie powstrzyma przed natychmiastowym wyjazdem do Chelmsfordu. Ubędzie jej jeden kłopot z głowy, kiedy będzie wiedziała, że może na nas polegać. Tego życzył sobie Horton. Tymczasem mam sporo spraw do załatwienia w mieście. Zacznę od gubernatora. Muszę zapewnić sobie prawo do przejęcia ziemi i z większą uprzejmością traktować tego biedaka.

- Jasinie, nie możesz teraz się z nim widzieć. Nie słyszałeś? Ich mały synek też umarł na gripę. Są w żałobie.

- Dobry Boże, czy tu była epidemia? Cóż, przed wyjazdem muszę się z nim zobaczyć.

133

- Możesz się spotkać z Macleayem. Wygląda na to, że obecnie on załatwia większość spraw.

- Nie będę rozmawiał z tym pompatycznym głupcem. Nie rozmawiam z podwładnymi. - Zapalił fajkę i przez chwilę się zastanawiał. - Wiesz, co ci powiem? Odwiedzę jego ekscelencję i osobiście złożę kondolencje.

Zaproponuję mu słowa pociechy i towarzystwo. A kiedy już wykręcę z łez chusteczkę, zapytam go o radę w kwestii ziemi. Całkiem dogodna sytuacja.

- Jasinie! Cóż za cynizm!

- Moja droga, życie musi toczyć się dalej. Tutaj też. Będę rad, kiedy się stąd wydostanę. Horton zabrał ze sobą całe życie z tego domu. Mam nadzieję, że Vicky nie będzie długo siedziała zamknięta.

Gubernator Darling uczynił wyjątek i przyjął wielmożnego pana Jasina Heselwooda. Był bardzo wdzięczny temu młodemu człowiekowi, Synowi earla, za tak troskliwy gest.

- Młodzi ludzie w dzisiejszych czasach - powiedział - nie mają żadnego względu dla dobrego wychowania. A tutaj tylko garstka w ogóle rozumie, czego się od nich oczekuje. - To gubernator podjął temat ziemi. - Myślał pan o tym, panie Heselwood? Pański ojciec nigdy by mi nie wybaczył, gdybym nie udzielił panu kilku wskazówek.

- Jeszcze nie. Człowiek zastanawia się, co by było dla niego najlepsze.

Nie chciałbym jednak zajmować pana równie przyziemnymi sprawami w takim okresie.

Jasin wstał, ale gubernator go zatrzymał.

- Proszę za mną. Rzucimy okiem na mapy. Na chwilę oderwie to moje myśli od smutku.

Studiowali mapy. Darling wskazywał regiony, w których można tanio nabyć ziemię, ponieważ właściciele zrzekli się działek lub zostali do tego zmuszeni, bo nie płacili dzierżawy lub nie wypełniali wszystkich związanych z nią obowiązków.

- A tutaj? - Jasin wskazał północne obszary poza granicami stanu.

Darling drgnął zaskoczony.

- Nie dokonano jeszcze pomiarów tych terenów. Staram się nie dopuszczać tam osadników.

- Mimo to wyprawiają się tam. Mówiono mi, że każdy Tom, Dick czy Harry, który wytycza tam swoją działkę, w końcu ma ją

134

na własność. To dość niesprawiedliwe wobec ludzi takich jak ja, którzy wolimy postępować zgodnie z prawem.

- To bardzo trudna sytuacja. Nie chciałbym pana powstrzymywać, panie Heselwood, ale nie mogę pochwalać tego rodzaju ekspansji, dopóki nie będę miał nad nią pełnej kontroli. Wciąż ma pan prawo do gruntów w granicach stanu. Dlaczego nie weźmie pan posiadłości w Bathurst albo Goulburn?

Jasin był rozczarowany. Nie pozwoli, żeby ten głupiec namawiał go na tracenie czasu na jakieś resztki, skoro na chętnych czekają prawdziwe zdobycze.

- Wasza ekscelencjo, nie zaprzatajmy sobie tym na razie głowy. O ile nie dam rady konkurować z pozostałymi, będę na przegranej pozycji. Wielka szkoda. Myślałem, by zwrócić się do earla z propozycją utworzenia syndykatu, rodzinnego syndykatu, który tutaj by inwestował.

Gubernator gorączkowo poszukiwał najlepszego wyjścia. Nie chciał obrażać Heselwoodów. Słówko szepnięte przez nich u dworu mogło zapewnić mu szlachectwo.

Jasin miał propozycję.

- A gdybym się tam rozejrzał i przesłał panu rezultaty swoich poszukiwań? Proszę tylko o uprzedzenie mnie z góry, kiedy tamtejsze grunta staną się dostępne. Myślę, że mam prawo do takiej uprzejmości, bo wie pan, człowiek naprawdę chce zrobić tak, jak będzie najlepiej.

Darling wiedział, że to więcej niż uprzejmość, ale wolał na swoim terenie Heselwoodów niż nieokiełznanych osadników, którzy już naruszyli wyznaczone przezeń granice. O wiele lepiej mieć tam angielską szlachtę niż tych liberałów.

- Przypuszczam, że to wykonalne - zauważył.

- Na tym etapie to i tak wysoce hipotetyczne. - Jasin skończył za niego zdanie i zmienił temat, żeby nie dać gubernatorowi szansy na wycofanie się. - Tragedia śmierci Hortona... Przepraszam, wasza ekscelencjo, ciągle do tego wracam... Otóż tragedia polega na tym, że rodzina Johna dowie się o jego śmierci dopiero za kilka miesięcy. Wciąż myślą, że on żyje.

Oczy gubernatora zaszklily się od łez.

- Ma pan rację. To straszne, kiedy pomyślę, że w kraju wszyscy wysyłają życzenia dla mojego synka na jego urodziny przypadające za parę miesięcy. A potem ja i moja biedna żona

będziemy musieli jeszcze raz przez to wszystko przechodzić, kiedy zaczną docierać listy z kondolencjami.

- O tak. Człowiek w takiej sytuacji czuje się jak prawdziwy rozbitek. Nie rozumieją poświęcenia, na jakie musimy się zdobyć, żeby zostać w kolonii.

Gubernator, teraz szczerze zasmucony, ujął Jasina pod ramię.

- Mój drogi przyjacielu, musi mi pan wybaczyć. Dziękuję za wizytę i zrozumienie, jakie mi pan okazał. Proszę pozostawać ze mną w kontakcie. Tylko wobec nielicznej garstki można sobie pozwolić na zaufanie.

Przed wyjazdem z miasta Jasin na wszelki wypadek zajrzał do hotelu York, uznał bowiem, że rozmowa z Pelhamem będzie miłą odmianą po cikliwej konwersacji z Darlingiem. Był z siebie zadowolony: zapewnił sobie pierwsze miejsce w wyścigu po ziemię, mając po swojej stronie gubernatora, który gotów był zrobić wszystko, byle go zadowolić.

- Syndykat, a niech to! - prychnął pod nosem. - Ojciec nic mi nie dał i nic ode mnie nie dostanie. Z wyjątkiem pierwszego wnuka.

Zastanawiał się, jak ochrzci syna. Bo to będzie syn, był o tym przekonany. Może Edward? Synowie pierwородni w rodzinie Heselwoodów zawsze nosili to imię. A brat Jasina jak dotąd spłodził jedynie córkę.

Pelhama nie było w pokoju i Jasin nie fatygował się podaniem nazwiska.

Wścibski hotelarz na pewno go opisze i Pelham domyśli się, kto go odwiedził. Niech się zastanawia. Niech nie traci zainteresowania. Jeśli Jasin zdecyduje się na wyprawę na północ, Pelham może być użytecznym towarzyszem.

Minęło wiele dni, nim Vicky zakończyła swoje samotne czuwanie. Jasin

znalazł ją w salonie, z twarzą białą jak kreda i smutną. Wszystkie rolety były spuszczone.

- Czujesz się lepiej, moja droga?

- Tak - odparła twardo.

- Jesteśmy ci niewymownie wdzięczni za gościnność, powinniśmy jednak ruszać w swoją drogę, jeśli oczywiście nie masz nic przeciwko temu.

- Bardzo dobrze.

136

- Pojedziemy prosto do Chelmsfordu. Zapewniam cię, że dołożymy wszelkich starań, by dbać tam o twoje interesy, tak jak życzyłby sobie tego Horton.

- Zawsze dbasz wyłącznie o swoje interesy, Jasinie Heselwood. Nie próbuj mydlić mi oczu. I wciąż masz mojego konia.

- Moja droga! Z pewnością... Jednakże Vicky nie pozwoliła mu skończyć.

- Och, w porządku. Możesz zatrzymać konia, jeśli tyle dla ciebie znaczy. Ale ty byłeś przyczyną jedynej kłótni, jaką John i ja mieliśmy w całym naszym małżeńskim życiu. Nigdy ci tego nie wybaczę.

- W takim razie może to dobrze, że wyjeżdżamy. - Jasin mówił łagodnie, bo Vicky wciąż była roztrzęsiona. - To dla ciebie bardzo trudny okres. Jesteś jednak młoda, dojdiesz do siebie. Kiedy zadomowimy się w Chelmsfordzie, natychmiast do ciebie napiszę.

- Tak. Chelmsford. Nie będę potrzebowała twoich usług na farmie. Jasin nie wierzył własnym uszom. Mówiła do niego, jakby był służącym. Odprawiała go!

- Madame, Horton życzył sobie, żebym zarządzał Chelmsfordem. Z pewnością zaakceptujesz jego wybór zarządcy.

- Nic nie rozumiesz. Nikogo nie potrzebuję w Chelmsfordzie. Zamierzam sprzedać wszystkie posiadłości. Zyski ze sprzedaży zapewnią mi wygodne życie i nie będę musiała się o nic martwić.

- Postąpiłaś niemądrze, podejmując takie pochopne decyzje. Powinnaś się kogoś poradzić.

- Nie potrzebuję niczyich rad, dziękuję uprzejmie. Jeśli tak interesuje cię Chelmsford, to go kup, Heselwood.

Podniosła modlitewnik i rozmyślnie zagłębiła się w lekturze, podczas gdy wściekły Jasin stał, żałując, że nie może jej uderzyć.

- W takim razie pozwolisz, że odejdę. Opuścimy twój dom tak szybko, jak będzie to możliwe.

Vicky pochyliła głowę na znak zgody, nie patrząc na niego. Kiedy wyszedł na korytarz, zobaczył umykającą pokojówkę. Był przekonany, że podsłuchiwała.

Georgina nie wydawała się zaskoczona.

- Wiem, że z powodu tego konia były między nimi nieporozumienia. Nie mogłam wspomnieć o tym w liście, ale Vicky

137

w czasie twojej nieobecności niewiele się odzywała, przez co czułam się dość niezręcznie. Cieszę się, że opuszczamy ten dom, ale spróbuję z nią porozmawiać. Nie chciałabym rozstawać się z nią w gniewie.

- Sądzisz, że mogłabyś ją przekonać do zmiany zdania w kwestii farmy?

- Wątpię. To naprawdę najrozsądniejsza rzecz, jaką może zrobić, chociaż myśli, że używa jej jako kija na nas.

- Myśli! Doskonale sobie poradziła, rzucając się na mnie, jakby to była moja wina, że jej mąż zmarł. A przecież wie, że nie mamy dokąd pójść. Ta



mała suka oszalała z poczucia władzy. Cóż, trudno. Będę się musiał rozejrzeć i znaleźć dla nas dach nad głową. Jak sądzisz, moglibyśmy na jakiś czas zatrzymać się w hotelu?

- Nie, to za bardzo wyglądałoby na przyznanie się do porażki. Nasze plany uległy zmianie. Vicky sprzedaje Chelmsford i powinniśmy okazać, że całkowicie zgadzamy się z jej decyzją. Nie możemy w żadnym razie dać jej okazji do twierdzenia, że zrezygnowała z naszych usług, jak ośmieliła się insynuować.

- Insynuować!... Przecież ta mała suka właściwie zmieszała mnie z błotem!

- To teraz bez znaczenia. Chelmsford nie wchodzi w grę i przede wszystkim musimy mieć dach nad głową. Sądzę, że wiem, co zrobimy. Jak już mówiłam, Vicky dąsała się na mnie podczas twojej nieobecności. Jeśli Hortona nie było w pobliżu, prawie wcale się do mnie nie odzywała.

- Przykro mi z tego powodu, Georgino. Gdybym wiedział, że ta parweniuszka ośmiela się tak ciebie traktować, natychmiast bym wrócił. - Nagle przed oczyma mignęła mu twarz Dolour i zarumienił się. Przesunął dłonią po policzkach, pośpiesznie się tłumacząc: - Czuję się zakłopotany na myśl, że znalazłaś się w takim położeniu.

- Nie będziemy się tym przejmować. Nie zamierzałam siedzieć jak trusia i samotnie spędzać czas. Zaprzyjaźniłam się z sąsiadami. Mary Cormack to czarująca kobieta. To ona wysłała ci naprzeciw Lachiego.

- Aha! A więc już go tak nazywasz?

- Jasinie, proszę, nie trywializuj. Pozwól mi skończyć. Byłeś w ich domu. Jest dość spory, z widokiem na zatokę. Obecnie

jednak stanowi ich największe zmartwienie. Zamierzają jechać do Anglii na rok, a to za długi okres, żeby pozostawić dom bez opieki.

- Szukają lokatorów?

- W żadnym razie, mój drogi. To szalenie majątni ludzie. Potrzebują kogoś, kto zamieszkałby w domu i dbał o niego pod ich nieobecność.

Mary mówiła, że zatrzyma troje służby, kucharkę, pokojówkę i ogrodnika, ale to więźniowie i nie może zostawić ich samych. Już wspominała, jaka to szkoda, że wyjeżdżamy do Chelmsfordu, bylibyśmy idealnymi kandydatami do opieki nad ich domem. - Georgina usiadła wygodnie i uśmiechnęła się. - Chętnie bym tam zamieszkała. A ty?

- A to dopiero! Będziemy sąsiadami pani Horton! Moja droga, oto rozwiązanie. Sprytna z ciebie dziewczyna.

- Strasznie tu dzisiaj duszno, Jasinie. Może przejdziemy się i odwiedzimy Cormacków?

- Znakomity pomysł. A jutro wrócę do Sydney i porozmawiam z Dermottem Forrestem. On jeszcze o tym nie wie, ale zainwestuje w bydło. Mnóstwo bydła.

Georgina otuliła się szalem.

- Doprawdy, Jasinie, trudno za tobą nadążyć. Sądziłam, że to miały być owce.

- Nie, kupimy bydło za każdego pensa, jakiego uda nam się znaleźć. - Już myślał, że skoro mają zamieszkać u Cormacków, Georgina nie będzie potrzebowała swoich mebli przechowywanych w magazynach. Będzie też musiał załatwić sobie pożyczkę. Pani Horton przekona się, że Heselwoodowie doskonale sobie bez niej poradzą.

ROZDZIAŁ Piętnasty.

Jack Drew widział, jak Pace MacNamara atakuje jednego z szefów przed barakami, i zgadzał się z O'Mearą. Facet był głupcem, wtrącając się do cudzej walki. Teraz jednak bardziej przejmował się łańcuchami, którymi przykuli ich do wozu, i własnym losem.

Brosnan stał zniecierpliwiony między O'Mearą i Scarpym.

139

- Popatrzcie tylko na nas, wisimy na tym przeklętym wozie jak ozdoby na latawcu. A to dranie!

- Zamknij gębę, Brosnan - warknął Jack. - Wychodzimy z więzienia. Jak będziesz kłapał mordą, przeklęty Irlandczyku, to tam wrócimy. A czego się spodziewałeś? Że wsadzą nas do powozu?

Woźnica znowu zeskoczył z kozła i podszedł do więźniów.

- Kim był ten gość, co uderzył Larnacha? Nikt nie odpowiedział.

- No, wpakował się w niezłe tarapaty - wzruszył ramionami woźnica.

Jack spojrzał na O'Mearę i uznał, że skoro Irlandczycy milczą, to on też nic nie powie.

- Dokąd idziemy? - zapytał.

- Do Castle Forbes - odparł staruszek. - W Hunter Valley.

- Daleko to? Woźnica przygryzł cybuch.

- Około stu mil z objazdami, wzgórzami i dolinami.

- Boże, miej nas w opiece! - wykrzyknął Scarpy. - I my idziemy? Przecież to nas zabije!

Staruszek zaśmiał się chrapliwie.

- Dobrze ci to zrobi, synu. Odetchniesz świeżym powietrzem. Marsz jest najlepszą częścią. Jak będziecie na miejscu, major Mudie zaharuje was na śmierć.

Jack przyjrzał się uważnie staremu, jego łysiejącej głowie i poplamionej tabaką brodzie, uznał go bowiem za potencjalnego sojusznika.

- Pracujesz tam?

- Bez obaw. Ja tylko wynajmuję się z wozem. Nie mam nic wspólnego z Mudiem. Jest zły jak pies zaganiacz. I trzyma tam prawdziwego potwora, ogromnego czarnucha imieniem Jeremiah. Powiadają, że przypląnął z Jamajki. Jest kowalem, kiedy nie wymachuje biczem. Zedrze wam skórę z pleców.

- On nas próbuje rozweselić, chłopaki - rzucił lekko Brosnan, po czym odwrócił się ku bramie. - Oho, oto i szef we własnej osobie.

Za bramę wyjechał major Mudie z Larnachem, który na policzku miał wielkiego ciemnego siniaka. Brosnan roześmiał się.

- Musisz przyznać, Dinny, MacNamara dobrze się sprawił.

140

Żołnierze wskoczyli na siodła i kawalkada ruszyła. Za wozem truchtali więźniowie.

Wraz z mijającymi dniami mięśnie przywykły do wzmożonego wysiłku i więźniowie zręcznie dostosowali się do biegu wozu i unikali ciężkich kół. Jack obserwował okolicę i notował w pamięci każdy szczegół. To był dziwny kraj, uschłe drzewa stały z uporem, jakby miały takie samo prawo tu być jak żywe, i straszyły poszarpanymi białymi konarami. W tej ziemi nie ma nic miękkiego, myślał Jack, choć to akurat mu nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie, budziło satysfakcjonujące uczucie podszyte zemstą, osobliwie zadowolenie z tego, że strażnicy więzienni też muszą tu żyć. Dziwnaczna grupa zmierzała na północ, wiodąc cygański żywot i rzadko

widując Mudiego i Larnacha. Jack przekonał się, że woźnica stary Tom i żołnierze są ludźmi sympatycznymi w obejściu. Kiedy rozbijali obóz, Tom gotował, a kucharzem był dobrym. O'Meara milczał, zatopiony w posępnych rozważaniach, Scarpy wciąż na wszystko narzekał, a Brosnan, w przerwach pomiędzy wypytywaniem starego Toma i żartowaniem ze Scarpy'ego, który panicznie bał się węży, jak z rękawa sypał żartami. Jack nie pamiętał, by kiedykolwiek spotkał takiego wesołka, i wbrew przysiędze, że nie chce mieć nic do czynienia z Irlandczykami, polubił Brosnana.

Dopiero po tygodniu trafili na pierwszych dzikich czarnych, o których opowiadał im Tom. Jego opowieści przy ognisku przerażały Scarpy'ego do szpiku kości. Brosnan oznajmił, że nie wierzy w ani jedno słowo, ale Jack nie był taki pewny. Kiedy wreszcie zobaczyli obóz Aborygenów w przyjemnym zagajniku nad rzeką, roześmiał się z ulgą. Były tam kobiety z dziećmi, które piekły na ognisku słodko pachnące ryby, i nerwowo wyczekiwały, aż biali odejdą. Tylko starcy nawiązali z nimi rozmowę. Scarpy nie mógł oderwać oczu od kobiet.

- Miałbyś na nie ochotę? Golutkie jak je Pan Bóg stworzył.

I popatrz na te cycki, wprost wykluwają człowiekowi oczy.

Żołnierze obojętnie kłusowali szlakiem, jednakże widok tego rajy był straszną udręką dla więźniów.

- Ciężkie mamy życie - stwierdził Brosnan tęsknie. Wszyscy wzrok utkwili w dziewczynie o ciele smukłym i połyskliwym, która weszła na piaszczysty brzeg i zaczęła kopać małą drewnianą łopatką.

Jeden ze starców, którego twarda skóra pokryta była kurzem jak włosy, ze

smutkiem w oczach przyjrzał się łańcuchom.

- Łańcuchy niedobre - powiedział oskarżycielsko i złapał Toma za bark. -

Łańcuchy niedobre! - powtórzył, ale woźnica wzruszył ramionami.

- Nic nie mogę na to poradzić.

Czasami szlak łączył się z otwartymi drogami, jeźdźcy przystawali, żeby zamienić słowo z żołnierzami. Długie wozy zaprzęgnięte w woły usuwały się na bok, żeby zrobić im przejście, poganiacze kręcili głowami, okazując współczucie dla więźniów, żołnierze jednak obserwowali wszystkich czujnie, nie pozwalając na żadne interwencje.

Promami przeprawiali się przez szerokie rzeki. Kiedy w Singleton czekali na prom do Hunter Valley, dowódca żołnierzy, kapral Mitchell, powiedział:

- My dalej nie jedziemy. Ludzie Mudiego będą na was czekać na drugim brzegu rzeki.

Na przystani zobaczyli nadzorcę z farmy, Jocka McAdama, ponurego Szkota o wąskiej twarzy i mięśniach jak sznury w żyłastym ciele, oraz wyglądającego na brutala byczka imieniem Lester. Nowi strażnicy jechali za wozem, w olstrach przy siodle mieli strzelby.

Tom sam otworzył i zamknął bramę, po czym cała kawalkada ruszyła szlakiem przechodzącym obok głównego domu. Jack z zaskoczeniem stwierdził, że to wcale nie jest zamek, ale zwykły wielki dom otoczony kępą drzew. Z tyłu wznosiły się zabudowania, które wyglądały raczej jak wioska aniżeli farma. Kiedy się wspięli na wysuszone wzgórze, zobaczyli tam wysoki żelazny trójkąt, przy którym na koniu siedział Larnach.

- Wiecie, co to jest? - wrzasnął, biczem wskazując trójkąt.

Więźniowie pokiwali głowami.

- Tak jest, sir! - zawołał. - Słyszycie? Powiedzcie: tak jest, sir!

- Tak jest, sir - powtórzyli skazańcy przez zaciśnięte zęby.
- Dobrze. Słuchajcie teraz uważnie, wszyscy czterej. Jesteście ścierwem, niczym więcej. Więźniowie pracują tutaj z jednego powodu: muszą ponieść karę za swoje zbrodnie. Wciąż jesteście w więzieniu, nie zapominajcie o tym. Nie mamy tutaj płotów, ale mamy coś o wiele lepszego. Nikt nigdy stąd nie uciekł.

142

Słuchali w milczeniu Larnacha, który przemawiał niczym szalony kaznodzieja.

- Bóg sprowadził was tutaj, żebyście pokutowali. W niedzielę będziecie brać udział w nabożeństwach odprawianych przez majora Mudiego i dotyczy to też papistów. Mieliśmy tu odszczepieńców papistów, wcześniej czy później wszyscy szli do kościoła. Będziecie pracować ciężko i dziękować Bogu za sprowadzenie was do Castle Forbes. - Zwrócił się do McAdama. - Jutro będą pracować przy wyrębie na zachodnim padoku. Jeśli któryś będzie się sprzeciwiał, kieruj go prosto do mnie. A teraz, Lester, odprowadź ich.

Jack wyczuwał gniew gotujący się w O'Mearze i Brosnane, choć tym razem nic nie mówili.

Najpierw zaprowadzono ich do kowala, który zdjął im łańcuchy z poranionych przegubów. Przyglądali się Jeremiahowi, oceniając siłę jego muskularnych ramion.

- Słyszeliśmy o tobie - powiedział O'Meara. - Wymierzasz chłostę. Musisz być dumny z takiej godnej pracy.

Jeremiah nawet nie uniósł wzroku.

- Jestem w lepszej sytuacji niż wy. Lester rzucił koszule na klepisko.

- Wkładajcie. - Koszule były z szorstkiego płótna i każda na plecach miała numer. - Od tej chwili nie macie nazwisk, tylko numery. Jak mówił szef, jesteście w więzieniu. A teraz się zbierajcie.

Powiódł ich koło mleczarni ze stanowiskami do dojenia krów i przez pastwisko do kwater dla więźniów, długiego baraku z dachem pokrytym gontem.

- Mamy czterech nowych! - krzyknął.

W progu pojawił się chiński kucharz, wymachując tasakiem.

- Wong nie jest magikiem! Nie wykarmi czterech nowych. Za dużo ich tu!  
- wrzasnął piskliwie.

Lester usunął mu się z drogi.

- Będziesz robił, co ci każę, ty małpo! - Złapał strzelbę i wycelował Chińczykowi w stopy. Kucharz skoczył do środka, nie przestając wyrzekać.

Lester oparł się o stos drewna.

- Siadajcie tutaj - polecił więźniom. - Musimy czekać, aż reszta wróci.

143

Nowo przybyli rzucili worki na ziemię i usiedli pod murem kuchni.

Widzieli mężczyzn pracujących w szopach i pomagających Tomowi rozładować wóz; zauważyli, że odgłos strzału nie zrobił na nich wrażenia.

Z dróżki pomiędzy kamiennymi zabudowaniami wyszły trzy mleczarki ze skopkami. Scarpy szturchnął Jacka, ale Lester nie spuszczał z nich wzroku.

- Nie gapcie się na nie. One nie są dla was. I coś jeszcze. Tam jest główny dom. Widzicie białe ogrodzenie. Nie wolno się wam poza nie zapuszczać. Jeśli któryś tam wejdzie, nie będziemy o nic pytać, tylko strzelać. To dom



majora i jego rodziny. Nie chcą, żeby włóczyli się tam skazańcy.

Więźniowie puszczali jego wykład mimo uszu. Przez całe życie natykali się na różnego rodzaju granice i przekraczali je, nie zważając na niebezpieczeństwo. Schludny biały płot wcale ich nie pociągał, o wiele bardziej interesująca była otoczona lasem rozległa równina i ciemne wzgórza w oddali.

Brosnan wyciągnął nogi.

- Piękna farma, chłopcy. Nie miałbym nic przeciwko posiadaniu takiej na własność.

Lester obrzucił go gniewnym spojrzeniem, zagryzając zęby i kładąc palec na spuście. Jack jęknął. Mieli być w piekle, nie w niebie, sztuka polegała na tym, żeby wyglądać na cierpiącego, strażnicy byli wtedy szczęśliwi.

Brosnan prosił się o kłopoty.

I doprosił się.

Kiedy pozostali więźniowie, około czterdziestu mężczyzn, wrócili z pola, nowe numery dołączyły do nich na posiłek złożony z wodnistego gulaszu z baraniny i błotnistej herbaty, po czym zaprowadzono ich do baraku na noc. Jack słyszał, jak spadają ciężkie drewniane rygle, wszystkie okna w długiej sali były zakratowane. Wychudli i znużeni robotnicy stłoczyli się wokół nowo przybyłych w nadziei, że usłyszą jakieś nowiny, ale ci niewiele mogli im powiedzieć, tak więc wszyscy udali się na spoczynek. Jack nawiązał rozmowę z Pollym Phippsem, londyńczykiem zajmującym sąsiednią pryczę.

- Jak tu jest?

- Tak źle, jak możesz sobie wyobrazić. Mało dają do jedzenia, za to każą pracować, póki nie padamy, a wtedy batem zmuszają do wstania. Mudie

jest sędzią, nie powinien karać chłostą swoich więźniów, ale wysyłać nas do innego sędziego, żeby nas osądził.

144

On zupełnie tego nie przestrzega. Robi, co mu się żywnie podoba, później nagina przepisy.

- Czemu się nie zbuntujecie?

- Sporo więźniów jest chorych. Mudie dba, żebyśmy byli słabi, za daleko i tak nie uciekniemy. Na końcu sali jest czterech gości, którym zdarto skórę z pleców za próbę ucieczki.

Nazajutrz rano dziwna grupa ruszyła na karczowanie dziewiczego buszu w odległości mili od głównego domu.

- Wszyscy nowi dostają tę robotę - wyjaśnił Jackowi Polly Phipps - dopóki mają siły na najcięższe zajęcia. Trafiłem tu niedawno, miesiąc temu, i mówię ci, jestem coraz słabszy.

Więźniowie byli związani linami jak wysokogórscy wspinacze, siekiery i kilofy wieziono na taczce. Lester z dwoma strażnikami jechali konno, poganiając skazańców i radząc, żeby dobrze przyjrzeni się buszowi.

- Hej, nowi, jeśli wpadnie wam do głowy pomysł, żeby zwiać, to proszę bardzo - rechotał Lester.

Jack dostał łom do usuwania korzeni. Szedł za ludźmi z siekierami, którzy ścinali drzewa i krzewy. Na skraju karczowiska wypalano zarośla, ptaki wrzeszcząc podrywały się do lotu, małe zwierzątka uciekały w panice.

Kangur sadził wielkie susy, a Lester, nie najlepszy strzelec, co na przyszłość zanotował sobie w myślach Jack, próbował go trafić.

Trzymając się planu, żeby wyglądać na cierpiącego, Jack machał łodem i kilofem, męcząc się z gruzłowatymi korzeniami, które uparcie trzymały

się twardej ziemi, i jęczał, że plecy go bolą, na dłoniach ma odciski, a dym gryzie go w oczy. Przez cały czas pilnie obserwował strażników, otoczenie i tajemniczy busz. Urodzeni na wsi, O'Meara i Brosnan z nawyku zabrali się do roboty i wkrótce zostali awansowani do siekier, Scarpy natomiast nie radził sobie i narzekał, przez co bicz Lestera strzelał niebezpiecznie blisko jego pleców, by zachęcić go do większych wysiłków.

Jack niczego więcej nie oczekiwał. Suchy chleb i herbata o brzasku, suchy chleb, ser i woda w południe i co wieczór jednakowy gulasz barani. Po kolacji zamykano ich na noc. Praca na farmie była trudna, bez dwóch zdań. Jack zawsze uważał, że istnieją lepsze sposoby zarabiania na życie, nie potrafił sobie wyobrazić, że ktoś z własnej woli wybiera taki los. Poza tym i tak tutaj jest lepiej niż w Anglii, myślał rozbijając kilofem kruszącą 145

się ziemię, to będzie mój kraj, kiedy stąd się wydostanę. Zapominając, gdzie jest, zapatrzył się w pola. Z zamyślenia wyrwało go dopiero uderzenie biczem, który przeciął mu skórę na ramionach i zostawił krwawą ranę, bolącą przez wiele dni.

Po tygodniach monotonnej pracy czterej nowi więźniowie zaczęli odczuwać skutki nadmiernego wysiłku i niewłaściwego odżywiania.

Wychudli i narzekali na bóle głowy. Lester mówił, że to z powodu mocno prażącego słońca. Zdesperowani Irlandczycy gotowi byli uciekać, kiedy pech spotkał Brosnana.

Jack robił to co zwykle, gdy w buszu ktoś przeraźliwie wrzasnął. Na polanę wtoczył się O'Meara, wlokąc Brosnana.

- O Chryste! - jęczał Brosnan. - Ta przeklęta siekiera się omsknęła. Już po mnie, chłopcy.

Z jego stopy buchała krew. O'Meara ściągnął koszulę i chciał owinać nią ranę przyjaciela, ale Lester mu przeszkodził.

- Nie używamy dobrych koszul jako bandaży! - huknął.

- To daj nam coś, żeby powstrzymać krwotok! - odkrzyknął O'Meara. - Przeciął sobie stopę.

Lester kazał im wracać do pracy, jednakże O'Meara nie ruszył się z miejsca.

- Ranę trzeba zszyć. On nie może tu siedzieć i tamować krwotoku gołymi rękami. Zróbcie coś!

- Zabierzcie go do Laidleya - polecił Lester.

Strażnik wskoczył na siodło, a Lester siłą postawił Brosnana na nogi.

- Ruszaj!

- On nie może iść z taką stopą - sprzeciwił się O'Meara. Lester wycelował w niego broń.

- Wracaj do pracy albo wpakuję ci kulkę - zagroził. Pozostali patrzyli, jak O'Meara z twarzą płonąca wściekłością staje naprzeciw Lesterowi.

- To nie pora na męczenników, Dinny! - zawołał do niego Brosnan. - Załatwię to sam.

Zawsze gdy wymierzano karę chłosty, co zdarzało się raz na dwa, trzy dni, wszyscy więźniowie musieli być przy tym obecni. Ofiara, którą po chłości przy wtórze strasznych krzyków zanurzano w słonej wodzie, dostawała dzień wolny na dojście do siebie i zastanowienie się nad przestępstwem i karą. Nazajutrz rano więźniów poprowadzono do trójkąta, gdzie czekał

146

Mudie z Jeremiahem. Mudie jako sędzia lubił być obecny przy chłości.

Brosnan ze stopą zszytą, obandażowaną i wepchniętą w but kuśtykał obok przyjaciół.

- Powinieneś być im powiedzieć, że nie możesz dzisiaj pracować - odezwał się O'Meara. - Musisz dać stopie szansę na wyleczenie.

- Myślisz, że nie mówiłem? Kazali mi ustawić się w szeregu. Tu każą ci pracować nawet z odciętą głową.

- W takim razie pogadamy o tym z Larnachem. Którego biedaka wybrali dzisiaj?

- Stop! - wrzasnął Mudie, jakby miał przed sobą oddział żołnierzy. - Baczność!

Więźniowie przy wtórze szurania stanęli, Mudie pojechał do trójkąta, gdzie czekał Jeremiaś.

- Jakie są zarzuty? - zawołał Mudie do swojego zięcia.

- Więzień dwudziesty ósmy, wystąp! - rozkazał Larnach. Przed szereg wyszedł skulony chudy mężczyzna o twarzy łasicy.

- Och nie, sir, nie ja. Nie chciałem zrobić nic złego.

- Stłukł w mleczarni naczynie - raportował Larnach. Wszystkie głowy zwróciły się ku Mudiemu, który po chwili namysłu obwieścił:

- Dziesięć!

Jeremiaś skinął głową, dwaj strażnicy wsypali sól do drewnianej balii pełnej wody.

- Następny! - krzyknął Mudie.

- Więzień dwunasty, wystąp! - poleciał Larnach. Strażnicy wypchnęli przed szereg bosonogiego młodzieńca z rękami związanymi na plecach.

- Próba ucieczki! - oznajmił Larnach. Mudie poprawił kapelusz,

podwijając rondo.

- Ach, uciekinier! Druga próba, tak?

- Tak jest, sir! - potwierdził zięć z uśmiechem.

- Doskonale. Czterdzieści batów nic go nie nauczyło, no to dostanie pięćdziesiąt.

- Więzień numer trzydzieści cztery, wystąp! - krzyknął Larnach, ale nikt się nie poruszył. Stojący z tyłu zaczęli szturchać Brosnana, który rozglądał się oszołomiony. Jack spojrzał mu na plecy.

- To twój numer, Brosnan - szepnął.

147

- Za co? - zapytał Brosnan.

- Niech mnie szlag, jeśli wiem - odparł Jack. Larnach wezwał już strażników.

- Brać go!

Kiedy wywlekali go z szeregu, Brosnan krzyknął do Mudiego:

- O co mnie oskarżacie?

- Samookaleczenie - odpowiedział Larnach.

- Nie bądź głupi, człowieku! - wrzasnął Brosnan. - Przecież nie przeciąłem sobie stopy umyślnie, do diabła!

Jack z góry mógł im powiedzieć, co będzie dalej, i nie pomylił się, niemal jakby odliczał na palcach: pięć, cztery, trzy, dwa, jeden - i przed szereg wyskoczył O'Meara wrzeszcząc na strażników, żeby puścili Brosnana.

Larnach gwizdnął tak przenikliwie, że koń Mudiego stanął dęba.

Uciekinier jak szalony biegł niezgrabnie przez podwórze, zaskoczeni strażnicy gonili go na piechotę, za to Jeremiaś, który nie zamierzał pozwolić, żeby pozbawiono go klienta, złapał chudzinę od stłuczonego

naczynia w swoje muskularne ramiona, choć ten wrywał się i wrzeszczał. O'Meara błyskawicznie minął Brosnana, tak że Larnach nie zdążył nawet złapać pistoletu wiszącego mu na biodrze. Napastnik, dobrze pamiętając incydent z biczem w Sydney, wymierzył mu cios pięścią w twarz, a potem poprawił uderzeniem w żołądek. Larnach wpadł w balię ze słoną wodą, O'Meara zaś ruszył na pomoc Brosnanowi, który zmagął się z dwoma strażnikami.

Wydawało się, że podjęta przez Irlandczyka próba zapobieżenia chłóście jedynie ją odwlecze, ale Jack dostrzegł kątem oka, że Polly Phipps i kilku jego kumpli po cichu się wycofują, podczas gdy więźniowie stojący blisko Brosnana nie wytrzymali i z okrzykami radości rzucili się w wir bójki. Jack postanowił pójść w ślady Polly'ego, póki jeszcze miał taką możliwość, popędził więc ku najbliższemu budynkowi. Skreślił za róg i przebiegł przez dziedziniec, kierując się ku stodole z sianem. Słyszał krzyki i strzały, zobaczył też jednego więźnia galopującego na oklep na koniu, i chętnie wymierzyłby sam sobie kopniaka, że za cel nie wybrał stajni. Próbował ukryć się w sianie, ale było za bardzo ubite, wspiął się więc po drabinie i zrzucił je na ziemię, po czym usadowił się na szczycie. Z tego punktu obserwacyjnego widział dwóch strażników galopujących za bosonogim

148

uciekinierem, za nimi biegły psy. Teren przy trójkącie zasłaniał mu budynek magazynu, dlatego Jack przesunął się, żeby zobaczyć, co tam się dzieje.

Więźniowie cichaczem skradali się pomiędzy zabudowaniami w kierunku granic farmy i Jack przyglądał się im z zainteresowaniem. Mieli rozległą

połąć otwartej przestrzeni do pokonania, nim znajdą schronienie w buszu. Jeźdźcy bez trudu mogą ich dogonić. Gdyby zdobyli broń, mieliby jakąś szansę na uwolnienie się. Wielka szkoda, myślał Jack, że O'Meara wywołał to zamieszanie. W swoim czasie on, Jack Drew, ułożyłby plan przejęcia całej farmy. Ten dom - poza ich zasięgiem! Wybuchnął śmiechem. Sądząc po strojach i złotym zegarku Mudiego, nieźle można by się tam obłowić.

Usłyszał strzały w oddali, obok stodoły brzęcząc ostrogami przeszli spokojnie trzej poganiacze, jakby całe to zamieszanie nie miało z nimi nic wspólnego. Polly mówił, że na farmie jest około dziesięciu poganiaczy; są to ludzie, którzy po skończonym wyroku zdecydowali, że będą pracować w buszu. Jack potrafił ich zrozumieć, bo mając dobrego konia, człowiek mógł jeździć po tym kraju, gdzie mu się żywnie podoba. Mudie i Larnach poganiaczy też traktowali podle, ale wolni ludzie wiedzieli, co robią. Albo rzucali pracę, albo odbierali sobie zapłatę, zarzynając Mudiemu parę owiec.

Ku poganiaczom galopował sam Larnach. Zgubił gdzieś kapelusz i bicz, ale wymachiwał pistoletem.

- Wsiadać na koń - krzyczał - i gonić tych drani! Jack spodziewał się, że poganiacze ruszą biegiem, ale oni stali w miejscu; rozejrzeli się, czy ktoś patrzy, po czym nagle rzucili się na Larnacha i ściągnęli go na ziemię. Bili i kopali bezlitośnie, na próżno usiłował się chronić przed razami. Kiedy chciał się podnieść, jeden z poganiaczy, żylasty rudzielec, gestem kazał towarzyszom się cofnąć. W obie dłonie złapał długą łopatę i z całej siły spuścił ją na Larnacha.

Zaciekawiony Jack zastanawiał się, czy go zabili. Poganiacze wolno



ruszyli w swoją drogę. Kilka minut później wyjechali ze stajni z przytroczonymi do siodeł sznurami i strzelbami, narzędziami swojego fachu. Nie oglądając się na Larnacha, który leżał bez ducha, przystanęli, by przedyskutować kwestię konia czekającego na swego pana. W końcu rudowłosy roześmiał się i gwizdnął, a koń posłusznie ku niemu pokłusował.

149

Poganiacz złapał wolno wiszące cugle, ostrogami spiął wierzchowca i cała grupka pogalopowała w kierunku drogi prowadzącej z farmy.

To była tylko kwestia czasu, kiedy ktoś znajdzie Larnacha; trafiło na chińskiego kucharza, który wrzeszczał jak opętany i biegał w kółko, wzywając pomocy. Utrudniał tym sytuację więźniom, wciąż kryjącym się w cieniach rzucanych przez białe zabudowania. Jeden, którego Jack widział w oddali, radził sobie nieźle, był już blisko stajni. Jack postanowił, że jeśli uda mu się przetrwać na sianie do nocy, też weźmie sobie konia. Nie miał nic do stracenia, bo gdyby wcześniej go złapali, powie, że schował się tu dla własnego bezpieczeństwa.

Po Larnacha przyjechali strażnicy. Jeden dostrzegł ubranego w żółty więzienny strój mężczyznę, który biegł w stronę stajni, podniósł więc strzelbę i wypalił. Więzień wyrzucił ramiona w górę, okręcił się na pięcie i padł twarzą w szary kurz.

- A niech to! - mruknął rozczarowany Jack.

Zanieśli Larnacha do szopy, zaraz też pojawił się Lester. Na pastwiskach dla koni kilkunastu więźniów wciąż biegło w kierunku buszu. Jezu, pomyślał Jack, wygląda na to, że im się uda. Był zły, że sam nie spróbował ucieczki. Tymczasem Lester rozmawiał z dwoma czarnymi tropicielami

śladów, za którymi ustawiali się w szeregu konni. Więźniowie ładowali łańcuchy na wóz i Jack pokiwał głową, rozumiał bowiem, co będzie dalej. Czarni odnajdą uciekinierów, biali przywiozą ich z powrotem.

Ten, który strzelał, pojechał obejrzeć ofiarę. Strażnicy wyjęli dwa paliki ze ściany stajni i zrobili nosze, na które rzucono ciało i kazano dwóm więźniom je wynieść. Kiedy mijali stóg siana, Jack wyraźnie zobaczył numer. Trzydzieści cztery. Czy to nie numer Brosnana? Ponownie wyciągnął szyję - tuż pod nim rzeczywiście był Brosnan, brązowe włosy zasłaniały mu twarz, usta miał otwarte, jakby chciał coś powiedzieć. Jack poczuł, jak łzy wściekłości zasnuwają mu oczy, siłą stłumił krzyk. Że też z całej tej bandy to musiał być Brosnan! Nigdy wcześniej śmierć tak mocno nie zaboląta Jacka, chociaż miał z nią często do czynienia w dokach Londynu, gdzie rządziła przemoc. Widywał morderstwa i słyszał odgłosy śmierci, tym razem wszakże czuł piekący ból. Mówił sobie, że Brosnan miał szybką śmierć, nie cierpiał, słyszał takie zdanie aż nazbyt często, ale nie pomagało. Próbował

150

przypomnieć sobie twarz strzelca, tego, który zabił Brosnana, nie widział jej jednak, tylko strzelbę.

Zwinięty w kłębek w ciepłym sianie, zaczął się zastanawiać nad sobą.

Czyżby robił się miękki? Postanowił, że poczeka, aż całe to zamieszanie i strzały ucichną, potem zejdzie i odda się w ręce strażników. Zawsze jest następny dzień. Za sprytny ptaszek z Jacka Drew, żeby pędzić w busz jak bezgłowy kurczak. Kiedy pójdzie, będzie wiedział, dokąd idzie.

Major Mudie nie śpieszył się. Każdy z tych zbrodniarzy pożałuje gorzko dnia, w którym zdenerwował chlebobawcę, czyniąc z niego pośmiewisko

całej okolicy.

- Zapłacą za to - powiedział żonie. - O tak, zapłacą!

A żona, jak zawsze w takich sytuacjach, na palcach poszła ostrzec córki, żeby nie irytowały ojca.

Mudie w swoim gabinecie sprawdzał listę więźniów. Przed biurkiem stał niepewnie Evan Laidley, magazynier i księgowy, który pełnił też funkcję medyka, i skubał paznokcie. Major w swej dobroci przywiózł go tu z Anglii, żeby dorobił się fortuny. Na razie Laidleyowi się nie udało, choć dostawał dwadzieścia funtów na rok, utrzymanie i mieszkanie w dużym domu z dala od robotników i więźniów, z których każdy przerażał go do szpiku kości.

Major rzadko pojawiał się na farmie, wyjątkiem były sytuacje, kiedy wydawał wyrok na więźniów, za to Larnach zawsze tam był i Laidley czuł się przy nim bezpiecznie, teraz wszakże Larnach leżał chory, bo zaatakował go jeden z tych potworów, z którymi magazynier musiał się zadawać codziennie. I codziennie spodziewał się, że dostanie siekierą w plecy, tak złośliwie nastroszeni byli więźniowie.

Od zamieszek minął miesiąc, a jeszcze nie zapanował spokój. Przed sądem majora stawali kolejni więźniowie, a Laidleya wyznaczono na pomocnika urzędnika sądowego, jakby nie miał dość własnej pracy. Gdyby nie młoda jeszcze córka właściciela sąsiedniej farmy, panna Jemima Cooper, już dawno opuściłby Castle Forbes.

Dwóch więźniów powieszono. Mówiono mu, że ich ciała wciąż kołyszą się na drzewie przy rzeźni, ale sam nigdy tamtędy nie chodził. Larnach miał szczęście, nie ulegało bowiem wątpliwości,

że zbrodniarze chcieli go zabić, chociaż w sądzie krzyczeli wniebogłosy, że nawet palcem go nie tknęli. Trzej poganiacze ukradli konia Larnacha i żołnierze ruszyli w pogoń za nimi. W tym kraju kradzież konia uznawano za zbrodnię równie wielką jak morderstwo, tak więc dni tej trójki też były policzone.

- Słucham, co masz do zaraportowania? - warknął major, nie odwracając się od biurka.

- Wszyscy więźniowie obecni oprócz trzech, sir. Wciąż ich nie znaleziono.

- W takim razie nie wszyscy są obecni. Kogo nie ma? Nazwiska!

Laidley z trudem trzymał otwartą księgę, przesuwał palcem od numerów do nazwisk.

- Smith. O'Meara. Johnson.

- Powiadomiłeś władzę, że uciekli?

- Tak jest, sir.

- A co z resztą?

- Dziewiętnastu czeka na wyznaczenie kary. To ci, co uciekli, ale zostali złapani.

Mudie patrzył przez okno na swoją drugą córkę, która kołysała się na huśtawce w ogrodzie.

- Nie możemy pozwolić, żeby wszyscy naraz nie pracowali. Musimy opóźnić chłostę. Czy kończą już nowy dziedziniec?

- Tak jest, sir. Tak mi się wydaje.

- Co to znaczy, że ci się wydaje? Jak stąd wyjdiesz, sprawdzisz to sam i zdasz mi raport.

Mudie wrócił do pisania, zanurzając pióro w atramencie i ozdabiając zawijasami litery. Laidley czekał. Wiedział dobrze, że lepiej się nie ruszać,

póki major go nie zwolni. Dziedziniec, o który pytał, był miejscem do wymierzania chłosty. Od zamieszek zawieszono karę, bo major chciał, żeby odbywało się to w bezpiecznych warunkach. Laidley dowiadywał się u robotników, naturalnie więźniów, jak długo praca jeszcze potrwa, widział bowiem ustawiony pośrodku trójkąt, ale w odpowiedzi usłyszał stek przekleństw.

- Możesz odejść - mruknął major. - I powiedz pani Mudie, że teraz zjem podwieczorek.

Więźniowie orientowali się, że po skończeniu dziedzińca chłosta znowu będzie wymierzana, tak więc zwlekali, jak tylko się dało. Wciąż nie było śladu po O'Mearze i dwóch innych, za to

152

resztę uciekinierów wyłapano z buszu. Pierwszym był Scarpy, który wolnością cieszył się tylko dwa dni.

- Szczerze mówiąc - powiedział Jackowi - to cholernie się cieszę, że wróciłem. Nie kłamali. Tam nie ma nic oprócz drzew, a nocą jest ciemno jak w studni, siedziałem na pniu i piekielnie się bałem poruszyć, słuchałem wycia wilków i widziałem ich czerwone ślepie.

- To nie wilki, tylko dzikie psy - sprostował Jack.

- A co za różnica, do diaska?

Polly Phipps wytrzymał dwa tygodnie, nim na wpół oszalałego z pragnienia przywlekli go z powrotem. Jack słuchał wszystkich tych historii o buszu i doszedł do wniosku, że ucieczki tylko wtedy nie przypłaci śmiercią głodową, jeśli wróci do Sydney i tam się ukryje. Wciąż pracował przy karczowaniu buszu z Pollym i Scarpym, ale obaj byli wytrąceni z równowagi. Bali się szubienicy i wciąż czekała ich chłosta. Dzień w dzień

dochodziło do rozmaitych incydentów, nocami zaś w baraku wybuchały bójki, bo atmosfera była napięta.

Dziwne, ale kiedy od nowa zaczęto wymierzać karę chłosty, napięcie jakby zelżało. Jednakże robotników wysłano do budowy innego znajomego urządzenia. Dyby! Jack ze zdumieniem patrzył, jak na środku placu wznoszą solidny pręgierz, i zastanawiał się, dlaczego Mudie zadaje sobie ten trud, skoro nie ma tu przechodniów, którzy by dręczyli zakutego nieszczęśnika.

Co noc leżąc na pryczy słuchał jęków kolejnej ofiary Jeremiaha. Czekał na swoją kolej i żałował, że Scarpy z wiecznymi narzekaniami i cierpieniami nie został w buszu. Brakowało mu nieustępliwego gniewu O'Meary i dobrego humoru Brosnana, dzięki któremu życie stawało się znośne. Na chłostę skazano też owczarza, bo zgubił parę sztuk ze stada. Jack poszedł z nim pogadać, ale po kilku minutach uświadomił sobie, że marnuje czas. Ten człowiek był szalony.

- Nic od niego nie wydobędziesz - śmiał się Polly Phipps. - Wszystkim owczarzom musi brakować piątej klepki, inaczej nie wzięliby tej roboty.

- Ale są wolni. Dlaczego nie uciekają?

- Ach, dajże spokój, Jack! Jeśli owczarz ucieka, ma poważne kłopoty.

Farmer wpada we wściekłość. Ścigają takiego, jakby roznosił epidemię.

Ale trzeba być niespełna rozumu, żeby siedzieć tam samotnie i gadać do owiec. Są w dziczy, bez konia,

153

strzelby, bez niczego, tylko co kilka tygodni wpada poganiacz, żeby policzyć stado i zostawić wołowinę i tytoń. Jeśli nie załatwią ich czarni, zrobi to samotność.

Jack pokręcił głową. Musi być jakieś wyjście.

- Wygląda na to, że O'Mearze się udało.
- Co ty, na pewno leży martwy gdzieś w buszu.

Raz na kilka dni chłostano niedoszłych uciekinierów. Jack po wyjściu z kryjówki twierdził, że zaszył się tam ze względu na własne bezpieczeństwo, i wszystko wskazywało na to, że jego wymówkę zaakceptowano, ale pewnego dnia rano strażnicy zawlekli go przed oblicze Larnacha, który wciąż miał rękę na temblaku i kulął.

- Nie uciekłem - pośpiesznie wyjaśnił Jack. - Cały czas tam byłem.
- I na pewno byś został! - krzyknął Larnach. - Znam takich jak ty. Ale nie dostaniesz batów. Major robi dla ciebie wyjątek. To będzie lekcja dla tych, którzy myślą o ucieczce. Weźcie go - polecił strażnikom. - Nigdy nie widziałem, jak to działa, ale major wszystko o tym wie. Kazał zakuć go w dyby na dwa dni.

Zaprowadzili Jacka na plac i wykonali polecenie Mudiego. Larnach zaintrygowany obszedł drewniane urządzenie.

- Na pewno się stąd nie wydostanie?
- Na pewno, sir - odrzekli strażnicy, zasuważąc rygle. Larnach zajrzał Jackowi w twarz.
- Teraz możesz obserwować mrówki, a kruki mogą obserwować ciebie. Miej oczy zamknięte, bo ci je wydziobią.

Kiedy odeszli, Jack przeklinał i przeklinał, oblizując ślinę z warg. Dwa dni! Mudie oszalał. Chłosta byłaby lepsza. Może. Nie wiedział. Nad nim krakały kruki i w panice zamknął oczy. Czy ptaki wydziobują oczy, czy to był żart? Słońce paliło go w plecy. Co pewien czas prostował nogi i próbował tak ułożyć ręce, żeby choć trochę było mu wygodnie. Starał się

zasnąć, by zabić czas, ale drewno wbijało mu się w gardło.

Po południu promienie słońca padały prosto na jego głowę i ręce, oczy go piekły, a potem powieki i wargi popękały. Kiedy przyszli strażnicy, twarz miał czerwoną jak burak.

- Wody - zachrypiał. Strażnik wylał mu wodę z bukłaka na głowę i śmiał się, kiedy skazaniec wyciągnął język, by złapać choć kilka kropel. Rozległ się gong wzywający na posiłek wieczorny i dręczyciele sobie poszli.

154

Nikt nie przyniósł mu jedzenia, a kiedy zapadła ciemność, słyszał piski i szelesty w buszu i widział nocne ptaki trzepoczące skrzydłami wysoko nad koronami drzew. Zaczął padać deszcz, chłodząc mu twarz i ciało. Przez całą zimną noc wisiał bezwładnie, cierpiąc okrutne męki. Otwierał i zamykał pięści, by utrzymać krążenie, a potem znieruchomiał. Wydawało mu się, że wyczuwa ruch wokół siebie, różnicę w powiewach wiatru, odwracał więc głowę, ale nic nie widział. Ogarnął go paralizujący strach, ledwo ośmielał się oddychać; bał się, że opowieści o czarnych są prawdziwe, że zaraz włócznia przebije jego bezbronne ciało albo rzucą się na niego dzikie psy. Zmusił się do czujności, dopóki go nie uratowały pierwsze blade promienie słońca.

Niedaleko spory czarno-biały ptak sfrunął na ziemię i szukał w trawie ziarenek, ale co jakiś czas przekrzywiał łebek, mierzył Jacka czarnym, połyskliwym oczkiem i podchodził bliżej. Jack miał nadzieję, że nie wydziobie mu oka. Kręcił głową i trząsał palcami, żeby trzymać ptaka na odległość, ten jednak był bardzo cierpliwy. Począł, aż więzień się uspokoi, po czym poderwał się do lotu, porwał z dybów trociny i odleciał ze swoim skarbem. Kilkakrotnie tego ranka ptak wracał i Jack zaczął



wypatrywać jego wizyt.

O zachodzie słońca przyszedł strażnik z chlebem i wodą. Więźnia na piętnaście minut uwolniono, ale nie mógł ustać, nogi się pod nim załamywały. Kiedy nadeszła pora na ponowne zakucie, strażnikowi zrobiło się żal Jacka. Postawił puszkę z wodą na ziemi, wziął pas materiału i jeden koniec zanurzył w puszcze, drugi zaś wetknął Jackowi w usta.

- Trzymaj, druhu, dzięki temu nie uschniesz z pragnienia.

Znowu zapadła ciemność, tym razem jednak chmury się rozeszły i na niebie pojawił się księżyc jak ogromna miedziana moneta. Ciszę zmaćło niesamowite wycie psów dingo. Głowa Jacka opadła, we śnie widział dziwne miejsca i nieprzebyte lasy, a kiedy się obudził, stwierdził, że wypuścił tkaninę z ust. Mógł tylko mierzyć ją wzrokiem, tak jak wcześniej ptak mierzył wzrokiem jego. W żaden sposób nie mógł jej odzyskać. Słone łzy zapiekły go pod powiekami. I znowu wyczuł jakiś ruch w pobliżu, świeży ciepły powiew, i jęknął, bezradny wobec potworów nocy.

Odwróciwszy głowę, uświadomił sobie, że patrzy na stopy, czarne stopy, i dwie silne czarne nogi - ma je tuż przed twarzą. Przerażony szarpnął się i uderzył głową o drewno. Zmusił się, by

155

otworzyć szeroko oczy, i zobaczył długą włócznię w dłoni czarnego o okrutnym wyglądzie. To jeden z tych dzikich czarnych, o których słyszał, nagich, pomalowanych w białe pasy. Nie mógł już dłużej utrzymać głowy pod tym kątem. Pozwolił, by opadła, i czekał na nieuchronny cios.

Wtedy jednak czarny przemówił.

- Strasznie śmieszne zamykanie!

Więzień poruszył się, słysząc ten nieoczekiwany ton ciekawości w głosie, i

uświadomił sobie sens słów. Zbity z tropu, wiedział tylko, że w tym głosie nie było wrogości, zebrał się więc na wysiłek, by samemu przemówić, choć miał wrażenie, że język nie mieści mu się w ustach.

- To mnie zabija.
- Zabijać cię major?
- Tak.
- Major zły człowiek.

Jack zamknął oczy. Zbyt był wyczerpany, żeby dalej prowadzić tę rozmowę. Usłyszał wyciągane rygle, górna deska została uniesiona i czarny skomentował:

- Strasznie śmieszna pułapka!

Jack dźwignął głowę i stoczył się na ziemię.

Czarny chwycił jego dłoń i pomógł mu wstać. Ostatnią rzeczą, jaką Jack pamiętał, było to, że opuszczał plac niesiony jak jeleń na ramionach kłusownika, tylko że te ramiona były nagie, gładkie i pachniały tłuszczem. Wpadł w ręce kanibali? Nic go to nie obchodziło.

ROZDZIAŁ Szesnasty.

Wydawało się, że całe Sydney pojawiło się na nabrzeżu, by podziwiać, jak do portu wpływa majestatyczna argentyńska brygantyna z napiętymi kwadratowymi żaglami i banderą barwy nieba - widok doprawdy niezwykły w wietrzny dzień. Georgina, która oczekiwała narodzin dziecka, patrzyła na nią z okna wykuszowego domu Cormacków, a Milly Forrest, przechadzająca się ze szwagierką, machała jak szalona z najlepszego punktu Kings Wharf.

156

Wysiadło kilkoro pasażerów, ponieważ jednak nie pojawił się żaden z

oficerów, straciły zainteresowanie i poszły dalej. Gdyby dłużej poczekały, zobaczyłyby eleganckiego młodego mężczyznę w czarnych spodniach, koszuli z koronkowym żabotem i żakiecie z wysokim wyszywanym kołnierzem. Inne damy zauważyły smagłą cerę, ciemne oczy i olśniewający uśmiech, gdy pożegnał się z towarzyszami podróży i ruszał w stronę miasta.

W ten pierwszy dzień w Nowej Południowej Walii szedł długo, nim zdecydował się wziąć dorożkę.

- Chciałbym jechać do... - zajrzał do notesu - ...do Bligh House przy Macquarie Street.

- Oczywiście, sir, niech pan wskakuje - odparł dorożkarz.

Starsza panna Higgins otworzyła drzwi nieznanemu, który wydał jej się typem śródziemnomorskim, dlatego przyjęła go chłodno.

- Czy mogę rozmawiać z panną Higgins? - zapytał.

- Ja jestem panna Higgins. - Nie zapytała, czym może mu służyć, i trzymała dłonie splecione przed sobą, jakby chciała zagrozić mu drogę.

- Mam list polecający od kapitana Millbanka.

Panna Higgins odebrała list i poszła do holu, by tam go przeczytać.

Nieznajomego zostawiła na progu.

Millbank wychwalał młodzieńca pod niebiosa. Pisał, że pochodzi z jednej z najlepszych argentyńskich rodzin i dysponuje własnym sporym majątkiem. Panna Higgins skrzywiła się. Nie uważała, by Millbank koniecznie musiał o tym wspominać, to było w bardzo złym guście. Sprawy młodzieńca nikogo nie interesowały. Przypuszczała jednak, że kapitan miał dobre zamiary. Millbank przesyłał też pozdrowienia dla państwa Brooksów, jeśli wciąż przebywają w Sydney. Westchnęła. Biedny

doktor Brooks, już nie żyje.

Wróciła do drzwi.

- Życzy pan sobie pokój?

- Tak, madame.

- Dobrze. Proszę wejść. Gdzie pański bagaż?

- Wciąż na statku. Uznałem, że lepiej się będzie najpierw upewnić, czy mnie pani przyjmie, i dopiero potem sprowadzić rzeczy.

157

Uśmiechnęła się, zadowolona z jego dobrych manier.

- Proszę do środka, panie Rivadavia, zaraz podamy lunch. Później pokażę panu pokój.

Do szóstej zdążył się już zdomowić. Kiedy rozległ się gong, zapytał pokojówki, co to oznacza.

- To gong na kolację, sir. Podajemy ją codziennie o szóstej, z wyjątkiem niedziel, kiedy jest podwieczorek serwowany o wpół do szóstej.

Pomyślał, że to wczesna pora na kolację, ale zszedł do jadalni, gdzie odpowiadał na pytania swoim bardzo poprawnym angielskim.

- Tak, kapitan Millbank czuje się dobrze. Jest przyjacielem mojego ojca. Jak rozumiem, kapitan Millbank zamierza po przejściu na emeryturę wyjechać do Argentyny.

- Dziwny pomysł - stwierdził major. - A co ciebie tu sprowadza, młodzieńcze?

Juan nie zamierzał omawiać spraw rodzinnych z nieznanym, udzielił jednak uprzejmej odpowiedzi.

- Ciekawość, sir. Chciałem zobaczyć nowy kraj. Poznać ludzi.

- Phi! Nie wybrałbym tego miejsca na wakacje. Powinieneś był pojechać

do Anglii. Blżej niż tu. Byłeś w Anglii?

- Nie, sir.

- Wielka szkoda. To o daleko bardziej interesujące miejsce niż Sydney - powiedziała majorowa.

- Dlaczego więc tu mieszkacie? - zapytała ją Adelaide.

- Chodzi o klimat, moja droga. O wiele lepszy dla płuc majora.

Co rano o siódmej pokojówki przynosiły gościom herbatę i ciastka, posiłek na pobudkę, jak to nazywały, ale jeśli pogoda pozwalała, Adelaide wołała zjadać go na dziedzińcu. Nowy gość, Rivadavia, postąpił tak samo. Ubrany był w olśniewająco białą koszulę rozpiętą pod szyją i czarne spodnie. Chciał dowiedzieć się wszystkiego o Sydney, a Adelaide, która obecnie uważała się właściwie za mieszkankę kolonii, mogła zaspokoić jego ciekawość. Był dobrym słuchaczem, podzieliła się więc własnymi wrażeniami na temat miasta i odwróconych pór roku. Zobaczyła, że się uśmiechnął, i zaraz zaczęła śmiać się z siebie.

158

- Zupełnie zapomniałam, że Argentyna także leży na tej półkuli. Mój świętej pamięci mąż, który był doktorem astronomii, dziwiłby się mojej ignorancji.

Później wyjaśniła majorowej:

- Wszystko go interesuje, to doskonale wykształcony młody człowiek, o ile mogłam się zorientować. Jest zafascynowany Anglią, wszystkimi naszymi królami i królowymi, dobrze się więc składa, że trochę znam historię.

Majorowa z chytrym uśmieszkiem spojrzała na Adelaide, mrużąc oczy jak zawsze, gdy z zadartą brodą miała wygłosić kąśliwą uwagę.

- Zastanawialiśmy się, o czym we dwoje szepczecie na dole co rano.

- Pani Kelso - obruszyła się Adelaide - my nie szepczemy! Ponieważ dziedziniec jest wprost pod pani oknem, pani pierwsza by się skarżyła, gdybyśmy rozmawiali ile sił w płucach! - Była jednak zakłopotana i poczuła, jak rumieniec zalewa jej twarz, gdy oczyma wyobraźni zobaczyła jego białą koszulę, rankami rozpiętą niemal do pasa i odsłaniającą gładki brązowy tors. Zażenowana dodała: - Juan jest dżentelmenem i sądzę, że ta uwaga była doprawdy nie na miejscu.

- Och! Więc jesteście po imieniu? - podchwyciła pani Kelso.

- Dlaczego nie? - Adelaide wzruszyła ramionami. - Gdyby poświęciła pani trochę czasu na rozmowę z młodym człowiekiem, który jest zupełnie sam w obcym kraju, może zaszczyciłby panią podobną uprzejmością.

- Tak tylko pytałam - odrzekła majorowa i odeszła szeleszcząc sukniemi.

Były momenty, kiedy Adelaide nienawidziła mieszkania w pensjonacie, gdzie wszyscy wścibiali nos w cudze sprawy. Dlaczego Juan nie miałby z nią rozmawiać? Przynajmniej nie była taką starą pudernicą jak pani Kelso. Przyglądała włosy, wsuwając luźne kosmyki do koka, i musnęła palcami po karku. One są po prostu zazdrosne. Szkoda, że Juan jest taki młody, naprawdę bardzo przystojny z niego mężczyzna. Młody mężczyzna.

Zadrzała i zadała sobie pytanie, czy nie powinna porannej herbaty wypijać w pokoju, uznała jednak, że nie pozwoli, żeby pani Kelso nią dyrygowała.

Gdyby teraz zmieniła swoje zwyczaje, zostałoby to źle zrozumiane.

159

- A niech to! - powiedziała do kota, który z rozkoszą ocierał się o jej nogi spowite fałdami jedwabiu.

Życie Adelaide toczyło się utartym torem. Po śniadaniu szła do swojego pokoju, zostawiając drzwi otwarte, żeby nie odcinać się od świata, i szła. Poza oczywiście niedzielą. Zastanawiała się, dokąd Juan poszedł tego dnia. Interesy, powiedział, nie śmiała jednak zapytać jakie.

Wracał późnym popołudniem, kiedy Adelaide, przebrana do kolacji, siedziała na swoim ulubionym fotelu na werandzie, oddychając świeżym powietrzem.

Zaczęła wyczekiwać, kiedy zobaczy go wchodzącego przez furtkę, ponieważ najczęściej przystawiał sobie krzesło i siadał obok niej. Im dłużej mu się przyglądała, tym bardziej była nim zauroczona, jego ciałem, olśniewającym uśmiechem, zmysłowym głosem i obcym akcentem, no i naturalnie pochlebiała jej jego uwaga. Czasami w środku nocy myślała o nim i zdawała sobie sprawę, że jest w nim zadurzona, że to niemądre zakochanie, ale nieszkodliwe jak sen na jawie, i pragnęła go dotknąć, wziąć za rękę, za tę piękną silną rękę. Myśl o nim rozgrzewała ją, choć czasami wpędzała w rozpacz, bo zaczynała się zastanawiać, czy czeka ją los starej zimnej kobiety, skazanej na pokój gdzieś z tyłu. Żałując siebie, płakała za Brooksem, biednym, kochanym łagodnym Brooksem. Jechali tu, żywiąc wielkie nadzieje.

Major dawał jej gazety, kiedy sam kończył je przeglądać, i czytała o Georginie i Jasinie, „ulubieńcach Darlinga”, nigdy jednak nie wspomniała, że ich zna. Widząc, jaki sukces odnieśli w towarzystwie i jak szczęśliwe prowadzili życie, popadała w przygnębienie. Życie bywa takie niesprawiedliwe. Po kolacji Juan zawsze wychodził sam. - Przechadzka dla zdrowia - wyjaśniła młodsza panna Higgins.

Adelaide uważała jego poczynania za tajemnicze, ale nie odważyła się o

nic pytać, bała się bowiem, że zaczyna być równie wścibska jak inni mieszkańcy pensjonatu.

Większą wagę przykładła teraz do własnego wyglądu i mimo licznych zamówień znalazła czas, by uszyć sobie lekkie suknie ze szwajcarskiego tiulu, bardziej odpowiednie do klimatu Sydney, przewiewne modne suknie z aksamitnymi kokardami i falbankami, idealne na ciepłe wieczory na werandzie.

160

ROZDZIAŁ Siedemnasty.

Kiedy Heselwoodowie się wyprowadzili, Vicky Horton miała wrażenie, że ciężar spadł jej z ramion, ich obecność sprawiała, że była ponura i poirytowana. Teraz mogła znowu przejąć kontrolę nad własnym domem. Miała sporo do załatwienia przed narodzinami dziecka, a chociaż śmierć Johna wciąż wywoływała rozpaczliwe łzy, Vicky postanowiła otrząsnąć się z przygnębienia. Zdecydowała, że syna nazwie „John”, a córkę „Marietta”, bo taką piosenkę często nucił Horton.

Farmy owcze w Bathurst szybko znalazły nabywców, za to sprzedaż farmy Chelmsford ciągnęła się w nieskończoność. Czasami Vicky myślała, że agenci o niej zapomnieli, ale zapewniali ją, że szukają oferty z najlepszą ceną, a na razie o porządek na farmie dbali nadzorca Andy i jego żona Dora. Vicky była obojgu wdzięczna, byli godną zaufania parą, i miała nadzieję, że nowi właściciele ich zatrzymają.

Dzięki plotkom powtarzanym przez służbę Lettie informowała ją o tym, co dzieje się w sąsiednim domu, odkąd Mary i Lachie Cormackowie wyjechali do Londynu. Teraz mieszkali tam Heselwoodowie, co Vicky zirytowało, a Georgina także spodziewała się dziecka. Co nie znaczyło, że



te wieści Vicky interesowały. Ci ludzie na zawsze opuścili jej życie.

Wiedziała, że John nie chciałby, żeby po nim długo płakała, tak więc już planowała chrzest dla uczczenia narodzin jego syna.

Od agenta dostała list z informacją, że znalazł się potencjalny kupiec, ale życzy sobie spotkania z obecnym właścicielem. Ze względu na jej stan odmówili tej prośbie, zapewnili jednak, że negocjacje trwają. Vicky odpisała, że spotka się z nabywcą. Uznała jego prośbę za całkiem rozsądną.

Ustalono termin spotkania. Vicky, odziana w najlepszą czarną suknię z jedwabiu, przyjęła gościa w salonie.

Pierwsze wrażenie na widok Juana Rivadavii było niepokojące.

Spodziewała się o wiele starszego mężczyzny, a oto miała przed sobą dżentelmena niemal równego jej wiekiem i tak przystojnego, że poczuła, jak policzki zalewa jej słaby rumieniec. Zganiła wzrokiem Lettie, która rzucała mu pełne podziwu spojrzenia.

161

- To wszystko, Lettie, dziękuję - powiedziała. Woląca zostać w fotelu, niż pokazać mu swoją zniekształconą figurę.

Usiadł przy drugim końcu stołu.

- Pani Horton, mam nadzieję, iż wybaczy mi pani, że narzucam się jej w okresie żałoby, ale jestem obcy w tym kraju i wierzę, że więcej może mi pani opowiedzieć o tym ranczu niż którykolwiek z agentów.

- O tak - odparła, po czym złapała się na tym, że paple o wszystkim, o farmie, personelu, zwierzętach, o pięknie Hunter Valley i innych trywialnych drobiazgach, o których wcale nie miała zamiaru wspominać. Przez cały czas uważnie słuchał i nie przerywał. Vicky woląca nie patrzeć

w jego ciemne oczy, wodziła więc wzrokiem po fałdach wysokiego kołnierza i obszytym koronką, spiętym rubinową spinką fularze.

Kiedy skończyła, powiedział z uśmiechem:

- Nie miałem pojęcia, że pani Horton jest taka młoda. Powinni byli mnie ostrzec.
- Nie jestem taka młoda, żeby nie móc omawiać interesów.
- Oczywiście. Nie chciałem pani obrazić. Chodziło mi o to, że łatwiej mi z panią rozmawiać. Możemy spojrzeć na sprawę ze wspólnego punktu widzenia, powie mi pani, czy jej zdaniem uda mi się odnieść sukces.
- Rozumiem, chyba ma pan rację. Napije się pan kawy?
- Tak. Dziękuję.

Rozmawiali bardziej jak konspiratorzy niż współpracownicy w interesach. Vicky, zapominając o figurze, skoczyła na nogi i zaprowadziła go do gabinetu Johna, gdzie pokazała mu rejestry stad i plany, a on ani razu nie przeprosił, że narzuca się w „jej stanie”, jak robili to wszyscy inni. Po jego wyjściu była rozczarowana, miała wrażenie, że mogłaby rozmawiać z nim bez końca.

- Sądzi pan, że kupi farmę? - zapytała.
- Tak. Rozumie jednak pani, że najpierw muszę ją zobaczyć, a to trochę potrwa. Ale po powrocie niezwłocznie dam pani odpowiedź.

Zamknęła się w sypialni przed uśmiezkami Lettie i z zamętem w myślach szcztokowała włosy. Nie myślała, że po śmierci Johna Hortona kiedykolwiek spojrzy na innego mężczyznę, a tutaj prawie się zadurzyła w tym Argentyńczyku.

- Chyba tracisz rozum - powiedziała do swego odbicia w lustrze. - Kto by się tobą zainteresował w twoim stanie?

Żałowała teraz, że pozwoliła mu przyjść do domu. Byłoby o wiele lepiej poznać mężczyznę takiego jak on po narodzinach dziecka. Ale było już za późno. Z drugiej strony może jest żonaty. Niewiele jej o sobie powiedział, choć sam usłyszał historię jej życia.

Zapomniała o sprzedaży Chelmsfordu. To przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie.

ROZDZIAŁ Osiemnasty.

- Kupiłem konia - powiedział Juan pewnego wieczoru. - Chciałabyś go zobaczyć? Stajnie są tuż za rogiem.

- Z wielką chęcią - ucieszyła się Adelaide. - Ale nie będą zadowoleni, jeśli spóźnimy się na kolację.

Spojrzał na zegarek.

- Mamy czas.

Podał jej dłoń. Adelaide wstała, czując się bardzo odważna. Stajenni powitali pana Rivadavię i wszyscy poszli podziwiać jego konia.

- Wygląda na silnego - uznała Adelaide. - Jak ma na imię?

- Nazywają go Rex, więc niech tak zostanie, choć to zbyt pospolite imię dla tak pięknego zwierzęcia.

- O nie, pasuje do niego! - wykrzyknęła. - Jest wspaniały. I to siodło! Należy do ciebie?

- Tak.

Adelaide przyjrzała się siodłu z czarnej skóry, ozdobionemu

skomplikowanym wzorem ze srebra.

- Cudowne. Gdzie je kupiłeś?

- Przywiozłem ze sobą.

Stajenni także nie kryli podziwu i pokazali jej zdobioną srebrem uzdę oraz barwną derkę do kompletu.

- Rex będzie najelegantszym koniem w mieście - śmiali się. - Dobrze się nim zaopiekujemy, panie Rivadavia.

Juan kiwnął głową.

- Ma pani ochotę na przejażdżkę, pani Brooks?

- Tak, choć nie siedziałam na koniu, odkąd tu jestem.

163

- To wielka szkoda. Kiedy pośpiesznie wracali do pensjonatu, Adelaide myślała,

że Juan czasami bywa dziwnym młodzieńcem.

Pewnego wieczoru wrócił później niż zwykle, wszyscy mieszkańcy pensjonatu udali się już na spoczynek. Delikatnie zapukał do drzwi Adelaide.

Otworzyła je niespokojnie i wyjrzała.

- Och, to ty, Juanie. Czy coś się stało?

- Mogę wejść?

- Juanie, leżałam już w łóżku...

Otuliła się mocniej szlafrokiem, nie wiedząc, co powinna zrobić z tym młodym człowiekiem, który chyba nie wie, że rzeczą niestosowną jest pukać o tej porze do drzwi damy, nawet jeśli jest o kilka lat od niego starsza. Zaprosiła go jednak do środka i szybko zamknęła drzwi.

- O co chodzi, Juanie? Poczekał, zapalę lampę. - Ręce jej się trzęsły, gdy

szukała zapalek na stole, ale ją powstrzymał.

- Zostaw.

Objął ją i pogładził po głowie.

- Piękne masz włosy.

- Juanie, o czym ty myślisz? Nie możesz! - Adelaide nie potrafiła uwierzyć, że to naprawdę się dzieje, i bała się, że ktoś ich usłyszy. Nawet własny szept wydawał jej się ogłuszająco głośny w cichym domu.

Próbowała odepchnąć go od siebie.

- Nie lubisz mnie?

- Oczywiście, że cię lubię, ale nie w taki sposób.

- Pozwól mi tylko całować swoje włosy - mruknął. Jego silne ramiona obejmowały ją lekko, nie więżąc jej, i zaryzykowała śmiech.

- Musisz zrozumieć, Juanie, lubię cię, ale nie w taki sposób. Przecież jestem o wiele od ciebie starsza.

- Pocałuj mnie raz, a potem zobaczymy.

Jego wargi przesunęły się po jej policzku ku ustom. Był taki ciepły i czuły, że odpowiedziała na pieszczotę, jeden pocałunek nic nie znaczył.

- Jesteś pewna, że nie lubisz mnie w taki sposób? - zapytał, całując ją znowu i przyciskając do łóżka. Zdjął z niej szlafrok i powiesił na porcelanowej gałce łóżka.

Adelaide czekała. Czuła wyrzuty sumienia, jak głupiutkie dziewczę, które nie potrafi zapanować nad sytuacją. Pragnęła, by

164

sobie poszedł, była przekonana, że tylko się z nią drażni, a równocześnie przewrotnie pragnęła, by jeszcze ją całował. Kiedy to zrobił, przytulił ją mocno do siebie i wyczuła, jaki jest twardy. To nią wstrząsnęło. Był jednak

taki uroczy, taki miły, udała więc, że niczego nie zauważyła.

Puścił ją i poprawił koszulę nocną, usiłując znaleźć jakieś stosowne słowa, przekonana, że teraz już pójdzie. Widząc jednak, że Juan się rozbiera, przeraziła się i cofnęła od łóżka.

- Proszę, Juanie. Nie możesz...

I znowu ją całował, gładził po twarzy i włosach. Adelaide zastanawiała się, czego od niej chce ten dziwny piękny młody mężczyzna, a kiedy przycisnął jej twarz do swojego brzucha, wyczuła słaby zapach perfum, których z pewnością używał, i była zdumiona własnym nieprzystojnym zachowaniem.

Wsunął się z nią do łóżka. Adelaide pragnęła go niecierpliwie, tchu jej brakowało na myśl, że leży naga obok mężczyzny, coś, czego nigdy dotąd nie rozważała, nawet z Brooksem.

- Czy teraz mnie pragniesz? - zapytał, a ona przytuliła się do niego, czując pulsowanie w całym ciele. - Nie - rzekł - musisz mi to powiedzieć.

Położyła głowę na poduszce.

- Co masz na myśli?

- Jeśli nie poprosisz, nie powiesz, że chcesz, żebym się z tobą kochał, później będziesz mogła sobie mówić, że cię zniewoliłem, i twoja anglosaska pruderia nie dozna uszczerbku. W gruncie rzeczy nie pochwalasz mojej obecności w swoim łóżku. Udowodniłem ci, że jesteś godną pożądania kobietą i że cię pragnę. Odpląć mi tym samym.

- Nie bądź niemądry, Juanie. - Gładziła go po plecach. Przecież nie może oczekiwać, że będzie go błagała. On przyszedł do jej pokoju. Leżeli bez ruchu.

- Dobrze - powiedział. - Odchodzę.

Odrzucił pościel i wstał, jego sylwetka rysowała się niewyraźnie w świetle wpadającym przez koronkowe firanki.

- Nie, Juanie, nie idź. Proszę. Chcę, żebyś został. Pochylił się nad nią z uśmiechem.

- Widzisz, to wcale nie było trudne. Teraz będę się z tobą kochał.

165

Ukląkł i zaczął pieścić jej ciało wolno i delikatnie. Rozkosz była doznaniem tak nowym, tak cudownym, że Adelaide mocno go objęła.

- Jesteś piękna - mruknął.

Pomimo lekcji szczerości, jakiej jej udzielił, była wprost sparaliżowana strachem, że ktoś w domu widział, jak Juan od niej wychodzi. Czekala, aż rozlegną się głosy, ale panowała kompletna cisza. Adelaide umościła się w miękkim łóżku, tuląc do siebie poduszkę. Juan był cudowny, znowu czuła się jak młoda dziewczyna.

Wspominając w zimnym świetle poranka swoje zapamiętanie, zbyt była zakłopotana, by stawić czoło Juanowi, a po południu stwierdziła, że ma za dużo zajęć i nie może tracić czasu na siedzenie na werandzie. Podczas kolacji prawie się nie odzywała i dokładała starań, by nie patrzeć mu w oczy. Wreszcie Juan zwrócił się do niej:

- Wygląda pani dzisiaj czarująco, pani Brooks. - Nie zważając na jej konsternację, zapytał młodszą z gospodyń: - Prawda, panno Higgins?

- O tak, Adelaide, ostatnimi czasy wyglądasz o wiele lepiej.

- To ten wiatr - obwieścił major. - Zawsze powiadam, że ludzie są znacznie zdrowsi w wietrznym klimacie. Wiatr wywiewa zarazki, pobudza krew do krążenia. Powinna pani częściej chodzić na spacer, pani Brooks. Ha, w starym kraju pokonywałem codziennie dziesięć mil, a im zimniej

było, tym lepiej. Teraz ta chora noga na to mi nie pozwala.

Przynajmniej raz Adelaide cieszyła się z obecności gadatliwego majora przy stole. Gdy zaczynał mówić, wszelka konwersacja się kończyła. Po posiłku wzięła herbatę do pokoju pod pretekstem, że musi skończyć poranną pracę, i spędziła długą upokarzającą noc, czekając na Juana. Po kolejnych trzech nocach, które trwały całą wieczność, Adelaide zajęła zwykłe miejsce na werandzie i czekała.

Kiedy wszedł przez furtkę, pomachał do niej, po czym usiadł obok na wykładanej kafelkami werandzie, jakby nic się nie stało.

- Ogród wygląda cudownie, prawda? Jak to mówicie? Panie mają zielone dłonie?

- Rękę do kwiatów - sprostowała.

- A tak, rękę do kwiatów. Dziwne wyrażenie. Byłaś bardzo zajęta szyciem?

166

- Tak. - Myślała, że zaraz oszaleje. Żałowała, że brakuje jej odwagi, by go dotknąć, ale nie mogła. Ktoś by ją jeszcze zobaczył albo co gorsza, on by ją odepchnął.

- Nie czujesz się dobrze?

- Dobrze. Dziękuję, Juanie.

- O co w takim razie chodzi?

Minęła chwila, nim zadała to pytanie, ale musiała je zadać, popychana uczuciem, które wydało jej się nagłym szaleństwem.

- Czy cię rozczarowałam?

Kiedy wyszeptała te słowa, miała ochotę odgryźć sobie język.

- Nie - roześmiał się.



- Nie przyszedłeś do mnie od tamtej nocy. - Syczała na niego jak przekupka, on jednak odpowiedział z całkowitą swobodą:

- Nie widziałem cię od paru dni. Chcesz, żebym przyszedł?

Adelaide rozejrzała się w popłochu.

- Tak.

- Więc dlaczego tego nie powiedziałaś?

Patrzyli na przejeżdżający drogą pstrokaty cygański wóz.

- Adelaide to bardzo sztywne i poważne imię - zauważył Juan. - Zupełnie do ciebie nie pasuje. Będę cię nazywał Dell.

Nic nie może umknąć jastrzębiemu wzrokowi pokojówek ani ostrym językom mieszkańców pensjonatu, nie minęło więc wiele czasu, a wszyscy mówili o skandalu. Pani Brooks wdała się w nieprzyzwoity związek z tym młodym człowiekiem. Panny Higgins bardzo się tym przejęły, jako że młodzieńca pod ich opieką umieścił kapitan Millbank, i nie kryły rozczarowania Adelaide, która nie miała pojęcia, że cały pensjonat o wszystkim wie. Zastanawiały się, czy nie porozmawiać z nią wprost, ale zrezygnowały. A jeśli zaprzeczy? Były pewne, że uwiodła młodzieńca, i modliły się za niego.

Pokojówki informowały na bieżąco kucharkę.

- Ma szczęście - mówiła stara Maisie. - Powiadają, że ci Włosi to temperamentny naród. Mają gorącą krew. A ten pan Rivadavia jest w porządku, bez dwóch zdań. W każdej chwili może zostawić buty przy moim łóżku - roześmiała się kręcąc obfitymi biodrami. - Ale to dziwne, że pani Brooks wdała się w ten romans. Można by pomyśleć, że masło jej się nie roztopi w ustach. Widzicie, z tymi trusiami nigdy nic nie wiadomo.

Podczas gdy panny Higgins się martwiły, a mieszkańcy szeptali, Adelaide szyla, marząc o nocach w objęciach Juana, nieświadoma, że stała się kobietą upadłą, której grozi eksmisja.

Odwiedziła ją Milly Forrest, jej najlepsza klientka.

- Wiesz, że Georgina Heselwood urodziła syna? Nazwała go Edward.

Kochane maleństwo, śliczne jak obrazek. Byłam u niej z wizytą, mieszka w pięknym domu, ale jest bardzo samotna. Tęskni za Jasinem.

- Nie wrócił na narodziny syna?

- Nie mógł, pojechał daleko w głąb kraju.

- Co za szkoda, biedna Georgina.

- Dlaczego to mówisz, Adelaide? Nigdy jej nie lubiaś.

- Nie przeszkadzała mi, a poza tym żal mi każdego, kto jest samotny.

Milly przyjrzała się jej uważnie. Słyszała kilka historyjek o Adelaide i jakimś młodym byczku, ale wątpiła w ich prawdziwość.

- Ty też chyba jako wdowa jesteś samotna... - spróbowała, ale Adelaide zmieniła temat.

- A co Jasin tam robi?

- Razem z przyjacielem, kapitanem Pelhamem, kupują bydło w Bathurst i zabierają na północ, żeby założyć tam hodowlę.

- Jasin Heselwood! Nie wierzę! Nie sądziłam, że w ogóle rusza się z salonu.

- Jasin się zmienił, był w buszu. Wie, co robi. Ale to nie znaczy, że stracił swoje urocze maniere, kiedy tu wraca. Wiesz, jest naszym partnerem.

- Tak, mówiłaś mi. A co z domem? Kupiliście już nowy dom?

- Nie, Dermott mówi, że na razie utopilibyśmy w nim pieniądze.

Zarobimy o wiele więcej na hodowli bydła.

- Dermott wyjeżdża z Jasinem?
  - Nie, warsztat siodlarski przynosi zbyt duże zyski. Ciągłe obiecujesz, że mnie odwiedzisz, ale nie przychodzisz.
  - Tak, pewnego dnia na pewno to zrobię, na razie jestem zbyt zajęta. Twoja niebieska suknia jest gotowa, możesz ją dzisiaj zabrać.
- Milly, która nie znosiła, gdy cokolwiek ją omijało, po raz drugi rozminęła się z Juanem Rivadavią, i to o kilka zaledwie minut.

168

Przyszedł ze stajni, kiedy powóz Milly odjechał sprzed pensjonatu, za co Adelaide była wdzięczna losowi.

- Wyglądasz na wielce z siebie zadowolonego, Juanie - uśmiechnęła się.

- Mam powody. Skończyłem interesy w Sydney. Jutro wyjeżdżam.

Adelaide zalała się ceglastoczerwonym rumieńcem, słysząc tę podaną swobodnym tonem wiadomość.

- Wyjeżdżasz? Nie możesz! Dokąd jedziesz?

- Najpierw statkiem do Newcastle, a stamtąd do Hunter Valley.

- Jak długo cię nie będzie? Zaskoczyło go to pytanie.

- Jak długo? Wyjeżdżam na zawsze. Myślę, że kupię tam ranczo, ale najpierw muszę je obejrzeć. Sprawdziłem różne posiadłości, ta jednak wydaje mi się najlepsza.

Rozległ się gong na kolację. Adelaide zerwała się na równe nogi i pobiegła prosto do swojego pokoju. Jak śmiał mówić, że ją zostawia? Tak po prostu! Widać gołym okiem, że wcale mu na niej nie zależy. I ton, jakim mówił, nawet nie pofatygował się, żeby jakoś złagodzić ten cios. Cóż, pokaże mu. Dzisiaj w nocy zamknie drzwi na klucz, niech puka. Krążyła

po pomieszczeniu kilka godzin, starając się podsycać w sobie gniew, ale kiedy zapadła noc, zaczęła nasłuchiwać jego kroków. Juan drzwi do jej pokoju zastał otwarte.

Adelaide tuliła się do niego w tę ostatnią wspólną noc i nie pozwalała mu odejść, ale świt był już bliski, Juan musiał wracać do siebie, nim pozostali lokatorzy się obudzą. Owinięta tylko w prześcieradło, stała w drzwiach, drżąc na całym ciele, i wciąż nie chciała pozwolić mu odejść.

- Juanie, nie zniosę życia bez ciebie. Proszę, nie jedź, nie zostawiaj mnie.

- W takim razie jedź ze mną.

- Co powiedziałaś?

- Powiedziałem: jedź ze mną. Dlaczego nie? Chyba że do końca życia chcesz mieszkać w tym małym i brzydkim pokoju.

Nie zdawała sobie sprawy, że on uważa jej pokój za brzydki.

Poczuła konsternację.

- Juanie, czy prosisz mnie o rękę?

169

- Nie, Dell. Ale dobrze nam razem. Będę się tobą opiekował. Zaslugujesz na lepszy los. Jeśli chcesz jechać ze mną, zacznij się pakować.

Dzikim wzrokiem powiodła po pokoju. Co wiąże się z większym ryzykiem: poleganie na garstce klientek czy wyjazd z nim? Bóg wie, bez niego będzie tu strasznie. Tak bardzo będzie za nim tęskniła. Ale on jest taki młody, czy dotrzyma słowa? A nawet jeśli dotrzyma, jak będzie wyglądała wśród ludzi u boku takiego młodzieńca? Co ludzie powiedzą? Dobry Boże!

Pobiegła do szafy i zaczęła gorączkowo odsuwać rzeczy, jakby szukała tam odpowiedzi. Co z nią będzie, jeśli tu zostanie? Dotąd nie wybiegała

daleko w przyszłość. Była sama na świecie, sama jak palec, radziła sobie na tyle, że nie zalegała z czynszem - teraz pokój wydał jej się więzienną celą. Czy pewnego dnia wpadnie w taką desperację jak Brooks? O Boże, nie! Juan przypuszczalnie miał rację, nie znali się jeszcze na tyle, by mówić o małżeństwie. Odwróciła się - czekał w progu z miną cokolwiek nieprzychylną, tak przynajmniej jej się wydawało.

- Nie patrz tak na mnie! Uśmiechnął się i wyciągnął ku niej rękę.  
- Nie chcesz tu zostać!  
- Nie wiem, czego chcę! - zawołała. - Mówisz mi, żebym z tobą pojechała, takim tonem, jakbyś się nade mną litował. To mi nie wystarcza. Czy naprawdę tego chcesz?

Wszedł do pokoju i ją objął.

- Oczywiście, że chcę. Pragnę cię - dodał ze śmiechem, wsuwając dłonie pod prześcieradło.

Adelaide oderwała się od niego i opadła bezsilnie na krzesło.

- Teraz sobie ze mnie kpisz. Zastanowię się nad tym i może jutro do ciebie dołączę.

- Nie. Wyjdiesz ze mną dzisiaj albo tu zostaniesz. Wstydzisz się nas. Martwisz się, że oni się o nas dowiedzą. Ale oni już wiedzą, Dell. Wiedzieli od początku. Nie dbam o to. Dlaczego ty miałabyś się tym przejmować?

Adelaide poczuła, jak twarz jej zastyga.

- Nie wiedzą! Nie mogą wiedzieć!

Juan wzruszył ramionami. Rozejrzała się po pokoju.

- A co z moją pracą? - załamała rękę. - Suknie. Połowa jest nie wykończona.

- Zostaw je. To i tak praca dla wieśniaczek.
- Ale co ja powiem pannom Higgins? Co ja im powiem? I muszę zapłacić czynsz.
- Ale, ale, ale! Tylko tyle umiesz powiedzieć. Powiadomię panny Higgins, że wyjeżdżamy, i ureguluję nasze rachunki. Czy trochę cię uspokoiłem?
- Tak - szepnęła, ale nie zeszła na śniadanie. Juan zaniósł jej bagaż do holu, po czym po nią wrócił.
- Jesteś gotowa?
- Tak. - Tego dnia nie odważyła się jeszcze wyjść za próg, a teraz ta pora nadeszła. Podążyła za Juanem po schodach, z ulgą widząc, że są puste.
- Poczekaj tutaj, Dell, wezwę dla ciebie dorożkę. Weźmiesz bagaże. Ja pojedę na moim koniu.

Pojawiła się starsza panna Higgins.

- Chyba nie zamierza pani wyjechać bez pożegnania, pani Brooks?
- Och, w żadnym razie. Szłam do pań.
- Oto jesteśmy. - Korytarzem zbliżała się druga panna Higgins z bardzo srogą miną. Za nią kryły się pokojówki.
- Serdecznie paniom dziękuję za wszystko, co panie dla mnie zrobiły, to znaczy dla doktora Brooksa i mnie... - Głos jej się załamał.

Dwie kobiety, które były jej przyjaciółkami, teraz patrzyły na nią z kamiennymi twarzami.

- W pani pokoju zostały jakieś suknie. Zapomniała pani o nich?

- Należą do klientek. Przypięłam do nich kartki z nazwiskami. Będą panie tak uprzejme i przekażą im, że bardzo mi przykro, ale nie byłam w stanie ich skończyć?

Nie było śladu po dorożce, lecz Adelaide nie mogła znieść tego ani chwili dłużej. Postanowiła czekać na ulicy.

- No cóż, do widzenia.

Odwróciła się, by umknąć, ale zatrzymał ją stanowczy głos starszej panny Higgins.

- Proszę chwilkę poczekać.

Serce Adelaide zaczęło walić jak młotem. Juan nie uregulował rachunku? Przecież obiecał, że to zrobi.

- Nie zostawiła pani adresu, pani Brooks. Dokąd mam odsyłać pani korespondencję?

171

- Co? A tak. Napiszę do pani z Newcastle.

- Czy tam odbędzie się ślub? - zapytała młodsza z sióstr tonem pełnym dezaprobaty.

- Tak - skłamała Adelaide, choć teraz ogarnęła ją już panika. Wielkie nieba, co ona wyprawia? Panny Higgins z dezaprobatą czekały, aż wreszcie się jej pozbędą, na szczęście jednak przyjechała dorożka, a za nią kłusował na swoim ogierze Rivadavia, odziany w barwny strój do konnej jazdy i czarne sombrero z rondem zdobionym srebrem, przyciągając spojrzenia wszystkich przechodniów. Adelaide wcześniej nie zdawała sobie sprawy z jego odmiennego wyglądu. Na werandzie byli major z żoną, ale na widok Adelaide odwrócili się plecami. Jej upokorzenie było całkowite.

Juan nalegał, by na statku wzięli wspólną kajutę. Krótki rejs był bardzo przyjemny. Następny etap Adelaide przebyła łodzią płynącą w górę rzeki do Singleton, Juan natomiast jechał konno. Wynajęli pokój w Singleton Inn; Adelaide zastanawiała się, czy zameldował ich jako małżeństwo, i przekonała się, że nie, bo właściciel jąkał się, nie wiedząc, jak się do niej zwracać.

Nazajutrz Juan zostawił ją samą.

- Muszę obejrzeć farmę. Zajmie mi to jakiś tydzień. Będziesz tu miała dobrą opiekę.

- Nie chcę zostawać tu sama - odparła Adelaide z przerażeniem.

- Droga Dell, mówią mi, że to ostatni zajazd. Chcę, żeby ci było wygodnie.

Pożegnała go przekonana, że to już koniec. Po powrocie do pokoju znalazła w szufladzie pięćdziesiąt funtów i zalała się łzami. Suma była ogromna i Adelaide nie wątpiła, że Juan ją porzucił.

Pieniądze wciąż tam leżały, kiedy wrócił. Czekwała na niego, codziennie się martwiąc, że właściciel zajazdu przedstawi jej rachunek do zapłaty i każe się wyprowadzić, ale nic takiego nie nastąpiło. Oboje z żoną traktowali ją bardzo uprzejmie, co nie było łatwe, jako że Adelaide unikała wszelkich prób nawiązania rozmowy.

- Kupiłem ranczo - oznajmił Juan. - Teraz zabiorę się do pracy. Mam nadzieję, że dobrze tu wypoczęłaś, bo czas na nas. Muszę znaleźć odpowiedniego konia dla ciebie, pojedziemy wierzchem. Wynajmiemy wóz do przewozu naszych rzeczy.



Oddała mu pieniądze, ale ze śmiechem położył ją na łóżku.

- Są twoje, Dell. A teraz zdejmuj suknię, za długo mnie nie było.

Tęskniłaś za mną?

Adelaide cieszyła się, że opuszczają Singleton, a kiedy znaleźli się na trakcie, była szczęśliwa, czując się bezpieczna przy boku Juana. Ziemia zdawała się trzeszczeć od energii; Adelaide po raz pierwszy zauważyła, że liście drzew gumowych zabarwione są na czerwono - zawsze myślała, że mają ciemnozielony kolor - a rozłożyste akacje pokryte są kwieciami, które rozjaśnia busz cudowną żółcią.

Na odpoczynek zatrzymali się w przydrożnej obskurnej karczmie. Żona karczmarza podała Adelaide herbatę w porcelanowej filiżance ze spodkiem.

- Trzymam ją dla najlepszych gości - wyjaśniła. - Większości wystarczą cynowe kubki.

- Jest pani bardzo uprzejma - odrzekła Adelaide. Kobieta obserwowała Juana, który na podwórzu rozmawiał z kilkoma mężczyznami.

- Ten pani dżentelmen rzuca się w oczy - stwierdziła i Adelaide zadowolona była z półmroku panującego w sali, który ukrył jej zażenowanie. Przywykła do ekscentrycznych strojów Juana, zaczęła nawet uważać, że są atrakcyjne i doskonale uszyte, teraz jednak zobaczyła, że pośród zakurzonych ludzi buszu wyróżnia się jak paw pomiędzy kurami.

- Pochodzi z Ameryki Południowej - powiedziała przepaszająco.

- Aha - mruknęła kobieta, której najwyraźniej nic to nie mówiło.

Juan ostrzegał, że jazda będzie długa i męcząca, i rzeczywiście późnym

popołudniem, kiedy przemierzali otwarte pastwiska, mając wrażenie, że są jedynymi ludźmi na całej planecie, Adelaide stwierdziła, że gubi rytm i podskakuje bezwolnie. Kolana jej zeszywniały na damskim siodle i żałowała, że nie może przeciągnąć się, wstając w strzemionach, jak robili to mężczyźni, albo jeszcze lepiej zsiąść i trochę pochodzić.

Juan dostrzegł jej niewygodę i w cieniu rzucanym przez kępę drzew pomógł jej zejść.

- Jak ci się to podoba? - zapytał.

- Co jak mi się podoba?

173

- Ranczo. Od mniej więcej sześciu mil jesteśmy na terenie farmy. Ciągnie się do wzgórz i ma mnóstwo wody dzięki rzece. A tutaj jest dom.

Adelaide zobaczyła wielkie stado owiec na cienistym wzgórzu, a w oddali długi rząd zatrzymujących wiatr wysokich wierzb, za którymi zachodzące słońce odbijało się w czerwonym dachu.

- Juanie! Cała ta ziemia! To wszystko twoje? I nasz dom! Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę.

- Mój dom - powiedział cicho Juan. Adelaide zarumieniła się, słysząc naganę w jego głosie. Poczowała łzy wzbierające pod powiekami i z rękawa wyjęła chusteczkę.

Na ich spotkanie jechała grupa konnych.

- Farma nosi angielską nazwę - odezwał się Juan, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, że ją uraził. - Chelmsford. Co to znaczy?

- Nie wiem - szepnęła Adelaide. By ukryć zmieszanie, naciągnęła kapelusz na oczy i mocniej związała muślinowy szal, czekając, aż Juan porozmawia z jeźdźcami.

## ROZDZIAŁ Dziewiętnasty.

W Bathurst panował upał, w powietrzu unosił się kurz i miejscowi zaczęli się obawiać kolejnej suszy tego roku. Clarrie i Snow, starzy poganiacze z Camdena, czekali na Jasina przed zajazdem.

- Na pańskim miejscu ruszałbym ze stadem, póki można - powiedział Clarrie.

- Próbuję - odparł Jasin - ale codziennie coś idzie nie tak.

- Zawsze coś idzie nie tak, panie Heselwood. Trza ruszać i już. Gdybyśmy poszli w zeszłym tygodniu, nie musielibyśmy szukać nowych poganiaczy. Ci faceci nigdy długo się tu nie kręcą.

Jasin pośpieszył główną ulicą, szukając Pelhama. Zobaczył jego karego konia przed kuźnią.

- Ktoś tu widział kapitana Pelhama? - zawołał głośno, żeby go usłyszeli w panującym wewnątrz hałasie.

- Z tyłu! - odkrzyknął ktoś.

174

Znalazł Pelhama kucającego nad prowizoryczną mapą wyrysowaną na ziemi. Towarzyszyli mu czterej poganiacze.

- Oto i szef - powiedział Pelham. - Ci chłopcy chętnie z nami pójdą, Heselwood. To jest Nick, Bobbo, Tommy i Lance, a to pan Heselwood.

- Dzień dobry, szefie - powitali go chórem, potem głos zabrał Bobbo, pół-Aborygen. - To będzie długa droga, co, szefie?

Jasin pokiwał głową.

- Tak, ale za dobrą pracę będzie dobra zapłata. Gdzie jest kucharz?

- Jeszcze nie mamy kucharza - odparł Pelham.

- A co się stało z Chińczykiem? - zapytał zdziwiony Bobbo.

- Uciekł - wyjaśnił obojętnie Pelham.  
- O Boże! - Jasin był wściekły. Stado złożone z sześciuset sztuk czekało na pastwisku i zarządca liczył sobie za każdy dodatkowy dzień, podczas gdy konie przebywały na padoku z połamanym ogrodzeniem i Jasin zmuszony był wynająć chłopaka, żeby ich pilnował.

- Znam Niemca - odezwał się Lance. - Mówi, że jest dobrym kucharzem. Chcecie, żebym go sprowadził?

- Tak - zdecydował Jasin. - Powiedz mu, że wyruszamy z samego rana. Irytowało go, że wszystko musi robić sam. Dochodził do wniosku, że popełnił błąd, przyjmując do spółki Pelhama. Ten człowiek nie był zdolny do podjęcia żadnej decyzji, nawet bydła nie potrafił kupić. W końcu to też musiał zrobić Jasin przy pomocy Clarriego i Snowa.

William Macarthur dotrzymał słowa. Przesłał dwóch starych traperów, żeby zgłosili się u Jasina w hotelu Queens w Bathurst. Tryskali ochotą, żeby znowu wyruszyć w drogę.

- Pokażę wam na mapie, dokąd chcemy iść - zaproponował Jasin, ale Clarrie mu przerwał.

- Pan Macarthur powiedział nam, dokąd chce pan iść, szefie. Obejdziemy góry, a potem się zobaczy, co dalej. Ma pan dla nas jakąś robotę, nim wyruszymy?

- Może sprawdzicie, czy mamy odpowiednie zapasy? Zapasy i sprzęt zamówione przez Pelhama okazały się złe

i Jasin cały dzień spędził w sklepie, podczas gdy Clarrie i Snow

175

przeładowywali wozy i zmieniali zamówienia. Pelham, który pełnił funkcję szefa poganiaczy, czekał w pobliskim barze.

- Jednego wziął dużo: broni i amunicji - skomentował Snow. - Wystarczy, żeby wywołać wojnę, ale brakuje mąki, herbaty i cukru.

- Przypuszczam, że trudno z góry przewidzieć, ile będziemy potrzebować - powiedział Jasin.

- Nieprawda - odrzekł Clarrie. - Stara zasada: sześć, cztery, dwa funty na głowę wciąż się sprawdza. Sprzęt i narzędzia zamówił jak trzeba, ale zapomniał o hufnalach. I potrzebujemy siekier. Niech się pan nie martwi, szefie, wszystko będzie dobrze. Może tylko nieco więcej to kosztować. Snow się sprzeciwił, za co Jasin był mu wdzięczny.

- Nie musi pan więcej płacić. Wymienimy trochę broni na rzeczy, których nam brakuje.

Jasin czuł się dobrze w towarzystwie tych dwóch starych mężczyzn.

Lojalni wobec Macarthur, będą lojalni także wobec niego. Poganiacze stanowili wielką niewiadomą. Jasin widział, jak Pelham stawia im drinki i udaje swojego chłopca, ale to go nie martwiło, potrzebował ich jako robotników, nie przyjaciół od serca. Pelham snuł wielkie plany.

Wyobrażali sobie, że zabiorą tysiąc sztuk bydła, a potem, kiedy stado powiększy się w sposób naturalny, będą mogli zająć spore pastwisko i w następnym roku rozpocząć sprzedaż. Jasin zakupił pięćset sztuk, mniej więcej po funcie za sztukę, ale Pelhama stać było tylko na sto.

- Po drodze spotkamy dzikie bydło, będę je zbierał - tłumaczył się kapitan. Później Clarrie powiedział Jasinowi:

- Jeśli jest dobrym jeźdźcem, może gonić dzikie byki po buszu, ale niech się nie spodziewa, że my będziemy robić to dla niego.

I to, myślał Jasin, będzie problemem Pelhama. Na razie potrzebował kapitana, bo był jego prawą ręką, pośrednikiem. Lepiej potrafił się

porozumieć z tymi ludźmi niż on. Jednakże Heselwood całą noc rzucał się w pościeli, podczas gdy Pelham chrapał sobie w najlepsze po drugiej stronie pokoju. Ten brak równowagi był niepokojący. Jasin zainwestował mnóstwo pieniędzy, pożyczonych pieniędzy, w stado, zapasowe konie, wóz i zapasy, nie wspominając już o pensjach dla poganiaczy, a potem będzie potrzebował funduszy na dom i ulepszenia; to za wiele, żeby pozwolić spryciarzowi w rodzaju Pelhama dać się wykorzystać.

176

Próbował siebie przekonać, że niepotrzebnie się tym martwi, ale obecnie sumy zainwestowane przez Pelhama były nieznaczne, a miały stanowić połowę wszystkich wkładów, jak początkowo ustalali. Pelham w końcu przyznał, że nie interesuje go przejmowanie ziemi na własność, jedynie zyski ze sprzedaży stada. I co go powstrzyma od zabrania stada, jeśli w samym środku buszu zdoła pozostałych przeciągnąć na swoją stronę, podczas gdy właściciela poprą tylko dwaj starcy? Jasin odnosił teraz wrażenie, że Pelham uważa go za durnia; czekając na nadejście świtu, coraz bardziej zapalał się do pewnego pomysłu, który od jakiegoś czasu krążył mu po głowie. Postanowił, że wprowadzi go w czym.

O pierwszym brzasku patrzył, jak stado wyrusza w drogę, prowadzone przez poganiaczy w doskonałych nastrojach. Niemiecki kucharz, Otto, jechał na wozie, Clarrie i Snow prowadzili luzaki, a kawalkadzie przewodził Pelham.

- Dogonię was później! - krzyknął Jasin, zawracając do miasta. Miał mnóstwo czasu, stado pokonywało najwyżej dziesięć mil na dzień. Był z tego zadowolony. Codziennie będą korzystać z nowych pastwisk, a jeśli pójdą wolno, zwierzęta przybiorą na wadze.

Jim Moran, właściciel hotelu Queens, wybiegł na drogę, żeby go zatrzymać.

- Hej, panie Heselwood! Dobrze, że pan wrócił. Mieliśmy wysłać za panem chłopaka. Dostał pan depeszę. Ma pan syna imieniem Edward. Jasin uśmiechnął się zaskoczony.

- Naprawdę? Cóż, w takim razie muszę wpierw napisać do żony.

- Musi pan wypić drinka na koszt firmy. Nie codziennie człowiekowi rodzi się syn pierworodny.

Jasin westchnął. Wiedzieli o wszystkim. Ale teraz to może się przydać.

- Jim! - zawołał do gospodarza. - Znasz komendanta miejscowego więzienia?

- To stary Rufus Donoghue. Dobrze go znam. Lubi nasz bar. Przychodzi co sobota.

Jasin zeskoczył z konia i wszedł do hotelu, gdzie musiał ścierpieć entuzjastyczne powitanie miejscowych, którzy pojawili się nie wiadomo skąd, by wznieść toast za jego syna. Otoczyli go,

177

namawiając na następną kolejkę, on jednak ich zignorował i wziął właściciela na bok.

- Może będziesz mógł mi pomóc. Jest jedna sprawa, o której zapomniałem, kiedy tu byłem, ale tyle miałem na głowie.

- I jeszcze dzieciak w drodze, co? - wtrącił hotelarz. Jasin skrzywił się, niezadowolony z tego, że mu przerwano,

i z hałasu, jaki w barze robiły te chamy, po czym ciągnął:

- Podczas mojego pobytu u Macarthurów w Camdenie William prosił

mnie o odszukanie więźnia nazwiskiem Pace MacNamara, który jak sądzi William, przebywa w więzieniu w Bathurst. Odniosłem wrażenie, że to wielki przyjaciel ich rodziny, bardzo go cenią, a w więzieniu znalazł się z powodu bójk z niejakim Mudiem.

Hotelarz wybuchnął śmiechem.

- Ten! Tak, słyszałem o nim. Powinni dać mu medal, zamiast go zamykać.

- Przyrzekłem Williamowi Macarthurowi, że jeśli będzie to możliwe, wezmę ze sobą MacNamarę jako swojego robotnika. Już mam dwóch ludzi Macarthurów.

- A tak, Clarriego i Snowa. Sprytni z nich tropiciele, lepszych przewodników nigdzie pan nie znajdzie. Musi pan iść do więzienia i przedstawić sprawę Rufusowi. On to załatwi. - Hotelarz mrugnął znacząco. - Ma słabość do whisky.

Jasin zrozumiał aluzję.

- Proszę więc o butelkę najlepszej, jaką masz. Może pójdziesz ze mną? Pan Donoghue może mi nie uwierzyć, jeśli pojawię się nie wiadomo skąd. Do więzienia weszli boczną furtką. Zastali komendanta przy śniadaniu, choć nie miał nic przeciwko paru szklaneczkom na lepszy początek dnia. Wyjaśniając sprawę MacNamary, hotelarz posunął się dalej, niż Jasin by się ośmielił, ale niepotrzebnie się niepokoił. Donoghue miał wyrobioną opinię o więźniu.

- Uroczy człowiek, ten MacNamara. Pochodzi z hrabstwa Curragh, tak samo jak mój nieodżałowany staruszek.

- Dlatego go potrzebuję - podchwycił Jasin. - Po drodze zamierzam kupić konie. Nigdy bym się nie odważył twierdzić, że znam się na koniach tak dobrze jak ten Irlandczyk.



- To racja - zgodził się Donoghue sięgając po butelkę. - I chce pan wziąć go do siebie?

178

- Zabierze go od razu, Rufusie - wtrącił Moran. - Stado pana Heselwooda już ruszyło w drogę i mało brakowało, a byłby zapomniał o tym biedaku.

Butelka znowu poszła w ruch i Rufus zwrócił się do Jasina:

- Poślę po niego. Ale więźniów nie można zmuszać do przekroczenia granic osadnictwa. Pan idzie na zachód, tak?

- Na północny zachód - uściślił Jasin.

- To bez różnicy. Nie można kazać im pracować poza granicami, jeśli nie wyrażą zgody. Musi go pan zapytać.

Jasina zaprowadzono na mały dziedziniec ogrodzony wysokim murem, na którym stała jedna kamienna ławka. Strażnik otworzył ciężką bramę i wszedł do więzienia.

Kiedy pojawił się MacNamara, Jasin ledwo go poznał w tym wychudzonym człowieku z gęstą czarną brodą, odzianym w bezkształtny strój.

- MacNamara! Znowu się spotykamy - powiedział.

- Istotnie. Mówili, że masz dla mnie pracę. Co to za praca?

- Potrzebny mi poganiacz. Prowadzimy stado na północ.

- Ty? - W piwnych oczach zabłysła wesołość.

- Tak.

- I chcesz, żebym u ciebie pracował?

- Tak.

- Możesz iść do diabła. Nie będę pracował u żadnego przeklętego

Anglika. Jeden z was, drani, wsadził mnie tutaj po marionetkowym procesie.

- Nie bądź głupcem, MacNamara. Daję ci szansę wyjścia.
- Wiem. Będę przypisany do ciebie jako twój służący. Jasin zaczął myśleć, że popełnił błąd.
- Rób, co chcesz!
- A co pan z tego będzie miał, panie Heselwood? Przecież nie z dobroci serca przekroczył pan progi więzienia.
- Muszę kupić konie po drodze. Ty się znasz na koniach.
- Spróbuj jeszcze raz. W tym więzieniu jest z pięćdziesięciu ludzi, a na wolności jeszcze więcej, którzy lepiej niż ja znają się na koniach - odparł MacNamara. Usiadł na ławce, z lubością grzejąc się w promieniach słońca.

Jasin szukał w myślach innej historyjki. Nie mógł powiedzieć MacNamarze, że niepokoi go Pelham. Przypomniał sobie, że atak jest najlepszą obroną.

179

- Więc zostań tu, ty głupcze. Jeśli o mnie chodzi, możesz zgnieć w więzieniu.
- To mi się bardziej podoba - uśmiechnął się Pace. - Będę wdzięczny, jeśli mnie stąd wydostaniesz, ale nie mogę oprzeć się myśli, że jest w tym jakiś haczyk. Poganiacz, powiadasz?
- Tak. Ale niech ci do głowy nie wpada myśl o ucieczce, bo natychmiast powiadomię władze i wrócisz tu piorunem.
- W to nie wątpię, panie Heselwood. A dokąd idziemy?
- Na północ, za góry. Na Liverpool Plains.

- Zamierzasz przejąć tam ziemię?
- Powiedziałem już.
- Niezupełnie, ale teraz nie będziemy się o to sprzeczać. Nie wyglądasz na zdobywcę, Heselwood. Na pewno wiesz, dokąd się wybierasz?
- Oczywiście. Mam godnych zaufania przewodników. Idziesz czy nie?
- Nie mam za dużego wyboru, więc jasne, że tak. Muszę się przekonać, czego naprawdę ode mnie chcesz.

Donoghue znalazł następną butelkę whisky i Jim Moran nie śpieszył się z powrotem do pubu, co odpowiadało Jasinowi. Podpisał dokumenty i przed główną bramą czekał na przypisanego mu służącego.

MacNamara pojawił się ubrany w szorstką koszulę, spodnie z moleskinu, buty do konnej jazdy i zniszczony kapelusz z szerokim rondem.

- Wystroili mnie do roboty. Byli bardzo uprzejmi. - Uśmiechnął się do Jasina. - Zrzuć mi teraz linę na szyję i przywiążesz do strzemion?
- Nie sprowokujesz mnie, MacNamara, więc nawet się nie wysilaj. Idź do stajni i wybierz sobie konia. Dam ci siodło i uzdę.
- Do stajni, co? Nieźle. Ale twój koń jest piękny! - Pace z podziwem patrzył na Prince'a Blue. - Arab, bez dwóch zdań. Skąd go masz? Wygrałeś w karty?

Jasin drgnął. To był tylko domysł MacNamary, acz wyjątkowo trafny. Zawrócił konia i spojrzał na Pace'a.

- Mam mnóstwo do zrobienia. Spotkamy się w stajniach.
- A gdzie to jest?
- Zapytaj kogoś!

Odjechał zostawiając MacNamarę, by pieszo szedł szeroką zakurzoną drogą do miasta. Ten człowiek doprowadzał go do

wściekłości, ale prawo utrzyma go w ryzach, a nienawiść do Anglików była tym, czego Jasin akurat teraz potrzebował. Roześmiał się w głos. Poczekajmy, aż MacNamara przekona się, że drugi jest też Anglikiem, a co gorsza, wojskowym, który w Irlandii odsłużył wiele lat - to podziała na niego jak czerwona płachta na byka. O nie, MacNamara w żadnym razie nie związałyby swego losu z Pelhamem.

Jasin wszystko zaplanował. Pojedzie przodem z Clarriem i Snowem, ustalając szlak dla bydła. Po drodze będą zatrzymywać się na farmach, powiedziano mu bowiem, że goście są mile widziani, a na każdym przystanku dowie się więcej o tym, co przed nim. Otto podąży za nimi z wozem, żeby rozbić obóz i przygotować posiłki dla ludzi, a Pelham z poganiaczami poprowadzi stado. Od niego będzie zależeć, czy poganiacze wywiążą się z obowiązków, i pod jego władzą znajdzie się MacNamara. Jasin martwił się, że powinien wrócić do Sydney, odwiedzić Georginę, ale brakowało mu czasu. Ona zrozumie. Chciałby zobaczyć syna, ale człowiek nie może być wszędzie.

I była jeszcze Dolour. Zastanawiał się, czy rzeczywiście uciekła z Camdena. Przypuszczałnie tak. Była zdecydowaną osobką, ale on nie miał okazji sprawdzić w Manufakturze Kobiecej, czy rzeczywiście tam jest. Przez śmierć Hortona i nagłą zmianę planów tamte wydarzenia wydawały się bardzo odległe. Miesiące mijały zbyt szybko. Odszuka ją, kiedy wróci do Sydney, będzie wtedy mógł lepiej to załatwić. Na razie jednak musi myśleć o marszu: rzeczą najważniejszą jest zdobycie własnej farmy, nie pozwoli, by cokolwiek przeszkodziło jego planom.

- Kto to? - zapytał Pelham, kiedy Jasin dogonił ich z nowym

poganiaczem.

- MacNamara - odparł obojętnie Jasin. - A to szef poganiaczy, kapitan Pelham.

Pelham obrzucił MacNamarę spojrzeniem bez wyrazu i kazał mu zająć miejsce za stadem, po czym zwrócił się do Jasina:

- Skąd go wzięłeś?

- Z więzienia Bathurst. Tania siła robocza. Gdybym pomyślał o tym wcześniej, wziąłbym jeszcze kilku.

- Ja o tym myślałem - burknął Pelham - ale żaden z nich pożytek. Uciekną jak dwa razy dwa. Musisz mieć ludzi z doświadczeniem.

181

- Warto spróbować. Dodatkowa pomoc. Sądziłem, że będziesz zadowolony, Pelham.

- No tak. - Pelham obejrzał się na obłoki kurzu wzniecane przez poruszające się równym tempem stado. Tommy i Lance jechali po bokach, obok biegły czujne psy. - Módlmy się, żeby dalej było tak spokojnie jak teraz, a doskonale sobie poradzimy.

Wolne od zamętu panującego na targu, zwierzęta wdychały świeże powietrze, które wiatr przywiewał z otwartych przestrzeni, i chętnie truchtały za pasterzami. Pace, który razem z Bobbem zamykał pochód, dusił się od kurzu. Więc na tym polega pańska gra, panie Heselwood? pomyślał z uśmiechem. Aż gwizdnął, taki podziw budził w nim tupet Anglika, który nielegalnie wyłuskał go z więzienia Bathurst, opowiadając niestworzone brednie o więźniu, który ma wysoko postawionych przyjaciół. I po co? By antagonistę zmienić w sprzymierzeńca i nastawić go przeciwko wrogowi.

- Doskonale zagrane, sir - powiedział na głos, przedrzeźniając brytyjski akcent. - Ja temu draniowi też bym nie ufał. Ale czy może pan zaufać mnie?

CZEŚĆ SIÓDMA.

Kobiety.

ROZDZIAŁ Dwudziesty.

Georgina Heselwood zadzwoniła po pokojówkę, bo Milly Forrest już wychodziła.

- Przyjdę tak szybko, jak będę mogła - mówiła Milly, w końcu zmierzając w stronę drzwi. - Ale poczekaj chwilkę, Georgino. Taka byłam zajęta podziwianiem dziecka i tego uroczego domu, że zapomniałam ci powtórzyć najnowsze plotki. Adelaide Brooks uciekła z jakimś cudzoziemcem!

- Jak to: uciekła? Przecież jest wdową, może wyjść za każdego, za kogo zechce.

- Ale ona za niego nie wyszła. Po prostu spakowała się i wyjechała. Nie skończyła moich sukien. Ludzie to są!

Georgina odprowadziła ją do drzwi, żeby Milly znowu się nie zatrzymała, po czym wróciła do salonu. Dziecko smacznie spało; pokołysała je raczej po to, by uspokoić siebie niż synka. Nigdy jej się nie śniło, że możliwa jest taka samotność. Odprawiła nawet nianię, żeby samej opiekować się Edwardem i mieć jakieś towarzystwo. To upokarzające, że Milly Forrest odwiedza ją, kiedy ma na to ochotę, i zawsze zastaje ją samą, a jeszcze bardziej irytujące było to, że niekiedy towarzystwo Milly było lepsze od żadnego.

Heselwood pisał, kiedy mógł, ale listy szły coraz dłużej, a jedynym

adresem, jakim obecnie dysponowała, był sklep w miejscu zwanym Singleton nad rzeką Hunter. Stamtąd korespondencję przekazywano dalej. Od wyjazdu Cormacków pojawiło się niewielu gości, a Vicky Horton, która mieszkała pół mili dalej, nie dawała znaku życia. Kiedy na świat przyszła córka Vicky, Marietta, Georgina posłała

183

gratulacje i komplet srebrnych łyżeczek, ale nie dostała ani podziękowań za prezent, ani go jej nie zwrócono. Vicky nie zareagowała na narodziny Edwarda.

Georgina miała wrażenie, że zachowuje się nielojalnie wobec męża, czując się nieszczęśliwa w wygodnym domu, podczas gdy on musi znosić wszelkie niedogodności, trując się dla dobra rodziny. Wędrowała po jadalni, po raz setny bawiąc się myślą o wydaniu proszonej kolacji.

Słyszała o wspaniałym przyjęciu z okazji chrztu Marietty, służące mówiły, że zaproszono połowę Sydney, przez co jeszcze dotkliwiej odczuwała własną samotność. Jednakże przebywała wśród obcych, przyjmowanie gości pod nieobecność męża nie byłoby rzeczą stosowną.

Przynajmniej Jasin podjął konstruktywne działania. Jego ojciec, stary lord Teddy, przez całe życie palcem nie ruszył, odziedziczył majątek i przehulał go, niewiele pozostawiając w spadku dla synów. Gdyby Jasinowi plany się powiodły, Teddy doznałby szoku, nigdy nie wierzył w najmłodszego syna. Georgina napisała do niego, powiadamiając o narodzinach wnuka. Dodała, że mieszkają w pięknym domu ze wspaniałym widokiem na zatokę, ale nie wspomniała o wyprawie Jasina.

Listy do męża były inne, dokładała starań, by ukryć smutek z powodu samotności, ale to było przygnębiające zadanie. Czasami myślała, że

powinna z Edwardem wrócić do Londynu, ale nie mogła się na to zdobyć. Jasin wyjechał na wiele miesięcy, nie pozostało jej nic innego, jak tylko czekać.

Żona mogła się irytować, że Jasin zostawił ją samą sobie w Sydney, ale Dolour Callinan wpadła we wściekłość. Dotrzymała swojej części umowy i w rezultacie pracowała w zaparowanych pralniach Manufaktury Kobiecej w Parramacie, za towarzystwo mając najgorsze więźniarki w kolonii. O pierwszym brzasku stawały przy tarach z kawałkami twardego kaustycznego mydła, a dostawy brudnej bielizny nigdy się nie kończyły. Posiłki jadały w pralni, wieczorem wchodziły po chwiejnych schodach do sali sypialnej, gdzie czekały na nie liche sienniki.

W manufakturze nie było przyjaźni. Każda musiała dbać o siebie, a nadzorzynie, które same były więźniarkami, spychały dodatkową pracę na nowe, aczkolwiek w wypadku Dolour to się nie udało. Sprzeciwiła się Florze, jednej z nadzorczyń, która

184

w odpowiedzi wymierzyła jej dwa siarczyste policzki i kazała wracać do pracy przy wtórze śmiechu pozostałych kobiet.

Dolour poszła na koniec kamiennej pralni po miotłę. Uderzyła w plecy Florę, która padła na podłogę.

- Naraziłaś mi się, suko, pewnej nocy rozwalę ci czaszkę - zagroziła Dolour.

Po tym zdarzeniu zostawiono ją w spokoju. Robiła, co do niej należało, ale nic poza tym. Musiała przemyśleć sporo spraw. Jasin nie przyszedł po nią, jak obiecał; czasami roiła, że go zabije, czasami wynajdywała dla niego wymówki i marzyła o ponownym spotkaniu. Dni jednak mijały, robiło się



zimniej, koszmarne warunki coraz bardziej dawały jej się we znaki, schudła i dłonie miała zdarte do krwi. Poszła do brygadzysty i wpisała swoje nazwisko na listę przydziałów.

- Małe masz szanse - powiedział. - Oni nie lubią takich, co uciekają.
- Zapisz - poleciła i nie odeszła, póki tego nie zrobił. Na tym świecie nikomu nie można ufać.

Katrin Boundy zdziwiła się, kiedy niespodziewanie dostała list od Pace'a MacNamary, z którego poszukiwań już zrezygnowali. Pisał, że był w więzieniu z powodu bójki z niewłaściwym człowiekiem, a teraz pracuje jako poganiacz. Przesyłał pozdrowienia i miał nadzieję, że hotel dobrze prosperuje. Gdyby pani Boundy zechciała mu odpisać, to niech list wyśle na adres sklepu w Singleton. Jeśli chodzi o ubrania, które zostawił w hotelu, można je komuś dać. Ucieszyła się, bo już to zrobiła.

MacNamara pytał także, czy mogłaby wyświadczyć mu przysługę i sprawdzić, co przydarzyło się dwóm Irlandczykom, którzy jako więźniowie przyплыли z nim na „Emmie Jane”, Caimenowi Courtowi i Jimowi Connelly'emu.

Katrin odpisała natychmiast. Wyrażała radość, że się do niej odezwał, przyrzekała popytać o tych dwóch i prosiła, żeby odwiedził ją, kiedy znowu będzie w Sydney.

Pragnąc go zadowolić, zaczęła szukać jego przyjaciół. Dowiedziała się, że Connelly'ego wysłano do Moreton Bay, za to Court pracował jako kancelista w biurach Manufaktury Kobiecej w Parramacie, pojechała więc tam. Miała dobry pretekst, jako że zawsze szukała robotnych pracowników do hotelu, w duchu jednak

przyznawała, że chodzi o coś więcej. MacNamara był przystojny i samotny. Gdyby jego przyjaciel pracował u niej, Pace na pewno odwiedziłby hotel przy pierwszej sposobności. Im więcej o tym myślała, tym bardziej była zdecydowana go poślubić. Wpadł jej w oko tej pierwszej nocy, nawet jeśli zniżył się do igraszek ze służącymi. Katrin obie zwolniła zaraz po wyjeździe Palmerstona.

Caimen Court był ostrożny.

- Mówi pani, że przysyła ją MacNamara?
- Tak, martwi się o pana.
- I daje mi pani pracę, bo on tak mówi?
- Bo ja tak mówię. Potrzebny mi barman.
- A gdzie jest teraz MacNamara?
- Gdzieś na północy. Pracuje jako poganiacz. Court wybuchnął śmiechem.
- Naprawdę? Ha, wcale nie głupsza robota od mojej. Liczę sztuki odzieży, choć w życiu niczego nie potrafiłem wymierzyć. Ale to bardzo uprzejme z pani strony, pani Boundy. Gdyby mogła mnie pani stąd przenieść, z radością pracowałbym w pani barze.
- W takim razie załatwione. Znał pan Pace'a w starym kraju? Czym tam się zajmował?

Caimen otworzył szeroko swoje błękitne oczy i uśmiechnął się jak cherubin. Nie miał pojęcia, co Pace robił poza pociąganiem za spust.

- Był farmerem - odparł. Ta odpowiedź najwyraźniej jej wystarczyła.

Katrin zwróciła się z prośbą o przeniesienie Caimena Courta do pracy w jej hotelu. Dostała odmowę, poszła więc do Macleaya, który poinformował ją, że jego ekscelencja nie podaje powodów swoich decyzji, i odrzucił drugą prośbę.

Dowiedziała się później, że więźniowie polityczni mają mniejsze szanse na wydostanie się z więzienia niż mordercy, po raz drugi wsiadła więc w łódź płynącą do Parramatty, żeby osobiście powiedzieć o tym Caimenowi Courtowi i choć przez dzień odpocząć od hotelu.

Court przyjął niepomysłne wieści z filozoficznym spokojem.

- Tak mi się wydawało, że to za piękne, żeby mogło być prawdziwe, ale jestem pani wdzięczny za starania. Skoro już tu pani przyjechała i chciałaby zrobić dobry uczynek, to w pralni jest

186

młoda Irlandka, której nie powinno tu być. Jeśli dłużej pobędzie z tymi kobietami, stanie się tak samo zła jak one. Mógłbym ją do pani przyprowadzić?

- Jeśli panu na tym zależy.

Caimen pobiegł, a Katrin jęknęła. Przyparł ją do muru. Nie chciała dziewczyny, ale Caimen odznaczał się siłą perswazji proboszcza. Wrócił z rudowłosą ślicznotką o buzi jak laleczka i Katrin od razu wiedziała, że będą z nią kłopoty, chociaż dziewczyna stała ze wzrokiem wbitym w ziemię.

- Chce ją pani? - zapytała komendantka.

- Niewykluczone.

- To uciekinierka - roześmiała się kobieta. Katrin dostrzegła buntowniczy ruch głową, gdy Irlandkę wyprowadzano z sali.

Caimen jednak nalegał.

- Niech się pani zastanowi, pani Boundy. Gdyby znowu uciekła, trafiłaby nie do manufaktury, tylko do więzienia. Nikt nie chce iść do więzienia, więc na pewno nie ucieknie. To piękna dziewczyna, wrzucono ją

pomiędzy te kobiety, które właściwie nie mają żadnych szans na zbawienie.

- W tym rzecz. Jest ładna. Naprawdę będzie jej lepiej w moim hotelu, gdzie pełno mężczyzn?

- Oczywiście. Może pani znaleźć jej męża. Po mojemu chętnych nie zabraknie, a jak wyjdzie za mąż, odzyska wolność. Będzie miała własny dom i dzieci.

Katrin wybuchnęła śmiechem.

- Więc teraz jestem swatką?

- Nie pożałuje pani, zobaczy pani. Dobry uczynek nigdy nie idzie na marne.

Dolour Callinan sprawowała się dobrze. Katrin ze zdziwieniem patrzyła, jak w przeciwieństwie do tej procesji latawic, która przewinęła się przez hotel, stanowczo odrzuca zaloty mężczyzn. Swoje obowiązki wykonywała starannie i poza tym, że była dość ponura, nikomu nie sprawiała kłopotu. Interes szedł dobrze i Katrin szybko zapomniała o Dolour. Były inne osoby, o których wolała myśleć, na przykład Pace MacNamara. Katrin nie mogła się doczekać jego powrotu do domu, bo tym właśnie będzie jego wizyta w hotelu. Powrotem do domu. Katrin Boundy miała wiele do zaoferowania mężczyznom.

187

ROZDZIAŁ Dwudziesty Pierwszy.

Jasin Heselwood skrzył z wyznaczonej przez siebie trasy, żeby zobaczyć farmę Chelmsford. Mimo że Vicky ją sprzedała, postanowił skorzystać z okazji, że jest w okolicy. Podążał według wskazówek Clarriego; wynikało z nich, że została mu przeprawa przez strumień i będzie u celu. Kłusował

przy akompaniamencie pomruków burzy, nadciągającej od strony gór. Tak jak powiedział Clarrie, dwie wysokie akacje znaczyły skręt do Chelmsfordu i Jasin głęboko odetchnął, sadowiąc się swobodnie na siodle. Po raz pierwszy wypuścił się sam, bez przewodników, a choć była to tylko trzydziestomilowa podróż, instrukcje Clarriego roiły się od rozwidlonych drzew, nawisów skalnych, trzech wzgórz z ostrymi szczytami i wodopojów. Jasin był przekonany, że nigdy nie uda mu się prawidłowo zidentyfikować tych znaków orientacyjnych. W gruncie rzeczy nie wierzył, by ktokolwiek zdołał znaleźć drogę w tym kraju, orientując się według starych drzew i kałuż, i to, że nie zabłądził, uważał raczej za szczęście niż własne osiągnięcie.

Jak dotąd spęd bydła okazał się dość łatwy, wcale nie tak ryzykowny, jak się spodziewał. Właściciele farm położonych wzdłuż szlaku chętnie pomagali i często mógł spędzić u nich dwa, trzy dni, czekając na stado. Po uzgodnieniu tego i owego z Pelhamem Jasin znowu ruszał przodem z Clarriem albo Snowem jako przewodnikiem. Farmerzy i ich rodziny przyjmowali go serdecznie i wszystko układało się dobrze, tylko Pelham zaczynał się irytować, że sam haruje, a Jasin śpi sobie wygodnie w łóżku. Jasin jednak nie zamierzał zmieniać planów.

- Powiedziałeś, że zajmiesz się stadem. Nigdy nie twierdziłem, że chcę być poganiaczem. Poza tym kiedy znajdziemy się poza granicami, ja też będę obozował. Musisz przyznać, że farmerzy są niezwykle uczynni. Ostrzegali nas przed bagnami i trzęsawiskami, dawali własnych ludzi, żeby przeprowadzić nas przez busz. Zaoszczędziliśmy dzięki temu cały dzień, a co więcej, w każdej farmie dostawaliśmy dodatkowe zapasy. Nie sądzę, byś miał powody do narzekania.

Jasin zauważył, że Pace MacNamara jest spokojny, a pozostali poganiacze dobrze pracują, choć ciągle narzekają na Ottona. Do grupy dołączyli dwaj Aborygeni, podobno krewni Bobba,

188

i biegali wzdłuż stada, śmiejąc się radośnie, jakby brali udział w hałaśliwej paradzie. Jasin spotykał wielu czarnych, obozujących na farmach albo pracujących w domach, i nie interesował się nimi, umocnił się tylko w przekonaniu, że opowieści o ich okrucieństwach są wyssane z palca.

Bardziej bawiły go rodziny, które poznawał na tym odludziu. Na jednej farmie Anglicy mieszkający w wielkim brzydkim domu krytym strzechą przebierali się do kolacji, po czym siedzieli sztywno przy długim stole, w nieskończoność czekając, aż obsłużą ich nieprawdopodobnie powolne czarne dziewczęta. Zastanawiał się, kogo zastanie w Chelmsfordzie.

Zaczął padać deszcz, ogromne krople zapowiadające ulewę, i Jasin poklepał Prince'a Blue, czerpiąc z tego gestu pociechę. Niebo pociemniało, busz zatrzęsł się od grzmotu. Jasin zorientował się, że skręcił w złą stronę, musiał więc zawrócić i nim znalazł strumień, było późne popołudnie.

Mówili, że Merri jest płytki i łatwo się przez niego przeprawić, ale w szalejącej ulewie zmienił się w głęboką rzekę. Jasin jechał wzdłuż brzegu, co rusz zmuszany do okrążenia splątanych konarów drzew herbacianych, które wisiały nad ścieżką.

Deszcz zelżał. Jasin szukał piaszczystego skrawka brzegu i martwił się, że za godzinę zapadnie gęsta ciemność. Jeśli nie znajdzie bezpiecznego brodu, będzie musiał spędzić tu całą tę przeklętą noc. Za kolejnym zakolem wijącego się strumienia zobaczył rozłożyste drzewo z gałęziami sięgającymi nad wodę i uznał, że to może być odpowiednie miejsce. Zsiadł

i poprowadził Prince'a Blue na brzeg, ale koń się denerwował i szarpał, odmawiając wejścia do wody.

- Chodź! - powiedział Jasin. - Mamy tę gałąź jako linę ratunkową, dzięki niej nie porwie nas nurt. Chodź!

Koń rzucił łbem i prychnął, Jasin wskoczył więc na siodło i strzelił z bata. Prince Blue stanął dęba ze złością, po czym opadł na przednie nogi, próbując zrzucić jeźdźca, ale Jasin trzymał się mocno. Wbił ostrogi w boki wierzchowca, zmuszając go do wejścia w strumień. Prince Blue posłuchał wreszcie, ale strumień był głębszy, niż Jasin oczekiwał, i koń zaczął płynąć na drugi brzeg.

- Dobry koń - pochwalił go Jasin. Złapał się na tym, że powtarza słowa poganiaczy: - No, śliczny, nie zatrzymuj się.

Byli w połowie strumienia, kiedy usłyszał trzask i głośny szum. Z brzegu osunęło się drzewo, wpadło do strumienia i wzburzyło

189

nurt. Gałęzie ściągnęły Jasina z siodła i uwięziły konia i jeźdźca w nowo powstałym wirze.

Nagle Prince Blue szarpnął łbem i ze zdwojoną siłą zaczął przeć ku brzegowi. Jasin złapał się siodła, czując, jak koń go ciągnie. Usłyszał krzyki, zobaczył w strumieniu jeźdźców z linami.

Później leżał na brzegu, wypluwając wodę z płuc. Był wyczerpany.

- Nic ci nie jest, przyjacielu? - dobiegło go czyjeś pytanie. Zdołał kiwnąć głową.

- Miał szczęście, że pan Rivadavia jechał tędy i złapał konia na linę - powiedział ktoś inny. - Cholernie głupie miejsce na przeprawę.

- Tak. Ale szkoda tego biednego konia. Okropna szkoda. Jasin uniósł

głowę.

- Co się stało z koniem?

- Przykro mi, sir - przemówił głos z obcym akcentem - ale pański koń złamał nogę. Trzeba go będzie zastrzelić. Chce pan, żebym to zrobił?

Jasin cieszył się, że jest cały mokry, bo dzięki temu nie widzieli łez, które nagle potoczyły mu się po policzkach. Mógł tylko potaknąć i ukryć twarz w wilgotnej ziemi, czekając na przerażający odgłos. Kiedy rozległ się strzał, podskoczył, jakby kula trafiła go w plecy.

Roztrzęsiony Jasin przy pomocy nieznajomych wsiadł na obcego konia i cała grupa w milczeniu ruszyła ku błyszczącym w oddali światłom domu. W Chelmsfordzie Adelaide czekała na Juana. Była ciemna deszczowa noc i martwiła się o niego, chociaż wiedziała, że nie ma powodu.

Przypomniała sobie niepotrzebne chwile zażenowania podczas pierwszych dni na farmie, kiedy widziała, jak mężczyźni szturchają się i szczerzą zęby na widok wymyślnych strojów nowego szefa oraz jego „cyrkowego”, jak je nazywali, siodła. Patrzyła, jak robotnicy, także nadzorca Andy, w naciągniętych głęboko na oczy zniszczonych kapeluszach mierzą wzrokiem strój roboczy Juana od wiązanego pod brodą czarnego kapelusza z szerokim rondem do wypolerowanych na błysk butów do konnej jazdy. Na czarnej koszuli miał kamizelkę z miękkiej skóry, a na spodnie do konnej jazdy wkładał drugie, uszyte z krowiej skóry i tak skrojone, by pasowały do siodła. Kiedy w nich szedł, kołysały się i wyglądał, jakby miał krzywe nogi.

190

W tych pierwszych dniach z Juana żartowała sobie cała farma, Adelaide natomiast siedziała w domu ze swoimi problemami. Zastanawiała się, co o



niej myślą, żyje przecież z mężczyzną o dziesięć lat młodszym. Miała własny pokój, ale Juan traktował go bardziej jako jej salon. Spała w jego łóżku i nie obchodziło go, kto o tym wie.

Jednakże to pierwsze wrażenie szybko uległo zmianie, o czym skwapliwie doniosła jej kucharka Dora. Śmiechy ustały, a szczęki wszystkim opadły, kiedy zobaczyli, jak Juan radzi sobie z końmi. Wsiadał na każdego narowistego ogiera i towarzyszył najwytrawniejszym jeźdźcom, potrafił strzelać batem jak najlepsi, ale zdobył serca swych podwładnych, kiedy zobaczyli, jak włada lassem. Nigdy dotąd nie widzieli, by ktoś z taką zręcznością zarzucał linę, a pewnego dnia pokazał im mnóstwo sztuczek. Mówili, że umiałby sprawić, żeby lina zaczęła śpiewać, i każdy w Chelmsfordzie ćwiczył rzucanie lassem.

Obecnie podziw Dory dla szefa nie miał granic i Adelaide irytowała jej nietaktowna paplanina.

- Na początku myśleliśmy, że to maminsynek, pani Brooks, bez obrazy, ale pokazał chłopom, gdzie ich miejsce, no nie? Mój Andy bardzo go szanuje. Teraz wszystko dobrze się ułoży. Odetchnęliśmy z ulgą, jak się przekonaliśmy, że możemy zostać, a dobry szef to sprawa najważniejsza.

Nad wzgórzami przetoczył się grzmot. Do Adelaide przybiegły czarne dziewczyny, Mary i Libbie.

- Szef wracać, psze pani.

- W sam czas. Wielkie drzewo spaść na głowa.

- Szef prowadzić innego szefa.

- Nowy szef ma mnóstwo bydło, siedem mil za strumień.

Obie zawsze rywalizowały ze sobą, która pierwsza przekaże wiadomości, a Adelaide coraz lepiej potrafiła wyłowić szczegóły z ich paplaniny.

Orientowała się, że nie mają wyczucia odległości. Ulubioną liczbą Mary było siedem, Libbie wołała jedenaście. Doszła do wniosku, że czarni musieli spółgłoski przedzielać samogłoskami, tak więc siedem i jedenaście jako słowa melodyjne łatwo było im wymawiać.

Zastanawiała się, kim jest gość i skąd domowa służba wie, że gdzieś ma stado. Wyglądało na to, że wiedzą o wszystkim, co dzieje się w okolicy.

191

Juan z głośnym tupotem przeszedł przez hol i usiadł na wysokim krześle z różowego drewna. Adelaide schyliła się, by pomóc mu zdjąć buty.

- Juanie, jesteś przemoczony do nitki. Musisz natychmiast przebrać się w suche rzeczy.

- Wyciągaliśmy człowieka ze strumienia. A ja musiałem zastrzelić jego konia. Nienawidzę tego robić.

- Och, to musiało być dla ciebie straszne.

- Andy zaprowadził go do łaźni. Mogłabyś posłać mu suche ubranie? I powiedz kucharce, że na kolacji będzie jeszcze jedna osoba.

Podał jej buty i poszedł do swojej sypialni.

Adelaide zaniósła buty do kuchni, gdzie wręczyła je Billabillowi, czarnemu „chłopcu” na posyłki. Dora już wiedziała, że będzie potrzebne trzecie nakrycie, a Andy znalazł koszulę i spodnie dla dżentelmena.

- Kto to jest? - zapytała Adelaide.

- Nie wiem. Andy mówi, że szlachcic. Gada jak szlachcic.

Zadowolona, że rozpałała ogień w pokoju Juana i przygotowała mu ubranie, Adelaide pośpieszyła, żeby z nim porozmawiać.

Rozebrany do pasa, mył się w miednicy.

- Chcesz więcej gorącej wody? - zaproponowała.

- Nie, Dell, dziękuję.

Zdjął spodnie i wycierał się cały do sucha. Adelaide po raz kolejny dziwiła się swobodzie, z jaką obnażał się kochanek, a także swej nowo odkrytej umiejętności cieszenia się widokiem jego ciała. Starła się koncentrować na wiadomości, którą miała mu do przekazania.

Deszcz głośno bębnił i Juan powiedział, żeby podeszła do okna.

- Popatrz, grad przykrywa podwórze jak śnieg. Spojrzała na kryształki lodu migoczące na ciemnej ziemi.

Juan przyciągnął ją ku sobie i szepnął:

- To nie w porządku, że masz na sobie tyle rzeczy. Może je zdejmiesz i rozgrzejesz mnie? To był bardzo zimny dzień.

Kiedy leżeli przytuleni w łóżku, Adelaide powiedziała niespokojnie:

192

- Kocham cię, Juanie. Kiedy mnie dotykasz, czuję się tak, jakbym po raz pierwszy się z tobą kochała, i nie chcę, byś przestawał.

- Musimy przestać. Mamy gościa na kolacji. Nie będziemy jednak długo siedzieć przy stole. - Znowu zaczął ją pieścić.

- Podam dobre wino, po nich moja pani jest bardziej podniecona.

Wzięła głęboki oddech.

- Juanie, mam ci coś do powiedzenia.

- Tak? - mruknął, nie przestając jej pieścić. Adelaide poczuła, jak wzbiera w niej żądza.

- Przestań natychmiast - poleciła, ale ją zignorował.

- Będę miała dziecko.

Pocałował ją.

- Wiem.

- Wiesz?
- Moja droga Dell, kwitniesz. Masz rumieńce na policzkach i kochasz się z większą czułością. Oczywiście, że wiem. Wszyscy wiedzą.
- Jak to: wszyscy wiedzą?
- Wszyscy, nawet czarne dziewczęta. Żyją blisko ziemi, narodzin, śmierci, one to czują. Ale nie czują tego co ja, prawda?
- Śmiał się, takiej reakcji Adelaide wcale nie oczekiwała.
- Jesteś szczęśliwy z tego powodu?
- Oczywiście. To moje dziecko. Jestem bardzo dumny. Pozwól, niech dotknę miejsca, w którym jest moje dziecko.
- Juanie, nie jesteśmy małżeństwem. Nie możemy mieć dziecka.
- Ale mamy. Jesteśmy szalenie sprytni.
- Kpisz sobie ze mnie.
- Nieprawda. Czego ode mnie oczekujesz? Żebym był nieszczęśliwy?
- Dziecko będzie... nie będzie miało nazwiska. Nie rozumiesz, Juanie? Dla dobra dziecka musimy się pobrać.
- Nie.

Adelaide leżała nieruchomo, ogarnięta paniką.

- Jeśli się nie pobierzemy, ludzie powiedzą, że dziecko nie ma ojca.
- Ludzie powiedzą! A ty znowu swoje. I tak głupio mówisz, że nie będzie miało ojca. Dziecko będzie nosiło nazwisko Rivadavia

193

i na tym koniec. Dlaczego robisz z tego taki problem? Jeśli jesteś tu nieszczęśliwa, możesz wyjechać, będę o ciebie dbał. Zawsze będę się tobą opiekował.

Adelaide nigdy nie opuściłaby go z własnej woli, ale do tej pory wierzyła, że wcześniej czy później się z nią ożeni, chociaż dzieląca ich różnica wieku na pewno wywoła plotki. Miała nadzieję, że wezmą cichy ślub w Chelmsfordzie. Teraz z całą mocą dotarło do niej, że ślubu nie będzie. Musiała pogodzić się z własnym położeniem: jest jego kochanką, niczym więcej.

Sprawdziła stół w jadalni. Juan nalegał, żeby co wieczór przebierali się do kolacji, dziewczęta uczyły się, jak należy podawać. Dołożyła drew do kominka i zapaliła świece. Kiedy weszli mężczyźni, odwróciła się i przed sobą zobaczyła Jasina Heselwooda.

- Ależ to pani Brooks! No nie, słowo daję!

Adelaide poczuła, jak policzki zalewa jej ciemny rumieniec. Juan, który z piwnicy przyniósł dwie butelki wina i teraz ocierał je z kurzu, spojrzał na nich przenikliwie.

Jasin wycofał się, pogarszając jeszcze sprawę.

- Przykro mi. Więc już nie pani Brooks? Teraz...

- Zna pan panią Brooks? - przerwał Juan, ucinając domysły gościa.

- Tak, przyплыliśmy tu razem.

Juan wyciągnął korek z butelki. Adelaide była zdenerwowana; słuchając słów Jasina, można było odnieść wrażenie, że podróżowali wspólnie.

Pośpiesznie go skorygowała.

- Jasin i jego żona mieli kajutę obok naszej. Jakże się miewa Georgina?

Chętnie bym się znowu z nią zobaczyła.

- Nie wątpię - powiedział Jasin z tym swoim ulotnym uśmiechem, który zawsze okropnie ją drażnił. - Kiedy następnym razem będzie pani w Sydney, musi nas pani odwiedzić. Mamy syna, Edwarda. Jeszcze go nie

widziałem.

- Ma pan pierworodnego i jeszcze go nie widział? - zdumiał się Juan. -  
Jechałbym dzień i noc, żeby zobaczyć pierwszego syna.

- Na nieszczęście jadę w przeciwnym kierunku - odparł Jasin.

Juan wzruszył ramionami w geście dezaprobaty, który nie uszedł uwagi gościa. Jasin zwrócił się do Adelaide:

- Jak się miewa doktor Brooks?

194

Była przekonana, a świadczył o tym nagły trzepot jego jasnych rzęs i  
fałszywa uprzejmość, że dobrze wiedział, co się stało z Brooksem.

- Mój mąż umarł - wyjaśniła.

- Och, bardzo mi przykro to słyszeć. Ale należy przypuszczać, że wszyscy  
doktorzy wiele ryzykują, stykając się z pacjentami. Moim zdaniem  
profesja doktora jest dość przerażająca. Na tyle rzeczy muszą się  
napatrzeć! Mój Boże!

- Brooks nie był doktorem medycyny - sprostowała Adelaide - tylko  
doktorem astronomii.

Jasin gapił się na nią, tym razem szczerze zdumiony.

- Dell - odezwał się Juan głosem cichym i opanowanym, co zawsze  
zapowiadało burzę. - Jeśli jesteś gotowa, to czy mogłabyś powiedzieć  
służbie, żeby zaczęła podawać? Pan Heselwood miał ciężki dzień. Nie  
należy trzymać go w progę i pozwalać, by jedzenie stygło.

Podczas posiłku Adelaide była milcząca i świadoma złego nastroju Juana.

Jest zazdrosny, myślała, i to o kogo, o Jasina Heselwooda! Co gorsza,  
Heselwood zorientował się w sytuacji i doskonale się bawił. Ciągłe  
próbował wciągnąć Adelaide do rozmowy, wspominając statek, zdawał

bowiem sobie sprawę, że dla niej było to niezręczne, a dla Juana irytujące. Zastanawiała się, co Jasin powie Georginie, kiedy wróci do Sydney. Przynajmniej nie wiedział, że Adelaide spodziewa się dziecka, w tym jednym wypadku los okazał się dla niej łaskawy, w przeciwnym razie wątpiła, by była w stanie to znieść. Wypiła więcej czerwonego wina niż zwykle, żeby ukoić skołatane nerwy.

Odziany w pożyczony strój Jasin z twarzą i rękami brązowymi od słońca wyglądał na człowieka wsi, zupełnie nie przypominał wyperfumowanego dandysa, którego Adelaide poznała na statku, pomimo jednak tej powierzchownej metamorfozy prawdziwy Jasin Heselwood nie zmienił się ani na jotę. Wciąż uważał się za księcia pomiędzy gorszymi od siebie śmiertelnikami i wciąż odznaczał się tą młodzieńczą złośliwością. Napięcie i wino sprawiły, że Adelaide zaczynała tracić panowanie nad sobą.

- Co pan wie o bydle, Jasinie? - W jej głosie brzmiało szyderstwo, ale się tym nie przejmowała. Chciała, żeby Juan wiedział, że nie znosi tego człowieka, że jego podejrzenia są bezpodstawne.

195

- Nie twierdzę, że wiem wiele, za to mam dobrych poganiaczy. Jednym z nich jest pani przyjaciel, Pace MacNamara. Pamięta go pani ze statku? - Jasin zwrócił się do Juana. - Pani Adelaide akompaniowała mu na fortepianie, kiedy dla nas śpiewał. Byli oboje świetni.

Ostatnim słowom towarzyszył prostoduszny uśmiech i Adelaide wciągnęła powietrze. Obserwowała Jasina, słuchała, jak głosem przepelnionym nieznośnym poczuciem wyższości przeciąga zgłoski, i uświadomiła sobie, że on wcale nie prowokuje jej, tylko przez nią usiłuje sprowokować Juana.

Pragnęła ostrzec Juana, powiedzieć mu, że powinien był zostawić tego psa w strumieniu. Dla tego arystokraty Juan był cudzoziemcem, stojącym niżej od jakiegokolwiek angielskiego wieśniaka. Nie okaże cienia wdzięczności za uratowanie mu życia, za gościnę w domu Juana. Pomyślała, że może należy zaapelować do lepszej strony osobowości Jasina, o ile taka istnieje.

- Zamierza pan zapuścić się w nieznany kraj. Nie martwią pana dzicy czarni?

- Szukamy pastwisk. Nie będziemy ich niepokoić, oni nie interesują się pastwiskami.

- Chyba pan w to nie wierzy - odezwał się Juan.

- W co nie wierzę?

- Że potrzebuje pan ich ziemi wyłącznie na pastwiska.

- A po co jeszcze miałbym jej potrzebować?

- Żeby ją podbić. Żeby podbić ich cywilizację.

- Mój drogi Juanie, nie mam najmniejszego zamiaru nikogo podbijać.

Mogą podzielić się tą ziemią, to im nie zaszkodzi.

- Dzielenie się oznacza równe zyski. A co oni dostaną w zamian? To ich ziemia.

- Nieprawda. Nie mają miast ani wsi. Nie uprawiają ziemi. To pustkowie.

- Wręcz przeciwnie. Sprawdziłem to. Czarni wytyczyli granice między plemiennymi terytoriami.

- Plemienna terytoria, a to dobre! Pańskie wino jest wyborne, Juanie, za to zrozumienie tego kraju niedostateczne. Niedobitków rasy, która nigdy nie zbudowała nawet wioski, nie można nazwać wspólnotą plemienną. My, Brytyjczycy, rozumiemy to. Hiszpanie nie chcieli tej ziemi.

Juan uderzył pięścią w stół.



- Ciągłe nazywa mnie pan Hiszpanem. Nie jestem nim. Jestem Argentyńczykiem. Uważamy Europejczyków za dekadentów.
- Wolno wam. Mogę się nawet z tym zgodzić. My, Brytyjczycy, też nie uważamy się za Europejczyków. Boże broń!
- Gdyby zechciał pan zapamiętać, że moja rodzina od pokoleń jest argentyńska, zrozumiałby pan, że mamy doświadczenia z Indianami, którzy są wprawdzie potomkami Inków, ale podobnie jak tutejsi czarni nie zbudowali własnej materialnej cywilizacji. To oczywiste, że celem pańskiej wyprawy nie są wyłącznie pastwiska, bo zbuduje pan tam domy i wioski, a tym samym stanie się pan najeźdźcą.
- Niech pan da spokój, to za mocne określenie. Już skolonizowaliśmy wielką część Nowej Południowej Walii i poza kilkoma mniej ważnymi incydentami czarni nie zareagowali.
- I tu się pan myli. Nie rozumieli, co się dzieje, ale niech mi pan wierzy, teraz doskonale zdają sobie z tego sprawę. A kolonizowanie to też nieodpowiednie słowo.
- Jak inaczej pan by to nazwał?
- Zgodnie z prawdą. Już mówiłem, to podbijanie nowych terenów. Jest pan tutaj z tych samych powodów co ja, żeby podbijać, a ci nieszczęśnicy muszą się poddać, ponieważ dysponujemy lepszą bronią i chcemy ich ziemi.
- Dramatyzuje pan.
- Wcale nie. Nie lubię udawania. Próbuję panu uzmysłwić, że jeśli chce pan podbić północne ziemie, będzie pan musiał

o nie walczyć.

- A niech to. Opowiada pan straszne rzeczy. Jestem człowiekiem pokojowym.

- Czyżby? - roześmiał się Juan. - Kiedy skończę to, co mam tutaj do zrobienia, także ruszę na północ, tylko że ja zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

- Pan żartuje?

- Nie, jestem szczerzy. Może pan dalej nazywać to kolonizacją, ale bierze pan udział w wojnie.

Adelaide nie kryła przerażenia.

- Nic nie rozumiem. Dlaczego miałbyś tam iść? Masz wielką farmę, czego jeszcze chcesz?

197

- Zapytaj pana Heselwooda. On wie. On rozumie, czym jest to pragnienie posiadania ziemi, ta żądza, która człowieka może popchnąć w śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Trudno to wyjaśnić - odparł Jasin, już nie taki pewny siebie, co ucieszyło Adelaide. Juan solidnie nim potrząsnął.

Po kolacji, kiedy byli sami w sypialni, Juan eksplodował. Oskarżył ją, że Heselwood był jej kochankiem, i chciał wiedzieć, kim jest ten drugi, ten MacNamara. Zapamiętał nawet nazwisko i Adelaide na próżno usiłowała go przekonać, że się myli.

- Nie lubię Heselwooda. Jak możesz myśleć, że cokolwiek mogło mnie z nim łączyć?

- Dlaczego go nie lubisz? Jest przystojny na swój wyblakły sposób.

- Ponieważ wszystkich traktuje z wyższością. Uważa, że jest lepszy od

całego świata.

- Ma do tego prawo - oznajmił Juan. - Istotnie jest lepszy. Pochodzenie to ważna sprawa. On pochodzi z wyższej klasy, tego nie można mu odebrać.

- Och, rozumiem. I dlatego nie chcesz się ze mną ożenić? Bo pochodzę z klasy średniej i to dla ciebie za mało?

Juan odłożył perłowe spinki z koszuli do srebrnej kasetki i stanowczym gestem zamknął pokrywę.

- A ty, Dell? Czy to, że jesteś moją panią, budzi w tobie dumę? Stałaś dzisiaj przy moim boku przed twoim przyjacielem, panem Heselwoodem? Czy raczej odwracałaś wzrok ode mnie? Nie mogę uczynić z ciebie uczciwej kobiety, Dell, sama musisz to zrobić. - Narzucił szlafrok. - Idź spać, Dell. W gabinecie czeka na mnie praca.

ROZDZIAŁ Dwudziesty Drugi.

Pani Horton wróciła do towarzystwa i przyjaciele chętnie się nią zajęli. Zabierali ją na bale, przyjęcia i wesołe weekendy w wiejskich domach na Emu Plains, a ona przez cały ten czas myślała o Rivadavii. Napisała do niego długi list, szczegółowo opisując organizację Chelmsfordu, miała bowiem nadzieję, że te informacje okażą się dla niego przydatne. W odpowiedzi podziękował

198

i pogratulował pięknej farmy, która całkowicie spełniła jego oczekiwania. Obecnie zakładał winnice; przyrzekł, że pierwsze wina dostarczy jej osobiście.

Vicky napisała, że nie powinien tak długo czekać, tylko koniecznie musi odwiedzić ją przy najbliższej bytności w Sydney i opowiedzieć nowiny z farmy, na której spędziła niezapomniane lata. Życie w Sydney wydaje jej

się dość nudne.

To nie była prawda. Sir Percy Rowan-Smith zakochał się w niej do szaleństwa i wystawał na jej progu od świtu do nocy. Był sporo od niej starszy, bardzo miły, gadatliwy i bajecznie bogaty, ale Vicky wciąż myślała o Argentyńczyku Rivadavii. Tak było aż do wizyty Dory.

Dora po raz pierwszy od wielu lat przyjechała do Sydney na pogrzeb brata, ale za swój obowiązek uważała wizytę u dawnej pani. Chciała zobaczyć dziecko i złożyć kondolencje z powodu śmierci pana Hortona, chociaż wydawało się, że to było dawno temu. Pani Horton ucieszyła się na jej widok, zaprowadziła do małego saloniku i nalegała, żeby Dora została na lunch.

- I jaki jest wasz nowy szef, Doro? Czy Andy go lubi?

- Och, pani Horton, jest bardzo sympatyczny i Andy świata poza nim nie widzi. Dobrze radzi sobie z ludźmi. Jeździ konno lepiej niż oni, a to o czymś świadczy, no nie? I zmienia dom. Mówię pani, po przebudowie to będzie prawdziwy pałac. Andy myśli, że w swoim czasie przekaze mu zarząd Chelmsfordu, bo bardziej interesuje go bydło. Kupił kilka pastwisk na równinach i wprowadza tam stada.

Vicky była zachwycona, że ma z pierwszej ręki wszystkie te informacje o Rivadavii.

- Pani wie, że on jest Argentyńczykiem? - zapytała Dora.

- Tak, poznałam go, kiedy omawialiśmy szczegóły sprzedaży. Oczywiście to było spotkanie w interesach, jeszcze zanim urodziła się Marietta.

- Więc go pani widziała? - W oczach Dory pojawiły się błyski. - Jest przystojny, prawda? I powiem pani coś jeszcze, chce tylko tego co

najlepsze, i nie zważa na koszty. Jest bardzo wybredny, jeśli chodzi o posiłki, lubi wielkie steki i pilnuje, żeby mięso najpierw skruszało. A skoro o tym mowa, jest też wybredny, jeśli chodzi o ubrania i dom, nawet pościel musi być w najlepszym gatunku.

- Jest żonaty?

199

- Nie.

- Dziwne, że córki farmerów z okolicy nie próbują go złapać. Wygląda na doskonałą partię.

Dora odwróciła wzrok.

- Nie wydaje mi się, pani Horton.

- Dlaczego nie?

Dora kręciła się niespokojnie na krześle.

- Nie wiem, czy powinnam o tym mówić, to bardzo dobry człowiek, dobrze nas traktuje, rozumie pani. I mógłby nie być zadowolony, że o tym wspomniałam, więc nie słyszała pani tego ode mnie.

- O co chodzi?

- Widzi pani, jest też pani Brooks. Mieszka w domu.

- A kto to jest? Gospodyni?

- Więcej niż gospodyni. Nigdy nikogo nie krytykuję, to nie moja sprawa, ale wie pani, co mam na myśli.

- Interesujące! - Vicky istotnie wydało się to interesujące, ale też irytujące.

- Od jak dawna tam jest?

- Przywiózł ją ze sobą. Jest jego panią, by tak rzec. Sporo od niego starsza, a teraz spodziewa się jego dziecka, więc nie ma sensu, żeby dziewczęta się koło niego kręciły.

Wizyta Dory zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Przez cały ten czas Vicky hamowała gniew, a była zła na siebie, że wyobrażała sobie, iż mężczyzna taki jak on nie ma gdzieś kobiety. I była też rozczarowana. Bardzo rozczarowana.

Dora jednak miała więcej wiadomości.

- Zna pani tego pana Heselwooda? Andy mówi, że to ten sam, który mieszkał u pani, kiedy pan Horton umarł. Raz go tu widział.

- Tak, znam. Co z nim?

- Odwiedził Chelmsford. Został na noc. Jechał na paninym koniu, Andy od razu go poznał, trudno pomylić Prince'a Blue z innym koniem.

Vicky westchnęła. Wciąż tęskniła za Prince'em Blue. Dora chwilę milczała.

- Mam dla pani złe wieści. Prince Blue nie żyje. Pan Rivadavia musiał go zastrzelić. Miał złamaną nogę.

- Co? - Vicky zerwała się z krzesła. - Co mu się stało?

- Tak mi przykro, pani Horton. Ten dżentelmen wpadł w tarapaty przy przeprawie przez strumień. To była burzliwa noc,

200

musieli go wyciągać z wody. Andy mówił, że to było głupie miejsce na przeprawę, nurt był bystry i niósł pełno połamanych gałęzi... - Urwała.

Sądząc z twarzy pani Horton, powiedziała za dużo.

- Zabił mojego konia! - krzyknęła Vicky.

- Pan Rivadavia nie miał wyboru.

- Wiem! Chodzi mi o tego imbecyla Heselwooda! Nigdy mu tego nie wybaczę. Prince Blue! Mój piękny koń! - Wybuchnęła szlochem i Dora próbowała ją pocieszyć.

- Tak mi przykro, nie powinnam była pani o tym mówić. Proszę nie płakać, pani Horton, takie rzeczy się zdarzają.

Reszta dnia wydawała się Vicky szara i ponura. Dom był pusty, pełen ech, miała wrażenie, że nic nigdy już jej nie rozweseli. Znowu wrócił żal po śmierci Hortona. Wyszła na opustoszałą werandę, pragnąc się stąd wyrwać, zmienić otoczenie.

Kiedy wieczorem przybył sir Percy Rowan-Smith, przyjęła jego oświadczyzny i zgodziła się wyjechać z nim do Anglii. Dziadkowie Marietty, Hortonowie, z przyjemnością się z nimi zobaczą.

Wiele miesięcy później Juan Rivadavia przyjechał do Sydney, by zakupić konie czystej krwi do swojej stajni, a ponieważ miał wolny czas, postanowił odwiedzić panią Horton, która zapewniała, że zawsze będzie mile widzianym gościem. Była bardzo pociągającą kobietą.

W Wilkin House zastał tylko stróża, który mu powiedział, że dom jest zamknięty.

- Czy pani Horton wyjechała?

- Ona już nie nazywa się pani Horton, teraz jest lady Rowan-Smith.

Wyszła za mąż i wyjechała do Anglii.

Juan uśmiechnął się.

- Dobrze zrobiła.

Nie zmarnował czasu, przejażdżka była lepsza od siedzenia w hotelowym pokoju i przyjemność sprawiał mu widok ładnych domów po pustych traktach w dolinie.

- Nic więcej nie wiem - dodał stróż. - Pani Heselwood z sąsiedniego domu może zna jej adres.

- Kto?

- Pani Heselwood, angielska dama. Mieszka w tym domu na klifie.

201

- Dziękuję - powiedział Juan i ruszył we wskazanym kierunku. To musi być żona Heselwoda. Ponieważ znalazł się w tej okolicy, wizyta z całą pewnością jest rzeczą stosowną. Ze słów Jasina wywnioskował, że jego żona też pochodzi z arystokratycznej rodziny, a angielska arystokracja bardzo go intrygowała.

Georgina była zaskoczona, ale powitała go serdecznie, ponieważ przynosił wieści o jej mężu. Ucieszyła się słysząc, że Jasin dobrze się miewał podczas ich ostatniego spotkania i że jej gość jest głęboko przekonany o sukcesie jego przedsięwzięcia. Rivadavia poprawił jej ogromnie nastrój, na swój oficjalny sposób wyjaśniając plany Jasina lepiej, niż zrobił to on sam. Georgina zaprosiła go na lunch.

Juan dobrze się czuł w jej towarzystwie. Odkryli, że mają wspólnego przyjaciela w osobie lorda Forstera, który pierwszy zachęcił go do przyjazdu do Nowej Południowej Walii.

Ze względu na konwenanse nie został długo po posiłku. Widząc, w jaki sposób Georgina zwraca się do służby, doceniał to, co Dell nazwałaby wyniosłością. Sam nigdy nie nawiązywał towarzyskich stosunków z podwładnymi, którzy mimo to dobrze spełniali swoje obowiązki, i nie potrafił pojąć, dlaczego Dell wiecznie wystaje w kuchni i rozmawia z kucharką. Nie wyobrażał sobie, by pani Heselwood przyjaźniła się ze służącymi. Postanowił, że pan Jasin Heselwood i jego czarująca żona zawsze będą mile witani w jego domu, czy to się Dell podoba, czy nie.

CZEŚĆ ÓSMA.

Ziemia.



## ROZDZIAŁ Dwudziesty Trzeci.

Jack Drew czekał, kucając na niskim pniu. Ponieważ od trzech dni nie zdołali zmylić ścigających go żołnierzy, czarny przewodnik poprowadził go wyżej w góry, co dla Jacka było trudne. Rozumiał teraz, że Aborygen próbuje go uratować, dlatego współpracował z nim, zjadając wszystko, co ten mu dawał, i bez sprzeciwu wykonując instrukcje.

Aborygen zdawał się traktować całą sprawę jako osobiste wyzwanie.

Starannie zacierał ślady i zręcznie przedzierał się przez zarośla, ale Jack wszystko psuł, potykał się, miażdżył gałązki, a raz, kiedy złapał konar, żeby się podciągnąć, i złamał go, czarny syknął z irytacją przez zaciśnięte zęby. Gdy stopy Jacka zaczęły krwawić, czarny nie krył dezaprobaty.

- Niedobrze, szef. Żołnierze od razu zobaczą trop.

- Zostawisz mnie? - szepnął Jack, ale Aborygen z uśmiechem pokręcił głową.

Jack obserwował go teraz, jak stoi bez ruchu, niemal niewidzialny przy wysokim drzewie gumowym, białe znaki na twarzy i ciele zlewały się w jedno ze srebrnym pniem. Jack chciał już iść, ale milczał, bo wokół panowała śmiertelna wręcz cisza. Potem wydało mu się, że widzi jeszcze trzech czarnych, chociaż trudno ich było odróżnić od tła. Skradali się ostrożnie z włóczniami w dłoniach. Byli wysocy jak wybawca Jacka, włosy zwinięte mieli w węzeł na czubku głowy, a krzaczaste brody nadawały im okrutny wygląd. Jack zadrżał.

Jego przyjaciel zawołał do nich, ale oni wciąż włóczniami celowali w Jacka, który gotów był w każdej chwili zerwać się do ucieczki w stronę żołnierzy.

Czterej mężczyźni rozmawiali cicho i gardłowo. Nowo przybyli wciąż podejrzliwie zerkali na białego, ale towarzysz Jacka śmiał się i widać było wyraźnie, że opisuje im dyby, bo naśladował pozycję więźnia zakutego w drewno. Na dowód pokazał im szyję i przeguby Jacka. Chwilę patrzyli na zdartą do mięsa skórę, a potem też wybuchnęli śmiechem. Jack wyszczerzył zęby, ale się nie poruszył. Czarni znowu spowaźnieli, wskazując góry, po czym usiedli, by przedyskutować kwestie związane ze ścigającymi i ściganym.

Jeden z worka wyłowił martwego oposa i rzucił na ognisko. Jacka nie zaproszono do kręgu i zaczynał się martwić tą zwłoką. Nie powinni już ruszać? A może oddadzą go w ręce żołnierzy i zażądają nagrody?

Dlaczego mieliby się nim przejmować?

Zadał wiatr, korony wysokich drzew gumowych z upiornym szumem zakołysały się w półmroku panującym w lesie. Jack obejrzał sobie stopy, wytarł nos w rękaw i Wciągnął powietrze w płuca. Cokolwiek piekli, pachniało smakowicie, ale przecież dym i zapach rozniosą się po okolicy. Dali mu kawałek mięsa, który zjadł z apetytem, kiwając głową z uznaniem i w każdej chwili spodziewając się, że na polanę wpadną żołnierze.

W końcu wzięli włócznie i podeszli do niego.

- Idziemy - powiedział jego czarny. Jack zerwał się na nogi, zadowolony z czteroosobowej eskorty, ale pozostali trzej z uśmiechem pokleпали go po ramieniu i jeden po drugim wrócili na szlak.

- Gdzie oni idą? - zapytał. Wpadło mu do głowy, że może doniosą na niego żołnierzom.

- Zabić czarni tropiciele. Okropna zawada. Zabić też żołnierze, jak szybko nie uciekać.

Jacka wypełnił podziw dla prostoty, z jaką Aborygeni rozwiązali jego problem. Chętnie zawróciłby, żeby popatrzeć.

- Dobra robota - powiedział klepiąc przyjaciela po plecach. - Masz miejsce w moim sercu.

Skoczył za przewodnikiem; siły dodała mu myśl, że nie musi się już bać. Zaczęli się wspinać na skaliste zbocza, ale dotrzymanie kroku czarnemu sprawiało mu coraz większą trudność. Zazdrościł mu zręczności i wytrzymałości, wysilając się, by nie zostać w tyle, i przeklinając własną słabość.

Na noc schronili się w jaskini. Czarny rozpałił ognisko i zrobił dla nich posłanie z kawałków kory, które chroniły ich przed wilgocią.

204

- Jak masz na imię? - zapytał Jack.

- Dimining. A ty?

- Jack Drew.

Aborygen powtórzył, co w jego ustach zabrzmiało „Dżakadu”. Odtąd to stało się imieniem Jacka.

- Gdzie nauczyłeś się angielskiego?

- Na farmach. Nasi obozują na farmach. Niektórzy biali nie mieć nic przeciwko. Przychodzić czasem do nas i mówić: „Chłopcy, chcecie pracować za jedzenie?” My mu pomagając, gonić owce i robić inne rzeczy. Ale major Mudie wszystkich wygonić ze swojej farma. Pif-paf, zabić rodziny.

- Twoich krewnych też zabił? Dimining ze smutkiem kiwnął głową.

- Dlaczego go nie zabijecie?

- Za wiele broń. Zabić jego owce. Cały czas zemsta.

- Gdzie mieszkasz?

Dimining zatoczył dłonią krąg i Jack nie był pewny, czy dobrze go rozumie, ale pytał dalej.

- Co jest za tymi górami?

- Wielki kraj.

- Biali też tam są? -Są.

Jack westchnął rozczarowany.

- Dokąd idziemy?

- Czekamy na czarne ludzkie, a potem idziemy daleko. Oni też są Kamilaroi.

- Co to jest?

- Lud. My lud Kamilaroi. Chcesz iść z nami?

- Tak. Też będę Kamilaroi.

Dimining wybuchnął śmiechem, klepiąc się po udach.

- Ty dobry człowiek - powiedział.

Jack pozostał w jaskini przez następny dzień, a Dimining wyruszył na polowanie.

Podczas jego nieobecności wrócili trzej czarni, zadowoleni ze swoich dokonań. Nie mówili po angielsku, ale z żywej gestykulacji Jack wywnioskował, że zabili włócznie tropicieli, jednego trafili w głowę, drugiego w plecy. Żołnierze do nich strzelali, ale oni skryli się w buszu. Wyglądało na to, że żołnierze uciekali gdzie pieprz rośnie, bojąc się o życie i nie wiedząc, ilu czarnych ich zaatakowało.

205

Dimining, wróciwszy z polowania z kilkoma kangurami, też był zadowolony.

- My wojownicy. Kamilaroi to wojownicy. Biały człowiek mówi, daj Diminingowi robotę pilnowania owiec. - Przetłumaczył to współplemieńcom. - On woli zabić więcej owiec.

Jeden z wojowników wyjął z worka cztery dziwne przedmioty i rzucił na ziemię. Jack pochylił się nad nimi i zaraz wstrząśnięty zrobił krok do tyłu. To były uszy. Uszy czarnych tropicieli, dowód ich śmierci.

Nazajutrz rano opuścili jaskinię. Kiedy wspięli się na grań, zobaczyli rozciągającą się przed nimi rozległą równinę i góry na horyzoncie. Jack był rozczarowany. Tędy na pewno nie uciekną. Wskazał na północ.

- Co tam jest? Dlaczego tam nie idziemy? Dimining szeroko otworzył oczy.

- Daleko tam nie dojdiesz. To kraj Tingum. Lepiej wracać do major Mudie. Tingum odcinać głowy.

Przy tych silnych, rosnących Aborygenach Jack czuł się jak karłowaty starzec. Teraz pojął, dlaczego wszyscy powtarzali, że więźniowie nie przeżyją w tej dziczy.

- Nauczysz mnie polować, Dimining?

Czarny kreślił linie w piasku wielkim paluchem u nogi.

- Nie. My zabrac cię do obozu. Lepiej jak ty zostać z kobietami.

Po sześciu dniach dotarli do obozu nad brzegami rzeki Namoi. Szli szybko, Jacka ta wędrówka wyczerpała. W szałasach z kory mieszkało około sześćdziesięciu czarnych. Chude psy rzuciły się Jackowi do łudek, za nimi biegły kobiety. Na widok białego z krzykiem uciekły, jedna nawet wspięła się na drzewo. Zbite w gromadkę dzieci uśmiechały się do niego nieśmiało. Dimining podszedł do starców siedzących przy ognisku i wyjaśnił, kim jest nieznajomy. Wszyscy obejrzelili się na Jacka, później

wrócili do przerwanej rozmowy.

Biały usiadł na brzegu rzeki, by zamoczyć piekące stopy. Nogi mi odpadają, tak pędzili do tego swojego domu, burczał pod nosem, a w dodatku jest tu tak samo jak w buszu. Wyobrażał sobie wioskę z wielkimi chatami i targiem, a nie prowizoryczne obozowisko. Woda była chłodna, roiło się w niej od ryb, na które polowały ptaki. Obok majestatycznie przepłynęły czarne łabędzie. Do Jacka podbiegła dziewczyna, postawiła na

206

ziemi drewnianą misę i zaraz uciekła. Jack przyjrzał się zawartości, były to orzechy i jagody. Jedząc próbował zaplanować swój następny ruch. Czarni wyglądali tak samo jak grupa, którą spotkali w drodze do Castle Forbes, kobiety siedziały w kręgach, rozcierając proszek w drewnianych misach, dzieci bawiły się w pobliżu, a starcy kucali przy ognisku. Tym razem jednak byli z nimi młodzi mężczyźni, wojownicy, i ich obecność nadawała obozowi zupełnie inny wygląd. Jack wiedział, że musi się pilnować.

ROZDZIAŁ Dwudziesty Czwarty.

Wielkie stado parło naprzód, miażdżąc krzewy i drzewka, łamiąc nisko zwisające gałęzie i depcząc je na proch. Wypoczęte po nocy zwierzęta podążały za jeźdźcami spieszenie, wyczuwając chłodne górskie powiewy, przywódcy prychnieniem oznajmiali swoją wyższość nad resztą, odpychając śmiałków, którzy chcieli zająć ich miejsce, i kopiąc bardziej upartych. Poganiacze jechali spokojnie, czujnym wzrokiem obserwując podskakujące łby, gwizdami i okrzykami zachęty starając się utrzymać równy rytm, obawiali się bowiem wybuchu paniki w tym zamkniętym terenie. Psy, świadome, że potrzebna jest powściągliwość, kroczyły sztywno po kamienistym gruncie, czasami tylko wskakiwały na skalne

półki, by się rozejrzeć.

Kiedy z przełęczy wyszli na równinę, poganiacze pozwolili stadu biec wolno, dopóki byki przywódcy nie zdecydowały, że czas na odpoczynek. Większa część stada poszła ich śladem, szukając własnych pastwisk i odpędzając intruzów, którzy próbowali się wdrzeć na zajęte już terytorium.

Poganiacze nie zwracali uwagi na drobne incydenty, wypatrywali natomiast nieuchronnego w tej sytuacji zdarzenia. I rzeczywiście, wielki byk skorzystał z okazji do ucieczki. Natychmiast ruszył za nim Nick, galopując przez równinę na złamanie karku. Zręcznie skręcał, kiedy byk zmieniał kierunek, zygzakiem goniąc uciekiniera, by nie zdążył wpaść między kępę drzew. W końcu byk stanął i obejrzał się na jeźdźca. Trzask bata zapędził go z powrotem do stada. Ciekawskie zwierzęta przyglądały się

207

temu z pastwiska, najsłabsze i płochliwe, które się zawsze wlokły w ogonie, dopiero teraz dołączały do reszty.

Pace MacNamara i Bobbo przeprowadzili zapasowe konie przez przełęcz i wyjechali na równinę za hałaśliwie poruszającym się bydłem. Główny koń, wielki gniadosz Waler, doskonale sobie radził ze swoim małym stadem.

Snow zrównał się z Pace'em.

- Jesteśmy poza granicami, synu. Teraz dopiero robi się ciekawie.
- A co się stało z tymi czarnymi chłopcami, kumplami Bobba?
- Zawrócili. Za nic nie weszliby na to terytorium. Zły totem. Złe lekarstwa. Wszyscy mają własne okręgi i niech Bóg ma ich w opiece, jeśli

postawią stopę na cudzej ziemi bez pozwolenia.

- Naprawdę? To piękny kraj, no nie? Mam zamiar wziąć trochę ziemi dla siebie, jak Anglicy nie będą patrzeć.

- Co wiesz o Pelhamie? - zapytał Snow.

- Niewiele. Słyszałem, jak kiedyś mówił, że jego regiment stacjonował w Irlandii, więc wolę się trzymać od niego z daleka.

Snow zapalił fajkę.

- Coś mi się widzi, że pan Heselwood kupił kota w worku. Pelham tak się nadaje na szefa poganiaczy jak ja na cyrkowca. Moim zdaniem to głupiec. Całe szczęście, że Lance i chłopcy wiedzą, co robić. - Zerknął na Pace'a spod ronda przykurzonego kapelusza. - Dlaczego Heselwood cię wziął? Jesteś jego przyjacielem?

- Ha, wręcz przeciwnie. Heselwood jest przekorny, moim zdaniem nie ufa swojemu druhowi Pelhamowi i przypuszczalnie uważa, że diabeł, którego zna, jest lepszy od diabła, którego nie zna. Mnie zaś na pewno nie będzie tu gorzej niż w więzieniu, toteż nie protestuję.

Snow dalej nie drążył.

- Clarrie i ja od lat nie byliśmy na spędzie. Zrobisz błąd, jak będziesz się starzał na cudzej farmie. Kiedy tu skończymy, chętnie ci pomożemy, gdybyś chciał kupić własne stado.

- Świetny pomysł, ale jak to zrobić bez pieniędzy?

- Są różne sposoby. Najpierw się przekonaj, czy busz ci odpowiada. Jeśli nie, to lepiej od razu wracaj do Sydney. Jakoś nie widzę, żeby ten przeklęty kapitan Pelham długo tu wytrwał.

208

- A Heselwood?



- To inna sprawa. Jest jak pies, co dorwał kość, nie odda jej, ale chce też wyrwać kości innym. Na świecie są szefowie i robotnicy. Ja zawsze byłem robotnikiem. Heselwood zawsze będzie szefem, a Pelham jest tylko robotnikiem, ale o tym nie wie.

Gwizdnął na Bobba, który drzemał w siodle, i gestem polecił mu pilnować, by konie nie zboczyły ze szlaku. Bobbo pokłusował we wskazanym kierunku.

- Rzecz w tym - ciągnął Snow - kim ty jesteś: szefem czy robotnikiem?

- Ba, żebym sam to wiedział!

- Najwyższy czas, żebyś się zdecydował. I jeszcze coś ci powiem. To niebezpieczny kraj, potrzebna ci broń.

- Nie dadzą więźniowi broni - odparł Pace z goryczą.

- Dadzą albo ja i Clarrie ruszymy w busz i załatwimy ich na cacy.

Tego wieczoru kwestia broni dla MacNamary wywołała burzliwą kłótnię w obozie.

- Nie dam mu strzelby - oznajmił Jasin. - Żeby wpakował mi kulkę w plecy?

Poganiacze spojrzeli po sobie, zdziwieni tą reakcją. Clarrie wstał.

- Panie Heselwood, chce pan, żeby stado było bezpieczne, czy nie? Tu jest pełno psów dingo, polują watahami. Co według pana MacNamara ma zrobić, jeśli dingo zaatakują? Pluć? Póki nie dostanie broni, ma pan jednego mniej człowieka na nocną zmianę i chłopcom to się nie spodoba.

W końcu udało im się przekonać Jasina, ale Pelham wciąż się opierał, udali się więc na spoczynek, zostawiając im rozstrzygnięcie tej sprawy.

Trzy dni później nadal wędrowali przez ziemie nielegalnie przejęte na własność przez osadników. Przekonali się, że sześćdziesiąt mil od granicy

wypasano bydło na pastwiskach, i pewnie dalej też były pastwiska, o których nikt nie miał pojęcia.

- Pójdziemy, dopóki to się nie skończy - powiedział Clarrie Jasinowi. - Ta ziemia ciągnie się bez końca, więc to bez znaczenia, a dla bydła wzdłuż szlaku jest mnóstwo dobrego jedzenia. A przy okazji, MacNamara jeszcze nie dostał broni.

Jasin pokręcił głową.

209

- Nie mogę podważać autorytetu Pelhama. On wie, co robi.

- Tak pan uważa - odrzekł Clarrie kwaśno. - Ale człowiek ma prawo się bronić. Jeśli zaczną się kłopoty z czarnymi, to nieuzbrojony będzie w niebezpieczeństwie.

- Jak mi się zdaje, mówiłeś, że jeśli będziemy traktować czarnych dobrze, zostawią nas w spokoju.

- Tak mówiłem. Nikt nie szuka kłopotów, ale jeśli kłopoty same nas poszukają, możemy potrzebować MacNamary. Niech pan spojrzy na to z tej strony, panie Heselwood. Ja tam nie lubię się kłócić. Uzbroi go pan albo odchodzimy.

Jasin nie odrywał od niego zdumionego spojrzenia.

- Wydajesz mi rozkazy?

- Nie, mówię tylko, jak sprawa wygląda.

Pace dostał broń, co wzbudziło podejrzliwość Pelhama, który zastanawiał się, co też może łączyć Heselwooda z tym Irlandczykiem.

Kilka dni później Clarrie przyjechał do obozu, w którym płonęło ognisko, konie odprzęgnięte od wozu z zapasami pasły się na uwięzi w pobliżu, ale nie było śladu kucharza Ottona. Na swój spokojny, rzeczowy sposób

Clarrie zawiesił kociołki z wodą na herbatę nad ogniem i zaczął rozpakowywać żywność na kolację. Snow i MacNamara poili konie w jeziorku, poganiacze ze stadem powinni być tu za jakąś godzinę. Nic tak nie podgrzewa nastrojów jak brak posiłku, kiedy po całym dniu głodni ludzie przyjeżdżają do obozu. Wędrowali na północ przez surową krainę, porośniętą kępami akacji, eukaliptusów i trawy. Trzymali się blisko rzeki od wschodniej strony na wypadek, gdyby okazało się, że wodopoje wyschły, ale byli gotowi znowu skierować się na zachód. Ten objazd irytował Pelhama, Clarrie jednak się upierał, że okolica jest zbyt sucha i nie mogą już teraz ryzykować, że stado zostanie bez wody.

Nie było potrzeby pytać o pozwolenie na przejście, bo pastwiska zostały zajęte niezgodnie z prawem, mimo to Heselwood zawsze szukał właściciela, dzięki czemu zyskiwał dobrą opinię i sposobność, by wywiedzieć się, co jest dalej.

Tereny, po których obecnie się poruszali, należały do krzepkiego Szkota nazwiskiem Hughie McPhie, który dla siebie i synów wyznaczył działkę wynoszącą dwa tysiące akrów. Hughie

210

zbudował długą glinianą chatę z blaszanym dachem pokrytym niewyprawioną skórą.

Clarrie uśmiechnął się do siebie, namaczając w wodzie solone mięso.

Heselwood kręcił nosem na to prowizoryczne schronienie z klepiskiem zamiast podłogi, na czym przyłapał go Szkot.

- To nie pałac, panie Heselwood - powiedział mu - ale od czegoś trzeba zacząć. Podobnie jak pan my też stawiamy dopiero pierwszy krok. A i tak mamy tutaj lepsze życie niż w starym kraju. Moi synowie wrócą do

Szkocji jako bogacze.

Choć rzeka oddalona była o milę, rósł tu gęsty busz, charakterystyczny dla terenów zalewanych przez powódź, który zapewniał domowi naturalną osłonę przed wiatrami.

Do obozu przyjechali Pelham i Heselwood.

- Gdzie Otto? - rzucił Pelham.

- Chyba poszedł poszukać dzikiego miodu - odparł Clarrie. - Ale na waszym miejscu zacząłbym go wołać, w przeciwnym razie ten głupek się zgubi.

Pozostali, zmierzając do obozu i słysząc pokrzykiwania Pelhama, śmiali się.

- Otto poszedł na wędrowną - powiedział Lance do Bobba. - Za to mamy szansę na porządniejsze żarcie, skoro gotuje Clarrie. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak psuł każdą strawę jak Otto. To był twój pomysł, Bobbo.

- Mówił, że umie gotować. Skąd miałem wiedzieć, że nie potrafi nawet zagotować wody?

Pelham wrócił prowadząc konia.

- Nigdzie go nie ma. Idź ty, Bobbo, i poszukaj go. Słyszeli, jak wołania i pohukiwania Bobba cichną w oddali.

Kończyli kolację, kiedy przyjechał.

- Otto musi tam przenocować, chyba że sam znajdzie drogę powrotną.

Poszukamy go rano. Dranie, zostawiliście coś dla mnie?

- Widziałeś ślady czarnych? - zapytał Pelham.

- A o jakie ślady panu chodzi, szefie? - zdziwił się Bobbo. - Jeśli są tu jacyś przyjacielscy czarni, złożyliby nam wizytę, żeby załapać się na

kolację, którą ugotował Clarrie. A jeśli są źli, to żadnych śladów nie będzie.

Kłopoty zaczęły się rano, kiedy się okazało, że Ottona wciąż nie ma. Obie zmiany poganiaczy skończyły śniadanie i Pelham wydawał polecenia.

211

- Potrzebujemy tylko paru chłopców do pilnowania stada

- przerwał mu Lance. - Reszta idzie szukać Ottona.

- Wykluczone - odparł Pelham z gniewem. - Ruszamy. Bobbo może zostać z tyłu z zapasowym koniem, dopóki nie znajdzie tego przekłętego głupca.

- Jeden człowiek nie da rady przeszukać tego buszu

- upierał się Lance, ale Pelham go zignorował. Jasin widział, że zaraz wybuchnie otwarty konflikt, a chociaż chciał jak najszybciej wyprowadzić stado na szlak, uznał, że czas interweniować.

Pelham wskoczył na konia i z góry popatrzył na swoich ludzi.

- W drogę, chłopcy. Clarrie pojedzie wozem, nie potrzebuje pomocy.

Lance uparcie stał w miejscu.

- Nigdzie nie pójdziemy, dopóki nie znajdziemy Ottona, słyszy pan?

- Kiedy wydaję rozkaz, spodziewam się, że zostanie wykonany! -

krzyknął Pelham. - Nie zostawiam Ottona, Bobbo go znajdzie.

- Bobbo potrzebuje tygodnia, żeby znaleźć go w pojedynkę

- powtórzył Lance.

- To moja sprawa, nie twoja - warknął Pelham. - Zejdź mi z drogi!

Machnął szpicrutą na Lance'a, który cofnął się kilka kroków.

- Dotkniesz mnie tym cholernym damskim batem, a pożegnasz się z życiem!

- To twoja wyprawa, Heselwood! - krzyknął Pelham.

- Pozwolisz im, żeby robili sobie przerwy, kiedy przyjdzie im na to ochota?

Ale wszyscy poganiacze, także Clarrie, który teraz odpowiadał za wóz z zapasami, wsiedli na konie.

- To prawdziwe utrapienie, ale Lance chyba ma rację

- uznał Jasin. - Jeśli pójdziemy wszyscy, szybciej go znajdziemy.

Pelham skrzywił się. Miał ochotę powiedzieć Heselwoodowi, że niech sam sobie prowadzi dalej to przeklęte stado, ale wtedy on, kapitan, zostałby zdegradowany do pozycji zwykłego poganiacza. I nie mógł odjechać, przecież sto sztuk należało do niego.

- Jeden dzień! - powiedział. - Macie jeden dzień na odszukanie go i ani minuty dłużej!

212

Jasin próbował się zdobyć na optymizm.

- Powinniśmy znaleźć go przed południem, nie sądzisz, Lance?

- Cholera, a kto to wie? - odparł Lance. - Jeśli poszedł w złym kierunku, może być dziesięć mil stąd, a ten busz jest piekielnie gęsty.

Clarrie zaczęła męczyć ta zwłoka.

- W takim razie ruszajmy.

Zawrócił konia i przez wysoką trawę pojechał w stronę lasu.

Szukali cały dzień, kontaktując się krzykami i gwizdami. Kiedy po południu zawrócili, poszerzyli łuk, zaglądając do każdego wodopoju i wyschniętego koryta, ale wciąż nigdzie nie było śladu po Ottonie.

Snow dogonił Jasina.

- Wygląda na to, że jutro musimy pojechać w dół rzeki, on może chodzić

w kółko.

- Co za diabelne utrapienie! A tak dobrze wszystko się układało.

Snow wzruszył ramionami i pojechał przodem. Jasin był wściekły na tego głupiego Niemca, który musiał zabłądzić. Byliby o dzień bliżej Namoi.

McPhie powiedział mu, że tak nazywa się następna rzeka i że ziemie wokół niej są żyzne.

Koń przedzierał się przez splątane zarośla, omijając leżące pnie i dziury, Jasin patrzył na wznoszące się przed nim wysokie drzewa, wśród których panowała martwa cisza, przerywana jedynie trzaskiem suchego poszycia pękającego pod kopytami. Nagle rozległ się wystrzał. Zawrócił w tamtym kierunku i spotkał się z Lance'em i Snowem.

- Tędy - powiedział Lance, prowadząc ich przez busz do Pelhama, który blady jak kreda i drżący wskazywał pobliską polankę.

- Znalazłeś Niemca? - zapytał go Jasin. Pelham skinął głową.

Otto siedział oparty o drzewo, całe jego ciało pokrywała masa bzyjących czarnych much. Z piersi sterczała mu włócznia.

- Jezu, biedny drań - mruknął Snow. Wstrząśnięty Jasin patrzył w milczeniu.

Snow złamał włócznię i wyciągnął z ciała Ottona.

- Pomóżcie mi, zaniemiemy go do obozu. - Po co? - mimowolnie szepnął Jasin.

213

- Żeby go pochować, to jasne.

- Dlaczego nie pochowamy go tutaj?

- Bo nie mamy choleralnej łopaty!

Pogrzebali go na skraju buszu. Poganiacze przykryli grób drewnem dla

ochrony przed psami dingo. Clarrie wyrył nazwisko Ottona i datę jego śmierci na pobliskim drzewie, nic więcej bowiem o nim nie wiedzieli.

- Powinniśmy przenieść obóz? - zapytał Jasin.

- Nie ma sensu - odparł Bobbo. - Znajdą nas bez kłopotu, ale trzeba wystawić strażę.

- Wątpię, czy ktoś zmruży oko tej nocy - powiedział Jasin. - Pelham, przenieśmy namiot bliżej wozu. Ścieśnijmy obóz.

- Dobry pomysł. Wezmę Snowa i pojedziemy do McPhiego, żeby mógł ostrzec innych farmerów.

Pace uśmiechnął się pod nosem. Pelham zdołał wyprowadzić Heselwooda w pole. Kapitan nie należał do ludzi troszczących się o farmerów i ich rodziny. Jechał, żeby bezpiecznie przespać się w domu.

Wczesnym rankiem po niespokojnej nocy spakowali wóz i pierwszy w drogę ruszył Clarrie, obecnie pełniący funkcję kucharza. Kiedy poganiacze wyprowadzili stado, zadał wiatr. Bydło w odpowiedzi pokłusowało, jakby poganiane batem. Po południu niebo na horyzoncie przybrało czerwoną barwę, a gdy wiatr przybrał na sile, zmieniło się na pomarańczowe i słońce ukryło się za mgłą.

Jasin patrzył, jak poganiacze zawiązują chustki na twarzach i spuszczaają podwinięte rękawy.

- Dziwne światło - zwrócił się do Lance'a.

- Będzie jeszcze dziwniejsze, szefie, zbliża się burza piaskowa.

- Powinniśmy rozbić obóz?

- Nie, idziemy dalej. Ostatni wodopój był wyschnięty, nie ma sensu zatrzymywać się bez potrzeby. Bydło może iść całą noc.

- Mam sprawdzić, co jest przed nami?



- Nie, szefie, w burzy i tak niczego pan nie zobaczy. Może pan zabłądzić. Jasin martwił się. Wiatr dał coraz silniejszy i już bił mu w twarz drobinkami kurzu, gęstym, duszącym pyłem o dziwnym kolorze.

- Skąd bierze się ten czerwony kurz?

214

- Według mnie z głębi łądu - odparł Lance. - Nigdy nie wierzyłem w opowieści o wewnętrznym morzu, według mnie jest tam jedna wielka misa z pyłem, którego miliony ton co jakiś czas spadają na nas.

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że idziemy ku misie z pyłem?

- Nie. Skoro Hughie powiada, że przed nami jest wielka rzeka, to jest.

Wystarczy spojrzeć na horyzont, ta burza zaczyna się setki mil stąd.

Setki mil stąd. Jasin jechał, smagany wiatrem, i zastanawiał się nad tym.

Lance miał rację, piasek tego rodzaju musi pochodzić z pustyni. Kiedy już wytyczy swoją farmę nad brzegami Namoi, zacznie szukać dalej na północ. Inni mogą sobie wziąć zachód...

A potem burza spadła na nich z wielką mocą, wiatr wył i niósł tumany piasku, które całkiem zasłoniły światło. Pokryte czerwonym kurzem bydło znieruchomiało, szukając u siebie wzajemnie schronienia. Poganiacze workami zakryli łby koniom, zarzucili im na grzbiety derki i pozostali na swoich miejscach.

Jasin wgramolił się pod wóz z Clarriem, który spuścił płótno, jednakże piasek wciąż się wdzierał, kłuł w oczy, dusił i zmuszał do kaszlu przy każdym oddechu. Oparci o koła, mogli tylko siedzieć i czekać, aż burza zelżeje.

Kiedy zapadł mrok, było po wszystkim.

Bydło, nie napojone wieczorem, zachowywało się niespokojnie przez noc. Nick kłusował wolno wobec stada, dmuchając delikatnie w cynowy gwizdek, pozostali poganiacze mruczeli, dokładając wszelkich starań, by nic nie rozdrażniło spragnionych zwierząt. Pelham i Snow jeszcze nie wrócili; Jasin kłął, plując piaskiem.

Ponieważ brakowało ludzi, musiał razem z poganiaczami odpracować zmianę i teraz niemal zasypiał w siodle. Wrażenie na nim zrobiły upór i wytrzymałość, z jakimi uspokajali stado, ale zwierzęta wciąż były podenerwowane; Lance ostrzegał, że to niebezpieczny sygnał, byle co może teraz wywołać popłoch w stadzie.

Na tle nocnego nieba rysowała się sylwetka MacNamary siedzącego na koniu. Trzymał samotną straż na wzniesieniu i Jasin miał nadzieję, że dla Irlandczyka jest to tak samo wyczerpujące jak dla jego chlebodawcy. Od kilku dni Jasin coraz mocniej odczuwał zmęczenie

215

i najchętniej jechałby na wozie, wiedział jednak, że wtedy skompromituje się w oczach poganiaczy. Każdy następny dzień był trudniejszy od poprzedniego, ale siłą dodawała mu myśl, że jest już niemal u celu.

Rano stado nie potrzebowało ponagleń, zwierzęta same popędziły naprzód, znużeni ludzie pojechali za nimi. Jasin i Bobbo wzięli świeże konie i ruszyli na poszukiwanie wody. W końcu trafili na kałużę pokrytej zielonym śluzem wody w starym korycie rzeki. Jasin ochoczo ruszył ku niemu, ale powstrzymał go Bobbo.

- Spokojnie, szefie. Tam może być woda. Strumień przestał płynąć, dalej jest wyschnięty, więc w tym miejscu musi być dość głęboki staw.

Bobbo zsiadł. Idąc w kierunku kałuży, patykiem macał grunt przed sobą. Jasin się przeraził, kiedy zobaczył, jak patyk zanurza się na prawie całą długość.

- Jak napoimy zwierzęta? - zapytał.

- Konie zaprowadzimy na drugą stronę, a tutaj będziemy musieli kopać - odparł Bobbo. - Ale to śliczny wodopój, na dzisiaj zupełnie nam wystarczy. Musimy tylko wpuszczać tu po kilka sztuk, w przeciwnym razie będą kłopoty.

Poganiacze pracowali ciężko przy pojeniu stada, strzelając batami i uwijając się tam i z powrotem, by utrzymać dyscyplinę. Trwało to bardzo długo: spragnione zwierzęta partiami dopuszczano do wody, a potem zmuszano, by zrobiły miejsce następnym. Nick i Tommy trzymali straż na skraju stawu i ratowali cielaki, które odłączyły się od matki, psy patrolowały drugi brzeg strumienia, nie pozwalając się zabłąkać napojonym zwierzętom.

Jasin był wyczerpany. Wrócił do obozu, znalazł jakąś derkę i położył się z głową na siodle. Na kolację mogli liczyć dopiero wtedy, kiedy stado uda się na nocny spoczynek.

Pelham, który przyjechał tu po śladach wozu, musiał długo potrząsać go za ramiona. Jasin usiadł i gapił się na kapitana przez kilka minut, nim wróciła mu świadomość. Przemył podpuchnięte oczy i twarz pokrytą kilkudniowym zarostem w wodzie, której Clarrie zaczerpnął ze strumienia, nim zaczęto poić stado. Splunął z odrazą - miała nieprzyjemny smak.

- Wróciłeś w samą porę - warknął.

- Nie mogliśmy wyruszyć wcześniej. Burza piaskowa była okropna.

Zatrzymała nas w domu.

Jasin kiwnął głową. To było nieistotne, skoro najgorsze mieli za sobą. Czuł się lepiej, mając przy sobie Pelhama, człowieka, z którym mógł rozmawiać jak równy z równym. Wspólny namiot zawsze rozbijali w pewnej odległości od głównego obozu, żeby zyskać trochę prywatności. Poganiacze swoje tobołki rzucali w dzień na wóz, nocą spali pod gołym niebem albo brezentową płachtą, jeśli padało. Jasin przeciągnął się i otrzepał spodnie.

- Szczęściarz z ciebie. Wydaje mi się, że brzuch mam pełny piasku. To była piekielna noc, musieliśmy do rana pilnować stada, żeby się nie rozpierzchno. Nachodziła mnie ochota, żeby zwiać.

- Mogę to zrozumieć - zgodził się Pelham. - To nie jest miejsce dla dżentelmena. I w związku z tym mam dla ciebie wiadomość. Rzuciłem to w diabły.

- Nie ma sensu teraz rezygnować. Jesteśmy prawie u celu.

- Ty jesteś prawie u celu. Tobie zależy na ziemi. Ja zajmuję się wyłącznie handlem bydłem i swoje sprzedałem McPhiemu. Zapłacił mi pięć funtów za sztukę, musisz przyznać, że się opłacało.

Jasin poczuł, jak w głowie zaczyna mu huczeć, i z wysiłkiem zapanował nad wściekłością.

- Nie masz prawa sprzedawać tego bydła!

- Należy do mnie, mogę z nim robić, co mi się podoba - roześmiał się Pelham.

- Do diabła, nie możesz! To bydło ma być podstawą stada. Jeśli je sprzedasz, zepsujesz cel spędu.

- Nie bądź chciwy, Heselwood! Sporo ci przecież zostało.

- Nie w tym rzecz. Zainwestowałem w tę wyprawę pieniądze.

Powinienem mieć prawo pierwokupu.

- Zapłacisz mi pięć funtów za sztukę?

- A to niby dlaczego? Mogłem je kupić w Bathurst za niecałego funta.

- Sam widzisz. Jesteś zły, bo zrobiłem dobry interes. I przyjmę od ciebie sto funtów za doprowadzenie cię tak daleko. Moja pensja.

Jasin usłyszał własny krzyk. Nigdy w życiu nie wyobrażał sobie, że może wpaść w taką wściekłość.

- Doprowadziłeś mnie tak daleko, Pelham? Kto płacił za poganiaczy i zapasy? Nigdy nie byłbyś w stanie bez pomocy dojść aż tutaj ze swoim bydłem. Miałeś co jeść i konie na zmianę. Celem tego spędu jest zajęcie pastwiska. Osiągniesz lepsze zyski,

217

jak stado się powiększy, a w dodatku nadal będziesz miał swoje sto sztuk.

Powiedz McPhiemu, że transakcja jest odwołana.

- Nic takiego mu nie powiem! Sprzedałem swoje bydło. Rano zbudujemy zagrodę, oddzielimy moją część i na tym koniec. Chłopcy McPhiego będą tu jutro, żeby nam pomóc.

Dla Jasina to było kroplą, która przelała dzban. Następnego dnia zwłoki! A w dodatku jego poganiacze harowali jak woły, żeby napoić bydło Pelhama. Kapitan sięgnął do sakwy przy siodle.

- Proszę, przywiozłem ci butelkę wina od McPhiego, bardzo mocne.

Opijemy nim rozstanie.

Jasin gniewnym gestem odrzucił butelkę i batem śmignął Pelhama w twarz.

- Wykorzystałeś mnie!

Pelham zareagował błyskawicznie. Cios posłał Jasina na ziemię, a kiedy ów skoczył na nogi, kapitan mierzył do niego z pistoletu.

- Jak śmiałeś mnie uderzyć? Bierz broń, Heselwood. Nie strzelę do nieuzbrojonego człowieka, lecz albo przeprosisz, albo jesteś martwy. Jasin zanurkował do namiotu, złapał pistolet i załadował trzęsącymi się dłońmi. Żaden z mężczyzn nie chciał czekać na otrzeźwiająca ceremonię pojedynku, a Jasin w swojej wściekłości nie zważał na to, że w przeciwieństwie do niego Pelham jest znakomitym strzelcem.

Pelham czujnie czekał, wiedział bowiem, że Heselwood otworzy ogień w momencie, w którym wyłoni się z namiotu. Rozległ się strzał i pistolet wyleciał Pelhamowi z dłoni. Wrzasnął z bólu, bo razem z bronią pozbył się też palca wskazującego. Do obozu wjechał Pace MacNamara.

- Zastrzel go! - krzyknął Jasin. - Próbował mnie zabić.

- Sam go zastrzel - odparł Pace, podnosząc pistolet Pelhama z ziemi. Jasin uniósł broń, zawahał się i znowu ją opuścił.

Pace opierał się o drzewo, gotowy strzelbą stłumić dalszą kłótnię.

- Co się stało? - zapytał Lance.

- Między dżentelmenami doszło do nieporozumienia - uśmiechnął się Pace i odszedł, zostawiając zwaśnionym współnikom wyjaśnienie całej sprawy Clarriemu i Snowowi, którzy przybyli do obozu za Lance'em.

218

Kiedy nazajutrz przyjechali synowie McPhiego, poganiacze nie mieli innego wyjścia, jak czekać, aż bydło Pelhama zostanie oddzielone od sztuk z literą „H” wypaloną na skórze. Jasin nie chciał na to patrzeć, ruszył przodem z Clarriem, Lance'owi powierzając nadzór nad rozdziałem. Jego ludzie byli zirytowani zwłoką, wiedział więc, że dopilnują, żeby Pelham

nie dostał żadnego byka ani jałówki, które nie są jego własnością. Nie zadał sobie trudu, żeby podziękować MacNamarze za interwencję, bo był przekonany, że gdyby miał szansę, pozbyłby się Pelhama i zatrzymał jego bydło.

Wędrowali na zachód przez suchą ziemię wiele długich dni, aż Jasin zaczął się martwić, że zbłądzili, w końcu wszakże wspięli się na wzniesienie, z którego w oddali zobaczyli Namoi, połyskliwą wstążkę wijącą się przez kępy drzew.

- Oto rzeka - powiedział Clarrie i Jasin głośno odetchnął. Patrzył na ciągnącą się za rzeką równinę, porośniętą tu i tam drzewami.

- Gdzie się kończy ten kraj?

- Bóg jeden wie! - roześmiał się Snow. - Ale nie chce powiedzieć.

Jasin czuł wielką słabość. Przez ostatnie kilka dni wyłącznie duma trzymała go w siodle; był przekonany, że wygląda tak samo staro jak Clarrie i tak samo jak on jest ogorzały. Jego jasną brodę pokrywało błoto, którego żadne mycie w rzece nie było w stanie usunąć, włosy, spłowiałe od słońca, zwisały tłustymi matowymi strąkami, a skóra w dotyku przypominała papier ścierny.

Clarrie przysłonił oczy i rozejrzał się.

- Pełno tu zwierzyny, na kolację będziemy mieć dzikie kaczki.

Jednakże Jasin wciąż był oszołomiony. Cała ta ziemia należała do niego. Posiadłość jego ojca w porównaniu z tym wyglądałaby niczym liche poletko. Spojrzał na stado rozchodzące się w trawie wysokiej jak człowiek.

- Jedno mnie martwi, Clarrie. Jeśli poganiacze wrócą ze mną, to jak trzem ludziom uda się przypilnować stada? Czy nie rozpierzchnie się na

wszystkie strony, skoro nie ma tu ogrodzenia? Bóg wie, gdzie trzeba by potem szukać tych zwierząt.

- Nic imnie będzie. Trzeba je wytresować, jakkonie. Chłopcy postawią płot nad rzeką. Nie zatrzyma stada, ale bydło będzie

219

wiedziało, gdzie jest dom. Kiedy będzie pan wyznaczał swoją ziemię, poganiacze przyuczą stado: wyprowadzą na dzień i wieczorem przypędzą z powrotem. Zwierzęta będą wiedziały, że to ich zagroda, one rozumieją pojęcie terytorium.

- Nawet bydło?

- Jasne. Co odważniejsze byki mogą się wałęsać, ale przy zbieraniu stada da się je wyłuskać z buszu. Trzeba do tego dobrych jeźdźców, ale jeśli będzie miał pan ludzi znających się na rzeczy, poradzą sobie.

Jasin zgadzał się z tym.

- Miałem nadzieję, że Lance i chłopcy zostaną i będą pracować dla mnie, ale ich to jakoś nie interesuje.

- Nie, to poganiacze. Kiedy będzie pan prznosił stado, wie pan, do kogo się zwrócić. Lance i jego kumple znają się na rzeczy. Niech znajdą panu oborowych, jak wrócą do Bathurst.

Mężczyźni wydawali się bardzo niechętni więźniom, mimo to Jasin zagadnął o nich Clarriego.

- Wygląda na to, że większość farmerów zatrudnia więźniów...

- Nic w tym złego - usłyszał zaskoczony. - Dają tym chłopcom szansę na uczciwe życie, ale lepiej, żeby pan dobrze ich karmił i traktował, bo spalą panu dom.

Wyznaczenie działki trwało dwa tygodnie. Jasin pracował z Clarriem i



Snowem, wbijając w wysoką trawę paliki oraz malując na drzewach literę „H” i numerowane strzałki. Wspinali się po zarośniętych żlebach na szczyty wzgórz, nocami zapalali latarnie, żeby wyznaczyć linię prostą, i karczowali krzewy, oczyszczając drogi do oczek wodnych, aż wreszcie Clarrie przekonał Jasina, że to wystarczy.

- Dwadzieścia mil kwadratowych to dobry początek. Teraz potrzebuje pan co najmniej kilkunastu ludzi, żeby postawili zabudowania i przygotowali wszystko na przegląd stada w przyszłym roku.

W trakcie wyznaczania granic poganiacze zbudowali drewnianą chatę, pamiętając o otworach na strzelby na wypadek ataku czarnych, i okolili zagrodę dla koni ostrymi palikami. Bydło, które Jasin kupił po drodze, zostało oznakowane, i stado zadomowiło się w nowym miejscu.

Pace MacNamara zgodził się pozostać z Clarriem i Snowem do powrotu Jasina z nowymi pracownikami. Pod warunkiem...

220

- Pod jakim warunkiem? - warknął Jasin. - Wydostałem cię z więzienia.

- To dla mnie za mało. Jak wróci pan do Sydney, niech pan załatwi umorzenie wyroku. Nie chcę przepustki, ale całkowitego oczyszczenia z zarzutów.

- Nie rozkazuj mi, MacNamara. Kiedy odwrócę się plecami, ty zaraz zaczniesz wyznaczać własną działkę.

- Owszem, taka myśl przeszła mi przez głowę, jeśli jednak nie da pan słowa, że to załatwi, mogę od razu zająć się własnymi sprawami.

Lance obiecał zabrać ze sobą i nadać na poczcie dwa listy od Pace'a. Za radą Clarriego Pace napisał do Katrin Boundy.

- Znasz kogoś, kto ma parę groszy i może je zainwestować w ziemię?

Chodzi o kilka tysięcy akrów - powiedział mu Clarrie.

- Masz na myśli partnera?

- W żadnym razie, do diabła! Wyznaczysz dwie działki, jedną dla siebie, drugą zapasową. I stąd weźmiesz pieniądze na zakup stada. Tę drugą sprzedasz.

- Znam pewną panią, która może być tym zainteresowana.

- Więc do niej napisz. Zapytać zawsze można, krzywdy z tego nie będzie.

Drugi list był zaadresowany do rodziców Pace'a w Irlandii. Powiadamiał w nim, że nabywa na własność ziemię w Nowej Południowej Walii, i prosił, by jak najszybciej przysłali do niego rodzeństwo, Mary i Brendena, jako że będzie potrzebował ich pomocy w tej krainie wszelkiej obfitości.

Heselwood wytyczył wielki kawał gruntu i miał własne stado.

Zobaczywszy na własne oczy, jak to się robi, Pace pragnął czym prędzej pójść w jego ślady, nie zamierzał, by taka okazja wymknęła mu się z rąk.

Jeśli pani Boundy odmówi, będzie musiał znaleźć innego inwestora albo pracę, dzięki której zaoszczędzi pieniądze na zakup stada. Na razie

dotrzyma swojej części umowy i pozostanie tutaj do powrotu Heselwooda, tyle przynajmniej był mu winien. I nauczy się wszystkiego, co się da, od Clarriego i Snowa.

Patrzył, jak Heselwood i czterej poganiacze galopują na wschód; ci ostatni śpieszyli się do miejsca, w którym będą mogli wydać zarobione pieniądze.

Pace odetchnął z ulgą, pozbywszy się

221

towarzystwa Anglika. Ten człowiek irytował go, a równocześnie przygnębiał z powodów, których nie potrafił określić. Miał talent do wywoływania w nim poczucia, że jest niczym i nigdy do niczego nie

dojdzie. Było w tym wyzwanie, które Pace gotów był podjąć.

- Zobaczymy - powiedział do siebie. - Skoro ty możesz być wołowym magnatem, to ja też.

Kilka dni później Clarrie zaproponował, żeby Pace zaczął wyznaczać własną ziemię, ten się jednak ociągał.

- Nie chciałbym jeszcze stąd odchodzić, zostało sporo do zrobienia.

Clarrie uśmiechnął się do niego.

- Robota nie zajac, nie ucieknie, MacNamara. Nie jesteśmy sami na tym szlaku. Nie ma sensu siedzieć i tylko zastanawiać się nad tym. Pójdę z tobą.

- Ale jak poradzi sobie Snow w pojedynkę? - zaniepokoił się Pace.

- Nie potrzeba mi niańki w buszu - odparł Snow. - Czarni chłopcy z obozu na wzgórzu będą mi pomagać, dopóki im się nie znudzi, a poza tym wieczorami będziecie wracać. Gdzie według ciebie, Clarrie, powinien się rozejrzeć?

Clarrie narysował mapę rzeki zgodnie z tym, co o niej wiedzieli.

- Szef postawił swoje znaki tutaj, więc jedną granicę już masz wytyczoną. Zacniemy stąd. Pierwszą działkę sprzedasz, czyli nie będziecie sąsiadami. Nie wygląda na to, żebyście się polubili. Przesuniemy się kilka mil dalej, a jeśli ziemia będzie dobra, wyznaczymy twoje grunty.

Pace spojrział na rzekę, nad którą stały drzewa herbaciane, dziwne jak cała tutejsza przyroda, okryte białym kwieciem niczym śniegiem. Był wdzięczny starym traperom, bez nich nigdy by się nie poważył na taki krok.

- A drugi brzeg rzeki? Tam też są dobre pastwiska. Snow pokręcił głową.

- Nie kuś losu, druhu. Tam się roi od czarnych. Nocą widuję ogniska na

wzgórzach. Plemię, które mieszka po tej stronie, zachowuje się spokojnie, wystarczy od czasu do czasu dać im byka, ale coś mi się zdaje, że tam, skąd pochodzą, jest inaczej. Tak czy owak masz stąd dobry szlak do doliny Hunter.

Pace uśmiechnął się, czując się trochę głupio.

222

- Moja własna ziemia! W głowie się nie mieści, że będę miał posiadłość wielką jak Dublin.

- Nie zdobędziesz jej - zauważył Snow - jak dalej będziesz tak stał i tylko o niej gadał!

ROZDZIAŁ Dwudziesty Piąty.

Edward Heselwood miał kolkę i nosek czerwony od kataru. Był zimny dzień, w zatoce szalał sztorm, fale z szumem rozbijały się na plaży.

Georgina przekonała się, że dom z marmurowymi podłogami i nielicznymi kominkami zbudowano na lato, nie na zimę. Cormackowie zimowe miesiące spędzali w wiejskim domu w Parramacie.

Wicher wył i nocą potrząsał okiennicami, przez co nie mogła zasnąć, podłogi trzeszczały, drzwi się nie domykały, na korytarzach panowały przeciągi. Nabrała zwyczaju wędrowania po domu w szlafroku, późno wstawiała i wczesnie się kładła. Codziennie pisała listy, ale rzadko je wysyłała, ponieważ były posępne.

Przy dwóch okazjach pojechała dorożką do Sydney, żeby pooglądać sklepy, ale wstrętem napełnili ją ludzie na ulicach.

Milly Forrest, która wciąż uważała się za przyjaciółkę Georginy i nazbyt często ją odwiedzała, podzielała jej oburzenie.

- Więźniowie nienawidzą emigrantów - wyjaśniła. - Nazywają nas

„legalnymi”.

Georgina wzdrygnęła się na to wspomnienie. Nigdy nie myślała o sobie, jako o emigrantce, przez głowę jej to nawet nie przeszło. Milly jednak ciągnęła:

- Powiadają, że to oni zbudowali drogi i budynki bez żadnej zapłaty, a my nie mamy prawa wysiadać sobie ze statku i wszystkiego brać za darmo.

Co za bzdura! pomyślała Georgina i ogarnął ją gniew. Ciekawe, jak zareagowałby Jasin, gdyby nazwano go emigrantem. W rezultacie jednak, jeśli rzeczywiście pozostaną w kolonii, a wyglądało na to, że Jasin taką decyzję podjął, to będą emigrantami.

Napisała do męża, gdziekolwiek był, że jej sytuacja finansowa jest rozpaczliwa. W imieniu Cormacków pod ich nieobecność Georgina uzyskała kredyt w sklepach i uregulowała kilka należności,

223

ponieważ jednak mieszkała w ich domu, musiała też wyżywić służbę. A to nie były małe koszty. Mleczarz, rzeźnik i sklepikarz budzili w niej przerażenie. Gdyby nie Tess, przebiegła pokojówka Cormacków, z całą pewnością osobiście domagaliby się od niej pieniędzy.

Wzburzył ją taki tupet.

- Czy oni nie wiedzą, kim jestem? - zwróciła się do Tess. Pokojówka spojrzała na nią ze smutkiem.

- Madame, jeśli wolno mi tak powiedzieć, ich to nic nie obchodzi.

Do końca swoich dni Georgina zapamięta szok, z jakim przyjęła tę odpowiedź. I nie chodziło tylko o samą reakcję na słowa, ale o nagłe uświadomienie sobie własnej bezbronności w tym kraju, gdzie przestały chronić ją koligacje i tytuł. Zdała sobie sprawę, że jeśli ma tu pozostać,

musi przystosować się do zupełnie innej sytuacji. Jeśli oczywiście zostanie, bo wraz z każdym mijającym dniem ogarniała ją coraz większa pokusa, by wrócić do Anglii.

Tego wieczoru przy samotnej kolacji wypłała całą butelkę wina. Spędziła wiele czasu w piwniczce Cormacków, szukając najlepszego gatunku, i wybrała dobry francuski trunek.

Heselwood wyjechał pięć miesięcy temu. Georgina wstała, by nalać sobie następny kieliszek, i ze zdumieniem stwierdziła, że srebrna karafka jest pusta. Nie mogła o tej porze schodzić do piwniczki, w kuchni siedziały służące, a z drugiej strony, jeśli miała jeszcze ochotę na wino, nie było powodu, żeby z niego rezygnować.

Pociągnęła za dzwonek. Do jadalni weszła Tess.

- Proszę napęlnić karafkę takim samym winem.

- Tak, madame.

Kiedy Tess przyniosła wino do jadalni, dziecko zaczęło płakać.

- Proszę skończyć kolację, madame, ja zajmę się Edwardem - powiedziała i Georgina poczuła wobec niej wdzięczność. Od wielu dni synek był po prostu nieznośny.

Zwróciła się do pustego krzesła na drugim końcu stołu.

- Nie zgodzę się dłużej na to osamotnienie, Heselwood. Albo pojedę z tobą na wieś, albo zabieram dziecko i wracam do Londynu. Nie mogę nawet napisać rodzicom, gdzie jesteś. To nie może dłużej trwać...

224

Głośne walenie we frontowe drzwi przerwało ten monolog. Dziwna pora na wizyty, pomyślała. Kołatanie się powtórzyło i Georgina czekała, aż któraś ze służących pójdzie otworzyć. Wreszcie na marmurowej posadzce

holu rozległy się energiczne kroki i w progu stanął brodaty mężczyzna w zakurzonej pelerynie.

Georgina wstała.

- Sir! - A potem przyjrzała mu się uważniej. - Boże w niebiesiech! To ty, Heselwood!

Rano zaczęli się kłócić. Przez cały czas spędzony w buszu Jasin myślał z żalem o wygodach tego domu i o tym, jakie szczęście ma Georgina, że tu mieszka. Irytowało go, że po powrocie musi wysłuchiwać jej narzekań.

- Doceniam to, co osiągnąłeś, Jasinie - powiedziała - ale skoro mamy teraz ziemię, chcę tam mieszkać i od nikogo nie być zależna.

- Spróbuj sobie wyobrazić, jakie prymitywne warunki tam panują, Georgino. To nie jest miejsce dla kobiety.

- Ale będzie, Jasinie. Pojawią się inni osadnicy. I zbudujesz tam nasz dom. Chcę, żeby zbudowano go według moich życzeń. Nie zostawię decyzji w rękach jakiegoś cieśli skazańca.

- A gdzie będziesz spała, nim dom zostanie ukończony? Pod drzewem jak Ewa? To nie jest ogród rajski ani miejsce dla kobiety. Zostajesz w Sydney.

- W takim razie zabieram Edwarda i wracam do Londynu pierwszym statkiem.

- Wykluczone. Mój syn zostanie ze mną.

- Jak to? Sam mówiłeś, że twoja następna wizyta na farmie może potrwać pół roku.

Jasin westchnął.

- Będzie tyle trwała, ponieważ muszę zbudować dom i zorganizować farmę. Czeka mnie mnóstwo roboty.

- Oczywiście, a ja będę ci pomagać. To ci oszczędzi podróżowania tam i z

powrotem. Chciałabym, żebyś przestał martwić się o mnie, Heselwood. Jestem twoją żoną i moim obowiązkiem jest cię wspierać. Nie życzę sobie, żeby mnie traktowano jak cieplarniany kwiat. - Georgina wiedziała, że w końcu go przekona, zmieniła więc temat: - A skoro wróciłeś, musimy zacząć bywać. Nie możemy stracić pozycji, jaką mamy w tutejszym towarzystwie.

225

Następnych kilka miesięcy Heselwoodowie spędzili bardzo miło. Jasin odnowił przyjaźń z gubernatorem Darlingiem i para wicekrólewska pierwsza przyjęła zaproszenie na kolację. Później wielu gości zostawiało swoje bilety wizytowe i wszyscy starali się o zaproszenia na wieczory u Georginy. Ich nazwisko pojawiało się w prasie, a dziennikarze zawsze podkreślali: „ulubieńcy kręgu Darlingów” i relacjonowali wydawane przez nich przyjęcia, powołując się na „anonimowe źródła”. Tymczasem Jasin omówił swoje prawa do ziemi z gubernatorem, który polecił Macleayowi się tym zająć. Otrzymał też spory kredyt od dyrektora banku, bardzo zadowolonego, że umieszczono go na liście gości.

Pogodziwszy się z myślą, że Georgina i dziecko będą mu towarzyszyć, Jasin zaczął z aprobatą myśleć o obecności żony przy swym boku. Będą musieli wybrać sprzęty do domu i zaopatrzyć się w zapasy, które załadują na wozy zaprzężone w woły. Jasin umówił się w Bathurst z Lance'em i jego poganiaczami, że wyśle ich przodem z następnym stadem. W Bathurst też zbierze robotników potrzebnych na farmie. Próbował przekonać Georginę, że powinna do Newcastle popłynąć statkiem i dopiero stamtąd ruszyć w głąb lądu. Na początku nie chciała o tym słyszeć. Czytała o zatonięciu „Mandalay”, co po rejsie „Emmą Jane” rozstrzygnęło dla niej tę



kwestię.

- Szanowna pani, nie możesz towarzyszyć mi przy stadzie, to wykluczone, a skoro nie chcesz płynąć do Newcastle i nie masz skrzydeł, zostajesz w Sydney...

- W takim razie płynę statkiem. Odważnie stawię czoło żywiołom - uśmiechnęła się Georgina. Uważała, że ostatnimi czasy mąż wygląda uroczo z dłuższymi włosami i ogorzałą twarzą jak u pirata. Był teraz silniejszy, bardziej agresywny. Dopilnuje, żeby wieczorem podano jego ulubione potrawy i żeby nikt im nie przeszkadzał, a po kolacji wcześniej udadzą się na spoczynek. Przez ten długi okres spędzony samotnie odkryła w sobie pragnienie, by mąż wrócił do jej łóżka. Przedtem była to dla niej oczywistość i rzadko zachęcała go do pieszczot. Dzisiaj, postanowiła Georgina, przygotuję się starannie. Wezmę kąpiel, umyję włosy i włożę niebieską suknię z dekoltem.

Pamiętała, jak po przyjeździe z Camdena Jasin, obejmując ją we śnie, mruzczał imię innej kobiety. Nie pozwoli, żeby znowu

226

zniknął na pół roku albo dłużej. Następnym razem mógłby zapomnieć wrócić do domu.

Przygotowania do wyjazdu szły jak po maśle aż do pewnego poranka, kiedy do drzwi zapukali Milly i Dermott Forrestowie. Zirytowana, że złożyli wizytę bez zapowiedzi, Georgina kazała Jasinowi pozbyć się ich szybko, była bowiem zajęta organizowaniem lunchu, który tego dnia wydawała, kiedy jednak wpadła do salonu, żeby zamienić kilka grzecznych słów, stwierdziła, że Forrestom ani w głowie się żegnać.

- Widzę, że prowadzicie bujne życie towarzyskie - stwierdziła Milly

naburmuszona.

- Tak - odparła z udanym znudzeniem Georgina. - Od powrotu Heselwooda odwiedzają nas absolutnie wszyscy. To bardzo męczące.

- Zauważyłam też, że nie zaprosiłaś nas na żadne z twoich przyjęć - ciągnęła Milly. Dermott zaczerwienił się jak burak.

Jasin ujął odzianą w rękawiczkę dłoń Milly.

- Moja droga Milly, wczoraj wieczorem mówiłem Georginie: „Musimy kiedyś zaprosić Forrestów na kolację, taką tylko dla nas czworga.” To miejsce - wzruszył ramionami - nie nadaje się do urządzania przyjęć, do których jesteśmy przyzwyczajeni, toteż radzi nieradzi musimy ograniczać liczbę gości.

- Przyjaźniliśmy się z wami, zanim poznaliście tych ludzi - odparła Milly - i nie rozumiem, dlaczego nie mamy być pierwsi na liście gości.

Georgina, wstrząśnięta prostactwem Milly, uśmiechała się nieznacznie, nic jednak nie powiedziała. Zauważyła, że Jasin otworzył usta jak ryba.

Dermott zakaszłał nerwowo, przygotowując się do udziału w rozmowie.

- Ach, Milly, pan Heselwood przed chwilą powiedział, że zaproszą nas na kolację we czworo. To będzie o wiele lepsze niż siedzenie z bandą nieznajomych. Nie mam racji, dziewczuszko?

Milly prychnęła i tupnęła.

- Chyba tak. A teraz, Dermott, powiedz Jasinowi, w jakiej sprawie przyszedłeś.

Jasin skorzystał z okazji.

- Tak, Dermocie. Czym mogę ci służyć? Chciałem spotkać się z tobą, jak tylko znajdę wolną chwilę, i opowiedzieć ci o tym

strasznym spędzie bydła. Naszego kucharza przebili włócznią czarni. Inny gość, spotkałeś go, ten szubrawiec Pelham, próbował mnie zastrzelić i uciekł z setką najlepszego bydła. O mało nie utonąłem w rzece, przez wiele dni jechałem przez burzę piaskową bez kropli wody. Koszmar. Doprawdy miałem szczęście, że uszedłem z życiem. - I mówił dalej, koloryzując swoje przeżycia i podkreślając, na jakie ryzyko i koszta się narażał.

Dermott słuchał z otwartymi ustami, Milly natomiast skorzystała z okazji, by rozejrzeć się po salonie. W trakcie swoich poprzednich wizyt przyjmowana była w małym pokoju dziennym, a Georgina nie należała do osób, które oprowadzają gości po domu. Milly wbrew krytycznej opinii Jasina o domu uznała, że pokój jest ładny, przypuszczała jednak, że dla Heselwoodów, którzy wychowali się w zamkach, to musi być rodzaj degradacji. Salon, o czym na pewno nie omieszka wspomnieć Bess, był wielki jak cały dom bratowej. Marmurowe podłogi przykrywały ogromne dywany, meble były sztywne i niewygodne. Krzesła na wysoki połysk, obite zieloną jedwabną tapicerką, stały daleko od stołu. Milly wciąż balansowała filiżanką ze spodkiem na kolanie, za to Dermott postawił swoją na podłodze. Posiadanie takiego pokoju wydawało się pozbawione sensu, ponieważ jednak w towarzystwie każdy miał salon, Milly zdecydowała, że kiedy zbudują własny dom, także go będą mieć. Te wspaniałe plany przypomniały jej o ich obecnym położeniu.

Wciąż dzielili dom z Bess i Fredem. Braciom współpraca układała się dobrze, za to nastroje żon pogarszały się z dnia na dzień. Milly uważała, że Bess jest nudna, Bess narzekała, że Milly zadziera nosa.

- Dwie gospodynie w jednym domu muszą być powodem drobnych tarć -

powiedział kiedyś Fred.

- Ja jestem panią domu, ona jest gościem - poprawiła go Bess.

Ambicją Milly było posiadanie pięknego domu i Dermott przyrzekł, że będą taki mieć, ale całą wolną gotówkę zainwestował w spółkę z Jasinem. Budowę trzeba było odłożyć. Milly wciąż nie żałowała transakcji, ceniła sobie bowiem dobre stosunki z Heselwoodami.

Jasin tymczasem opowiedział, jak stracił wspaniałego konia Prince'a Blue, i Milly zaczynała się niecierpliwić. Jej mąż siedział z nieszczęśliwą miną krowy, którą zapomniano wydoić. A przecież

228

przyszedł rozmawiać o interesach, przerwała więc Jasinowi, przez co ominęła ją najgorętsza plotka dnia: informacja o miejscu pobytu Adelaide Brooks.

- Wybacz, Jasinie. Powiedziałeś, że lada chwila spodziewasz się gości.

Opowiesz nam o tym, jak przyjdziemy na kolację. Teraz Dermott chciałby porozmawiać o interesach.

- Naturalnie. Dermocie, jeśli niepokoiło cię bezpieczeństwo stada podczas moich przygód, to niepotrzebnie. Dostarczyłem wszystkie zwierzęta całe i zdrowe na miejsce, to jest na dzikie równiny Liverpool Plains.

Dermott skręcał brązowe rękawiczki, które Milly kazała mu włożyć.

- Wiem, panie Heselwood. To z pana strony była wielka odwaga, ale chciałem porozmawiać o naszej inwestycji...

- Inwestycja jest bezpieczna. Nie możesz spodziewać się zysków wcześniej niż za rok, uprzedzałem cię przecież. Stado musi teraz pozostać na farmie, żeby mogło się rozmnożyć, a w przyszłym roku część wystawię

na sprzedaż. Natychmiast po zawarciu transakcji dopilnuję, żeby wypłacono ci odsetki od twoich pieniędzy. Ja ryzykuję zdrowie i życie. Jasin sądził, że ujął to dobrze. Forrestowi przypadną zyski z zainwestowanych pieniędzy. Nie ma potrzeby informować szewca o najwyższej cenie za wołowinę. Skromne odsetki w zupełności wystarczą skromnemu człowiekowi.

- Wiem, panie Heselwood, ale jest druga część.

- Jaka druga część?

- Kiedyśmy się umawiali, powiedział pan, że my też będziemy osadnikami, że będziemy współwłaścicielami ziemi.

Jasin wyrzucił ramiona w górę.

- O Boże! O to ci chodzi! Wydaje mi się, że minęły lata, odkąd wyruszyłem w dzicz. Wszystkich nas trochę poniosło, kiedy sądziliśmy, że na tamtejszej marnej ziemi będziemy mogli zbudować drugie Camden. Człowiek nie wiedział, o czym mówi.

- Ja wiedziałem - oznajmił Dermott.

Czarne oczka Milly biegały od jednego do drugiego. Georgina zadzwoniła po Tess i poleciła jej zabrać filiżanki.

- Kiedy wkładałem w to przedsięwzięcie pieniądze - podjął Dermott - nie liczyłem wyłącznie na zysk. Mogłem go mieć tutaj, pożyczając przez jakiegokolwiek prawnika, ale pan powiedział, że będziemy współnikami, współwłaścicielami ziemi. I o tej

229

ziemi chciałbym czegoś więcej się dowiedzieć. - Wyciągnął z kieszeni kamizelki pogniecioną mapę i podszedł do jednego z małych okrągłych stolików. - Panie Heselwood, proszę mi pokazać, gdzie jest nasza ziemia.

- Mój drogi przyjacielu, jesteś tak naiwny w sprawie ziemi, jak byłem ja. Patrz, tutaj są granice osiedlenia. Widzę, że zaznaczono je na mapie. Dobrze. Nasze bydło jest na tej równinie, o, mniej więcej tu, puszczone zupełnie swobodnie, bo jak okiem sięgnąć nie ma tam płotu. Zostawiłem dwóch traperów, żeby mieli na nie oko. - Jasin pilnował się, żeby nie wspomnieć o MacNamarze, który mógł im wszystko o tej posiadłości powiedzieć i zrobiłby to, gdyby tylko miał okazję. - Musicie zrozumieć... Przebywanie tam jest nielegalne. Gubernator nie uzna praw do tej ziemi, dopóki nie zostanie wymierzona przez jego geodetów. Na razie mamy tylko bezpłatne pastwisko dla naszego bydła.

- Więc po co wydaliśmy tyle pieniędzy, a ty o mało nie straciłeś życia, pędząc tam bydło? - zapytała Milly ostro, nie pozwalając, by ten punkt umknął ich uwadze.

- A gdzie indziej mieliśmy je wypasać? - roześmiał się Jasin. - Ale musimy czekać, aż gubernator łaskawie zajmie się tymi terenami. Dermott usiłował pojąć sens słów Jasina.

- Inni ludzie tak robią. Dlatego nazywa się ich osadnikami. Dlaczego my nie możemy?

- Bo nie chcemy robić niczego niezgodnego z prawem, żeby po udostępnieniu tamtych terenów nie przekonać się, że trzymamy w dłoni pusty worek. Na twoim miejscu zapomniałbym o ziemi i skupiłbym się na warsztatach. Georgina mówiła mi, że doskonale sobie radzisz.

- To prawda. Ale nie mogę zapomnieć o ziemi, panie Heselwood, i pan też nie może. Taką zawarliśmy umowę. Myślałem, że podjął pan tę wyprawę, bo słyszał pan o nielegalnych przejęciach. Kiedy pan tam wróci, niech pan i tak wytyczy granice. Sytuacją prawną będziemy się martwić później.

Zgodnie z naszą umową jesteśmy współnikami i każda działka, do której zgłosi pan prawo, w połowie należy do mnie. Jestem rozczarowany. - Schował mapę do kieszeni. - Chciałem pokazać Milly, gdzie jest nasza ziemia. - Ujął żonę za rękę. - Nie szkodzi, kochanie, pan Heselwood zrobi to następnym razem. Problem z panem, panie Heselwood, polega na tym, że wychowano pana w przekonaniu,

230

iz należy postępować zgodnie z prawem, a tutaj to się nie sprawdza. Tutaj kto pierwszy, ten lepszy. - Po tej długiej przemowie Dermott ciepło uścisnął współnikowi dłoń. - Niech się pan tym nie przejmuj. Wykonał pan świetną robotę, a na razie nie jest za późno, żeby wyznaczyć działkę. Pani Heselwood, miło było panią widzieć. Gratuluję synka. Pewnego dnia własnoręcznie zrobię mu pierwsze siodło.

Gdy wychodzili, Milly jeszcze raz przyjrzała się Georginie, która miała na sobie spódnicę z popielatej serży, białą satynową bluzkę i pojedynczy sznur bursztynów na szyi. Strój był prosty, a równocześnie wyglądał na kosztowny, i Milly zastanawiała się, jak taki efekt osiągnęła. Jasin był w dobrym nastroju. Odprowadził gości do furtki ścieżką między lwimi paszczami i makami, które rosły przy gęstym żywopłocie.

- Oni naprawdę sądzą, że są właścicielami połowy naszej ziemi? - zapytała Georgina, kiedy Jasin wrócił.

- Na to wygląda. Muszę przejrzeć umowę. Nie pamiętam dokładnie, jak ją sformułowano.

Georgina podała mu akta.

- Pomyślałam, że będziesz chciał jeszcze raz je przestudiować.

- Nie, nie w tej chwili. Zabierz je, to straszna nuda. Jego żona zaczęła

czytać jednostronicowy dokument.

- Tutaj to jest. Punkt piąty. I ty to podpisałeś.
- Nie podpisałem tego, podpisałem się na dole strony.
- Cóż, to jeden z warunków, ale oni na pewno nie będą tego od ciebie wymagać po tym wszystkim, co przeszedłeś, żeby znaleźć i wymierzyć posiadłość. I nie możemy przyjąć ich na kolacji, zanadto jesteśmy zajęci. Nie potrafię uwierzyć, że ich zaprosiłeś, Jasinie.
- A jakie miałem wyjście? Ta kobieta mnie do tego zmusiła!
- Ona tak myśli, ale się myli. Nie będzie żadnej kolacji.
- Dobry Boże! Śmiertelnie się obrażą. Georgina odłożyła umowę do sekretarzyka.
- I co z tego? Według mnie to doskonale się składa, a jak oddasz dług, raz na zawsze się ich pozbędziemy. Dlaczego nie możesz zrobić tego teraz?
- Pieniądze, które dostałem z banku, są mi potrzebne na wydatki, zakup bydła i sprzętu, pensje dla poganiaczy, budowę domu. Nie będziemy zaciskać pasa ze względu na nich. A przy

231

okazji, słyszałem plotki, że naszemu przyjacielowi gubernatorowi Darlingowi grozi dymisja.

- Dlaczego? Co takiego zrobił?
- Naraził się właściwie wszystkim. Obraził Macarthur'a i „wyłącznych”, rozgniewał Wentworth'a i „radykałów”. Między innymi próbował nałożyć kaganiec gazecie Wentworth'a, „Australianowi”. Ale mnie to nie martwi, ponieważ naszym podaniem zajmuje się Macleay, tak więc decyzja zostanie wydana niezależnie od tego, czy Darling odejdzie czy zostanie. To tylko formalność. W chwili gdy granice zostaną przesunięte, ziemia



oficjalnie będzie należeć do nas.

- Cudownie. Musimy nazwać posiadłość. Zastanawiałeś się nad tym?

- Przez całą drogę powrotną do Sydney wymyślałem setki nazw, ale nie potrafiłem się zdecydować.

- A co powiesz na Carlton Park? To zadowoliłoby króla. Kiedy ochrzcimy posiadłość, musimy poprosić twojego ojca, żeby wspomniał o tym jego królewskiej mości.

- Doskonały pomysł. Nazwa brzmi: Carlton Park.

ROZDZIAŁ Dwudziesty Szósty.

W codziennej rutynie hotelu Nelson Dolour Callinan odnalazła spokój, którego potrzebowała, by odzyskać siły. Z natury lubiła samotność i ostatnie lata były dla niej straszną męką, począwszy od zatłoczonego więzienia w Dublinie, przez koszmarny warunki na statku, skończywszy na Manufakturze Kobiecej w Parramacie. W Camdenie panował spokój, ale zburzył go Jasin. Wciąż miała pretensje do siebie, że była taka głupia i na powrót wylądowała w manufakturze, gdzie ta stara wiedźma Meg jeszcze wszystko utrudniła.

Po ataku na Florę Meg ostrzegła inne kobiety.

- Trzymajcie się od niej z daleka, to bękart Tuathy.

- Nieprawda - powiedziała wtedy Dolour. - Ona była moją babką.

A Meg wrzasnęła jak sowa i uciekła do swojego kąta sali sypialnej. Dolour słyszała szepty kobiet i szukała pocieszenia,

232

wspominając noce, kiedy siedziała przy palenisku i słuchała magicznych opowieści babki. Usiłowała przypomnieć sobie twarz staruszki, która była jej jedyną przyjaciółką.

W wiosce powiadano, że Tuatha jest czarownicą, ale nikt nie ważył się wypróbować jej mocy, nawet ksiądz. Dolour pamiętała dzień, kiedy zgarbiony wszedł do chatki.

- Oddaj nam dziewczynę - zażądał, ale Tuatha się nie zgodziła.
- Nie jest jeszcze gotowa.

Tuatha opowiadała wnuczce o ludziach uprawiających magię, bo czyż sama nie była w prostej linii potomkinią Dany z druidów, ludzi, którzy wiedzieli, uprzywilejowanych ludzi? A Dolour słuchała, przytulona do łagodnych kóz, z którymi spała dla ich ciepła.

Tego dnia w hotelu Nelson nie było nikogo. Bary zamknięto, wszyscy poszli świętować. To był wielki dzień w kolonii, urodziny króla. Dolour wymówiła się bólem gardła i głowy, a Katrin Boundy pozwoliła jej zostać w hotelu, zadowolona, że ktoś będzie w budynku, jako że była to dobra pora dla złodziei.

- Oczywiście możesz zostać. Ale dokładnie posprzątaj pokoje na górze. W moim też by się przydało pozamiatać i odkurzyć...

Czasami Katrin zastanawiała się nad kompetencją ludzi kierujących Manufakturą Kobiecą. Dziewczęta, które przychodziły stamtąd z doskonałą opinią, okazywały się niechlujnymi obibokami, a Dolour ze swoją złą reputacją pracowała bardzo dobrze. Była też świetnie wyszkolona. Katrin nie pojmowała, dlaczego dziewczyna uciekła od Macarthurów, wszyscy mówili, że sprawiedliwie traktują więźniów. Jednakże Dolour nigdy nie opowiadała o Camdenie.

Katrin wręczyła jej klucze.

- Nikomu nie podawaj alkoholu, bo stracę licencję. Wszystkie bary są zamknięte ze względu na święto - powiedziała, po czym z personelem,

gośćmi hotelowymi i kilkoma stałymi bywalcami wsiadła do konnego omnibusu.

Dolour patrzyła, jak odjeżdżają omnibusem udekorowanym czerwonymi, białymi i niebieskimi wstęgami. Konie kroczyły dumnie, grzywy miały splecione, na karkach girlandy patriotycznych rozet. Bez żalu pomachała podekscytowanym pasażerom. Cały dzień tylko dla siebie!

233

Gardło momentalnie zostało uleczone, a ból głowy ustąpił. Radosna jak skowronek dziewczyna postanowiła, że raz-dwa uwinie się z pracą, a później na lunch zaparzy sobie herbatę i zje zimne mięso. Pokoje gości były małe, robota szła szybko, za to obszerna sypialnia pani Boundy zabrała jej więcej czasu. Dolour starannie poprzesuwała meble, zamiotła i zaczęła odkurzać naoliwioną szmatką, zirytowana drobiazgami, których pełno było wszędzie. Podeszła do okna, odsunęła story i zapatrzyła się na opustoszałą ulicę. Gdyby Jasin poszedł teraz szukać jej w manufakturze, na nic by się to zdało.

Wzięła srebrną szczotkę do włosów pani Boundy i szesała włosy z twarzy.

- Nie bądź głupia, Dolour Callinan. On nie będzie cię szukał. Już nie. Oszukujesz się nadzieją. Rzucił cię na dobre. Byłaś idiotką, że mu wierzyłaś.

Gniew powrócił i ruszyła po pokoju, sprzątając zawzięcie. Pani Boundy była niechlujną kobietą. Ubrania wisiały na krzesłach i leżały rzucone na dno szafy, szale ozdabiały lustra, a z szuflad, które Dolour pozamykała, wprost się wysypywało. Gotowa do wyjścia, z progu przyglądała się powierzchownemu porządkowi panującemu teraz w pokoju i miała

wrażenie, że coś ją tu zatrzymuje, coś jej mówi, żeby została. Czy cię nie wyuczono na pokojówkę pani domu? Czy to nie byłby wspaniały pomysł, gdyby pani Boundy miała swoją pokojówkę? Nigdy sama nawet by o tym nie pomyślała, nie urodziła się na panią. Dolour zabrała się do pracy.

Kiedy Katrin po powrocie z wyścigów weszła do swojego pokoju, stanęła zdumiona. Meble zostały tak przestawione, że wydawał się bardziej przestronny. Ubrania w szafie wisiały w schludnych rzędach, pod nimi stały buty. Wszystkie szuflady opróżniono i wyczyszczono, rzeczy posortowano i starannie poskładano. Cały pokój błyszczał, bukiet jasnych róż z pierzastymi paprociami odbijał się w lustrze na toalecie.

- Mickey! - zawołała przechylona przez balustradę. - Przyślij do mnie Dolour.

Dziewczyna przybiegła, bujne rudy włosy miała związane wstążką w patriotycznych barwach. Katrin otworzyła szeroko drzwi.

- Kto to zrobił?

234

- Ja, madame. Mam nadzieję, że to pani nie przeszkadza. Nie miałam nic do roboty.

Katrin obeszła pokój, zaglądając do szaf i szuflad, wdychając zapach róż.

- Dziękuję, Dolour. Miło, że ktoś dla odmiany zrobił coś, o co go nie proszono.

- Lubię to robić, madame. W Dublinie byłam pokojówką pani domu. A ona nigdy nie była tak zajęta jak pani, ani chwili dla siebie.

- Tak - mruknęła Katrin. - To przyjemna niespodzianka. Dolour odeszła. Na razie to powinno wystarczyć.

Katrin naląła sobie wina z karafki z ciętego szkła, obecnie wolnej od

kurzu. Dolour miała rację. Od śmierci Boundy'ego nie miała czasu pomyśleć o sobie, sama musiała prowadzić hotel. Może to dobry pomysł wziąć Dolour na górę, żeby zajmowała się ubraniami i dbała o porządek w pokoju. To by zaoszczędziło mnóstwo czasu. Ostatnio ubieranie się oznaczało grzebanie w szufladach w poszukiwaniu rzeczy, które do siebie by pasowały i zostały wyprasowane, wyciąganie sukien ze stosu i rzucanie ich tam z powrotem.

Musiała jednak przemyśleć inne sprawy. Propozycja Pace'a MacNamary, żeby zakupiła ziemię graniczącą z jego, była doprawdy interesująca. Z pewnością nie chodzi wyłącznie o interesy... Miło wiedzieć, że należy do nielicznej grupki przyjaciół, których Pace ma w kolonii. To dodało jej otuchy, postanowiła, że jutro zdobędzie mapę i sprawdzi, jak daleko ta ziemia się znajduje.

Z dołu wołali ją przyjaciele. Zaprosiła ich na lampkę szampana i kolację, ale sądząc z odgłosów, więcej pili, niż jedli. To byli sympatyczni i weseli ludzie, żaden jednak nie mógł zaspokoić jej potrzeb. A ona nie chciała do końca życia prowadzić hotelu i baru. Pragnęła własnego domu i męża. I zastanawiała się, jak wyglądałoby jej życie na farmie położonej daleko na zachodzie.

CZEŚĆ DZIEWIĄTA.

Osadnicy.

ROZDZIAŁ Dwudziesty Siódmy.

Pace MacNamara stał w płynącym niemrawo strumyku i polewał się wodą. To był długi upalny dzień. Nad nim krakały kruki, siedzące żalobnymi trójkami na uschłych białych drzewach; ich połyskliwe pióra wyglądały jak czarna trzcina, a w oczach malowała się cierpliwość Hioba

bez jego poczucia winy. Pace nie cierpiał kruków. Wydziobywały oczy kalekim bezbronnym zwierzętom i płoszyły konie.

Ostry gwizd powiedział mu, że Snow przygotował jedzenie. Wszedł ze strumienia i wciągnął spodnie na mokre ciało, bo w ten sposób dłużej będzie mu chłodno, wziął broń i przez zarośla ruszył do obozu.

Przez wiele tygodni rąbali twarde drewno i solidnymi podwójnymi płotami ogradzali przydomowe pastwiska - Pace nie mógł się już doczekać, kiedy zakończą tę pracę. Kopanie dziur pod słupy i karczowanie buszu było najcięższą robotą, jaką w życiu wykonywał. Powiódł wzrokiem po wyschniętej okolicy.

- Ziemia tu wygląda na tak samo zmęczoną jak ja. Można by pomyśleć, że te drzewa gumowe złamie byle podmuch.

- Są o wiele mocniejsze - odparł Snow, podając mu talerz wołowego gulaszu.

- Gdzie jest Clarrie?

- Tropi dzikie konie. Myśli, że stado kryje się w małej dolinie na wschodzie, i lubi mieć je na oku. Chcesz jutro się im przyjrzeć?

- Chętnie kilka bym złapał.

- Możemy tak zrobić, jeśli zbudujesz porządną zagrodę. Pace jęknął.

237

- Jak będę miał ziemię, budowę płotu zlecę pierwszemu, który się na to zgodzi. Nie można złapać tych koni na linę?

- Nie, trzeba zapędzić je w pułapkę, są za sprytnie. I podejrzliwe.

Ogrodzenie musi być mocniejsze od więziennych murów, bo ogier pogoni na nie klacze. Nie obchodzi go, czy się zranią, byle tylko go uwolniły. A te dranie klękają i rozbijają ogrodzenie.

- Żartujesz?

- Wcale nie. Zapędzenie ich w pułapkę to prawdziwa sztuka. Odcięcie im drogi do wodopoju jest dość podłym, ale skutecznym sposobem, jeśli jesteś cierpliwy. Będą kręciły się w pobliżu przez wiele dni, wiedząc, że to pułapka, aż w końcu pragnienie okaże się silniejsze.

Snow pyknął z fajki, a Pace usiadł wygodnie. Lubił słuchać, jak ci starcy opowiadają o buszu. Byli bez wieku, jakby na podobieństwo tej ziemi nie zbliżali się do starości, lecz od niej cofali. Starzy ludzie, których Pace pamiętał z rodzinnej wioski, oczekiwali, że czas ich pokona, ci dwaj natomiast byli twardzi, zręczni i doskonale trzymali się w siodle. Mieli w sobie energię zaprzeczającą ich latom, oczy błyszczące i czujne.

- Kiedyś złapałem wielkiego ogiera - mówił Snow. - Myślałem, że odwaliłem kawał dobrej roboty, bo złapałem go na linę i przywiązałem do drzewa, żeby się uspokoił, ale on wierzgał i rżał, i nikt nie odważył się ku niemu zbliżyć. Skończyło się na tym, że się udusił. Padł na ziemię, a z pyska wciąż ciekła mu piana. Podeszliśmy zatem do niego, sprawdziliśmy, że boki ma płaskie, i byliśmy pewni, że zdechł. Ale on tylko udawał martwego, jak jaszczurka. Lina wbiła mu się w kark, więc ją przeciąłem, i w tej samej chwili zerwał się na nogi i zaczął rzucać na wszystkie strony. Rozpierzchliliśmy się i powiadam ci, byłby nas pozabijał, gdyby miał okazję. A potem uciekł. Widywałem go często, ale już nie próbowałem łapać. Piekielnik był dla mnie za dobry.

- Trudno uwierzyć, że są tu konie, które można brać. To byłby niezły dodatkowy interes - stwierdził Pace.

- Powiem ci o lepszym interesie, chłopcze. Pojechałem na działkę, którą wytyczyłeś. Masz tam piękne czerwone cedry. Warte fortunę. Zawsze

wypatruj dobrego drewna, naucz się tego. Szkoda, że tutejsze rzeki nie płyną do morza, bo drewno trzeba przewozić lądem, ale warto się tym zająć. Wynajmij platformy z wołami, zatrudnij paru drwali i już masz interes.

238

Pace się roześmiał.

- A ja tu martwię się o las na mojej ziemi, bo nie mam pojęcia, jak go wykarczować, i zazdroszczę Heselwoodowi, że jego działka jest pusta.

- Tak, jest sprawiedliwość na tym świecie - uśmiechnął się Snow. - A przy okazji, co z szefem? Myślisz, że zdejmie cię z haczyka?

- To szczwany lis. Nie zrobi tego, jeśli nikt go nie przymusi. Na razie nie powiemy mu o moich działkach. Dostanie konwulsji, jak zobaczy, że przypisany do niego służący wziął więcej ziemi niż on.

Snow wstał i poprawił polana w ognisku.

- Oto i Clarrie. Ktoś z nim jest.

- Któż to może być? - zdziwił się Pace, ale Snow pokręcił głową.

- Za daleko, nie widzę dokładnie. A, czekaj, to jeden z synów McPhiego.

Każe im nosić czerwone koszule, na wypadek gdyby zabłądzili w buszu. I prowadzi jucznego konia. Najwyższy czas, do diabła. Kończą się nam zapasy.

Młody Jock McPhie był mile witany gościem. Tym razem przywiózł też trochę rumu, kilka starych gazet i drogocenne warzywa, które hodowała jego matka. No i dwa listy do Pace'a. Pierwszy, od Heselwooda, Pace odczytał na głos. Heselwood wysyłał wozy ze sprzętem i zapasami, sam zaś zamierzał przyprowadzić następne stado. Wszystko to było bardzo interesujące, ale nie miało wpływu na ich obecną sytuację.



Drugi list napisała Katrin Boundy. Entuzjastycznie przyjęła propozycję kupna ziemi i gotowa była przyjechać do Newcastle, żeby sprawę przedyskutować.

Pace z uśmiechem włożył list do kieszeni. Wszystko układało się dobrze. Sprzeda pani Boundy ziemię, ona za kilka lat będzie miała z niej zyski, a jemu pieniądze wystarczą na założenie hodowli bydła.

- Wieczorem odpiszę na ten list - powiedział do Jocka. - Weźmiesz go ze sobą rano?

- Jasne, panie MacNamara. Tata przesyła pozdrowienia. Mieliście tu kłopoty z czarnymi?

- Nie.

- W naszych stronach były poważne kłopoty. Czarni zabijają owce i bydło, dwóch oborowych zginęło od włóczni. Przyszli

239

żołnierze, żeby dowiedzieć się, kto zabił tego waszego kucharza, i zaczęli strzelać po całej okolicy. Zabili kilku czarnych maszerujących przez farmę Stanton, to na południowy zachód od nas, i stary Stanton jednego z tych zabitych obdarł ze skóry, wypchał i powiesił na drzewie, żeby odstraszyć innych. Clarrie okręcił się na pięcie.

- Co zrobił?

- Mówiłem. Powiesił go jak stracha na wróble.

- Cholerny łajdak. Mam nadzieję, że czarni go dopadną.

- Oby nie, Clarrie. Czarni to nic dobrego. Pewnie słyszałeś, co robią białym kobietom.

- Brednie wygadujesz, ty cholerny... - Clarrie spurpurowiał z gniewu. - Ile masz lat?

- Chyba osiemnaście.  
- Więc lepiej się obudź.  
- Daj spokój, Clarrie - włączył się Snow, po czym zwrócił się do Pace'a, jakby Jocka z nimi nie było. - Szkoda sobie język strzępić. Tych ludzi wychowano w nienawiści do czarnych. I nie przestają ich nienawidzić, bo nie wychowano ich, żeby sami zaczęli myśleć. Nigdy nie słyszałem, żeby jakiś czarny siłą posiadał białą kobietę. Jak zabijają, to zabijają, kobiety też, bo my zabijamy ich kobiety. Za to ten pętaś, jak tylko będzie umiał to robić, zaraz nad strumieniem zacznie szukać czarnych dziewcząt...  
Jock otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Clarrie mu nie pozwolił.

- Dość się już nagadałeś, teraz zamknij gębę.  
- Przypomniałem sobie - pisnął Jock - że w sakwie mam wiadomość dla pana MacNamary. Jeden ze strażników granicznych przywiózł ją do nas przedwczoraj. - Wyjął pognieciony list i wręczył Pace'owi. - Jest od pani z farmy Chelmsford.

Koperta była zatłuszczona od rąk wielu mężczyzn, którzy rozumieli wagę każdej wiadomości przekazywanej w tej dziczy.

Pace zdumiał się - list napisała Adelaide Brooks.

Szanowny Panie MacNamara,

mam nadzieję, że pamięta mnie Pan z „Emmy Jane”. Wiem od Jasina Heselwooda, że pracuje Pan u niego. Mieszkam na farmie Chelmsford w Hunter Valley i muszę porozmawiać z Panem w nagłej sprawie. Czy może mnie Pan odwiedzić?

\*

240

Adelaide napisała ten list pod wpływem nagłego impulsu. Teraz myślała o

tym z zażenowaniem. Oceniając własne postępowanie, uznała, że przypuszczalnie tęskniła za znajomą twarzą.

W pierwszych miesiącach brzemienności czuła się nie najgorzej i niemal przestała się martwić, że w jej wieku urodzi nieślubne dziecko, teraz wszakże dawne troski powróciły.

Juan był dla niej bardzo dobry, zamawiał wszystko, czego potrzebowała. Wybrał z katalogu kołyskę i urządził wielkie święto, kiedy dostarczono ją na farmę. Jego entuzjazm wywołał wśród całej służby wielkie podniecenie. To miało być wyjątkowe dziecko, dziecko szefa, i wszyscy zapomnieli albo nie dbali o to, że szef nie jest mężem matki. Wszyscy z wyjątkiem Adelaide.

Dora była akuszerką, co uspokajało Adelaide, ale ostatnio czuła się fatalnie, była ociężała i apatyczna, cierpiała ostre bóle pleców i głowy, co z kolei wywołało przygnębienie, nad którym nie potrafiła zapanować.

Zmuszała się do spacerów po farmie, zaglądała do pustych zagród albo siadała w winnicy i udawała, że czyta. Myślała o przyjaciółach w Anglii, o Brooksie, nawet o pannach Higgins. Wtedy też przypomniała sobie Pace'a MacNamare.

Dora zaczynała się o nią martwić.

- Powinna pani iść do doktora, pani Brooks. Chce pani, żebym go tu wezwała?

Adelaide nie zniosłaby, gdyby musiała stanąć twarzą w twarz z nieznajomym i wyjaśniać swoje położenie.

- Oczywiście, że nie. Co doktor mógłby poradzić?

- Nie wiem, ale złagodziłby pani bóle. Po mojemu powinna pani pojechać do szpitala w Newcastle, póki jeszcze jest czas.

Adelaide ze strachu zebrało się na wymioty. Szpital byłby jeszcze gorszy, wszyscy wszystko by o niej wiedzieli. Zdecydowanym ruchem pokręciła głową, niezdolna powstrzymać łzy.

Dora zaprowadziła ją do kuchennego krzesła.

- Proszę siadać, przygotuję pani smaczny napój. Niech się pani tak nie zamartwia, bo to się źle skończy.

Nagle Adelaide zerwała się i wybiegła za szopę. Całym jej ciałem wstrząsały nudności, potem paroksyzmy ustąpiły łkaniem. Dora, która za nią poszła, objęła ją. Obok stał smutny Billabill, jego ciemna twarz zmarszczona była z troski.

Przybiegły czarne dziewczyny.

- Co z pani?

241

- Odejdźcie! - krzyknęła na nie Dora. - Pani Brooks, chodźmy, położę panią do łóżka.

Otarła jej twarz gąbką, strzepnęła poduszki, żeby Adelaide było wygodnie, spuściła moskitierę.

- Niech pani teraz zaśnie, pani Brooks, jest pani zmęczona. Na korytarzu złapała Billabilla.

- Wskakuj na konia i jedź do pana Andersona na farmę Big Sal. Powiedz mu, żeby szybko posłał po doktora.

Stary wzdrygnął się.

- Nie ja. Szef kazać zostać tu z panią. On mówić, Billabill zostaje i pilnuje pani.

Dora wybiegła na dwór, ale nigdzie nie było śladu mężczyzn. W całym obejściu, nawet w kuźni, panowała cisza. Wszystkie ręce potrzebne były

przy zbieraniu stada. Dwa konie pasły się w przydomowej zagrodzie, zostawione tu na wszelki wypadek. Dora złapała uzdę i siodło, po czym gwizdnęła na konia.

- Chodź tu! - zawołała Billabilla. - Nie mogę zostawić pani. Wsiadasz na tego przeklętego konia albo idę po strzelbę.

Billabill po sekundzie siedział na siodle.

- Ruszaj! - krzyknęła Dora, klepiąc konia po zadzie.

Pace MacNamara jechał przez równinę z Jockiem McPhiem.

- Pan jest więźniem na przepustce, tak? - zapytał Jock.

- Tak - potwierdził Pace; to było łatwiejsze niż długie wyjaśnienia.

- A co z panem Heselwoodem? Jeśli wróci i pana nie będzie, może pana oddać w ręce policji.

- Nie martwiłbym się tym. Clarrie powie mu, gdzie jestem, a poza tym od razu wrócę.

- Ale łamie pan prawo. W Jerry's Plains jest posterunek policji. Jeśli nie ma pan przepustki, mogą pana złapać. I na pana miejscu, jakbym zobaczył żołnierzy, od razu bym zwiewał!

Przepustka. Pace nie pomyślał o tym.

- Macie pióro i atrament w domu, Jock?

- Jasne, że mamy. Tata naprawdę dobrze pisze.

- W takim razie problem rozwiązany. Napiszę sobie przepustkę, a twój tata będzie świadkiem.

- Nie może pan wypisać sobie przepustki.

- Mogę, jeśli podpiszę się jako Heselwood - wyszczerzył zęby Pace.

242

Wznoszące się w oddali łańcuchy górskie ciągle wyglądały tak samo,

nieważne, jak daleko podróżował, zawsze na horyzoncie widział góry. Jechali teraz szlakiem przecinającym okolicę, przedzierając się przez gęste krzewy porastające skaliste wzgórza. Może i Jock nie ma całkiem dobrze pod sufitem, myślał Pace, ale pewne jak słońce na niebie, że jest tam miejsce na kompas.

Domostwo rodziny McPhie wydawało się opuszczone. Pace i Jock znaleźli jednak panią McPhie, która kopała w ogrodzie warzywnym na tyłach.

- Do diabła, gdzie są wszyscy? - zawołał Jock. Jego matka, ogorzała kobieta o stanowczych oczach, spojrzała na niego groźnie.

- Już ci mówiłam, przestań kłąć! - Odsunęła włosy z twarzy i spuściła fałdy czarnej sukni, które wcześniej podwinęła, żeby nie przeszkadzały jej przy pracy. - Kto to jest?

- Pan MacNamara. Jedzie do Chelmsfordu. Pracuje u pana Heselwooda. Powitała Pace'a zadzierając brodę.

- Możesz spać w baraku. A jak masz lepkie palce, to dla własnego dobra trzymaj je lepiej w kieszeni.

Na podwórzu wałały się pordzewiałe rolnicze sprzęty i śmieci. Kury i kozy pasły się na kępach traw, które dochodziły do tylnych drzwi domu. Pace zerknął do środka. Brudną podłogę pokrywała juta, całość wyglądała równie ponuro jak gospodyni. Heselwood tu nocował. Pewnie musiał świetnie się bawić. Dzięki temu przyzwyczał się do pcheł. Pace odkrył już wcześniej, że to kraina pcheł, ogromnych mrówek, pajaków i węży.

Cieszył się, że nie wspomniał o tym w liście do domu, bo w przeciwnym razie nikt z rodziny nie zdecydowałby się na wyjazd.

- Ci przekłeci bandyci ukradli bydło ojca - powiedziała pani McPhie do syna.

- Ile wzięli?

- Mówił, że ze dwadzieścia sztuk. W dodatku wybrali najlepsze. Razem z chłopcami ruszył za nimi w pościg.

Jock nie krył rozczarowania, że ominęła go zabawa.

- O Jezu! - Spojrzał na Pace'a, jakby to była jego wina. - Gdzie pojechali? Dogonię ich.

Stado różowych kakadu przeleciało im nad głowami, odbijając się pięknie na błękitnie nieba - nawet natura zdawała się

243

drwić z byle jakiego dzieła rąk ludzkich zajmującego skrawek tej ziemi.

Pani McPhie skoczyła po broń i wystrzeliła. Pace był zdumiony, że można strzelić do gromady liczącej setki ptaków i żadnego nie utrafić, ale powstrzymał uśmiech.

Farma Chelmsford, zbudowana wiele lat temu, była przeciwieństwem gospodarstwa rodziny McPhie. Na zboczach pasło się mnóstwo tłustych owiec, a sam dom zauroczył Pace'a. Dwóch konnych wyjechało, by sprawdzić nieznanego.

- Nazywam się Pace MacNamara. Przyjechałem z wizytą do pani Brooks. Czy ona wciąż tu jest?

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

- Tak - odparł jeden z powagą. - Ale niedobrze z nią, biedna pani. Choć może będzie się pan mógł z nią zobaczyć.

Żona nadzorcy zaprowadziła go do salonu.

- Teraz są z nią doktor i pan Rivadavia - wyjaśniła cicho, kręcąc głową.

- Co jej się stało?

- Jest bardzo słaba. Właśnie urodziła ładną dziewczynkę, ale było

mnóstwo kłopotów. Za długo to trwało...

- Doktor Brooks jest przy niej, tak? Dora otworzyła szeroko oczy.

- Doktor Brooks? Chyba dawno się pan nie widział z panią Brooks.

Umarł. Na serce, tak mówiła. Na długo przedtem, zanim tu przyjechała.

Pace miał zamęt w myślach. Urodziła dziecko, ale Brooks nie żyje?

Musiała ponownie wyjść za mąż. Ale dlaczego wciąż się nazywa Brooks?

- To dziecko pana Rivadavii - szepnęła Dora.

- Dobry Boże.

- Okropnie się przejmowała, że bez obrączki na palcu urodzi dziecko.

Mówiłam jej, żeby się tym nie martwiła, ale wiem, że to ją gryzło.

Pace pomyślał o Adelaide, którą znał z „Emmy Jane”, wesołej, pewnej siebie. Jakie nieszczęścia ją spotkały? Był zły na właściciela tej farmy, bo najwyraźniej wykorzystał młodą wdowę. Rozejrzał się po salonie. Meble wyglądały na kosztowne. Ech, ile wody musi jeszcze upłynąć, nim on sam zbuduje i umebluje dom...

244

Drzwi salonu się otworzyły i wszedł doskonale ubrany młody człowiek.

Wyglądał na zatroskanego, ale nawet biorąc wzgląd na tę okoliczność, spotkanie przypominało bardziej konfrontację.

- Jestem Rivadavia.

- MacNamara. To pańska farma czy pańskiego ojca?

- Jestem właścicielem.

- Ach tak. Jak rozumiem, pani Brooks powiła dziecko?

- Tak, córkę.

- To pańska córka?

- Owszem. Ale to chyba nie pańska sprawa.



- Istotnie, chciałbym się jednak zobaczyć z panią Brooks.
- Skąd pan wiedział, że ją tu zastanie?
- Dostałem list.

Rivadavia wzruszył ramionami, usatysfakcjonowany tym wyjaśnieniem.

Otworzył drzwi i wezwał Dorę.

- Zaprowadź tego dżentelmena do pani Brooks. Lekarz właśnie wychodził z sypialni.

- Jak ona się czuje? - zapytał Pace.

- Bardzo źle. Jest pan jej przyjacielem?

- Tak. Przyłączyliśmy się na jednym statku.

- To dobrze. Może pan ją rozweseli, pan Rivadavia zrobił co w jego mocy.

Pace cicho przekroczył próg. Wstrząsnął nim widok kobiety z twarzą zapadłą i szarą na tle białych poduszek.

- Pani Brooks - szepnął - to ja, Pace MacNamara. Adelaide wolno uniosła powieki i Pace wziął ją za rękę. Po jej policzkach potoczyły się łzy, z piersi wydarło łkanie, ale wysiłek okazał się dla niej za wielki. Leżała nieruchomo, ze wzrokiem utkwionym w twarzy gościa.

- No, no - powiedział niezręcznie - wszystko w porządku, ma pani śliczną córeczkę. Musi pani teraz odzyskać siły. Świat jest dobry.

- Nie dla mnie - szepnęła.

- Ach, czuje się pani słabo i to całkiem naturalne. Najtrudniejszą część ma pani za sobą, powinna być pani dumna.

Ona jednak przycisnęła jego dłoń.

- Nie jestem zamężna, Pace. Dziecko nie ma nazwiska.

- Będzie je miało. W tej krainie skazańców pani jest święta, więc proszę

się nie zamartwiać kawałkiem papieru, którego i tak nikt nigdy nie będzie oglądał.

245

Jednakże Adelaide nie dała się pocieszyć, zamknęła oczy, jakby nawet nie chciała wierzyć jego słowom.

Pace gładził ją po włosach, szeptał do niej i trzymał za rękę.

Dora przygotowała dla niego posiłek w kuchni. Był jej za to wdzięczny.

- Dziękuję, pani Doro. Mam nadzieję, że szef nie będzie miał pretensji.

Coś mi się wydaje, że moja wizyta nie przypadła mu do gustu. Dla niego nie jestem dość wytworny.

- Pan Rivadavia jest inny, to Argentyńczyk. Jak go bliżej poznać, to sprawiedliwy szef. Trochę nieprzystępny, ale jest szlachcicem.

- Dla swojej gospodyni nie był nieprzystępny.

- Dla kogo? Pani Brooks? Ona nie była gospodynią, przyjechała z nim, kiedy kupił tę farmę.

- Naprawdę? A gdzie się poznali?

- W Sydney. Zawsze był dla niej bardzo dobry. Kupował jej wszystko, co chciała, i nigdy nie musiała palcem ruszyć, jak nie miała ochoty. - Dora wybiegła i wróciła z dzieckiem. - To Rosa. Niech pan popatrzy na tego kociaczka. Śliczna, prawda?

- Śliczna - przytaknął Pace. - Z pewnością takie słodkie małeństwo może uszczęśliwić matkę.

- Ona jest bardzo słaba, a w takim stanie wszystkie troski wydają się pięćdziesiąt razy większe. To małeństwo karmi czarna mamka. - Dora przytuliła zawiniątko. - Jedno w tym dobre, że pan Rivadavia wcale nie ma zamiaru jej się wypierać, a to majątny człowiek. Niczego jej nie zabraknie.

- Tak długo, jak długo będzie mu to pasować - dodał Pace.

Dora spojrzała na niego ze znużeniem.

- To samo można powiedzieć o każdym dziecku, panie MacNamara.

Przynajmniej Rosa będzie miała dobry start, a to więcej, niż dostaje większość nieszczęsnych żebraków w kolonii. A jeśli pan pozwoli, to powiem, że pani Brooks powinna była jechać do szpitala, ale się nie zgodziła. Pan Rivadavia chciał ją sam tam zawieźć, ale uparła się jak muł. Nie można pomóc ludziom, którzy nie chcą sami sobie pomóc. A teraz ona pragnie tylko śmierci. Bardziej martwi się, co powiedzą ludzie, niż o swoje dziecko.

- Surowo ją pani osądza.

246

- To surowy kraj. Gdyby tylko wiedziała, że ma dobre życie dzięki panu Rivadavii. Traktował ją jak damę.

- Ona jest damą.

- Nie mówiłam, że nie jest. Mówię, że pan Rivadavia był dla niej dobry, a trzeba pamiętać, jaki jest młody i w dodatku przystojny. Nigdy nawet nie patrzy na inne kobiety.

- Wzór cnót - mruknął Pace.

Wieczorem Rivadavia jadł kolację sam, a Pace z robotnikami. Andy zaproponował mu pryczę w baraku, on jednak wolał drzemać na fotelu na werandzie przy kuchni. W środku wciąż paliły się światła. Dora krzątała się, Rivadavia czuwał przy łóżku Adelaide.

- Panie MacNamara! - Dora w szlafroku i szalu stała nad nim, potrząsając go za ramiona. - Ona odeszła. Pan Rivadavia posłał po pana.

Pace niepewnie wszedł do sypialni. W świetle lamp Adelaide wyglądała na

spokojną, klęczący obok niej Rivadavia z twarzą zalaną łzami wydawał się bardzo młody, przestał być pewnym siebie właścicielem farmy.

Pace ukląkł i zaczął na głos się modlić. Zdumiał go widok srebrnego różańca, który Rivadavia przesuwiał w palcach.

Następnego dnia o zachodzie słońca wszyscy robotnicy, także Aborygeni, brali udział w pogrzebie Adelaide Brooks. Rivadavia prowadził kondukt, ale to Pace odczytał modlitwy. Dora płakała cicho, czarne dziewczęta krzyczały, a po lśniących policzkach Billabilla toczyły się wielkie łzy. Nazajutrz rano Pace poszukał Rivadavii, żeby się z nim pożegnać.

- Ruszam w drogę - oznajmił. Rivadavia zdobył się na uprzejmość.

- Dziękuję, że przyjechał pan odwiedzić Dell. Nie powinna była umrzeć.

Winię siebie, że nie skłoniłem jej do pójścia do szpitala.

- Ja też pana winię, choć nie wiem, czy szpital coś by zmienił. Umarła, bo miała złamane serce.

- Pani Brooks przybyła tu z własnego wyboru i pozostała z własnego wyboru. Ludzie nie umierają z powodu złamanego serca.

- A co z dzieckiem?

- Dziecko jest moje. Będę się nim opiekował.

247

- A jakie będzie nosić nazwisko?

- Nazywa się Rosa Rivadavia.

- Nie dla prawa. Najpierw musi pan sporządzić stosowne dokumenty.

- Zrobię to.

- Dlaczego więc nie mógł pan zrobić tego dla jej matki?

- To nie pańska sprawa. Był pan jej przyjacielem, widzi pan, że bardzo ją tutaj szanowano.

- I dlatego umarła szlochając. Aż taka była szczęśliwa? Rivadavia odwrócił się i wszedł do domu, Pace natomiast ruszył na poszukiwania nadzorcy.

- Skoro już tu jestem - powiedział - to równie dobrze mogę pojechać do Newcastle. Wytyczyłem działkę na zachodzie i muszę wypytać, co zrobić, żeby przejąć ją na własność, ale jestem splukany, dopóki nie dostanę pensji. Mógłbyś mi pożyczyć funta?

- Jasne - odparł Andy. - Cieszymy się, żeś odwiedził panią Brooks. Cztery funty ci wystarczą?

Z czterema funtami w kieszeni i prowiantem na drogę w sakwach Pace pojechał na grób Adelaide, by zmówić ostatnią modlitwę, po czym zawrócił konia ku rzece Hunter i pokłusował na południe. W Singleton czekał na niego list od Katrin Boundy. Była w Newcastle, w hotelu Globe. Zostawił konia w stajniach i pośpieszył do portu. Zdążył jeszcze wejść na zatłoczony statek płynący do Newcastle.

Noc przespał na pokładzie, przykryty płótnem, tak jak inni pasażerowie, których nie było stać na kajutę. Po rzece szalał zimny wiatr. Następnego dnia był słoneczny; kiedy podróżujących na pokładzie rozgrzały ciepłe promienie, wrócił im dobry humor. Fryzjer sadzał klientów na zwoju lin, wykorzystując wiatr jako miotłę.

- A pan? - zawołał do Pace'a. - Jeszcze trochę i do tej brody będą potrzebne nożyce postrzygacza.

- Zgoda! - roześmiał się Pace. - Niech mnie pan ostrzyże i przytnie brodę.

- Za dodatkowe trzy pensy ogolę pana.

- Nie, dzięki, przyzwyczałem się do brody.

Kramarze rozłożyli towary na kocach: ubrania, paciorki, grzebienie,

sztuczne szczęki, igły, bawełnę, bele tkanin. Pace kupił

248

koszulę i spodnie, po czym zaczął się targować z tłąstą kobietą o kaftan z owczej skóry.

- Sama żem go uszyła, kochany! - ryknęła głosem, z którego byłby dumny każdy prowadzący licytację. - Nauczyła żem się tego w Londynie.

Dziesięć szylingów za ten piękny strój.

Pace obejrzał kaftan.

- Dam pięć.

- Pięć szylingów? Słyszeliście? A ja żem go uszyła z ulubionego merynosa osadnika.

Widownia wybuchnęła śmiechem. Nic nie sprawiało im większej przyjemności niż „wykiwanie” osadnika.

- Przymierz, kochany. Ciepły jak serce twojej matki. Pace włożył kaftan.

To był najdziwniejszy kaftan, jaki na

sobie miał w życiu, ale leżał dobrze, był ciepły i miły w dotyku, a wysoki kołnierz doskonale chronił przed zimnem panującym na równinach.

- Odpowiednia długość do konnej jazdy! - krzyknęła kobieta. - I patrzcie na niego, pasuje mu jak ulał! No, aniele, dziesięć szylingów. Popatrz na szwy, nigdzie lepszego kaftana nie znajdziesz!

Włączyli się gapie.

- Zapłać jej! - wołali. - To dobry interes.

Pace zgodził się, choć martwiło go, że wydał następne dziesięć szylingów.

Tłusta kobieta uśmiechnęła się i mrugnęła do gapiów.

- Widzicie te jego oczy, wielkie i brązowe! Łamią każde krwawiące serce! Sprzedam ci kaftan za dziewięć szylingów!

Pace nachylił się i ucałował jej spocony policzek.

- Dobra z pani kobieta. Biorę go. Widownia zaklaskała rozradowana.

Katrin Boundy widziała, jak do holu wchodzi wysoki barczysty mężczyzna w baranym kaftanie, i wydało jej się, że to Pace MacNamara, ale pewności nie miała, czarna broda zasłaniała mu pół twarzy. A potem zapytał o coś barmana i rozpoznała miękki irlandzki zaśpiew.

- Pan MacNamara! - zawołała. Odwrócił się, tak zadowolony ze spotkania z nią, że przeszedł ją dreszcz.

- Dostałem pani list, pani Boundy, ale co pani robi tu tak wcześnie?

249

- Och, potrzebowałam wakacji i pomyślałam sobie, że przyjrę się tej ziemi.

- Ona nie jest za drogą i nie jeżdżą tam dyliżanse - roześmiał się. - Ale dobrze, że pani tu jest. Będę mógł wszystko pani wyjaśnić.

Zaprowadziła go do zacisznego saloniku dla pań, małego pomieszczenia bez okien, umeblowanego kilkoma krzesłami i stołem. Wisząca na brązowej żardynierze zasłonka w lilie i liście drzew gumowych zakołysała się, bo do środka wsunął głowę barman, żeby przyjąć zamówienie.

Rozmawiali jak starzy przyjaciele. Pace wyjaśnił, dlaczego wówczas zniknął i skąd teraz wziął się w buszu. W końcu rozmowa zeszła na temat wspólnego interesu.

- Widziałam się z prawnikiem, kiedy czekałam na wiadomość od pana - powiedziała Katrin - i on uważa, że umowa jest uczciwa. Zakupię dwa tysiące akrów, które zatrzyma pan dla mnie, aż będziemy mogli zarejestrować działki. Prawnik pracuje nad szczegółami. Zgadzam się na te warunki.

- Pani Boundy, to trzeba opić następną kolejką - ucieszył się Pace. -  
Będziemy posiadaczami ziemskimi! I proszę mówić mi Pace.

Katrin uśmiechnęła się radośnie.

- Oczywiście. A ja jestem Katrin. Poranek minął szybko.

- Pace, masz zamiar tam mieszkać czy wykorzystać ziemię wyłącznie na pastwisko, jak zrobił mój mąż? Sprzedałam jego grunta i zarobiłam na tym; oto co na przykład można z tym zrobić.

- Zamieszkać tam, zbuduję dom i nigdy nie będę oglądał się w przeszłość.

- To ciężkie życie, trzeba zaczynać od zera.

- Wiem, poznałem osadników, ale to dobry początek.

- Chyba masz rację. Może zostaniesz i zjesz ze mną lunch?

- Byłoby bardzo miło, ale muszę się zbierać. Mam mało czasu, a mnóstwo spraw do załatwienia.

Ujęła go pod ramię.

- Jeśli martwisz się o pieniądze, Pace, to niepotrzebnie. Ja zapłacę.

- O nie, Katrin, to nie byłoby w porządku.

250

- Ach, dajże spokój, Pace. Stać mnie na to. Interesy idą tak dobrze, że teraz podróżuję z pokojówką. - Specjalnie podkreślała swoje bogactwo. Chciała, żeby wiedział, że ożeni się z pieniędzmi, przez co życie będzie dla niego o wiele łatwiejsze. - Dama nie powinna podróżować samotnie do tych miast na rubieży, prawda?

- Chyba nie.

- I nie możesz zostawić mnie, żebym jadła sama - uśmiechnęła się do niego zalotnie.



Żartobliwie uszczypnął ją w policzek.

- Nie będziesz sama, Katrin. Możesz zjeść ze swoją pokojówką. Wrócę później.

Obszedł całe Newcastle od portu do farm leżących na obrzeżach miasta. To było rojne miejsce, jakby wszyscy mieli dużo do zrobienia i nie mogli marnować czasu, i to mu się spodobało. To będzie jego rynek. Na nabrzeżu leżały bale wełny, pył węglowy unosił się nad otwartymi wozami. Na ulicach osadnicy mieszały się z górnikami, widział też kilku więźniów. Popytał o nich i usłyszał, że na ich pracę jest wielkie zapotrzebowanie w kopalniach i na farmach.

W mieście były już dwa banki, dobry znak, a także mały szpital, trzy kościoły i mnóstwo pubów. Na placach targowych wystawiano stada tłustych owiec, za to mało bydła. Pace minął rzeźnika z ubojnią na tyłach budynku. Zajrzał do sklepu i przekonał się, że rzeźnik jest Irlandczykiem z Tipperary. Po długiej i interesującej rozmowie przenieśli się do sąsiedniego pubu, żeby się pożywić i omówić przyszłą współpracę. Kiedy Pace wracał na główną ulicę, mżawka odświeżała powietrze, sklepy zamykano, a w tawernach zapalano lampy. W progu sali tanecznej naganiacz namawiał przechodniów do wejścia, małpka kataryniarza wyciągnęła do Pace'a jedną drobną łapkę, drugą unosząc czapeczkę. Pace znalazł dla niej pensa. Cieszył się widokiem miejskiego życia, przyjemność sprawiały mu pełne oczekiwania uśmiechy przechodniów, kończących dzień pracy. Newcastle wydało mu się krzepkim, wibrującym życiem miastem, miejscem dla silnych i młodych, i to dodało mu pewności siebie. W małym hotelu wynajął pokój na noc, po czym wyszedł na ulicę i stanął naprzeciwko Globe'a.

- To wspaniałe miejsce - zwrócił się do przechodniów, czekających na możliwość przejścia na drugą stronę - oświetlone jak kościół w czasie mszy.

Gdybyś poszedł tam teraz, powiedział sobie, zastałbyś gości hotelowych przy kolacji i wróciłbyś do punktu wyjścia, bo Katrin chciałaby zapłacić za twój posiłek, jakbyś był ubogim krewnym, więc lepiej jeszcze poczekaj. Wszedł do baru, gdzie rozmawiał z drwałami, krępymi facetami, którzy zamierzali otworzyć tartak w górze rzeki. Wydawało się, że w tym kraju możliwości są nieograniczone. Więc jednak Dan Ryan wyświadczył mu przysługę.

Do hotelu Globe wrócił dobrze po ósmej, później, niż planował. Jadalnia, jak przekonał się z ulgą, była zamknięta, część mieszkalna na parterze wydawała się opustoszała. Z baru dobiegała skoczna melodia grana na pianinie. Z biura za niewielką recepcją wyszła kobieta.

- Chciałbym widzieć się z panią Boundy.

Kobieta nie od razu odpowiedziała, wpierv starannie zamknęła biuro.

- Nie widziałam jej. Proszę poczekać, sprawdzę, gdzie jest. - Poszła korytarzem do kuchni. Pace usłyszał, jak woła: - A, tu jesteś! Jakiś facet chce się widzieć z twoją panią.

- Poszła spać - odpowiedział głos.

- Lepiej sama z nim pogadaj, ja jestem zajęta.

Ku niemu szła pokojówka Katrin. Nie przyjrzał się jej, dopóki nie wyrwała go z zamyślenia:

- No nie! Niech mnie kule biją! Pace MacNamara! Myślałam, że do tej pory już cię powiesili.

Pace przypatrzył się dziewczynie, która stała i śmiała się z niego.

- Boże wszechmogący! Dolour Callinan! - Zrobił krok do tyłu i znowu jej się przyjrzał. To była ona. W czarnej sukni z białym kołnierzem wyglądała surowo i przyzwoicie jak nowicjuszka, a w starym kraju było z niej niezłe ziółko. - Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że jesteś pokojówką?

- Pokojówką damy, MacNamara. Czym mogę ci służyć?

- Przyszedłem do Katrin Boundy. Mam do niej interes.

- Dzisiaj wieczorem się z nią nie zobaczysz. Położyła się już. Zjadła kolację w pokoju i była wściekła jak osa. Rzuciła całe moje prasowanie na stos. Czyżbyś to ty był powodem tych fochów? Coś ty jej zrobił?

252

- Nic. To nieważne, porozmawiam z nią rano. Dolour, nie możemy tu tak stać. Chodź, postawię ci drinka.

- Nie mogę. Mają tu swoje zasady. Ale poczekaj na mnie przy tylnych drzwiach, wezmę tylko pelerynę. - Poklepała go po ramieniu jak babka odsyłająca dziecko i poszła. Odprowadzając ją wzrokiem, przypomniał sobie chudą dziewczynę, którą znał w starym kraju. Nowa Południowa Walia nie zrobiła jej krzywdy, wręcz przeciwnie, ładnie się tu zaokrągliła. Dolour Callinan tutaj, aż z Curragh! Kiedy ostatnio o niej słyszał, wyjechała do Dublina szukać pracy, jak wielu innych z biednych rodzin. Minęli kilka przecznic, później ruszyli nabrzeżem wzdłuż gwarnych tawern, stąpając po nieheblowanych deskach, pod którymi połyskiwała woda. Dzwony na statkach ogłaszały zmianę wachty, mężczyźni w łódkach wiosłowali na brzeg, kołysząc latarniami i pokrzykując. Ich głosy niósł wiatr, mieszając je z szumem przypiływu.

- Wracasz do Irlandii po odsiedzeniu wyroku? - zapytał Pace.

- Może, jeszcze nie wiem.
- Tęsknisz za rodziną?
- Jak można tęsknić za kimś, kto nie tęskni za tobą? Przejmować się ludźmi, którzy nie przejmują się tobą? To mało prawdopodobne. - I Dolour złapała się na tym, że znowu myśli o Jasinie. Przyjemnie było go nienawidzić za to, że zrobił z niej idiotkę, ale czasami powracał w snach, czuła jego ręce na sobie i budziła się zdezorientowana. To bolało bardziej, niż chciała przyznać. Pace opowiadał o farmie i wielkich planach. W pewnej chwili wymienił nazwisko Jasina. - O kim mówisz?
- O Heselwoodzie. To Anglik. Szczwany lis, jestem do niego przypisany, ale nie na długo. Dla Heselwooda to gra, choć dwóch też może w nią grać, więc się nim nie przejmuję. To taki gość, który wystrychnie cię na dudka, jak tylko odwrócisz się plecami, dopóki jednak patrzysz mu w twarz, jesteś bezpieczny.
- Gdzie on jest teraz?
- Powiedziałbym, że w Sydney. Przygotowuje się do spędu następnego stada.
- A gdzie jest jego żona? - Dolour zaraz się poprawiła: - Jest żonaty?
- O tak. Ona jest w Sydney. To arystokratka.
- Zabierze ją na farmę?

253

- Kogo, Georginę? Nie wiem. Nie zwierza mi się. Przypuszczam, że tak, jak wybuduje dom. Ją i chłopca.

Droga zaprowadziła ich z powrotem do miasta. Pace zatrzymał się przed swoim hotelem.

- Tutaj mieszkam. Wejdiesz i napijesz się ze mną?

- Wejdę na kieliszek wina, żeby się rozgrzać, tylko sobie niczego nie wyobrażaj, panie MacNamara.

- Niech Bóg broni, żebym miał wykorzystać pokojówkę damy. Ale wiesz, zastanawiałem się i przyszło mi do głowy, że powinniśmy się pobrać.

Dolour wytrzeszczyła na niego oczy, potem weszła do środka.

- I nie rób sobie ze mnie żartów. Jestem zmęczona. Nogi mi odpadają po tym spacerze.

- Nie żartuję. Zamierzam wybudować dom. Będziesz miała własny dom. Jeśli za mnie wyjdiesz, odzyskasz wolność. Czy to nie miłe słowo?

Usiedli w kącie baru.

- Dziwne to zaloty - zauważyła Dolour.

- Przepraszam, ale mam tylko kilka dni.

- A gdzie tu miłość? O miłości nie wspomniałeś. Szukasz gospodyni?

- Daj spokój, jesteś uparta. Dobrze wiesz, że już jesteśmy w połowie drogi do miłości.

Przy kuchennych drzwiach do hotelu Globe pocałował ją.

- Kazałaś mi czekać wiele godzin, Dolour. I jak brzmi twoja odpowiedź?

- Muszę się nad tym zastanowić.

Położyła się na wąskim łóżku w sypialni dla służby, dręczona niespokojnymi myślami. Pace MacNamara to dobry człowiek, przystojny mężczyzna i na pewno będzie ją kochał, ale teraz zaczynała się bać. Czy z nią zawsze tak musi być? Coś nieodmiennie szło nie tak. Małżeństwo z Pace'em to idealne rozwiązanie. Byłaby dobrą żoną dla niego, ale z Jasinem za miedzą to nie wchodziło w grę. Nie była pewna własnych uczuć do Jasina i nie wiedziała, jak on by zareagował, gdyby pojawiła się tam jako pani MacNamara. Z opowiadań Pace'a wywnioskowała, że Jasin i

Pace już nie darzą się sympatią, chociaż to niczego nie zmieniało. Gdyby się przyjaźnili, byłoby jeszcze gorzej. Oczywiście mogłaby powiedzieć Pace'owi o Jasinie. Na tę myśl zadrżała. Nie, nigdy.

254

Przez całą noc to zapadała w drzemkę, to budziła się stroskana i znowu zasypiała.

Kiedy Pace MacNamara pojawił się punktualnie o dziewiątej rano, w porze załatwiania interesów, powitała go naburmuszona Katrin.

- Och, więc łaskawy pan jednak przyszedł się ze mną zobaczyć.
- Przepraszam, Katrin, wczoraj też byłem, ale położyłaś się już spać. Nie chciałem cię niepokoić.

Zagryzła wargi, tym razem zła na siebie. Powinna była zjeść kolację na dole, wtedy mogłaby spędzić z nim cały wieczór.

- Skoro już jesteś, to czy możemy zająć się interesami? Może pójdziemy do prawnika i podpiszemy dokumenty?
- Jesteś pewna, że ta inwestycja ci odpowiada?
- Oczywiście - przytaknęła Katrin.
- Dobrze. Przekażę mu wszystkie szczegóły, żeby mógł zarejestrować ziemię na nasze nazwiska, kiedy granice zostaną przesunięte. Osadnicy tak daleko zapuszczają się na zachód, że to na pewno wkrótce nastąpi. Będą musieli otworzyć Liverpool Plains i okoliczne tereny, ale my już mamy tam nasze działki, wyprzedziliśmy wszystkich.

James Batterson z kancelarii Batterson and Fleury zgodził się z nim i uznał, że pięć szylingów za akr to dobra cena na tym etapie. Zapisał wszystkie informacje o obu posiadłościach, jakie mógł mu podać Pace, co było niezbędne do rejestracji.

- Nie czyniłbym żadnych ulepszeń na działkach, dopóki nie dostaniecie ich na własność - poradził. - Czasami, a szczerze mówiąc dość często, osadnicy zgłaszają te same grunta, albo z niewiedzy, albo z chęci oszustwa. Nie chcecie chyba marnować energii na ziemię, która może należeć do kogoś innego. Wątpię, by zdarzyło się to w pana wypadku, panie MacNamara, skoro będzie pan na miejscu i może bronić ziemi przed intruzami. Przytrafia się to jednak spekulantom. I jak rozumiem, będzie pan też pilnował, żeby nikt nie spróbował przejąć ziemi pani Boundy.

- Naturalnie. Chciałbym do umowy dodać dwie klauzule, jeśli pani Boundy się zgodzi. Po pierwsze, w wypadku gdyby pani Boundy zdecydowała się sprzedać swoje grunta, ja mam prawo pierwokupu.

- To rozsądne podejście. Czy pani aprobuje taki warunek, pani Boundy?

255

- Tak.

- A po drugie, będę miał prawo do ścinania drzew na pani działce, pani Boundy.

Katrin zawahała się.

- A co dostanę w zamian?

- Pani ziemia zostanie wykarczowana z wysokich drzew, cedrów i sosen, jeszcze nie wiem dokładnie, nie zdążyłem się rozejrzeć. Nie będziemy ścinać wszystkich, ale sporo terenu trzeba wykarczować pod pastwiska, więc dla pani to czysta oszczędność.

Battersona zainteresowały słowa Pace'a.

- A gdzie zamierza pan sprzedawać drewno? To będzie ciężka praca.

- Na początku wynajmę wozy i woźniców, ale nowi osadnicy będą potrzebowali drewna, pomyślałem więc, że zbuduję własny tartak i będę

sprzedawał w okolicy.

- Tak, zgadzam się - powiedziała Katrin. To spotkanie zaczynało ją nudzić.

- Doskonale - rzekł prawnik. - Teraz muszę was poinformować, że kiedy dzierżawa zostanie wam przyznana, musicie co roku płacić podatki gruntowe, a także poczynić ulepszenia i wprowadzić stada na pastwiska. Po pięciu latach wasza ziemia zostanie poddana inspekcji i jeśli sposób jej wykorzystania zostanie uznany za właściwy, dostaniecie prawo własności. Czy to jasne?

Oboje kiwnęli głowami.

- Ze względu na przejrzystość geograficzną okręgu dobrze jest nazwać posiadłości. Jak chciałaby pani nazwać swoją?

- Nie myślałam o tym. Proszę wpisać po prostu „Boundy”. Batterson zanotował.

- A pan, panie MacNamara?

- MacNamara nie spływa z języka tak łatwo jak Boundy - uśmiechnął się Pace. - Myślałem, żeby moją ziemię nazwać Kooramin. Tam jest mnóstwo kangurów, a czarni mi mówili, że oni tak nazywają te zwierzęta.

- Napiszemy tak, jak to brzmi. „K” na początku, podwójne „o”, zgadza się pan?

- Jasne. Też tak bym to napisał.

Prawniki przyrzekli, że kontrakty będą gotowe nazajutrz. Katrin ujęła Pace'a pod ramię i wyszli z kancelarii.

256

- Myślałam, że nigdy się stamtąd nie wydostaniemy. Stary Batterson strasznie się trząsł nad każdym przecinkiem i kropką.



- Jest ostrożny. Lepsze to od pochopności. Teraz pójdę na targ. Chcę popatrzeć na stada, zorientować się, jak to wygląda. I muszę popytać o dobrych robotników. Wygląda na to, że będę ich potrzebował wcześniej, niż myślałem.

- Och nie! To wszystko możesz zrobić po południu. Teraz musimy uczcić naszą umowę. Zamówiłam dla nas specjalny lunch z szampanem. Założę się, że minęło dużo czasu, odkąd piłeś szampana, Pace.

- Prawdę mówiąc, Katrin, nigdy nie piłem szampana. Ale goni mnie czas. Tyle mam do zrobienia.

- Nie bądź taki, Pace, teraz jesteśmy wspólnikami. Możesz przynajmniej uczcić ze mną podpisanie umowy.

Uznał, że niegrzecznością byłoby jej przypomnieć, iż umowa dotyczy kupna ziemi, nie partnerstwa. Jeśli będzie chciała, może swoją ziemię sprzedać następnego dnia. Szkoda mu było czasu, skoro jednak mieli być sąsiadami, zachowałby się grubiańsko, gdyby odmówił. A poza tym miał okazję powiedzieć jej o Dolour.

Jednakże wybranie właściwej chwili okazało się trudne. Katrin była podniecona, animuszu dodał jej szampan i zaczęła wszystko komplikować.

- Myślę, że pojedę z tobą aż do Singleton.

- Po co miałabyś to robić? - zdumiał się Pace. - Singleton to prymitywna wioska, a rejs na tych statkach damie nie sprawi żadnej przyjemności. Są brudne i zatłoczone.

- Nie szkodzi. Myślę o sprzedaży hotelu. Byłoby miło mieszkać na wsi, mówisz, że jest tam tak spokojnie.

- Katrin, w swoim czasie możesz tak zrobić, ale nie teraz, jest za wcześnie. Ja ryzykuję, nie mam pojęcia, na jakie przeszkody natrafię. Ale

ty prowadzisz hotel, nie rezygnuj z niego. Nie chcę, żebyś zrobiła coś, czego będziesz żałować.

- A ty?

- Ja nie mam wyboru. Muszę iść tą drogą.

- Za to ja mam wybór. Dlaczego nie połączymy sił? Przez minutę siedział oszołomiony. Miał nadzieję, że Katrin nie posunie się dalej. Mylił się.

- Skorzystam z twojej rady, nie sprzedam hotelu. Jestem bogatą kobietą, Pace. Możemy się pobrać, wtedy nie będziesz

257

musiał harować jak wół w tej dziczy. Wynajmiemy ludzi, żeby zajęli się stadami, tak jak zrobił to Boundy, i zbudujemy dom, kiedy sami będziemy chcieli. Wróc ze mną do Sydney, Pace. Spłacimy tego Anglika.

Pace pokręcił głową.

- Katrin, bardzo mi przykro. Jesteś dobrą kobietą i każdy mężczyzna byłby dumny, mając cię za żonę, ale twoje miejsce jest w Sydney, w wielkim eleganckim mieście. Ja jestem wieśniakiem.

- Próbował całą rzecz zbagatelizować. - W gruncie rzeczy prosty chłopak z farmy ze mnie. Nie chciałabyś kogoś takiego jak ja.

- Ale ja chcę - szepnęła.

Westchnął. Cóż, nie będzie dłużej owijał w bawełnę.

- Katrin, mam ci coś do powiedzenia. Zdarzyło się coś dziwnego. Nawet nie miałem pojęcia, że Dolour tu jest. Spotkałem ją wczoraj wieczorem, kiedy przyszedłem do ciebie...

- Kto?

- Dolour. Dolour Callinan.

Katrin patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Twoja pokojówka. Rozgniewała się.

- Chcesz mi powiedzieć, że spiknąłeś się z moją pokojówką? -

wybuchnęła gniewnie. - Służącą? A tak, pamiętam. Wtedy w Sydney też zabawiałeś się ze służącymi. Tylko do tego się nadajesz? - Podniosła głos.

- Powiedz tej dziwce, że ją zwalniam. Chcesz ją? To sobie weź!

Stała teraz i krzyczała. Wszystkie głowy w restauracji zwróciły się ku nim ciekawie.

- Myślę, że nie jestem wart tego zamieszania - powiedział cicho, ale ona złapała torebkę, przewracając przy tym kieliszek. Pace postawił go na miejsce. Katrin złapała jego kieliszek, chlusnęła weń szampanem, po czym wybiegła z sali. W progu zdenerwowana kelnerka odebrała jej puste naczynie.

Pace otarł twarz w serwetkę i uśmiechnął się pod nosem.

- Dolour Callinan - zwrócił się do pustego krzesła.

- Zawsze były z tobą kłopoty. Powinienem był wiedzieć.

- Konary drzew muskały kolorowe szyby w oknach sali jadalnej, ozdabiając je ruchomymi wzorami, i Pace'owi na myśl przyszła stara Tuatha, dawno zmarła babka Dolour. - Nie zdziwiłbym się, Tuatha, gdybyś maczała w tym swoje cygańskie palce.

\*

258

- Coś ty zrobił! - krzyknęła Dolour. - Powiedziałeś jej? Och, głupi jesteś, MacNamara! Powinieneś był poczekać, aż podpisze umowę. I co teraz z nami będzie?

Trzasnęła kuchennymi drzwiami i wyszła na tylną werandę, gdzie

buszmeni snuli swe opowieści w popołudniowym słońcu, a szewc, trzymając w ustach gwoździe, naprawiał damski bucik na chybotliwej ławce. Praczki z koszami szły do łopoczącej na wietrze bielizny, dzieci biegały jak szalone, maczały palce w beczkach z winem i kręciły się jak bąki w wesołej zabawie, udając pijaków. Barman podciągnął taczkę pod schody.

- A, panna Callinan. Twoja pani cię szuka! - Uśmiechnął się do niej i mrugnął znacząco do Pace'a. Wszyscy w hotelu wiedzieli już o awanturze w sali jadalnej.

Pace ujął Dolour pod ramię i poprowadził ją przez podwórze pod okapy stajni, gdzie mogli swobodniej porozmawiać.

- Wyjaśnijmy sobie parę rzeczy. Nie lubię, jak nazywa się mnie głupcem. A jeśli ona cię wyleje, znajdę ci pracę i dach nad głową do mojego powrotu.

- A kiedy wrócisz?

- Za jakieś pół roku.

Dolour widziała, jak cała historia z Jasinem znowu się powtarza. Jasin przyrzekł, że po nią wróci. Czy Pace jest inny? Może też wyjedzie w dzicz i zapomni o niej?

- Nie - odparła. - Jeśli chcesz się ze mną ożenić, panie MacNamara, zabierzesz mnie ze sobą, bo nie mam zamiaru siedzieć tu i czekać. Ożenisz się ze mną tutaj, w Newcastle.

- Dobrze, pobierzemy się i popłyniemy w górę rzeki. Zostaniesz w Singleton. Dalej nie pojedziesz, na drugim brzegu Hunter nic nie ma. Dolour wiedziała, że dała się sprowokować; pochopnie zażądała ślubu, choć jeszcze nie zdecydowała, co zrobić z Jasinem Heselwoodem. To ją

zaniepokoiło. Sprawa załatwiona, pomyślała, Boże, ratuj.

Pomywaczka wychyliła się przez okno.

- Dolour! Twoja pani wszędzie cię szuka, okropnie wrzeszczy! Burzliwe wypadki dnia zbliżyły ich do siebie. Pace wspominał szczęśliwe chwile swoich pierwszych zaręczyn i małżeństwa; z żalem i gniewem myślał, że Dolour będzie ich pozbawiona, nie zazna serdeczności, z jaką młoda kobieta powinna się spotkać. Odwiedzili księdza, irytującego starego Irlandczyka, który upierał się

259

przy trzytygodniowych zapowiedziach, aż wreszcie Pace huknął na niego i ustalili, że ślub odbędzie się w sobotę.

Katrin kazała się Dolour wynosić, przez co musieli złożyć wizytę na policji. Szef posterunku kazał im czekać godzinę, nim znalazł dla nich czas. Podejrzliwie odnosił się do więźniarki Callinan.

- Jestem skłonny wysłać cię z powrotem do Sydney. Wrócisz tu jutro i przyniesiesz pozwolenie na ślub od pani Boundy. Wciąż jesteś do niej przypisana.

Instynkt mówił Dolour, że trzeba uciekać, ale Pace się nie zgodził.

- Nie możemy tego zrobić, nie uda nam się. Wystarczy, że ja podróżuję ze sfalszowaną przepustką.

- Nie pójdę do niej po pozwolenie. Nigdy mi go nie da.

- Więc ja będę musiał się z nią zobaczyć - oznajmił Pace.

- Pójdiesz i co? Będziesz ją o mnie błagał?

- Nie sądzisz, że przynajmniej tyle mężczyzna może zrobić dla swojej oblubienicy? - odrzekł z uśmiechem.

W geście solidarności zawodowej właściciel hotelu Globe kazał Dolour

wyprowadzić się z sypialni dla służby, Pace zaniósł więc jej tekturowy kuferek do swojego pokoju.

- Możesz tu zostać. Niech Katrin do jutra ochłonie, wtedy z nią porozmawiam.

- A co z tym interesem, który miałeś z nią zrobić? -jęczała Dolour. - Ona teraz na pewno zrezygnuje i żadne z nas nic nie będzie miało. Co się z nami stanie?

- Zostaw mnie te zmartwienia. Może gdzieś pójdziemy? Miałabyś ochotę?

- Ale dokąd?

- Dzisiaj jest koncert, możemy pójść posłuchać. Popatrzyła na niego przestraszona, niepewna siebie.

- Chyba możemy, ale to dziwne uczucie. Przez wszystkie te lata byłam więźniarką, nie mogłam chodzić, gdzie mi się podoba. Trudno było to wytrzymać. Nigdy tak naprawdę nie rozumiałam, co oni robią ludziom takim jak ja. To głupie, no nie? - Płakała. - Któregoś dnia im odpłacę. Pace ją objął.

- Ach, możesz teraz o wszystkim zapomnieć, to już przeszłość, Dolour. Nie pozwolę, żeby cię zabrali, nawet gdybym musiał cię ukryć pod eukaliptusem.

260

Z Battersonem umówili się na jedenastą i Pace przyszedł punktualnie.

Wziął ze sobą dokumenty Dolour, żeby podpisała je Katrin, postanowił bowiem, że gdyby się nie pojawiła, pójdzie do niej do hotelu. Nie pozwoli, żeby Katrin ukarała Dolour, nawet jeśli zrezygnuje z zakupu ziemi.

Batterson na powitanie pogawędził z nim o pogodzie, po czym rozłożył kontrakty na biurku.

- Jak pan widzi, panie MacNamara, pani Boundy wszystko podpisała i zostawiła czek.
- Kiedy to zrobiła?
- Przyszła do mnie wcześniej rano. Powiedziała, że musi zdążyć na statek do Sydney i nie ma czasu. Ale wszystko jest jak trzeba.
- Na jaki statek?
- „Rosę”. Pani Boundy odplynęła na „Rosę” o dziesiątej rano.

Pace wpatrywał się w kontrakty.

- I podpisała je? Wciąż chce kupić tę ziemię?
- Oczywiście. Pani Boundy powiedziała, że bym pana przeprosił w jej imieniu, ale musiała się śpieszyć. Interesy, tak mówiła.
- Doprawdy?

I co teraz stanie się z Dolour? Pace wyczuwał mściwą obecność Katrin w pokoju. Wiedziała, że los Dolour zależy od poświadczonych przez nią dokumentów, bez nich w każdej chwili można dziewczynę aresztować. Prawnik, którego białe puszyste bokobrody zrastały się z krzaczastym wąsem, pochylał się nad biurkiem jak pelikan pikujący w stronę lądu. Czekał, aż Pace usiądzie, po czym usadowił się w fotelu.

- Czy coś jest nie tak, panie MacNamara?
- Panie Batterson, na każdym kroku coś mi się nie układa, więc równie dobrze mogę przejąć całą tę ziemię. Nie podpiszę tych kontraktów. Dziękuję za pański trud. Czy będzie pan tak uprzejmy i odeśle czek pani Boundy?
- Jeśli pan sobie tego życzy, chociaż wydaje mi się to postępkami dość nieoczekiwanym. Może powinniśmy rzecz jeszcze przedyskutować?
- Sam nie wiem. Jeśli może mi pan poświęcić trochę czasu, to przedstawię

swoją sytuację od chwili, kiedy zszedłem na ląd

261

w Sydney. Z całą pewnością przyda mi się rada w kwestii dziwnych meandrów, jakimi kroczy prawo Nowej Południowej Walii.

Trzy dni później państwo MacNamarowie wsiedli na szkuner „Dove” płynący do Singleton, Dolour jako zwolniona więźniarka, Pace jako więzień na zwolnieniu warunkowym. Nie był już dłużej przypisany do Jasina Heselwooda, musiał natomiast informować o swych ruchach sędziego w Newcastle, współnika Battersona. Prawnicy zgodzili się z Pace'em, że jego uwięzienie było niezgodne z prawem, i przyrzekli poczynić stosowne kroki, by naprawić tę niesprawiedliwość. Co więcej, Pace dowiedział się, że nielegalne było też przypisanie go Heselwoodowi, był to bowiem jego pierwszy wyrok i nie został zesłany do kolonii karnej. Uznał, że świetnym żartem będzie, jeśli na razie nie wspomni o tym Heselwoodowi.

Po uporządkowaniu spraw osobistych trzeba było zająć się ziemią.

Batterson zdecydował, że kupi działkę dzielącą posiadłości MacNamary i Heselwooda, co Pace'owi przyniosło ulgę.

Z pieniędzmi w banku i perspektywą wypłaty od Heselwooda Pace wynajął kajutę na rejs.

- Nigdy nie myślałam, że małżeństwo jest takie proste - powiedziała Dolour słodko. - Wydawało mi się, że to okropnie niezręczne, bo obie strony będą się starały wzajemnie zadowolić.

- I nie myliłaś się. Niech Bóg broni, żebym zrobił coś wbrew twojej myśli.

- Bądź poważny. Mam wrażenie, że jestem twoją żoną od lat.



- I pierwszy żar już wygasł? Dolour pokręciła głową.
- Jesteś naprawdę kochany, czuję się przy tobie jak w domu. Pace otworzył drzwi kajuty.
- Jak mawiała moja staruszka... ożeń się z dziewczyną z sąsiedztwa. Nawet kiedy nie będziecie rozmawiali, zawsze będzie o czymś do pogadania.

262

## ROZDZIAŁ Dwudziesty Ósmy.

Jasin Heselwood wreszcie był gotów do wyjazdu z Sydney. Kiedy na początku szukał gotówki, Georgina nie zgodziła się na sprzedaż mebli ani fortepianu i teraz dzięki jej dalekowzroczności zyskali podstawowe sprzęty potrzebne do przyszłego domu nad Namoi.

Usłyszawszy o możliwości odwołania gubernatora Darlinga do Londynu, Jasin po cichu przeniósł swoją lojalność na osobę sekretarza kolonii, udając zainteresowanie domem, który Macleay stawiał w Elizabeth Bay. Z Georginą odwiedzili budowę i ze szczerym zdumieniem oglądali plany. Macleay zajął pięćdziesiąt cztery akry nad zatoką, a przyszła piętrowa „grecka willa” zapowiadała się na najpiękniejszy dom w całej kolonii. Georginie podobał się zarówno sam dom, który miał nosić nazwę Elizabeth Bay House, jak i jego usytuowanie. Zwlekała z odejściem, gawędząc z Macleayem, podczas gdy Jasin zastanawiał się, jakim sposobem urzędnik państwowy może sobie na to pozwolić. Doszedł do wniosku, że Szkot, który nie wydawał się człowiekiem przekupnym, musi mądrze inwestować, i podwoił wysiłki, żeby się z nim zaprzyjaźnić.

- Kiedy pana zdaniem granice zostaną poszerzone? - zapytał Jasin.
- Już powinno to nastąpić, ale gubernator Darling zwlekał. Ma mnóstwo

problemów i nie najlepsze zdrowie. Pana działka jest nad Namoi, czy tak?

- Tak. Zamierzam jak najszybciej tam wrócić.

- Doskonale pana rozumiem. Postępuje pan rozważnie, pilnując ziemi, osadnicy nieustannie tam ciągną i wytyczają swoje grunta. Australijskie Towarzystwo Rolnicze zamierza zgłosić prawa do ziem nad rzeką Gwydir. Chodzi o jakieś trzysta tysięcy akrów.

- Co takiego? To niemożliwe!

- Wręcz przeciwnie. Henry Dangar ma kilka działek tej wielkości. Jasin słuchał oszołomiony i zły na siebie. Powinien był wziąć więcej ziemi. Jakim był głupcem!

- W porównaniu z tym moja działka wygląda na marne poletko.

263

- Nie sędzę. Świadczy raczej o pańskim zdrowym rozsądku. Jedynie syndykat może udźwignąć koszty prawne i opłaty dzierżawne, nie wspominając o sile roboczej, jaka jest potrzebna do tego rodzaju przedsięwzięcia. Zwykle dzielą ziemię na kilka farm, zarządzanych z głównej farmy. I niech pan pamięta, stanowią potężną siłę, zawsze dostają, czego chcą, a to czego się domagają, leży w interesie innych osadników z okolicy. Dla przykładu gubernator chciał podnieść wysokość królewskich dzierżaw, może więc pan być pewien, że będą się temu sprzeciwiać.

Jednakże ziemie dalej na północ nie mają wprost końca. Kiedy się pan zadamowi w Carlton Parku, powinien pan ruszyć w tamtym kierunku, ale niech pan przyjmie moją radę i utworzy syndykat.

- Dziękuję panu. Zastanowię się nad tym.

Jasin nie miał najmniejszego zamiaru tworzyć syndykatu. Po co? myślał.

Ja będę pracował, a pozostali inwestorzy będą sobie siedzieć na tyłkach w

Sydney. Nie, kiedy Carlton Park zostanie zbudowany, wezmę kredyt hipoteczny i ruszę na północ. I tym razem to nie będzie śmiesznie mały kawałek ziemi.

- Mam dylemat - wyznał Macleayowi. - Muszę opuścić Sydney, a w każdej chwili granice mogą zostać poszerzone. Dowiem się o tym ostatni.

- Niech pan się tym nie martwi, panie Jasinie. Kiedy gubernator podpisze proklamację, zarejestruję pańską ziemię. Proszę tylko zostawić mi wszystkie potrzebne informacje.

- To niezwykle uprzejme z pana strony, zdejmuję mi pan ciężar z serca. Jasin był zachwycony. Kto lepiej niż Macleay załatwi dla niego papierkową robotę?

I Macleay rozwiązał też inny problem. Jego przyjaciel John Burnett był komisarzem ziemskim w Newcastle i miał tam wygodny dom; Macleay uzyskał od niego zaproszenie na pobyt dla Georginy i Edwarda do czasu ukończenia domu Heselwoodów.

- Jestem przekonany, że całe Newcastle będzie zachwycone z powodu pani obecności - powiedział Georginie.

Kiedy Georgina wsiadła z synem na przybrzeżny statek, Jasin zażartował:

- Robi się z ciebie prawdziwa poszukiwaczka przygód, staruszko.

264

- Z nas obojga - poprawiła go. - Jak długo będziemy musieli zostać w Newcastle?

- Trudno powiedzieć. Sprowadzę cieśli do Carlton Parku i najpierw każę zająć się domem.

Pragnąc utrzymać Milly i Dermotta Forrestów w dobrym nastroju, zaprosił ich na kolację do swojego klubu. Wiedział, że to zrobi na nich wrażenie.

- Georgina nawet się nie pożegnała - oznajmiła Milly oskarżycielsko.
  - Nie było czasu, moja droga. Wiesz, z jakim bagażem Georgina podróżuje, a teraz ma go jeszcze więcej ze względu na dziecko. Musiała brać pierwszą wolną kajutę, w przeciwnym razie czekałaby wiele miesięcy.
  - Co z naszą ziemią?
  - Tak? - Jasin uniósł brew, a Dermott zakaszłał.
  - Budujesz tam dom, prawda? Skoro Georgina jedzie na północ, to budujesz - powiedziała Milly.
  - Naturalnie. Przecież nie każę mojej żonie mieszkać w szałasie.
  - Jest na twojej ziemi czy naszej? Połowa należy do nas, nie zapominaj.
  - Jak mógłbym zapomnieć? - Jasin zamówił więcej wina. Dermott ze spuszczoną głową jadł, jakby to była jego ostatnia wieczerza, za to Milly energicznie dźgała powietrze widelcem.
  - A gdybyśmy tak my chcieli zbudować tam dom?
  - Wbiła sobie do głowy, że też możemy być farmerami - bąknął Dermott. Milly zaczerwieniła się, upiła łyk wina.
  - A dlaczego nie? Ludzie mówią, że farmerzy mieszkają jak królowie, służba wszystko za nich robi w tych wielkich domach. I tak nie znoszę Sydney, hołota na ulicach gorsza tu niż w Londynie. Jeśli twój brat chce zostać, Dermott, to niech zostaje, Bess lubi być żoną szewca. Mnie to nie wystarcza.
  - Jestem pewien, że nie - mruknął Jasin. - Ale warsztat siodlarski Dermotta przynosi zyski, prawda?
- Forrest z entuzjazmem pokiwał głową i Jasin odwrócił ich uwagę, rozpoczynając dyskusję o rozmaitych typach siodeł używanych w kolonii.

- Zauważyłem, że poganiacze mają inne siodła niż ja. Lżejsze i z tyłu solidniej zabudowane.

265

- Tak. Proszę przyjść do mojego warsztatu, panie Heselwood, pokażę panu. Teraz takie robimy. Pan też powinien takie mieć, lepiej nadają się na długie podróże, bo podtrzymują plecy.

Jasin ciągnął rozmowę o siodłach i butach do konnej jazdy, Milly tymczasem dąsała się i piła wino.

Do stolika podszedł kelner z wiadomością, że pewien dżentelmen pragnie się zobaczyć z Jasinem w małym salonie. Przeprosił zadowolony, że na chwilę może się od nich oderwać.

W salonie czekał na niego Macleay z nowinami.

- Gubernator podpisał proklamację. Zarejestrowałem pańskie podanie i zostało zatwierdzone.

- Doskonale, bardzo uprzejmie z pana strony, że mi pan o tym mówi. To wielka ulga, ogromnie dziękuję za pańską pomoc. Kiedy zbudujemy dom, pan pierwszy musi nas odwiedzić. Naturalnie z żoną. - Mówiąc to, Jasin się niepokoił. Wiadomość była nagła, a w sąsiednim pomieszczeniu siedzieli jego rzekomi wspólnicy. Wiedział, że powinien zaprosić Macleaya do stolika, ale to było wykluczone, sam więc poruszył ten temat.

- Bardzo chciałbym, żeby zjadł pan ze mną kolację, ale jestem w szalenie uciążliwym towarzystwie krawcowej mojej żony i jej męża. Wie pan, jak dobre serce ma Georgina, nalegała, żebym zaprosił ich na kolację, zrobił im przyjemność, rozumie pan. Ale to straszliwe przeżycie i obawiam się, że krawcowa zdążyła się już wstawić.

Kiedy wrócił, Milly wciąż popijała wino, ale była zaskakująco trzeźwa.

- Myślałam, żeś poszedł - warknęła.
- Moja droga pani, nie śniłoby mi się nawet coś takiego zrobić, ale mam mnóstwo spraw, które trzeba załatwić w ostatniej chwili.
- Milly, pan Heselwood był bardzo uprzejmy, że nas tu zaprosił - powiedział Dermott przepraszaście. - Nie psuj tego.
- Przepraszam, Jasinie. - Milly spuściła z tonu. - Cudownie się bawię, ale rzecz w tym, że chcielibyśmy zbudować dom na naszej ziemi, i to natychmiast.

Jasin zapalił cygaro i usiadł wygodnie w fotelu. Czy ona sądzi, że dała mu szacha? Jeśli tak, to grubo się myli. W jego głowie zaczynał kiełkować pomysł, dzięki któremu zyska wolność i będzie mógł poszukać nowej działki, tym razem przyzwoitej wielkości.

266

- Nie rozumiem, dlaczego nie mielibyście tego zrobić -wzruszył ramionami. - Prawdę rzekłszy, Georgina woli mieszkać w Newcastle. - Później będzie się martwił jej reakcją. - Powiedz mi jednak, Dermotcie, czy twoim zdaniem będziesz umiał prowadzić farmę?

Forrest uśmiechnął się nieśmiało.

- Wszyscyśmy nowi w tej grze, ale jeśli uda nam się dostać dobrych robotników, to czemu nie?

Jasin niemal słyszał pianie Milly. Jego uwadze nie umknęła aluzja, że skoro on potrafi prowadzić farmę, to oni też. Miał nadzieję, że tak jest, teraz liczył na nich. Milly była za sprytna, siłą domagała się udziału w przedsięwzięciu. Teraz to oni będą musieli zbudować dom, nie on, a później... no cóż, to była ziemia Heselwooda, z domem czy bez domu.

- Jeśli będziecie zarządzać Carlton Parkiem, zyskam możliwość zajęcia

się innymi interesami.

- Carlton Park? Tak się nazywa ta posiadłość? - podnieciła się Milly. -

Och, podoba mi się ta nazwa. Doskonały wybór.

- Na koniec roku naturalnie podzielimy się zyskami - ciągnął Jasin - po połowie, co dla was jest korzystniejsze, jako że będziecie utrzymywać się z posiadłości. Musicie tylko kupić kilka podstawowych rzeczy.

- To bardzo wspaniałomyślne z pańskiej strony, panie Heselwood - odparł Dermott, zaskoczony tym nagłym uśmiechem fortuny.

- Tego zawsze chcieliśmy - dodała Milly bez tchu.

- No cóż, Dermotcie, rano wyjeżdżam. Na twoim miejscu wyruszyłbym na zachód tak szybko, jak się da. I rozejrzyj się za robotnikami, najlepiej weź więźniów, tylko dokładnie ich sprawdź. Nie chcemy morderców ani złodziei.

- Zajmę się tym - obiecał Dermott.

- Dobrze. Przyjedź z nimi do Bathurst, tam się spotkamy. Musisz się śpieszyć. Zabieramy następne stado na północ, nie chcę więc żadnych opóźnień.

- Ja też jadę - oznajmiła Milly. Jasin się roześmiał.

- Nie sądzę. To uciążliwa podróż, śpimy w namiotach. Warunki są bardzo trudne.

- Jadę - powtórzyła Milly.

267

Jasin zdołał przekonać Georginę, by została w Newcastle, ale Dermott nie był dla swojej żony równorzędnym przeciwnikiem.

- Inne kobiety wyruszyły na zachód. Jeśli one mogły, to ja też mogę - upierała się.

- Ależ oczywiście - poddał się Jasin. Był już zmęczony sprzeczką z tą kobietą. Czy to ważne? Jeśli podróż okaże się dla niej wyczerpująca, nie będzie mogła narzekać, sama dokonała wyboru. Miał nadzieję, że tak będzie, Milly na to sobie zasłużyła.

Machając im na pożegnanie, Jasin zastanawiał się, czy nie pójść do sali karcianej, ale ostatnimi czasy hazard mało go pociągał. Na rubieżach kolonii znalazł większe stawki i bardziej ekscytujące partie do rozegrania. Zamierzał wyprawić się w krainę zwaną Darling Downs. Słyszał, że są tam wspaniałe pastwiska i mnóstwo wody.

Dowiedział się o czymś jeszcze. Po wyjeździe żony wsiadł na statek i popłynął w górę rzeki do Parramatty. Tam odwiedził Manufakturę Kobiecą i zapytał o Dolour Callinan. Planował, że poda fałszywe nazwisko, ale nikt go o nie nie pytał. Usłyszał, że Dolour została przypisana do niejakiej pani Boundy, właścicielki hotelu Nelson w Sydney.

Był bez żony, zdecydował więc, że może zobaczyć się z Dolour, czemu nie? Bez trudu jej wyjaśni, dlaczego wcześniej nie mógł po nią przyjechać. Na pewno go zrozumie. A jeśli nie, to i tak nie miało znaczenia. To był tylko kaprys, czuł, że ma w sobie diabła, Dolour w żadnym razie by mu nie odmówiła. Na samą myśl o niej przeszedł go dreszcz, bez wątpienia była najbardziej namiętną kobietą, z jaką kładł się do łóżka. Żałował, że wcześniej się po nią nie zgłosił, chyba mógłby zostać w Sydney kilka dni, żeby spędzić z nią więcej czasu.

Hotel był wciąż otwarty, jednakże w barze zamiast zwykłego hałaśliwego gwaru panował dziwny spokój. Mężczyźni, zbici w grupki, cicho o czymś rozprawiali. Jasin zamówił brandy i usiadł w kącie, gdzie mniej się wyróżniał spośród robotników.



Obsłużył go chudy starzec, który rozlał trunek i zaraz starł plamę brudną ścierką.

- Przepraszam, sir. Ta robota nie idzie mi za dobrze, bo tylko tu dzisiaj wieczorem pomagam. Mamy straszne urwanie głowy z powodu tego morderstwa.

Jasin otrząsnął się z zamyślenia.

268

- Morderstwa, powiadasz? A kogo zamordowano?

- No, panią Boundy przecież. Szła do banku z utargiem. Zawsze powtarzałem, że nie powinna chodzić na skróty tymi zaułkami, ale nie dała sobie nic powiedzieć. I dopiero co wróciła z wakacji. Pobito ją i ograbiono, a potem zostawiono na ulicy, żeby skonała jak pies. O, ten co rozmawia z policją, to jej brat.

Jasin uświadomił sobie, że policja przesłuchuje gości baru, i nie chciał mieć nic z tym zajściem wspólnego. Kiedy gadatliwy barman wreszcie odszedł od stolika, szybko wypił brandy i wymknął się bocznymi drzwiami. Przy innej okazji odwiedzi Dolour Callinan.

ROZDZIAŁ Dwudziesty Dziewiąty.

Dolour przekonała Pace'a, by pozwolił jej pojechać z nim do Singleton, nie chciał się jednak zgodzić, by towarzyszyła mu dalej.

- To nie jest miejsce dla kobiety.

- Ach, ale ty patrzysz na to ze złej strony, MacNamara. Jeśli się rozejrzysz, zobaczysz, jakie śliczne są te lasy i strumienie. I pełno tu kobiet. - Spoglądała na opuszczający miasto konwój wozów wyładowanych sprzętami, kobiety jadące konno obok i siedzące na rzeczach dzieci. Twarz jej pociemniała. - Jeśli one mogą, to dlaczego ja nie

mogę?

- Bo one nie mają dokąd pójść.
- Tam dalej rzeczywiście nic nie ma?
- Kobieto, dziesięć razy ci mówiłem, nie ma miast, jest tylko kilka sklepów i zajazdów. Będziemy przejeżdżać przez farmy, ale tam nie przyjmują lokatorów.
- Więc znajdę na którejś pracę i będę blisko ciebie.
- Moja żona nie będzie u nikogo pracować. Pozwól mi najpierw uporządkować sprawy z Heselwoodem.

Na wzmiankę o Jasinie Dolour zadrżała. Śmiertelnie się bała, że Jasin zepsuje jej związek z Pace'em. Tak jak Pace przewidywał, miłość nadeszła szybko i Dolour uwielbiała męża, nie potrafiła się jednak zdobyć, by o wszystkim mu powiedzieć, poza tym głowę miał nabitą skomplikowanymi kwestiami ziemi i bydła. Bezpośredni

269

i miły w obejściu, kręcił się po mieście i rozmawiał z przygodnymi znajomymi o różnych sprawach. Spotkał też mężczyznę, który szukał złota.

- Zabawa dla skończonych głupców - stwierdziła Dolour.
- On tak nie uważa, ale ponieważ tu nie dokopał się fortuny, wyjeżdża do Ameryki, żeby tam poszukać.
- Dureń!
- Będę ci wdzięczny, jeśli mu tego nie powiesz, bo kupiłem od niego dom i nie chcę, żeby zażądał go z powrotem.
- Kupiłeś dom? Nasz własny dom? Ile zapłaciłeś?
- Piętnaście funtów, tanio jak barszcz. Napisałem mu weksel do banku w

Newcastle. Nie bardzo mu to pasowało, oglądał papier na wszystkie strony, jakby to było złoto. Myślałem, że czyta uważnie, ale okazało się, że oszuści nauczyli się nowej sztuczki. Gotują papier, który rozpada się na kawałeczki, nim wierzyciel zdąży dojść z wekslem do banku, ale do mojego nie miał zastrzeżeń.

Pobiegli jak łobuziaki ulicą, która w buszu nagle zmieniała się w ścieżkę prowadzącą do domu poszukiwacza złota. Dolour obesza budynek, przypatrując się wszystkiemu uważnie.

- Co z wodą?

- Chyba przynosił wodę ze strumienia.

- Leniwy drań, powinien był wykopać studnię i wystawić zbiornik na deszczówkę. - Przekroczywszy próg zaczęła drapać się po nogach. - Nie narzekał na samotność. Tu się aż roi od pcheł.

- Jak ci się nie podoba, to od ręki mogę go sprzedać i jeszcze na tym zarobię.

- Nawet o tym nie myśl! - wykrzyknęła Dolour wstrząśnięta.

- Ale skoro narzekasz...

- Ja nie narzekam. Mówiłam, że był leniwy. Popatrz, drań palcem tu nie ruszył!

Wyszli, by w zaroślach poszukać słupków geodety. Dolour objęła Pace'a.

- Czy to wszystko nasze? Pół akra, tak mówiłeś?

- Wszystko twoje, pani MacNamara, ale to nic. Powtarzam ci, że mamy tysiące akrów na zachodzie.

- To mnie nie obchodzi. Tamtej ziemi nie możesz całej zobaczyć, a tę tutaj tak, jest prawdziwa.

Spędzili w domu cały dzień, a o zmierzchu wrócili do obskurnej izby na tyłach tawerny.

- To najmiłsza niespodzianka w całym moim życiu - powiedziała Dolour. - Wysprzątam go, zobaczysz, jak będzie w nim przytulnie.

- Musiałem coś zrobić - wyjaśnił Pace. - Nie mogłem zostawić cię w tawernie, jedynym wyjściem wydawał się pokój w cudzym domu...

- Albo zabranie mnie ze sobą?

- To zaczynało być całkiem prawdopodobne - przyznał Pace - ale teraz dam ci pieniądze i będziesz się mogła wykazać. Nie mam czasu wykopać studni. Przyślę kogoś, żeby zrobił zbiornik na wodę, a kiedy wrócę, moja żona będzie mieszkała wśród róż.

Starał się zachować żartobliwy ton, bo za kilka dni ruszał w drogę. To nieszczęście, że tak szybko musi rozstać się z żoną, ale innego wyjścia nie było. Kupił ukochanej strzelbę do obrony przed węzami i nauczył ją strzelać.

Kiedy wyjeżdżał prowadząc jucznego konia, dręczyły go wyrzuty sumienia, że zostawia Dolour, ale po przekroczeniu rzeki poczuł podniecenie, że znowu jest na szlaku. Uświadomił sobie, że nie może się doczekać widoku szerokich przestrzeni.

Na ubitych szlakach podróż odbywała się bez przeszkód, skręcił więc do Chelmsfordu, żeby oddać Andy'emu cztery funty. Parobek skierował go do stajni, gdzie zastał nie Andy'ego, ale Rivadavię we własnej osobie, który zajmował się chorym koniem.

- Co mu jest? - zapytał Pace.

Rivadavia, zaskoczony widokiem gościa, odparł uprzejmie:

- Gorączka bagienna.

Koń, zlany potem, leżał na słomie. Rivadavia łagodnie ocierał go gąbką i usuwał śluz z mętnych oczu.

- Biedaczysko. - Pace wyszedł i z sakwy przy siodle wyjął kawałek cukru, który miał dla własnego wierzchowca. Ukląkł przy chorym zwierzęciu, gładząc go po łbie. - Masz tu trochę cukru. Więcej dostaniesz, jak dojdiesz do siebie.

Koń odetchnął ciężko i wziął cukier do pyska.

- Są przygnębione, kiedy chorują - powiedział Pace.

- Wczoraj w nocy było z nim źle, ale myślę, że zaczyna mu się poprawiać

- rzekł Rivadavia wychodząc z boksu.

271

- Przyślij kogoś do niego - poradził Pace. - Chore konie się boją i nie lubią być same.

Rivadavia spojrzał na niego gniewnie.

- Znowu przyszedłeś, żeby mi mówić, co mam robić?

- Nie. Ostatnim razem chyba potraktowałem cię za ostro. Może powinniśmy zacząć od nowa.

Rivadavia obojętnie spuścił rękawy koszuli i zapiął mankiety.

- Nie umiem ładnie przeproszać - nalegał Pace - i wygląda mi na to, że ty też nie. Przyjechałem wtedy z daleka, żeby odwiedzić panią Brooks, a serdeczniej powitano by jadowitego węża.

Przez chwilę patrzyli na czarne dzieci bawiące się z dwoma szczeniakami w drzwiach stodoły.

- Napijesz się kawy? - zaproponował Rivadavia. Pace skinął głową.

Rivadavia zawołał najwyższego z bawiących się chłopców, który przybiegł zadowolony, że to jego wybrano.

- Idź do stajni i posiedź przy chorym koniu. Jest samotny.
- Chłopiec zerwał się do biegu, ale Juan go złapał za rękę.
- Powoli, idź spokojnie, bo go przestraszysz. - Zwrócił się do Pace'a: -  
Masz hodowlę owiec?
- Na razie to tylko działka, ale myślę o bydle.
- Ach! Również mam taki zamiar. W Chelmsfordzie będzie mój dom, mogę też farmę wykorzystać jako postój dla stad. Gdzie jest twoja ziemia?
- Nad Namoi.
- Ja mam ziemię nad rzeką Peel.

Pace został w Chelmsfordzie na noc. Towarzystwo młodego Argentyńczyka sprawiało mu przyjemność, cieszył się, że w końcu spotkał kogoś, kto doskonale zna się na bydle.

Na farmę Heselwooda przyjechał na długo przed swoim chlebodawcą. Clarrie i Snow powitali go z radością i ciekawie słuchali nowin. Do późna w noc siedzieli przy ognisku.

- Skoro jesteś wolny, to po co wróciłeś? - zapytał Clarrie.
- Dałem słowo, że wrócę, a szczerze mówiąc, on wy dostał mnie z więzienia. Poza tym dzięki wam, chłopcy, wiele się uczę. Z tego co widzę, byliście zajęci.
- A, jakoś trzeba było zabić czas. - Snow machnął ręką. - Czarni znieśli nam drewno i pomogli zbudować barak. Jest

272

dłuższy niż zwykle, bo jedną część oddzieliliśmy dla szefa. I powiem ci, cośmy znaleźli, jest wapień w tych niskich wzgórzach, więc będziemy mogli w kuchni zbudować komin jak się patrzy.

Pomysłowość tych dwóch mężczyzn po raz kolejny zrobiła wrażenie na

Irlandczyku. Nazajutrz wstali o świcie, żeby przygotować paliki do niekończących się płotów, później sprawdzili stan stada.

Snow został w obozie, Clarrie i Pace pojechali spędzać byki. Stary ostrzegł Pace'a, żeby trzymał się na uboczu i patrzył, dopóki nie będzie pewny, że wie, o co w tym chodzi. Clarrie w przerażającym tempie gonił zbłąkanego byka, przedzierał się przez gęste zarośla, zakręcał i gwałtownie zmieniał kierunek, aż wreszcie zawrócił zwierzę i zapędził na pastwisko.

- Uparty piekielnik - uśmiechnął się Clarrie, kiedy Pace się z nim zrównał.

- Tak jak ty - odparł Pace. - Myślałem, że złamiesz sobie kark! To dopiero była jazda!

- Nie. Musiałem tylko trzymać się w siodle. Koń wie, co robi. Musisz poznać własny busz, żeby nie zaplątać się w gęste krzaki ani nie pogruchotać sobie kości, wpadając na zwisający konar. Niejeden stary byk będzie chciał cię tam zapędzić, ale ty masz czworo oczu, a on tylko dwoje. Dwa miesiące później Jasin Heselwood przybył ze swoimi ludźmi i dwoma wozami. Tuman kurzu na horyzoncie zapowiadał nadejście kolejnego stada.

Pace patrzył na wozy toczące się przez bramę. Na jednym siedziała kobieta! Wszedł, żeby powitać przybyszów, i zobaczył, że kobietą jest Milly Forrest, której zsiąść pomaga jej mąż Dermott. Milly wyglądała na znużoną i zakurzoną, jej długą spódnicę pokrywały plamy zaschniętego błota.

- Czy ja dobrze widzę? - zawołał. - To wy, Dermott i Milly! Co robicie w tej dziczy?

- Przyjechaliśmy tu zamieszkać - odparł Dermott jak zwykle nieśmiało, za to Milly rzuciła się Pace'owi na szyję.

- Tak się cieszę, że cię widzę, Pace! Dopiero w połowie drogi powiedział nam, że tu jesteś - dodała szeptem.

- Nie dziwię się - wyszczerzył zęby Pace. - Ale ty musisz być wykończona po takiej podróży, Milly.

273

- Padam z nóg - szepnęła znowu - ale on nie chciał, żebym jechała, więc mnie nie zdradz. - Ruchem głowy wskazała Heselwooda, który rozmawiał ze Snowem i Clarriem.

- Siadajcie, zrobię wam herbaty.

Wciąż zdumiony, Pace zaprowadził ich do baraku. Clarrie zawołał go, chciał zamienić słowo na boku.

- Co ta kobieta tu robi?

- Mnie nie pytaj - odparł Pace. - Ale ja ich znam jeszcze ze statku.

- No i nie ma pokoju dla szefa - uśmiechnął się Clarrie.

- Musimy oddać go małżonkom. On musi spać z nami albo w namiocie.

W baraku nie było żadnych mebli, Milly jednak nie narzekała.

- Przywieźliśmy trochę sprzętów - powiedziała - niewiele, łóżko i stół, to na początek wystarczy. Dermott jest zręcznym stolarzem.

Pace kręcił głową i czekał na okazję rozmowy z Dermottem. Ten wyjaśnił mu, że są współnikami Heselwooda.

- Zupełnie mnie zatkało - opowiadał później Clarriemu.

- A jak moja żona dowie się, że tu jest kobieta, będę musiał słono za to zapłacić.

Poganiacze zostali na farmie jako oborowi, Dermott przywiózł robotników do budowy domu i wszyscy zabrali się rażno do pracy. Snow został kucharzem, a Milly jego pomocnicą. Ponieważ robiła, co jej kazał, nie



miał nic przeciwko temu.

- Odważna z niej kobietka - przyznał gawędząc z Pace'em.

- Po mojemu ma więcej ikry niż jej stary.

Milly i Dermott ze wstrząsem przyjęli wiadomość o śmierci Adelaide.

Pace powiedział im, że miała kłopoty z sercem.

Heselwood uważnie słuchał i tak jak Pace się spodziewał, w końcu nie wytrzymał.

- A ty skąd o tym wszystkim wiesz?

- Posłała po mnie, więc ją odwiedziłem.

- A kto dał ci pozwolenie na wyjazd poza farmę, jeśli wolno spytać?

- Sam sobie dałem. Czego się dowiedziałeś o możliwości oczyszczenia mnie z zarzutów?

- Na tym etapie to nie jest możliwe.

274

- Przeklęty łgarz z ciebie. Sam to sprawdziłem i dowiedziałem się, że nie masz prawa mnie tu trzymać.

- Więc zajmowałeś się wszystkim, tylko nie moimi sprawami?

- Nie znajdziesz powodów do narzekań.

- Przypuszczam, że teraz odejdiesz?

- Wyjazd z pustymi rękami byłby bez sensu - odparł Pace. - Masz bydło gotowe do sprzedaży. Zapłacisz po dwa funty mnie, Clarriemu i Snowowi, to zaprowadzimy je na targ.

- Po dwa funty dla każdego? Wykluczone!

- No to sam je sobie pędź. Reszta ludzi potrzebna jest tutaj.

- Zastanowię się - spotulniał Jasin.

- Jak będziesz się zastanawiał, to pomyśl też o dwudziestu funtach zapłaty

dla każdego.

- Clarrie i Snow nie chcieli zapłaty. Zgodzili się pracować za utrzymanie.
- Rozejrzyj się, ty kutwo, odwalili robotę za dziesięciu.
- Ciebie zatrudniłem jako więźnia, nie możesz spodziewać się zapłaty.
- Wóz albo przewóz. Płacisz nam, a jak nie, to odchodzimy i zostawiamy cię z bydłem.

Nazajutrz zgodnie z oczekiwaniami Pace'a Jasin przystał na jego warunki.

- Dwadzieścia dwa funty dla każdego i ani pensa więcej. Dermott z żalem żegnał Pace'a.
- Sądziłem, że zostaniesz... Dobrze mieć przyjaciela, na którym można polegać. Zostań, będziesz jednym z rodziny.
- Dziękuję, Dermocie, ale mam własną ziemię na północ stąd, więc niedługo wrócę.

Wciąż się zastanawiał, dlaczego Heselwood pozwala Forrestom przejąć farmę. Pamiętał, z jakim podnieceniem Jasin wytyczał granice i planował zbudowanie domu. To była piękna posiadłość. Dlaczego oddał ją Milly i Dermottowi? Musi mieć coś lepszego w zanadrzu.

- Gdzie są róże? - zawołał Pace, wchodząc na małą werandę. Dolour wybiegła mu na powitanie.
- Ach, ty głuptasie, róże trzeba hodować. - Ucałowała go czule. - Ale masz brodę! Wyglądasz jak dzikus.

275

- I tak się czuję. Podróż powrotna była ciężka, rzeki wezbrały, na szlakach pełno było błota i ciągle lało. - Objął ją w pasie i wprowadził do środka. - Marzyłem o suchym łóżku i towarzystwie.
- Dolour pobiegła przed nim.

- Co myślisz o domu? Lepiej wygląda? Zostajesz teraz? Och, Pace, tak się cieszę, że jesteś, i popatrz tylko na mnie, wyglądam okropnie. Jesteś głodny?

- Hejże, powoli. - Znowu ją pocałował. - Ty zawsze pięknie wyglądasz. A dom zmienił się nie do poznania. - Pace wyszedł na tylny ganek i śmiejąc się ściągnął buty. - Jeden z naszych sąsiadów, stary McPhie, ma gromadkę synów. Najstarszy się ożenił i sprowadził żonę do domu. I ona uszyła firanki, zawiesiła je w oknach, ale jej świekra, pani McPhie, która odstrasza kruki samym wyglądem, zerwała je i podarła na strzępy. Powiedziała, że zatrzymują światło. - Spojrzał na Dolour z błyskiem w oku. - Ale twoich nie zerwę.

- Och, żartowniś z ciebie, MacNamara. Zostaniesz?

- Na jakiś czas. Uśmiechnęło się do nas szczęście. Mieliśmy pędzić bydło do Bathurst, ale Heselwood dostał dobrą cenę i sprzedał je tutaj. Serce stanęło jej na moment, kiedy usłyszała to nazwisko, i pośpiesznie zmieniła temat.

- Dostałam pracę w kuchni w zajeździe. Nie mogli płacić, ale dali mi różne rzeczy do domu, kilka krzeseł i pościel, którą połatałam. Zbierałam kurze pióra i zrobiłam z nich materac. Chodź i zobacz, Pace.

Obszedł z nią domek, z przyjemnością oglądając rezultaty jej wysiłków.

- Jest czysty jak nowy - oznajmiła z dumą Dolour. - Zrobiłam ogród warzywny z tyłu i rabaty kwiatów z przodu.

Tak rozpaczliwie pragnęła go zadowolić, że Pace poczuł wzruszenie.

- Nie poznałbym tego miejsca. Bardzo się napracowałeś, jestem z ciebie dumny. Dostaniemy za niego dobrą cenę.

- Co ty mówisz? To nasz dom! Chyba nie chcesz go sprzedać?

- Dolour, granice zostały poszerzone. Pan Batterson na pewno już zarejestrował farmę Kooramin na moje nazwisko. Czas

276

przejąć naszą ziemię. Myślałem, że będziesz chciała ze mną pojechać.

- Oczywiście, że chcę, ale wielka szkoda, że musimy sprzedać dom, przywiązałam się do niego.

- Potrzebujemy pieniędzy - odparł krótko Pace. - Chociaż na razie tu zostaniemy. Będę musiał wrócić do Bathurst i kupić tam bydło.

- Dlaczego nie możesz kupić stada tutaj?

- Bo tutaj sprzedają tylko bydło do uboju. Możesz się jeszcze przez jakiś czas nacieszyć domem, potem wyruszymy. I od razu ci powiem, że na farmie Heselwooda jest kobieta.

- Kto? Jego żona?

- Nie, Milly Forrest. Jej mąż też tam jest.

- Kim oni są?

- Wspólnikami Heselwooda, znam ich ze statku. To długa historia, potem ci ją opowiem. Teraz potrzebna mi gorąca kąpiel, obfita strawa i parę słodkich chwil we dwoje.

ROZDZIAŁ Trzydziesty.

Georgina czuła, że dusi się w Newcastle. W posiadłości Cormacków dręczyła ją samotność, u Burnettów znalazła się w istnym domu wariatów.

Wszędzie biegały psy, koty i rozwrzeszczane dzieci, do drzwi pukała niekończąca się procesja gości, którzy koniecznie chcieli ją poznać, podwieczorki codziennie trwały wiele godzin, a proszone kolacje wcale nie były lepsze.

Dzięki Edwardowi miała zajęcie. Zabierała go na długie spacer, żeby

uwolnić się od gwaru panującego w domu, i rozmyślała o matkach, które twierdziły, że rzeczą absolutnie niezbędną jest zatrudnienie piastunki. Georgina nie wątpiła, że postradałaby zmysły, gdyby nie towarzystwo Edwarda, i zadawała sobie pytanie, czy nie przesiała nadmiernie panującymi w kolonii zwyczajami, skoro uważa, że przestrzeganie konwenansów nie jest konieczne. W Anglii nigdy by się nie ośmieliła wychowywać dziecka samodzielnie, aczkolwiek teraz na podstawie własnych doświadczeń sądziła, że piastunki na tych konwenansach tylko zyskują. Georgina uwielbiała synka i nie znosiła, kiedy przebywał z dala

277

od niej; nigdy nie podejrzewała, że dziecko może być tak absorbujące. Kiedy wreszcie Heselwood przyjechał z Carlton Parku do Newcastle, rozgniewała się na wieść, że pozwolił Forrestom przejąć farmę.

- Siedzę w tym domu wariatów przez wiele miesięcy, nie mogę się doczekać, kiedy stąd wyjadę, a ty mi mówisz, że ta parweniuszka mieszka w naszej posiadłości! Tego już za wiele, Heselwood! Kupuję bilet i wracam z dzieckiem do mojej matki, dopóki się nie zdecydujesz, gdzie będziemy mieszkać.

- Tak mówisz, jakby to była moja wina - odparł ze złością Jasin. - Nie miałem pojęcia, że tych dwoje przyczepi się do nas jak pijawki. Jeśli jednak nalegasz, zbuduję ci dom w Carlton Parku. Tam jest mnóstwo miejsca. I będziesz ich miała wiecznie na swoim progu.

- Mogę też wrócić do Londynu - przypomniała mu.

- Posłuchaj, Georgino, zostawię im prowadzenie Carlton Parku, a sam zajmę ziemię na północy. Natychmiast. Słyszałem, że sto mil dalej są doskonałe wolne grunta, lepsze niż te tutaj, ale tym razem nie będę taki

skromny. Będziemy mieli naprawdę wielką posiadłość.

- Już mamy, Jasinie. Wydaje się, że postanowiłeś zrobić wszystko, żeby nasz dom zbudować tak daleko od cywilizacji, jak to możliwe. Nie zamierzam żyć jak pustelnica.

- I nie będziesz. Słyszałem pogłoski, że za kilka lat kolonia karna w Moreton Bay zostanie zlikwidowana, a port otwarty. To spowoduje wielki popyt na dobre pastwiska, które znajdują się na Darling Downs, w okolicach wzgórz nazwanych na cześć byłego gubernatora. Musimy być pierwsi.

- Ale co się stanie z Carlton Parkiem?

- Carlton Park należy do nas, jeśli jednak Forrestowie chcą tam pracować i dzielić się zyskami, to nie mamy powodu do narzekań. Ta Milly wyraźnie postanowiła zostać żoną osadnika, myśli, że dzięki temu znajdzie się wyżej na drabinie towarzyskiej. Żyje tam w brudzie i nędzy i czeka, aż mąż zbuduje dla niej dom.

- Musi być szalona!

- Cóż, to oczywiste. Próbowałem jej wytłumaczyć, że dama nie powinna się zbliżać do posiadłości, póki dom nie jest gotowy, ale to do niej nie trafiło, nie można jej przemówić do rozumu. Georgino, daj mi rok. Tylko o to proszę. Do tego czasu będę miał

278

nową farmę, przyzwoity dom i dobry zysk. Zostaniemy właścicielami dwóch posiadłości i będziemy urzędzeni do końca życia. Georgina wciąż miała wątpliwości. Podeszła do kołyski i popatrzyła na śpiącego Edwarda.

- Pomyśl o nim - powiedział Jasin. - Pomyśl o ziemi, którą odziedziczy. Nim dorośnie, te dwie farmy będą warte fortunę.

- Co nie zmienia faktu, że obecnie ja i Edward nie mamy gdzie mieszkać. Mówiłam ci, że tutaj nie zostanę.
- Nie musisz. Wynajmę dom. Sprowadzisz własne meble i do czasu ukończenia naszego domu będziesz mieszkała w Newcastle, gdzie znasz ludzi. Dasz mi ten jeden rok?
- Chyba tak, aczkolwiek to zależy od domu, jaki wynajmiesz - odparła nieprzekonana.

Znalezienie domu w Newcastle okazało się trudne - Jasin trafił na same nory. Zrezygnowany ruszył na targ, żeby przyjrzeć się stadom i porozmawiać z innymi hodowcami bydła, których było niewiele w tym okręgu zdominowanym przez hodowle owiec. Jasin musiał kupić byki do następnego stada, a hodowcy mogli mu podpowiedzieć, ile powinien zapłacić za najlepsze rozplodowe okazy. W relacjach z tymi ludźmi odnajdywał braterstwo i przyjaźń, jakich nigdy wcześniej nie doświadczył, i wiedział, że zaskarbił sobie ich szacunek własnymi wysiłkami, które jego ojca wprawiałyby w zdumienie. Rodzina pogrążona była w żałobie, w Boże Narodzenie bowiem zmarł Edward, a ponieważ średni z braci, Harrald, wędrował po Europie w poszukiwaniu kolejnej wojny, Jasin uważał, że czas najwyższy, by earl się przekonał o talentach i osiągnięciach najmłodszego syna. Zamierzał zaprosić rodziców do Carlton Parku, teraz wszakże te plany należało odłożyć. O ileż lepiej pokazać im dwie posiadłości wielkie jak angielskie hrabstwa.

Gawędził z Johnem Applebym i jego synami, hodowcami z rozległej farmy nad rzeką Goulburn, popijając jak oni brandy ze srebrnej piersiówki, która przy takich okazjach wydawała się obowiązkowym wyposażeniem, kiedy zobaczył Rivadavię. Nie mógł go nie zobaczyć, bo Argentyńczyk w

czarnej pelerynie i tym niesamowitym kapeluszu zdobionym srebrem wyglądał, jakby wybierał się na bal przebierańców. Jasin odwrócił się wolno, by uniknąć konieczności nawiązania rozmowy, jednakże ku jego zdziwieniu Appleby zawołał:

279

- Rivadavia, a niech mnie kule biją! Juan! Tutaj! On i synowie uśmiechali się do nadjeżdżającego, jakby był jakąś ważną figurą.

- Juanie, co za szczęśliwy traf, że się tu spotykamy. Pozwól, że ci przedstawię pana Jasina Heselwooda.

- Mieliśmy się już okazję poznać, sir. - Juan wydawał się zadowolony ze spotkania i to Jasina ułagodziło. Skoro Appleby akceptuje Argentyńczyka, to on też może. Zresztą co tu kryć, farma Hortona zrobiła na nim spore wrażenie. Nigdy nie wspomniał Rivadavii, że początkowo zamierzał pracować jako zarządca Chelmsfordu, bo dręczyła go myśl o tym niedoszłym projekcie. Macarthurowie mieli rację. O ileż łatwiejsze byłoby jego życie, gdyby się tam zdomowił z Georginą i synem, miałby stały dochód i czas na szukanie własnej ziemi. Zazdrościł Rivadavii i przypomniał sobie Vicky Horton, która wyszła za starego sir Percy'ego i pojechała do Anglii. Cóż, krzyżyk na drogę, na pewno Anglii nie polubi, a rodzina męża nigdy jej nie zaakceptuje.

- Jak się miewa pani Heselwood? - zapytał Juan.

- Doskonale, dziękuję panu. Całkiem zapomniałem, że się poznaliśmy - odparł Jasin. Zdecydował, że nie będzie wspominał o tamtej zdumiewającej wizycie Rivadavii, skoro Georgina go polubiła. - Obecnie jest w Newcastle.

- Twoja żona tu jest? - zdziwił się Appleby. - Musisz z nią do nas



przyjechać, moja żona będzie zachwycona, mogąc was gościć.

- Z miłą chęcią was odwiedzimy - rzekł Jasin - ale teraz przygotowuję się do wyprawy na północ.

- Dokąd się pan wybiera? - zapytał Juan zainteresowany i Jasin zastanawiał się, czy powiedzieć prawdę, wyboru jednak nie miał.

- Na Darling Downs.

- Doskonale - stwierdził Appleby. - Nie spotkałem nikogo, kto by tam był, ale okolica już cieszy się niezłą opinią. Mówiono mi, że to dobra ziemia.

- Za to wysoko położona - wtrącił Juan. - Słyszałem, że trudno tam dotrzeć.

- Przecież w nazwie jest nizina! - roześmiał się Jasin.

- Spotkałem traperów, którzy widzieli ten płaskowyż w oddali, ale nigdy tam nie byli - ciągnął Juan poważnie. - Jednakże z map odkrywców wynika, że jest to dobra ziemia z obfitymi rzekami.

280

Jeśli pan tam dotrze, powinien pan mieć idealne pastwiska dla bydła.

- Z przyjemnością tego słucham - powiedział Jasin notując w pamięci, żeby pogadać z Burnettem. Będą mu potrzebne dokładne mapy.

- Chętnie poszedłbym z panem - odezwał się nieśmiało młody Arthur Appleby. - Jak pan myśli, mógłbym mu towarzyszyć?

Zdziwiony Jasin przyjrzał się Arthurowi, który był silnym dwudziestoletnim mężczyzną.

- Nie byłbym ciężarem, panie Heselwood, robiłbym wszystko co trzeba - dodał młodzieniec.

- Jeśli ojciec się zgodzi... Appleby pojaśniał.

- To dla ciebie świetna okazja, chłopcze, słowo daję! Idź na północ i

zobacz, co tam jest. Jeśli go chcesz, Jasinie, to oczywiście się zgadzam.

- Kiedy wyruszamy? - zapytał Arthur podekscytowany.

- Nie od razu - roześmiał się Jasin. - Nie miałem ochoty na kolejną wędrowkę do Bathurst, zleciłem więc zakup handlarzowi bydłem.

Doprowadzi bydło do Singleton, tam je odbiorę. Dam ci znać z wyprzedzeniem, Arthurze, a ty możesz się rozejrzeć za poganiaczami. Nie widzę sensu w tym, by dwukrotnie odbywać tę samą drogę.

Cała grupa przeszła na drugi koniec placu, gdzie odbywały się aukcje, a Jasin przypomniał sobie, że czeka go przeprawa z Georginą, bo wciąż nie udało mu się znaleźć odpowiedniego domu. Rozgniewa się i znowu zacznie opowiadać te bzdury o wyjeździe do Anglii. Zobaczył Rivadavię żywo dyskutującego z Applebym o zaletach kilku sztuk bydła wystawionego na sprzedaż i uśmiechnął się pod nosem. Oczywiście! Georgina polubiła Argentyńczyka. Może dzięki niemu będzie miał dzisiaj spokój. Poklepał Rivadavię po ramieniu.

- Jeśli nie ma pan innych planów, może zechce nas pan odwiedzić? Jestem pewien, że Georginę bardzo pana widok ucieszy.

Kiedy wracali do miasta, Jasin skarżył się na kłopoty ze znalezieniem przyzwoitego domu w Newcastle.

- Georginę męczy mieszkanie pod cudzym dachem niezależnie od tego, jak gościnni są gospodarze. Błagałem ją, żeby

281

została w Sydney, gdzie miała luksusowe warunki, ale nalegała na przyjazd tutaj i myślę, że teraz tego żałuje.

- Kupiłem dom w tej okolicy - powiedział Juan. - To był główny dom na wielkiej owczej farmie Matsonów, którą podzielono na mniejsze

gospodarstwa. Jest bardzo porządny, z widokiem na ocean. Zawsze chciałem mieć letni dom nad morzem, a to była za dobra okazja, żeby ją przepuścić.

Jasin żałował, że podjął ten temat. Odpowiedź Juana go zirytowała, wyglądało na to, że Argentyńczyk nie wie, co robić z pieniędzmi.

- To świetnie się dla pana złożyło - mruknął.
- Jest do waszej dyspozycji, jeśli sobie życycie.
- Słucham? - zdziwił się Jasin.
- Nie będę w nim mieszkał przez jakiś czas - pośpiesznie wyjaśnił Juan. - Proponuję, byście go obejrżeli, a jeśli wyda się wam odpowiedni, będę zaszczycony, mogąc was w nim gościć. Naturalnie nie może być mowy o czynszu ani innego rodzaju opłatach.

Zdumiony Jasin ledwo wierzył własnym uszom.

- Drogi przyjacielu, to bardzo wielkoduszne! Znowu będę pańskim dłużnikiem, ale oczywiście decyzję podejmie Georgina.

Modlił się, by dom przypadł jej do gustu. Georgina nie była w nastroju do zgadzania się na dalsze niewygody. Poczuł się lepiej, bo jednak nie wracał z pustymi rękoma, i wesoło wjechał za bramę z argentyńskim gościem.

Stajenni byli przygaszeni. Georgina wyszła przed dom, ucałowała delikatnie Jasina, co wydało mu się dziwne, i powitała Juana bez entuzjazmu. Zaprowadziła gościa do salonu, a co było najdziwniejsze, rodzina Burnettów najwyraźniej rozplynęła się w powietrzu.

- Pozwoli pan, że na chwilę zostawimy go samego? - zwróciła się do Juana, po czym wyszła z mężem do ogrodu.
- Co się dzieje, Georgino? - wykrzyknął. - Mało uprzejmie witasz gościa, a ja mam dla ciebie dobrą wiadomość.

- Przepraszę go, Jasinie, ale muszę ci coś powiedzieć. Nadszedł list od twojej matki. Uprzedzam, że wieści są przygnębiające... Mój drogi, twój brat Harrald poległ w bitwie z Turkami.

Jasin zatoczył się.

- O mój Boże! Biedny Harrald. Czy nad synami Heselwoodów ciąży klątwa? A co on właściwie tam robił?

282

- Twoja matka pisze, że walczył po stronie Greków. Z goryczą nazywa to „modną wojną”.

- Moja nieszczęsna matka, najpierw Edward, teraz Harrald. Jak ojciec to przyjmuje? Przeklęty głupiec, zachęcał Harralda do tego szaleństwa, opowiadał o chwale wojennej! To jego obwiniam o śmierć brata. Teraz zostałem mu tylko ja! I nigdy nie obdarzył mnie nawet uśmiechem. W oczach błyszczały mu łzy. Georgina wiedziała, że Jasin był bardzo przywiązany do zawsze radosnego Harralda. Edward był inny, sympatyczny, ale zamknięty w sobie i dość chorowity; nie zaskoczyło jej, że umarł na suchoty.

- Chcesz teraz odpocząć, Jasinie? Głęboko odetchnął.

- Nie mam pojęcia, co robić, wiem tylko, że z nikim nie chcę się widzieć. Pójdę chyba do pokoju i napiszę do rodziców. Teraz ja jestem dziedzicem. Ja odziedziczę tytuł, choć wszystko wskazuje na to, że ojciec przeżyje synów. - W jego głosie brzmiało rozgoryczenie.

- Nie wydaje mi się - szepnęła Georgina. - Kiedy earl otrzymał tę wiadomość, doznał udaru. Wraca powoli do zdrowia, ale jest bardzo słaby.

- Jezu! - Jasin odwrócił się i ruszył ścieżką, z trudem oddychając.

Georgina podążyła za nim.

- Jasinie, czy twoim zdaniem powinniśmy teraz pojechać do Anglii?  
- Powinniśmy - odparł przygnębiony. - Tylko że jeśli pojedziemy, jesteśmy zrujnowani. Nie będę w stanie zwrócić kredytu w bankach i cała moja praca pójdzie na marne. Nie, droga Georgino, musimy tu zostać. W moim zasięgu jest szansa na stworzenie wielkich posiadłości w Nowej Południowej Walii i nie mogę się teraz wycofać. Staruszek dojdzie do siebie! Napiszę do matki. O mój Boże, zapomniałem o tym Hiszpanie. Mogłabyś pójść zamienić z nim parę słów? Ma dla nas dom.

- Dom? Gdzie?

- Nie gniewaj się, ale nie jestem w nastroju do rozmowy. Georgina po powrocie do salonu zobaczyła, że Rivadavia wciąż stoi. Nie zaproponowali mu, żeby usiadł. Uśmiechnęła się; miał nieskazitelne maniery, miła odmiana w tej prostej społeczności.

283

Georgina nigdy nie widziała Jasina tak zasmuconego.

Kilka dni później poprosiła Rivadavię, by pokazał jej dom. Jasina sparaliżował żal i paniczna obawa, że sam niedługo umrze. Juan jak zwykle był bardzo uprzejmy. Odznaczał się naturalnym taktem, za co Georgina była mu wdzięczna.

Kiedy powóz się toczył po zarośniętym zielskim podjeździe, serce jej się ścisnęło. Stary dom nie był w dobrym stanie.

- Proszę go jeszcze nie osądzać - powiedział Juan. - Najpierw niech pani popatrzy stąd. - Wprowadził ją na szeroką werandę. - Widać przepływające statki i wieloryby. Podziwianie morza nigdy nie jest nudne.  
- Tak, wiem, ale nie sędzę, by ten dom był odpowiedni, naprawdę.

Jego twarz rozjaśniła się w szerokim uśmiechu.

- Dlatego taki jestem rad, że pani przyjechała go zobaczyć. Proszę mi powiedzieć, jak pani by go przebudowała?

Powiodła wzrokiem dokoła, zastanawiając się, od czego zacząć.

- Nie wiem. Nigdy takich rzeczy nie robiłam.

- Proszę spróbować. - Patrzył jej w oczy i poczuła się pewniej. To nie było wyzwanie, ofiarował jej wsparcie i przyjaźń.

- Wolałabym nie - uśmiechnęła się. - Mam wrażenie, że mógłby pan zrobić to lepiej ode mnie.

- Ale całości brakowałyby kobiecej ręki. Dom w Chelmsfordzie urządzam według własnego gustu i widzę, że kopiuję pomysły swojej matki. Tu natomiast ma być letni dom, nie hacjenda. - Po chwili milczenia dodał: -

Pani bywała w angielskich letnich domach, ja nie. Co należy zrobić?

- Cóż, w Anglii nie ma tych szerokich werand, ale podobają mi się, dają cień.

- Dobrze, werandy zostają. - Otworzył skrzypiące drzwi. Całe popołudnie wędrowali po zatęchłym domu, omawiając jego wady i zalety. Georginę zachwyciły solidne drewniane podłogi i przestronne wnętrza o wysokich sufitach. Ośmielona, w pewnej chwili oznajmiła:

- Ciemne boazerie na ścianach nie pasują do domu nad morzem.

- W takim razie wyrzucimy boazerie - zdecydował Juan, po czym poszli do kuchni, brzydkiego kamiennego pomieszczenia pod domem. - W zimie można tu chyba zmarznąć na kość.

284

- A żeby podać jedzenie, trzeba wyjść z domu - dodała Georgina. - Nim znajdzie się na stole, pewnie jest już zimne.

- Albo zalane deszczem - roześmiał się Juan, zapuszczając się w labirynt pokoi. - Meble są ohydne. Myślę, że musimy wszystkie wyrzucić i zacząć od nowa. Mam szczęście, że mogę liczyć na pani pomoc.

Georgina zarumieniała się. Była trochę zakłopotana, powiedział „my”.

Znowu wyszli przed dom.

- Zatrudnię ogrodników - rzekł Juan - tak więc ogrodami nie musi się pani martwić. Jest tu nawet ścieżka prowadząca nad morze, ale zobaczy ją pani innym razem, pani Heselwood. Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby zgodziła się pani nadzorować remont.

Poprosił ją, by mówiła mu po imieniu, co biorąc pod uwagę jego wiek było jak najbardziej stosowne, Georgina wszakże odetchnęła z ulgą, gdy sam w dalszym ciągu zwracał się do niej po nazwisku. Był wyjątkowo pociągającym mężczyzną, wszystko w nim połyskiwało, nawet wypolerowane paznokcie. Doceniała jego schludność, choć czuła się przy nim nieco skrępowana. Nie potrafiła odpędzić myśli o Adelaide, o nich jako kochankach; myśli utrzymywały się niczym aromat egzotycznego kwiatu, niemal ujawniającego kształt kielicha, którego nie chciała oglądać.

- Z największą przyjemnością - odparła. - Będę miała czym się zająć pod nieobecność Jasina.

Georgina zauważyła kolejną zmianę w sobie. Nim przyjechała do tego kraju, nigdy nie pragnęła niczym się zajmować. A teraz cieszyła się, że będzie robiła coś pożytecznego.

- Czy zechce pani tu zamieszkać po skończonym remoncie?

- Będziemy wdzięczni. Dziękuję.

Gwizdnął na stangreta, co wydało jej się zabawne, a kiedy pomagał jej wsiadać, ogarnęła ją fala ciepła od jego dotyku i pojęła, co tak pociągało

nieszczęsną Adelaide.

- Proszę powiedzieć rzemieślnikom, żeby rachunki przesyłali do mojego banku - mówił Juan. - Bardzo się cieszę, myślę, że to będzie najpiękniejszy dom w Newcastle.

Georgina przytaknęła, ponuro myśląc, że pieniądze potrafią zdziałać cuda. Miała nadzieję, że kiedy zaczną wreszcie stawiać własny dom na północy, wystarczy im gotówki na zbudowanie czegoś

285

przynajmniej w połowie dobrego. Zorientowała się już, że rzemieślnicy w tym kraju nie będą pracować za zaliczki, i martwiła się, że jej mąż nie zdążył jeszcze pojąć niektórych aspektów życia w kolonii tak dobrze jak ona.

Juan wydawał się pogrążony we własnych sprawach, a ona rozmyślała o Edwardzie. Przypomniła sobie o dziecku Juana i postanowiła o nie zapytać. Nie da się tego tematu omijać w nieskończoność.

- Edward pewnie się zastanawia, gdzie jest mama - zaczęła. - Ty masz córkę, prawda, Juanie?

- Tak. Córkę Dell - odparł czule. - Znała pani Dell?

- Tak. Była uroczą kobietą. O jej odejściu jednak dowiedziałam się ostatnia - powiedziała Georgina słabo.

- Kochałem Dell, ale ona nie kochała mnie dostatecznie mocno, żeby wyjść za mnie.

Georgina nie miała ochoty zagłębiać się w szczegóły ich związku, uznała wszakże, iż niegrzecznością byłoby nie okazać zainteresowania.

- Przykro mi to słyszeć.

- Jej przyjaciel Pace MacNamara oskarżył mnie, że ją unieszczęśliwiłem,



nie żeniąc się z nią, zwłaszcza kiedy nosiła moje dziecko, ale on tego nie rozumiał - ciągnął Juan ze smutkiem w czarnych oczach. Spojrzał na Georginę, szukając odpowiednich słów. - Widzi pani, Adelaide się nas wstydziła. Pragnęła małżeństwa wyłącznie ze względu na kawałek papieru. Kochała mnie, ale nie chciała, by ją ze mną widywano. Byłem za młody, nie byłem Anglikiem. Nigdy nie pojechała ze mną do miasta czy z wizytą na inne farmy, była szczęśliwa tylko w Chelmsfordzie, pomiędzy ludźmi, którzy jej zdaniem się nie liczyli. I to prawda, cały czas mówiła o małżeństwie, ale nie kochała mnie dostatecznie mocno. Wiedziałem, że akt ślubu niczego nie zmieni. Zawsze porównywałyby mnie w towarzystwie do swojego męża profesora, który nie wyróżniał się spośród innych jak ja. Łączyła nas miłość, piękna miłość, ale w swoim sercu Dell nigdy do końca mnie nie zaakceptowała, a ja nie mogłem się z tym pogodzić.

- Tak mi przykro - powtórzyła Georgina, dokładając starań, by nie wymknęło jej się słowo, które mogłoby zabrzmieć protekcyjnie lub krytycznie.

Juan poweselał.

286

- Moja córka Rosa jest piękna. Przywiozę ją pewnego dnia, żeby pani ją poznała, i kupimy jej śliczne sukienki. Na farmie ma dobrą opiekę, wszyscy ją kochają.

Georgina była zajęta remontem domu Argentyńczyka, Burnett całe dni spędzał w biurze i Jasin stwierdził, że nie ma co robić. Jak powiedział żonie, czuje się niczym „mebel, który przestawiają przy zamiataniu”. Nalegał, by jak najszybciej skończyła pracę, dzięki czemu mogliby się wprowadzić i być wreszcie sami. Pewnego razu pojechał z nią do tego

domu. Zburzono ściany, w pokojach unosiły się kłęby kurzu, ogród wypalano. Zapach palących się liści przypominał mu pobyt w dziczy, gdzie pod koniec lata wiatr zawsze niósł woń dymu, słodki aromat palonych eukaliptusów, który utrzymywał się długo w powietrzu.

Jedną z pierwszych rzeczy, jakie Clarrie i Snow zrobili w Carlton Parku, było podpalenie wielkiej połaci trawy. Na poganiaczach nie zrobiło to wrażenia, za to Jasin i MacNamara byli niespokojni.

Clarrie śmiechem zbył ich obawy.

- Wypalamy starą kwaśną trawę, żeby na jej miejscu wyrosła świeża. Nauczyl nas tego czarni, oni ciągle to robią. Ogień niszczy śmieci, użyźnia ziemię. Ale trzeba uważać, kiedy się igra z żywiołem. Na jego drodze nie może być domu ani zbiorów, bo nic z nich nie zostanie. Zawsze trzeba wykarczować przecinkę, żeby chroniła dom.

Jasin zapamiętał tę radę i zastanawiał się, czy ktoś udzielił takiej samej Dermottowi. Powinien pojechać tam na inspekcję tak szybko, jak to będzie możliwe, chociaż wpierw ma wiele innych spraw do załatwienia.

W Newcastle nie było klubów, a jedyny hotel aspirujący do jakiego takiego poziomu był ulubionym lokalem owczarzy, którzy hodowców bydła traktowali jak intruzów. Jasinowi takie podejście wydało się niewiarygodnie głupie, skoro handlowali wełną, nie mięsem, zdawał sobie wszakże sprawę, że ta wrogość przyniesie mu korzyść. Dzięki niej stada bydła pozostaną nieliczne, a ceny wysokie.

Dni wlokły się jeden za drugim, a on był spięty i zdenerwowany.

Rozmyślał o śmierci brata i pechu, jaki najwyraźniej prześladował rodzinę. Nie mógł poczynić żadnych ustaleń dotyczących wyprawy na północ, póki nie pojawi się handlarz, niejaki Slater,

z bydłem. Przed zapłatą chciał na własne oczy zobaczyć, co Slater dla niego wybrał. Później w towarzystwie Arthura Appleby'ego i paru poganiaczy ruszy ze stadem na północ, postępując podobnie jak poprzednio.

Kiedy zbliżał się termin dostarczenia stada do Singleton, był zadowolony, że ma pretekst do opuszczenia Newcastle.

- Tym razem nie wyjeżdżam na długo - powiedział Georginie. - Muszę sprawdzić jakość bydła, dopilnować, żeby przeszło inspekcję, znaleźć dla stada jakieś miejsce. Potem wrócę i zajmę się gromadzeniem ludzi i sprzętu na wyprawę.

Nie mógł się doczekać wędrówki na północ. Arthur namówił kilku przyjaciół, żeby razem z nim wybrali się w nieznaną krainę - będą mogli mu pomóc w obmierzaniu ziemi. Wiedział, że na poganiaczach może polegać, swoją pracę wykonają dobrze bez jego nadzoru.

Kiedy jechał przez Maitland, dokuczał mu ziąb. Noc spędził w mieście z nadzieją, że deszcz ustanie, rozpętała się jednak kolejna burza. Mijał wozy brnące w błocie.

Ciężką kurtę miał przemoczoną do nitki, kiedy zsiadł z konia na posterunku wojskowym, kopalni wszelkich informacji o okręgu Singleton. Sierżant ucieszył się na jego widok.

- O, pan Heselwood! Jeździec przywiózł wiadomość dla pana. Gdzież ja to włożyłem? - Wyjął plik papierów z przegródki. - Trochę pada, co? Ach, tu jest! Poganiacz przekazał wiadomość parę dni temu, sam ją zapisałem, bo on nie umiał, rozumie pan. Proszę. Wiadomość od Harry'ego Slatera, handlarza bydłem. Harry powiada, że rzeka Macquarie wezbrała i pańskie

stado tam utknęło. No to pech.

Jasin był wściekły.

- To nie jest pech! Powinien już dawno tu być! Co ten drań wyprawia? Ile czasu może mu zabrać dotarcie tutaj?

- Bóg jeden wie. Cała okolica to jedno wielkie trzęsawisko. Takich deszczów nie było od lat. Według mnie popada jeszcze kilka tygodni.

- Do diabła! - Jasin nie miał zamiaru spędzić w tym obskurnym miasteczku kilku tygodni. - Będę musiał wrócić. Gdzie mogę zostawić stado, kiedy tu wreszcie dotrą? Chciałbym to załatwić, skoro tutaj jestem.

288

- Slater ma niewielkie pastwisko parę mil dalej, przy szlaku. Przez jakiś czas może tam stado zatrzymać. Zabiera je pan nad Namoi?

- Nie, dalej na północ, o wiele dalej.

- W takim razie stado trochę tu pobędzie, co?

Jasin spojrzał na niego pustym wzrokiem, nie rozumiejąc tej uwagi, ale miał inne sprawy na głowie.

- Oto mój adres w Newcastle. Powiedz temu Slaterowi, żeby dał mi znać, jak tu dotrze. A znasz człowieka nazwiskiem Pace MacNamara? Gdzie mogę go znaleźć?

- Jasne, że znam. Mieszka na końcu North Road.

- Dziękuję.

Niewiele czasu zajęło mu znalezienie domu, szopy właściwie, jak poprawił się w myślach. MacNamara nie ma grosza przy duszy, przypuszczalnie wynajmuje tę norę i ima się dorywczych prac, o ile w ogóle pracuje. Jasin zastanawiał się, czy Irlandczyk rzeczywiście wziął ziemię na zachodzie. Nic o tym nie mówiono, a Jasin nie zniżył się do

wypytywania. Do tego czasu MacNamara pewnie wydał całą zapłatę w tawernie i chętnie zgodzi się być poganiaczem. Zastukał szpicrutą w drzwi, które otworzyła kobieta... kobieta z burzą rudych włosów. Jasin cofnął się zaskoczony.

- Dolour! To ty?

Była równie zaskoczona jak jej gość. Zarumieniła się, jej miękkie usta ułożyły się w okrągłe „o”, choć nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

- Moja kochana Dolour! - zawołał Jasin. - Cóż za szczęśliwy traf!

Wszędzie cię szukałem. Pojechałem do Parramatty i byłem w hotelu Nelson...

- Kiedy ci to pasowało - warknęła. - Czym mogę panu służyć, panie Heselwood?

Udał, że nie słyszy gniewu w jej głosie. Pośpiesznie objął ją w talii i poczuł, jak rośnie w nim pożądanie.

- Och, moja droga, jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek. Ona jednak go odepchnęła.

- Nie, Dolour - mruknął z twarzą w jej włosach, mocno ją do siebie przytulając. - Czujesz, że cię pragnę? Pamiętasz, jak nam było razem? Tak bardzo za tobą tęskniłem. - Jego silne dłonie przesuwają się po znajomych kształtach okrytych cienką sukienką i niecierpliwa żądza, którą zawsze przy niej czuł, znowu powróciła... Zbyt długo byli rozdzieleni.

289

Walczyła z nim, zaciskając usta przed jego pocałunkami. Wreszcie go odepchnęła i cofnęła się poprawiając suknię.

- Odejdź, Jasinie! Między nami wszystko skończone! Znowu wyciągnął ku niej rękę, uśmiechnięty, zakochany.

- Nie, Dolour, to nigdy się nie skończy. - Mówił łagodniej, pieszczotliwie, ostatecznie dla niej to też było zaskoczenie. - Chodź, Kochaj się ze mną, a zobaczysz, że nic się nie zmieniło. Pragnę cię mocniej niż kiedykolwiek. Jesteśmy wolni. Jestem tutaj sam, mamy tyle czasu, ile zechcemy.

- Nie!

Odgarnęła włosy z twarzy. Dostrzegłszy na jej palcu wąską srebrną obrączkę, gniewnym ruchem złapał jej dłoń.

- Czy to ślubna obrączka? Kiedy wyszłaś za mąż? Przyszedłbym po ciebie! Przyszedłem! - Dotarło do niego, czyj to jest dom, i nim jeszcze mu powiedziała, on już wiedział.

- Wyszłam za Pace'a MacNamara i lepiej do tego przywyknij.

Patrzył na nią bez słowa, trzęsąc się z frustracji.

- Kiedy to się stało?

- Nie twój interes. Przyszedłeś zobaczyć się z moim mężem?

- Przyszedłem zaproponować poganiaczowi pracę - odparł lodowato.

- Znajdziesz go na targu, jest na aukcji koni.

Jasin szybko odzyskał panowanie nad sobą. Nie zamierzał łatwo rezygnować. Zmusił się do śmiechu.

- Dziękuję, pani MacNamara. Skoro jednak zostaliśmy sobie oficjalnie przedstawieni i zrobiłaś to, co powinna każda żonka, chodź do mnie. -

Wyciągnął ku niej ramiona. - Ja też jestem żonaty, wiesz o tym. Tobie nie robiło to żadnej różnicy, dlaczego miałyby mieć dla mnie znaczenie?

Wciąż jesteś moją piękną Dolour, wciąż jesteśmy Kochankami.

Obronny ruchem Dolour przyciągnęła ku sobie drzwi.

- Nie mów takich rzeczy, Jasinie. Musisz odejść i zostawić mnie w spokoju.

Słyszał w jej głosie strach i wydawało mu się, że rozumie jego powód.

- Nie przejmuj się MacNamarą. Wyślę go z moim stadem. I tak zamierzałem to zrobić. A potem do ciebie wrócę.

Zamiast zamknąć drzwi, otworzyła je na oścież i krzyknęła:

290

- Nie potrafisz wbić sobie tego do głowy? Cokolwiek do ciebie czułam, to już minęło. Pół roku w manufakturze zabiło we mnie wszelkie uczucia.

- To nie była moja wina.

- Nieważne, czyja to była wina. Ja też byłam głupia. A teraz idź sobie.

- Mogę sobie pójść - wycedził z uśmiechem. - I mogę powiedzieć o nas MacNamarze. Założę się, że ty tego nie zrobiłaś. A jeśli mu powiem, twoje drogocenne małżeństwo nie będzie warte funta kłaków.

- Wiedziałaś, że taki dzień nadejdzie, i przygotowałam się - odparła z gniewem, sięgając za drzwi. W jej dłoniach pojawiła się strzelba. -

Ostrzegałam cię, że nie masz do czynienia z mleczką. Jeśli kiedykolwiek powiesz MacNamarze o nas, wpakuję ci kulę w głowę.

- Nie zachowuj się tak melodramatycznie, kobieto. Odłóż tę broń.

- Nie! Mówię poważnie! Wynoś się z mojej ziemi. Jeśli chcesz porozmawiać z moim mężem, to go poszukaj.

Jasin dołożył starań, by odejść wolnym krokiem. Odwrócił się, by do niej pomachać, podziwiając krągłości jej figury i zmysłową postawę.

- Ty mała kokietko - mruknął do siebie. - Płonie w tobie żar. Męką jest teraz cię zostawiać, ale będą inne okazje. Jeszcze tu wrócę.

Świadomość, że Dolour jest blisko, dodała mu ochoty do życia, świat nabrał nowych barw.

W obecnym stanie umysłu był gotów na wszystko, byle tylko odzyskać

Dolour. Jego żona wydawała się nijaka przy tej tryskającej wigorem irlandzkiej dziewczynie. Zamierzał zatrudnić MacNamarę, zapłacić mu podwójnie, jeśli trzeba, i wysłać w drogę. Czas był po jego stronie. Jednakże rozmowa z MacNamarą zakończyła się fiaskiem. Irlandczyk nie przyjął jego oferty, sam kupował bydło.

- Co zrobisz ze stadem? - zapytał Jasin.
- Mam niewielką farmę.
- Więc jednak wzięłaś ziemię nad Namoi. Ile akrów?
- Wystarczy.
- Obok mojej posiadłości? - Jasinowi wydało się to zabawne.

291

- Nie. Działkę graniczącą z Carlton Parkiem kupił prawnik z Newcastle. Ale dlaczego ty kupujesz nowe stado? Moim zdaniem dopóki nie wykarczują następnych pastwisk, masz dość zwierząt.

- Zawsze przyda się więcej.

Pace mu nie wierzył, wypytał więc przyjacielskiego sierżanta, od którego usłyszał, że Heselwood ma pozwolenie na zabranie stada daleko na północ, na Darling Downs.

- Słyszałem o tym miejscu. Możesz mi pokazać, gdzie to jest?

Posterunek służył też jako oddział Biura do spraw Gruntów. Sierżant pokazał Pace'owi najświeższe mapy.

- To płaskowyż, trzeba mocno się namęczyć, żeby tam wejść, ale podobno warto, bo jest zielony jak angielskie łąki.
- Tak powiadasz?

Więc o to chodziło Heselwoodowi!... Pace wałęsał się po domu przez wiele dni, próbując wymyślić, jak mógłby być w dwóch miejscach naraz.



Musi przecież kupić stado, zbudować dom, poczynić stosowne ulepszenia, w przeciwnym razie straci farmę.

- Ciesz się z tego, co masz, MacNamara - poradziła mu żona. - Jak dalej będziesz tak się zachowywał, zlecisz w otchłań, zanim staniesz pewnie na nogach.

Sprzedali dom, spakowali skromny dobytek i wyruszyli do farmy Kooramin nad Namoi w towarzystwie sześciu poganiaczy i wielkiego stada bydła. Jej mąż widział przed sobą lata ciężkiej pracy, za to Dolour tryumfowała. Pokonała Heselwooda. Nie ośmielił się wspomnieć o ich romansie Pace'owi; dziękowała Bogu, że na zawsze się od niego uwolnili. I w duchu dziękowała Matce Boskiej, że nie kocha już Heselwooda, że go nie pożąda. Nie dorastał do pięt jej mężowi, za co była Opatrzności niezmiernie wdzięczna. Nie musiała się już martwić, wszak do tej chwili to Heselwood był jej największą troską.

Jednakże dla Jasina sprawa wcale się nie skończyła. Znowu zobaczył Dolour. Najpierw chciał donieść na Irlandczyka, że będąc więźniem na przepustce, złamał warunki, ale potem zmienił zdanie. To zwróciłoby uwagę władz także na niego samego, poza tym MacNamara zdołałby się wykręcić.

292

Za kilka tygodni z powodu opieszałości Slatera znowu będzie musiał wrócić do miasta i przypuszczał, że MacNamara nie będzie się bez celu włóczył po ulicach. W końcu dopiero zaczynał. Jasin wiedział, że MacNamara nie ma pieniędzy, minie wiele lat, nim człowiek taki jak on zbierze dość gotówki, by swoją działkę przystosować do zamieszkania. Kiedy następnym razem przyjedzie do Singleton, znowu odwiedzi Dolour

i przemówi jej do rozsądku. Pewnego dnia będą sąsiadami, powinni więc pozostać przyjaciółmi. W końcu czy to nie on wydobył jej męża z więzienia w Bathurst? Mógłby nawet przeprosić, wyjaśnić, że to zrozumiałe, iż tak zareagował na jej widok. Musiał teraz łagodniej ją potraktować, żeby zgodziła się na powrót do dawnego związku, bo przecież w gruncie rzeczy nic się nie zmieniło. Był przekonany, że ich wzajemne pożądanie nigdy nie wygaśnie. Wciąż wspominał Dolour, chwile spędzone z nią w tamtym łóżku, i to dodawało mu sił, pomagało przezwyciężyć rozczarowanie z powodu odbytej na próżno podróży, bo teraz uświadomił sobie, że wcale nie zmarnował czasu.

Remont letniego domu Rivadavii dobiegał końca i Georgina zamieszkała w nim z Edwardem, pokojówką, kucharką i ogrodnikiem. Jasin wzdrygał się na myśl o wypłacaniu dodatkowych pensji, bo przecież potrzebował każdego pensa, ale Georgina była w swoim żywiole i to stanowiło rekompensatę. Postanowił odwiedzić Burnetta w zaciszu jego gabinetu i uzyskać informacje o szlaku na północ, co pomoże mu oszacować wielkość zapasów.

Burnett nie krył zaskoczenia.

- Myślałem, że idziesz nad Namoi, Jasinie.
- Nie, plany uległy zmianie. Nad Namoi mam zarządcę. Chodzi mi o ziemię na Darling Downs.
- Drogi przyjacielu, jest za wcześnie, by tak daleko się wypuszczać.

W uszach Jasina zabrzmiały słowa sierżanta: „W takim razie stado trochę tu pobędzie, co?”

- Nie rozumiem, dlaczego tak mówisz. Wkrótce z Bathurst ściągnie tu moje bydło. Jak tylko skończy się zima, wyruszam w drogę.

- Jasinie, przestudiowałem notatki Cunninghama, a także sporządzone przez niego mapy. Wynika z nich, że najlepszą porą na podróż w tamte strony jest właśnie zima, na północy latem padają ulewne deszcze, bardziej obfite niż tutaj przez wiele lat.

293

- Dlaczego?

- Ponieważ to strefa tropikalna.

- Nonsens. Do równika jest stamtąd tysiąc mil, a może więcej.

- W takim razie subtropikalna. Poza tym szlak jest w gruncie rzeczy nieznanym. W tej grze nie zawsze opłaca się być pierwszym.

- Byłem pierwszy nad Namoi.

- Wędrowałeś w stosunkowo niedużej odległości od farm. Tam jest inaczej, trzeba przedrzeć się przez góry. Wolne grunta są bliżej, w Nowej Anglii. Sprawdź najpierw tam.

- Niewiele ich zostało, przypadłyby mi najgorsze. Nie, jestem zdecydowany zdobyć własną część Darling Downs.

- I możesz to zrobić, Jasinie, ale jeszcze nie teraz. Jedną sprawą jest być pionierem, zupełnie inną człowiekiem pogranicza. To zbyt niebezpieczne wypuszczać się tak daleko. Tamtejsi czarni wciąż wojują z białymi. Zamordowali kapitana Logana, komendanta Moreton Bay, kiedy był na patrolu. Odcięli biedakowi głowę, straszna śmierć.

- Mówisz mi, że powinienem siedzieć z założonymi rękami i pozwolić, żeby te ziemie wziął ktoś inny.

- Drogi przyjacielu, sam powiedziałeś, że są tam tysiące mil wolnych gruntów. Bezpieczniej jest poczekać.

- A jeśli i tak wyruszę? - upierał się Jasin.

- Mogę ci zabronić. Zamierzasz wyprawić się daleko poza granice. Nie zrobię tego, bo jestem twoim przyjacielem, mogę ci jednak powiedzieć, że w razie jakichkolwiek kłopotów nikt nie przyjdzie ci z pomocą, ani jeden żołnierz.

- Ale to jest blisko tego portu na rzece Brisbane.

- To jeszcze nie jest port, tylko kolonia karna. Porzuć ten projekt, Jasinie, podziwiam twoją odwagę, ale to po prostu wykluczone. Nie stracisz, jeśli poczekaś.

Jasin siedział jak rażony gromem. Wszystko zależało od jak najszybszego znalezienia nowych ziem, nim skończy się kredyt. Obciążył hipotekę Carlton Parku, żeby wyposażyć tę ekspedycję, liczył bowiem na zyski z większej posiadłości, stanowiącej poważniejsze zabezpieczenie. Ten plan wydawał się równie prosty jak jego pierwsza wyprawa. Co więc poszło nie tak? Pomyślał o Forrestach, usadowionych wygodnie na jego ziemi. Nie powinien był pochopnie decydować. Nic nigdy nie układa

294

się tak, jak planował. Głowa go bolała, pokój zdawał się wirować.

- Zawsze trzeba brać pod uwagę komplikacje - mówił Burnett. - Przykro mi, jeśli cię rozczarowałem, ale jeśli poczekaś rok, dwa, lepiej poznamy okolice tego wielkiego płaskowyżu. Wiem, że po drodze trzeba przeprowiać się przez szerokie rzeki, i więcej będziemy mogli ci o nich powiedzieć...

- A co z moim stadem? Jest już w drodze.

- Na tym na pewno nie stracisz. Wyślij bydło do swojej farmy nad Namoi. Nie rozumiem, dlaczego tym się przejmujesz.

- Nie! - Jasin nie pozwoli, żeby Forrestowie dostali stado bez żadnego

wysiłku z ich strony. Mogą się domagać połowy zysków.

- W takim razie od razu je sprzedaj. Kupców znajdziesz bez trudu, pierwszy Appleby chętnie je kupi. Wypij ze mną szklaneczkę, stary druhu. Jakże się wam mieszka w domu nad morzem? Brakuje nam ciebie i Georginy.

Jasin wstał trzęsąc się na całym ciele.

- Wybacz, ale muszę już iść. Jestem zmęczony.

Pragnął tylko wrócić do domu. A dom, myślał z goryczą, jest własnością Rivadavii.

Po drodze przemókł do nitki, wstrząsały nim konwulsyjne dreszcze. Nie potrafił oczyścić umysłu z myśli o klęsce.

Przez wiele tygodni był bardzo chory. Georgina osobiście się nim opiekowała. Doktor zdiagnozował grypę, ale jej to nie przekonało. Poza gorączką Jasin nie miał żadnych objawów grypy. Słuchając, jak mruczy, zamartwia się i krzyczy, zdała sobie sprawę, że mąż cierpi na załamanie nerwowe. Kiedy gorączka ustąpiła, jednego dnia był posepny i zamknięty w sobie, następnego zaś poirytowany i wymagający, sam nie wiedział, czego chce. Georgina odnosiła się do niego z wielką cierpliwością.

Rozumiała go. Nikt nie mógł wiedzieć, jak ciężko było Jasinowi w tym kraju, ile fizycznych niedogodności musiał znosić, martwiąc się przy tym nieustannie o finanse. Wychowanie nie przygotowało go na taki stres. Przyjaciołom mówiła, że mąż jest wciąż słaby po gwałtownym ataku grypy, i nie dopuszczała do niego gości. Nie mogła pozwolić, by ktokolwiek zobaczył Heselwooda w tym stanie.

Nadeszła wiadomość od Harry'ego Slatera. Stado znajdowało się na jego pastwisku, on sam zaś oczekiwał dalszych instrukcji.

Georgina ostrożnie poruszyła ten temat, Jasin jednak nie chciał rozmawiać. Wyprawa na północ została odwołana, a poza nią nic nie wydawało się ważne. Jasin stracił zainteresowanie czymkolwiek, siedział cicho z pledem na kolanach tam, gdzie żona go posadziła. Georgina zwróciła się o radę do Burnetta, który zajął się sprzedażą stada, zapewniając ją przy tym, że taki był zamiar Jasina.

Prace w domu Rivadavii zostały ostatecznie ukończone i Georgina uważała, że jest piękny. Kiedy pogoda się poprawiła, namówiła Jasina na spacer na plażę. Wydawał się w lepszym nastroju, aczkolwiek wciąż odmawiał rozmowy o interesach i nie otwierał przychodzących do niego listów.

Ich konto bankowe zostało przeniesione do Newcastle; Georgina w desperacji poszła porozmawiać z dyrektorem. Był to chudy człowieczek z łąsą głową, sumiastym wąsem i wypukłymi oczami. Zimne oczy, pomyślała, które zadają kłam jego gładkim słowom.

- Droga pani, wielki to dla mnie zaszczyt poznać panią. Przykro mi słyszeć, że pan Heselwood niedomaga. Proszę przekazać mu moje wyrazy szacunku. Widzę teraz, że spłaty kredytu nie zostały dokonane w terminie, ale proszę się tym nie martwić. Jestem przekonany, że pan Heselwood wszystko ureguluje, kiedy wróci do zdrowia. I oczywiście jest dodatkowy kredyt, zaciągnięty przez pana Heselwooda na tę ekspedycję. Jestem pewien, że pan Heselwood robi z niego dobry użytek, a tytuł własności nowej ziemi będzie doskonałym zabezpieczeniem. Jak szanowna pani widzi, jesteśmy niezwykle postępowi. Popieramy naszych posiadaczy ziemskich, dajemy im pole manewru, by tak rzec, proszę się zatem nie

troskać, moja droga, tylko powiedziec panu Heselwoodowi, żeby mnie odwiedził, kiedy poczuje się lepiej.

Odprowadził ją do głównych drzwi, gestem wzywając kasjera, który podbiegł i wręczył jej kopertę. Georgina domyślała się, że to wyciąg z konta z wielkością ich zadłużenia, najwyraźniej przeznaczony wyłącznie dla oczu Jasina. Dyrektor pomógł jej wsiąść do powozu, potem pomachał na pożegnanie. Otworzyła kopertę i zrobiło jej się niedobrze. Niewiele mogli oczekiwać z Carlton Parku, a to był ich jedyny dochód. Koszty życia uszczuplały kredyt zaciągnięty na północną ekspedycję. No i oczywiście był pierwszy kredyt oraz pieniądze pożyczone od Forrestów. Bez spłacenia tej pożyczki nie pozbędą się Forrestów z farmy. Boże,  
296

co za bałagan! westchnęła. Zastanawiała się, czy nie powinni sprzedać Carlton Parku Forrestom. To by sprawę rozwiązało.

Kiedy wszakże wspomniała o tym pomysle Jasinowi, wpadł w taką furję, że minęło całe popołudnie, nim się uspokoił. Georgina uświadomiła sobie, że mąż nie jest jeszcze gotowy na taką rozmowę. Myślała o powrocie do Anglii, gdyby jednak wyjechali, bank zająłby farmę i straciliby ją, przypuszczalnie i tak na rzecz Forrestów.

Pomimo tych trosk dbała o wesoły nastrój w domu. Zachęcała Jasina, żeby uczył Edwarda jazdy na kucyku i czytał mu bajki; doszła do wniosku, że syn jedyny odniósł korzyść z niedomagań Jasina. Chłopczyk uwielbiał ojca i krok w krok za nim dreptał.

Po przyjeździe do Newcastle Juan Rivadavia odwiedził swój dom nad morzem. Georgina obawiała się, że Jasin przyjmie go niechętnie, ale niepotrzebnie. Zamieniwszy kilka przyjaznych zdań z gościem, poszedł się

zdrzemnąć, Georgina i Juan natomiast wędrowali po domu, zadowoleni z rezultatów.

Usiedli w głównym salonie, żeby napić się herbaty. Wyraz twarzy Juana nie zdradzał, czy dostrzegł zmianę w Jasinie. Wyczerpawszy temat domu, Georgina stwierdziła, że rozmowa zaczyna kuleć.

- Myślałeś o powrocie do Argentyny, Juanie?

- Nie. Argentyną rządzi obecnie dyktator Rosas, co mojej rodzinie nie ułatwia życia. Lepiej, jeśli tutaj zostanę - uśmiechnął się. - Ale pani także opuściła kraj. Nie pragnie pani czasami do niego wrócić?

Popatrzyła na niego. Musiała z kimś porozmawiać i uznała, że to nie pora na zbędną delikatność.

- Chciałabym zabrać Jasina do Anglii na wakacje. Po tej grypie nie jest sobą.

Juan pokiwał głową i odniosła wrażenie, że zrozumiał, iż chodzi tu o coś więcej.

- Choroba zmusiła go do odłożenia w czasie wszystkich planów, co z kolei postawiło nas w dość trudnej sytuacji.

- Tak. Arthur Appleby mówił, że wyprawa na północ została przesunięta, ale nic w tym złego. Od razu pomyślałem, że jeszcze za wcześnie zapuszczać się tak daleko. W Argentynie wciąż są ziemie poza granicami, ale jeśli nadmiernie się oddalimy

297

od rynków zbytu i za bardzo wejdziemy w kraj Indian, nie będziemy mogli się rozwijać, rozumie pani? Tutaj jest tak samo.

- Zdaję sobie z tego sprawę. To dobra pora na wyjazd do Anglii. Ojciec Jasina kiepsko się czuje po śmierci obu synów. Chciałabym, żeby



teściowie zobaczyli Edwarda, to ich jedyny wnuk.

- W takim razie proszę jechać. Domem nie musi się pani przejmować. Mam nadzieję, że nie mieszka w nim pani tylko dlatego, żeby go pilnować.

- Nie, nie tylko dlatego. Jasin musi się uzbroić w cierpliwość, a to go irytuje, bo czuje się bezużyteczny. Szczerze jednak mówiąc, banki także nie grzeszą cierpliwością, wręcz przeciwnie. Wiszą nam nad głowami jak stado sępów. Zaproponowałam Jasinowi, żeby sprzedał Carlton Park, ale nie chce nawet o tym słyszeć.

- Dobry Boże! Nie możecie go sprzedać! Wartość tej ziemi wzrośnie. Jeśli się jej teraz pozbędziecie, będzie to oznaczało odrzucenie całej pracy pani męża, a przecież zdobycie tych gruntów kosztowało go tyle trudu! To wykluczone!

Georgina zamrugnęła. Wzięła ciasteczko, ale zaraz je odłożyła. Miała nadzieję, że w osobie Juana znajdzie sprzymierzeńca, który pomoże jej przekonać Jasina co do konieczności sprzedaży.

- Skoro mąż nie czuje się dobrze, to może ja porozmawiam z dyrektorem banku? Sądzę, że uda mi się go skłonić do zmiany nastawienia.

- Jak? Nie możemy dokonać płatności, których się domagają. Tego nie da się zmienić.

- Ale mogę zostać gwarantem waszego kredytu. Przekonam dyrektora, żeby przedłużył okres spłaty. A po powrocie z Anglii Jasin będzie gotowy do wyprawy na Darling Downs. Zamierzam to samo uczynić w przyszłości, mogę panią zapewnić, iż rzecz warta będzie zachodu.

Wpatrywała się w swoje dłonie, zmartwiona i niespokojna.

- Sama nie wiem. Jasin może się nie zgodzić.

- W takim razie proszę mu o niczym nie mówić, póki jego stan się nie poprawi. Najlepiej, jeśli wspomni mu o tym pani dopiero na statku do Anglii - uśmiechnął się Juan.

- Czy bank zaakceptuje twoją gwarancję? - zapytała Georgina ciekawie. - Nie chciałam, żeby zabrzmiało to aż tak niegrzecznie, ale czy naprawdę możesz to dla nas zrobić?

298

- Nie sprawi mi to najmniejszego problemu. Widzi pani, moja rodzina, a obecnie także przyjaciele za moim pośrednictwem inwestują w tym kraju. Pieniądze są tu bezpieczniejsze, bo nie wtrąca się do nich rząd. W Argentynie dyktator wyciska z posiadaczy ziemskich każdy grosz. Tutaj hiszpański dolar jest ceniony, tak więc u bankierów cieszę się wielkim respektem.

- Och, rozumiem. To wspaniale. W co inwestujesz?

- Dla nich? W węgiel, wełnę, statki, dla siebie w ziemię i bydło, ponieważ zamierzam tu pozostać. Lubię ten kraj, nie jest tak skomplikowany jak Argentyna, sprawy załatwia się tu bez porównania prościej.

- To musi być dla ciebie bardzo interesujące.

- O tak. A wracając do waszych wakacji, nic nie powinno was powstrzymywać. Nie możecie pozwolić, żeby banki decydowały o waszym życiu. Macie zabezpieczenie, rok w rok ziemia w granicach osiedlenia zyskuje na wartości.

Długo po jego odejściu siedziała na werandzie i dumiała. Miał swobodę i wdzięk człowieka dobrze wychowanego, lecz różnił się od młodych mężczyzn, których znała od dziecka. Bardzo się różnił. Był uwodzicielski i zarazem dojrzały, przez co sprawiał wrażenie o wiele starszego, wręcz

tajemniczego, w porównaniu jednak z Anglikami był nazbyt jaskrawy. Wolałaby, żeby Jasin przestał nazywać go Hiszpanem. To nie było konieczne.

Nazajutrz po południu pojechała swoim powozem do miasta, a po powrocie do domu z butelką szampana i dwoma kieliszkami na tacy poszła do altany, w której drzemał Jasin.

- Mój drogi, postanowiłam, że pojedziemy na wakacje z Edwardem do Anglii, i musimy to uczcić.

- Doskonały pomysł - uznał biorąc kieliszek. - Po prostu świetny.

Dopiero kiedy po raz trzeci napełniła kieliszki, wrócił do rzeczywistości.

- Pomysł jest doskonały, ale zupełnie niemożliwy do realizacji w obecnych warunkach, zapominasz, że jesteśmy nędzarami, żyjącymi na łasce tego Hiszpana.

To nie była pora na sprzeczkę, na przypomnienie mu, że w przeszłości jakoś nigdy nie miał obiekcji, by mieszkać pod cudzym dachem.

- Odwiedziłam dyrektora banku i zapytałam go o to. Powiedział, że powinniśmy jechać, tutaj nadchodzi upalne lato,

299

morskie powietrze będzie doskonałą odmianą, a do Londynu dopłyniemy na wiosnę. - Lekkim tonem powtarzała rzekomą dobrą radę bankiera. - Powiedział, że to świetne wyjście, skoro musiałeś odłożyć ekspedycję, i nie martw się o finanse, masz... - Georgina zawahała się, nie umiała sobie dokładnie przypomnieć słów Juana. - Och, nie wiem, nie pamiętam, ale wszystko jest w porządku. Nie ma powodów do zmartwienia.

- Ha! Zmienił melodię, co? Pewnie się zorientował, z kim ma do czynienia. Doskonale, pojedziemy. Ale na litość boską, Georgino, dopilnuj, żeby zamówił nam kajutę na przyzwoitym statku, w pierwszej klasie. Chyba otworzymy następną butelkę, żeby to uczcić.

Mąż zaakceptował pomysł i Georgina mogła się zająć wyjazdem. Z dumą wróci do Anglii z małym synkiem i przystojniejszym niż kiedykolwiek mężem, a także - o czym nie należy zapominać - właścicielem posiadłości zwanej Carlton Parkiem, kilka razy większej od posiadłości jego rodziców. Wiedziała, jakie to ważne dla Jasina.

Teraz, kiedy problemy finansowe zostały rozwiązane, a w perspektywie mieli rejs, Jasin szybko wracał do zdrowia. Nie minęło wiele czasu, a jak dawniej zaczął zajmować się interesami. Powiedział, że pozostało mu do załatwienia kilka spraw w Singleton, jakieś drobiazgi związane z bydłem albo z Carlton Parkiem, Georgina nie była pewna. Ponieważ jednak oznaczało to, że Jasin usunie się z domu i pozwoli jej w spokoju przygotować garderobę przy pomocy krawcowej, która zamieszkała u nich na tygodnie, jakie pozostały do rejsu, ucieszyła się z jego wyjazdu.

Jasin nie miał do załatwienia żadnych spraw w Singleton, chciał znowu zobaczyć się z Dolour.

Pojechał prosto do jej domu, nie przejmując się, czy zastanie MacNamarę. Jeśli tak, miał mnóstwo pretekstów do spotkania z nim, a jeśli nie, co było bardziej prawdopodobne, będzie mógł porozmawiać z Dolour. Zastosuje łagodną perswazję i przekona ją, żeby się z nim kochała. Chciał też powiadomić ją o wyjeździe do Anglii i zapewnić, że wróci do niej. Nie zamierzał więcej ryzykować, zostawiając ją w niewiedzy o miejscu swojego pobytu.

Na podwórzu nie było koni - dobry znak. Jasin zastukał do drzwi z uśmiechem na twarzy. Otworzył mężczyzna we flanelowej koszuli i zniszczonych spodniach, nie ogolony.

- Czego pan chcesz?
- Szukam Pace'a MacNamary - powiedział Jasin ostrożnie.
- Jesteś pan jego przyjacielem?
- Tak.

Mężczyzna podciągnął spodnie i wyszedł na ganek.

- Przepraszam, druhu, nie ma ich. Ja i moja pani kupiliśmy ten dom. Oni kilka dni temu wyjechali na swoją farmę. Jedziesz tam?
- Tak. Musiałem się z nimi rozminąć.

Kiedy wsiadał na konia, mężczyzna zawołał do niego:

- Jak się pan pośpieszysz, to ich dogonisz, pędzą stado!
- Dziękuję! - krzyknął w biegu Jasin i zawrócił. Wnętrznosci palił mu gniew. Wyjechała. Tym razem zmarnował czas. MacNamara wyruszył nad Namoi, na własną farmę, zabierając ze sobą Dolour. Wściekłość rosła, Jasin był tak zazdrosny o Irlandczyka, że mógłby go zabić. Gdyby wiedział, że tak ułożą się wypadki, zostawiłby go w więzieniu, żeby tam gnił. Ten irlandzki drań był za sprytny.

Jasin przez wiele dni pił w miejscowych tawernach, topiąc smutki w marnej whisky. Kiedy wytrzeźwiał, z potwornym bólem głowy i dwudniowym zarostem, stwierdził, że jest pomiędzy hołotą i zbójami, którzy obozowali na obrzeżach miasta, niedaleko ostatniej tawerny, będącej niczym więcej jak kamienną szopą. Poczęstowali go ognistym trunkiem, namówili, żeby kupił kolejne butelki, a on, oszołomiony i

zdezorientowany, siedział z nimi i słuchał ich opowieści.

Kilka dni później obudził się i zobaczył, że ogniska wygasły, a kompani zniknęli bez śladu. Zabrali mu portfel i sakwę.

Przeklinając własną głupotę, umył się w strumieniu i wrócił do Singleton, gdzie sprzedał konia i statkiem popłynął do Newcastle.

Szybko doszedł do siebie, do domu wrócił w dobrym humorze i z zadowoleniem przekonał się, że Georgina miała nad wszystkim kontrolę.

Spędzili kilka dni w Sydney, żeby zaopatrzyć się w modne stroje, po czym wsiedli na statek „Spennymoor” należący do

301

Kompanii Wschodnioindyjskiej, na którym wynajęli luksusową kajutę.

Popołudniowe słońce miało więcej barwy niż ciepła, gdy zachodziło za

Góry Błękitne, jednakże pasażerowie patrzeli na wschód, kiedy statek

płynął z wiatrem ku Sydney Heads, bramie na Pacyfik. Tym razem

bowiem żeglowali na wschód. Trasa wiodła przez przylądek Horn i

Atlantyk, a portem docelowym był Londyn.

ROZDZIAŁ Trzydziesty Pierwszy.

Dinny O'Meara, jak sam to ujmował, „zwiął temu draniowi Mudiemu”,

jednakże przez ten postępek napiętnował siebie jako zbiegłego więźnia,

człowieka, którego można zastrzelić bez ostrzeżenia. Szedł ku górom,

kiedy napadło go trzech drabów o dzikim wyglądzie z brodami jak ptasie

gniazda. Głodujący i bosi O'Meara ze śmiechem osunął się na ziemię.

- Nigdy nie dorobicie się fortuny, jak będziecie rabować ludzi, którzy nie mają grosza przy duszy!

Już wcześniej doszedł do wniosku, że jego jedyną szansą na przeżycie jest rozbój; musi zebrać dość pieniędzy, żeby wystarczyło na wyjazd do

Ameryki. Gdyby złapano go jako zbiegłego więźnia, skończyłby na szubienicy, pomyślał więc, że skoro tak, to niech przynajmniej będzie to kara zasłużona.

Trzej rabusie, także zbiegli więźniowie, zostali pierwszymi członkami jego bandy. Nie tylko byli do niczego jako złodzieje, ale też nie mieli pojęcia o buszu i ledwo udawało im się znaleźć tyle jedzenia, by nie umrzeć z głodu. Chętnie przystali do O'Meary, ponieważ wyglądało na to, że wie, co robi.

Chociaż chudy jak szczapa po więziennych racjach, O'Meara wydawał rozkazy dudniącym basem, na którego dźwięk podrywali się na nogi.

- Najpierw musimy zdobyć broń - powiedział. - Nie będę na nikogo napadał z pałką jak wy. Mam więcej szacunku dla własnej skóry. I potrzebujemy koni. Potem wyruszmy na północ i znajdziemy sobie bezpieczne obozowisko poza zasięgiem żołnierzy.

- Ja tam nie idę, tam są kanibale - oznajmił Jimmy Sims, najstarszy z całej grupy.

302

- Albo pójdziesz z nami, albo nie jesteś w naszej bandzie - odparł O'Meara. - Czarnymi się zajmiemy, jak do nich dojdziemy. Zaczniemy od pozbycia się żołnierzy.

Jimmy więcej się nie sprzeciwiał.

- Zgoda, ale jak się nazywasz?

- John Minogue, z Dublina - skłamał O'Meara. Pomyślał, że rodzina Minogue z zainteresowaniem usłyszałaby, że mają w swoim gronie rabusia. Uśmiechnął się do siebie, zawsze zamierzał ożenić się z jedną z dziewcząt z tej rodziny, dać jej swoje nazwisko, teraz jednak stało się odwrotnie. Jeśli jednak miał uciekać, nawet jego ludzie nie mogli znać

prawdziwego nazwiska swojego przywódcy.

Jego plany okazały się skuteczne. Zaczajali się na szlakach na samotnych jeźdźców, dopóki wszyscy członkowie bandy nie zostali wyposażeni do polowań i podróży. Później wrócili do Hunter Valley.

Jego ludzie patrzeli zdumieni, kiedy na wzgórzu, z którego rozciągał się widok na dolinę, zgolił brodę ukradzioną brzytwą i przyciął włosy, odkładając je na kawałek kory. Zrobił z nich sztuczną brodę za pomocą żywicy i pasków skóry. Klasnęli, kiedy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki nagle stał się zupełnie inną osobą.

- Wy, chłopcy, poczekacie na mnie - polecił. - Siedźcie tu cicho jak myszy pod miotłą. Muszę wrócić po przyjaciela, potem ruszamy galopem.

Udając duchownego, gładko ogolonego i protestanckiego w każdym calu, pojechał do Hunter Valley, żeby odszukać Brosnana. W zajazdach wciąż opowiadano o zamieszkach w Castle Forbes i zemście Mudiego. Trzech więźniów powieszono, jednego wysłano na przerażającą wyspę Norfolk, powiadano też, że skazańców nadal chłostano za bunt. Nikt jednak nie pamiętał nazwisk.

O'Meara zdecydował, że nie pozostało mu nic innego, jak zaszczyścić Mudiego swoją wizytą. Jako że nie znał protestanckich modlitw, w drodze zabawiał się tworzeniem obrazów piekła i płonącej siarki, z których byłby dumny każdy misjonarz.

Major Mudie i Larnach pojechali do Sydney po nowych robotników, tak powiedziała mu pani Mudie, witając go w swoim domu. Wyjaśniała, że coraz trudniej zdobyć siłę roboczą. Masz

303

na myśli darmową siłę roboczą, zezłościł się O'Meara w duchu, głośno zaś



bezwstydnie schlebiał gospodyni i modlił się z nią.

Podczas gdy pani Mudie wraz ze służbą przygotowywała dla niego kolację, wyszedł na dwór pod pozorem pobłogosławienia zbiorów kukurydzy i tytoniu, w rzeczywistości zaś bacznie przyglądał się ściągniętym i wygłodzonym twarzom więźniów, którzy wracali z pola do baraku.

Wygładził zmarszczki na zdobycznym kapeluszu i nasadził go prosto na czoło; śmiał się, że „dla całego świata wygląda jak wioskowy głupek”, ale to nadawało mu posępnoci, której potrzebował. Teraz naciągnął kapelusz mocniej na oczy, bardziej by ukryć gniew niż tożsamość. Już prawie porzucił nadzieję znalezienia znajomej twarzy, kiedy zobaczył Scarpy'ego. Tydzień później, kiedy więźniów zamknięto na noc, brodaty poganiacz galopem zjeżdżał ze wzgórza i krzyczał:

- Pożar! Pożar! Na polach tytoniu!

Wybuch! nieopisany zamęt, chmury dymu kłębiły się nad zagrodami, na wschodzie łany kukurydzy żarzyły się, gotowe eksplodować. Ludzie wybiegali z kuchni i baraków, dzwony huczały.

Dinny obserwował więźniów wypadających na dziedziniec. Ktoś pchnął ku niemu ciężkie worki, zaczął je więc podawać więźniom, ponaglaając okrzykami do pośpiechu i dokładając się do ogólnego zamieszania, aż wreszcie zobaczył Scarpy'ego.

- Łap te worki - polecił - i biegnij za mną.

- Do diabła, kto... - zaczął Scarpy, ale O'Meara chwycił go za koszulę.

- Zamknij się i biegnij albo cię tu zostawię.

- Jezu, to ty, O'Meara! - parsknął Scarpy, nie zatrzymał się jednak.

Pobiegli za stajnie.

- Gdzie jest Brosnan? - zawołał O'Meara. - Nigdzie go nie widziałem.
- Brosnan nie żyje! Nie wiedziałeś?

O'Meara był wstrząśnięty, lecz nie miał czasu na dyskusje. Skoczył na konia i wyciągnął rękę do Scarpy'ego.

- Szybko, siadaj za mną.

Zawrócił konia i pogalopował do pożaru, mijając ludzi biegnących w tym samym kierunku, pozornie podążając śladem pędzących przed nim jeźdźców, ale za drugą bramą pod osłoną dymu skręcił na główną drogę.

304

- Więc Brosnan nie żyje - powiedział ciężko, kiedy byli już bezpieczni w buszu.
- Taa, miał pecha biedny Brosnan. Jack Drew też uciekł, ale mówią, że nie żyje. O tobie też tak mówią.
- Co się stało Brosnanowi?
- Zastrzelił go jeden z ludzi Larnacha, jak wtedy próbował uciec.
- Jezu, Brosnan! Był moim najlepszym przyjacielem. Gdybym wiedział, puściłbym z dymem całe to przeklęte miejsce.

Scarpy był jedynym członkiem bandy, który znał prawdziwe nazwisko O'Meary, ale nikomu go nie zdradził. Był wdzięczny odważnemu Irlandczykowi za ratunek i czuł, że nigdy nie będzie w stanie mu się odplacić za nowe życie. O'Meara nauczył go jeździć konno.

- To nic trudnego - powiedział, kiedy odkrył, że Scarpy nigdy nie siedział na koniu. - Chodź, pokażę ci.

Scarpy uciekał od wielkiego zwierzęcia. Dostatecznie źle było, kiedy podskakiwał za O'Mearą, gdy uciekali z Castle Forbes, ale wtedy mógł przynajmniej się go trzymać, żeby jednak usiąść samemu w siodle, blisko

pyska - Scarpy nie był przekonany.

- Pojedziesz albo umrzesz z głodu! - krzyczał na niego O'Meara. W końcu Scarpy wsiadł na grzbiet zwierzęcia i Dinny prowadził go najpierw bardzo powoli, potem lekkim kłusem. Kilka dni później Scarpy nauczył się podnosić i opadać wraz z koniem, a potem nagle załapał, na czym to polega, i powtarzał, że O'Meara od początku miał rację, on naprawdę jest urodzonym jeźdźcem. Nabrał pewności siebie, był mężczyzną pośród mężczyzn, rabusiem ze strzelbą i liną, i mógł galopować po równinie szybko jak wiatr.

O'Meara i jego banda dążyli na północ, napadając jeźdźców i dyliżanse, rabując pieniądze, zapasy i amunicję. Za gotówkę kupowali żywność od biednych osadników. Od czasu do czasu O'Meara pojawiał się w miasteczkach jako duchowny, by zorientować się w poczynaniach żołnierzy i zebrać informacje o dalszej drodze. Udając pewnego razu duchownego, spotkał prawdziwego księdza.

Kiedy diakon Tomlinson przyłączył się do niego na drodze, O'Meara chciał wziąć nogi za pas, bał się bowiem zdemaskowania,

305

ale intuicja podpowiedziała mu, że w nowym znajomym też jest coś dziwnego. Nie ulegało wątpliwości, że Tomlinson jest wyświęconym kapłanem, O'Meara jednak dostrzegał w nim mroczną stronę i szybko się dowiedział, że diakon ma pastwiska i szuka taniego bydła.

- Nie znam się na tym za dobrze - powiedział O'Meara. - Pochodzę z Ziemi van Diemena, tu jestem tylko z wizytą, ale spotkałem na szlaku chłopców, którzy mówili, że mają stado, ale nie mają pastwisk. Może będą mogli ci pomóc. Skontaktuję cię z nimi.

Wrócił do obozu z nowymi planami.

- Czas, żebyśmy skończyli z rozbojem, chłopcy. Za dużo konkurentów, w dodatku poczynają sobie brutalnie. Jeszcze obwiniają nas o coś, czegośmy nie zrobili. Zajmiemy się bydłem.

Wysłał Scarpy'ego na spotkanie z Tomlinsonem, żeby się upewnić, że diakon kupi nie oznakowane bydło. Scarpy wrócił z raportem, że Tomlinson „całkiem wie”, że bydło będzie kradzione, bo nie zadawał żadnych pytań.

- I jeszcze mi się udało - ciągnął Scarpy. - On mi dał żelazo do piętnowania, swoje własne. Jest zarejestrowane i w ogóle. Więc każde bydło bez piętna albo włączące się poza pastwiskiem będzie nasze. Z tym znakiem możemy iść wszędzie. - Zademontrował odwrócone podwójne „T”, wypalając je na drzewie. - Widzicie, „TT”, Tom Tomlinson.

Na szlaku O'Meara zebrał więcej ludzi. Kradli młode woły, byki i jałówki, wreszcie zebrali własne stado daleko od farm osadników i mogli sprzedać je diakonowi za połowę obowiązującej ceny. Dzięki przepustkom dostarczonym przez duchownego prowadzili bydło na poszerzone granice osiedlenia i tam przekazywali je poganiaczom Tomlinsona. Kiedy osadnicy zaczęli przenosić się bliżej Darling Downs w przekonaniu, że są tu pierwsi, ze zdumieniem zobaczyli szlaki wydeptane przez stada.

- Praktycznie rzecz biorąc, jesteśmy tu teraz legalnie, chłopcy - oznajmił O'Meara. - Pora, żebyśmy ogrodzili własną ziemię i nie wpuszczali na nią żadnych drani. - Tak też zrobili: na zachód od rzeki Brisbane zbudowali dom. - Oznaczcie każde drzewo, które się wam spodoba - polecił ludziom. - Wyrznicie na nim podwójne „X” i zawieście kilka tabliczek „Wstęp wzbroniony”. Nie chcemy żadnych gości. Ale czarnym dajcie wszystko, o

co poproszą.

306

Aborygeni przyjęli ich wrogo, potrząsali włóczniami, próbując wygonić bandytów, O'Meara jednak zakazał do nich strzelać. Przeciwnie, dawali im mięso, herbatę, cukier i tytoń i tubylcy zobaczyli, że ci dziwni biali ludzie nie ścinają drzew ani nie przekopują ziemi. Coraz bardziej zaintrygowani, odważyli się podejść bliżej, nikt ich jednak nie niepokoił, zajęli się więc własnymi sprawami, a kiedy nadeszła pora, wyruszyli na wędrowną.

Scarpy'emu i pozostałym, a zwykle było ich około dwudziestu, odpowiadało takie życie. Mogli chodzić, gdzie im się podobało, handlowali z Aborygenami, wymieniając mięso na ryby, i czarni w geście dobrej woli wypożyczali im kobiety. O'Meara dość długo żył w buszu, by znać zasady, i wyjaśnił kompanom, że Aborygenki są tylko na chwilę, biali nie mogą ich ze sobą zabrać, bo czarni zrobią się nieprzyjemni.

O'Meara zarabiał mnóstwo pieniędzy. Płacił swoim ludziom za każdą sztukę bydła, którą przyprowadzili, płacił poganiaczom za długą wędrowną na południe do Tomlinsona, nie próbował jednak ucywilizować osady. Jej mieszkańcy musieli sami zadbać o wyżywienie, dzieląc się zdobyczami, jeśli chcieli, mogli też kupować towary od drwali nad rzeką Brisbane. Kiedy postanowili ogrodzić obóz dla ochrony przed ewentualnym najazdem żołnierzy, O'Meara nie sprzeciwiał się i pomagał budować wysoki płot. Nim go ukończyli, połowa robotników odeszła, znudzona małą osadą. Nie miał do nich pretensji, sam też nie mógł usiedzieć na miejscu. Wiedział, że już niedługo pojawią się tu osadnicy i żołnierze, a z nimi posterunek policji, i znowu będzie musiał ruszać w drogę. Zaczynało go nużyć to wyprzedzanie cywilizacji o krok, nie chciał

spędzać życia w oddaleniu od niej.

Często jeździł do obozu drwali, bo zaprzyjaźnił się z jednym z szefów, Jockiem McArdle'em, który wiedział, że O'Meara jest hersztem bandy, ale to go nie martwiło.

- Nie ruszamy tego gniazda szerszeni, tak samo jak nie zaczepiamy czarnych - przykazał McArdle swoim ludziom. O'Mearę zaś zapytał: -

Więc czemu człowiek z twoim rozumem marnuje tu sobie życie?

- Ja ratuję sobie życie. Jeśli mnie złapią, zawisnę na szubienicy.

- Dlaczego?

- Bo uciekłem. Skorzystałem z pierwszej okazji.

- Ale za co cię tu zesłali?

307

- Za tak zwaną zdradę - roześmiał się O'Meara. Szkot pokiwał głową.

- Tak myślałem. - Siedział w drewnianym baraku, który był jego domem i biurem. - Napijesz się ze mną whisky?

- Z największą chęcią. Ale dlaczego ty tutaj pracujesz? To okropne miejsce, a robota niebezpieczna. I powiem ci, że już wolę utrzymywać porządek w mojej bandzie niż w tej twojej hałastrze. Bez obrazy, ale sporo tu prawdziwych rzezimieszków.

- Jedni potrafią pracować, inni nie są warci skóry na grzbiecie, więc albo ich zatrzymuję, albo odsyłam z tratwą. Nie obchodzi mnie, jak się między sobą biją, byle nie w czasie pracy, i nie próbują mi się stawiać. Niektórzy uważają się za spryciarzy, przychodzą z nożami za cholewą i myślą, że będą szefami, ale mam na nich sposób. Widzisz to drzewo gumowe?

Nim O'Meara zdążył odpowiedzieć, usłyszał świst. McArdle wziął zamach, siekiera przecięła powietrze i wbiła się w środek pnia.

Drwał poszedł po siekierę.

- Chłopcy okropnie się mnie boją. I przez to wyrabiam normę. Mam kontrakty, a zawsze ścigamy się z czasem. W porze deszczowej musimy stąd wyjeżdżać, nie da się pracować, bo rzeka wylewa.

- I gdzie wtedy jesteś? McArdle zdziwił się.

- W domu. Moja rodzina mieszka w Sydney. Dobrze zarabiam w tym interesie. Jeszcze kilka lat i rzucam to, zostanę pośrednikiem. Będę sprzedawał drewno, a nie ścinał.

- To świetnie - powiedział O'Meara, ale poczuł przygnębienie. Prawie zapomniał o normalnym życiu, rodzinie, domu. Wzrok utkwiał w leniwych nurtach rzeki. - Płynie do Brisbane, gdzie jest port. Mógłbyś przemycić mnie na jakiś statek?

- Nie z więzienia, przez Moreton Bay myś się nie prześliznie. Choć wielu próbowało. Na pokład zawsze wchodzi żołnierze, a kapitanowie nie mogą narażać się władzom. Raczej wyrzucą cię za burtę, niż zaryzykują utratę licencji. Lepiej spróbuj wydostać się z Sydney.

- Nie mogę jechać na południe, nie mam dokumentów.

- Mogę ci kupić dokumenty, jeśli masz pieniądze. O'Meara zakrztusił się whisky, którą popijał z cynowego kubka.

308

- Co?

- W Sydney wyrabiają fałszywe papiery - wyjaśnił mu McArdle. - Władze były naprawdę sprytnie, deportowano do kolonii fałszerzy i oszustów radzących sobie dobrze z piórem, których tutaj bardzo potrzebowano.

Przydzielano im łatwą pracę w kancelariach i szybko odzyskiwali

wolność, a wtedy wracali do dawnego zajęcia. Interes kwitnie. Wolnym ludziom też zależy na nowych papierach, bo chcą mieć dowód, że nigdy nie byli skazańcami i ich nazwiska nic nie plami.

- Mógłbyś kupić dokumenty dla mnie i mojego kumpla Scarpy'ego? Znasz go.

- Załatwione. Jak pojedę na Boże Narodzenie do domu, pójdę do fałszerzy i dostaniecie ładne nowe nazwiska i pochodzenie.

- A niech mnie kule biją!

- Mogę znaleźć ci pracę w Sydney, jeśli chcesz.

- W żadnym razie. Wciąż jestem zbiegłym więźniem, nie ma dla mnie przebaczenia. Chcę jechać do Ameryki, tam nie będę musiał ciągle się za siebie oglądać. Ale tak się zastanawiałem nad Moreton Bay... Jak wylądowaliśmy w Sydney, jeden z naszych został wysłany do innego więzienia. Wszystkie nazwy brzmiały dla nas jednakowo, nie mieliśmy pojęcia, gdzie jesteśmy, ale Moreton Bay... To utkwilo mi w pamięci. Ostatnio myślałem, że ten mój kumpel może tam jest.

- Niech Bóg ma go w opiece. To straszne miejsce.

- Tak słyszałem. Jak myślisz, możesz się dowiedzieć, czy mają tam człowieka nazwiskiem Jim Connelly?

- Zapytać nie zaszkodzi.

Miesiąc później McArdle miał dla niego odpowiedź.

- Twój kumpel Jim Connelly faktycznie tam był, ale dostał zwolnienie warunkowe. Wysłano go do okręgu Newcastle. Nie może bez pozwolenia wyjeżdżać, więc chyba go tam znajdziesz.

- Przeklęty Connelly jest wolny, a ja wciąż się ukrywam! Ten drań zawsze miał szczęście!



Jock pokręcił głową.

- Zasłużył sobie na to.

Kiedy zaczęły padać deszcze, O'Meara przeprowadził bydło na wyżej położone tereny i wrócił do obozu. Drwale ścinający cedry wyjechali, wizyty w kolonii karnej nie wchodziły w grę, żyli

309

więc w całkowitym odosobnieniu, aż wreszcie większość bandy, nie mogąc dłużej tego znieść, postanowiła zaryzykować i wyruszyć do pogranicznego miasteczka o nazwie Limestone, położonego na południowy zachód od obozu. Przyrzekli, że w suchej porze wrócą.

- Dlaczego my też nie jedziemy? - pytał Scarpy. - Tu nie ma nic do roboty.

- Bo nie chcemy, żeby nas teraz złapali. Kiedy wróci Jock, przywiezie nam dokumenty i będziemy mogli podróżować jako ludzie wolni. Załatwię parę spraw, a potem wyruszymy do Ameryki. Tutaj jesteśmy bezpieczni, w dodatku zarabiamy pieniądze. Jak pojawią się osadnicy, i tak będziemy musieli się wynosić, więc lepiej korzystajmy, póki się da.

O powrocie drwali powiedzieli im czarni. McArdle miał dla nich nowe dowody tożsamości i teraz O'Meara i Scarpy mogli „udowodnić”, że są wolnymi emigrantami. O'Meara udał się w długą podróż na południe, zostawiwszy Scarpy'ego jako szefa osady.

W drodze stwierdził, że upał wcale nie zelżał, za to ziemia jest bardziej wyschnięta, i nie mógł się zdecydować, co jest gorsze: parny, wilgotny żar Brisbane Valley czy pałaca spiekota na południowych równinach, które długo będą czekać na zimowe deszcze. Jechał wzdłuż rzek i dziwił się, ile nowych miasteczek powstaje nad ich brzegami. Zmierzał do Newcastle, gdzie chciał odszukać Connelly'ego, w przydrożnych karczmach

dowiedział się jednak, że okręg Newcastle został podzielony i najlepiej zrobi, jeśli najpierw popyta w Quirindi, jako że większość zwolnionych warunkowo pracuje na farmach. To może mu zaoszczędzić wędrówki przez góry do Hunter Valley, a stamtąd do Newcastle, uznał więc, że warto spróbować.

Trzy dni później znużony wjechał do dręczonego suszą miasteczka.

Pierwsze kroki skierował do pubu.

- Nic się nie stanie, jak Connelly jeszcze trochę poczeka - powiedział sobie. - W tym kraju człowiek może umrzeć z pragnienia.

Mimo że miał swoje drogocenne dokumenty, wzdragał się przed pójściem na posterunek policji, dlatego pytał wszystkich obecnych w barze, czy znają Connelly'ego.

Młody poganiacz oderwał się od kontemplacji muchy tonącej w piwie.

310

- Tego Irlandczyka? Co był w Moreton Bay?

- Tak - potwierdził O'Meara z zapalem. - Gdzie go znaleźć?

- Na farmie Kooramin.

- Gdzie to jest?

- Trochę za daleko się zapędziłeś, stary - powiedział właściciel pubu. - Musisz jechać na północny zachód, nad rzekę Namoi.

- A niech mnie kule biją! - wykrzyknął O'Meara. - Podaj jeszcze jedną kolejkę. I nalej dla siebie i tego chłopaka.

Łatwo mu się jechało po tracie ubitym kołami wozów, noc spędził na wzniesieniu przy drodze.

Rano zaintrygowany dostrzegł samotnego bandytę przygotowującego zasadzkę. Obok przejechali wolnym kłusem dwaj konni. Wyglądali na

osadników i O'Meara uznał, że byliby niezłą zdobyczą, ale bandyta nie zdecydował się zaatakować, może nie czuł się zbyt pewnie w pojedynkę. Zresztą i tak był chyba za stary do tej roboty. O'Meara wziął strzelbę i bezszelestnie zszedł po zboczu, żeby mieć dobry widok na to, co zaraz się stanie.

Szlakiem zbliżał się samotny jeździec i bandyta zajął pozycję. Nagle O'Meara aż drgnął ze zdumienia: to ten przeklęty głupiec MacNamara! Rozległ się strzał, MacNamara z głuchym tąpnięciem spadł na ziemię.

- Hej! To nie tak się robi! - krzyknął O'Meara. Starannie wymierzył i postrzelił bandytę w nogę, po czym

przedarł się przez zarośla, odebrał napastnikowi broń i podszedł do MacNamary, który natychmiast go rozpoznał.

- O'Meara, ty łajdaku! Powinienem był się domyślić.

- Siedź spokojnie i zamknij się. Na wszelki wypadek zabiorę ci broń - odparł O'Meara. Przywiązał konia Pace'a do drzewa, obok rzucił strzelby. - Teraz zajmiemy się twoim ramieniem.

- To ci nie ujdzie na sucho - groził Pace, O'Meara tymczasem koszulą próbował zatamować krew. - Daj, sam to zrobię.

O'Meara zignorował gniewny ton Pace'a.

- Masz całe kości?

- Mam, choć tobie tego nie zawdzięczam. Kula przeszła mi mięsień i wyszła pod pachą. Teraz zostaw mnie w spokoju!

311

- Mam cię zostawić? Szczęściarz z ciebie, że się napatoczyłem. W krzewach leży dżentelmen z kulą w nodze. On do ciebie strzelił, nie ja. Ruszył ku bandycie, który jęczał z bólu w wysokiej trawie. Pace z

wysiłkiem podniósł się i poszedł za nim.

- Kto to jest? - zapytał ze złością.

- Ty mi powiedz. To jakaś śmieszna sprawa. Dlaczego chciał cię zastrzelić?

- Łatwiej obrabować martwego.

- To nie ma sensu. Nie ryzykujesz oskarżenia o morderstwo z powodu kilku groszy zdobytych na drodze. On próbował cię zabić, MacNamara! Twoje szczęście, że marny z niego strzelec

- roześmiał się O'Meara.

Pace oparł się o drzewo, by zachować równowagę.

- Kto to jest?

O'Meara kopnął leżącego w kościsty pośladek, nie zważając na jego wrzaski.

- Kim jesteś, stary capie? Gadaj, co knujesz, bo zabierzemy ci konia i zostawimy na żer dla kruków. - Przyjrzał się wijącemu bandycie. - Hej, popatrz na niego! To obrzydły pijus! Twój przyjaciel?

Pace spojrział na przerażoną kaprawą twarz.

- Pierwszy raz go widzę. O'Meara ponownie kopnął starego.

- Gadaj, zanim wpakuję ci drugą kulkę.

- Zapłacono mi, żebym go zastrzelił! - krzyknął stary.

- Jego! - Pokazał na Pace'a.

- Co takiego? - huknął Pace. - Kto ci zapłacił?

- Anglik. Dał mi pięć funtów i powiedział, że po robocie dostanę jeszcze pięć. Długo cię obserwowałem. Powiedział, że nie ma powodu do pośpiechu.

O'Meara ryknął śmiechem.

- Niewiele jesteś wart, co, MacNamara?
- Jaki Anglik? - warknął Pace.
- Mówiłem, Anglik, kapitan Pelham.
- Boże wszechmogący! - wykrzyknął zdumiony Pace.
- Znasz go? - zapytał O'Meara coraz bardziej zaintrygowany.
- Tak. Odstrzeliłem mu palec, kiedy ostatni raz go widziałem, ale to było wiele lat temu.

312

- Ale on nie zapomniał, co? Nie możesz odstrzeliwać ludziom palców, MacNamara, i spodziewać się, że ci to ujdzie na sucho. Podwiążę nogę temu staremu draniowi, wsadzimy go na konia i niech jedzie, chyba że chcesz go zaprowadzić do konstabla, wtedy jednak nie będę ci towarzyszył.
  - Niech jedzie. Ale poczekaj jeszcze chwilę, przeklęty kundlu. Jak się nazywasz?
  - Walter Smith, panie, nazywają mnie Wally.
  - Skąd jesteś?
  - Z Singleton, ale co ja teraz powiem Anglikowi?
  - To mnie akurat nic nie obchodzi! - krzyknął Pace. - Na litość boską, O'Meara, pozbądź się go!
- O'Meara wsadził starego na konia.
- Jeśli jeszcze raz wejdiesz mi w drogę - ostrzegł go Pace
  - zastrzelę cię. - Klepnął konia w zad i zwierzę zerwało się do galopu. - Chyba muszę ci podziękować - powiedział do O'Meary. - Wracamy do mnie, poznasz moją żonę i synów. Mam bliźniaki. A przy okazji, Connelly jest u mnie.

- To farma Kooramin?
  - Skąd wiesz?
  - Tak się składa, że właśnie tam jadę. Ale w głowie mi się nie mieści, jak Connelly'emu udało się wydostać z Moreton Bay. Słyszałem, że więźniowie wychodzą za bramę tylko nogami do przodu.
  - Załatwił to Caimen Court. Doskonale mu idzie pisanie listów. Twierdził, że Connelly i jego przyjaciele nie powinni być wysłani, że to niezgodne z prawem. To więzienie dla tych, którzy popełniają w kolonii drugie przestępstwo. Caimen zasypywał prośbami gubernatora, ale nic nie wskórał, więc poszedł z tym do gazet. No i udało się.
  - Connelly jest zdrowy?
  - Jasne. Trzeba go było trochę odkarmić, ale teraz czuje się dobrze. Mówił nam, że ten olbrzym ze statku, Wielki Karlie, też był w Moreton Bay. Robili mu piekło, aż rzucił się na strażnika. Zabił go motyką. Powiesili Karliego.
  - Matko przenajświętsza, Anglicy będą musieli za wiele rzeczy odpowiedzieć. Ale jak Caimen mógł to załatwić, skoro sam jest więźniem?
  - A, to jasna strona tej historii - roześmiał się Pace.
  - Court zyskał potężnego sojusznika, pomógł mu Kościół. Kiedy
- 313
- się dowiedzieli, że przez rok uczył się w Maynooth, natychmiast go uwolnili. Znowu uczy się na księdza. Został w Nowej Południowej Walii, żeby zbawiać nasze dusze.
- O'Meara ze zmarszczonym czołem poszedł po konie.
- Wiesz, wciąż nie rozumiem, czemu ten stary chciał mnie zastrzelić! - zawołał za nim Pace. - Pelham musiał oszaleć. Myślałem, że

wyświadczyłem mu przysługę.

- Gdybyś mnie odstrzelił palec, nie uważałbym tego za przysługę - roześmiał się O'Meara.

- To nie była moja sprawa. Na spędzie bydlą wdał się w kłótnię z szefem. Byli w pewnym sensie współnikami, nigdy do końca tego nie rozgryzłem, obaj to Anglicy. Szef skoczył do namiotu po broń, a Pelham trzymał go na muszce. Gdyby zastrzelił szefa, chłopcy by go powiesili, to pewne jak dwa razy dwa. A gdyby szef strzelił do niego, choć nie miał celnego oka, to nie skończyłoby się na palcu. Tak czy owak ten przeklęty głupiec Pelham gryzłby ziemię. Myślałem więc, że wyświadczyłem mu przysługę. Anglicy to dziwna rasa.

- Nie mają naszej logiki - stwierdził O'Meara przenikliwie.

- Racja - przytaknął Pace. - Pomogli nam się tu dostać. - Wsiadł na konia, krzywiąc się z bólu. - Po prawdzie nie chciałem odstrzelić mu palca, tylko wytrącić broń z ręki.

- Tracisz pewność, co, MacNamara?

- Wcale nie. Dziwna broń, trudno z niej celować. O'Meara ponaglił konia, myśląc ponuro, z jaką łatwością mężczyźni, kiedy się nie pilnują, rozmawiają o sprawach, o których nigdy w innych okolicznościach by nie wspomnieli, i jak takie przesłuchanie, proste i swobodne, doprowadziło do aresztowania jego i Brosnana.

- Wiesz, że Brosnan nie żyje? Pace jęknął.

- Nie wiedziałem. Co mu się stało?

- Zastrzelono go, kiedy próbował uciec.

- Boże, miej nas w opiece. A ty? Masz zwolnienie warunkowe?

- Można tak powiedzieć, sam je sobie dałem.

- Ha, to by ucieszyło Brosnana. Więc uciekasz?
- Tak długo, jak długo zostanę w tym kraju. Ale co z tobą, MacNamara? Jak to się stało, że płynąłeś tym statkiem z jaśnie urodzonymi?

314

- Chryste, uparty jesteś jak muł. Wysłali mnie z kraju. Dan Ryan i jego chłopcy wyprawili mnie z Irlandii tylko w tym, co miałem na grzbiecie. Myślałem, że to najgorszy dzień w moim życiu. Ale słuchaj, będę ci wdzięczny, jak nie wspomnisz o Pelhamie mojej żonie ani nikomu w domu. Powiemy, żeśmy mieli zatarg z bandytami i że udało im się uciec. Przysięgam na Boga, że jak dorwę Pelhama, to pożegna się z życiem.
  - Lepiej się nad tym zastanów. Powieszają cię za morderstwo.
  - Nie da się żyć czekając, aż jakiś nieznajomy wpakuje mi kulkę w plecy...
  - Pewnie nie, ale może łatwiej byłoby wbić draniowi trochę rozumu do głowy. - O'Meara zobaczył w oddali skupisko zabudowań, połyskliwych jak miraż na tle wyblakłej zieleni. - To twoja farma?
  - Tak - odrzekł Pace. - Mam zamiar zbudować dom na wzniesieniu, gdzie będzie trochę przewiewu. Cholernie się cieszę, że już jestem w domu. Czuję się, jakby walnął mnie kulą armatnią.
- Jak O'Meara powiedział później Scarpy'emu, przyjazd na farmę Kooramin był:
- ...czymś pomiędzy Wielkim Piątkiem a dniem świętego Patryka. Dolour lamentowała, że ktoś postrzelił jej męża, Connelly wiwatował i urządził przyjęcie z okazji mojego powrotu do świata żywych. I rzeczywiście, wszyscy się bawili, śpiewali i pili whisky, którą kupiłem dla Connelly'ego. Tylko MacNamara nie świętował. Jak mu zrobiliśmy operację i żona nałożyła opatrunek, stracił przytomność.



Rano Dolour krzątała się przy O'Mearze, krojąc grube pajdy chleba i podając kopiasty talerz jajek z bekonem.

- Jedz, Dinny. Rzadko miewamy gości. To nasz własny bekon, wędzony w cukrze.

- Wyśmienity - odparł. - Od dawna nie miałem w ustach bekonu. Tam gdzie mieszkam, jemy dziwne rzeczy.

W progu pojawił się Pace. Bandaże pokrywały mu ramię i przecinały nagi tors.

- Chciałam zanieść ci śniadanie do łóżka - powiedziała Dolour.

- Przyszedłem, żeby ci zaoszczędzić fatygi. Rozejrzałeś się po farmie, O'Meara?

315

- Tak. Masz tu niezły szmat ziemi, ale okolicy daleko do tej, gdzie ja mieszkam.

- Co robisz? Przecież mówiłeś, że uciekasz.

- Bo to prawda, choć przy okazji nieźle mi się wiedzie. Mam pastwisko dla bydła na północy.

- Gdzie dokładnie?

- W dolinie rzeki Brisbane, w drodze na Darling Downs. - Wybuchnął śmiechem. - Szkoda, że nie widzisz swojej miny, MacNamara. Wyglądasz jak szczupak wyjęty z wody.

- Do diabła, jak tam dotarłeś?

- Bez kłopotów. Nie miałem gdzie iść.

- I masz stado?

- Mam tłuste bydło, przy nim twoje byki wydają się chude jak szczapy.

- Ile sztuk?

- Dwieście albo trzysta, dla mnie to niewiele, ale długo ich nie trzymam. -  
Podszedł do ławki. - Mogę napić się mleka, Dolour?
- Jasne. - Podała mu kubek. Pace wpatrywał się w niego.
- Kradniesz bydło! O'Meara wyszczerzył zęby.
- Człowiek jakoś musi zarobić na życie.
- Szaleństwo - mruknął Pace. - Chryste, O'Meara, wystarczająco trudno jest hodować bydło bez wody przez całe lato i w sąsiedztwie czarnych, którzy używają go jako tarcz strzelniczych. Nie potrzeba jeszcze takich jak ty, co zabierają najlepsze okazy.
- Panie, łamiesz mi serce - zakpił O'Meara. - Daj spokój, chłopcze. Od ciebie nie bierzemy.

Pace pokręcił głową. Nie miał odpowiedzi dla O'Meara, który najwyraźniej skazany był na żywot rabusia.

- Tutaj sporo się mówi o tych terenach, gdzie mieszkasz. Od dawna sam chciałem się tam wybrać. Chętnie wytyczyłbym sobie tam posiadłość.
  - Za mało masz tutaj?
  - Nie dość. Ciągłe grożą nam susze. Mówią, że więcej pada na północy. To prawda?
  - Takich deszczów nie widziałem w całym życiu, jak zaczyna padać, to czasami przez wiele tygodni jest ściana deszczu. Latem
- 316
- też, nie tylko w zimie. W dodatku to ciepły deszcz, wszystko rośnie jak na drożdżach.
- Więc mnie rozumiesz. Gdybym miał pastwiska na północy, mógłbym przenosić tam stada w suchej porze.
  - I są jeziora - dodał O'Meara. - To lepsze ziemie niż te tutaj.

- Jest tam dużo osadników? - zapytał Pace, niemal bojąc się usłyszeć odpowiedź.

- Nie, w każdym razie nie koło mnie. Ale zaczynają się pojawiać.

Niedawno widziałem stada owiec pędzone na Darling Downs.

Powiedziałbym, że za rok będziemy mieć sąsiadów.

- Sprzedałbyś mi trochę twojej ziemi?

- Nie jest moja, więc nie mogę jej sprzedać, tak cię tylko drażniłem.

- To do kogo należy?

- Do nikogo. Zaznaczyłem granice, żeby odstraszyć obcych. Żaden z moich chłopców nie chce, żeby ktoś wściubiał tam nos.

- W takim razie jest twoja, Dinny.

- A jak niby mam ją zarejestrować na swoje nazwisko? Zdobyłem fałszywe papiery, ale wolałbym nie poddawać ich próbie. Jak zacznę to załatwiać, mogę wylądować w więzieniu.

- Może ja mógłbym zrobić to w twoim imieniu?

- Nie uda się. Są ludzie, którzy wiedzą, że to grunta zajęte przez zbiegłych więźniów. Jeśli będę tam za długo, ktoś zacznie gadać i mnie złapią. A poza tym nie chcę być farmerem. Postanowiłem wyjechać do Ameryki.

Przyjechałem tu, bo szukałem chłopców. - Stanął w progu i zapatrzył się w krajobraz. - I przekonałem się, że wszyscy zrezygnowaliście z Irlandii.

- Och, Dinny, to okrutne z twojej strony! - zaprotestowała zaskoczona Dolour.

- Cóż, Connelly mówi, że będzie u ciebie nadzorcą, więc tu zostanie.

Brosnan nie żyje, Court wrócił do Kościoła, a ty, MacNamara, słówkiem nie wspomniałeś o Irlandii.

Pace odepchnął prawie pełny talerz.

- Nie możemy tam wrócić.
- Ale walczyć z nimi możemy, ty stąd, ja z Ameryki. Możemy zebrać gotówkę i uzbroić chłopców. Tak szybko zapomniałeś?
- Nie zapomniałem - odparł Pace ponuro - i nie ma sensu szukać wymówek. Tutaj mamy nowe życie i nowy kraj.

317

Może tym razem lepiej nam się powiedzie. Nie przyjechaliśmy tu z własnego wyboru.

- To tak jak ja! - wykrzyknął O'Meara. - To jest kolejne angielskie hrabstwo, nie uważam go za swoje miejsce na ziemi.
- Życzę ci wszystkiego najlepszego, ale nie pozwolę, żebyśmy przez ciebie czuli się winni - powiedział Pace, po czym zmienił temat: - Ile akrów masz na północy?

O'Meara zmusił się do odpowiedzi, widział bowiem, że w tym towarzystwie nie znajdzie sprzymierzeńców dla swojej sprawy.

- Skąd mam wiedzieć? Jesteśmy wędrowcami, nie zamierzamy zostawać tam długo. Zaznaczyliśmy około dziesięciu mil wzdłuż zachodniego brzegu rzeki Brisbane.

- Niezły początek - stwierdził Pace. - Mam dla ciebie propozycję. Zatrzymaj tę ziemię jeszcze przez jakiś czas, a ja ją od ciebie kupię. Będziesz miał pieniądze na wyjazd do Ameryki.

Szerokie bary O'Meary zatrzęsły się od śmiechu.

- A to dobre! Zarabiam, sprzedając bydło, które do mnie nie należy, a ty chcesz, żebym sprzedał ziemię, która nie jest moja.
- Powtarzam ci, ona jest twoja! - krzyknął Pace. - Posiadanie w tym kraju jest rzeczą absolutnie najważniejszą. Znalazłeś tę działkę, wytyczyłeś

granice i masz prawo do zapłaty.

- Ile?
- Nie wiem na pewno. Jak daleko jesteś od Moreton Bay?
- Około pięćdziesięciu mil.
- Na Boga, biorę ją. A jak daleko w głąb lądu sięga?
- Nigdy tego nie mierzyliśmy. Będziesz musiał sam to zrobić.
- W takim razie co powiesz na pięćset funtów?
- Pięćset funtów, powiadasz? Dla takiej sumy mógłbym czekać w nieskończoność.

Pace spojrział na Dolour.

- Widzę, że moja pani się gniewa. Przyrzekłem jej, że w tym roku zbuduję porządny dom w rewanżu za dwóch synów za jednym zamachem, więc nie mam wyjścia, muszę to zrobić, ale wypiszę ci weksel.
- Skąd weźmiesz pięćset funtów? - martwiła się Dolour.
- Znajdą się. Mam mapy, Dinny, chodź, pokażesz mi, gdzie jesteś.

Dolour westchnęła.

318

- Popatrz tylko na niego! Oczy mu się świecą jak latarki, zapomniał całkiem o ranie. Woli studiować mapy niż modlitewnik.

ROZDZIAŁ Trzydziesty Drugi.

Podśpiewując pod nosem, Milly Forrest wyszła z domu w cichą upalną noc. Stanęła pod rozłożystą akacją i popatrzyła na dom, swój dom.

Wreszcie został ukończony, w dodatku w samą porę. Zapaliła olejowe lampy w salonie, holu i dwóch sypialniach - efekt był wspaniały. Na początku sprzeczekali się z Dermottem, ale doszli do kompromisu i Milly była szczęśliwa. Szerokie werandy, które nadawały domowi wygląd

bardziej płaski niż majestatyczny, istotnie zapewniały chłód, choć wolałaby pojedynczy portyk. Dermott argumentował, że wszyscy budują domy z werandami ze względu na klimat, ustąpiła więc, nie zgodziła się natomiast na brzydkie otwory w ścianach i uparła się przy salonie. Zebrała spódnicę i statecznie poszła do drzwi, udając, że jest gościem. Wkroczyła do środka, podziwiając błyszczące drewniane podłogi i nowe meble, z których część zamówiła z katalogu, część natomiast wykonał Dermott. Wyklejone tapetami ściany sprawiały wrażenie gołych, brakowało rodzinnych portretów, ale Forrestowie ich nie mieli, a Milly nie wiedziała, co poza tym mogłaby powiesić. To zresztą było bez znaczenia, czyste ściany pachniały świeżością. Milly nie żałowała miesięcy przeżytych w prymitywnej chacie. Warto było, mogła dzięki temu mieć oko na każdy kawałek drewna i cegłę, z których budowano dom. Dermott siedział przy sekretarzyku w salonie.

- Jutro też idziesz do MacNamary? - zapytała.
- Tak. Obiecałem mu, że będę przychodził co niedziela, dopóki ich dom nie zostanie skończony.
- W przyszłym tygodniu nie możesz iść.
- Wiem.
- Przypuszczam, że skopiowali nasz dom?
- Wiesz dobrze, Milly, że większość domów tutaj wygląda tak samo. Ale ich jest mniejszy.

319

- A co z meblami? Dolour powiedziała, że jeszcze niczego nie zamówiła.
- Na razie musi im wystarczyć to, co już mają. Pace'owi kończą się pieniądze. I prosił, żebym ci przekazał, że z przyjemnością przyjdą w

sobotę.

- Wysłałam mu pisemne zaproszenie. Dobre maniere wymagają, żeby odpisać.

- Och, przecież wiesz, że Pace nie zaprzęta sobie głowy takimi sprawami. Milly zwinęła się w kłębek w wielkim fotelu naprzeciwko męża.

- W głowie mi się nie mieści, że Jasin Heselwood jest teraz lordem. Jak myślisz, czy nadal powinniśmy zwracać się do niego po imieniu?

Dermott się skrzywił.

- Ja nigdy tak się do niego nie zwracałem. To bardziej twoi przyjaciele niż moi. Ale wydaje mi się, że teraz mógłby poczuć się obrażony, kochanie. I pani Heselwood też teraz jest lady, na twoim miejscu nie mówiłbym do niej po imieniu.

- O ile jeszcze ich zobaczymy. Wciąż jestem na nią zła, wyjechali do Anglii bez słowa.

- Jego ojciec był chory. Tych dwoje wszystko robi w pośpiechu.

- Ale w gazecie sprzed miesiąca czytaliśmy, że wrócili na nasze „niezrównane brzegi”.

Dermott pokręcił głową i wrócił do lektury gazety. Ciężko pracował i bardzo lubił życie na farmie. Dobrze traktował swoich ludzi, korzystał z rad doświadczonych poganiaczy i prowadził szczegółowy rejestr bydła i codziennych czynności wykonywanych na farmie.

Milly znowu mu przerwała.

- Pokaż mi list od Jasina, w którym pisze, że przyjeżdża. Sam się podpisał?

Dermott wyjął list z szuflady i podał żonie.

- Och! Podpisał się tylko „JH”. Myślałam, że lordowie robią to inaczej.

Szkoda, że Pagetowie z farmy Blair nie mogą przyjść w sobotę, są tu najbogatsi. Czytałeś list od niej, Dermott? Właściwie płakała, że nie spotkają lorda. - Milly zachichotała. - I nie zapomnij, przysłała nam zaproszenie do Blair. Skorzystamy z niego.

320

- Tak, moja droga.

Milly poszła do kuchni. Służące, dwie więźniarki i dwie czarne dziewczyny, nie wszystko robiły jak trzeba i ciągle musiała je sprawdzać. Narzekała przed Dermottem, że są okropnie powolne, ale rola żony osadnika i pani domu bardzo jej się podobała. Milly tak samo jak mąż kochała Carlton Park i życie, które tu prowadzili. Bess mówiła jej, że przy tej gromadzie służących nie będzie miała co robić, ale było wręcz przeciwnie, musiała dozorować służbę, zajmować się zapasami dla domu i robotników, podlewać ogród, bo w tej sprawie nikomu nie mogła ufać, robić pranie, zmieniać pościel.

Dom został ukończony, mogli więc zacząć przyjmować gości. Milly zrezygnowała z konnej jazdy od czasu, kiedy stwierdziła, że jest przy nadziei, który to stan ani jej nie ekscytował, ani nie przygnębiał. Za to Dermott cieszył się za nich oboje.

A teraz zbliżało się najważniejsze wydarzenie w jej życiu. Nie tylko wydawała pierwszą proszoną kolację, na której gościem honorowym był ni mniej, ni więcej, tylko lord - to była pierwsza proszona kolacja w całej okolicy! Rozłożyła obrus na lśniącym stole w jadalni i usiadła, by po raz kolejny przestudiować listę gości, najpierw jednak starła smugę z blatu. Lord Heselwood, earl Montone! Mogłaby się rozplakać z radości. Kto by pomyślał, że ona, Milly Jukes, pewnego dnia będzie przyjmować lorda?



Napisała do rodziny, opowiadając o wspaniałych darach, jakimi fortuna pobłogosławiła ich w Nowej Południowej Walii, ale nieliczne odpowiedzi od rodziców i siostry były krótkie i nieprzyjemne. Pisali „bez ogródek”, jak ujęła to matka, że Milly nadmiernie zadziera nosa, zasugerowali też, że kłamie. Dermott proponował, żeby sprowadzić ich do Australii, gdzie mieliby lepsze życie, ale Dermott i Fred byli sierotami, dla nich życie rodzinne było jak w bajkach, zawsze szczęśliwe. Milly wiedziała lepiej. Pace MacNamara miał odwrotny problem. Napisał do brata i siostry, żeby przyjechali, a Bóg wie, jak potrzebował dodatkowych rąk do pracy, ale odmówili.

MacNamarowie... Pace powiedział Dermottowi, że przyjdą na przyjęcie. Szkoda, bo Pace kiedyś pracował dla Jasina, ale Dermott się upierał, żeby ich zaprosić, a Milly podejrzewała, że przeszłość jest bez znaczenia, skoro teraz są sąsiadami. I Dolour to bardzo piękna kobieta. Milly zauważyła, że wszyscy mężczyźni

321

gapią się na nią, nawet Dermott, na szczęście jednak Dolour świata nie widziała poza Pace'em.

Nie zaprosiła rodziny McPhie... Stara jest wiedźmą, uznała Milly, a reszta to prostaki. Dermott był pewien, że synowie McPhiego kradną mu bydło, miał z nimi kilka scysji i dochodził do wniosku, że chyba trzeba ogrodzić posiadłość od południowego wschodu. Będzie musiał omówić to z Jasinem.

Pagetowie wyjechali i nie mogli przyjść, ale zaproszenie zrobiło na nich wrażenie, podobnie jak na właścicielu wielkiej farmy nad rzeką Peel, Henrym Danganze. Przesłał oficjalne przeprosiny i ukłony dla lorda

Heselwooda, chociaż Milly wiedziała, że nigdy go nie spotkał.

Zaprosiła też Craddocków, małżeństwo zarządzające posiadłością prawnika, która rozdzielała Carlton Park od Kooraminu MacNamary.

Oczywiście zaproszenie przyjęli.

A Bess i Fred Forrestowie już wyruszyli w drogę. Fred zawsze chętnie pomagał Dermottowi. Bracia rozważyli wszystkie za i przeciw i uznali, że Bess i Fred powinni tu przyjechać. Mieli zamiar otworzyć warsztat siodlarski i szewski.

- Popyt jest duży - wyjaśnił Dermott żonie - a będzie jeszcze większy, jak pojawią się nowi osadnicy.

- Gdzie będą mieszkali? - przerwała mu Milly.

- Tutaj. Dom jest wystarczająco obszerny.

- Pozwól, że ci coś przypomnę, panie Forrest: Bess sama mówiła, że w domu może być tylko jedna gospodyni. Niech sobie wybudują własny dom.

- Ale tu nie mogą. Jasinowi mogłoby się to nie spodobać.

- Powinni byli kupić ziemię, kiedy my to zrobiliśmy.

Na końcu listy Milly miała gościa, którego obecność na przyjęciu będzie dla wszystkich niespodzianką. Był to człowiek sławny w całym okręgu.

Poza hodowlą owiec, winnicami i stadniną w Chelmsfordzie miał hodowlę bydła nad rzeką Peel, niedaleko miejsca, gdzie wpada ona do Namoi, a

choć krążyło wiele plotek, nikt na pewno nie wiedział, co jeszcze do niego należy. Kiedy byli w Hunter Valley, Milly uparła się, żeby Dermott zawiózł ją do Chelmsfordu, chciała bowiem odwiedzić grób Adelaide. Pan Rivadavia, Argentyńczyk, jak odkryła, a nie Hiszpan, był czarującym.

Zaproponował, by zostali u niego na noc, i przedstawił im swoją córeczkę.

Milly później opowiadała Bess:

322

- Dom jest przepiękny, z piaskowca. Mówią, że całkowicie go przebudował, a w środku jest dziedziniec z kolumnami, jak w klasztorze. Ściany są białe, posadzki kamienne, meble ogromne. Na podłogach leżą wspaniałe dywany, podobne wiszą na ścianach. Nasza sypialnia była taka sama, z wielkim łóżem i czarnymi meblami, Dermott wie, jak się nazywa to drewno. Nad łóżkiem wisiał krzyż. Myślę, że Rivadavia to papista, ale musiałabyś go zobaczyć! Jest po prostu boski! Nie pojmuję, jak udało się go złapać kobiecie takiej jak Adelaide Brooks. Była od niego o wiele starsza.

Tylko Dermott wiedział, że Milly zaprosiła Rivadavię, a on zaproszenie przyjął.

Nieważne, że trzy małżeństwa, które miały wziąć udział w przyjęciu, z przyjemnością zjadłyby kolację w kuchni, ważne było to, że wieści w buszu rozchodziły się lotem błyskawicy. Carlton Park stanie się towarzyskim centrum okręgu, kiedy wszyscy się dowiedzą, że gościli tam lord Heselwood i pan Rivadavia. Na swój sposób Milly rozumiała ludzi: czasami obecność nie liczy się tak bardzo jak to, że coś nas ominęło.

CZEŚĆ DZIESIĄTA.

Wojny czarnych I.

ROZDZIAŁ Trzydziesty Trzeci.

Kiedy wrócili do Nowej Południowej Walii, w porcie czekał powóz, który miał odwieźć lorda Heselwooda, earla Montone, jego żonę lady Heselwood i służbę do rezydencji rządowej, gdzie powitał ich gubernator Bourke z córką. Jasin uznał, iż stosowną rzeczą będzie skrócenie czasu

żałoby, która w kolonii i tak nie miała znaczenia, jako że tylko garstka osób znała jego zmarłego ojca, kiedy więc zeszli po trapie w eleganckich modnych strojach prosto z Londynu, wszyscy się za nimi oglądali. Jasin miał na sobie popielaty surdut i cylinder, a Georgina poranną suknię z rubinowego jedwabiu oraz welurowy kapelusik z piórkami.

Gubernator Bourke, irlandzki protestant, stanowił przeciwieństwo sztywnego i pompatycznego Darlinga. Był to człowiek odznaczający się inteligencją i dobrym smakiem, zauroczył Heselwoodów podczas pierwszych dni, kiedy przyzwyczajali się do lądu. Nie należał do tych, którzy przedkładają towarzyskie zobowiązania nad pracę, ale też, jak wyjaśnił Jasinowi, „jest tu wiele frakcji, od których lepiej trzymać się z daleka, tak łatwo nastąpić komuś na odcisk”. Jego córka, spokojna dziewczyna, zbyt była nieśmiała, żeby zapraszać damy, tak więc przez pierwsze tygodnie Jasin miał czas, żeby przyjrzeć się kolonii po ponadrocznej nieobecności i zająć przygotowaniami.

Jego zmarły ojciec zawsze narzekał na biedę, a Jasin odkrył, że rodzinna posiadłość istotnie jest w złym stanie, zdumiało go jednak, jak wiele drzwi się przed nim otworzyło, ważnych drzwi do ważnych finansowych instytucji, kiedy odziedziczył tytuł.

W Londynie otrzymał najrozmaitsze propozycje, na których wszakże zyskiwał niewiele: miejsce w zarządzie, rolę marionetki,

325

długą i powolną drogę do pomyślności, dlatego wszystkie odrzucił.

Zwróciły się do niego syndykaty z ofertą zainwestowania w jego przedsięwzięcia w Nowej Południowej Walii, ale i one spotkały się z odmową. Jasin nie miał zamiaru z nikim się dzielić. Dzięki nim jednak

otrzymał kredyt, bezcenny kredyt, zaaprobowany przez dobrotliwych dyrektorów Banku Anglii. Zdawał sobie sprawę, że uprzejmość, jaką mu okazano, szybko się ulotni, jeśli nie będzie w stanie wywiązać się z zobowiązań, ale mógł przynajmniej przyśpieszyć wyprawę na północ. Na nieszczęście śmierć ojca, która nastąpiła tuż przed ich powrotem do Anglii, spowodowała poważną zwłokę i Jasin się niepokoił, że najlepsze ziemie będą już zajęte, choć pamiętał też, jak Burnett mówił, że tamtejsze tereny są bardzo rozległe, a obecność sąsiadów konieczna. Był teraz zadowolony, że Burnett przekonał go do rezygnacji z tego głupiego pomysłu, żeby zapuszczać się za daleko poza granice. Miał zamiar od razu odwiedzić Macleaya i dowiedzieć się, o ile zostały poszerzone pod jego nieobecność, jednakże Georgina ostrzegła go:

- Byłabym ostrożna. Słyszałam, że mianowano nowego sekretarza kolonii, który niebawem przyjedzie z Anglii. Mówi się też, że będziemy mieli nowego gubernatora.

- Bourke o tym nie wspominał.

- Chyba zauważyłeś, że gubernator nie zanudza nas swoimi problemami, wydaje mi się, że uważa to za rzecz w złym guście, ale jeśli zadasz mu kilka pytań, jestem pewna, że ci odpowie.

Jasin nie musiał się fatygować, gubernator bowiem miał gościa na lunchu.

- Dobry przyjaciel - powiedział.

Heselwood wstrząśnięty zobaczył, że jest to nاپuszony i hałaśliwy Wentworth. On i John Macarthur byli najbogatszymi posiadaczami ziemskimi w kraju, aczkolwiek prowadzili całkowicie odmienną politykę. Wentworth bezwstydnie schlebiał Georginie, równocześnie wygłaszając polityczne diatryby, z których był sławny.

- Nie wiem, czy lady Heselwood to interesuje, Williamie
- odezwał się Bourke, naganę łagodząc uśmiechem.
- Nonsens! Ta kobieta ma mózg. To się rzuca w oczy.
- Odrzucił do tyłu grzywę białych włosów. - Dlaczego wszyscy zakładają, że kobiety rodzą się bez rozumu? Jak pani sądzi, madame, czy powinniśmy mieć parlament?

326

- Nie widzę powodów, dla których nie mielibyśmy go mieć - odrzekła Georgina. - To i tak nastąpi wcześniej czy później, o ile w kolonii obowiązywać będzie system westminsterski.
- Ha! Słyszysz, mówiłem ci! - zawołał Wentworth zadowolony z tej odpowiedzi, po czym utkwiał spojrzenie w twarzy Jasina. - Ale widzę, że milord jest innego zdania.

Jasin rozparł się swobodnie w fotelu, czekając na aluzję od gubernatora, ten jednak nie zdradził się ze swoją opinią.

- Najpierw musiałbym się dokładnie przyjrzeć konsekwencjom - odparł wymijająco.

Ale Wentworth nie ustępował.

- A czemu się tu przyglądać? Czyżby mieszkańcy kolonii nie cieszyli się tą samą wolnością co ludzie w Anglii?
- Spory procent jednak się nie cieszy. Zamierza pan mieć w izbie także przedstawicieli więźniów?
- I właśnie takiej kuglarskiej odpowiedzi można się było po panu spodziewać - oznajmił Wentworth niegrzecznie. - Udaje pan, że klasa średnia nie istnieje.
- Spokojnie, Williamie, każdy ma prawo do własnego zdania - wtrącił

Bourke.

- Tak samo mówi Macleay, słowo w słowo - warknął Wentworth. - Gubernatorze, tego człowieka należy usunąć, nie jest niczym więcej niż awansowanym urzędnikiem, który mówi nam, że nie powinniśmy mieć parlamentu, i ośmiela się blokować wprowadzenie ławy przysięgłych do sądów.

Jasina dziwił dobry nastrój Bourke'a. Powinien był dawno pokazać temu człowiekowi, gdzie jego miejsce.

- Cierpliwości, Williamie, będziemy mieć ławę przysięgłych i parlament, to wszystko po prostu wymaga czasu.

Ułagodzony Wentworth zajął się posiłkiem i Bourke zmienił temat.

- Lord Heselwood jest właścicielem farmy nad Namoi, Williamie.

- Tak, wiem. Nie ma z nią kłopotów? W tamtych stronach bywają dokuczliwe susze.

- Wydaje mi się, że zarządca radzi sobie nieźle. Niedługo tam pojedę, ale wybieram się na północ. - Jasin zmusił się do uśmiechu, by utrzymać Wentwortha w dobrym humorze; zauważył, że Georginie rozmowa sprawia przyjemność.

- Gdzie na północ?

327

- Darling Downs, tak chyba nazywają się te ziemie.

- Ha! Tamte okolice mają złą reputację. Moreton Bay to hańba, gubernatorze.

- Ale osadzeni w tej kolonii karnej są zatwardziałymi przestępcami - zaprotestował Bourke. - Co mamy z nimi zrobić?

- Ponad tysiąc ludzi nie robi nic poza uprawianiem kukurydzy, która

ledwo starcza im na przeżycie. Powinni pracować, dlaczego kolonia ma ich utrzymywać razem z tymi próżniakami z angielskiej armii, strażnikami? To niemożliwe, żeby wszyscy byli zatwardziałymi przestępcami.

- W dzisiejszych czasach trudno stwierdzić, kto jest, a kto nie - skomentował Bourke.

- Gubernatorze, słyszałem, że myśli się o zakończeniu darmowych przydziałów ziemi. Czy to prawda? - zapytał Wentworth.

Jasin starannie odłożył nóż i widelec na talerz, po czym napił się wina, uważnie słuchając. Wszedł w posiadanie Carlton Parku w ramach tej akcji, a zamierzał drugi przydział wziąć na nazwisko Edwarda, który urodził się w kolonii.

- Potrzebujemy pieniędzy na prace publiczne - powiedział Bourke. - Pobieranie kilku szylingów za akr wydaje się sensownym rozwiązaniem. To przecież niewiele.

- Niewiele w wypadku marnych małych farm - wybuchnął Wentworth - za to bandycka opłata w wypadku ludzi z wizją, którzy potrzebują wielkich gruntów, żeby inwestycje przynosiły zysk! To nie jest Anglia, tutaj na akr przypada kilka owiec i jeszcze mniej krów. Ostrzegam, gubernatorze, będę się temu sprzeciwiał.

- Zobaczymy - uśmiechnął się Bourke.

Jasin miał nadzieję, że Wentworth dotrzyma słowa. Nie potrafił go rozgryźć, ten człowiek wydawał się pełen sprzeczności, słuchaczowi trudno było nadążyć za jego wypowiedziami.

Kiedy czekali na deser, ku zdziwieniu Jasina Georgina wróciła do wcześniejszego tematu.



- Gubernatorze, czy jest dużo informacji o Darling Downs?
- Obawiam się, że nie za wiele - odparł Bourke. Wentworth uśmiechnął się do niej z aprobatą.
- W takim razie powinniśmy podzielić się z panią tymi, które posiadamy. Odsuwając na bok niebezpieczeństwo, jest to

328

doskonała ziemia, a chociaż minęły lata, odkąd nieodżałowany kapitan Logan zginął z rąk Aborygenów nad rzeką Brisbane, niewielu jest chętnych do zajmowania gruntów w tamtych okolicach. Wiemy tylko, że syndykat Szkotów planuje założenie tam wielkiej hodowli owiec. Na razie są jedyjni, ale na pewno pojawią się inni chętni do zajęcia ziemi, czekają tylko, aż nasz strachliwy rząd rozszerzy granice.

Jasin był zbulwersowany. Wentworth najwyraźniej nie potrafił wygłosić żadnej uwagi bez wbicia komuś szpilki, to było doprawdy niezwykle. Nic dziwnego, że Macarthurowie nie chcieli mieć z nim do czynienia.

- Dlaczego za jednym zamachem nie otworzyć całego kraju, raz na zawsze, gubernatorze? - zapytał Wentworth.
- Już to wszystko omawialiśmy. To byłby administracyjny koszmar, a ja nie mam ludzi.
- Nie powie mi pan chyba, milordzie, że poważnie rozważa wyprawę w tę północną dzicz? - zagadnął Wentworth Jasina. - Sądziłbym raczej, że miękki fotel do drzemki w Izbie Lordów bardziej przypada panu do gustu.
- Doprawdy? - przeciągle powiedział Jasin, ukrywając gniew. - Są między nami ludzie, dla których ciekawsze są wyzwania nieznanych krain niż siedzenie na miejscu i dziedziczenie owoców pracy naszych ojców. Jasin nie mówił prawdy, wolałby dziedziczyć, ale trafił w dziesiątkę.

Nawet gubernator Bourke się wzdrygnął, słysząc tę obelgę pod adresem wspaniałego Wentwortha, o którym wszyscy wiedzieli, że odziedziczył potężną fortunę po ojcu w Nowej Południowej Walii. Jedyne Georginę bawiła ta wymiana ciosów. Spojrzała na Wentwortha, jakby mówiła: „pański ruch, sir”, a ten podjął rękawicę. Zakręcił pustym kieliszkiem i gubernator gestem wskazał lokajowi, żeby go napełnił.

- Brawo! - krzyknął nieoczekiwanie Wentworth. Gubernator zamrugał, jakby mu ktoś prosto w oczy puścił strumień silnego światła.

Jasin uśmiechnął się pod nosem. Jestem godnym przeciwnikiem dla tego łajdaka, pomyślał patrząc z niechęcią na wyrazistą twarz, którą zmiękczały tylko gęste kobiece włosy.

Jednakże jego zwycięstwo było krótkotrwałe.

- Więc niech pan to udowodni, sir! - Wentworth pochylił się nad stołem.

329

- Lord Heselwood już to udowodnił - pośpieszył z interwencją Bourke. - Świadczy o tym Carlton Park. Pierwszy zajął ziemię na tamtych terenach.

- Prosta sprawa! - krzyknął Wentworth. - Znam te strony. Idziesz od jednej farmy do drugiej, aż trafisz na wolny grunt. Założę się, że przez większość drogi dobrze się panu żyło?

- Czy to zbrodnia? - uśmiechnął się Jasin.

- Ale to nie jest wyzwanie.

- Cóż więc nim jest? - Znudzony Jasin wyraźnie dawał do zrozumienia, że dla niego Wentworth gada po próżnicy.

- Wyprawa na północ.

- Sir, zapomina pan chyba, że powiedziałem, iż tam się wybieram.

- Jaką trasą? - zapytał Wentworth jedwabistym głosem, jakby znajdował

się w sali rozpraw.

- Tą samą, którą jak przypuszczam, pójdą wspomniani przez pana Szkoci. Na północ przez Nową Anglię, stamtąd w góry, a z tego co słyszę, nie ma tam utartych szlaków.

- Niech więc pójdzie pan inną.

- Nie ma innej trasy - wtrącił Bourke. - Nie wprowadzaj zamętu, Williamie. Wy, prawnicy, jesteście w tym dobrzy.

- Ależ jest - odparł Wentworth z podnieceniem, przesuwając srebrne naczynia z przyprawami. - Musztarda to Sydney, pod pieprzem jest kolonia karna Moreton Bay przy ujściu Brisbane do morza. - Rzekę symbolizował widelec. - Zdają sobie państwo sprawę, że z Sydney do Moreton Bay jest około ośmiuset mil, może mniej?

Wszyscy kiwnęli głowami.

- Nieco na południowy zachód od kolonii karnej leży Limestone. - Wentworth wyjął kwiatek z bukietu na stole. - To jest Limestone, miasteczko nieistotne dla naszych rozważań, służy tylko do określenia odległości. A tutaj, szanowni państwo, jest miejsce zwane Darling Downs. Przystudiowałem mapy bardzo uważnie. - Jak na zwalistego mężczyznę był niezwykle zwinny. Zerwał się na nogi, wziął figurynkę z bezcennej porcelany i postawił na wykrochmalonym obrusie. - Darling Downs! Proszę teraz zauważyć, Sydney oddziela od Darling Downs ogromna przestrzeń. Zgadza się?

Znowu kiwnęli głowami.

330

- Jednakże - ciągnął Wentworth - spójrzcie na to w relacji do Moreton Bay i Limestone. Przypatrzcie się Limestone. Zauważycie, że z Moreton Bay

do Darling Downs jest około dziewięćdziesięciu mil.

Usiadł zadowolony, że dowiódł swoich racji, ale Jasin, który ucieszył się, że ten wykład z geografii dobiegł wreszcie końca, uniósł brew i zapytał krótko:

- I co z tego?

- To jest pańska trasa! - Wentworth uderzył pięścią w stół.

- Zapomina pan, sir, że Moreton Bay to zamknięta kolonia. Cywilom nie wolno korzystać z tej drogi.

- A pan zapomina, lordzie Heselwood, że siedzi pan przy stole gubernatora. Jednym pociągnięciem pióra może panu pozwolić na skorzystanie z tej trasy, czy nie tak, gubernatorze? Jeśli lord Heselwood życzy sobie podróżować przez Moreton Bay, to z pewnością nie odmówi pan jego prośbie.

- Chyba nie - odparł Bourke, wchodząc w zasadzkę.

Widząc, że łatwiej dostać się na północ statkiem, co oszczędzi wielu miesięcy na końskim grzbiecie, Jasin spojrział na gubernatora.

- Udzieliliby mi pan takiego pozwolenia?

Bourke był w kłopotcie. Wentworth zwykle nie próbował pomóc ludziom, których tak wyraźnie nie lubił. Był w tym jakiś haczyk, ale gubernator nie potrafił go znaleźć.

- Skoro pan sobie życzy - wzruszył ramionami.

- W takim razie sprawa załatwiona. - Jasin był zadowolony z obrotu rzeczy. Popłynie statkiem, bydło pójdzie lądem. To było aż nazbyt proste. Zastanawiał się, dlaczego inni nie wpadali na ten pomysł, i musiał przyznać, że wbrew pozorom Wentworth jest bardzo przebiegły.

- Doskonale! - rozjaśnił się William Charles Wentworth. - Niech pan idzie

na Moreton Bay szlakiem Logana! - Jako wytrawny dyskutant czekał, aż sens jego słów dotrze do słuchacza. - Szlakiem Logana!

W zaciszu sypialni Georgina przypuściła szturm na męża.

- Nie możesz, Jasinie! To wykluczone!
- Ależ tak, nie pozwolę, żeby wyszło na jego.
- Nie rozumiesz, że cię prowokował? Gubernator Bourke przeprosił.

Powiedział, żebyś nie zwracał na niego uwagi.

331

- W takim razie dlaczego tak blisko się przyjaźnią?
- Nie mam pojęcia. Wentworth to człowiek absolutnie nieprzewidywalny. Nie potrafię pojąć, dlaczego Bourke utrzymuje z nim kontakty.

- Cóż, jedno wiemy na pewno. Musimy jak najszybciej się stąd wynosić - stwierdził Jasin. - Gubernator może i jest bardzo sympatyczny, ale pozostaje w konflikcie z naszymi przyjaciółmi. Nic dziwnego, że nikogo tu nie widzimy. Teraz jest jasne, dlaczego Macarthurowie go nie odwiedzają.

- Nic o tym nie wiem - odparła Georgina - ale miałam straszne kłopoty z nadążaniem za tym, co mówił Wentworth. Wygląda na to, że on nienawidzi Macarthurów, a przecież jest jednym z nich.

- Nawet nie próbuj go zrozumieć - poradził jej mąż. - Wentworth to szaleniec.

- Panna Bourke powiedziała mi w zaufaniu, że John Macarthur jest umysłowo chory.

Jasin krążył po pokoju.

- Wszyscy oni są szaleni, ale Wentworth rzucił mi rękawicę, a ja muszę ją podjąć.

- Nie! On cię sprowokował.
- Tak. Ma gazety, może zrobić ze mnie pośmiewisko.
- Co cię to obchodzi?
- Każdego by obchodziło. Ale chociaż Wentworth jest sprytny, mnie nie pokona. Powiedziałem, że pójdę, ale nie podałem terminu. Mamy mnóstwo do załatwienia. Najpierw musimy wynająć dom, nacieszyć się życiem w Sydney i utrzymując dobre stosunki z gubernatorem, równocześnie się od niego zdystansować. Chyba jest popularny w niektórych kręgach, ale wątpię, czy znajdzie uznanie u wpływowych figur w kraju, u tych, co pociągają za finansowe sznurki. I oczywiście muszę pojechać na inspekcję Carlton Parku. Chcesz mi towarzyszyć?
- Nie.

Jasin roześmiał się. Georgina nie wybaczyła Forrestom. Dla niego byli wygodni, dla niej irytujący.

332

ROZDZIAŁ Trzydziesty Czwarty.

Pierwsi do Carlton Parku przyjechali państwo Forrestowie, zmęczeni po podróży w podskakującym na wybojach amerykańskim, bo Bess nie lubiła pokonywać długich dystansów wierzchem.

Podjazd od bramy do domu nie został jeszcze zrobiony, ale trakt udeptały końskie kopyta. Latem nie miało to większego znaczenia, za to zimą utworzy się tu błoto. Milly planowała wysypany piaskiem podjazd, który okręzałby ozdobną rabatę. Teraz czekała we frontowych drzwiach, ubrana w brązową lnianą suknię z kołnierzem i mankietami z kremowej koronki. Spódnice sprytnie podniosła o kilka cali, by ukryć zaokrąglone kształty. Ćwicząc rolę gospodyni, pomachała z uśmiechem do Freda, który pomagał

Bess wysiąść. Oboje twarze mieli szare i zmartwione.

- Gdzie jest Dermott? - rzucił Fred przebiegając obok niej.

- Ubiera się. Co się stało?

- Och, Milly - Bess objęła ją ze łzami w oczach - mamy złe wieści.

- Co się stało? - pytała Milly idąc za nimi do domu. - Napadnięto was?

Konstabl był tu wczoraj i mówił, że na drodze panuje spokój. - Słowa zamarły jej na ustach, gdy zobaczyła, że Fred złapał pod rękę brata i prowadzi go do salonu, przez ramię wyjaśniając: - Muszę porozmawiać z Dermottem.

Milly poszła za nimi.

- Cokolwiek masz do powiedzenia, ja też mogę usłyszeć.

- Tak, siadaj, Fredzie - odezwał się Dermott. - Biedna Bess musi być wyczerpana. Chcesz drinka, nim przekażesz mi te niepokojące wieści? To nie może być aż tak złe.

- Obawiam się, że jest. Myślę, że dla ciebie, bracie, to będzie prawdziwy szok. Pamiętasz, jak prosiłeś mnie, żebym poszedł do Biura do spraw Gruntów i wziął dla ciebie tytuł własności Carlton Parku, bo chcesz go mieć na farmie, teraz gdy spodziewacie się dziecka, dziedzica?

- A właśnie - wtrąciła Bess. - Milly, jak się czujesz? Jednakże Milly ją zignorowała.

- Iw czym rzecz, Fredzie?

333

Ten wyciągnął rękę do żony, która z wielkiej brokatowej torby wyjęła plik papierów. Powolnym gestem wziął je od niej i wręczył Dermottowi, jakby był to jakiś rytuał.

- Oto kopia tytułu własności i raport rządowego geodety. Kosztowało

mnie to parę funtów.

- Biorą opłaty za takie rzeczy? - zdziwiła się Milly.

- Nie, jeśli jesteś właścicielem. Inaczej traktują tych, co wściubiają nos w cudze sprawy.

Milly westchnęła. Fred nigdy niczego nie potrafił załatwić dobrze.

- Myślę, że cię oszukali, Fred - roześmiała się. - Pokaż mi ten akt, Dermocie.

Dermott jednak nie odrywał wzroku od dokumentu.

- Pomyliłeś miejsca, Fredzie, tutaj nie ma naszego nazwiska. - Spojrzał na brata z pobłażaniem. - To się zdarza.

- Fred nie pomylił miejsca - powiedziała Bess. - Posiadłość nazywa się Carlton Park i jest jej opis.

- Daj, niech zobaczę. - Milly wzięła papiery i rozłożyła sobie na kolanach. Pozostali czekali, gdy uważnie je studiowała. - To nasza farma - odezwała się wreszcie. - Carlton Park, widać po planie, ale popełnili błąd. Wpisali nazwisko Jasina, a zapomnieli o naszym. Może wpisują tylko jedno nazwisko.

- Przeczytaj akt własności, on jest najważniejszy. Wynika z niego, że właścicielem jest pan J. Heselwood. Twojego nazwiska nie ma, Dermocie! Uwierz mi, kazałem im wiele razy to sprawdzić. Heselwood ziemię dostał jako przydział, w każdym razie jej większość, i prawie nic za nią nie zapłacił. I popatrz na nazwisko świadka, urzędnik się przestraszył, jak zobaczył podpis, i zaraz chciał się mnie pozbyć. Przydział ziemi dla Heselwoda załatwił osobiście Macleay, sekretarz kolonii.

- Co to znaczy? - Milly wciąż była zdezorientowana.

- To znaczy, że was oszukali - odparł Fred bez ogródek. Dermott wziął



dokumenty w trzęsące się dłonie.

- Nie posuwałbym się tak daleko. Pan Heselwood wszystko nam wyjaśni, będzie tu w piątek.

- Mówisz, Fredzie, że nie jesteśmy właścicielami naszej ziemi? - szepnęła Milly.

- Tak.

- Ale stoi na niej nasz dom! Jesteśmy właścicielami tego domu! - teraz krzyczała. - Chcesz powiedzieć, że nasz dom do

334

nas nie należy? - Skoczyła na równe nogi, obrzucając gniewnym spojrzeniem mężczyzn, którzy przygnębieni milczeli. Wybuchnęła szlochem, trzęsąc się z wściekłości. - Dermott, coś ty narobił? Pozwoliłeś, żeby nas obrabował. I na jego ziemi zbudowaliśmy nasz dom, nasz piękny dom! Zabiję go! - Wpadła w histerię, ktoś nalał jej brandy. - To mu nie ujdzie na sucho! - krzyczała Milly krążąc po pokoju. - Wciąż jest nam winien pieniądze! Zażądamy ich zwrotu!

- Wtedy on może zażądać, żebyście się stąd wynieśli

- powiedział Fred. - Stąpasz po kruchym lodzie, Dermott.

- Jak mógł nam coś takiego zrobić? - zawołała Milly.

- I dlaczego? A moje przyjęcie? Jak mogę gościć u siebie lorda, który jest zwykłym złodziejem?!

W tym samym czasie trwała też kłótnia na farmie Kooramin: Dolour odmówiła pójścia na przyjęcie do Milly.

- Ale obiecałem, że przyjdziemy - nalegał Pace. - I Milly obrazi się, jak nas nie będzie. Dermott mówi, że planowała to od tygodni.

- Mamy za dużo roboty! - odparła Dolour. - Będziemy musieli zostać u

nich na noc, a trzeba wydoić krowy!

- Connelly powiedział, że to zrobi.

- Nie mogę dokładać mu obowiązków, i tak ma ich dość. A co z domem? To będzie zmarnowany dzień.

- Dom poczeka. Dolour, za ciężko pracujesz. Zawsze ci powtarzam, żebyś odpoczęła. Od świtu do nocy jesteś na nogach. Odpoczniesz, będziesz mogła ładnie się ubrać. Chyba się ich nie boisz?

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała smutno. - Ale nie musimy tam iść, Pace. Milly nie będzie nas brakowało, zresztą zaprosiła nas tylko z grzeczności.

- To taki sam dobry powód jak inne, nie wydaje ci się? Wesprzemy ją. Jeśli chce się pokazać przed Heselwoodem, to dlaczego nie? Bóg wie, że on tego nie doceni, ale jeśli Milly pomogą przyjaciele, wieczór będzie udany. A poza tym - dodał ze śmiechem - jaka korzyść z pięknej żony, skoro nie mogę się nią pochwalić? - Objął ją i pocałował.

W piątek wieczór Dolour wciąż odmawiała pójścia.

- Posłuchaj, ja już nie proszę, ja ci każę - oznajmił Pace. - Potrzebujemy sąsiadów, musimy sobie wzajemnie pomagać.

335

Nie możemy zawieść Milly; jeśli okazała nam uprzejmość, zapraszając nas, to my też okażemy jej uprzejmość i pójdziemy. Czasami trzeba się spotkać z innymi ludźmi.

Dolour skurczyła się na fotelu, blada jak ściana i niespokojna. Gdy usłyszała, że na tym przyjęciu będzie Jasin, ogarnęła ją panika. Teraz Pace był na nią zły, a jej zabrakło już wymówek, ale przecież w żadnym razie tam nie pójdzie, to zbyt niebezpieczne, nigdy nie wiadomo, co Jasin

powie. Pace czekał na odpowiedź. Dolour z całego serca żałowała romansu z Jasinem, ale nie miało sensu płakać nad rozlanym mlekiem. Modliła się, żeby więcej go nie zobaczyć, i za każdym razem gdy ktoś przy niej wspominał jego imię, robiło jej się niedobrze. Strasznie było żyć z tą czarną chmurą nad głową i poczuła gniew. Dlaczego muszę tak żyć? pytała siebie, nie wiedząc, od czego zacząć, kuląc się w sobie jak słabe jagnię. Dłużej tego nie zniosę.

- Dłużej tego nie zniosę! - powiedziała i Pace spojrział na nią zaskoczony.
- Czego nie zniesiesz?
- Mam ci coś do powiedzenia, Pace. Równie dobrze mogę zrobić to teraz i mieć już za sobą. Kocham cię, a to mnie zabija. To dotyczy Jasina Heselwooda...

Całą noc siedział w starym płóciennym fotelu na werandzie. Nie odezwał się do Dolour. Nie ufał sobie, jedno słowo mogło uwolnić wściekłość, która aż w nim buzowała. Jej opowieść zraniła go w samo serce i nie miało sensu myśleć, że zareagowałby inaczej, gdyby nie chodziło o Heselwooda. Chodziło o niego! I rozwiązała się kolejna zagadka.

Kiedy ramię mu wydobrzało, Pace pojechał do Hunter Valley na poszukiwania Pelhama. Znalazł go na cmentarzu w Maitlandzie.

- Zginął w bójce jakiś czas temu - powiedział mu konstabl. - Wdał się w awanturę w karczmie i wyzwiał człowieka na pojedynek. Ale ten drugi nie miał pojęcia, o co chodzi, nigdy nie słyszał o pojedynku. Pistolety, czterdzieści kroków, jakieś bzdury. Po prostu się odwrócił i uderzył Pelhama, a w następnej chwili kapitan był na dworze i wymachując pistoletem, groził, że zastrzeli Silvera, bo tak się ten poganiacz nazywał. No i Silver rzucił się na kapitana z żelazną ostrogą. Zatrącił go na śmierć.

Była rozprawa wstępna, ale jak powiedział Silver: „Gdy ktoś celuje do  
336

ciebie z pistoletu, nie tracisz czasu na zadawanie pytań!" Było dużo  
świadców, Silver się wywinął.

Następnie Pace pojechał do Singleton i odnalazł starego, który wtedy się  
na niego zaczął. Żeby go otrzeźwić, kilka razy stuknął jego głową w  
poidło dla koni.

- Nigdy więcej go nie widziałem - zaskomlał Wally. - Nie wrócił, żeby dać  
mi kolejne pięć funtów, które mi obiecał, jak załatwię sprawę.

- Nie zarobiłeś na nie, stary draniu.

- Nie miałem zamiaru mu o tym mówić.

- W takim razie powiedz mi coś innego. On nie nazywał się Pelham.

Kapitan Pelham już wtedy nie żył. Więc kim był, do diabła?

- Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Takie mi podał nazwisko. Był  
Anglikiem, mogę przysiąc. Prawdziwy arystokrata, raz z nami pił.

Pace uznał, że stary pijak się pomylił, poszedł za niewłaściwą osobą, co  
nie było zaskoczeniem. Ktokolwiek wybrał go do tej roboty, musiał być  
takim samym pijusem. Ponieważ później już nie zdarzyło się, by ktoś  
dybał na jego życie, Pace zapomniał o całym incydencie.

Inne sprawy zaprzętały mu myśli. Stada się powiększały, farma była coraz  
lepiej wyposażona, ale wciąż nie mógł wypełnić obietnicy złożonej  
O'Mearze. Wiedział, że nie może prosić O'Meary i jego przyjaciela, żeby  
dłużej czekali, ale na razie nie zebrał gotówki potrzebnej na zakup ziemi  
na północy. Ta myśl wprawiała go w przygnębienie. Jeśli sam nie może jej  
kupić, to przynajmniej powinien znaleźć innego kupca. Nie potrafił się  
wszakże do tego zmusić.

Wracając jednak do tajemniczego Anglika, który staremu zlecił zabójstwo, w świetle wyznania Dolour sprawa zaczynała się wyjaśniać. Pragnąc przekonać męża, że między nią a Heselwoodem wszystko skończone (skrzywił się na myśl o nich obojgu razem), opowiedziała mu o jego wizycie w ich domu w Singleton i o tym, jak kazała mu się wynosić. To nie pomagało. Pace siedział z kamienną twarzą i pozwalał jej mówić. Nie miał teraz najmniejszych wątpliwości, że to Heselwood wynajął bandytę. Świadczył o tym głupi sposób, w jaki załatwił całą sprawę. Typowe dla niego! Pace roześmiał się, ale zaraz śmiech przeszedł w jęk. Heselwood nie był ważny. Dolour

337

żyła w kłamstwie. Zrobiła głupca z męża, którego podobno tak bardzo kochała. Ukryła przed nim romans. Nigdy mu nie przerywała, kiedy mówił o Heselwoodzie, nigdy słówkiem się nie zdradziła, że go zna. W dodatku lepiej niż on! Jakim głupcem musiał się jej wydawać!

I Forrestowie. Z tajemnicą ukrytą w sercu słuchała, jak opowiadają o wspólniku, wielmożnym panu Heselwoodzie. A może oni wiedzieli, że Heselwood i żona MacNamary byli kochankami? Wystawiła go na pośmiewisko.

Żal i gniew były dla niego torturą, nienawidził Dolour za to, że go oszukiwała, a Heselwooda za to, że dotykał Dolour i myślał, że wciąż ma do niej prawo. Odwiedził ją, kiedy mąż nie patrzył. A ta historia? Że Heselwood przyszedł, a ona kazała mu się wynosić. Co jeszcze się wydarzyło? Ile z tego było prawdą? Znowu poczuł furię i z całej siły uderzył pięścią w otwartą dłoń.

W progu stanęła Dolour okryta szlafrokiem.

- Późno już, Pace, nie idziesz do łóżka? Bardzo mi przykro, za skarby świata nie chciałam cię na to narażać, ale nie wiedziałam, co mam zrobić. Poczul, jak wzbiera w nim łkanie, ale je stłumił, od czego zabolaly go piersi, jednakże gorycz była tak wielka, że nawet nie odwrócił głowy, by spojrzeć na żonę.

W końcu postanowił, że pojedzie do Carlton Parku bez niej. Weźmie udział w wydawanej przez Milly kolacji, przyjął przecież zaproszenie. Porachunki załatwi później.

Kiedy Pace przybył, w Carlton Parku trwało istne pandemonium. Nikt nawet nie zauważył, że nie ma z nim Dolour. Dermott doznał udaru. Heselwood odjechał po poważnym nieporozumieniu z partnerami, a Milly kompletnie się załamała i Pace nie potrafił wydobyć z niej rozsądnego słowa. Z pokoju chorego wyszedł doktor, żeby porozmawiać z rodziną, do której zaliczył też stojącego na korytarzu Pace'a.

- Jego stan jest zły - powiedział. Milly zaczęła płakać głośniej. - Powinna się pani położyć, pani Forrest. Dam pani laudanum, żeby pani zasnęła.

- Nie chcę spać! - krzyknęła. - Co się stało Dermottowi?

- Cicho, pani Forrest, choremu potrzeba spokoju. Obawiam się, że prawa strona jego ciała została sparaliżowana. Miał wylew.

338

- Czy z tego wyjdzie? - zapytał Fred.

- Nie mogę nic obiecać - pokręcił głową doktor. - Minie dużo czasu, nim znowu będzie mógł chodzić, o ile w ogóle to nastąpi.

- Och, ten Jasin Heselwood! To przez niego! On to zrobił mojemu Dermottowi! - Milly znowu krzyczała. - Muszę do niego iść. - Ruszyła ku drzwiom, ale doktor ją powstrzymał.

- Nie, on teraz śpi. Niech odpoczywa. - I przy pomocy Bess zaprowadził ją do sąsiedniego pokoju.

- Co tu się stało? - zapytał Pace.

- Wszystko! - odparł Fred. - Chętnie się napiję, a ty?

- I nie czekając na odpowiedź poszedł do jadalni. Pace podążył za nim.

Mijając salon, zobaczył Craddocków z farmy Battersona, którzy nerwowo przycupnęli na krawędzi krzeseł. Powitał ich skinieniem głowy.

Nad szklaneczkami najlepszego rumu Dermotta Fred opowiedział o przyczynie całego zamętu. Heselwood! Pace zadawał sobie pytanie, czy powinien się dziwić. Odkrycie, że nie ma się prawa do zajmowanych gruntów, a co gorsza, że zbudowało się dom na cudzej ziemi, u każdego mogło wywołać wylew.

- Fatalna sprawa - przyznał Pace. - Ale jak rozumiem, Heselwood był tu wczoraj. Dermott pytał go o to?

- Och, jasne. Ale masz pojęcie, lord Heselwood tylko spojrzał na Dermotta takim wzrokiem, jakby ten nie miał prawa zadawać mu pytań. Zupełnie go zlekceważył. Wtedy oczywiście do rozmowy włączyła się Milly. Heselwood powiedział jej, że to nieporozumienie, że nie mają powodów do zmartwienia. Cóż, znasz Milly, niezły ma charakterek.

Rzuciła w niego aktem własności i kilkoma brzydkimi słowami.

Powiedziała, że dla niej może być nawet królem, ale ma załatwić sprawę z aktem własności i zwrócić pieniądze, które mu pożyczyli.

Pomimo własnego nieszczęścia Pace nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Żałował, że go to ominęło.

- Ale wiesz, co zrobił Heselwood? - ciągnął Fred. - Wstał zimny jak ryba i spojrzał wyniośle znad tego swojego kościstego nosa. „Nie przyszedłem

tu, żeby mnie obrażano", powiedział, „obejrzałem farmę, Dermocie, i muszę przyznać, że utrzymujesz tu doskonały porządek." A potem wyszedł. Widzieliśmy, jak odjeżdża z dwoma poganiaczami, którzy wyglądali raczej na obstawę. Później Dermott nagle upadł, a resztę już znasz.

339

Doktor wychodził i Fred poszedł go odprowadzić. Pace powędrował do salonu.

- Myślisz, że powinniśmy odjechać?-zapytał go Bill Craddock.
- Doprawdy nie wiem, ale jeśli macie ochotę na drinka, to lepiej sami się poczęstujcie, w jadalni wszystko jest przygotowane. Nikt nie zauważy.
- Przynieś mi sherry - szepnęła pani Craddock do męża.
- Dobrze. A tobie, Pace?
- Napiję się rumu. Od dawna nie piłem, a zaczynam myśleć, że dzisiaj jest odpowiedni dzień.

Przyłączyli się do nich Fred i Bess. Wszyscy stali w skrzepowanej, przygnębionej grupce, dopóki w drzwiach nie pojawiła się Milly. Twarz miała umytą, włosy uczesane.

- Powinnaś spać! - zawołała Bess.
- Nie wezmę tego laudanum, smakuje okropnie. - Spojrzała na Pace'a, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie jego obecność, i ujęła go za rękę. - Och, Pace, tak się cieszę, że tu jesteś. Słyszałeś, co Heselwood nam zrobił?
- Tak, ale nie możecie pozwolić, żeby uszło mu to na sucho. Potrzebujecie dobrego prawnika, a kto jest lepszy od Battersona?
- Właśnie - zawtórował Bill Craddock. Batterson był jego wujem.



- Ale co z Dermottem? Nie może zarządzać farmą, a ja nie mam o tym pojęcia. Pace, musisz mi pomóc.
- Myślałem już o tym. Milly nie może opuścić domu, bo jeśli to zrobi, żaden sąd nie zajmie się tą sprawą. Fredzie, czy ty i Bess moglibyście z nią zostać?
- Zostajemy, Milly - powiedziała Bess stanowczo. - Prawda, Fred?
- Przysięgam na Boga. Dopóki Dermott nie poczuje się na tyle dobrze, że będzie mógł pracować, my się wszystkim zajmiemy.
- Nie wiem, co poradzi ci prawnik - zwrócił się Pace do Milly - ale myślę, że musisz pozwać Heselwooda do sądu i udowodnić prawo do połowy farmy, tymczasem jednak nie płać mu ani pensa za sprzedane sztuki. Ani pensa. Moim zdaniem masz do tego prawo, skoro jest wam winien pieniądze.

340

Dla Bess był to krok nazbyt drastyczny.

- Ale jeśli miał rację i to jednak była pomyłka? Jeśli rzeczywiście jakiś urzędnik po prostu zapomniał wpisać nazwisko Dermotta na akcie własności?

Pace spojrzał na nią twardo i posepnie.

- Nigdy nie dawaj Heselwoodowi przywileju wątpliwości. Za ich plecami ktoś zakaszłał.
- Dobry wieczór. Pukałem, ale nikt nie słyszał.

Przybył gość specjalny, Juan Rivadavia. Wyglądał wspaniale w krótkiej, wyszywanej na czarno kurtce, białej koszuli z koronkowym żabotem, z szerokim pasem na idealnie dopasowanych spodniach.

Na jego widok Milly wybuchnęła płaczem. Zapomniała o przyjęciu.

To nie było przyjęcie, ale zwykła kolacja. Bess wysyłała pokojówki z jednym daniem za drugim, Milly, sztywna i milcząca, siedziała u szczytu stołu, jakby w tym przedstawieniu ominęła ją rola mówiona. Po godzinie Craddockowie umknęli. Milly opuściła jadalnię i nie wróciła, Bess zniknęła w kuchni, a Fred poszedł posiedzieć przy bracie.

- To bardzo smutne dla Dermotta - powiedział Rivadavia do ostatniego gościa, Pace'a MacNamary.

- Nie znasz nawet połowy tej historii.

- Tak? A co jeszcze się stało? Pace pokręcił głową.

- Nie psujmy wspaniałego wieczoru - uśmiechnął się blado, a Juan, wciąż pod wrażeniem przygnębiających wydarzeń, spojrzał na niego niepewny, czy dobrze usłyszał, a potem wybuchnął śmiechem.

Przy wtórze zegara wybijającego ósmą podszedł do kredensu i wziął butelkę wina.

- To będzie długi wieczór.

Zostawieni samym sobie, rozmawiali o pogodzie, stadach i farmach.

- Mam działkę daleko na północy - powiedział Pace - ale ją stracę, bo brakuje mi gotówki. Nie interesowałoby cię kupienie połowy?

- Gdzie to jest?

- W drodze na Darling Downs, w Brisbane Valley.

341

- Tak daleko? - Juan był zaintrygowany. - Chciałbym mieć tam ziemię.

- Ruszam w drogę, kiedy tylko będę mógł - rzekł Pace. Nie wiedział, czy przemawia przez niego alkohol czy też rozgoryczenie z powodu Dolour.

- Chętnie bym ci towarzyszył, ale kupiłem posiadłość sąsiadującą z moją farmą. Urządzam tam stadninę i mam sporo do zrobienia. Wielka szkoda,

zawsze chciałem zbadać tamte strony. Przyrzekam jednak, że zainwestuję, jeśli ziemia jest dobra.

- O ile wiem, ziemia jest wiele warta. Działka o powierzchni co najmniej dwudziestu mil kwadratowych została wytyczona i czeka na kupca.

- Dobry początek - uznał Juan, jakby czytał w myślach Pace'a. - Moglibyśmy wziąć więcej.

Pace przypomniał sobie dom, który budował. Czuł się związany wcześniejszym przyrzeczeniem.

- W porządku, w takim razie dzielimy się po połowie. Muszę skończyć dom, potem tam pojedę.

Wróciwszy na własną farmę, powiększył liczbę robotników przy budowie; zajmowali się tym od świtu do nocy, w razie konieczności pracowali przy latarniach. Wciąż nie odzywał się do Dolour, a kiedy ona do niego mówiła, ignorował ją. Wiedział, że ją rani, widział jej oczy zaczerwienione od ciągłego płaczu, ale nie potrafił na nią patrzeć. Dni mijały, a on traktował ją coraz surowiej. Nadal był zły, że stracił okazję rozprawienia się z Heselwoodem, przysięgał sobie, że mu nie daruje, i wściekłość wracała.

Od wieczoru w Carlton Parku spał na werandzie. Zdawał sobie sprawę, że na farmie huczy od plotek, ale przy nim nikt nie ośmielił się o tym wspomnieć, wszyscy w jego obecności milkli, obawiali się bowiem nagłych wybuchów gniewu, i Pace nie mógł się doczekać, kiedy stąd wyjedzie. Beze mnie będzie tu weselej, myślał gorzko. W wieczór przed wyjazdem wezwał do siebie Connelly'ego.

- Jadę na północ przejąć ziemię, którą O'Meara trzyma dla mnie - powiedział. Wydało mu się, że dostrzegł wyraz ulgi na twarzy swego nadzorcy. - Dasz radę prowadzić farmę pod moją nieobecność?

- Jasne. Oby tylko O'Meara nadal tam był.
  - Oby - przytaknął Pace. - Nie miałbym do niego pretensji, gdyby zrezygnował. Zostało wam wykończenie wnętrza domu
- 342
- i przeprowadzenie do niego Dolour i chłopców. Jeśli chcesz, to możesz zamieszkać tutaj.
- Nie przeszkadza mi spanie w baraku. Chatę możemy zamienić na mleczarnię, bo tam już robi się ciasno.
  - Nie. Skoro nie chcesz tutaj mieszkać, urządz tu biuro, a w sypialni magazyn.
  - Oczywiście. Jak długo cię nie będzie?
  - Trudno powiedzieć - odparł Pace myśląc, że może nigdy tu nie wróci. - Co najmniej kilka miesięcy. Utrzymywanie ksiąg w porządku będzie dla ciebie dobrą praktyką.
  - Potrzebujemy więcej rąk do pracy. Dlaczego nie sprowadzimy więźniów?
  - Nie rozumiem, jak możesz tak mówić, skoro sam byłeś więźniem.
  - Ale tu mieliby lepsze życie niż w więzieniu. A płacilibyśmy im tyle co wolnym ludziom. W Carlton Parku mają więźniów.
  - Na mojej ziemi nie będzie niewolników. Urzędnicy rządowi przeprowadzaliby ciągle inspekcje, a gdyby któryś uciekł, musielibyśmy na niego donieść, w przeciwnym razie oskarżono by nas o pomoc w ucieczce. Będę się rozglądał po drodze i jeśli spotkam jakichś rozsądnych gości, przyślę ich tutaj. Tymczasem musicie jakoś sobie radzić.
- Pace spakował sakwy, przygotował zapasy, które miał nieść juczny koń, i poszedł spać bardzo późno.

- Jutro wyjeżdżasz? - Koło niego stała Dolour z kocem narzuconym na plecy.
- Tak.
- Bez pożegnania?
- Idź do łóżka.
- Co mam zrobić? Powiedziałam, że bardzo tego żałuję. Chcesz, żebym padła na kolana? Zrobię to, Pace, ale błagam, nie wyjeżdżaj w taki sposób. Mam straszne przeczucie, że nie wrócisz. Wrócisz?
- Nie wiem.

Usłyszał, jak wstrzymuje oddech.

- Dziękuję za dom, jest piękny. Ale bez ciebie nic nie jest wart.

Usiadła na stopniach niedaleko jego polowego łóżka i patrzyła w noc.

Widział, jaka jest samotna, zgarbiona niczym cień,

343

ale się nie odezwał. To co miałby ochotę powiedzieć, było gorsze od milczenia.

Rano wciąż tu była, twarz miała białą i ściągniętą. Pace ubrał się, wзуł buty i poszedł do sypialni po dodatkowe ubrania i barani kaftan. Chwilę stał i patrzył na synów, potem wyszedł z domu kuchennymi drzwiami.

ROZDZIAŁ Trzydziesty Piąty.

Dimining należał do ludu Kamilaroi, a jego plemię nazywało się Warrigal. Jack szybko się dowiedział, że nazwa ta oznacza psa dingo, któremu jako totemowi nie mogła stać się krzywda. Pozwolili Jackowi zostać u siebie, dzielili się z nim jedzeniem, a on próbował nauczyć ich angielskiego, żartowali sobie jednak, zamieniając naukę w kolejną zabawę, bo bardzo lubili się bawić, tak więc zmuszony był przyswoić sobie ich język,

cierpliwie znosząc kpiny, kiedy popełniał błędy. Odstępowali mu nawet swoje kobiety. Ngalla i Kana mogły do niego przychodzić, ale Dimining wyjaśnił, że na żonę musi jeszcze poczekać.

Jack nie sięgał tak daleko w przyszłość. Zamierzał pewnego dnia odejść, na razie jednak to swobodne życie sprawiało mu przyjemność. Odnosił wrażenie, że plemię ma więcej zasad niż wojsko, mimo to słuchał uprzejmie, kiedy Dimining tłumaczył mu ważne kwestie dotyczące żon. Jack nie mógł wziąć sobie żony, choć była jedna niezamężna dziewczyna, dopóki nie przejdzie inicjacji i nie stanie się pełnoprawnym członkiem klanu. Kiedy wszakże Jack zobaczył ślady po tym rytuale, uznał, że raczej nie zasługuje na ten zaszczyt. Młodzieńcy z dumą pokazywali mu blizny i dziurę po przednim zębie wybitym przez starszyznę, a Jack wracał do swojego szałas szczęśliwy, zadowolony z wypożyczonych kobiet. Starsi mieli pierwszeństwo w wyborze żon, niektórzy brali po dwie, trzy, dlatego nie było wolnych kobiet i młodzi musieli czekać, aż dziewczęta osiągną wiek odpowiedni do małżeństwa albo któraś z kobiet owdowieje. Jack sądził, że powodem wielożeństwa musi być jurność starców, szybko jednak zaczął dostrzegać przezorność w ich postępowaniu. Żony zbierały korzonki, miód i jagody,

344

zapewniając wyżywienie mężowi, który nie potrafił już nic upolować. Stopniowo Jack nauczył się dbać o siebie, trochę polował, łowił ryby, co dało mu lepszą pozycję w społeczności. Ilekroć myślał o odejściu, zadawał sobie pytanie, po co ma odchodzić, i tak tygodnie zmieniały się w miesiące. Smarował się tłuszczem emu dla ochrony przed zimnem i wklepywał ziemię w skórę, by odstraszyć moskity. Zbrązowił na słońcu,

włosy mu urosły, tworząc gęstą zmierzwioną grzywę. Kobiety pomalowały go czerwoną ochrą i przycięły mu brodę ostrymi muszlami.

Uwielbiał to leniwe życie. Każdy dzień zaczynał od poszukiwania jedzenia, a kiedy zebrał dość, do wieczora mógł odpoczywać i się bawić.

Pewnego poranka obudziły go okrzyki.

- Bullara! Bullara!

Wybiegł z szałas i zobaczył, że czarni z podnieceniem wskazują na tęczę.

Zdaniem Jacka nie był to powód do takiego zamieszania, zaraz jednak spostrzegł, że zwijają obóz.

- Dokąd idziemy? - zagadnął Dimininga.

- Na wędrowną - usłyszał w odpowiedzi, ale nadal nic nie rozumiał.

- Jak się nazywa ta rzeka? - zapytał jeszcze.

- Namoi. My teraz szybko biec. Ty zostać z Moorego i Kamarra.

Opiekować się tobą jak birralee - roześmiał się Dimining.

Jack wiedział, że birralee oznacza małe dziecko, wyszczerzył więc zęby i szturchnął Dimininga w bok, zdumiony własną umiejętnością życia wśród tych ludzi, wesołych w dobrych chwilach, za to brutalnie rozwiązujących nieporozumienia. Zawsze bardzo uważał, żeby nikogo nie obrazić. Typową karą było wbicie włóczni w udo, a winowajca musiał spokojnie ją przyjąć. Nawet kobiety bywały okrutne. Widywał, jak wpadały we wściekłość, waląc się wzajemnie po głowach pałkami, aż jedna padała bez przytomności. Później zwyciężczyni pielęgnowała pokonaną. To wszystko było nazbyt skomplikowane dla Jacka, wolał trzymać się z boku.

Kobiety z niemowlętami w chustach zawiązanych na szyi pakowały worki i zbierały patyki do kopania. Moorego gwizdnął na Jacka, ponaglając go do pośpiechu. Miał około czterdziestu lat i chromą nogę, a Kamarra był

jego synem. Myśliwi ruszyli przodem,

345

kobiety, dzieci i słabsi mężczyźni utworzyli krąg. Moorego wystąpił i z niezwykłą ceremonialnością wręczył Jackowi nową włócznie.

Jack podziękował uprzejmym ukłonem, który wywołał salwy śmiechu, po czym podniósł włócznie, rozumiejąc, że to nie tylko dar, ale i oznaka akceptacji. Wyczuwał, że czeka go długa wędrówka.

- Cholelasna! - powiedział Moorego z uśmiechem, a Jack zadowolony pokiwał głową. Aborygen przyswoił sobie kilka słów używanych przez Jacka, przy czym jego ulubionym był wyraz „cholelasna”, którego nauczył się, kiedy Jack bosą nogą nastąpiwszy na ciernisty krzew, wrzasnął wniebogłosy: „Cholera jasna!” Moorego śmiał się wtedy do rozpuku; szczególną uwagę zwracał na wyrażenia, których można używać przy specjalnych okazjach. Wyglądało na to, że czarni nie mają w swoim języku żadnych przekleństw, w każdym razie Jackowi nie udało się ich odkryć. Od Moorego dowiedział się, że pójdą wzdłuż rzeki na południe, a potem na wschód, ku porannemu słońcu, i to go zaniepokoiło, oznaczało bowiem, że wracają na ziemi zamieszkaną przez białych. Za tą równiną, po drugiej stronie łańcucha górskiego, znajdowała się Hunter Valley. Jack musi wcześniej odłączyć się od grupy.

Moorego kreślił dla niego mapy na ziemi, zaczynał więc orientować się nieco w topografii terenu i poznawał nazwy miejsc, do których docierali. Należało trzymać się z daleka od Baddawarał, bo była to równina bez wody, tak więc okrążyli ją, nadkładając wiele mil. U wejścia do małej doliny leżało Girrawheen, łąka kwiatów. Każdy punkt orientacyjny miał swoją nazwę i członkom plemienia wielką radość sprawiało pokazywanie



ich Jackowi, który z kolei powtarzał je sobie, by zapamiętać na przyszłość. Wieczorami myśliwi wracali z kangurami albo oposami, kobiety rzucały na ogień mięso i korzonki, plemię siedziało wokół ogniska, śpiewając albo snując opowieści, potem kładli się na spoczynek, by mieć siły na kolejny dzień wędrówki.

Pewnego dnia po południu, kiedy przedzierali się przez gęste zarośla, grupa nagle stanęła. Jack usiadł, wdzięczny za tę zwłokę. Czekali ponad godzinę, aż usłyszeli dziwny głos w oddali, wołający „kuiii”. Moorego odpowiedział i nagle pojawili się obcy. Twarze i torsy mieli ozdobione piórami.

346

- Ludzie Bralga - wyjaśnił Moorego.

Po krótkiej wymianie zdań między przywódcami ruszyli dalej przez busz. Wreszcie zarośla zaczęły rzednąć i wyszli na polanę, gdzie pomiędzy rosnącymi tu i tam drzewami znajdował się wielki obóz. Lud Warrigal pobiegł naprzód, rozległy się śmiechy i podniecone rozmowy. Kobiety z dziećmi przysiadły przy ogniskach. Jack trzymał się z boku, niepewny przyjęcia przez tych obcych, ale Moorego wziął go za rękę i pochwalił się nim jak cenną zdobyczą. Ludzie Bralga z fascynacją obejrzelili każdy cal jego skóry, nawet przyrodzenie, wybuchając śmiechem na widok niewielkiego rozmiaru jego dużego palucha. Oni paluchy mieli ogromne, bo przez całe życie wspinali się na drzewa.

Jack nie był zadowolony, kiedy opuścili schronienie w buszu i ruszyli przez równinę, choć skrywała ich wysoka trawa. Wlókł się z tyłu i rozważał, czyby nie wrócić do obozu Bralga, w końcu jednak musiał zarzucić ten pomysł, bo nie miał wody. Z przyczyn, których do tej pory nie

potrafił rozgryźć, Aborygeni za rzecz złą uważali noszenie wody ze sobą, żałował więc, że nie ma kapelusza. Grupa nie miała przywódcy, szli chaotycznymi rzędami, ale zawsze prosto przed siebie, jakby wiedzieli, dokąd idą, i na koniec dnia nieodmiennie trafiali na wodopój. Coraz bliżej były znieawidzone góry, przez które Jack przedzierał się z Diminingiem; teraz sobie uświadomił, że nie widział go od wielu dni. Próbował powiedzieć Moorego, że nie powinien iść dalej, ale Aborygen go nie rozumiał. Jack chciał, żeby wrócił Dimining, on znał niebezpieczeństwo. Czarni nie śpieszyli się z opuszczeniem tego wodopaju, za co Jack był im wdzięczny. Było tu mnóstwo zwierzyny, w tym stada ptaków i nietoperze, które strącali z drzew patykami. Jack zwykle zjadał wszystko, ale co do nietoperzy był stanowczy. Wiedział, że to przesąd z jego strony. Czarni mieli mnóstwo przesądów, nie potrafił im jednak tego wytłumaczyć, bo nie poznał jeszcze słów z języka Kamilaroi na określenie tabu.

Pewnego ranka obudził go Kamarra. Gestami dał znać, żeby był cicho, po czym zaprowadził go do miejsca oddalonego od obozu, gdzie czekali na nich Moorego i jacyś obcy. Czego ode mnie chcą? zastanawiał się Jack. Zaraz jednak Moorego zerwał się do biegu przez otwartą równinę, pozostali popędzili za nim. Zatrzymali się, wskazując dziwne ślady.

347

Moorego z dumą popchnął Jacka, by lepiej się przyjrzał, jakby to on potrafił je rozpoznać, pozostali zaś z szacunkiem trzymali się z tyłu. Jack wszakże nie potrzebował patrzeć drugi raz.

- O Jezu - powiedział. - Ślady wozów.

Szokiem dla niego było stwierdzenie, że biali dotarli aż tak daleko, nie potrafił natomiast wyjaśnić czarnym znaczenia śladów.

- Wozy - powtórzył, ale odpowiedziały mu puste spojrzenia. Poskrobał się po głowie, szukając słowa oznaczającego konia; musi zapytać o to Dimininga. - Biali. - Ujął włócznię jak strzelbę. - Pif-paf!

Twarz Moorego zmarszczyła się z niepokoju. Usiedli na ziemi, żeby przedyskutować problem. Jack czuł się ważny. Widok śladów po wozach nie sprawił mu przyjemności. Żył pomiędzy przyjaciółmi i nie chciał, by jakiś intruz to zepsuł. Nauczył się zręcznie władać billah, włócznią, i mógł polować, kiedy zaszła taka potrzeba. Mięśnie mu stwardniały i czuł się silniejszy niż kiedykolwiek.

Po raz pierwszy odkąd był wśród czarnych, podjął za nich decyzję.

- Pójdziemy za tymi śladami i zobaczymy, dokąd wiodą - oznajmił, a oni pokiwali głowami na zgodę.

Ślady przez dwa dni prowadziły ich przez równinę, później ukryci w buszu obserwowali białych ludzi, którzy nad rzeką ogradzali pastwiska.

- Wozy - powiedział Jack. - Tam. Wozy. Kamarra wskazał konie.

- Yarraman - powiedział, a Jack strzelił palcami. - Właśnie, yarraman. Konie.

Kiedy wrócili do swoich, Jack z ulgą zobaczył Dimininga i jego przyjaciół. Wiedzieli już o wozach.

- Biali znaleźli przejście przez góry. Teraz nic ich nie powstrzyma. Będą sprowadzać tu owce, bydło i konie, będą mieszkać na naszej ziemi. -

Odwrócił się do Jacka, który jak zwykle siedział z tyłu. - Mam rację?

- Tak - potwierdził Jack, czując nerwowy skurcz w żołądku jak zawsze, gdy rozmawiano o białych.

Przy ognisku stanął mężczyzna i wygłosił długą orację, której zebrani wysłuchali w milczeniu, za to po następnej przemowie

rozległy się gniewne okrzyki, nawet kobiety włączyły się do chóru.

Wszyscy mówili zbyt szybko i Jack ich nie rozumiał.

- Co się dzieje? - zwrócił się do Ngalli.

- Jeden człowiek mówi, musimy wracać, iść stąd szybko. Drugi mówi, nie. To nasz kraj, zostaniemy, zabijemy białych.

Wstał starzec imieniem Jung Jung. Plemię nie miało wodza, ale wszyscy głębokim szacunkiem darzyli Junga Junga. Mówił cicho i powoli, Jack rozumiał każde słowo.

- Nie będziemy zwracać uwagi na białych. Są nieważni. Czemu wszyscy tak się złościacie?

Jack Drew nie miał nic przeciwko zabijaniu białych. W jego oczach niczym nie różnili się od Mudiego, który bezwzględnie wykorzystywał więźniów.

Dimining kucnął obok Jacka.

- Co ty o tym myślisz?

- Sam nie wiem. Nie pokonacie uzbrojonych w strzelby żołnierzy.

Trwała burzliwa dyskusja; Dimining poczekał, aż zapanuje spokój. Wtedy stanął przy ognisku i wytłumaczył, czym są strzelby i do czego służą. Tej nocy poszli spać przerażeni i zdezorientowani, nazajutrz zaś ruszyli swym odwiecznym szlakiem, który ku radości Jacka omijał Hunter Valley.

Minęli wozy i każdy członek plemienia po kolei się podkradał, by rzucić na nie okiem. Przeprawili się przez rzekę i zostawili za sobą równiny, uciekając przed upałem i moskitami w chłodne góry. Przed wejściem w dolinki rozpalali ogniska i przechodzili przez dym, żeby uwolnić ciała od owadów i nie dopuścić, by tu się rozpleniły. Pływali i łowili ryby w

górkich strumieniach i pod wodospadami. Wędrowali przez lasy, urządzali narady i odwiedzali inne plemiona. Pokazali Jackowi obszary tabu, gdzie wszelkie życie było bezpieczne, gdzie nie zabijano zwierząt, nawet ptaków, nie tykano miodu, nie wyrywano korzonków, ponieważ na tej ziemi odradzało się życie. Kiedy nadeszła zima, ruszyli na północ ku słońcu.

Po śmierci męża Ngalla zwróciła się o pozwolenie na poślubienie Dżakadu i uzyskała zgodę, ponieważ Dżakadu był wielkim myśliwym oraz obiektem zainteresowania innych plemion. Jego kobiety przez lata urodziły kilkoro dzieci o jaśniejszej skórze, ale tylko dwóch chłopców uważano za jego synów. Aborygeni wierzyli,

349

że dzieci zsyłane są przez duchy i nie mają żadnego związku z obcowaniem kobiety z mężczyzną. Małe gwiazdki, które mrugały na niebie, były dziećmi czekającymi na narodzenie, a wielkie gwiazdy i konstelacje, o czym wszyscy dobrze wiedzieli, to majestatyczne figury Snu.

Przez długie lata Jack żył w pokoju ze swoim ludem. Leniwie przemierzali olbrzymie odległości i niemal zapomniał o terenach nad Namoi. Kiedy tam wrócili, goście odwiedzający ich obóz mówili, że czarni wciąż mogą wędrować po równinach nad Namoi, a potem z gór schodzić do słodkiej doliny, to prawda, ale biali są wszędzie, a potrafią być bardzo okrutni.

- Tak nie może być - powiedział Moorego. - Dlaczego na to pozwoliliście? To kraj Kamilaroi. Jeśli zabiorą go biali, dokąd pójdziemy?

- Są jak powódź - odparł ktoś ze smutkiem. - Jak możemy ich powstrzymać?

Jack rozumiał teraz prawa terytorialne różnych plemion. Ziemię dziedziczyli z pokolenia na pokolenie. Jeśli nawet biały człowiek zająłby całe terytorium ludu Kamilaroi, nie mogliby przenieść się na ziemię należącą do innego ludu. To nie wchodziło w grę, poza tym musieliby zostawić totemy, cmentarze i święte miejsca, a bali się, że gdyby to uczynili, ich duchy by zbłądziły i nie potrafiły odnaleźć drogi do Snu. Ludzie z innych plemion wkraczali na rozległe terytoria Kamilaroi jedynie wówczas, gdy zostali zaproszeni, i zwykle celem obcych był handel. Teraz słuchali o nieszczęściach, które zdawały się nie mieć końca. Biali przekroczyli Namoi i ruszyli ku Gwydir, przeprawiając się z tysiącami zwierząt przez wielkie rzeki, jakby to były strumyki. Obecnie zajmowali ponad połowę terytorium Kamilaroi i starszyzna obawiała się, że wkrótce zostaną zalani jak plemiona na południu.

Jack, który rozpaczliwie pragnął pomóc, powiedział do Dimininga:

- Są już dostatecznie blisko. Może pójdę, ukradnę im broń i amunicję.
- Nie, nie możesz tego robić. Jesteś przy nas bezpieczny, dopóki nie masz broni. To przypomniałoby naszemu ludowi, że jesteś biały, ktoś mógłby się przestraszyć i cię zabić.

Jack siedział przy ognisku, czując strach i osamotnienie. Orientował się, że grupa przygotowuje się do drogi na wschód, w kierunku morza.

350

Czekali tylko na maruderów. Wstał i uniósł ręce, by zwrócić na siebie uwagę pozostałych:

- Nie idźcie tam - błagał. - Chodźmy do Warrego, nad wielką rzekę, z dala od białych.

Oni jednak odrzekli, że muszą iść. Czas odwiedzić krewnych i przyjaciół,

którzy się ich spodziewają - podróż zapowiadała się na ekscytującą. Jack zdawał sobie sprawę, że nie mogą się doczekać, kiedy znowu wkroczą do doliny, którą nazywają słodką, a która dla białych nosi nazwę Hunter Valley. Wyczuwał w nich ciekawość: chcieli zobaczyć białych i cuda, jakimi się otoczyli. Rozumiał go tylko Dimining.

Ngalla nie pojmowała, dlaczego Jack robi tyle zamętu.

- Odwiedzimy lud Warrain w słodkiej dolinie. Biali dają im dobre jedzenie - dodała szorstko.

- Dostaniesz od nich kopniaka w dupę albo coś gorszego! - zezłościł się Jack.

Mężczyźni kłócili się przez wiele dni, a Dimining tracił grunt pod nogami.

- Biali są niebezpieczni. Będą strzelać do czarnych ludzi z mniej ważnych powodów, niż strzelają do barndoo, czarnych kaczek. - Nie potrafił jednak wzbudzić w pobratymcach gniewu na wroga, który według nich nie istniał. Na własne oczy widzieli czarnych, którzy byli wśród białych i wrócili cali i zdrowi - choćby sam Dimining! Na własne uszy słyszeli opowieści o jedzeniu białych i do ust napływała im ślinka. Pragnęli czym prędzej wyruszyć w drogę, żeby zobaczyć wszystkie te cudowne rzeczy.

Ci najbardziej porywczy oklaskami przyjęli słowa Junga Junga.

- Nie ma o co się kłócić. To jest nasza droga. Musimy pozostać na starych szlakach, by nie wprowadzać w błąd duchów. Stąd pójdziemy przez wysokie trawy w góry, a z gór do doliny, gdzie lud Warrain czeka na nas w zagajniku żółto kwitnących drzew. Nigdy nie chodziliśmy inną drogą - zganił Dimininga - ani mój ojciec nie chodził, ani jego ojciec. Jak możesz być tak okrutny i mówić naszemu ludowi, że nie wolno mu dłużej wędrować w kierunku porannego słońca? Kto ośmiela się mówić ludowi

Kamilaroi, że nie wolno mu przemierzać własnego terytorium?

Ngalla płakała przez wiele dni, kiedy Jack oznajmił, że z nimi nie pójdzie. Usiłował jej wytłumaczyć, że biali by go zamknęli, gdyby wpadł w ich ręce, ale ona nie rozumiała pojęcia więzienia.

351

Mówił więc o patyku, z którego by go zabili. Później za zgodą Ngalli odwiedziła go Kana, przynosząc smakołyki, które specjalnie dla niego ugotowała. Leżała koło niego i szeptała, jak smutno będzie Ngalli odchodzić bez męża.

- W takim razie zostanie tu ze mną - oznajmił, co wywołało łzy. Ustąpił więc, choć wiedział, że będzie się martwił przez cały czas ich nieobecności.

Nocą podkładał się, by obejrzeć zabudowania na farmach i prymitywne chaty, które wyrastały w okolicy jak grzyby po deszczu. Czasami w ścianach widział otwory na strzelby. Zastanawiał się, dlaczego biali chcą budować swoje domy w krainie czarnych, gdzie otaczają ich tysiące wrogo nastawionych ludzi. Starszyzna pytała go o to samo, ponieważ jednak nie wiedział o gorączce ziemi, nie mógł im tego wyjaśnić.

Niektórzy czarni odwiedzający obóz opowiadali, że pracowali dla białych, w zamian otrzymując pyszne jedzenie. Dimining odchodził, zbyt rozgniewany, żeby tego słuchać. Moorego był wstrząśnięty.

- Jesteśmy myśliwymi i wojownikami! Jak możecie przyjmować jedzenie, jakbyście byli bezzębnymi kalekimi staruchami?

Dyskusja zakończyła się wybuchem śmiechu, kiedy goście wyjaśnili, na czym polegała ta praca. Wieczorem w tańcu naśladowali robotników napinających się, mozolących i spoglądających w słońce przez cały dzień,



za co otrzymywali kawałek mięsa.

Prowadzący taniec przemówił:

- Po co ten mozół, skoro duchy dają nam jedzenie? To nie może być słuszne. Jeśli biały człowiek ma dość jedzenia, żeby się podzielić, dzieli się, i tyle. Nie nadawajcie zbyt wielkiego znaczenia jego rytuałom.

Powiadam wam, odejdźcie, trzymajcie się od białych z daleka i wróćcie do nas przy trzecim księżycu.

Jack wypytywał nowo przybyłych o czerwone mundury. Usłyszał, że jest ich dużo, także konnych, i to dla niego sprawę rozwiązało: pozostanie w górach. Wiedział teraz, że jego duch jest wolny, że kajdany go zniszczą, musi więc być bardzo ostrożny i nie narażać się na pojmanie. Pewnego dnia być może powróci do tamtego świata; pogodził się z myślą, że ów dzień wskażą mu duchy. Jego życiem zaczynał rządzić mistycyzm Aborygenów. Niekiedy zdumiewali go swoją wiedzą, sam zaś z wielkim szacunkiem przysłuchiwał się opowieściom o Czasie Snu.

352

Mnóstwo chwil spędził na rozmyślaniach. Mówił członkom plemienia o świecie białego człowieka, o wysokich domach i statkach, które przewożą ludzi i zwierzęta, o wszystkich tych sprawach, które czarni nazywali jego magią, częścią jego Snu.

Często nocami leżał bezsennie i patrzył, jak chmury się rozstępują odsłaniając gwiazdy. Czy ich Sen jest równie rzeczywisty jak mój? zastanawiał się. Podziwiał tajemnice i magię Aborygenów, zaczynał też dbać, by nie denerwować wielkich duchów podejmowanymi na własną rękę poczynaniami.

Pewnej nocy Kamarra wrócił z polowania i przyniósł mu spory zapas

tłuszczu z zabitego bydła. Tłuszcz stał się największym przysmakiem. Opowiedział Dżakadu o łuku z rysunkami białego człowieka, który zbudowano w poprzek szlaku. Jack słuchał zaintrygowany. Myśliwym ruszającym na następną wyprawę polecił, żeby mu przynieśli te rysunki.

- Po co? - zapytał Moorego.

- To taki żart. Chcę je odczytać.

- Ach, cholelasna! - roześmiał się Moorego.

Myśliwi spełnili jego prośbę. Była to dobrze oheblowana deska, prawie nie zniszczona przez pogodę, z nazwą farmy wypaloną wielkimi literami:

CARLTON PARK.

W wieczór poprzedzający odejście grupy wszyscy siedzieli przy ognisku i śpiewali, stukając patykami do wtóru didżeridu. Dzieci, które nigdy się nie męczyły, biegały wkoło jak szalone, a Ngalla wpatrywała się w Jacka wielkimi, zasnutymi łzami oczyma. Nagle zapadła cisza, jakby wszystkie odgłosy zawisły w powietrzu. Nikt nic nie mówił.

Jack na pobliskiej skale zobaczył potężnego, budzącego strach mężczyznę, którego twarz i ciało pokryte były popiołem i pomalowane w białe pasy.

Przegrodę nosową przebijała mu kość, włosy zebrane miał w kok, na szyi kły psów dingo, na biodrach i kostkach pasy futra. Jack widział go, podobnie jak ci, którzy siedzieli twarzą do skały, pozostali jednak się nie odwrócili. Siedzieli i czekali.

- Kto to? - szepnął Jack do Ngalli, ale ona aż skuliła się cała z przerażenia i milczała. Kobiety nie mogły wypowiedzieć imienia tego mężczyzny.

- Ilkepala - odszepnął Dimining. - Szaman ludu Warrigal.

353

Gdyby nie widział tego na własne oczy, Jack nigdy by w to nie uwierzył.

W jednej chwili Ilkepala stał na skale, w następnej znalazł się pośród ognisk. Nie mógł skoczyć tak daleko. Na początku Jack pomyślał, że musiało ich być dwóch, ale często słyszał o wyjątkowych ludziach, którzy potrafią być w dwóch miejscach jednocześnie.

Postać w środku kręgu zaczęła melodyjnie recytować, oni zaś słuchali i odpowiadali gardłowymi pomrukami.

- Udziela nam księżycowego błogosławieństwa, to wielki zaszczyt - powiedział Dimining.

Po twarzach polały się łzy wzruszenia, oczy błyszczały radością. Jack zastanawiał się, czy błogosławieństwo jego też dotyczy, i postanowił przyjąć wszelką pomyślność, jaka się z nim wiąże.

Kiedy znowu podniósł wzrok, podskoczył z przerażenia. Na miejscu Ilkepali stał wielki dingo z obnażonymi kłami i czerwonymi ślepiami, w których odbijały się płomienie. Znowu zabrzmiał chóralny śpiew; Jackowi wydało się, że głosów jest więcej niż ludzi w obozie, że to z tysięcy gardeł wydobywają się te dźwięki, ale poza nim nikt jakoś nie zwrócił na to uwagi. A potem zadął wiatr, dym zawirował nad ich głowami i siedzący przy ognisku wrócili do przerwanych rozmów. Jack zastanawiał się, czy sobie tego wszystkiego nie wyobraził, ale nikt nie chciał o tym mówić.

Rzecz święta.

Tej nocy nie przyszła do niego ani Ngalla, ani Kana. Znalazł je przytulone do dzieci.

- Watra warra - powiedziały. - Odejdź. Dzisiaj święta noc.

W obozie panowała cisza, nawet zwykle poszczekujące psy się nie odzywały. Rano czekał na niego Jung Jung.

- Ilkepala mówi, że musisz iść i odszukać lud Tingum.

- Co? - roześmiał się Jack. - Żeby odcięli mi głowę? Nie ma mowy!

Jung Jung nabrał garść ziemi i przesywał między palcami. Nagle wydał się Jackowi bardzo stary.

- Ilkepala mówi, że musisz opuścić lud Warrigal.

- Małe szanse - odparł Jack. - Wyglądasz na zmęczonego. Nie idź dzisiaj, zostań ze mną.

- Muszę iść, mój duch czeka.

Zirytowany tą rozmową, Jack patrzył, jak odchodzą bez pożegnania.

Czeka ich przyjemna wędrówka, a on wiele miesięcy

354

będzie musiał tu czekać. Obwinił żołnierzy i osadników o pozbawienie go przyjaciół, w obozie zostało teraz tylko kilku gości. Ujął włócznię jak strzelbę i wycelował w drzewa, udając, że to żołnierze. - Pif-paf!

ROZDZIAŁ Trzydziesty Szósty.

Jasin Heselwood wsiadł na przybrzeżny statek do Brisbane w towarzystwie Arthura Appleby'ego i dwóch innych młodzieńców. Podróż z lordem robiła na całej trójce wielkie wrażenie, co okazywali nazbyt natrętnie, ale Jasina to nie dziwiło, bo byli źle wychowani. Żeby się od nich uwolnić, poszedł na rufę i patrzył, jak kilwater burzy błękitne wody. Bourke pożeglował do Anglii, ale nowy gubernator, George Gipps, dotrzymał słowa danego przez poprzednika i ekspedycja szła jak po maśle. Gubernator wysłał wiadomość, że jednostka wojskowa w Moreton Bay zobowiązana jest wyposażyć lorda Heselwooda i jego trzech towarzyszy w konie i sprzęt, a także przydzielić im czarnego przewodnika.

Jasin rozmyślał o Forrestach i gniewie Milly. Dermott lepiej by zrobił, gdyby przyciął jej ten język.

- Mają szczęście, że po powrocie do Newcastle nie wysłałem im nakazu eksmisji - mruknął do siebie. W rzeczywistości nic nie zrobił w ich sprawie. W trakcie swojej wizyty przekonał się, że Dermott utrzymuje farmę w porządku, a stado jest zdrowe. Jasina nie martwiło, że Forrestowie odkryli brak swojego nazwiska na akcie własności Carlton Parku, mogą sobie krzyczeć, ile chcą. Sądy miały pełne ręce roboty ze sporami granicznymi i kłótniami o własność, prawodawstwo usiłowało nadążyć za poczynaniami osadników, złodziei cudzych działek i „kakadu”. Jasin rozumiał, że w teorii system jest skuteczny, ale nikt nie przestrzegał zasad i opis granic jednego właściciela nigdy nie pokrywał się z opisem przedstawionym przez jego sąsiada. Bóg tylko wiedział, kto był pierwszy i co do kogo należało. Uśmiechnął się do siebie: o tak, Forrestowie mogą iść do sądu.

355

Dołoży starań, żeby przepisano akt własności, umieszczając w nim jego tytuł. Według niego kolonia dzieliła się na dwie klasy: tych, którzy cieszyli się przywilejem przebywania w towarzystwie osób utytułowanych, oraz tych, którzy odnosili się do arystokracji z niechęcią, aczkolwiek w większości na dnie serca żywili sekretną zazdrość.

Sądowe ławy pełne były dżentelmenów należących do tej pierwszej grupy - dwa razy się zastanowią, nim wydadzą wyrok niekorzystny dla earla Montone.

Forrestowie mieli dobre życie w Carlton Parku i Jasin zachodził w głowę, dlaczego narzekają. Przecież on im to umożliwił. Mogą się mścić, nie wypłacając mu w tym roku udziału w zyskach, jeśli jednak to zrobią, on wystawi im nakaz eksmisji i będą mogli z nim walczyć ze swego

szewskiego warsztatu. Chociaż gdyby udało mu się porozmawiać z Dermottem na osobności i przekonać go, że dostali to, czego pragnęli, na pewno by uległ. Jasin był tego pewien.

Opuszczając Carlton Park tak szybko, żałował tylko, że ominęło go spotkanie z Dolour. Uśmiechnął się. Jak przez mgłę pamiętał kilka dni spędzonych na pijaństwie z włóczęgami pod Singleton, kiedy to mówił o usunięciu MacNamary i jakiś stary łajdak zgłosił się na ochotnika. Od poganiaczy spotkanych na szlaku dowiedział się, że MacNamara jest cały i zdrowy. Zresztą nie spodziewał się zbyt wiele, tamten stary pijus ledwo umiałby odstrzelić sobie stopę... aczkolwiek byłoby poręcznie, gdyby MacNamara zniknął z tego świata.

Przekonał się, że obecnie londyńskie damy są odważniejsze, bardziej zepsute i gotowe na wszelkie intrygi, wciąż jednak od czasu do czasu rozmyślał o Dolour. Żadna nie dorastała jej do pięt. Westchnął. Może ją przecenia, może ona po prostu obudziła w nim prawdziwą męskość, trudno powiedzieć. Chętnie jednak znowu by się z nią spotkał.

Rejs do Brisbane przebiegł bez nieprzewidzianych wypadków. Pod eskortą żołnierzy przepłynęli z kolonii karnej na drugi brzeg rzeki, a więźniowie przepawili konie.

Jasin cieszył się, że opuszcza Brisbane. Dwa dni w miasteczku wystarczyły mu aż nadto, uważał je bowiem za odrażające. Widok setek więźniów pobrząkujących łańcuchami był niesmaczny, co więcej, gości zżerały żywcem pchły i moskity. Nie potrafił pojąć,

356

jak oficerowie mogli w ogóle rozważać sprowadzenie swoich pań w takie miejsce. Nie przyjął zaproszenia komendanta na kolację i odrzucił

propozycję zwiedzenia więzienia.

- Myślę, że dość już widziałem, kapitanie.

Czekał na nich aborygeński przewodnik, starzec imieniem Zed. Miał na sobie podarte spodnie i naszyjnik z zębów rekina.

- Stąd do Limestone jest tylko niecałe sześćdziesiąt mil - powiedział Arthur - a na rzece będziemy mieć liczne towarzystwo, więc nie przypuszczam, żebyśmy wpadli w jakieś kłopoty.

Jasin się z nim zgadzał, chociaż szlak okazał się trudniejszy do pokonania niż rzeka. Poszycie było gęste i miejscami cierniste. Zed rąbał maczetą przejście, często jednak robił tylko miejsce dla siebie i znikał im z oczu, zapominając, że konie potrzebują większej przestrzeni. Przeprawiali się przez strumienie, zostawiali rzekę, wspinając się na porośnięte lasem wzgórza, i znowu do niej wracali, brodząc przez trzciny, odrywając od ciała tłuste pijawki i zielone lepkie wąsy roślin.

- Idziemy w dobrym kierunku? - zawołał Jasin.

- W dobrym, szefie. Wszystko szybko rośnie w wilgoci.

- Powinniśmy byli popłynąć rzeką do Limestone - narzekał Len Almond.

- To straszna droga - zgadzał się z nim jego przyjaciel Robert.

- W Limestone nie mielibyśmy skąd wziąć koni - odparł Jasin z irytacją.

Towarzysze zaczęli mu działać na nerwy.

Kiedy wreszcie dotarli do małego przyczółka, Arthur z Jasinem poszli wypytać o dalszą drogę oraz uzupełnić zapasy, pozostali dwaj natomiast udali się do zajazdu, gdzie spili się jak bele.

- Niech pan się nimi nie przejmuje - powiedział Arthur przepraszająco. - Rano dojdą do siebie.

- Lepiej, żeby tak było - warknął Jasin.

Z Limestone wkroczyli na łatwiejszy teren, ale ciernie na akacjach podarły im ubrania i pokaleczyły ciało, a konie były płochliwe. Biegący przodem Zed wskazał wysokie góry w oddali.

- To Downs, szefie. Tam wysoko!

Jasin był zdumiony, że to tak blisko. Zachwycony pogratulował sobie w duchu i to poprawiło mu humor. Wentworth jednak wyświadczył mu wielką przysługę. Po drodze nie widzieli czarnych

357

poza może dwudziestoosobową grupą zdążającą w innym kierunku, która na nich nie zwróciła nawet uwagi. Jasin miał wrażenie, że mógłby niemal dotknąć sławnych Darling Downs.

Wiwatując, z większym niż dotąd entuzjazmem pojechali w stronę płaskowyzu, ale im bardziej się zbliżali, tym wydawał się wyższy. Dla Jasina jednak nie miało to znaczenia, wiedział, że tam na górze jest królestwo do zdobycia. Minęli kilka odosobnionych chat, wokół których osadnicy karczowali pola pod uprawy, a chociaż w ich obecności czuł się bezpieczniej, to równocześnie niepokoiło go, że farmerzy także wiedzą o tych nowych terenach. Dowiedział się od Macarthurów, że owe małe rodzinne grupy przypominają stada kakadu obsiadające płoty, ponieważ wdzierali się na cudze farmy, a władze skłonne były ich tam zostawić. Kiedy zaczęli wspinaczkę po zboczu, Jasin pomyślał, że szczyt wydaje się blisko, jednakże wysokie drzewa zasłaniały widok. W końcu dotarli do gołej skały.

Zed podniósł rękę ku niebu.

- W górę, szefie.

Jasin popatrzył we wskazany przez niego kierunku.



- Bardzo dobrze. Ale jak się tam dostaniemy? Zed skoczył na skalną półkę.

- Łatwo, szefie. Wspinamy się.

- Nic z tego. Konie tam nie wejdą, ty głupcze.

Jak wszyscy jego pobratymcy Zed nie widział żadnego pożytku z koni.

- Nie, szefie. Konie zostawisz tu.

Jasin westchnął, starając się zachować cierpliwość.

- Musimy wziąć konie. W górę na pewno prowadzi ścieżka, pokaż nam, gdzie ona jest.

Przewodnik nie wierzył własnym uszom.

- Ten człowiek wchodził wiele razy w wielu miejscach. Bez koni.

- Nie sądzę, by wiedział, gdzie jest przełęcz - wtrącił Arthur. Jasin gniewnie pokręcił głową.

- Och, to bez znaczenia. Sami ją znajdziemy. Jest zaznaczona na mapie.

Rozbijemy obóz i poszukamy przejścia.

Arthur wyjął mapę.

- Problem w tym, panie Heselwood, że mapa pokazuje, jak znaleźć Przełęcz Cunninghama z góry, z Downs. Nie mówi, jak ją znaleźć z dołu.

358

Len i Robert rozpalali ognisko.

- Znajdziemy ją - powiedział Len. - Gdzieś tu musi być. Umieram z głodu, zjedzmy coś.

Jasin spojrzał na niego ze złością. Len zawsze umierał z głodu, a jeszcze nie było południa.

Postanowił, że się rozdziela, on i Arthur pojedą wzdłuż skał na zachód,

Len i Robert na wschód. Jednakże obie grupy natrafiły na przepastne

wąwozy i niemożliwe do przejścia gęste krzewy. Wznoszące się nad nimi masywne skały wydawały się bronić swej samotności. Kilka razy sądzili, że znaleźli przełęcz, ale po przeprowadzeniu koni przez wąskie pólki nieodmiennie stawali przed litą skałą. Mapa od ciągłego studiowania miała poszarpane krawędzie, ale wykreślono ją w małej skali i nie przydawała się na nic w tak trudnym terenie.

Zed kręcił się po obozie zawstydzony, że ich zawiódł. Nocą siedział z dala od namiotu, ignorowany przez białych.

- Musimy zrezygnować - powiedział Len, ale Jasin nie chciał o tym słyszeć.

- Jest droga w górę, znajdziemy ją.

- Jeździmy po okolicy od wielu dni - roześmiał się Robert. - Znaleźliśmy wszystko oprócz przełęczy. Chyba nie jesteśmy dobrymi odkrywcami.

Nagle na polanę wbiegł Zed i rzucił się na Jasina. Obaj upadli na krzaki i stoczyli się po zboczu.

- Co jest, do diabła? - krzyknął Arthur, śpiesząc Jasinowi na pomoc. Len i Robert zostali jak sparaliżowani w miejscu, dopiero trzask pękającego drzewa ostrzegł o spadającym im na głowy gradzie kamieni. Lenowi udało się uciec, Roberta uderzył ogromny poszarpany odłamek i przyszpilił do drzewa.

Po skale z grzechotaniem toczyło się kilka ostatnich kamieni. Jasin wstał i oszołomiony rozejrzał się dokoła.

- Co to było? Lawina?

- Nie, szefie - odparł Zed. - Czarni tam, na górze. Lepiej stąd idźmy.

Robert miał złamaną nogę. Arthur obwiązał ją najlepiej jak umiał i zrobił z gałęzi nosze, które on i Len na zmianę nieśli z Zedem, Jasin natomiast

jechał przodem, prowadząc pozostałe konie. Powrót do Limestone zabrał im wiele czasu. W miasteczku znaleźli doktora, który nastawił kość, i Roberta odesłano statkiem do Brisbane.

359

Jasin wpadł w przygnębienie. Wentworth zrobił z niego głupca. Pewnie mógłby znaleźć innego przewodnika, który zaprowadziłby go prosto do Przełęczy Cunninghama, teraz jednak wiedział, że na Darling Downs wchodzić należy od strony południowej, nie z Brisbane.

Widział port i wciąż zależało mu na ziemi w tej okolicy. Po co podróżować setki mil z Sydney i Newcastle, skoro muszą być równie dobre grunta w pobliżu Brisbane? Plotka głosiła, że port niedługo zostanie otwarty, a to spowoduje popyt na ziemię. Wszystko już tu było, urządzenia portowe, sklepy, miasto. Gubernator mówił, że w Moreton Bay jest około tysiąca więźniów. Wentworth miał rację, najlepiej wykorzystać ich zapędzając do pracy. A nie rokujących poprawy bandziorów należy odesłać na wyspę Norfolk. Jasin zamierzał tę kwestię przedyskutować po powrocie do Sydney.

W drodze z Limestone do Brisbane trzej mężczyźni trafili na obóz drwali. Arthur i Len pragnęli jak najszybciej dotrzeć do portu, ale Jasin nie myślał tak łatwo rezygnować. Poszukał szefa.

- Co jest za rzeką?

- Nie ma tam czego szukać - odparł drwal. - Mnóstwo przybyszów wytyczyło działki wzdłuż rzeki i teraz o nie walczą. Na zachodnim brzegu kilku facetów zajęło spory szmat ziemi i zbudowało tam prawdziwy fort. Nikogo do siebie nie dopuszczają. Ale czemu nie idziesz prosto na północ?

- Ciągłe to słyszę... A co z czarnymi?

- Jezu, jeśli boisz się tutejszych czarnych, to lepiej od razu wracaj do domu. Oni tu zwyczajnie są, tylko że nie będą wiecznie.

- A dokąd na północ byś poszedł?

- Wzdłuż wybrzeża. Jakies osiemdziesiąt mil dalej żaden chiński mur nie stanie ci na drodze - roześmiał się drwal. - Ten kraj jest naprawdę w porządku. Jeśli dobrze mi zapłacisz za fatygę, sam cię tam zaprowadzę. Jasin wahał się tylko przez chwilę.

- I dokąd pójdziemy?

Po czterech dniach łatwej jazdy na północ znaleźli się w zielonej i żyznej krainie, przez którą płynęła kolejna szeroka rzeka, a mimo zimy dni były ciepłe, niebo zaś błękitne. Jasin zachwycał się balsamicznym klimatem i myślał, że o tej porze Newcastle i Sydney dręczone są chłodem i deszczami.

360

Drwal wrócił do swoich, Jasin przy pomocy Arthura i Lena zaczął wytyczać działkę, a Zed został na straży w obozie.

- Piekielnie dobra okolica - powtórzył Arthur po raz setny, ale Jasin tylko kiwnął głową, nie pozwalając na przerwy. Len szybko się męczył, praca geodety okazała się cięższa, niż sobie wyobrażał, a Arthur był bardzo powolny. Jasin tęsknił za Snowem i Clarriem, nikt nie mógł się równać z tymi dwoma starymi traperami, jego obecni pomocnicy narzekali na wszystko, krzewy, złamane rękojeści siekier, czas, jaki musieli poświęcić, i zdawał sobie sprawę, że to zaledwie prowizorka, ale na razie musi wystarczyć.

- Martwi mnie tylko jedno - powiedział Arthur. - Dla bydła tutejszy grunt może się okazać zbyt grząski.

- To bez znaczenia - odparł Jasin. - Tutaj będzie główna farma. W głębi łądu poszukamy suchszych pastwisk.

- O nie! - zawołał Len.

- Nie tym razem, później - uspokoił go Jasin. - Ta farma nas wykarmi, a na zachodzie, gdzie jest bardziej sucho, będę miał większe posiadłości. Uratują nas, jeśli nastanie susza.

Zed powiedział im, że Aborygeni nazywają tę ziemię Gimpi Gimpi, ale nie potrafił tego przetłumaczyć. Od czasu do czasu widywali czarnych, którzy wszakże nie okazywali wrogości ani nie zbliżali się do obozu.

- Jak ich zobaczysz następnym razem, zapytaj, co tam jest - polecił Jasin Zedowi, ale Aborygen pokręcił głową.

- Nie ma szans, szefie. To ludzie Tingum.

- Mówią innym językiem? - zapytał Arthur. W odpowiedzi Zed tylko wzruszył ramionami.

Kiedy już wytyczyli granice, Jasin oznajmił, że czas ruszać, co obaj młodszy mężczyźni przyjęli z ulgą.

- To będzie farma Montone - powiedział i wyrznęli nazwę w pniu drzewa.

Jasin był usatysfakcjonowany. Czego więcej mógł żądać? Ziemia za darmo, siła robocza za darmo, gotowy port w okolicy. Georgina doceni, że większość drogi pokonuje się statkiem, i spodoba jej się łagodny klimat.

Do czasu kiedy uzupełni stada, dom zostanie zbudowany i pojawią się sąsiedzi. Taka ziemia zbyt jest cenna, żeby długo pozostawała wolna.

Kiedy czekali na statek do Newcastle, Jasin wędrował po kolonii karnej, szukając kogoś, kto mógłby mu pomóc w organizowaniu farmy.

361

Wybrał sierżanta Krilla, który niedługo kończył służbę w wojsku i chciał

pozostać w kolonii.

- Nie powiem, że znam się na bydle, sir, ale mogę się nauczyć, a jak pan rozkaże, utrzymam farmę w nienagannym porządku. Odpowiadałaby mi praca nadzorcy.

- Masz tę pracę, sierzancie - odparł Jasin. Uznał Krilla za idealnego kandydata, to silny człowiek, a dzięki wojskowemu wykszoleniu nie da się nabrać podwładnym; typy takie jak on zostają lojalnymi służącymi rodziny. A poza tym miał wieloletnie doświadczenie w pracy w Moreton Bay.

- Kapitan Barry mówił mi - ciągnął Jasin - że działka wielkości farmy Montone uprawnia mnie do zatrudnienia dwudziestu więźniów.

Chciałbym, żebyś poszukał godnych zaufania ludzi, o ile uda ci się takich znaleźć.

- Jest tu pełno porządnych chłopców, którzy chętnie będą pracować, żeby się stąd wydostać.

- Doskonale. Przyślę statkiem narzędzia i sprzęty, przechowasz je do mojego powrotu. Bydło przybędzie ładem. I znajdź paru cieśli, chcę, żeby dom zbudowano jak należy. Czy są jacyś cieśle wśród więźniów?

- Mamy wszelkich rzemieślników, jakich może pan potrzebować, sir. Niech pan to mnie zostawi.

Jasin z przyjemnością to uczyni. Wreszcie znalazł człowieka godnego zaufania, Anglika, z dobrą opinią. Nie minie rok, a farma Montone zatętni życiem.

ROZDZIAŁ Trzydziesty Siódmy.

W tym samym czasie gdy Jasin wracał z północy, Pace MacNamara podróżował na spotkanie z O'Mearą. Na szlaku przyłączył się do

woźniców, osadników i drwali, pomagał, kiedy mógł, i cieszył się z ich towarzystwa. Na farmach witano go serdecznie i udzielano wskazówek. Przemierzył Nową Anglię i pod Darling Downs zawitał do wielkiej, nowo założonej hodowli nad rzeką Condamine, znanej jako Canning Downs, a należącej do Patricka Lesliego.

362

Patrick Leslie pochodził z rodziny posiadaczy ziemskich z Aberdeen.

Razem z braćmi ruszył śladem Cunninghama do krainy, którą opisywano jako „lepszą niż ci się kiedykolwiek śniło”. I rzeczywiście tak było.

Nie można wkładać wszystkich jajek do jednego koszyka, w każdym razie nie u nas, oznajmił ojciec, którego martwił coraz gorszy stan rodzinnych finansów, i wysłał najstarszego syna do Hongkongu, gdzie ten radził sobie dobrze w legalnym handlu opium, a pozostałych trzech do Nowej Południowej Walii.

Przy pomocy dwudziestu dwóch ludzi, więźniów na zwolnieniu warunkowym albo wziętych z więzienia, ci niewiarygodni Szkoci wyruszyli na północ, prowadząc cztery tysiące dorosłych owiec, setkę baranów, tysiąc wykastrowanych dwuletnich maciorek i pięćset skopów. Rozmach tego spędu zdumiał Pace'a i Patrick Leslie, dumny ze swoich ludzi, przedstawił ich swojemu gościowi.

- Najlepsi, jakich można znaleźć - powiedział - warci czterdziestu oddziałów.

Byli wesołymi ludźmi, przyjmującymi za rzecz oczywistą naturalne niebezpieczeństwa. Opowiadali swoje przygody, a Pace z zainteresowaniem usłyszał, że czarni w tej okolicy są „dość oswojeni”, za to alarmujące wieści dochodzą z północy.

- Trudno zmiarkować, czy czarni, których dalej spotkasz, są wrogo nastawieni, bo miejscowi ci nie powiedzą. Najczęściej sami nie wiedzą, bo to inne plemiona z innymi zapatrywaniami, możesz więc zrobić tylko jedno: zachować czujność - radził Patrick Leslie.

Uzbrojony w nową mapę i świeże zapasy, Pace wyruszył do następnej farmy, oddalonej o osiemdziesiąt mil. Na szlaku nikogo nie spotkał i kiedy nocą rozbijał obóz, żałował, że nie ma towarzystwa. Z jednej strony niepokoił go czarni, z drugiej samotność sprawiła, że znowu zaczął rozmyślać o Dolour i beznadziejnej sytuacji, w jakiej się znaleźli. Nie widział z niej wyjścia.

Na wyżynie nocami panowało przenikliwe zimno, Pace więc otulił się derką i usiadł bliżej ognia, zbyt nieszczęśliwy, żeby spać.

Ognisko zwróciło uwagę i rano, kiedy ziemię pokrywał jeszcze szron, obudziło go sześciu żołnierzy, żądając dokumentów.

363

Pace pokazał im list polecający od Patricka Lesliego do Ephraima Duncana, właściciela następnej farmy, i natychmiast zaczęli traktować go uprzejmie.

- Przepraszam, sir - powiedział sierżant - ale szukamy uciekinierów z Moreton Bay.

- Jeździecie po okolicy i szukacie więźniów? To musi być gorsze niż szukanie igły w stogu siana.

- Nie, sir. Przysłano nas tutaj, żebyśmy sprawdzili, czy nie znajdziemy wałęsających się czarnych. Kilka tygodni temu zabito właściciela wozów i jego woźniców, a tydzień wcześniej owczarz został przebity włócznią. Nie powinien pan podróżować samotnie, możemy służyć panu eskortą.



- Nie chciałbym sprawiać wam kłopotów - odparł Pace w obawie, że sprowadzi żołnierzy na kark Dinny'emu.
- To niebezpieczny kraj, panie MacNamara - przestrzegł go sierżant. - Dwóch moich chłopców pojedzie z panem. Znają szlak.
- Chętnie to zrobimy, sir - odezwał się młody żołnierz do Pace'a, kiedy nikt ich nie słyszał. - Na farmie dostaniemy lepsze jedzenie niż to, czym nas karmią w obozie.

Jechali do zapadnięcia zmroku.

- Stąd skręcimy na zachód, w kierunku na Oakley Creek - powiedzieli żołnierze. - To wszystko jest ziemia pana Duncana, do domu jest stąd kilka mil. Zobaczymy go z tamtego wzgórza.

Kapral Jim Cheel ponaglił konia, pragnąc już zakończyć tę podróż, kiedy jednak wyjechali z zagajnika na szczycie wzgórza, nigdzie nie dostrzegli świateł.

- Jesteście pewni, chłopcy, że znacie drogę? -zapytał Pace.
- Dom jest tam, na pewno - odparł kapral.
- Ma rację, sir - zawtórował mu szeregowy. - Kapral ma wyczucie kierunku.

Pace wzruszył ramionami. Noc była ciemna, koniom groziło niebezpieczeństwo na nierównym gruncie; wiedział, że jeśli nie będzie ostrożny, okulawi swojego wierzchowca. Przypomniał sobie, jak podczas tamtej pierwszej wyprawy Heselwood pojechał w odwiedzin, jak się później okazało do Chelmsfordu, na wspaniałym koniu, który zwał się Prince Blue, i wrócił bez niego. Nie powiedział, co się z nim stało.

Chłopcy przypuszczali, że sprzedał go za wysoką cenę, ale jego nowy koń był dość marny. Pace

zawsze się nad tym zastanawiał, będzie musiał kiedyś zapytać Rivadavię. Ale znowu myśli o Heselwoodzie. Ostatnimi czasy wszystkie jego myśli zdawały się krążyć wokół niego. Rozległ się wystrzał, koń pod kapralem stanął dęba.

- Jezu! - krzyknął Pace. - Celują do nas! Cofnijmy się, trzeba zapalić pochodnię.

Znalazł jakąś suchą gałąź, zapalił i podniósł wysoko.

- Żołnierze! - wrzasnął kapral. - Nie strzelać! Chwilę czekali na odpowiedź.

Przed bramą czekał na nich oborowy z latarnią.

- Widzieliście po drodze jakichś czarnych?

- Ani jednego - odparł Pace.

- No to albo uciekli, albo mają cholerne szczęście.

- Dlaczego? Co tu się stało?

- Straszna rzecz. Zaprowadźcie konie za dom i trzymajcie się blisko.

Czarni zaatakowali, kiedyśmy wszyscy byli na polu i zbierali zbłąkane bydło. Zabili panią Duncan, jej siostrę, najmłodszego syna Sandy'ego i chińskiego kucharza. Wszystkich przebili włóczniami. Okropieństwo.

Jedna z czarnych dziewczyn pracujących w domu przybiegła po nas, ale byliśmy wiele mil dalej i kiedyśmy wrócili, nikogo nie było. Szukaliśmy tych drani, znaleźliśmy pełno śladów, ale oni zniknęli jak kamień w wodę. Zaprowadził ich do domu. W półmroku dostrzegli około dziesięciu mężczyzn stojących w kuchni i na korytarzach. W jadalni siedział Ephraim Duncan i czytał Biblię przy słabym świetle małej lampki.

Uścisnęli mu dłoń bez słowa, bezradni wobec tej tragedii jak ludzie

Duncana, po czym się wycofali.

Nazajutrz odbył się pogrzeb ofiar, a zaraz po nim Duncan wysłał do bezpiecznego schronienia w Canning Downs resztę swoich dzieci pod strażą żołnierzy i czterech oborowych. Pace złożył mu kondolencje, po czym ruszył w drogę, ponaglając konia i mając w pogotowiu strzelbę, pistolet i bat, który leżał zwinięty przy siodle.

O'Meara powiedział mu, żeby szukał Szkota nazwiskiem Jock McArdle w jednym z obozów drwali nad rzeką Brisbane. Znalezienie go zajęło mu cały dzień, ale uzyskał wszystkie potrzebne wskazówki. Znowu ruszył w drogę, oddychając z ulgą, że O'Meara jednak czeka. Oddalił się od rzeki i jechał na zachód

365

przez dolinę, wypatrując domu na każdym wzniesieniu. Kiedy wreszcie go zobaczył, wstrzymał konia.

- O Jezu, widziałeś kiedyś coś podobnego? - Poklepał wierzchowca po karku. - Dobry konik, jeszcze trochę, a dostaniesz paszę i picie.

Furtka w drewnianym płocie była otwarta na oścież. Pace wjechał na kwadratowe podwórze, które ocieniało rozłożyste drzewo obsypane jaskrawopomarańczowym kwieciem. Dom przypominał barak i panowało tu wielkie ożywienie. Po lewej kowal wybijał młotem swą metaliczną pieśń, mężczyźni prowadzili konie, pod drzewem odpoczywały Aborygenki, pilnując bawiących się dzieci.

Pace'a tak zdumiała ta dziwna oaza w odizolowanej od świata dolinie, że nie zauważył strażnika przy furtce.

- A ty dokąd? - zapytał ktoś za jego plecami. Kiedy się odwrócił, zobaczył poganiacza z siwą brodą, który mierzył do niego ze strzelby, ale w tym

samym momencie na podwórzu wyszedł O'Meara, ubrany w czerwoną koszulę, podniszczone spodnie i buty do konnej jazdy.

- Puść go, Alf, to przyjaciel. Najwyższy czas, żeś przyjechał, MacNamara. W drodze powrotnej Pace spotkał innych ludzi, którzy szukali ziemi i wytyczali działki na północ od jego posiadłości. Wielu było osadnikami z Nowej Anglii i stanowili wesołe towarzystwo. Przedsiębiorczy i żądni przygód, wychwalali tę północną krainę, dzięki której zostaną milionerami. Podróżowali szybko, pragnąc jak najrychlej wrócić do domu, i rozbijali obóz na szlaku, zamiast nakładać drogi i korzystać z gościny farmerów. Opowieści przy ognisku dały Pace'owi nowe spojrzenie na życie, które rozpoczynał.

Jednym z nich był Amerykanin, Jonah Willoughby. „Leniwy Willoughby”, tak nazywali go pozostali, ponieważ siadał i czekał, aż go obsłużą; twierdził, że ma do tego prawo ze względu na wiek. Zgadzał się na to, bo go lubili. Willoughby dużo wiedział o zdobywaniu nowych ziem i był doskonałym jeźdźcem.

- Zauważyłeś, że już nazywają to „prawie północą”? - zagadnął Pace'a. -  
Idę o zakład, że nigdy w życiu tak daleko się nie zapędziłeś.

366

- Mało brakowało, a wpadłbym do Morza Północnego - roześmiał się Pace.

- Więc widzisz, jak człowiek szybko się przystosowuje. Musicie myśleć perspektywicznie, z rozmachem, nim będzie za późno. Uważacie się za spryciarzy, zajmując te mizerne działki. Co to jest dwadzieścia, trzydzieści mil kwadratowych w tym kraju? Ile sztuk bydła masz na równinach?

- Nie wiem, około tysiąca.

- Dziecinna igraszka - stwierdził Willoughby. - A popatrzyłeś na mapę wybrzeża? Dobrze się przyjrzałeś? Wzięłeś linijkę i zmierzyłeś, ile jest od Pacyfiku do Oceanu Indyjskiego? Mógłbyś mieć rancza na pół miliona sztuk bydła, a jeszcze zostałyby miejsce.

- I o to ci chodzi? - zapytał Pace.

- Właśnie o to i przysięgam, że będę miał taką hodowlę. Pace popatrzył na niego spod oka.

- Na to trzeba pieniędzy.

Willoughby rzucił mu gniewne spojrzenie, jego białe brwi i wąsy zadrżały.

- I tu cię mam. Przegrałeś, zanim zacząłeś. Znajdź pieniądze! Jeśli nie masz przyjaciół, którzy mogliby cię wesprzeć, idź do kupców w Goulburn. Są tam chłopcy, którzy finansują przedsiębiorczych ludzi. Gdybym był w rządzie, nie ponosiłbym kosztów sprowadzania tu biednych emigrantów, szukałbym w Europie ludzi bogatych, ludzi z wizją, którzy oczekują, że ich wnukowie będą tacy sami jak oni. Szukałbym wielkich pieniędzy.

- Gdzie mieszkasz? - zapytał Pace zaintrygowany.

- Na moim koniu. Mogę ci wypisać weksel na skrawku pakowego papieru i żaden bank w kolonii go nie zakwestionuje. W starym kraju widziałem, co można zrobić, więc przyjechałem tutaj i skierowałem swoje życie na inne tory. A wy tu jesteście wszyscy nowi. - Spojrzał na Pace'a i roześmiał się. - To nie jest takie złe, jak wygląda. Mam żonę i dwie córki, mieszkają w Sydney w porządnym domu. Zawsze wracam do nich na Boże Narodzenie. Cieszą się, kiedy przyjeżdżam, i cieszą się, kiedy wyjeżdżam! W czasie tej rozmowy Pace czuł przypływ podniecenia, marzenia i plany krążyły mu po głowie, a Willoughby upewnił go, że może je zrealizować.

- Jeśli chcesz się zająć hodowlą bydła, chłopcze, musisz opuścić południe i wykorzystać Brisbane Valley jako punkt wyjścia. Wielkie farmy będą daleko na północy. Dałbym sobie rękę uciąć, żeby wiedzieć, co tam jest. Choć z całą pewnością tamtejsze tereny nie mogą bardzo się różnić od tych regionów Stanów Zjednoczonych i Argentyny, w których hoduje się bydło.

- To interesujące - wtrącił Pace. - Mój wspólnik jest z Argentyny. Pan Rivadavia.

- Znam go! - wykrzyknął Willoughby. - To czego nie wie o bydłe, zmieścisz na kciuku, ale jest przezorny. Pomyśli dwa, trzy razy, zanim wykona ruch. A czasami trzeba od razu łapać okazję, w przeciwnym razie ją stracisz.

Pace rozstał się z grupą niedaleko farmy Armidale. Rozmyślnie ruszył do Hunter Valley, mówiąc sobie, że musi pilnie porozmawiać z Rivadavią, ale wiedział, że zwleka z powrotem do Kooraminu, do Dolour. Pragnął ją zobaczyć, ale wciąż czuł ból, który pocztywał za gniew.

Rivadavia wyjechał mu naprzeciw.

- Witaj! Miałeś udaną podróż? Kupiłeś ziemię? Pace pochylił się i uścisnął mu rękę.

- Odpowiedź na oba pytania jest twierdząca - roześmiał się. - Nie będziemy żałować zakupu tej działki.

- To dobra nowina. Pojedziemy do domu, musisz zostać na noc. Jak układają się sprawy na twojej farmie?

- Jeszcze tam nie byłem.

Juan spojrzał na niego z ciekawością, ale nic nie powiedział.

- Mam pełny opis działki - ciągnął Pace. - Zawiozę dokumenty do

Battersona w Newcastle, żeby w odpowiednim czasie ją zarejestrował.

- A co z zapłatą?

- O'Meara chce, żeby pieniądze wpłacić na rachunek bankowy McArdle Timbers w Brisbane.

- Dlaczego?

- Bo jest wyjęty spod prawa. - Pace roześmiał się, rozbawiony wyrazem przestachu na twarzy Juana. - Ale nie ma powodów do obaw. To więzień polityczny z Irlandii, nie podobało mu się, że był niewolnikiem na farmie Mudiego, więc uciekł w busz.

Juan uśmiechnął się.

368

- A jego bydło? Warto je kupić?

- Jest w dobrym stanie, możesz mi wierzyć, choć niektóre sztuki mają dość dziwne piętna.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że zostały ukradzione?

- My nazywamy to kradzieżą, oni mówią, że zarabiają na życie, jak mogą, ale wolałbym tego stada nie brać.

- To rozsądne posunięcie. - Juan patrzył na Pace'a, jakby się zastanawiał, czy coś mu powiedzieć. - Miałeś jakieś wiadomości z Kooraminu? Od pani MacNamara?

Pace'a ogarnęły złe przeczucia.

- Nie.

- Mieliśmy ciężką zimę, prawie wcale nie padało. Na równinach panuje susza, nie ma czym wykarmić bydła.

- Zauważyłem. Co jeszcze się stało? Juan westchnął.

- Nie było cię przez całą zimę, Pace, przemierzyłeś pół kraju. Resztą ja się

zajmę. Pojadę do Newcastle i załatwię sprawy, zapłacisz mi później. Tyle przynajmniej mogę zrobić, żebyś mógł pojechać od razu do domu.

- Co się tam stało?

Juan odwrócił wzrok, patrząc na szlak, który zakręcał wokół drzew gumowych i prowadził za dom.

- Twój nadzorca nie żyje - powiedział cicho.

- Kto? Jim Connelly?

- Tak.

- Dobry Boże. Co mu się stało?

- Mówili mi, że jechał wysokim brzegiem rzeki, który musiała naruszyć erozja. Grunt się pod nim zapadł, przywalił go koń. Odniósł poważne rany, konał przez parę dni.

- Kiedy to było?

- Kilka tygodni po twoim wyjeździe. Powiadomił mnie Fred Forrest.

- I kto prowadzi farmę?

Juan spojrzał na niego zaskoczony.

- Oczywiście, przecież tego nie wiesz. Twoja żona, pani MacNamara.

Pace jechał z Hunter Valley wśród wysokich drzew gumowych, pokrytych suchymi liśćmi, bez życia. Jego powrót do domu powinien być tryumfalny.

Zakup wspaniałej ziemi na północy był

369

niczym posiadanie sztabki złota w kredensie, ale przygnębiała go śmierć Connelly'ego. Tak jak Brosnanowi nie dano Jimowi szansy, wyrzucono go z ojczyzny, żeby umarł na obczyźnie, nie opłakiwany przez rodzinę i przyjaciół.

Dolour. Na myśl o niej jeszcze bardziej sposepniał. Niedługo stanie z nią



twarzą w twarz... Co wtedy poczuje? Co powie?

Wszystko go niepokoiło, susza, nawet czarni. Wciąż pamiętał o masakrze na farmie Duncana. Wątpliwe, żeby dzicy czarni zapuścili się daleko na południe, trzeba jednak tak to urządzić, żeby kobiety i dzieci miały ochronę w dzień, kiedy mężczyźni pracują daleko od domu. O'Meara przekonał go, że postępuje źle, nie dając schronienia więźniom, powinien wziąć kilku do siebie, dobrze ich traktować i dobrze opłacać. To samo usiłował powiedzieć mu Connelly, ale wtedy Pace nie miał ochoty o tym dyskutować.

O'Meara walił prosto z mostu.

- To tylko twój cholerny upór, a nie świętość.

Pace postanowił więc, że zatrudni kowala i człowieka do różnych napraw, którzy będą pracować przy domu, i da im broń.

- Dziwny ten świat - powiedział mu jeden ze zbiegłych więźniów. -

Skazano mnie za kłusownictwo i przywieziono tutaj, gdzie legalnie można kłusować na ziemi czarnych, a jeśli będą się sprzeciwiać, to oni za to zapłacą.

Inny z bandy znał nazwy kilku plemion na północy.

- Nasi czarni to Kamilaroi - rzekł Pace. - Są spokojni, nie mamy z nimi żadnych problemów.

- Wielka mi rzecz! - prychnął tamten i Pace uświadomił sobie, że jego słowa brzmiały protekcyjnie.

Bandyci byli swarliwym ludkiem, nie podobało im się, że jest wśród nich osadnik, ale szefem obozu był O'Meara, człowiek bez trudu znajdujący posłuch, a wspierał go lojalny pomocnik Scarpy. Przyjaciela O'Meary (znanego tu jako Minogue) musieli zaakceptować, aczkolwiek uczynili to

z niechęcią, jak zauważył Pace. Dni mijały i jemu też przyjemność zaczęło sprawiać to wolne i proste życie. Nie miał żadnych obowiązków poza wytyczeniem granic działki, w czym pomagała mu gromada ochotników, którzy nic poza tym nie robili. O'Meara urządził zawody w strzelaniu i oczywiście wygrał z Pace'em, choć równocześnie swoim towarzyszom dał do zrozumienia, że jego przyjaciela należy traktować z szacunkiem.

370

- Co twoi chłopcy powiedzą na to, że sprzedałeś mi ziemię? - zapytał Pace.

- Nie słuchasz, MacNamara - odparł Dinny. - To nie są ci, którzy przyszli tu ze Scarpym i ze mną. Ta ziemia to chwilowe schronienie, zostają na trochę i idą dalej. Przypędzają bydło, a potem ruszają do swoich spraw. Pilnuję, żeby naprawdę źli chłopcy odchodzili wcześniej niż inni, ale świat się dla nich kurczy.

Pace minął zjazd do Carlton Parku. Ciekaw był, jak Forrestowie poradzi sobie z Heselwoodem - znowu on - i zastanawiał się, czy Dermott wrócił do zdrowia, ale na razie nie był gotów na ich problemy. Miał dość własnych. Jedynym jasnym punktem w jego życiu byli synowie, John i Paul, nie mógł się doczekać, kiedy ich zobaczy.

Przez wiele miesięcy zastanawiał się, jak rozwiąże sprawę z Dolour. Jaki miał wybór? Musi jej wybaczyć albo to małżeństwo jest skończone.

- Wybacz jej - powiedział głos w jego głowie. - Wybaczcie tym, którzy przeciwko wam zgrzeszyli.

Zareagował niecierpliwie, szarpiąc cugłami i przemawiając do konia, przyzwyczajonego do tych rozmów.

- Przebaczyć? - powtórzył zastanawiając się, skąd ta myśl się wzięła. -

Nie ma tu nic do przebaczenia. Nie jestem Bogiem, nie jestem proboszczem.

Dolour miała życie pełne zgryzot i udręk, a on pragnął jej to wynagrodzić. Wszystko co jej się przytrafiło, stanowiło część nieszczęścia Irlandii. W wieczór poprzedzający ślub poszła do spowiedzi, a rano przyjęła komunię, nie pytała jednak, dlaczego się do niej nie przyłączył.

Irlandzki ksiądz w Newcastle, stary tyran, spojrział na niego surowo, kiedy nie przyjął komunii, ale udzielił im ślubu.

- Zjadł śniadanie, proszę księdza! - Dolour stanęła w jego obronie i Pace wybuchnął śmiechem, przypominając sobie jej refleks. Pragnął uporządkować sprawy pomiędzy nimi, żeby było tak jak dawniej. Pragnął też uporządkować swoje sprawy z Kościołem, żeby było tak jak w dzieciństwie, ale życie nie jest takie proste.

- „Gdy byłem dzieckiem, myślałem jak dziecko” - zacytował Biblię. - Teraz jestem mężczyzną, a to zupełnie inna historia.

371

Nie mógł iść z nią do komunii, tak jak powinien mąż na początek dobrego małżeństwa. Pace MacNamara, zabójca, strzelec wyborowy, został ekskomunikowany.

Pace rozmawiał o tym z O'Mearą, jedynym człowiekiem, który znał zasady. O'Meara wybuchnął śmiechem.

- I mimo to udało ci się wziąć ślub w kościele? Ten stary ksiądz, o którym mówiłeś, dostałby ataku, gdyby się dowiedział. I lepiej bądź miły dla tej swojej ślicznotki. Chyba nie chcesz, żeby Dolour się dowiedziała, że w oczach Kościoła nie jesteście małżeństwem.

- Co ty gadasz, człowieku? Oczywiście, że jesteśmy.

- Nie byłbym tego taki pewny, mój drogi. - O'Meara śmiał się głośno, a Pace czuł niepokój. - Wiesz przecież, że nie możesz przystąpić do sakramentów, jeśli nie jesteś w stanie łaski, a w twojej sytuacji musiałbyś zwrócić się do papieża, żeby na nowo otworzył przed tobą drzwi. Nie zapominaj, że małżeństwo to sakrament.

Dla O'Meary to był niezły żart, co wciąż irytowało Pace'a.

- Oczywiście, że jesteśmy małżeństwem - powtórzył. Obaj, on i koń, byli wyczerpani. Dobrze będzie wrócić do domu.

Dom był cichy, drzemał w popołudniowym słońcu i Pace zadrzał na wspomnienie tragedii na farmie Duncana. Raz jeszcze obiecał sobie, że dom w dzień będzie miał ochronę.

Z szopy wyszedł stajenny. Obrzucił jeźdźca obojętnym spojrzeniem i dopiero po chwili go rozpoznał.

- A, dzień dobry, panie MacNamara. Myślałem, że to jeden z poganiaczy. Wrócił pan, co?

- Tak, wróciłem - uśmiechnął się Pace, wciąż zaniepokojony swoją niepewną sytuacją.

Z mleczarni wyjrzała młoda dziewczyna.

- Kto to jest?

- To Sheila, służąca. Pani ją sprowadziła, żeby pomagała przy domu.

Czarne dziewczyny się starają, ale niewielki z nich pożytek.

Pace pokiwał głową. Dolour mądrze zrobiła, zawsze za ciężko pracowała.

Zsiadł z konia i podał stajennemu wodze.

- Ty jesteś Claudie, prawda? - zapytał. - Nie poznałbym cię z tą brodą.

Claudie wyszczerzył zęby, przeczesując palcami rudą kręconą brodę.

- Założyli się, że mi nie wyrośnie broda. - Staął w pół kroku. - Słyszałeś o Jimie Connellym, szefie?

- Słyszałem, Claudie, niech spoczywa w pokoju. Obszedł opustoszałe zabudowania gospodarcze i skierował

się ku domowi. Na tylnych schodach siedziały uradowane czarne dziewczyny, obok pod gęstą moskitierą smacznie spali John i Paul.

Przyjrzał się im uważnie, uśmiechem powitał dziewczyny i położył palec na ustach, po czym wszedł do domu. Nikogo w nim nie było. Zawiedziony wyszedł na werandę.

- Gdzie jest pani?

- Pani pracuje, szefie - zachichotały dziewczyny.

Nie mając nic do roboty, wędrował po domu, który Dolour urządziła bardzo wygodnie. Zadowolony był z własnych wysiłków. Dach pokryty gontem trzymał dobrze, nigdzie nie widać było śladu przecieków, drewniane podłogi wyglądały ładnie po nawoskowaniu, a drzwi i okna łatwo się otwierały. To był wielki dom według irlandzkich standardów, z obszernym korytarzem biegnącym przez całą szerokość dla zapewnienia przewiewu, ale też tutaj nie brakowało miejsca na postawienie domu.

Usłyszał zbliżających się jeźdźców i wyszedł, żeby się z nimi przywitać.

Wśród nich była Dolour, siedziała na siodle po męsku. Poganiacze z uśmiechem ściskali dłoń szefowi, zaraz jednak taktownie się usuwali, bo Pace wpatrywał się w żonę. Ubrana była w spodnie.

- Na Boga, co ty wyprawiasz, kobieto, tak się strojąc? - Tak brzmiały pierwsze słowa, jakie do niej powiedział.

Zsunęła kapelusz na tył głowy i zeskoczyła na ziemię, ignorując jego

pytanie.

- Więc wróciłeś, ty draniu!
- Jeszcze raz tak się do mnie odezwiesz, a wyjeżdżam.
- I co cię powstrzymuje?

Okręcił się na pięcie i wszedł do domu. Usiadł przy wyszorowanym do białości kuchennym stole i czekał, Dolour jednak się nie śpieszyła.

Pojawiła się w progu jak burza. Zatrzęsnęła drzwi i stanęła przed nim.

373

- Co masz do powiedzenia, MacNamara? Wracasz po tych wszystkich miesiącach, jakbyś wyjechał wczoraj. Przez cały czas nie dałeś znaku życia.

- Ciekawsze jest to, co ty masz do powiedzenia - burknął. Sprawy nie układały się tak, jak sobie wyobrażał. Chociaż nie pochwalał jej stroju, nie mógł oderwać od niej wzroku, w koszuli rozpiętej pod szyją i spodniach wyglądała młodziej, bardziej pociągająco.

- Na jaki temat? - zapytała buntowniczo. - Jak się miewają nasi synowie? O Jimie Connellym? O tym, jak sobie radzimy?

- Wiesz, co miałem na myśli.

- Och, rozumiem. Więc wciąż odbywam pokutę, tak? Cóż, powiem ci, co o tym sędzę. Bliźniacy będą spali ze mną, a ty w ich pokoju. Nie chcę cię w moim łóżku. Ostatnim razem patrzyłeś na mnie, jakbym była dziwką.

Nie jestem dziwką. Jestem panią tego domu, a ty lepiej zrobisz, do diabła, jak będziesz o tym pamiętał.

- Język bardzo ci się wyostrzył przez ten czas - mruknął.

- A czego się spodziewałeś? Muszę kierować tą farmą i zmuszać ludzi do roboty! - krzyknęła.

- Teraz na północy mamy drugą farmę - rzekł w nadziei, że to ją uspokoi.
- Ty masz drugą farmę, ja nic o tym nie chcę wiedzieć. Dość mam roboty tutaj. Kooramin to mój dom.

CZEŚĆ JEDENASTA.

Wojny czarnych II.

ROZDZIAŁ Trzydziesty Ósmy.

Lord Forster przyrzekł wnuczce, Delii Francombe, że kiedy skończy osiemnaście lat, zabierze ją z wizytą do przyjaciół w Argentynie, przybyli tam jednak w niedogodnej porze. Jorge Luis Rivadavia był chory, a chociaż jego żona Ester Maria serdecznie ich gościła, jej myśli zaprzętała troska o męża i polityczne niepokoje na pampasach. Bandyty i bydłokrady uszczuplali stada i niepokoili wieśniaków.

Forstera ostrzeżono, że oddalanie się od hacjendy nie jest bezpieczne, nawet jeśli towarzyszy mu eskorta, obawiano się bowiem porwania. Lord postanowił skrócić wizytę i z Delią oraz jej pokojówką, panną Lee, wrócić do Buenos Aires. Planowali, że w podróży do Anglii odwiedzą Kapsztad i Nową Południową Walię.

Gospodarze z przykrością ich zegnali, choć ucieszyli się, że Forster i jego wnuczka będą w Sydney, i nalegali, by odwiedzili ich syna Juana.

- Ma teraz kilka posiadłości w Nowej Południowej Walii
- powiedział Jorge.
- Rad jestem, że dobrze mu się powodzi - odrzekł Forster. - Wydaje się, że tak niedawno omawialiśmy jego plany wyjazdu.
- Oraz kwestię Malwinów - dodał sucho Jorge. Forster uśmiechnął się z zakłopotaniem. Brytyjczycy anektowali Malwiny i obecnie nazywali je Falklandami.

- Tym jednak zajmiemy się kiedy indziej - ciągnął Jorge
- dość mamy problemów z Rosasem, który jest teraz dyktatorem i cofa Argentynę w mroczne czasy. Juan wyjechał w samą porę,

375

wielu jego przyjaciółom to się nie udało. Inni musieli uciec do Chile.

- Jak długo twoim zdaniem, Jorge, ten reżim się utrzyma?
- Jeszcze wiele lat. Ludzie nie wierzą, że Rosas maczał palce w politycznych mordach, nie dostrzegają panoszącej się wszędzie korupcji, a kiedy przejrzą na oczy, on będzie zbyt potężny. Możemy tylko trzymać się z boku i czekać. Nie powinniśmy jednak zaprzętać panny Francombe naszymi problemami. Juan przekształcił wygnanie w tryumf i to niezmiernie nas raduje.

- Musisz być z niego bardzo dumny - rzekł Forster.

- Sądzę, iż obecnie Nowa Południowa Walia jest już ucywilizowana.

Cieszymy się na tę podróż.

- Czym pański syn tam się zajmuje, panie Rivadavia?

- zapytała Delia.

- Wieloma rzeczami, między innymi ma hodowle bydła i owiec.

- Jakie to ekscytujące! - wykrzyknęła Delia. - Musi być bardzo mądry.

- Tak. I bardzo przystojny - roześmiał się Forster, mrugając znacząco do wnuczki.

- Dziadku! - zganiła go Delia, choć w jej oczach błyszczała ciekawość.

Jorge napisał do syna, nie dał jednak listu lordowi Forsterowi wraz z prezentami, które ten miał wręczyć Juanowi osobiście, tylko powierzył go kapitanowi statku.

Kochany Synu,



Twoja matka i ja przesyłamy Ci nasze błogosławieństwo i wyrazy naszej nieodmiennie głębokiej miłości. Jesteśmy dumni, że wspaniale Ci się wiedzie w Nowej Południowej Walii i że zachowałeś wysokie standardy naszej ukochanej rodziny. Cieszymy się, że Twoje listy dochodzą często, zważywszy na opóźnienia statków. Nie potrafię wyrazić, jaką ulgę sprawia to Twojej matce. Nie wiem wszakże, jak długo jeszcze będziemy mogli prowadzić korespondencję. Rosas zamyka granice pod pretekstem rozbudzenia ducha narodowego. Z wyjątkową wrogością traktuje przeciwników i cudzoziemców. Nie mamy wiadomości od przyjaciół z Chile, mówiono nam, że poczta jest palona.

Przesyłamy wyrazy głębokiej miłości naszej wnuczce Rosie. Jesteśmy radzi, że traktujesz swoje obowiązki względem niej poważnie

376

i darzysz córkę miłością, ale uważamy, że pora najwyższa, byś się ożenił. Bez wątpienia sam już to rozważałeś, ale Twoja matka niepokoi się, że nie ma tam odpowiedniej kandydatki. Spotkaliśmy młodą damę, Delię Francombe, wnuczkę lorda Forstera. Obecnie oboje są w drodze do Sydney i zamierzają złożyć Ci wizytę. Twoja matka powiadamia Cię, że ta młoda dama jest piękna i będzie dla Ciebie idealną partią. Co do mnie, jako ojciec nalegam, byś zawarł związek małżeński, a jeśli uznasz, że panna Francombe jest dla Ciebie odpowiednia, postępuj z wielką ostrożnością, nie masz bowiem przy sobie nikogo, kto mógłby zbadać jej uczucia i ochronić Cię przed odrzuceniem. Musisz pamiętać, że w niektórych wypadkach związek z Argentyńczykiem może dla Brytyjczyków być zupełnie nie do przyjęcia, niezależnie od tego, jak to stwierdzenie Cię urazi. Z drugiej wszak strony my żywimy podobne

uprzedzenia.

Mam nadzieję, że zastanowisz się nad naszym wyborem żony dla Ciebie i będziesz modlił się do Boga o wskazówki. Ciekaw jestem, czy mojemu Synowi uda się zawrzeć to małżeństwo, które naszym zdaniem wzbogaci jego życie i umocni pozycję w świecie.

Matka dołącza swój list, w którym przekazuje Ci nowiny o braciach i rodzinie. Modlimy się do Matki Boskiej za Ciebie, a nasza miłość pokonuje bezmiary oceanów. Niechaj Bóg ma Cię w opiece.

Jorge Luis Rivadavia.

Po przyjeździe do Sydney Forster i jego wnuczka kilka tygodni spędzili w rezydencji rządowej. Sydney mile ich zaskoczyło. Forster uznał, że miasto jest urocze, a piękny port idylliczny. Klimat mu odpowiadał, mieszkańcy zaś przyjmowali ich gościnnie. Delię porwał wir życia towarzyskiego, młodzieńcy ustawiali się w kolejce, by eskortować ją na wieczorki i bale wydawane na jej cześć.

Kiedy przyjęcia go zmęczyły, Forster wysyłał na nie Delię, sam zaś wolał wieczorami dyskutować z gubernatorem Gippssem o trudnych kwestiach państwowych. Przekonał się, że gubernator to uczciwy człowiek, który żelazną ręką prowadzi sprawy finansowe, stanowiące istotę bytu kolonii. Londyn był bardzo zadowolony z rządów Gippsa w Nowej Południowej Walii, a listy ze skargami, które były przeznaczone każdemu gubernatorowi, mieszkańcy kolonii bowiem byli płodnymi pisarzami, pokrywały się warstwą kurzu w Westminsterze.

377

- Pracuję nad nową legislacją - powiedział pewnego wieczoru Gipps. -  
Będą z tego powodu domagali się mojej głowy, więc muszę zrobić to

dobrze. Wiem, że darzą cię wielkim szacunkiem w Westminsterze, i przydałaby mi się twoja rada, jeśli oczywiście mógłbyś poświęcić mi czas.

- Drogi Gipps, jestem do twojej dyspozycji.

- Rzecz w tym, że potrzebujemy praw chroniących Aborygenów.

- Dlaczego?

- Ponieważ są w mniejszości i biali ich zabijają.

- Sądziłem, że panuje tu zasada „oko za oko”. Gipps usiadł za biurkiem.

- Taką opinię wyznawałem, póki tu nie przybyłem. Nie jest słuszna.

Chociaż w Sydney może się wydawać, że nie mamy kłopotów z czarnymi, sprawa wygląda zgoła inaczej. Nie toczymy tu bitew jak w Indiach, jednakże musimy stawić czoło prawdzie: skolonizowaliśmy terytorium Aborygenów, z których wielu zginęło bez potrzeby.

- W potyczkach?

- Właśnie - przytaknął gubernator. - Nie były to zorganizowane na wielką skalę działania, ale przypadkowe strzelaniny. No i oczywiście Aborygeni umierają też z powodu chorób. Nie orientuję się w rozmiarach, wiem tylko, że znikają z ucywilizowanych rejonów w zastraszającym tempie. Znam ludzi, którzy strzelają do czarnych wyłącznie dla sportu. I robią to, ponieważ są przekonani, że stoją ponad prawem.

- Myślę, że rzecz sięga głębiej. Ci ludzie to ignoranci, nie poczytują swoich czynów za zbrodnie. To problem występujący na całym świecie.

- W takim razie nie pozwolę, by tę ignorancję wykorzystywano jako obronę. Chcę, by wszyscy jasno zdawali sobie sprawę, że każdy, kto zabije czarnego, poniesie wszelkie konsekwencje wymagane prawem.

- Po co w takim razie nowe rozporządzenia? Obecny kodeks przewiduje kary za morderstwo. Nie ma w nim mowy o kolorze skóry czy wyznaniu.

- Ponieważ biały sędzia w takiej sprawie go nie zastosuje. Muszę wzmocnić swoją władzę, by zmusić sądy do odpowiedniego zachowania.

378

- Powinieneś jednak zachować ostrożność. Nie możesz wydawać rozkazów sądom.

- Musi być coś, co mogę zrobić.

Kana zawsze była nieśmiała, podskakiwała na widok własnego cienia.

Kiedy biały człowiek przyjechał konno do wodopoju koło rozłożystych akacji, pobiegła, by się ukryć, a pozostali śmiali się z niej. Biali często tu przyjeżdżali, poili te swoje wielkie bestie zwane końmi, sami siadali przy ogniskach i kochali się z kobietami, i to było wydarzenie, niezwykła chwila. Górski lud Warrigal patrzył na to z fascynacją, niektórzy ich przyjaciele potrafili nawet porozumieć się z białymi, choć trzymali się z dala od koni.

Moorego westchnął i wraz ze starszymi poszedł powitać białych, zdumiony, że galopem wjechali na polanę, nie czekając na zaproszenie. Pomiędzy górskimi plemionami taka rzecz była nie do pomyślenia, kilka włóczni od razu nauczyłoby intruzów grzeczności, ale tutaj rzeczy podobno wyglądały inaczej. Tutejsi czarni mówią, że tylko źli czarni wplątują się w kłopoty z białymi.

Moorego chciał już stąd odejść, a Dimining się z nim zgadzał, ponieważ niewiele mogli upolować. Powiedziano im, że jeśli będą chodzili po okolicy z włóczniami w dłoniach, biali odczytają to jako znak wojenny, przestraszą się i będą próbowali ich zastrzelić. Lepiej zostać tutaj i jeść żywność białego człowieka, która była bardzo dobra. Moorego martwił się, że część z jego ludzi odmówi powrotu do domu.

Starsi uśmiechali się do nadjeżdżających białych, Moorego stał sztywno i patrzył na nich surowo. Nagle niczym grom z jasnego nieba powietrze rozdarł srebrny błysk i rozległy się strzały.

Kana spojrzała na Moorego: z szyi tryskała mu krew. Jej mąż ruszył biegiem, ale z dziury w piersi połała się krew i upadł na plecy niczym pchnięty silnym podmuchem wichru. Kamarra z krzykiem ruszył mu na pomoc, zewsząd zaczęli zbiegać się ludzie. Nagle miecz przebił Kamarrę na wylot. Kana wyskoczyła z zarośli ku dzieciom, ale biali zsiadli już z koni. Ogarnięci żądzą krwi, kopali, bili, dźgali wszystkich, dzieci, kobiety, starców, którzy stanęli im na drodze. Olbrzym złapał Kanę za rękę i pociągnął za sobą, wołając coś o czarnulkach, po czym oddał w ręce uśmiechniętego brodacza. Wokół niej zabijano lud Warrigal, nawet małe dzieci, i rzucono w ogień. Biali w buszu szukali tych, którym udało się uciec. Kana wyrwała się i pobiegła w przeciwnym kierunku, w stronę rzeki.

379

Wielkie drzewa magicznie rozstępowały się przed nią, ani jedno nie stanęło jej na drodze, podczas gdy za plecami ryczały białe głosy. Z wysokiego brzegu skoczyła w miłośernie głęboką rzekę.

Dimining polował wciąż w górach. To była ziemia Kamilaroi, nieważne, co mówią biali szefowie. Ogarnięty niepokojem zbliżał się do obozu. A potem wyczuł w powietrzu zapach strachu.

W obozie panowała głucha cisza. Podkradł się, wołaniem obwieszczając swoje nadejście, ale nikt mu nie odpowiedział. Teraz wiatr niósł zapach krwi. Ognisko wciąż się żarzyło, płomienie lizały ciała jego przyjaciół zwalonych na stos, obrzuconych ziemią, ciała jego żony i dziecka, i

Moorego. Tak go to przeraziło, że bał się szukać dalej.

Zawył jak pies dingo, a zwierzęta niczym echo powtórzyły jego żal.

Dimining oddalił się od miejsca rzezi, umył się w rzece i usiadł, by na znak żałoby pomalować ciało na białą. Przeciął skórę na ramionach i piersi, zmieszał krew z farbą i wysmarował twarz, a potem wstał z włócznią i bumerangiem w dłoni. Przygotowany i uzbrojony, ruszył przed siebie, z porannym słońcem świecącym mu w plecy.

Wojownik Kamilaroi zobaczył pierwszy cel: pasterza zaganiającego stado owiec w oddali. Zbliżył się, a kiedy uznał, że odległość jest wystarczająca, z całej siły rzucił bumerangiem z twardego drewna, który z sykiem przeciął powietrze i złamał pasterzowi kark. Koń zarżał, stanął dęba i galopem rzucił się w kierunku domu, wlokąc ciało za sobą.

Kiedy koń ze swym krwawym ładunkiem dotarł do Chelmsfordu, Juan Rivadavia rozkazał wszystkim poganiaczom zająć pozycje przy otworach strzelniczych i dom zmienił się w fortecę. Dowiedzieli się o rzezi od czarnych pracujących na farmie, którzy zaraz potem tajemniczo zniknęli, i Juan spodziewał się powstania Aborygenów, uważał bowiem, że mają prawo walczyć oko za oko. Jednakże na pastwisku przy domu zobaczył samotnego wojownika, wydało mu się, że jego ciało pokrywają barwy wojenne. Juan zastanawiał się, czy to straż przednia atakującego oddziału, i uznał, że najlepiej zrobi, jeśli porozmawia z czarnym i dowie się, co się stało.

- Pilnuj dziecka! -poleciał Dorze. - Pójdę z nim pogadać. Nie chcemy dalej zabijać.

- Nie rób tego, szefie - ostrzegł Andy. - Nie wygląda na to, że ten gość ma ochotę na rozmowę.

- Wyjdę nie uzbrojony. On to zobaczy, zobaczy też wasze strzelby wycelowane w niego, więc rozmowa będzie możliwa. Muszę, bo w przeciwnym razie Bóg wie, co się tu jeszcze wydarzy.

Dimining maszerował prosto na dom. Zobaczył białego szefa i rozpoznał w nim pokojowego człowieka. Bywał na tej farmie wiele razy, ale teraz wszystko się zmieniło. Teraz Dimining był prawdziwym czarnym człowiekiem i zamierzał żyć wedle praw czarnego człowieka. Zobaczył, że szef idzie, wyciągając puste ręce, pokazując, że nie ma broni, tak jak trzeba, godząc się na zemstę. Niczym błyskawica włócznia Dimininga przecięła powietrze i utkwiała w udzie Rivadavii, w tym samym jednak momencie Aborygen padł martwy pod gradem kul.

- Zabili dwanaścioro - powiedział gubernator Gipps. - Okropna sprawa. Sądząc z opisu, te kundle musiały oszaleć. Masakrę zgłosił twój przyjaciel, ten Rivadavia, ale nic nie zrobiono. Zarządziłem śledztwo, ale nie przyniosło skutków. Nikt nie chciał mówić. Najpierw będę musiał zwolnić komendanta policji, zacznę od tego, tak że gdyby podobna rzecz znowu się zdarzyła, żołnierze będą wiedzieli, co robić.

Forster kiwnął głową.

- To skandal, ale masz rację. W kolonii na pewno są uczciwi ludzie, którzy cię poprą. Zobaczę, co jeszcze powie mi Rivadavia, kiedy będę u niego.

- Dziękuję, o to właśnie mi chodziło. Będę ci wdzięczny. Kiedy wyjeżdżasz do Hunter Valley?

- Jak tylko uda mi się wyrwać Delię z wiru życia towarzyskiego Sydney. Nigdy dotąd tak świetnie się nie bawiła.

ROZDZIAŁ Trzydziesty Dziewiąty.

Kana popłynęła w górę rzeki i wyszła na drugi jej brzeg pod osłoną wysokich trzcin. Pobiegła do obozu nad zakolem, ale był pusty, ogniska wygasły. Biegła dalej, ogarnięta histerią, samotna w przerażającym świecie, aż zobaczyła szalasy w buszu i przyjaciół, którzy siedzieli w kręgu, paląc i nucąc piosenki. Podczas gdy mężczyźni usiłowali wydobyć z niej całą tę wstrząsającą historię,

381

kobiety pakowały dobytek i gasiły ogień. Wkrótce przemierzali wyżynę, by znaleźć schronienie w wysokich górach na zachodzie.

Wyprzedzali ich posłańcy, roznosząc wieści po całej krainie Kamilaroi.

Jack Drew wyruszył na wędrowkę z przyjaciółmi; twierdzili, że są krewnymi Junga Junga, ale on już dawno zaniechał rozplątywania skomplikowanych drzew rodowych i ustalania, czy łączą ich więzy krwi czy totem. To był lud Goanna, nie oczekiwali jednak, by obozował samotnie. Jedynie ludzie zhańbieni obozują samotnie.

Płakali, kiedy przyprowadzili Kanę do Dżakadu, by mogła mu powiedzieć, co się wydarzyło. Jej oczy wciąż zasnuwał smutek, ciałem wstrząsały dreszcze, wydatne usta drżały, tak wielką udrękę sprawiał powrót do tamtych przerażających chwil.

Nie potrafił w to uwierzyć.

- Dlaczego? - wołał tak jak oni smutny. - Dlaczego? Podali mu imiona tych, którzy uciekli.

- Gdzie jest Ngalla? - krzyknął. - I Moorego, i... - Uciszyli go, nie wolno bowiem wymieniać na głos imion umarłych. Zapytał: - Dimining? Gdzie jest Dimining? - Lecz oni odwrócili się do niego plecami. - Dzieci? - Gestami pokazał dwóch brunatnoskórych chłopców, swoich synów,



jedynych, co do których miał pewność, zawsze tyle było dzieci dokoła, a oni pokręcili głowami. Popatrzył na ich łzy, na zgarbione ramiona i wypełniła go nienawiść. Gdyby potrafił odnaleźć morderców swoich bliskich, zabiłby ich.

Za sprawą Aborygenów Jack Drew odkrył na nowo wartość rodzinnego wsparcia i wzajemnej pomocy. Z własnej woli przyswoił ich styl życia, nie tylko dlatego, że pośród nich czuł się potrzebny i szanowany, ale też dlatego, że zależało im na nim. Kochali go. Co dał mu świat białych poza więzieniem? A nawet gdyby ominęło go więzienie, przymierałby głodem, nie mając pieniędzy. Wiele razy o tym rozmyślał, aż temat zaczął go nudzić. Znacznie ciekawsze było swobodne życie, jakie teraz stało się jego udziałem.

Utrata rodziny w tak okrutny i bezsensowny sposób była ciężkim ciosem, Jack z Kana wędrował z grupami należącymi do innych ludów. Także Jung Jung nie żył. Jack utracił cenne poczucie przynależności, nie mógł jednak wrócić na wschód, nie było dla niego miejsca w świecie białych i za to ich nienawidził. Pewnego dnia mu za wszystko zapłacą.

382

Zmierzali teraz na miejsce wielkiej narady, corroboree, tak mówiła mu Kana, kierowali się na północ, wysoko w góry, gdzie drzewa stały okryte zielenią, poza granice terytorium Kamilaroi. Jack nigdy tak daleko nie był i pamiętał przestrogi przyjaciół.

- Lepiej zawróćmy - powiedział do Kany. - Idziemy na ziemię Tingum.

Jednakże Kana nie wydawała się zaniepokojona. Wskazała szlak wydeptany bosymi stopami.

- Tym razem wielkie spotkanie. Wszyscy tam idą.

Cieszyła się na corroboree, gdzie będą tańce, śpiewy i opowieści, ale Jack wciąż się denerwował. Połączyli się z innymi grupami, na szlaku były setki obcych czarnych, nad wzgórzami unosiły się dymy z obozowych ognisk i Jack zastanawiał się, czy jest bezpieczny, jednakże nieznajomi zdawali się wiedzieć o nim i nikt nie komentował jego obecności.

Kiedy wreszcie wyszli z buszu na rozległą polanę nad jeziorem, Jack ze zdumieniem zobaczył tysiące czarnych, obozujących wzdłuż brzegów aż do skraju gęstego lasu.

- Cholera jasna - powiedział po angielsku, po czym dodał w narzeczu Kamilaroi: - Lepiej tu zostańmy.

Kana wydeła usta. „Cholera jasna” to był jedyny zwrot angielski, jakiego Jack wciąż używał, a ona jeszcze nie odkryła jego znaczenia. Czasami mówił tak w gniewie, a czasami ze śmiechem.

- Nie, musimy tam zejść. Mówiłam, że tym razem jest wielka narada.

- Za dużo tu obcych, mogą zabić białego.

- Jesteś śmiesznym białym! - zachichotała.

Razem z grupą zeszli do obozu i Jack pośpiesznie usiadł, modląc się w duchu, by nikt go nie zauważył. Włócznię położył obok, za pasem zatknął ostry nóż, który sam sobie zrobił.

W obozie panował wielki ruch. Przygotowywano się do uczyty, ozdabiano tancerzy na wieczorny taniec, handlarze chodzili ze swoimi towarami.

Jakiś mężczyzna pokazywał kobietom kosz pełny naszyjników, paciorków, barwionych kamieni, muszli, grzebieni i innych ozdób. Kobiety śmiały się, krzyczały i targowały, płacąc koszami, sieciami na ryby, workami i plecionymi pasami. Jack obracał kamienie, na początku z roztargnieniem, trafiały się wśród nich mleczone z jaskrawymi plamami i niebieskie, które

wyglądały jak szafiry, ale ponieważ nigdy nie widział ich w naturalnym stanie,

383

nie mógł tego stwierdzić na pewno. A potem wziął w dłoń nieregularną ciężką bryłkę metalu.

- Co to jest? - zapytał handlarza, jednakże w języku Aborygenów nie było słowa „złoto”, wszystkie kamienie nazywano kolorami.

Jack, podekscytowany jak kobiety, grzebał w koszyku w poszukiwaniu kolejnych bryłek, ale była tylko ta jedna. Pocierał ją i pocierał w obawie, że barwa zejdzie i zostanie mu w dłoniach coś równie bezwartościowego jak ołów, lecz żółć błyszczała jeszcze mocniej na ostrych krawędziach. Nie tak wyobrażał sobie złoto, nie miał jednak cienia wątpliwości, że właśnie je ogląda, i ze śmiechu zaczął toczyć się po trawie. Pozostali śmiali się z nim, kiedy wszakże wymienił swój nóż na żółtą bryłkę, z której nie da się zrobić żadnej ozdoby, pomyśleli, że jest szalony.

Kana wyciągnęła rękę po kamyk, myślała bowiem, że kupił ozdobę dla niej, ale Jack trzymał ją mocno. Próbowwała mu ją odebrać, bawiąc się i przekomarzając, dopóki nie wymierzył jej solidnego klapsa. Nadała się, on tymczasem zrobił ze skóry woreczek i zawiesił go sobie na szyi.

- Gdzie znalazłeś żółty kamień? - zapytał handlarza. Odpowiedź nic mu nie mówiła, nie znał ziem na północy,

zdecydowany jednak był odkryć to miejsce. Nie był do tego stopnia rozczarowany światem białych, by nie pragnąć powrotu jako bogaty człowiek.

- Z jakiego ludu jesteś?

- Tingum - odparł handlarz i Jack aż podskoczył. Nazwa go przeraziła,

choć handlarz wcale nie wyglądał przerażająco, bardziej przypominał dobrodusznego rzeźnika z targu w rodzinnym miasteczku Jacka.

Rozmawiając z nim, Jack przyjrzał się jego towarzyszom i uświadomił sobie, że wpadł pomiędzy nich jak klaun, nie biorąc pod uwagę ich nastroju. Mężczyźni starannie ozdabiali ciała czerwoną i białą ochrą, w wysokich na dwie stopy stożkowatych nakryciach głowy z bambusa umieszczali biały puch, jaskrawe pióra i kawałki muszli ostryg. Za nimi, tylko o kilka kroków od Jacka, siedział ze skrzyżowanymi nogami potężny mężczyzna, wokół którego krzątali się inni, malując mu ciało na uroczystość. Ich mowa, choć obca, brzmiała tak samo mocno i gardłowo jak język Kamilaroi, jakby słowa potrzebowały bariery zębów, by mogły odbić się od niej echem. Jack często

384

ćwiczył wyrazy w rodzaju Warrego, nazwy wielkiej rzeki, i wydawało mu się, że musi wykorzystać każdy mięsień twarzy, by nadać policzki i wydobyć dźwięk z piersi, choć nigdy nie udało mu się zrobić tego prawidłowo. Jego głos brzmiał słabo w porównaniu z głosem czarnych. Olbrzym odwrócił się i przemówił do Jacka, który nie mógł oderwać wzroku od jego wielkich białych zębów. Pomyślał, że taką szczęką można by odgryźć człowiekowi ramię.

- Co on powiedział? - zwrócił się do handlarza.
- Pyta, z jakiego jesteś ludu.
- Kamilaroi.

Kiedy handlarz powtórzył odpowiedź, olbrzym spojrzał na Jacka i roześmiał się, ale w jego śmiechu nie było radości. Jack uznał, że czas najwyższy odejść.

- Pogadamy następnym razem - powiedział do handlarza.
- Zostań! - polecił olbrzym i w kręgu zapadła cisza.
- Mówisz językiem ludu Warrigal? - zdumiał się Jack.
- Lepiej niż ty - odparł zniecierpliwiony. Handlarz nachylił się do Jacka:
- On mówi wieloma językami. Uczą nas rozgadane ptaki, które latają od jednej krainy do drugiej.

Nieznajomy zwrócił się do handlarza w jego rodzinnej mowie. Jack widział wyraźnie, że rozprawiają o nim; handlarz opowiadał rozlewnie, podkreślając słowa szerokimi gestami. Jack domyślał się, że musi też być bajazem. Miał tylko nadzieję, że mówi prawdę, ci goście często przesadzali i upiększali nic nie znaczące wydarzenia. W każdym razie cokolwiek im mówił, to ich zainteresowało. Wokół zebrała się liczna grupa, czasami ktoś się uśmiechał, potem wszyscy jęknęli, a mężczyzna obok Jacka zaczął z wściekłością tupać. Jack pragnął, by handlarz skończył, już widział siebie jako cel do ćwiczeń w rzucaniu włócznią. Olbrzym zapytał o coś i handlarz wskazał Jacka.

- Nazywa się Dżakadu. Tamten jednak pokręcił głową.
- On nie jest Kamilaroi. W żadnym razie. - Stuknął Jacka w pierś. - Więzień? Uciekłeś?
- Tak. - Jack wyrzucił ramiona w górę, by swoją odpowiedź uczynić bardziej interesującą. Miał nadzieję, że przesłuchanie dobiegło końca, w towarzystwie tych ludzi czuł się nieważny, patrzeli zimno i twardo, zdążył już dostrzec ostre włócznie

385

i tomahawki, w których odbijało się słońce - niewielu jego przyjaciół nosiło tomahawki.

Nagle atmosfera uległa zmianie. Olbrzym cmoknął i wręczono mu białe kwiaty. Wybrał jeden i łagodnie umieścił we włosach Jacka.

- Dla twoich łez - powiedział z głębokim smutkiem, a pozostali pochylili głowy.

Jack podziękował. Wciąż go bolało wspomnienie tamtej tragedii.

- Jak się nazywasz? - zapytał. Otaczający go ludzie ze zdumieniem wstrzymali oddech.

- Jestem Bussamarai - odparł olbrzym. - Z ludu Tingum.

Jack ucieszył się, oto bowiem był człowiek, którego pozwolenia potrzebował na pójście z handlarzem na północ i szukanie tam złota, wiedział jednak, że to nie jest odpowiednia pora na proszenie o przysługi.

- Rad jestem, że cię poznałem, wasza wysokość - rzekł wplatając w swoją wypowiedź kilka angielskich słów, by zrobić lepsze wrażenie.

Tego wieczoru odbyło się widowisko. Jak zwykle Jack zajął miejsce tuż za wielkim kręgiem mężczyzn, blisko kobiet, i dokładał starań, by odgadnąć, o co chodzi tancerzom. Często tańce go nudziły, tancerze skakali, udając, że są kangurami, węzami albo borobis, niedźwiedziami, co nigdy nie piją wody, oraz mniej jednoznacznymi duchami, tej nocy wszakże było w nich coś innego, w ich ruchach widział więcej ognia i zdecydowania. Czuł narastające napięcie.

- Co się dzieje, Kano?

- Było więcej morderstw. W krainie Kamilaroi. Zginęły rodziny.

Jack był wstrząśnięty. Myślał, że ten pierwszy atak był odosobnionym przypadkiem, jakieś pijane świny oszalały.

- Kto zginął?

- Nie wiemy. Posłańcy z patyczkami przynoszą smutne wieści. Wszyscy

tutaj bardzo współczują Kamilaroi.

Jack wszakże widział, że w ludziach jest coś więcej, nie tylko smutek.

Główny punkt wieczoru poprzedziła wielka cisza. Didżeridu, patyczki i głosy zamilkły, pojawiły się postaci odziane w długie

386

płaty kory, pomalowane na biało, w maskach. Jack wiedział, że maski oznaczają martwych ludzi. Mężczyźni leżeli nieruchomo, symbolizując wodę, inni stali obok z głowami i ramionami pokrytymi gałązkami, a Jack, rozumiejąc teraz znaczenie, podobnie jak inni czekał bez tchu, wiedział bowiem, co nastąpi.

Przedstawienie trwało. Wpadli napastnicy ze strasznym krzykiem, muzyka zagrała i wszystkim plemionom pokazano, co przydarzyło się ludowi Kamilaroi. Widzów ogarnął smutek. Na koniec w środek kręgu wkroczył Bussamarai w pełnym stroju, górując nad wszystkimi nakryciem głowy. Przemówił w języku Tingum, jego głos zadudnił ponad taflą jeziora i odbił się echem od gór. Znaczenie słów było jasne. Jack zadrżał.

Jeden z ludu Kamilaroi wstał i krzyknął:

- Bussamarai powiada, dlaczego na to pozwoliliśmy? Powiada, że za długo staliśmy z boku i zgadzaliśmy się, żeby biały człowiek zabierał naszą ziemię i zabijał naszych ludzi.

Bussamarai kontynuował przemowę i znowu z tłumu rozległo się wołanie:

- Mówi, że ludy północy to wojownicy, którzy będą walczyć! Nie będą chować się w buszu i czekać na miecze białych ludzi.

Inni też przemawiali w swoich językach i Jack widział, że kimkolwiek byli i skądkolwiek przyszli do tej północnej krainy, zgadzali się z

Bussamaraiem. Nadeszła pora na wojnę z białymi. Złapał się na tym, że

także stoi i tupie, zarażony ich podnieceniem. On też będzie walczył z najeźdźcami.

W zimnym świetle poranka jego entuzjazm przygasł. Jeśli rzeczywiście będzie wojna, wolałby znaleźć się od niej tak daleko, jak to tylko możliwe. Widział siebie z kulą w piersi albo włócznią w plecach. Lepiej zrobi, jeśli zawróci i ruszy na zachód, w głąb lądu. Minie wiele lat, nim biali tam dotrą, o ile w ogóle to nastąpi. Z drugiej strony nie mógł zapominać o złocie. Dotknął woreczka na szyi. Byłoby grzechem, gdyby nie próbował go znaleźć.

Dni upływały na towarzyskich spotkaniach i ucztach, starszyzna i wodzowie plemion prowadzili narady, a Jack trzymał się blisko handlarza. Wiele lat temu marzył, że sam zostanie wodzem, ale to marzenie zbladło. Trudno byłoby dorównać czarnym, a pozycja w plemienu zależała od siły, związków rodzinnych i wszechobecnej magii.

387

Wspomniał handlarzowi, że pragnąłby wyruszyć z nim na wędrówkę po wielkim kraju Tingum, jednakże ten zareagował obojętnie. Spróbował więc z innej beczki.

- Powrót do krainy Kamilaroi jest teraz dla mnie zbyt niebezpieczny. Biali mnie szukają. Zamkną mnie.

Zdawał sobie sprawę, że dla czarnych to była gorsza kara niż śmierć.

Handlarz popatrzył na niego z niepokojem.

- Wstawię się za tobą u Bussamaraia.

Plemiona opuszczały miejsce narady. Kana powiedziała, że ich lud niedługo wyrusza i muszą pójść z nimi, Jack więc pośpieszył do handlarza, który zaprowadził go przed oblicze Bussamaraia. Wódz nie marnował



słów.

- Ty, biały człowieku imieniem Dżakadu, pójdziesz ze mną. Wypędzimy wroga z naszej ziemi.

Przy pożegnaniu Kana przechwalała się, że jej Dżakadu jest bardzo ważny, to przyjaciel wielkiego wodza Tingum, który zbiera najodważniejszych wojowników krainy gorącego słońca, by pokonać wroga.

ROZDZIAŁ Czterdziesty.

Rana Juana Rivadavii zagoiła się, ale wciąż odczuwał skurcze w mięśniach i utykał. Przed wizytą lorda Forstera i jego wnuczki Delii sprawdził każdy kąt w Chelmsfordzie. Dora miała nerwy w strzępach.

- Przecież to tylko ludzie - powiedział jej Andy.

- Jak byś widział, ile zamętu robi szef, pomyślałbyś, że aniołowie. I po co Rosie wszystkie te nowe sukienki? Nie mogę jej zmusić, żeby w nich chodziła, woli bryczesy. Ojciec surowo przykazał, aby podczas wizyty gości codziennie nosiła sukienki, a ona już staje okoniem.

- Wejdz do domu, Roso! - zawołała widząc dziewczynkę wlokącą po tylnych schodach kosz. - I zostaw te zapchlone kocięta na dworze!

- Tu jest dla nich za zimno! - odkrzyknęła Rosa. Dora wyszła i odebrała jej koszyk. - Jesteś podła, Doro. Biedne maleństwa.

388

W progu stanął Rivadavia.

- Ubierz dziecko, bardzo proszę - powiedział. - Powiadomiono mnie, że goście niedługo tu będą.

Rosa wykrzywiła się i ojciec wziął ją na ręce.

- Nie chcesz ładnie wyglądać?

Dora uśmiechnęła się. Rosa nigdy nie sprzeciwiała się ojcu, był jedynym,

który potrafił nad nią zapanować.

Juan i jego córka czekali przed domem na gości. Towarzyszyli im Dora i Andy, a także podniecone czarne służące w nowych sukniach. Poganiacze i robotnicy polni przystanęli, by popatrzeć na przyjazd ludzi tak ważnych, że zasłużyli na eskortę żołnierzy.

Juan podszedł, by pomóc przy wysiadaniu lordowi Forsterowi i jego wnuczce, Delii Francombe. Uśmiechnął się, pochwalał wybór ojca. Ta dama zostanie jego żoną. Na powitanie obrzuciła go zaskoczonym spojrzeniem pełnym podziwu, ujął więc jej dłoń w rękawiczce z chłodną uprzejmością, nie zdradzając się, że ona także zrobiła na nim wrażenie. Była bardzo piękna i przyzwyczajona do admiratorów, nie wątpił w to, kiedy więc prowadził ją do domu, postanowił, że będzie się do niej zalecał, ale dyskretnie. Podejmie oboje wykwintnie, wieczorami urządzi romantyczne kolacje z doskonałym jedzeniem, winem i muzyką, przez cały czas trzymając się na dystans.

Rosa była zachwycona uroczą damą i od pierwszej chwili nie odstępowała jej na krok. Juan zauważył, że Delia jest dostatecznie młoda, by jej to nie przeszkadzało. Dziewczynka poszła z Dorą, by pokazać damie jej pokój.

- Nie wiedziałem, że masz dziecko - powiedział lord Forster.
- O tak. Matka umarła kilka dni po porodzie.
- Drogi przyjacielu, bardzo mi przykro. Wielka szkoda, dziewczynka jest taka śliczna.

Dni spędzali na zwiedzaniu farmy i kosztowaniu wina, które Juan robił z winorośli hodowanych na farmie.

- Miałem nadzieję odwiedzić posiadłość Cormacków, skoro jestem w tych stronach - powiedział Forster.

- Wyjechali - odparł Juan krótko.
- Wydaje mi się jednak, że jest tam zarządca, James Mackie...
- Nie utrzymuję z nim kontaktów.
- Och. A dlaczego?

389

- Ten człowiek to renegat. Był zamieszany w morderstwo czarnych na mojej ziemi, wszyscy o tym wiedzą, ale nie byliśmy w stanie niczego mu udowodnić. Dałem mu jasno do zrozumienia, że nie jest mile witany gościem w Chelmsfordzie.
- Rozumiem, w takim razie go nie odwiedzimy. Gubernator przejął się tym incydem.

Juan spojrzał na lorda z namysłem.

- Powiedziałbym, że „incydent” to zbyt łagodne określenie. Forster kiwnął głową.
- Masz rację, że mnie poprawiasz, chłopcze, pamiętam, jak korygowałeś angielszczyznę ojca, kiedy pierwszy raz cię spotkałem. Obawiam się, że jak papuga powtarzam to słowo.
- Gdyby czarni zabili białych, mówilibyśmy o masakrze, i tak należy to nazwać.
- Święta racja. Ale powiedz mi, czy kogoś oskarżono?
- Nie ma na to nadziei. Chociaż na posterunku policji w Newcastle nastąpiły zmiany.
- Cieszę się, że to słyszę. Gubernator Gipps odczytał komendantowi uchwałę o zamieszkach i wygląda na to, że jego przestrogi odniosły skutek. Oby nowy komendant miał większą władzę.

Kiedy lord Forster się przeziębził, Delia i Juan jedli kolację we dwoje. Do

tej pory okazywał jej wielką grzeczność, choć zachowywał oficjalny dystans i udawał, że nie dostrzega opuszczonych powiek i zalotnych spojrzeń, którymi go obrzucała, gdy dziadek nie patrzył. Pilnował także, by nigdy nie byli sami, i stwarzał pozory, że woli towarzystwo lorda. Mimo to przyjrzał się Delii bardzo dokładnie z okna swojego pokoju, skąd widział ją siedzącą z Rosą na trawniku pod drzewem. Delia istotnie była piękną. Pragnął dotykać jej nieskazitelnej skóry i jasnych włosów, zwiniętych w luźny węzeł na karku, a kiedy spoglądał na swoje łożo z baldachimem, wyobrażał sobie ich oboje razem. Śnił o kochaniu się z tą delikatną istotą, tą jasną angielską różą o długich nogach i smukłym ciele. I wiedział, że z jego strony wymagałoby to wielkiej łagodności i taktu. Trudno mu było oderwać od niej wzrok, musiał jednak przystosować się do angielskich zwyczajów, w przeciwnym razie skazałby się na klęskę. Delia była rozpieszczoną młodą damą, przyzwyczajoną do stawiania na swoim. Juan uważał, że z racji urodzenia ma do tego prawo. Kiedy zostanie jego żoną, on też

390

będzie ją rozpieszczał. Uświadomił sobie, że jeśli Delia wybierze sobie męża, nie pozwoli, by cokolwiek stanęło jej na drodze.

- W Sydney człowiek prawie nie śpi, tyle tam przyjęć i balów - powiedziała mu. - I miałam mnóstwo wielbicieli.

- Jestem pewien, że w Londynie także.

- Oczywiście, całe tłumy.

Dora podała deser, po czym zniknęła w kuchni.

- Przypuszczam, że pan również ma tutaj przyjaciółki...

- podjęła Delia.

- O tak. Odwiedzają mnie często z mężami, by obejrzeć konie i wybrać dla siebie wierzchowca. Lubią też pomagać w nadawaniu imion źrebakom.
- Och, bardzo bym chciała to robić.
- W takim razie musi pani przyjechać tu na wiosnę.
- Do tego czasu wrócimy już do Anglii. Juan nie skomentował tej wypowiedzi.
- Miałaby pani ochotę na jeszcze jedną lampkę wina? Jest bardzo lekkie.
- Z przyjemnością, dziękuję.

Patrzył, jak okręca na palcach swoje śliczne kosmyki i muska nimi usta.

- Czy pana zdaniem nie jestem ładna?
- Nie odważyłbym się robić uwag o pani wielkiej urodzie
- odpowiedział głosem, który brzmiał obojętnie, jednakże Delia usłyszała to jedno słowo i oczy jej zabłyśły.
- A dlaczego nie? - zapytała kokieteryjnie.
- Gdybym miał mówić pani o takich sprawach - rzekł z powagą - to nie na żartobliwy sposób dandysów z Sydney czy Londynu, ale prosto z serca. Jeśli powiedziałbym damie, że jest najpiękniejszą ze wszystkich kobiet, naprawdę tak bym myślał.

- Obserwował, jak jej oczy rozszerzają się z zachwytem. - Aby móc takie rzeczy mówić pani, musiałbym mieć pozwolenie lorda Forstera.

Delia wstała, a Juan odsunął jej krzesło. Poszedł za nią do salonu, gdzie stanęła przed kominkiem. Ślicznie wyglądała w niebieskiej jedwabnej sukni. Pomyślał, że ona o tym wie. Podniosła małego słonia z kości słoniowej z wysadzonym klejnotami czerwonym siodłem.

- Piękne - powiedziała.
- Należy do pani.

- Ale to musi kosztować fortunę!
- Jeśli się pani podoba, proszę to wziąć.

Myślał o zakupie biżuterii dla niej, ale byłby to czyn nazbyt pochopny. Z drugiej wszak strony rzeczą absolutnie zgodną z dobrymi manierami jest podarowanie damie czegoś, co wzbudziło jej zachwyt. Miał już wcześniej nadzieję, że Delia zwróci uwagę na słońca.

- Jest pan bardzo szczodry.
- Tylko wobec ludzi, których lubię.
- Czy to znaczy, że mnie pan lubi?

Zdecydował, że na ten wieczór gra jest skończona, i przeprosił:

- Z przykrością panią opuszczam, ale muszę porozmawiać z moim zarządcą.

Nazajutrz lord Forster wstał późno i w czasie lunchu wydawał się czymś mocno zajęty.

- Jak mi się wydaje, znasz Heselwoodów?
- Tak, całkiem dobrze.
- Słyszałem, że Heselwood otrzymał teraz solidne poparcie z Londynu ze względu na swój tytuł i posiadłości, które tutaj ma. Czy jego farma na północy jest tak wielka jak Chelmsford?
- Farma Montone jest o wiele większa. Ja też mam ziemię w tamtych stronach, dokładnie mówiąc w Brisbane Valley. Dzielę ją ze współnikiem, ale kiedy wszystko zorganizujemy, powstaną na niej dwie farmy, tamtejsze tereny praktycznie rzecz biorąc nie mają granic. Chelmsford jest stosunkowo mały, ale lubię go, bo łatwo nim zarządzać i jest idealnym miejscem na dom. Mam też hodowle bydła nad rzekami Peel i Gwydir,

choć na razie są to wyłącznie pastwiska.

- Nic dziwnego - odezwał się Forster - że ojciec jest z ciebie zadowolony. Juan musiał czekać kilka dni, nim Forster poruszył temat Delii.

- Mam do omówienia z tobą delikatną kwestię, Juanie, i czuję się dość niezręcznie. Wydaje się, iż Delia bardzo cię polubiła i sądzi, że ty możesz odwzajemniać jej uczucia. Wiem, że traktowałeś ją z niezwykłą uprzejmością, powiedziała mi to sama, ale znasz młode dziewczęta, upiera się, żebym z tobą porozmawiał... na Boga... - Wytarł czoło chusteczką. - Ona grozi, że sama z tobą porozmawia! - Spojrzał na Juana, który wcale nie

392

zamierzał mu pomóc. Zakłopotany ciągnął: - I co masz do powiedzenia?

- To stawia mnie w trudnym położeniu. Nie mamy zwyczaju składania deklaracji, jeśli nie jesteśmy pewni, że zaloty zostaną przyjęte.

Forster bębnił palcami po stole ze wzrokiem utkwionym w złoty sygnet z rubinem. Pojął, że ta rozmowa dla Rivadavii nie była zaskoczeniem.

- Nie mogę się wypowiadać za jej rodziców - rzekł po chwili - ale też nie mogę wrócić do domu z wieścią, że ode mnie uciekła. To bardzo zdecydowana młoda dama.

I znowu Juan milczał, zmuszając lorda, by wyłożył karty na stół.

- Powiem wprost: Delia pragnie za ciebie wyjść. Ja zaś nie widzę przeszkód. Także jesteś katolikiem, pochodzisz z dobrej rodziny, będziesz mógł ją utrzymać i jesteś dżentelmenem. Powtórzę to jej rodzicom. Jeśli zależy ci na Delii, masz prawo wyrazić swoje zamiary. W przeciwnym wypadku nie będziemy więcej tej kwestii poruszać. Czy mógłbym dostać szklaneczkę twojego wyśmienitego porto? To najtrudniejsze negocjacje,

jakie prowadziłem. Trudno nawet było się zdecydować, od czego zacząć.

- Na czole nabrzmiały mu żyły, wyglądał na zdenerwowanego. Poluźnił kołnierzyk.

Juan nalał porto.

- W takim razie, sir, mam zaszczyt prosić o rękę pana wnuczki. Mogę pana zapewnić, że będzie wiodła życie w dostatku, odpowiednie do jej urodzenia.

- Kapitalnie! - oznajmił z ulgą Forster. - Gratulacje, drogi chłopcze! Teraz pójdę napisać list do jej ojca, a gdybym był tobą, porozmawiałbym z Delią, zanim zmieni zdanie.

Mrugnął znacząco i wyszedł z salonu, jednakże Juana ta ostatnia uwaga nieco zmroziła. Nagły podmuch wiatru rzucił na pokój kłęb dymu z kominka, co jeszcze bardziej pogorszyło mu humor. Zastanawiając się nad słowami lorda, doszedł do zgryźliwych wniosków.

- Jeśli ma zwyczaj zmieniać zdanie, dam jej więcej czasu

- powiedział do siebie. - Niech poczeka, podenerwuje się i zobaczy, jak to jest, kiedy upragniona rzecz nie całkiem znajduje się w naszym zasięgu.

Jeśli wszakże zmieni zdanie po tym, jak jej dziadek wyraził zgodę, to niechaj tak będzie.

393

Lord Forster nie potrafił wyjaśnić Delii, dlaczego Rivadavia tak długo zwlekał z poproszeniem ją o rękę. Przez wszystkie te dni była zdenerwowana, drażliwa i skłonna do łez.

ROZDZIAŁ Czterdziesty Pierwszy.

Na horyzoncie zbierała się burza piaskowa, czarne dziewczęta pośpiesznie krzątały się po domu. Dla nich burza była zabawą, dla Dolour oznaczała



kurz, śmieci i zniszczenia. Dziewczęta wniosły fotele do środka, zamknęły okiennice i drzwi, zatkały szpary kocami, prześcieradłami, chodnikami, by zagrozić przejście kurzowi. Doświadczenie nauczyło Dolour, że gwałtowne burze, które nadchodzą z zachodu, zrzucają im na głowę mnóstwo czerwonego piasku. Przez kuchenne okno widziała, że Claudie zamyka okiennice w kurniku, a nowy kowal Tom Gates - wrota stajni. Obecnie w ciągu dnia więcej było mężczyzn wokół domu. Pace nawodnił wielki ogród warzywny, którym zajmowali się dwaj więźniowie. To oczywiście oznaczało więcej ludzi do wykarmienia. Gotowanie należało do obowiązków żony Toma, dzięki czemu Dolour zostawała tylko opieką nad własną rodziną, ale i tak miała pełne ręce roboty. Stado krów mlecznych powiększyło się, Dolour wyrabiała masło i sery, które sprzedawała podróżnym oraz sąsiadom. Życie na farmie toczyło się teraz spokojnie, wszyscy robotnicy byli sympatycznymi ludźmi, pracowali dobrze, a ponieważ pani Gates była świetną kucharką, mało kto narzekał. Trzeci syn Dolour i Pace'a skończył miesiąc. Czarne dziewczęta najwyraźniej uważały, że każde dziecko ma prawo do własnej niani, sprowadziły więc do domu nową piastunkę.

- To Maja, psze pani. Dobrze pilnować nowe dziecko - oznajmiły.

Dolour wiedziała, że nie ma sensu się z nimi sprzeczać, dziewczyna, raz uzyskawszy miejsce na farmie, nie pozwalała nikomu odebrać sobie pracy. To wywołałoby awanturę.

Maja była interesująca. Wyższa od miejscowych kobiet, poważniejsza.

Uważnie słuchała tego, co się wokół niej mówiło, i szybko nauczyła się angielskiego.

- Leno, skąd pochodzi Maja? - zapytała Dolour.

- Ludzie sowy, psze pani. Ta dziewczyna z ludzi sowy. Dolour orientowała się, że dla większości czarnych na farmie totemem był pies dingo. Opowieści o magii fascynowały ją, przypominały legendy o druidach, które słyszała z ust babki, i wcale aż tak bardzo się od nich nie różniły.

- Tak, ale co to za plemię?

- Tingum, psze pani.

- Tingum - powtórzyła Dolour. - A ty jesteś Kamilaroi?

- Tak, psze pani.

- Maja jest żoną starego Bulpoory?

- Tak, psze pani.

Wszystkie trzy piastunki były zameżne, choć ich mężom najwyraźniej nie przeszkadzało, że niemal cały czas spędzają na farmie.

- Skąd pochodzi lud Tingum? Lena wskazała na północ.

- Tam, daleko.

- Więc gdzie Bulpoora ją znalazł, skoro pochodzi z tak daleka?

Lena już otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale zobaczyła w progu Minnie i zmieniła zdanie. Minnie stała bez ruchu, rzecz dla niej niezwykła. Dolour uznała, że nie będzie irytować się takim drobiazgiem, i sama odpowiedziała na swoje pytanie.

- Spotkał ją na wędrowce?

Lena wywróciła oczami ze strachu i skuliła się, nie chcąc nic mówić.

- Tak - odparła szorstko Minnie.

Dolour wiedziała, że z jakiegoś niezrozumiałego powodu było to kłamstwo, nie drążyła jednak tematu. Wysłała dziewczęta do pracy. Nie

lubiła męża Mai, brzydkiego starca z zimnym spojrzeniem, który nigdy nie odzywał się do białych, choć czarni poganiacze powiedzieli Pace'owi, że cieszy się wielkim szacunkiem plemienia i odesłanie go może wywołać problemy. Zresztą Dolour wcale nie chciała, żeby odchodził, bo zabrałby Maję, a była dobrą piastunką.

Burza uderzała w dom, grzechocząc okiennicami, psy gorączkowo szukały schronienia, ale Dolour widywała już gorsze, a ta po pięciu minutach zygzakiem się oddaliła. Dolour poszła do sypialni otworzyć okno.

395

Nad podwójnym łóżkiem wisiało Przenajświętsze Serce i kiedy była sama jak teraz i miała wolną chwilę, siadała na drewnianym zydlu i modliła się o zmiękczenie serca jej męża. Stopniowo zaczął przychodzić do niej na noc, w końcu wrócił do sypialni, a ona się zgodziła, bo jaki miała wybór? Już zawsze trzymać męża na dystans?

Ale nie było tak jak dawniej, kochanie straciło swój urok. Tego nawet nie można już nazywać kochaniem się, pomyślała ze smutkiem. Teraz to jest jego męzowskie prawo, nic więcej, nie zależy mu na mnie, nie łączy nas prawdziwa przyjaźń. Rozmawiamy jak współnicy w interesach albo rodzice, ale nie jak kochankowie, i często się kłócimy. Czasami on odzywa się do mnie, jakbym była służącą. Staram się go ignorować, ale nie pozwala na to mój temperament, i mówię mu, co myślę, daję do zrozumienia, że wcale nie jest taki ważny. Chciałabym tego więcej nie robić.

Dolour przeraziła się, kiedy otrzymali zaproszenie na ślub Juana Rivadavii z angielską dziewczyną. Rozważała nawet, czy go nie spalić, nim Pace zdąży je zobaczyć. Obawiała się, że wśród gości będzie Heselwood.

Jednakże wyratowała ją Milly Forrest, która mówiła wyłącznie o uroczystości i o tym, w co się ubierze.

- A jeśli zaproszono Jasina Heselwooda? - szepnęła Dolour.

- Nie będzie go, najpierw o to zapytałam. Jest na północy, na swojej farmie.

Dolour czuła taką ulgę, że prawie nie słuchała narzekań Milly na prawny spór z Jasinem i czas, jaki zabiera oddanie sprawy do sądu, choć na myśl o sztuczce, jaką im spletał, robiło jej się niedobrze, a wyrzuty sumienia powracały nową falą. Jakby to ona maczała w tym palce. I wiedziała, że za każdym razem gdy odwiedza ich Milly ze szwagrem, Pace przypomina sobie wszystko. Po ich wizycie nie patrzył na żonę.

Pragnęła, by istniał jakiś sposób, dzięki któremu mogłaby ułatwić życie mężowi. Martwili się o bydło, drugą zimę panowała susza. Strumienie wysychały, na pastwiskach brakowało trawy. Pace mówił o przeniesieniu stad na północ i opuszczeniu Kooraminu.

Dolour uwielbiała pracować z mężczyznami, wśród hałasu i podniecenia na wielkich pastwiskach. Postanowiła, że jak skończy

396

karmić dziecko, wróci do tego zajęcia. Ponieważ zmusiła ją do takiej pracy sytuacja po śmierci Jima Connelly'ego, Pace teraz nie będzie mógł jej zabronić.

Czekali z chrztem syna, aż na farmę będzie mógł przyjechać ojciec Caimen Court, chcieli bowiem, by ceremonię odprawił ksiądz, którego oboje dobrze znali. Kiedy Caimen przybył, wysłano konnych z zaproszeniami na chrzest w następną niedzielę.

Rivadavia i jego młoda żona wyjechali, za to pojawili się przyjaciele z

całej okolicy: właściciele farm, robotnicy i liczne grupy czarnych, których zaprosili pobratymcy z Kooraminu. Przypominało to bardziej zabawę niż chrzest, młodzieńcy ścigali się na koniach i urządzali zawody w rąbaniu drewna, kobiety w najlepszych czepkach i szalach wykladały na stoły przyniesione smakołyki. Forrestowie przywieźli Dermotta i posadzili na wózku. Wszyscy zebrani radowali się z MacNamarami, kiedy ich trzeci syn otrzymał na chrzcie imię Pierce.

Oprócz innych napojów wystawiono też beczkę piwa i wkrótce wszyscy doskonale się bawili do wtóru skrzypek, fletów i akordeonów, przy muzyce nogi same chodziły i pary chętnie tańczyły. Pace był w dobrym humorze, śpiewał dla gości i nawet objął żonę. Dla Dolour to był wspaniały dzień, pomyśleć, jaką drogę przeszła od nędznej chatynki w ojczyźnie do wielkiej farmy, na której więcej było bydła niż w całej Irlandii. Jednakże skazą na szczęściu był rozdźwięk pomiędzy mężem i żoną, dumnymi rodzicami. A co gorsza, Milly znowu zaczęła trajkotać o kłopotach z Heselwoodem, jakby wszyscy przy stole nie słyszeli o tym wcześniej, przytaczać swoje listy do prawników i ich odpowiedzi. Dolour ukradkiem zerknęła na męża i z ulgą stwierdziła, że wciąż się uśmiecha, choć zwykle wzmianka o Jasinie sprawiała, że posepniał.

- I jest lordem! - krzyknęła Milly w desperacji. - A jego syn Edward też będzie lordem!

Wszyscy się roześmiali, także Pace, który wstał z kieliszkiem w dłoni.

- Naprawdę? Ha, jeśli syn Heselwooda może być lordem, to mój może być księciem. - Goście zawiwatowali, Pace wziął na ręce synka. -

Poznajcie Duke'a MacNamarę!

Wszystkich rozbawił ten żart, a Dolour, choć spięta, też się uśmiechnęła,

miała nadzieję, że Pace na tym skończy. I rzeczywiście

397

tego dnia więcej nie mówił o Heselwoodzie, za to imię przyłgnęło do chłopca. Odtąd wszyscy jej Pierce'a nazywali Dukiem. Ojciec Court przed wyjazdem poprosił Dolour na słowo.

- Wszystko u ciebie w porządku, moja droga?
- Tak, Caimenie. Popatrz na nas, jesteśmy szczęściarzami.
- Doprawdy? Ja takiego wrażenia nie odnoszę, kiedy patrzę na was oboje, choć robicie dobrą minę do złej gry.

Dolour wzruszyła ramionami.

- To nic nie znaczy.

Caimen podwinął sutannę i uśmiechnął się do Dolour.

- Będę się modlił za ciebie i twoją rodzinę.

Dwa dni później w suchym buszu wybuchł pożar. Ogień pędził po równinie, pożerając setki akrów najlepszych pastwisk, jakie jeszcze zostały, i dotarł aż do farmy Battersona, jak wciąż nazywali tę posiadłość, choć Batterson umarł przed rokiem i zostawił ją Craddockom.

Dym wisiał w powietrzu wiele dni po ugaszeniu pożaru.

- To była ostatnia kropla - oznajmił Pace. - Zobaczą się z Rivadavią natychmiast po jego powrocie. Trzeba przenieść stada na północ, póki na szlaku wciąż jest pasza.

ROZDZIAŁ Czterdziesty Drugi.

Georgina zaskoczyła męża. Z entuzjazmem przejęła zarząd nad odosobnionym domem w Montone i od razu zaczęła planować założenie ogrodu i sadu, zainspirowana wspaniałymi tropikalnymi kwiatami, które bujnie rosły na terenie posiadłości. Jasin początkowo wzdragał się przed

jedzeniem nieznanymi owoców, ale sierżant Krill zapewnił ich, że mango i papaję wypróbowano na więźniach, których zdrowie w najmniejszym stopniu nie ucierpiało, i obecnie, podczas drugiego sezonu w Montone, przedkładali mango nawet nad przepyszne banany.

Jasin kochał Montone. To było jak posiadanie własnej wioski, jak pójście w ślady pradziadów. Był właścicielem zielonych połaci ziemi sięgających po horyzont, miał stada zdrowego bydła i prawie sto koni. Krill sprawdzał się doskonale w roli zarządcy;

398

ponad pięćdziesiąt akrów gruntu zaorano pod uprawę kukurydzy, dyni i ziemniaków, do pracy przy nich zatrudniając więźniów. Co porządniejszych zaś awansowano na oborowych.

Zgodnie z przewidywaniami Jasina emigranci napływali do Brisbane szerokim strumieniem, przy czym pierwsi osiedlili się blisko portu.

Powstał chłonny rynek i bydło z Montone szybko znajdowało nabywców. Inni posiadacze także zajęli ziemię w Brisbane Valley i dalej na północ, a wszyscy przybyli z południa, niektórzy nawet z drugiej strony Sydney. Na szlaku zbudowano hotel zwany Planters Arms, w którym Jasin od czasu do czasu spotykał się z innymi hodowcami. Już stanowili elitę okręgu i właściciel wykazał się rozsądkiem, przeznaczając dla nich odrębny bar, który choć prymitywny, to jednak izolował ich od pokrzykiwań poganiaczy i woźniców stanowiących główną klientelę.

Jasin lubił poranne inspekcje w towarzystwie Krilla i wieczory, kiedy po kolacji siadał przy sekretarzyku i zajmował się księgami. Prowadził szczegółowy rejestr swoich stad, wpisywał straty, nabytki i sprzedaże, czując się przy tym jak bankier, który liczy własne pieniądze. Notował

wszystko: daty karczowania kolejnych akrów pastwisk (obok zamieszczał mapy ich lokalizacji), uprawy i zbiory, nazwiska pracowników, zarówno więźniów, jak i wolnych, oraz liczbę czarnych, których wpuszczano na teren posiadłości w nagrodę za dobre zachowanie. Do niedawna kontrolował też stan zapasów, ale ten obowiązek przejęła od niego Georgina.

- Ludzi trzeba dobrze karmić, w przeciwnym razie będziesz miał kłopoty, Jasinie. Słyszałam, jak narzekają na kucharza. On mówi, że to nie jego wina. Dajesz mu za mało produktów.

Georgina szybko sprawy uporządkowała. Sprowadziła dodatkowe zapasy, a następnie zwolniła kucharza. Zatrudnili małżeństwo, mąż gotował dla robotników, żona dla domu. Nikogo nie dziwił widok Georginy, która maszerowała do kuchni sprawdzić smak potraw serwowanych ludziom. Jasinowi przykrość sprawiało, gdy słyszał, jak mówią do niej „pani”, do jego żony należało się zwracać per „lady Heselwood”, ją to jednak bawiło.

- Wiele lat temu przekonałam się, mój drogi, że ich nie obchodzi, kim jesteśmy. Jasin był zaskoczony.

399

- Dziwne, że tak mówisz. Należy rzecz odwrócić. Nieistotne jest to, co oni myślą. Tylko nie gódź się na żadne bzdury.

I nie godziła się. Zmęczona tym, że jej spódnice wloką się po ziemi i zbierają kurz, skróciła je do kostek, odsłaniając wyglansowane na połysk trzewiki. Władczym gestem wskazywała szpicrutą, co zostało zaniedbane, i nikt nie miał o to pretensji. Służba uwijała się jak w ukropie, by wykonać wszystko, co poleciła, jeden przez drugiego starali się ją zadowolić.



Jasin z zaskoczeniem przekonał się, że w tej części świata nie ma zmięch. Słońce chowało się za góry pośpiesznie, zostawiając na niebie różowe, czerwone i żółte smugi. Siedząc przy sekretarzyku, patrzył przez otwarte drzwi gabinetu na wschodzący księżyc, który oblewał okolicę jasną poświatą.

- Cudny, prawda? - powiedziała Georgina, stając za jego plecami.

Odesłała już personel kuchni na spoczynek. - Nie miałam pojęcia, że ta okolica jest tak piękna. Nie widziałam Carlton Parku, czy tam jest równie malowniczo?

- Och nie, moja droga. W porównaniu z Montone jest tam dość ponuro. Co mi przypomina, że muszę zająć się tymi nieszczęsnymi Forrestami, wciąż nie przysłali mi udziału ze sprzedaży bydła. Słyszałem, że mają suszę. Zobaczymy, jak sobie poradzą ci głupcy. Gdyby byli bardziej skłonni do współpracy, mogliby przysłać tu bydło.

- Ale czy susza nas też nie będzie kosztować?

- Nie widzę większej różnicy, skoro i tak nie mogę wydostać od nich pieniędzy. Sprzedali moje bydło, powiększyli swój dług wobec mnie, co oznacza, że mój dług u nich zmałał.

Spojrzała mu przez ramię.

- Ty wciąż nad tymi księgami? Siedziałbyś nad nimi przez całą noc, gdybym ci pozwoliła.

- No cóż, pamiętam, co mówili Macarthurowie: w nich widać jak na dłoni, co dzieje się na farmie.

- Powiedz mi więc, panie księgowy, jak radzi sobie farma?

- Wspaniale. Kilka lat i uniezależnimy się od banków. A słyszałem, że na północy są jeszcze lepsze ziemie. Tysiące mil.

- Zostawmy je na razie. Jak sądzisz, mógłbyś dać ludzi do pracy przy stajniach? Dach jest jak sito, trzeba pokryć go słomą. Bo wiesz, jeśli się tego nie zrobi, przy następnym deszczu konie zmokną do szczytu. Tak nie może być!

400

- Zaraz każę im się tym zająć - obiecał. Był pod wrażeniem jej spostrzegawczości i energii, aczkolwiek przypuszczał, że w ten sposób zappełniała sobie czas po wyjeździe Edwarda do szkoły w Anglii. Cieśle zbudowali dom niemal według wskazówek Georginy, z przestronnymi pokojami i wysokimi sufitami zapewniającymi chłód, nie posłuchali tylko w jednej kwestii i umieścili kuchnię poza głównym budynkiem, co bardzo ją rozgniewało. Wewnętrzną kuchnię wykończono dopiero niedawno, tymczasem jednak Georgina urządziła resztę domu.

- Potrzeba ci jeszcze czegoś przed przyjazdem gości? - zapytał Jasin.

- Zawsze czegoś mi potrzeba. Nie sądzę, by ten dom kiedykolwiek wyglądał tak, jak bym chciała, ale na razie wystarczy. Gościom będzie u nas wygodnie. W końcu to nie Mayfair. Mam tylko nadzieję, że nie zapomną przywieźć książek. Miło byłoby zrobić tu bibliotekę.

Jasin westchnął.

- Gdzie?

- W tym pokoju, z ogrodem kończącym się przy tamtych palmach. Bardzo byłoby tu przyjemnie.

- Załatwione.

Jasin cieszył się, że Georginie życie na wsi sprawia przyjemność. Obawiał się, że nie zechce tu mieszkać, zmuszając go do utrzymywania domu w Sydney, jako że Brisbane wciąż było prymitywną wsią.

Był wdzięczny żonie. Zdawał sobie sprawę, że dla kobiety z jej pozycją społeczną wielkim wyrzeczeniem jest dom w zupełnej dziczy, gdzie nie miała równych sobie urodzeniem przyjaciółek. Oboje bardzo się ucieszyli, kiedy dostali wiadomość od lorda Forstera, i natychmiast też zaprosili go do Montone.

- Zastanawiałaś się, gdzie umieścisz pokojówkę Delii?
- W czwartej sypialni.
- W domu?
- A gdzie? Nie może spać w kwaterze kucharki i nie pościelę jej na werandzie, bo biedaczka umarłaby ze strachu.
- Z jakiej łazienki będzie korzystać? Bo przecież nie z naszej. No wiesz, nie możemy dzielić łazienki z pokojówką.

Georgina wyjmowała kwiaty z wazonu.

401

- Będzie mieszkała w domu, a jeśli ci to przeszkadza, to chyba wreszcie rozumiesz, dlaczego chciałam, żeby od razu zbudowano kwatery dla pokojówek. Czarne dziewczęta są chętne, ale już dawno powinnam była sprowadzić odpowiednio wyszkolone pokojówki. Kucharka będzie musiała pomóc mi przy gościach. Popatrz tylko! Mówiłam dziewczynom, żeby nie przynosiły do domu tych wielkich tropikalnych kwiatów, zamykają się! Nie nadają się do wazonów. - Wyrzuciła zeschnięte rośliny do kosza. - Będą tu jutro, czy tak? Nie przesłali żadnej wiadomości.
- Jutro, o ile wiem. - Jasin odwrócił się na krześle. - Wciąż nie pojmuję, jak Forster mógł się zgodzić na małżeństwo wnuczki z tym Hiszpanem. - Roześmiał się. - Dziwaczna sprawa, doprawdy. No wiesz, to wygląda tak, jakby Forster woził dziewczynę po świecie, szukając dla niej męża. Musi

być pospolita.

- Wątpię, by Juan wziął sobie brzydką żonę.

- Dlaczego nie? Wziął Adelaide, prawda? A była o wiele od niego starsza.

Georgina spojrzała na męża zirytowana, raniły ją jego słowa.

- Poza tym idę o zakład - ciągnął Jasin - że twój przyjaciel Rivadavia ożeniłby się z klaczą, gdyby miała tytuł.

- Możesz też iść o zakład, że lord Forster zdaje sobie sprawę, iż Juan jest bardzo majątnym człowiekiem, to mogło przeważać szalę. - W zamierzeniu miała to być ironiczna uwaga, Jasin jednak się z nią zgodził.

- A tak, Forsterowie dawno temu poparli niewłaściwy Kościół i nie wyszli na tym dobrze. Nigdy się nie pozbierali. Ledwo wiążą koniec z końcem.

- Jak inna utytułowana rodzina, którą znam - skomentowała Georgina.

- Nie bądź taka kąśliwa. Musiałaś chyba zauważyć, że nie zdecydowałem się na ożenek z pieniędzmi, a jeśli chodzi o to, że Heselwoodowie są bez grosza, jak widzisz, robię co w mojej mocy, żeby to naprawić. Mój syn nigdy nie będzie biedny.

Georgina wzruszyła ramionami. Trudno było pokonać Jasina na argumenty. Przypomniał jej jednak, że Forsterowie są katolikami. To mógł być decydujący czynnik. Postanowiła nie wspominać o tym Jasinowi, żeby nie dawać mu pretekstu do kolejnego ataku na Juana. Odkąd Jasin odziedziczył tytuł, łatwiej było uzyskać kredyt.

402

Bank, jak ukradkiem sprawdziła, przyjął gwarancję Juana, napisała więc do niego z podziękowaniem, nigdy jednak nie powiedziała o tym Jasinowi. To tylko wywołałoby jego wrogość. Uwierzył w jej historyjkę, więc nie wydawało się to konieczne.

A teraz Georgina cieszyła się na wizytę Juana. Będzie mogła wreszcie powitać go we własnym domu, a co więcej, chociaż nie zdradziła się z tym przed Jasinem, pękała z ciekawości, jaka też jest jego młoda żona.

Zastanawiała się, czy Delia istotnie jest pospolita. I uświadomiła sobie, że wolałaby, żeby taka była.

Nazajutrz czekali na przybycie gości. Poranek włókł się niemiłosiernie. Jasin rzadko bywał w domu na lunchu, bo choć nigdy głośno tego nie powiedział, Georgina wiedziała, że lubi posiłki przy ognisku w towarzystwie Krilla i poganiaczy, a poza tym wręcz uzależnił się od herbaty z kociołka.

Listy Georginy do krewnych tryskały ostatnio radością z tego nowego życia, którą pomniejszał jedynie smutek z powodu nieobecności Edwarda. Chłopiec spędził w Montone tylko rok, i to na początku istnienia farmy, ale pisała mu o bydle, krowach mlecznych, miejscowych niedźwiadkach, kangurach i wielkim emu, którego nazwali Clarence, a który kręcił się wokół domu niczym ogromna kura i zyskał powszechną sympatię, o psach, sprytnych, lecz gwałtownych psach pasterskich, o węzach... ciekawym tematом nie było końca.

Jej matka nie zmieniła sceptycznego nastawienia do Jasina. Nigdy go nie lubiła. W Londynie Jasin od razu wrócił do dawnego stylu życia, przepadając z przyjaciółmi w klubach na wiele godzin albo modnie wystrojony pędząc na wyścigi konne. Teściowa nie potrafiła uwierzyć, że ten sam Jasin może z pełną odpowiedzialnością prowadzić życie posiadacza ziemskiego. Georginie brakowało słów. „Zręcznością dorównuje innym ludziom buszu”, powiedziała, lecz nawet „busz” wymagał tłumaczenia. Nie potrafiła matce, która i tak nigdy nie słuchała,

opisać rozległych przestrzeni Nowej Południowej Walii ani zajęć męża.

Matka przyznała tylko, że Jasin wygląda zdrowo, a nie wymoczkowato jak przedtem.

Z wyjątkiem Krilla, który uwielbiał Jasina, pozostali mężczyźni - Georgina wiedziała o tym z podsłuchanych uwag - nie lubili go, choć darzyli szacunkiem, ponieważ - jak usiłowała wytłumaczyć matce - zaskakujące to, ale wiedział, co robi. Pilnował

403

swoich stad jak troskliwa kwoka, liczył, sprawdzał, martwił się o nie i razem z ludźmi był na pastwisku, kiedy krowy się cielily.

Znalazł więźnia, niejakiego Victora Passey'a, który dobrze sobie radził z chorymi zwierzętami, i awansował go na weterynarza. Obecnie Passey pełnił ważną funkcję w życiu farmy, będąc obok Krilla drugim zaufanym pracownikiem.

Georgina martwiła się, że wszyscy ci mężczyźni nie mają przy sobie kobiet, które w ich życie wprowadziłyby odrobinę łagodności, umiliły surowość wygnania. Przerazało ją, że wielu znajdowało pociechę w ramionach czarnych dziewcząt, o czym, chichocząc, powiedziały jej służące. Postanowiła to zignorować, nie wspominać nawet Jasinowi, ponieważ nie widziała rozwiązania tego problemu. Słyszała, że z Anglii wypłynął statek z pannami i wkrótce miał przybić do portu w Brisbane, zasugerowała więc Jasinowi, że powinien co porządniejszym robotnikom pozwolić poszukać wśród nich żon, on jednak nie chciał o tym słyszeć.

- Musielibyśmy zbudować kwatery dla małżeństw, a poza tym wprowadzenie kilku kobiet w taką gromadę mężczyzn skończyłoby się źle. Anibyśmy się obejrżeli, a wybuchłby zamęt.

I przypuszczalnie miał rację. Podczas lunchu Jasin był niespokojny.

- Już powinniśmy coś wiedzieć. Na pewno wysłali przodem konnych.

- Może powóz gdzieś utknął, tutejsze szlaki nie są dobre. Wciąż uważam, że powinni byli przyjechać konno, to byłoby o wiele prostsze.

- Może pani Rivadavia nie jest taką wyśmienitą amazonką jak ty, moja droga. I przypuszczam, że Forster jest trochę za stary na długie przejażdżki. Pisał w liście, że Rivadavia wynajął wygodny powóz w Brisbane, mają ze sobą ludzi z Chelmsfordu oraz eskortę żołnierzy przydzieloną im przez gubernatora. W razie jakiegoś wypadku mogą holować powóz.

Po południu jego cierpliwość się wyczerpała. Wziął Krilla i Passeya, po czym ruszył na spotkanie gości.

Georgina niespokojnie wędrowała po cichym domu, nasłuchując wiatru poruszającego łodygami bambusa, który zasadziła pod oknem. Zapaliła lampy i żeby zabić czas, usiadła przy fortepianie.

404

Szybko też usłyszała szepty na werandzie. Wiedziała, że czarni lubią się podkradać i słuchać muzyki, z mniejszym więc niepokojem zagrała etiudy Chopina dla swojej widowni, w nagrodę otrzymując pełne zachwyty westchnienia. Gdyby zdradziła się, że wie o ich obecności, natychmiast by umknęli, ponieważ Jasin nie chciał, żeby kręcili się koło domu. Tak więc zachowywali się cicho, aż jeden z mężczyzn nie wytrzymał:

- ...szef jedzie, psze pani.

Georgina zamknęła fortepian i wyszła na dwór. Nie było śladu ani jej widowni, ani jeźdźców, mimo to czekała, nie wątpiła bowiem, że czarny miał rację. Rzeczywiście po chwili usłyszała tętent koni i głosy niesione

wiatrem. Kiedy się zbliżyli, Krill gwizdnięciem przywołał stajennych i farma ożyła.

- Gdzie jest powóz? - zawołała do Jasina.

- Utknął na drodze - odparł. Zsiadł i podał dłoń pani Rivadavia. -

Georgino, zaopiekuj się Delią.

Wszyscy tu byli, Juan, lord Forster, Delia i jej pokojówka.

Forster miał szarą twarz i wyglądał na wyczerpanego, Jasin zaprowadził go więc prosto do salonu, by tam napił się czegoś i odpoczął w wygodnym fotelu, Georgina natomiast zajęła się Delią, której oszałamiająca uroda zaskoczyła ją bardzo, nie tego się spodziewała.

Dziewczyna była zdenerwowana i zarumieniona, za to jej pokojówce przygody najwyraźniej przypadły do gustu. Była to tęga Angielka o rumianej twarzy; w tweedowym kostiumie i filcowym kapeluszu wyglądała bardzo pospolicie w porównaniu z Delią, ubraną w perłowszary strój do jazdy konnej z klapami i mankietami z czarnego aksamitu.

Delia życzyła sobie natychmiast pójść do swojego pokoju. Razem z pokojówką, która nie traciła dobrego humoru, podążyły więc za Jessie, kucharką pełniącą rolę gospodyni, Georgina bowiem nie ufała na tyle czarnym służącym, by powierzyć im wprowadzenie gości do domu.

Była rozczarowana, że po wszystkich przygotowaniach wizyta rozpoczyna się tak niepomyślnie. Goście przybyli wyczerpani, co za szkoda.

Juan położył jej dłoń na ramieniu.

- Przykro mi, że się spóźniliśmy. Miło znowu panią widzieć, cieszyłem się na tę wizytę w Montone.



- Juanie, nie przepraszaj. Martwię się o panią Rivadavia. Czy czegoś potrzebuje?
- Panna Lee zaopiekuje się Delią. Jest tylko zmęczona, nic więcej.
- Proszę do środka - powiedziała prowadząc go do salonu. - Co się stało? Wszyscy wyglądacie na znużonych.
- Lepiej zapytaj, co się im nie przytrafiło! - wtrącił Jasin.
- Napadli ich bandyci i gdyby nie przezorność Juana, który wziął ze sobą swoich ludzi, mogli zostać obrabowani i zabici.
- Nie wydaje mi się, że ci bandyci byli w nastroju do mordowania - uśmiechnął się Juan. - Proszę się tym nie martwić, lady Heselwood. Chcieli tylko naszych koni.
- A jak długo przeżylibyście na tym szlaku bez koni?
- zawołał Jasin.
- Do przyjazdu moich ludzi - odrzekł Juan. Jasin nalewał drinki.
- Ręka mi się trzęsie na myśl o tym, co mogło się wydarzyć.
- Ale jak to się stało? - dopytywała Georgina. - Chodzi mi o ten atak.
- Zostali przegonieni, więc nie ma o czym mówić - odparł Juan. - Dom jest bardzo ładny, lady Heselwood.
- Słowo daję, że tak - zgodził się Forster. - Miło jest wreszcie usiąść wygodnie. I okolica bardzo się różni od tej na południu, prawda, Juanie? Prawdziwe tropiki, te palmy przypominają mi Colombo.
- Tak, bujna roślinność i o wiele cieplej niż u nas. Georgina obserwowała Juana, gdy rozmawiał z Jasinem o farmie. Młoda żona nie wpłynęła na zmianę sposobu, w jaki się ubierał, wciąż nosił klasyczne, dobrze skrojone rzeczy, a włosy układał, jak się domyślała, przy użyciu pomady. Forster miał białe włosy zmierzwiłone po

drodze, Jasin natomiast już zrezygnował z prób odgarniania jasnego kędziora z twarzy. Georginie się to podobało, nadawało mu chłopięcy wygląd, chociaż teraz miał gęsty wąs. Większość mężczyzn w tym kraju nosiła brody, z zadowoleniem więc stwierdziła, że Juan także oparł się tej modzie, jego śniada cera była gładka i pociągająca. Był niższy od Jasina, ale mocniej zbudowany, silniejszy, bardziej interesujący. Łapiąc się na tym, że zbyt wiele myśli poświęca temu mężczyźnie, na powrót włączyła się do rozmowy, uświadomiła sobie bowiem,

406

że podczas podróży z Brisbane zdarzyło się więcej, niż jej powiedzieli.

- Co jeszcze się stało, Jasinie? Nie ulega wątpliwości, że Juan i lord Forster nie chcą o tym mówić, tak więc ty musisz mi powiedzieć.

- Tam są czarni - odparł Jasin. - Setki czarnych! Dostrzegła przelotny grymas gniewu na twarzy Rivadavii,

najwyraźniej nie chciał przy niej o tym rozmawiać, musiała więc wydobyć prawdę z Jasina, i to teraz. Później będzie miał czas ułożyć jakąś bajeczkę.

- Dzicy czarni, czy tak? My rzadko ich tutaj widzimy. A nawet jeśli gdzieś są, nikomu jakoś nie robią krzywdy.

- Zagrodzili drogę powozowi lorda Forstera. Nasi goście musieli nadłożyć prawie dziesięć mil, dlatego powóz utknął w błocie. Krill weźmie paru ludzi i jutro go sprowadzi.

- Byli agresywni? - zwróciła się do Juana. Pokręcił głową.

- Nie, raczej uparci. Wyglądali na bardziej gwałtownych, niż byli, tak sędzę. Nie ulegało jednak wątpliwości, że nie zamierzali pozwolić nam przeprosić się przez rzekę w tamtym miejscu.

- Gdzie, Jasinie? Przy Massey's Crossing?

- Tak - odparł zirytowany. - Dokładnie tam, gdzie zawsze się przeprawiamy. Lepiej zrobią, jak nie staną mi na drodze, kiedy tam będę. Forster ze świstem wciągnął powietrze i napił się brandy.
- To była wyłącznie kwestia liczebności, drogi przyjacielu. Przed nami stało ze trzydziestu czarnych, na skałach nad rzeką jeszcze kilku, nie potrafiliśmy stwierdzić, ilu ich jest dokładnie.
- Nie chcieliśmy zatargów - wtrącił Juan. - Lord Forster doskonale sobie z nimi poradził. Nasz dyplomata - uśmiechnął się do Forstera. - Pojechał do nich i był niezwykle uprzejmy. Ukłonił się i poprosił, by wskazali nam inny szlak.
- Mówili po angielsku? - zdumiała się Georgina.
- Skądże! - roześmiał się Forster. - Porozumiewaliśmy się na migi i zaczęli nas traktować całkiem przyjaźnie. Wiecie, odniosłem wrażenie, że dostali rozkazy, ale nie byli całkiem pewni, co powinni robić. I wiedzieli, co to jest broń, uważnie obserwowali naszych żołnierzy. Tak czy owak daliśmy im prezenty, kilka sakw, haczyki na ryby i inne drobiazgi...
- Prezenty! - prychnął Jasin. - Ja bym ich stratował.

407

Rivadavia przyjrzał mu się bacznie.

- Może tak, ale nie mieli ze sobą kobiet i dzieci, a to niebezpieczny znak, mnie natomiast towarzyszyła żona z pokojówką.
- Zwrócił się do Georginy. - Lord Forster wygłosił niezwykle słuszną uwagę, której nie potrafię sobie teraz przypomnieć. Coś o odwadze... Na widok jego olśniewającego uśmiechu Georgina pomyślała, że Delia miała wielkie szczęście.
- Która winna iść w parze z rozważą, mój chłopcze - roześmiał się Forster,

Jasin jednak wciąż był zły.

- Jutro pojedziemy, a jeśli nadal tam będą, rozpędzimy ich na cztery wiatry.

- Proszę, nie rób tego, Jasinie - zaniepokoił się Forster

- nie popełnili przecież żadnej zbrodni. Nie wywołuj kłopotów z mojego powodu. Gubernator Gipps usiłuje znaleźć sposób na utrzymanie pokojowych relacji z tubylcami i nie chciałbym w nic zostać zamieszany.

- Gipps to głupiec! - oznajmił Jasin. - Nie zgodzimy się, żeby czarni dyktowali warunki. Uzbrojeni czarni grożą moim gościom! Biedna Delia, musiała śmiertelnie się wystraszyć.

- Jasin ma rację - wtrąciła Georgina. - To musiało być dla niej straszne.

Jak sądzisz, Juanie, może wolałaby dzisiaj zjeść kolację w swoim pokoju?

- Zapytam ją.

Kiedy wychodził z salonu, Georgina zauważyła, że utyka.

- Powiedziałeś mi o wszystkim, Jasinie?

- Cóż, nie wiemy nic o rejsie z Newcastle do Brisbane ani o mniej ekscytującej części podróży lądem, ale musimy dać lordowi Forsterowi czas na złapanie oddechu.

- Dlaczego Juan kuleje?

- Kuleje? - powtórzył Jasin. - Nie zauważyłem.

- Miał przykre doświadczenie z tubylcem - wyjaśnił Forster. - Dostał włócznią w nogę. Doszło zapewne do uszkodzenia mięśnia, na szczęście jednak Aborygen nie rzucał zbyt celnie.

- Wielki Boże! - wykrzyknął poruszony Jasin. - Co się dzieje? Chcesz powiedzieć, że to się stało w Hunter Valley? Przecież tam czarni nie sprawiają problemów?

- W gruncie rzeczy było odwrotnie, mieli problemy z białymi, którzy zabili rodzinę czarnych. Wygląda na to, że w odwecie za kilka owiec. Ten biedak postanowił się zemścić. Złamał kark

408

poganiaczowi, a potem zaatakował Juana, zanim go zastrzelili. Smutna sprawa, ale mąż Delii to niezwykły człowiek. Nie żywi pretensji, powiada, że czarny miał prawo do takiego czynu. Oto dobra wola, Jasinie, Rivadavia nie zamierzał się mścić. Och, cóż to za człowiek! Bardzo go lubię. Wiecie naturalnie, że jego ojciec to mój wielki przyjaciel.

- Tak, słyszałam - powiedziała Georgina zainteresowana. - Jak panowie się poznali?

Kiedy Forster wyjaśniał, wrócił Juan.

- Delia będzie wdzięczna za lekki posiłek w pokoju, lady Heselwood. Teraz, kiedy jest bezpieczna, ma czas na rozmyślania o podróży i jest nieco roztrzęsiona.

- Ja też jestem - pokiwała głową Georgina. - Będziemy musieli jej to wynagrodzić. Czuję się odpowiedzialna. Ale mieszkamy tu od dwóch lat i nigdy dotąd nic takiego się nie wydarzyło.

- Poza tym, że zabijali nasze bydło! - burknął Jasin.

- Och, na litość boską! Mamy tyle bydła, co za różnica, jeśli od czasu do czasu zabijają kilka sztuk, żeby mieć co jeść?

Jasin zdesperowany zwrócił się do Juana:

- Usiłuję wytłumaczyć Georginie, że oni nie zabijają bydła po to, żeby je jeść, tylko z okrucieństwa, choć oczywiście nigdy nie widzieliśmy sprawców. Co mam zrobić? Pozwalać im na to?

- Na twoim miejscu dawałbym czarnym na farmie więcej prezentów,

więcej jedzenia, niech dzicy czarni zobaczą, jakim jesteś dobrym człowiekiem - zaproponował Juan.

- Tobie jakoś to nie pomogło - odparował Jasin, ale Argentyńczyk wzruszył ramionami.

- Nie wierzę, że ten czarny chciał mnie zabić - powiedział cicho.

- Co za brednie! -wykrzyknął Jasin, niepokojąc tym żonę. Kiedy był zły, mówił wszystko, co przyszło mu do głowy, i Georgina obawiała się, że jego niechęć do Juana wszystkim zepsuje nastrój.

Forster próbował uratować sytuację.

- Juanie, jak daleko stąd jest twoja północna posiadłość?

- Sądzę, że nie więcej niż sto mil na południowy zachód.

- Masz tutaj posiadłość? - zapytał Jasin takim tonem, jakby Argentyńczyk zhańbił flagę.

- Tak, w dolinie rzeki Brisbane.

409

- Ile akrów?

- Nie wiem dokładnie, około pięćdziesięciu mil kwadratowych. Niezbyt wiele.

Georgina skuliła się na fotelu. Tylko tego brakowało, posiadłość Juana była większa niż Montone. Lord Forster w przekonaniu, że robi dobrze, znowu wtrącił:

- Niezbyt wiele dla Argentyńczyka, zważywszy na rozległe rancza w jego rodzinnym kraju, ale sporo dla Anglika, prawda?

Georgina poczuła przyływ sympatii do Forstera. Nie widziała go od lat, był jednak bardzo miłym człowiekiem i wyraźnie dumnym z męża swojej wnuczki. Jasin natomiast nie krył wściekłości. Powinna już iść do kuchni i

powiedzieć kucharce, żeby pośpieszyła się z kolacją, uznała jednak, że lepiej będzie, jeśli zostanie i postara się jakoś zapanować nad rozmową.

- Jesteś jednym z pierwszych - odezwał się Jasin jedwabistym głosem, aczkolwiek jego słowa wcale nie zabrzmiały jak komplement. - Jak to się stało, że masz tu posiadłość, skoro nigdy wcześniej w tych stronach nie byłeś?

- Mam wspólnika. On wytyczył granice. Ta odpowiedź ucieszyła Jasina.

- Och, rozumiem. Nie jesteś jedynym właścicielem.

- Nie. Przepraszam, moja angielszczyzna czasami mnie zawodzi -

wyjaśnił Juan, jednakże Georgina dostrzegła twarde błysk w jego oczach i wolałaby, żeby Jasin skończył tę rozmowę. Chociaż Juan odpowiadał uprzejmie, widziała, że jest zirytowany.

Jasin wszakże nie zamierzał ustąpić.

- A kim jest twój wspólnik, na litość boską? Nie mów tylko, że należysz do jednego z tych syndykatów, które zajmują potężne grunta i spekulują nimi?

- W żadnym razie, lordzie Heselwood. Nigdy nie spekuluję.

Zorganizujemy tu hodowlę bydła, kiedy będziemy mieć czas na

przeprowadzenie stad. - Z tonu Juana wynikało jasno, że uważa temat za zamknięty, zbyt mało interesujący, żeby dłużej się nim zajmować. Zwrócił się do lorda Forstera, ale Jasin, przełykając brandy, zadał następne pytanie.

- Skoro macie ziemię w tych stronach, to może nam powiesz, kim jest twój wspólnik. Czy to twój rodak?

- Nie - odparł Juan cicho, jak dziecko otwierając szeroko oczy, jakby się zastanawiał, dlaczego kogoś może to zajmować.

- To Irlandczyk. Znasz go, jak mi się zdaje. Pace MacNamara.

Szklanka wypadła Jasinowi z dłoni i rozbiła się o podłogę.

Leżąc w nocy obok pogrążonego we śnie męża, Georgina z rozbawieniem wspominała tę rozmowę. Jasin sam się o to prosił. Z drugiej strony to jednak bardzo dziwne. Pace i Jasin poczuli do siebie antypatię od pierwszej chwili, kiedy spotkali się na statku. Jeśli miała być szczerą, ona też na początku nie lubiła MacNamary, uważała, że nie ma dla niego miejsca w ich towarzystwie, ale z czasem zmieniła zdanie. Irlandczyk odznaczał się inteligencją i poczuciem humoru i musiała przyznać, że zawsze zachowywał się miło, o wiele bardziej po męsku niż doktor Brooks czy ten żałosny Dermott Forrest. Może źle go oceniła. Życie w koloniach daje człowiekowi inną perspektywę. Z Jasinem wszakże sprawa jest niepojęta, przecież zatrudnił tego człowieka, chociaż go nie znosił. A potem niechętny szacunek, jaki do niego żywił, zmienił się w nienawiść, była o tym przekonana. Powodem mogło być wyłącznie to, że dawny podwładny założył farmę w sąsiedztwie Carlton Parku, choć pod żadnym względem mu nie dorównywała, ale chyba nie dlatego Jasin wybuchał jak fajerwerki, ilekroć słyszał to nazwisko. Uważała, że mąż naprawdę przesadza. To nie miało sensu.

Dwa pokoje dalej Juan Rivadavia, trzymając w objęciach młodą żonę, także się nad tym zastanawiał. A wiedział coś jeszcze. Wiedział mianowicie, że ta nienawiść jest odwzajemniona.

Juan Rivadavia miał własne plany związane z tą wizytą, w przeciwnym razie nie przyjąłby zaproszenia. Uważał, że Georgina jest czarująca, ale nie lubił Heselwooda ani też z własnej woli nie zgodziłby się na leniuchowanie w Montone, gdy tyle miał do zrobienia u siebie. Kiedy



pozwolą na to względy grzeczności, zamierzał ze swoimi ludźmi pojechać na inspekcję działki nad Brisbane. Chciał też, żeby poganiacze poznali te strony, ponieważ to oni przypędzą tu stada i jeśli Pace wyrazi zgodę, rozpoczną budowę farmy.

Pierwsze dni w Montone minęły spokojnie. Delia odzyskała dobry nastrój i czuła się doskonale w towarzystwie angielskich przyjaciół. Okazało się, że mają wiele wspólnych tematów, co Juana cieszyło, bo bez wyrzutów sumienia będzie mógł zostawić

411

żonę z nimi na kilka dni. Nawet w okręgu Hunter Valley Delii brakowało równego jej urodzeniem towarzystwa, a pragnął zrobić co w jego mocy, by była szczęśliwa, ponieważ z własnego doświadczenia wiedział, jakim poświęceniem z jej strony jest zgoda na życie w Nowej Południowej Walii. Zdążył się przekonać, że mieszkańcy kolonii są dość prostacy, nawet najbogatsi pośród nich. Nie mieli zbyt wielkiego pojęcia o życiu na wysokim poziomie. Juan tęsknił za muzyką i wesołością Argentyny. Sam dla siebie niewiele oczekiwał w nowym kraju, teraz jednak musiał bardziej się postarać, by zapraszać ludzi, zwłaszcza kobiety, których towarzystwo mogłoby sprawić przyjemność Delii. Latem zamieszka w nadmorskim domu w Newcastle i będzie potrzebowała przyjaciół, którzy mogliby ją tam odwiedzać, jako że zajęcia nie pozwolą mu być przy niej ciągle.

W trzeci dzień ich wizyty przyjechali dwaj twardzi Szkoci z farmy nad Burnett Waters. Twierdzili, że jednej nocy czarni zabili co najmniej czterdzieści sztuk bydła i sprowadzili watahy psów dingo. Pięciu mężczyzn zasiadło przy stole, by omówić tę kwestię.

Davey Morrison wiedział, co powinni zrobić.

- Osadnicy muszą się zjednoczyć i dać czarnym nauczkę. Lord Forster był temu przeciwny.
- Rozsądniej zrobicie, jeśli wezwiecie na pomoc wojsko, zamiast brać sprawy w swoje ręce.
- Zwróciliśmy się do gubernatora o wsparcie, ale nie był łaskaw nam odpowiedzieć. Ich nie obchodzi, co się z nami stanie - stwierdził Davey.
- Jednakże wasz problem polega na znalezieniu prawdziwych sprawców. Jeśli zemścicie się na niewinnych czarnych i ktoś z nich zginie, możecie zostać aresztowani za morderstwo.

Laddie Morrison, rudobrody brat Daveya, ryknął z gniewu:

- Chyba nie mówisz poważnie, człowieku! Nikt nie będzie mnie aresztował za zastrzelenie czarnego na mojej ziemi!
- Jesteśmy spokojnymi ludźmi - dodał Davey - ale nie możemy dłużej tego tolerować. Lord Heselwood jest tego samego zdania.
- Naturalnie. Pastwiska są zbyt rozległe, żeby je patrolować, nie możemy czarnych odpędzić, a zresztą nie chcemy. Niewykluczone, że nadejdzie dzień, kiedy bardziej się ucywilizują i będą dla nas pracować.

412

- Nie liczylibym na to, że będą pracować - prychnął Davey.
- Nie przyszliśmy tu opowiadać bajek, musimy się zemścić.

Lord Forster niepokoił się, pamiętając rozmowy z gubernatorem Gippsem.

- A co dokładnie rozumie pan przez zemstę, panie Morrison?
- Cóż, jeśli przyłapiemy sprawców, co jest raczej mało prawdopodobne, spuścimy im solidne manto, a jeśli nie... - Spojrzał na brata, który skończył za niego:
- Wtedy nie będziemy mieć innego wyjścia, jak zastrzelić paru czarnych,

żeby resztę ostrzec.

- Życie ludzkie za bydło? - Lord Forster uniósł brew.

- Życie ludzkie! - mruknął pogardliwie Davey, nabijając fajkę tytoniem, ale nie patrzył na lorda.

- Cóż więc proponujesz, Forster? Mamy siedzieć i czekać, aż zdziesiątkują nam stada? - Jasin nie był w nastroju do kompromisu.

- Straciliśmy dwa z naszych najlepszych byków - powiedział Laddie Morrison. - Nie rozumie pan, sir, że te zwierzęta są dla nas bezcenne? Nie możemy ich zastąpić. Musimy iść do Newcastle, a nawet do Bathurst, żeby dostać dobre byki rozplodowe.

- Racja - poparł go Davey, po czym dodał ze śmiechem:

- Mamy kłopoty z zastąpieniem byków, ale żadnych problemów nie sprawi nam zastąpienie kilku czarnych.

- A ty co myślisz, Juanie? - zapytał Forster. Juan chwilę się zastanawiał.

- Rozumiem wasz gniew, ale pamiętajcie, zemsta rodzi zemstę. Jeśli wy zabijecie czarnych, to oni prawdopodobnie zabiją waszych ludzi, nie tylko bydło.

Jasin zawahał się. Stracił dopiero kilka sztuk, farma braci Morrisonów znajdowała się dalej na zachód od Montone, może tamtejsi czarni byli bardziej okrutni.

- Niewykluczone, że powinniśmy jeszcze odczekać. Davey, miałeś dobry pomysł. Trzeba winnych wychłostać.

Davey Morrison zwrócił się do niego rozsierzony.

- Łatwo ci mówić, do diabła, bo na razie nie ucierpiełeś, ale nie licz, że tak będzie dalej, jest coś, o czym muszę ci powiedzieć. Czarni na naszej farmie ucichli, wcale nie rozmawiają i zniknęły wszystkie obozowiska.

- Mogą być przerażeni, bo myślą, że potraktujemy ich tak samo, jak osadnicy potraktowali czarnych w Kilkoj - włączył się Laddie.
- Och, dajże spokój! - warknął Davey na brata.
- Zaraz, zaraz - wtrącił lord Forster. - A jak osadnicy potraktowali tamtych czarnych?

Laddie wyszczerzył zęby.

- Doprawili im pudding arsenikiem, nazywają to puddingiem z Kilkoj.
- Mój Boże! - wykrzyknął wstrząśnięty Forster. - Nie wierzę, że ktoś mógłby coś takiego zrobić.
- Nie mieliśmy z tym nic wspólnego - pośpiesznie oznajmił Davey Morrison - ale musi pan sobie uświadomić, że niepokoje wśród czarnych zaczęły się wcześniej, w Kilkoj też mieli poważne problemy.
- Mimo to rzecz jest ohydna. Nie chcę brać w tym udziału
- oświadczył Jasin. - Proponuję, żebyśmy pilnowali własnych farm. Nie sprzymierzę się z ludźmi, którzy uciekają się do takich podstępów, to plugawe kreatury, z całą pewnością nie dżentelmeni. Ach - przypomniał sobie nagle - przypuszczalnie to było powodem waszych kłopotów, Forster. Przejeżdżaliście przez tamte strony.
- Mój Boże! Gdybym wiedział, wątpię, czy opuściłbym Brisbane! - odrzekł Forster. - Ci mordercy narazili na niebezpieczeństwo wszystkich białych. Złożę raport gubernatorowi i zostanie przeprowadzone dochodzenie.
- W takim razie bardzo proszę nie wspominać, gdzie pan o tym słyszał - burknął Davey Morrison. - Dość mamy kłopotów bez popadania w konflikty z innymi osadnikami.

- Nikczemny postęp. - Forster wciąż rozmyślał o otruciu czarnych.

Kręcił głową, jakby próbował siebie przekonać, że to nieprawda.

Juan wstał i podszedł do drzwi, spoglądając na spokojną okolicę. Georgina wzdłuż szerokich werand zasadziła paprocie i drzewa gumowe, całość sprawiała wrażenie cichego i miłego wiejskiego zakątka.

- Zemsta, o której mówiliście, już się rozpoczęła - powiedział - i na waszym miejscu przygotowałbym się do obrony.

- Pamiętał, że wojny z Indianami w Argentynie miały bardzo podobny początek.

414

- Obrony? Przed czym? - parsknął Davey Morrison. - Oni nie ośmielą się zaatakować farm. Owszem, musimy bronić, ale naszych stad.

- Nie byłbym taki pewny - ostrzegł Juan. - Aborygeni są takimi samymi ludźmi jak my. Jeśli w tym okręgu zamordowano ich pobratymców, to jesteście w tarapatach.

- Jeśli w ogóle zmiarkują, co ich zabiło - odparł Laddie z nadzieją. Juan odwrócił się i spojrzał na niego z taką pogardą, że Jasin pośpiesznie zmienił temat.

- Zjedzmy coś. Georgina nakryła do stołu w altanie. Bardzo tam przyjemnie w ciepłym zimowym słońcu. I byłbym wdzięczny, gdyby o tej sprawie nie wspomiano w obecności dam.

Podczas lunchu dokładał wszelkich starań, by zabawić gości. Georgina zadała sobie wiele trudu, mając do dyspozycji kucharkę, której miejsce zdaniem Jasina było w jadłodajni, ale udało jej się przygotować wyśmienite zimne mięsa oraz warzywne galarety, chleb na gorąco i sery, podała też dobre wino. Zwykle gadatliwy i towarzyski Forster odzywał się

z rzadka, Rivadavia pogrążył się w zadumie na ten swój irytujący latynoski sposób, a bracia Morrisonowie mówili wyłącznie o stadach. Jasin ucieszył się, kiedy wreszcie pojechali do domu.

- I co o tym sądzisz? - zagadnął Forstera, kiedy zostali sami.

- Nie wiem. Lepiej porozmawiaj o tym z Rivadavią, on ma większe niż ja doświadczenie w takich sprawach.

- Niewiele to da. Nie można porównywać Aborygenów z Indianami, ci pierwsi nie mają nawet koni. Moglibyśmy roznieść ich na kopytach, gdybyśmy chcieli. Nie, jeśli zostawią moje stada w spokoju, nie będę nic do nich miał.

Poszli traktem, który prowadził do domu, i przystanęli pod wysokimi czerwonymi gumowcami, których gładkie konary znaczyły szare i białe plamy. Forster mimowolnie zadrżał.

- Te drzewa muszą być bardzo stare - zauważył. Obejrzał się na drewniany dom, który wydawał się bezbronny ze wszystkimi oknami balkonowymi otwartymi na werandy. Przypomnił sobie dom Juana z piaskowca z wewnętrznym dziedzińcem, zbudowany na wzór hacjendy, ładniejszy i łatwiejszy do obrony, bo pozbawiony werand. Juan wybrał taki typ budynku bardziej z nostalgii niż z przyczyn praktycznych, teraz jednak Forster pomyślał, że być może byłby też odpowiedniejszy w Montone.

415

Z drugiej zaś strony z takiego zamkniętego domu nie rozciągałby się widok na te przepiękne góry. Westchnął głęboko. To były tylko rozważania starego człowieka, w gruncie rzeczy nie warto mówić o tym głośno.

Wczesnym rankiem we trzech poszli zapolować na indyki. Wracali z workiem tłustych ptaków, ciesząc się na smaczny posiłek, kiedy spotkali

Krilla, który wyjechał im na spotkanie.

- Coś się dzieje, sir! - zawołał do Jasina. - Wszyscy tu są, także strażnicy patrolujący granice. Mówią, że na całej farmie aż się roi od czarnych. Rozejrzeli się po pastwiskach obrośniętych jasnozielonym buszem, który odbijał się od błękitnego bezchmurnego nieba.

- Jesteś pewien? - zapytał Jasin. - Moim zdaniem wszystko wygląda normalnie. - Nad ich głowami skrzekliwie odezwały się dwa lorikety, pikując po zdobycz. - Morrisonowie mogli naszym ludziom napędzić stracha tym swoim gadaniem.

- Nie, sir. Chłopcy mówią, że to nie są zwykli czarni. Całe ciała mają wymalowane i poruszają się cicho jak cienie. Nie podoba mi się to. Czarni z farmy zniknęli co do jednego i część chłopców też zdecydowała się uciec. Co pana zdaniem powinniśmy zrobić?

- Uzbrój ludzi. Postaw straże przy stajniach, nie możemy sobie pozwolić na utratę koni, a reszta niech pilnuje domu. Warto być przygotowanym, tak na wszelki wypadek. - Zwrócił się do Juana i lorda Forstera, mówiąc ze spokojem: - Przykro mi, ale coś się chyba kroi. Lepiej wracajmy, szkoda wielka, sądzę jednak, że powinniśmy zachować ostrożność.

W domu zamknęli okiennice, zabarykadowali drzwi. Jasin nalegał, by Georgina, Delia oraz dwie pozostałe kobiety, kucharka i panna Lee, udały się do głównej sypialni, podczas gdy mężczyźni zajęli salon i kuchnię. Delia zbladła z przestraszenia.

- Sądzę, że to dobry pomysł - uspokajała ją Georgina. - Zjemy tam śniadanie, tylko panie.

- Ale dlaczego? - jęknęła Delia. - Wolałabym być z Juanem.

- Och nie, moja droga, zostawmy mężczyzn samych. Jestem pewna, że

doskonale się bawią, nie ma najmniejszych powodów do obaw. -

Zaprowadziła Delię do sypialni i zamknęła drzwi.

416

Do południa wciąż nie było śladu czarnych i kobiety zaczęły się znowu krzątać po domu, podając kanapki i herbatę. W powietrzu unosił się kłęb tytoniowego dymu, tak więc Jasin pozwolił otworzyć kilkoro drzwi.

- Czy twoim zdaniem nie powinniśmy wysłać kogoś, żeby sprawdził, co się dzieje? - zwrócił się Jasin do Krilla.

- Słusznie, sir - przytaknął Krill, po czym odwrócił się, by po wojskowemu wydać rozkazy, jednakże wtrącił się Juan.

- Jeszcze nie - powiedział. - Jeśli czarni odeszli, to nie ma powodu do obaw, jeśli nadal tu są, patrol może znaleźć się w niebezpieczeństwie.

- Ale to cholernie głupio tak siedzieć jak w więzieniu, jeśli nie ma powodu do obaw - argumentował Jasin.

- Cierpliwość nikomu jeszcze nie zaszkodziła - odrzekł Juan. - Nie znamy tych ludzi ani ich zwyczajów. Równie dobrze mogą być pokojowo nastroszeni, z drugiej zaś strony, jeśli zamierzają atakować, niewykluczone, że będą czekać z tym do nocy. Czarni, których spotkaliśmy po drodze, mówili innym językiem niż czarni u nas na południu, co bardzo mnie zaskoczyło. Sądziłem, że wszyscy mają wspólną mowę. Zastanawiam się, kim oni są?

- Wiem, sir - powiedział Krill. - Czarni u was to Kamilaroi...

- Tak, to prawda. - Juan skinął głową.

- A ci tutaj - dokończył Krill - to inne plemię, nazywają się Tingum.

Bussamarai i jego wojownicy pojawili się niczym biała smuga przed rzędem drzew. Stali w poświacie księżyca, w silnych dłoniach trzymając



malowane na białą tarczę i włócznie.

Jackowi Drew zabroniono się do nich przyłączać, ponieważ nie przeszedł inicjacji, za co dziękował swojej szczęśliwej gwiazdzie. Wcześniej błagał Bussamaraia, by porzucił ten zamysł.

- Zabiją was wszystkich. Pokażę wam lepszy sposób.

- Nie ma lepszego sposobu - odparł wówczas Bussamarai.

- To szaleństwo! - krzyknął Jack, a wojownicy Tingum mruknęli z dezaprobatą. Impertynencją ze strony tego obcego było kwestionowanie ich sposobu rozwiązywania spraw, nawet jeśli wielki Bussamarai uznawał go za przyjaciela.

417

Jack mógł tylko z miejsca na skraju lasu obserwować, jak czterystu wojowników zajmuje pozycje. Miał ochotę pobiec przez pastwiska do domu i prosić białych, żeby nie strzelali, lecz to był stary koszmar, który od wielu lat mu się śnił. Nie udałoby mu się, daleko by nie dobiegł, dostałby włócznią lub kulą.

Kiedy wspaniali wojownicy ustawili się w cztery długie rzędy, zaczęli śpiewać do wtóru patyków uderzających o siebie, a z lasu, z oddali, dobiegło huczenie didżeridu. Rogi gwałtownie zabrzmiały głębokimi niskimi dźwiękami i Jack mimowolnie zadrżał, zastanawiając się, jak przyjmą to biali kryjący się w domu. A potem zaległa cisza. Czarne oddziały zrobiły cztery kroki do przodu i osiemset stóp zaczęło w jednym rytmie tupać w ziemię, a echo tego dudnienia odbiło się od wzgórz.

- Boże wszechmogący! - wykrzyknął Forster, wyglądając przez otwory w okiennicach. - Wyglądają jak cholerni Zulusi. Nikt cię nie ostrzegł, że w tych stronach żyją takie plemiona?

- Nikt - odrzekł Jasin sztywno.

- Odnosiłem wrażenie, że tutejsi tubylcy tylko czasami wywołują drobne zamieszki - ciągnął zafascynowany Forster. - Ale popatrzcie na te tarcze. Mają dobre sześć stóp wysokości. Widziałem takie tarcze w Afryce. Są piekielnie ciężkie, żeby je unieść, trzeba mieć sporo siły. Zrobienie ich wymaga czasu, podobnie jak pomalowanie całego ciała, ci czarni wyglądają jak tort urodzinowy, na pewno długo się przygotowywali.

Juan słuchał Anglika i myślał, że oto grozi im poważny atak, a lord Forster wygłasza komentarze, jakby był turystą, jakby sam był bezpieczny.

- Wysłałeś po pomoc? - zwrócił się do Jasina.

- Tak, sześciu jeźdźców pojechało w trzech kierunkach. Ale to potrwa.

Módlmy się, żeby te czarne diabły dłużej śpiewały.

Wojownicy przesunęli się o kolejne dwadzieścia kroków i znowu zaczęli tupać przy wtórze gardłowego złowieszczonego śpiewu.

Zarządca Heselwooda wszedł do głównego salonu, w którym wszystkie sprzęty przestawiono pod ścianę, by obrońcy mieli swobodę ruchu.

Położył na podłodze dodatkowe strzelby i skrzynki z amunicją.

- Część ludzi zwiąła - oznajmił.

- Kto? Ci przekłęci więźniowie? - zapytał Jasin gniewnie.

418

- Nie, poganiacze. Więźniowie zostali na swoich miejscach.

- Mam nadzieję, że nie Anglicy? - odezwał się wstrząśnięty lord Forster.

Juan z wysiłkiem stłumił śmiech. Było coś nierealnego w tej sytuacji. Koło drzwi przeszła kucharka, niosąc następną tacę z herbatą dla dam. Spojrzał znowu na zbliżających się wojowników i zadał sobie pytanie, dlaczego oni także wydają mu się nierealni.

Ukryty w lesie Jack czekał na następny ruch. Słyszał, jak Bussamarai rzuca wyzwanie. Wojownicy przyłączyli się, krzycząc na białych, żeby wyszli i podjęli walkę jak mężczyźni, i niechaj zwycięży lepszy. Schylony pobiegł do zwałonego pnia, żeby wspiąć się wyżej. Skrzywił się, gdy jego przyjaciel Bussamarai wzywał białych do walki twarzą w twarz.

- Jezu - jęknął. - Cholerni głupcy. Oni was nie rozumieją.

Modlił się, żeby w domu byli jacyś czarni, którzy mogliby przetłumaczyć białym wyzwanie, i przeklinał głupotę białych, którzy weszli na terytorium Tingum, nie próbując pertraktować z czarnymi.

- Oni chcą tylko, żeby któryś z was podjął wyzwanie!

- krzyknął, gdy wojownicy znowu zaczęli śpiewać. - Kiedy ginie pierwszy człowiek, bitwa jest skończona. Zwycięzeni muszą się wycofać.

- Idą tu - powiedział Forster do Jasina. - Niewykluczone, że stosują starą sztuczkę tubylców, chcą nas zahipnotyzować, żebyśmy pozwolili im się zbliżyć i wtedy zaatakują.

- Wystrzelmy im nad głowami - zaproponował Juan.

- Salwa ostrzegawcza.

Jednakże Jasin go zignorował.

- Jeśli zrobią następny krok do przodu, znajdą się pod ostrzałem. Nie pozwolimy im podejść bliżej.

Dom spowijała ciemność, gdy wojownicy Bussamaraia przesunęli się do przodu po raz ostatni, powtarzając wyzwanie i obrzucając obelgami tchórzliwych białych, którzy kryją się za ścianami.

- Ognia! - krzyknął Jasin. Z wielu strzelb z trzaskiem wyleciały pociski i wojownicy padali tam, gdzie stali, jeden na drugiego, jak zabawki, a kanonada wciąż trwała.

W lesie Jack krzyczał na przyjaciół, żeby uciekali. Zeskoczył na ziemię, chroniąc się przed tym straszliwym widokiem, nienawidząc podłości białych, którzy wciąż strzelali, mimo iż w ich stronę nie rzucono ani jednej włóczni. Po chwili, która wydawała mu się wiekiem, ci co zostali przy życiu, przebiegli obok niego, szare upiorne postaci, i zniknęli w mroku. Mieszkańcy domu do świtu pełnili straż. Czarni zabrali ciała ofiar pod osłoną ciemności, ale leżące na ziemi tarcze i włócznie mówiły same za siebie.

- To będzie dla nich nauką - powiedział Jasin. - Następnym razem nie będą śpieszyli się do Montone.

Rano robotnicy i „szefowie” w Montone świętowali zwycięstwo szczodrymi porcjami rumu i mleka, Delia wszakże wciąż była przerażona, tak więc Juan zabrał ją do ich pokoju, by ukoić jej nerwy.

Kiedy kucharka obchodziła dom, otwierając wszystkie okna, uchyliła tylko drzwi i pośpiesznie uciekła. Zarumieniona wpadła do kuchni.

- Nie mogę nic zrobić z ich pokojem, są w łóżku i wcale nie śpią! W biały dzień!

Georgina poczerwieniała.

- Zajmij się pozostałymi pomieszczeniami - poleciła. Mijając lustro, zobaczyła w nim odbicie swej ściągniętej surowo twarzy i nagle się roześmiała. - Ależ, madame, wydaje mi się, że jesteś zazdrosna.

I dlaczego nie? pomyślała. Przez ostatnie dni znudziło ją towarzystwo Delii, tego głupiutkiego dziewczęcia. Była piękna, ale też kapryśna, skupiona na sobie i niezwykle arogancka. Georgina zadawała sobie pytanie, czy sama też się tak źle zachowywała w młodości, i stwierdziła,

że dla własnego dobra lepiej dłużej się nad tym nie zastanawiać.

Delia częstowała Georginę niekończącymi się listami rzeczy, które Juan jej kupi, a oliwy do ognia dołała jej opinia o nadmorskim domu, gdzie z Juanem spędzili miesiąc miodowy.

- Wystrój jest okropny - powiedziała. - Wszystko białe i nagie jak burza śniegowa, wygląda, jakby właściciela nie było stać na przyzwoite sprzęty. Zamierzam wszystko zmienić. Juana nie obchodzi, ile wydam na upiększenie domu.

Georgina powtórzyła to Jasinowi, który omal nie udusił się ze śmiechu.

420

- No i masz, moja droga - parsknął. - Tylko zmarnowałaś czas. Gdyby Rivadavii naprawdę podobał się wystrój, zabroniłby Delii go zmieniać. Georgina obraziła się na wszystkich, aczkolwiek miała nadzieję, że Juan po prostu chciał sprawić przyjemność żonie. Przecież mówił, że dom mu się podoba, teraz jednak zaczynała w to wątpić. Co za nieprzyjemne uczucie! Delia była irytująca i wymagająca. Georgina postanowiła, że porządnie wypocznie, a potem umyje włosy i starannie ubierze się na wieczór; z powodu Delii na każdym kroku czuła się stara i nieładna. Dzisiaj, po całym tym zamęcie, pokaże młodej damie, gdzie jej miejsce.

- Nienawidzę tego miejsca - żaliła się Delia mężowi.

- Chcę wracać do domu. Ci straszni czarni mogą znowu tu przyjść.

Musisz mnie zabrać do domu.

- Dobrze, wyjedziemy tak szybko, jak będzie to możliwe

- odparł Juan i Delia przytuliła się do niego zachwycona. Cudownie było być mężatką i mieć męża, który dokładał wszelkich starań, by ją zadowolić. O niebo lepiej, niż mieszkać z ciągle kłócącymi się rodzicami.

- Przykro mi, że nie skorzystam z okazji obejrzenia mojej ziemi, ale naprawdę uważam, że powinniśmy jechać - oznajmił Rivadavia przy kolacji. Jego słowa dla nikogo nie były zaskoczeniem.

Forster go poparł.

- Powinnaś jechać z nami, Georgino. To niebezpieczny kraj. Może na jakiś czas się wycofacie, ty też, Jasinie, dopóki nie sprowadzimy tu żołnierzy.

- To wykluczone - odparł Jasin. - Nie mogę opuścić Montone, nie teraz. Jeśli jednak chcesz odpocząć, Georgino, to oczywiście jedź.

- Możesz zatrzymać się u nas, w Chelmsfordzie - zwróciła się do niej Delia. - Mała Rosa będzie zachwycona, że tak szybko wróciliśmy. Bardzo chciała jechać z nami, ale Juan powiedział, że podróż będzie dla niej za trudna, i oczywiście miał rację. Mnie zaś ani przez myśl wtedy nie przeszło, w co się pakujemy.

Georgina usłyszała w jej głosie protekcyjalny ton. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, była podróż w towarzystwie Delii.

- Zostanę w domu. Nikt na farmie nie ucierpiał. Ale dziękuję wam za troskę.

421

- Zuch dziewczyna! - pochwalił ją Jasin. - Naprawdę nie ma potrzeby, żeby Georgina stąd wyjeżdżała. Sam doskonale potrafię sobie poradzić.

- Zatem bądź ostrożny - odezwał się Juan. - Moim zdaniem kłopoty jeszcze się nie skończyły. Zastanawiam się, czy wczoraj w nocy to nie była tylko demonstracja siły.

- Można tak to nazwać - roześmiał się Jasin. - To istotnie była demonstracja siły z naszej strony. Uciekali gdzie pieprz rośnie. Mamy

dobłą ochronę.

Na pożegnanie Juan pocałował Georginę w oba policzki, utwierdzając ją w przekonaniu, że łączą ich szczerą przyjaźń.

- Przykro mi, że tak szybko wyjeżdżacie - powiedziała. - Nie zapominajcie o nas.

Patrzyła, jak powóz oddala się pod eskortą ludzi Juana i poganiaczy z Montone, którzy mieli bezpiecznie doprowadzić ich do Brisbane, gdzie goście wsiądą na statek do Newcastle.

Dwa tygodnie później Laddie Morrison zginął od włóczy w odległości stu jardów od domu...

CZEŚĆ DWUNASTA.

Wojny czarnych III.

ROZDZIAŁ Czterdziesty Trzeci.

Po okresie żałoby Bussamarai zwrócił się do Jacka Drew z prośbą o wybaczenie i obietnicą, że tym razem posłucha jego rad.

- Mają za dużo strzelb - powiedział biały. - Lepiej zrobisz, jak opuścisz ten okrąg. Niech go sobie biorą.

- Nigdy. To nasza ziemia.

- W takim razie atakuj, kiedy nie patrzą. Przestali się pilnować, rzuć się na nich jak orzeł.

W pobliżu stała nieśmiało Kana i czekała, aż wielki człowiek ją zauważy. Jack przywołał ją do siebie.

Pobiegła i wróciła z chłopcem o miedzianej skórze i prostych brązowych włosach. Jack wziął go na ręce.

- To mój syn. Bussamarai połaskotał malca.

- Ładny chłopiec. Jak ma na imię?

- Wodrow.- odparł Jack i Bussamarai powtórzył za nim:
- Wodoro.
- Tak.
- Co to znaczy? Jack zdziwił się.
- Nie wiem. To moje nazwisko. Nie wiem, co znaczy. Bussamarai roześmiał się i spojrział na Kanę.
- Podoba ci się to imię?
- Tak. Wodoro to dobre imię. Oznacza czarną skałę.
- Czarną skałę? - krzyknął Jack. Pierwszy raz o tym słyszał. - Oznacza „pieprzyć wszystkich” - mruknął do siebie po angielsku.

423

Był jednak zadowolony, że mógł przedstawić chłopca, to zapewni mu lepszą pozycję w społeczności.

Przez wiele miesięcy po tej rozmowie ludzie Bussamaraia zabijali samotnych poganiaczy i rozpędzali stada. Biali w odwecie strzelali do każdego czarnego, który im się nawinął, toteż plemię wycofało się daleko na zachód i tam pozostało. Tylko wojownicy wyruszyli grupami, by atakować farmy usytuowane pomiędzy rzekami Burnett i Mary oraz w Brisbane Valley, a plemiona z gór napadały na farmy na Darling Downs. Jednakże biali za każdym razem odpierali napastników.

Czarne oddziały potrafiły pokonywać do pięćdziesięciu mil dziennie, tak więc nikt nie wiedział, na kogo trafi następny atak, co zmuszało osadników do ciągłej czujności i demoralizowało robotników. Ataki nazywano „atakami moskitów”, ponieważ nie czyniły nadmiernych szkód. Osadnicy zwoływali narady i trzymali szybkie konie na wypadek pierwszych niepokojących oznak, tak by posłańcy mogli pogalopować po



pomoc na najbliższą farmę. Nawet jeśli sąsiedzi nie zdążyli powstrzymać ataku, jeźdźcy ścigali czarnych i zabijali.

Montone po raz drugi zaatakowała grupa około dwudziestu czarnych; nastąpiło to tuż po zapadnięciu nocy, ale Jasin był przygotowany. Pokonali napastników, z których sześciu padło od kul, kiedy doszli do zabudowań. Szybkość akcji zawdzięczali Krillowi, bo wyszkolił ludzi, by zajmowali pozycje w chwili, gdy rozlegał się dzwon na alarm.

Bussamarai ponosił dotkliwe straty i lud Tingum nie był z niego zadowolony. Jack mówił, że ma zbyt mało ludzi rozproszonych na zbyt wielkiej przestrzeni, i po raz kolejny radził, by plemię zostało na zachodzie, daleko od białych. Wódz wojowników nie chciał przyznać się do klęski, zdawał sobie jednak sprawę, że brakuje mu ludzi.

- Powędrujemy w stronę gorącego słońca, żeby naradzić się z ludami Mandanggia, Kungai i innymi. Powiemy im, że jeśli nam nie pomogą, to będą następni. Czy nie tak?

- To pewne. - Jack skinął głową. - Tak właśnie będzie.

- Dobrze. Pójdiesz ze mną i wytłumaczysz im te sprawy. Wiele się nad tym zastanawiałem. Skoro białych nie przerażają nasze ataki, poproszę plemiona, by powstały, i jednym gwałtownym atakiem zmieciemy białych niczym martwe liście. Zejdziemy z gór jak powódź. Po powrocie zbiorę cały lud Tingum, tymczasem

424

jednak niech napadają, gdzie chcą. Biali pomyślą, że wygrywają, jednakże te ataki muszą w pewnym momencie całkowicie ustać. To będzie oko cyklonu.

Jack rozumiał, widział gwałtowne burze, które przechodziły przez

terytorium Bussamaraia, ze ścianą deszczu i potężnymi wiatrami wyrrywającymi drzewa z korzeniami. Kiedy wydawało się, że wrócił spokój, czarni czekali. Rysowali koło i tłumaczyli, że jeszcze trzeba się chronić w jaskiniach, bo będzie dalszy ciąg, i mieli rację. Fascynowało go, ile wiedzieli o swojej ziemi.

Plan Bussamaraia brzmiał nieźle w teorii. Z drugiej wszak strony co innego mogli zrobić? Położyć się i umrzeć? Wykluczone, równie dobrze mogą zabrać ze sobą niektórych białych szefów. Jack pamiętał o Ngalli, swoich synach, Diminingu i pozostałych - wciąż nie zostali właściwie pomszczeni.

- Powiedz ludziom z innych plemion, że nie chodzi tylko o białych, że owce i bydło, które ze sobą sprowadzają, niszczą ziemię i wodopoje. Kiedy to pojną, musisz przeciągnąć ich na swoją stronę - mówił Jack. - A jeśli nam nie uwierzą, przyjdziemy z nimi tutaj i pokażemy, co potrafimy strzelby. Tylu wojowników zginęło, bo wciąż nie rozumieją siły strzelb i biegną na otwarte przestrzenie, uzbrojeni tylko we włócznie. Musisz im tego zakazać.

- Jesteś bardzo mądry, Dżakadu - odparł Bussamarai.

- Czasami myślę, że sam nie jestem zbyt mądry, i proszę duchy, by ukazały mi drogę, ale co one wiedzą o białych? Zupełnie nic, dlatego przysłały ciebie.

To była rzecz nowa dla Jacka, chociaż równie dobrze mogła być prawdą. Wziął wojowników i pobiegli w stronę wybrzeża, aż trafili na często używany trakt. Zajęli pozycje i czekali.

Pierwsza pojawiła się rodzina osadników w ciężkim wozie. Czarni chcieli zastawić na nich pułapkę, ale Jack wzdragał się przed odbieraniem życia

kobietom i dzieciom. Bo jeśli zabiliby jadących z nimi dwóch mężczyzn, jaką szansę miałyby kobiety na dotarcie z dziećmi w bezpieczne miejsce? W tych dzikich stronach grozili im przecież nie tylko czarni.

- Ale oni mają strzelby, a my przyszliśmy po strzelby

- argumentowali wojownicy.

- To nie jest dobry rodzaj strzelb - odparł Jack. - Zły rodzaj. Wiem, co robię.

425

Osadnicy pojechali dalej, a Jack ciekawie się im przyglądał. Z ich rozmów wywnioskował, że nie są zbyt pewni drogi. Myślał, żeby im powiedzieć, że najlepiej zrobią, jeśli zawrócą, ale wówczas zdradziłby się jako biały i sprowadził na siebie żołnierzy.

Czarni byli cierpliwi. Czekali jeszcze dwa dni; Jack podziwiał ich spokój.

W końcu nadeszła prawdziwa zdobycz i Jack nie wierzył własnemu szczęściu. Wypatrywał kilku mężczyzn, poganiaczy albo osadników, to bez znaczenia, tymczasem zobaczył dwóch żołnierzy, z których jeden był sierżantem. I to oni właśnie zasłużyli na śmierć. Kiwnięciem głowy dał znak i wojownicy zajęli pozycje.

Żołnierze nie wiedzieli, kto ich zaatakował. Wielkie włócznie wbiły się im w plecy i spadli z siodła jak worki kartofli, konie przerażone pogalopowały przed siebie i z wahaniem przystanęły dalej na szlaku.

Czarni wciągnęli ciała zabitych w zarośla, Jack tymczasem pozbiierał strzelby, po czym z sakw przy siodłach wyjął racje żywności i amunicję.

W samą porę powstrzymał wojowników od zabicia koni.

- Nie róbcie tego, to dobre zwierzęta. - Zdjął uprząż i siodła, które wrzucił w krzaki, potem klepnął konie po zadach. Z uśmiechem patrzył, jak

galopują przed siebie.

Bussamarai i Jack demonstrowali członkom plemienia strzelby i ich działanie. Później ze starszyzną przedyskutowali pomysł, by wezwać północne plemiona do wspólnej walki. Wywołało to gorące spory, w większości dotyczące - jak domyślał się Jack - różnych tabu i totemów. Wbrew pozorom pomysł nie był taki prosty. A przez cały ten czas liczba białych w okręgu rosła.

Wśród czarnych byli tacy, co mówili, że może należy pertraktować z północnymi ludami i prosić o pozwolenie na schronienie się na ich ziemi. To rozgniewało Bussamaraia.

- Jaką korzyść będziemy z tego mieli? Biali będą przybywać i w końcu zmuszą nas do przekroczenia wody i ukrycia się na ziemi ludu Kebishu. Tego chcecie?

Zaprzeczyli ze strachem. Ludy na drugim brzegu cieśniny na dalekiej północy okryły się złą sławą łowców głów. Wszyscy znali ich krwiożercze, okrutne rytuały.

- W takim razie musicie mi pozwolić, bym udał się po pomoc! - krzyknął Bussamarai. - Zabiorę w gorące krainy mojego przyjaciela i doradcę, zgromadzimy wojowników, a kiedy wrócę,

426

biali dowiedzą się o nas. Jeśli jednak mi się nie uda, nigdy nie wrócę. Jack był ciekaw, czy daleko pójdą. Miał czterdziestkę na karku i zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie umiał dotrzymać kroku Bussamaraiowi, który nigdy się nie męczył, choć jego włosy znaczyły pasemka siwizny. Postanowił, że jak to się skończy, wybierze sobie grupę, z którą uda się daleko na zachód i znajdzie tam sobie bezpieczny obóz.

Przekonał się bowiem, że nie wszyscy czarni wędrowali jak Cyganie. Lepiej będzie, jeśli Kana i Wodrow znajdą się poza zasięgiem białych. Przesunął palcami po złotej grudce. Chociaż wszędzie prowadził poszukiwania przy pomocy przyjaciół, nigdzie nie znalazł złota, a już dawno stracił kontakt z tym handlarzem.

Posłańcom wręczono patyczki z wiadomościami; rozbiegli się na wszystkie strony, informując ludy o nadejściu Bussamaraia, który pragnie zwołać corroboree daleko na północ od swojego terytorium i oczekuje, że wskażą mu stosowne miejsce na tę wielką naradę.

Dopiero po kilku tygodniach Bussamarai powiedział Jackowi, że czas wyruszać w drogę. Wodzowi towarzyszyło sześciu wybranych wojowników. Przygotowania nie były konieczne. Na początku podążali wzdłuż rzeki aż do jej ujścia do morza, a potem wybrzeżem szli na północ. Podróż była dla Jacka wielką przyjemnością. Pływali i łowili ryby w ciepłych czystych wodach, przez wiele mil biegli białymi plażami, a jeśli na drodze stawały im cyple albo namorzyny, okrążali je. Przemierzyli taki szmat kraju, że Jack był pewien, iż lada chwila dojdą do końca stałego lądu i staną twarzą w twarz z przerażającymi Kebishu. Inni śmiali się z niego, mówili, że taka podróż trwa wiele księżyców, a nie dni. Czasami, kiedy myślał o Anglii, zadawał sobie pytanie, czy nie spadł z Ziemi na jakąś inną planetę. Jak to możliwe, że tam miasta były zatłoczone głodującymi nędzarcami, skoro tutaj tyle jest wolnych przestrzeni i tak dużo dobrego jedzenia? Mięso, ryby i owoce, a wszystko na wyciągnięcie ręki. To na pewno musi być inna planeta.

Jego towarzysze z podnieceniem powiedzieli mu, że na corroboree przyjdą ludy Wanamara, Kokokulungur, Barbarum i Merkin.

- A wielu z nich słyszało, jak przemawiałem pierwszy raz - dodał Bussamarai - ale odeszli i zapomnieli. Teraz się przekonają, że popełnili straszny błąd.

427

Tym razem narada odbywała się nad małą zatoczką na terenie przypominającym amfiteatr, wśród obecnych były też kobiety. Bussamarai z radości klepał się po udach. Nie ulegało wątpliwości, że traktują go poważnie. Jackowi nie zezwolono na udział w najważniejszych rozmowach, jego rola sprowadzała się wyłącznie do zademonstrowania strzelb.

W odpowiednim czasie wystąpił na środek i kazał wszystkim się cofnąć, wskazując pasące się kangury. Podkraść się bliżej i wycelował, ale chybił. Czuł się jak głupiec. Jednakże Aborygenów głośny huk okropnie przeraził i wrzasnęli ze strachu, kiedy wszakże przekonali się, że nic więcej się nie stało, zaczęli klaskać. Nie chcąc marnować amunicji, Jack wysłał przyjaciół, żeby złapali jednego kangura i żywego przywiązali do drzewa, dopiero wtedy go zastrzelił. Potem to samo zrobił z oposem i koalą, a Bussamarai tłumaczył zebranym, na czym polega działanie strzelb. Podczas gdy Bussamarai prowadził rozmowy, Jack leniuchował. Wokoło pełno było jedzenia, a gospodarze, pragnąc sprawić mu przyjemność, częstowali go najrozmaitszymi potrawami, w tym jego ulubionymi ostrygami. Zapytał, gdzie można je znaleźć. Po południu siedział na plaży i otwierał muszle, zjadając ze smakiem. W pewnej chwili jego towarzysze z podnieceniem wskazali na morze. Do zatoki wpływał żaglowiec. Jack splunął.

- No proszę! - zawołał. - Biali, którzy byli na ziemi Bussamaraia, teraz

przybywają na waszą!

Kazał rozpalić ogniska w buszu, żeby w niebo uniosły się gęste obłoki dymu. Jeśli biali je zobaczą, dwa razy się zastanowią, nim przybiją do brzegu. Wykonali jego polecenie, a kiedy żaglowiec zawrócił, Dżakadu został bohaterem dnia.

Tego wieczoru znowu rozmawiał z Bussamaraiem.

- Nie ma sensu sprowadzać do nas wszystkich tych czarnych i wyprawiać ich na jedną farmę. Na pewno wygrasz pierwszą rundę, ale następnym razem będą na ciebie czekać. Powiedz na naradzie, że potrzebujesz tylu wojowników, ilu zdołasz zebrać. I atakuj wszystkie farmy w okręgu równocześnie, tak by jedni drugim nie mogli przyjść z pomocą. Ale nie nocą, kiedy są czujni, tylko po południu, bo wtedy poganiacze rozproszeni są po pastwiskach, pozostali zaś siedzą rozgrzani i senni, słuchając bzyczenia much. Musisz jednak uderzyć tego samego dnia i o tej

428

samej porze. Myślałem o tym od dłuższego czasu... trzeba coś takiego zrobić... - Umilkł.

Rzadko wygłaszał długie przemowy, wciąż przychodziło mu to z trudem, a poza tym nigdy nie wiedział, jak zareaguje Bussamarai, ale nużyły go ich niekończące się dyskusje. Nie rozumiał, o czym tak długo muszą rozprawiać. I zdenerwował go widok żaglowca. Przypomniał mu, że chociaż na wybrzeżu żyje się przyjemnie, nie jest to jednak najbezpieczniejsze miejsce, o wiele rozsądniej będzie schronić się w głębi lądu.

Wreszcie uzgodniono strategię wojny i dano plemionom trzy księżycy na zebranie ludzi.

Bussamarai i jego towarzysze pożegnali się. Znowu pędzili wybrzeżem, tym razem na skróty przechodząc przez lasy i wzgórza, płynąc rzekami, aż dotarli do ujścia ich rzeki, gdzie dzięki tajemniczym uzgodnieniom czekali na nich ludzie z łodziami, by zabrać ich szybko i bezszelestnie w górę rzeki.

Noc spędzili w buszu, wczesnym świtem wyciągnęli łodzie z ukrycia.

Jeden z czarnych podszedł do Jacka.

- Znalazłem - uśmiechnął się szeroko pod zmierzwionym wąsem.

- Co znalazłeś?

- Żółte kamienie. Znalazłem twoje żółte kamienie.

Jack otworzył szeroko oczy. Czarny, mężczyzna po pięćdziesiątce, był ucieszony, że poradził sobie lepiej niż młodsi od niego. Wyciągnął dłonie, na każdej leżała bryłka złota, jedna długa na sześć cali i poszarpana, druga wielkości ludzkiej pięści.

- Skąd je masz? - zawołał Jack.

- Tam są. - Mężczyzna zabrał go do zakola rzeki. W kruszejącym brzegu Jack zobaczył złoto. Zawsze wiedział, że wcześniej czy później je znajdzie, a teraz miał tuż przed sobą matowe bryłki, utkane w ziemi.

Wydawało się, że aż nazbyt łatwo je wziąć, że to świętokradztwo, niczym zabranie wysadzanego klejnotami kielicha z otwartego i niestrzeżonego kościoła. Jack rozglądał się gorączkowo, wykopując złoto z brzegu i wrzucając do worka, ale nikt na niego władczo nie krzyknął, ręka stróża prawa nie zacisnęła się na jego gołym ramieniu, tylko cichy głos szepnął:

- Bussamarai mówi, żebyś już szedł.

Jack pragnął rzucić się w złotą rzekę, upajać znaleziskiem, ale nie było czasu. Nożem wydobył jeszcze jedną bryłkę i z rozpaczą



popatrzył na brzeg, wiedział bowiem, że złota musi być więcej, ale ponaglano go do pośpiechu. Zapamiętał znaki szczególne okolicy, zwłaszcza drzewo booka booka. Na pewno nie zapomni, booka booka było cenne, kora służyła do wyrobu kanoe i tarcz. Zawiązał sznurkiem worek i pobiegł do towarzyszy.

- Czy to miejsce ma nazwę? - zapytał.

- Gimpi Gimpi - odparł Bussamarai. - Wsiadaj, musimy się zbierać.

Wodza nie interesowało, co znalazł Dżakadu, zaprzętały go własne plany. Zamierzał kilkoma silnymi oddziałami równocześnie zaatakować sąsiadujące farmy, co uniemożliwi białym wysłanie jeźdźców na szybkich koniach po pomoc, zbyt bowiem będą zajęci ratowaniem własnej skóry. Następnie wojownicy wycofają się poza zasięg ognia, przegrupują i uderzą ponownie. Jednakże najważniejszy był pierwszy atak. Jeśli poniosą klęskę, nie uda mu się zatrzymać członków innych plemion na swoim terytorium. Zresztą trudno mu też będzie skłonić do dalszej walki własnych ludzi. Nie mógł sobie pozwolić na żadne błędy. Westchnął, patrząc na wody płynące szybko niczym jego życie, tak mało czasu mu pozostało. Starzał się i nie stać go było na popełnienie pomyłki. Młodzi nigdy się nie mylą. W głowie im się nie mieści, że mogą się pomylić. Serca biją im szybko i nie mają czasu na zwątpienie we własny osąd.

- Moje serce bije teraz wolniej - powiedział do Jacka.

- A moje nie - roześmiał się ten wesoło, ściskając worek. - Moje ma dzisiaj skrzydła.

Bussamarai uśmiechnął się, zadowolony z jego entuzjazmu.

Wróciwszy do obozu, wyjaśnił szczegółowo plan Jackowi, który wszakże

miał kłopoty z koncentracją. Jack Wodrow alias Drew, bandyta i członek plemienia, był bogaty. Jak bardzo bogaty, nie potrafił stwierdzić. To ciężkie złoto musi być warte tysiące funtów.

Bussamarai wyrysował mapę na suchej ziemi i wyjaśnił, które farmy zostaną zaatakowane przez stu lub dwustu wojowników, w zależności od tego, jak wielu odpowie na jego apel, a każdą grupę będzie prowadzić przewodnik z plemienia Tingum, by uchronić się przed błędami. Jack gwizdnął! Nie miał współczucia dla swoich rodaków. Kiedy pomiędzy czarnymi rozeszła się wieść o puddingu z Kilkoy, zapanowała powszechna żaloba. Na naradach przedstawiano straszliwą śmierć ofiar. Nienawiść do białych

430

osiągnęła takie natężenie, że życiu Jacka groziło niebezpieczeństwo. Gdyby nie ochrona Bussamaraia, poczęstowaliby go tą zatrutą mąką. O nie, chłopaki, myślał, wam, białym, nic nie zawdzięczam, zakuliście mnie w kajdany jak niewolnika i o mało nie wysłaliście do diabła z brzuchem pełnym arszeniku czy innego świństwa, którym wykończyliście tych biedaków. Prowadźcie sobie własne wojny.

Złoto nosił w worku ze skóry oposa, ale był za ciężki i niewygodnie zwisał ze sznura, którym się obwiązywał, zaczął więc zaszywać bryłki w skórzany pas, idealnie dopasowany do jego ciała.

Dobrze się bawił, wędrując z czarnymi, kiedy jednak bitwy dobiegną końca, będzie musiał znaleźć sposób na powrót do miasta - jest przecież bogaty. Kana i chłopiec nie będą chcieli mu towarzyszyć, zresztą życie w miastach to nie dla nich. Najpierw więc zaprowadzi ich do jakiejś grupy w głębi lądu i tam zostawi. Będą mieli dobrą opiekę, czarni wszystkim się

dziela. Drżąc przy ognisku, wspominał pierwszych i najlepszych przyjaciół z plemienia Kamilaroi, którzy wszyscy byli już martwi, i zaczął się zastanawiać nad planami wojennymi. Jeśli wszystko ułoży się tak jak powinno, osadnicy w okręgach nad rzekami Burnett i Mary będą w poważnych kłopotach. A jeśli Bussamarai będzie miał dość ludzi, uderzy też na dolinę rzeki Brisbane i los osadników znajdzie się w rękach bóstw. Przypomniał sobie, że czarni wspominali o dziwnej farmie w tej dolinie, ale wtedy zbyt był zajęty marzeniami o złocie, by zwrócić na to uwagę. Teraz zadrżał. Z ich opisów wynikało, że to mogą być koszary. Cholera jasna!

Pobiegł do Bussamaraia.

- Potrzebuję przewodników, którzy zaprowadzą mnie do tej dziwnej farmy w dolinie wielkiej rzeki, i to szybko. Jeśli okaże się, że pełno tam żołnierzy, wszyscy zginiecie!
- Ruszaj więc - powiedział Bussamarai. - Wciąż jest czas.
- Jeszcze jedno - dodał Jack. - Co z ludem Kamilaroi?
- A co z nimi?
- Musimy ich pomścić. Przyrzekłeś.
- To będzie pomsta.
- Nie. Pomsta musi się odbyć w kraju Kamilaroi, inaczej nikt nie będzie o niej wiedział.
- Przykro mi - rzekł Bussamarai. - Mamy za mało ludzi, żeby tak daleko się zapuszczać. Wiesz o tym, sam mówiłeś, że

431

nieliczne grupy oznaczają wielkie ryzyko. Możemy jednak wyprawić do nich posłańców z wieścią o rozpoczęciu naszej wojny.

- Więc zrób to! - wykrzyknął Jack. - Powiedz im, żeby zabijali bydło, palili uprawy. To jeszcze bardziej zdezorientuje białych. Nie będą wiedzieli, co się dzieje.

- Ach, gdyby tak mieć skrzydła orła, by z góry oglądać ten wspaniały widok.

Oczy Bussamaraia błyszczały i Jacka ogarnęło przygnębienie, zwłaszcza że postanowił rozstać się z tymi ludźmi.

- Rozumiesz, że ta wojna to tylko odwet - powiedział nerwowo. - Biali nigdy nie opuszczą twojego kraju, za dużo ich.

- Wiem o tym, ale pamiętam też, co mówiłeś mi dawno temu o miastach pełnych ludzi i wielkich statkach, które potrafią płynąć morzami przez długie tygodnie. To wszystko są rzeczy realne, to nie jest magia. Tutaj widzę, co robię, wiem, że walczę ze zwykłymi śmiertelnikami. Strach, który mnie ogłupiał, odszedł. Wszystkim to wytłumaczę. Strzelby też nie są magiczne, mogą chybiać celu, tak jak to przytrafiło się tobie. Dopóki duchy pozwolą mi żyć tutaj, mam obowiązek, a tym obowiązkiem jest powstrzymać białych od zakładania gniazd na naszych drzewach. Dopóki żyję, żaden biały nie będzie bezpieczny w tych dolinach, nad brzegami tej rzeki ani w żadnej innej części krainy Tingum. Człowiek nic więcej nie może zrobić. A ja to mogę zrobić, przekonasz się. - Zaśmiał się krótko. - I to też nie jest magia, wygram wojnę dzięki szybkiemu lotowi włóczni i prędkości stóp.

Rano Jack z dwoma młodzieńcami ruszył przez busz do doliny. Wędrowali pośpiesznie, ciała pokryte szarym pyłem i pomalowane w srebrzystobiałe pasy zapewniały im niewidzialność.

Kiedy Jack po raz pierwszy zobaczył w oddali to miejsce, zaniepokoił się.

Rzeczywiście z tym wysokim płotem otaczającym zabudowania przypominało koszary. Podkraść się bliżej w wysokiej trawie i wypatrywał mundurów. Przez szeroką bramę wjeżdżali i wyjeżdżali traperzy, czarne dziewczęta spacerowały z dziećmi, ale żołnierzy nie było. Bydło grupkami pasło się albo odpoczywało pod drzewami. Jack nie potrafił pojąć, czym właściwie jest to miejsce. W żadnym razie nie przypominało zwykłych farm, widywał je przecież często. Aby się upewnić, czekał przez wiele godzin. Może żołnierze wyjechali na patrol. Z drugiej strony dziwne, że nie zostawili strażników. Nikt nawet nie pilnował bramy.

432

Już chciał zawrócić, przekonany, że to zwykła farma hodowlana, kiedy zobaczył jeźdźca na pięknym kasztanie, który przez wysoką do siodła trawę kłusował w kierunku domu.

Jack zachował spokój, by nie spłoszyć konia, ale z bliska jeździec wydał mu się znajomy. O mało nie poskrobał się w głowę, jednakże z wieloletniego nawyku myśliwego trwał nieruchomy jak kamień. Przyjrzał się uważnie, mrużąc oczy i powstrzymując śmiech, bo teraz był już pewien. To żeglarz Scarpy, jego przyjaciel ze statku! Po raz ostatni widział go na farmie Mudiego.

Ruszył nad brzeg rzeki, gdzie Scarpy poił konia, i chciał się do niego odezwać, skomentować ów doskonały żart, jakim było spotkanie na tym bezludziu, ale od tak dawna posługiwał się językiem czarnych, że teraz z trudem odgrzebywał w pamięci angielszczyznę.

- Ty już byś martwy - powiedział i Scarpy wyskoczył z wody, rozglądając się z przerażeniem. Jack zsunął się po brzegu ku dawnemu przyjacielowi.

- Nie zabijaj mnie! - krzyknął Scarpy. - Nic ci nie zrobiłem!

Czarny o dzikim wyglądzie zgiął się wpół ze śmiechu. Scarpy z wysiłkiem wyszczerzył zęby, próbując wyprowadzić opierającego się konia z wody. Jack z przyzwyczajenia zagroził mu przejście włócznią.

- Ty Scarpy?

Oczy Scarpy'ego zrobiły się okrągłe, jak u wielkiej sowy.

- Coś ty powiedział?

- Powiedziałem, że ty Scarpy, mój przyjacielu - odparł Jack starannie, bo słowa wciąż mu umykały.

- O tak. Masz rację, druhu. Oczywiście, druhu. Zobaczymy się później. - Scarpy usiłował odejść, ale Jack go powstrzymał. Teraz angielszczyzna zaczęła do niego powracać.

- Pomyśl jeszcze raz - powiedział. - Statek „Emma Jane” z Londynu. Nie znasz mnie, Scarpy?

Jego słowa jeszcze bardziej przeraziły Scarpy'ego, który cofnął się do wody. Nie dość, że miał przed sobą kanibala, to jeszcze ten kanibal uprawiał magię. To było dla niego za wiele. Upadł na kolana.

- Puść mnie! - jęknął. - Popatrz, dam ci to. - Zerwał z szyi brudną czerwoną chustkę, ale Jack odepchnął jego rękę.

433

- Zamknij się, Scarpy. Jestem Drew. Jack Drew. Pamiętasz?

Scarpy gapił się na Jacka i kręcił głową.

- To niemożliwe. On zablądził w buszu. Umarł. Wiele lat temu.

- Akurat - odparł Drew, przypominając sobie dawną pozycję w świecie białych. - Uciekłem. Zawsze mówiłem, że mi się uda.

Scarpy dźwignął się na nogi.

- Nie wyglądasz jak Jack Drew. Jesteś przeklętym czarnuchem.

Jack wzruszył ramionami i podszedł, by pogłaskać konia.

- To twój koń, Scarpy? - zapytał.

- Tak, nauczyłem się jeździć i teraz jestem w tym cholernie dobry. Mam dwa konie.

- Tam jest twój obóz? - Jack wskazał palisadę.

- Tak. Mieszkam tam z O'Mearą i innymi chłopakami. Pamiętasz O'Mearę?

Jack pokiwał głową.

- Irlandczyk.

- Na Jezusa, jesteś Drew albo ja oszalałem!

- To ja we własnej osobie.

Scarpy śmiał się tak, że oczy zaszczyły mu łzami.

- I kto by to pomyślał? Poczekaj, aż powiem O'Mearze. Hej, może pójdziesz ze mną? Ten drań przeżyje największy szok w życiu. Cholernie się cieszę, że cię widzę, Jack. - Wyciągnął rękę do Jacka, ale musiał chwilę poczekać, nim ten przełożył włócznie do drugiej dłoni. - Umiesz się tym posługiwać?

- Do diabła, jasne, że tak - odparł Jack i Scarpy'emu zakręciło się w głowie z zachwyty.

- Chryste, Jack, zawsze byłeś spryciarzem.

- W waszym obozie są jacyś żołnierze? - Jackowi przypomniała się jego misja.

- Chyba żartujesz. Zbudowaliśmy palisadę na wypadek ich ataku. Hej, Jack, chodź, spotkasz się z O'Mearą. - Ruszył na brzeg. Jack poszedł za nim, ale zmienił zdanie: nie zbliżył się do obozu Scarpy'ego, to zbyt niebezpieczne z pasem pełnym złota.

- Coś ci powiem, Scarpy, ze względu na starą znajomość. Zwiewajcie z tego obozu. Uciekajcie gdzie pieprz rośnie.

434

- Dlaczego? - zapytał Scarpy przestraszony, wpatrując się w wymalowany tors przyjaciela.

Jack wyprostował się, ujął włócznię i wymierzył w drzewo. Wbiła się w pień i chwilę jeszcze lekko drżała. Scarpy skrzywił się. Jack wyciągnął włócznię, po czym odwrócił się do niego.

- To ostrzeżenie. Biercie konie i jedźcie. Dzisiaj. Teraz!

Na początku O'Meara go wyśmiał.

- Upiłeś się, Scarpy.

- Nie, przysięgam.

- W takim razie masz omamy, za długo jesteś w buszu i pomieszało ci się w głowie.

- Nie, wysłuchaj mnie, O'Meara. Powiedział, żebyśmy czym prędzej stąd wyjeżdżali. Klnę się na Boga. I wydaje mi się, że wie, o czym gada, do diabła. Powinieneś był go widzieć, wyglądał jak czarny, dziki czarny. O'Meara podszedł do bramy w palisadzie i wyjrzał na zewnątrz. Wokoło panował spokój.

- A jeśli na jakiś czas się tu przyczaimy?

- Jack Drew nie jest głupcem. Przecież by nas nie ostrzegał. Możesz zostać, jeśli chcesz, O'Meara. Ja spadam. Nie zostanę tu ani chwili dłużej.

- A nasze bydło?

- Pieprzyć bydło. Dostałeś pieniądze za ziemię. MacNamara nie zmartwi się, jak stąd pójdziemy. Pakujmy się i jedźmy.

- Możemy razem z drwałami popłynąć do Brisbane, ale nie chciałem tak



szybko stąd wyjeżdżać. Popatrz na to stado, pierwszorzędne okazy. To żywe pieniądze.

- Jasne, więc zostań. Ja się zbieram, a w dodatku uważam, że reszta chłopaków też ma prawo wiedzieć, że coś się kroi.

Scarpy taki był przekonany o bliskim niebezpieczeństwie, że O'Meara wreszcie się poddał.

- Dobra. Powiedz im, że zabawa skończona. Zaczynij się pakować!

Godzinę później wewnątrz palisady nie było żywego ducha. Jedynie kruki przysiadały, by przez otwarte drzwi zerkać do domu w poszukiwaniu jedzenia.

435

ROZDZIAŁ Czterdziesty Czwarty.

Atak nie przebiegł z taką precyzją, jakiej spodziewali się Bussamarai i jego rada, mimo to był równie porażający. Liczne grupy wojowników nocą przemknęły się przez busz. Było ich tylu, że Jack dziwił się, iż biali niczego nie zauważyli, jednakże wywiadowcy informowali, że na farmach życie płynie jak zwykle.

Bussamarai osobiście poprowadził atak na Montone, traktując to jako sprawę honoru. Miał rachunki do wyrównania. To tutaj rzucił wyzwanie białym i poniósł straszliwe straty.

Jack tym razem miał wziąć udział w bitwie, dostał „zezwoenie”, wiedział jednak, że jego życie nie byłoby nic warte, gdyby odmówił. To miała być wspólna walka, nikt nie mógł pozostać bezstronny, nawet ci, którzy twierdzili, iż biali byli wobec nich dobrzy. Zgodnie z pierwotnym planem ludzie Bussamaraia zaatakowali po południu. Pękali z dumy, że biorą udział w tej wielkiej wojnie. Jack podzielał ich podniecenie, a

równocześnie z ulgą widział, że skorzystali z jego rady. Teraz wojownicy nie będą stać rzędami, wystawieni na ostrzał. W sennym upale bezszelestnie przemykali się od drzewa do drzewa, podchodząc ku zabudowaniom.

Dwaj poganiacze wpadli w zasadzkę nad brzegiem rzeki, nim zdążyli dobiec do koni, i główny oddział ruszył dalej. Z kurnika wyszła kobieta z koszykiem pełnym jaj. Wojownik bezszelestnie powalił ją potężnym ciosem pałki, ale kury narobiły straszego hałasu i z kuźni wyszedł kowal, żeby sprawdzić, co się dzieje. Włócznia rzuciła go na ziemię. W tym czasie ktoś już zaczął bić w dzwon alarmowy, wojownicy wyskoczyli więc z ukrycia i rzucili się na dom. Jack biegł z innymi, mając nadzieję, że jeśli pozostanie pośród tłumu, znajdzie ochronę przed kulami, które przecinały powietrze.

W domu Jasin wykrzykiwał instrukcje i barykadował dom, robotnicy, którzy byli dostatecznie blisko, dopadali kuchennych drzwi. Passey zdążył, Krilla nigdzie nie było. Jasin widział, że niektórzy ludzie, pamiętając wskazówki Krilla, zajęli pozycje w stajniach i stamtąd strzelali. Passey rozdawał broń i amunicję, Jasin wepchnął Georginę do głównej sypialni i spuścił na okna zasłonięte okiennicami ciężkie zasuwę.

- Zostań tu, żebym wiedział, gdzie jesteś! - krzyknął.

436

Na początku trudno było trafić napastników, kryli się bowiem za kamieniami, drzewami i zabudowaniami. Grad włóczni poleciał na dom, Jasin jednak odnosił wrażenie, że obie strony nie odnoszą poważnych strat. Wkrótce czarni nabrali zuchwałości, biegli wzdłuż werandy, bijąc w ściany siekierami i rzucając płonące gałęzie na drewniane podłogi. Jasin

przypomniawszy sobie otwory strzelnicze, które Clarrie i Snow wydrążyli w pierwszym baraku w Carlton Parku, i żałował gorzko, że nie pamiętał o tym, kiedy budował ten dom.

Passey rozwarł okiennice w jadalni i ustawił ludzi za odwróconym na bok stołem. Teraz mogli otworzyć ogień do tubylców, oceniając ich położenie po wrzaskach, ale to strzelcy z kuchni prowadzili główny atak przez wybite okna. Jasin czuł zapach spalenizny, nie potrafił jednak stwierdzić, skąd dochodzi. Przyłączył się do ludzi w kuchni i zajął miejsce przy oknie, strzelając gorączkowo, przerażony liczbą czarnych, którzy otoczyli dom. Wydawało się, że są ich setki. Modlił się, żeby się okazało, iż ludzie pracujący z Krillem już pojechali po pomoc, i modlił się, by mogli sprowadzić ją na czas. Za jego plecami parobek krzyknął i upadł uderzony czymś, co rozbiło mu głowę, ze straszliwej rany strumieniem płynęła krew. Jasin wrócił do okna, Passey odciągnął ciało.

Widział, że czarni zdobyli wszystkie zabudowania gospodarcze z wyjątkiem stajni. Słyszał wrzaski ludzi pojmanych przez napastników.

- Ilu obrońców mamy w domu? - krzyknął.

- Teraz tylko ośmiu! - odparł Passey, zaraz jednak rozległ się nieomylny trzask pękającego drewna.

- Są przy frontowych drzwiach! - krzyknął Jasin i pobiegł przez dom, strzelając w rozbijane deski.

Jack Drew brał udział w drugim ataku na dom; był z grupą z tyłu, podczas gdy główny oddział forsował frontowe drzwi. Pchany przez towarzyszy, wpadł do domu, w którym panował nieopisany zamęt, w powietrzu latały pociski, trwała walka wręcz, i pobiegł korytarzem. Otworzył na oścież jakieś drzwi i zobaczył przy oknie białą damę, gorączkowo usiłującą

załadować pistolet. Z dziwnym wrażeniem, że zna tę kobietę, bez słowa złapał ją, przewrócił na podłogę i wepchnął pod łóżko. Nie miał czasu zastanawiać się, dlaczego to zrobił.

437

Wybiegł, zamykając za sobą drzwi, i na korytarzu zawrócił. W tym samym momencie Jasin Heselwood strzelił mu w pierś i Jack zwałił się na podłogę.

Jasin przeskoczył trupa i otworzył drzwi sypialni, przerażony tym, co może tam zastać, przekonał się jednak, że Georgina jest bezpieczna. Z progu strzelił na korytarz, zabijając czarnego, który do domu dostał się tylnym wejściem. Przykląkł, nie zważając na to, że krew wciąż kapie mu z ramienia w miejscu, gdzie trafił go tomahawk podczas walki przy frontowych drzwiach, i przygotował się do obrony żony.

Umierający Jack Drew spojrzał w jego twarz.

- Wodrow - szepnął. - Wodrow.

Lecz Jasin nie słyszał go pośród krzyków i przekleństw. Jego ludzie kolbami strzelb i nogami krzeseł próbowali zmusić czarnych do opuszczenia domu.

Nagle, jakby na jakiś niewidzialny znak, wojownicy wybiegli na dwór.

- Musimy stąd iść! - zawołał Passey. - Dom płonie, podpalili też stajnie!

- Zbierz wszystkich do gaszenia ognia! - wrzasnął Jasin.

- Nie, jest za późno. Chcą, żebyśmy tak postąpili. Zostaniemy bez schronienia, a oni wrócą ze świeżymi siłami.

- Nie! Nie opuszczę domu. Niech biorą się do roboty, to rozkaz!

Natychmiast!

- To bez sensu, szefie - odparł Passey. - Chodźmy, pani Heselwood! -

zawołał do Georginy. - Musimy stąd uciekać.

Płomienie ogarnęły dach, a chmura dymu w jednej chwili wygnała ich na dwór. Passey poprowadził ich biegiem za dom, gdzie czekali już jeźdźcy z wierzchowcami.

- Musimy pędzić co koń wyskoczy - powiedział Passey. Z aprobatą kiwnął głową, kiedy Georgina usadowiła się w siodle po męsku, spódnicę podciągnąwszy do kolan. Jasin niechętnie poszedł w jej ślady.

- Trzymamy się razem! - krzyknął Passey. - Nie zwalniamy, choćby nie wiem co. Jeśli staną nam na drodze, stratujemy ich, zrozumiano?

Jasin nachylił się ku żonie.

- Wszystko dobrze, staruszko?

438

- Tak, Jasinie, jestem gotowa.

- Nie martw się, wyjdziemy cało z tej opresji. Zawsze mówiłem, że jeździsz lepiej niż większość mężczyzn.

Rozejrzał się. Konie parskwały niecierpliwie, podczas gdy Passey rozdawał amunicję. Pozostało tylko dziesięciu mężczyzn z prawie pięćdziesięciu pracujących na farmie, nie było jednak czasu na szukanie maruderów, spora grupa mogła nie wrócić z pastwisk. Miał nadzieję, że uszli z życiem.

- Widział ktoś Krilla? - zapytał, ale pokręcili głowami.

- Dobrze, wszyscy gotowi?

- Tak, szefie - odpowiedzieli ponuro.

- W takim razie ruszamy galopem na farmę Jacksona. Kiedy się oddalali, z wnętrza domu na dach buchnął jasny

płomień. Popędzili przez pastwisko dla koni, przeskoczyli przez niski kamienny murek i wydostali się na otwartą przestrzeń. Przerażonych koni

nie trzeba było poganiać. Tempo zwolnili dopiero na szlaku wiele mil od domu.

W ich stronę galopowali jacyś jeźdźcy.

- Farmę Jacksona zaatakowano! - krzyczeli. - Spalona do fundamentów, stary Jackson nie żyje. Jedziemy, żeby was ostrzec!

- Za późno - powiedział Jasin. - Możecie wracać. My w takim razie jedziemy na południe.

O zmierzchu zatrzymali się przy wodopoju, ale konie były załęcznione.

- Oni tu są, szefie - mruknął Passey. - Musimy jechać dalej.

- Wystrzel parę kulek w busz, to ich wystraszy - polecił Jasin.

- Gdyby chcieli nas zaatakować, dawno by to zrobili

- odparł zaniepokojony Passey. - Może chodzi im o to, żebyśmy się nie zatrzymywali.

Jasin ze znużeniem wsiadł na konia, Passey pomógł Georginie i w ciemności ruszyli dalej.

Odpoczęli przy płytkim brodzie, a na szlaku dołączyli do nich inni osadnicy, z których każdy miał swoją straszliwą historię. Georgina jechała w milczeniu.

- Co ty na to, żebyśmy skierowali się do Brisbane? - zapytał Jasin. - Z tego wynika, że na wszystkich farmach nastał sądny dzień. Czujesz się na siłach?

439

- To dobre wyjście. Wcześniej czy później i tak musimy tam dojechać.

Jasin przyłączył się do mężczyzn, a Georgina dziękowała Bogu, że Edward jest bezpieczny w Anglii. Jej myśli wróciły do domu. Tylko raz obejrzała się, by zobaczyć, jak wszystko, co mieli, idzie z dymem. Kobiety

na wozach przyglądały jej się zdumione, damy nie jeżdżą okrakiem, nawet w takiej sytuacji, ale Georgina się tym nie przejęła. I co im teraz zostało? Kolejne ciężkie lata spędzone w domach innych ludzi?

Krill przy pomocy dwóch więźniów wyganiał bydło z wyschniętego koryta strumienia, kiedy na szczycie wzgórza pojawił się jeździec i ponaglił konia do zejścia po stromym zboczu.

- Co ty wyprawiasz! - krzyknął Krill. - Zabijesz konia, przeklęty głupcze! Taki był zły, że chciał ściągnąć szaleńca z siodła.

- Atakują farmę! - wrzeszczał poganiacz. - Setki czarnych!

- Ruszajmy! - zawołał Krill do swoich ludzi, ładując strzelbę.

- Ja nie - powiedział posłaniec. - Nie uda się wam zbliżyć do tego miejsca. Ja nawet nie mam broni.

Krill z rozpaczą spojrział na pozostałych. Oni też nie byli uzbrojeni.

- A wy, chłopcy?

- Skoro ty idziesz, to my też - odparł jeden, wyjmując małą siekierę z uchwytu przy siodle. Drugi, londyńczyk nazwiskiem Barrett, ujął bat i trójka mężczyzn pogalopowała w stronę farmy.

W odległości mili od domu znaleźli się pomiędzy dwiema grupami czarnych: jedna się wycofywała, druga biegła jej na pomoc. Pierwszy poganiacz zginął od włóczni, Krill strzelał do napierających wojowników, ale jego koniowi noga utknęła w dziurze. Zwierzę upadło, zrzucając Krilla z głuchym tąpnięciem na ziemię.

Nisko schylony nad karkiem konia Barrett zdołał się wyrwać, smagając batem po twarzach czarnych. Kiedy się obejrzał, przerażony zobaczył, że czarni atakują Krilla pałkami.

Dom z trzaskiem płonął niczym pochodnia, Barrett zawrócił więc, by w

buszu poszukać schronienia. Poganiał konia jak szalony, straciwszy zupełnie wyczucie kierunku. Zsiadł i przerażony

440

trzymał mocno cugle, obecność zwierzęcia dodawała mu otuchy, miał nadzieję, że przynajmniej ono wie, dokąd idzie.

Barrett był na farmie dopiero od kilku miesięcy, przedtem wiele lat spędził w kolonii karnej Moreton Bay, a Krill odkrył w nim talent. Wyznaczył go mianowicie do liczenia bydła podczas spędzania stad. Inni poganiacze gubili się, kiedy dochodzili do tysiący, Barrett natomiast nigdy nie popełniał błędu i zawsze wszystko dokładnie pamiętał. Dlatego też Krill awansował go na swojego pomocnika i dał mu konia. Barrett był dumny ze swych osiągnięć i z konia - w kraju tylko szlachta jeździła konno. Co teraz będzie, skoro zabudowania w Montone spłonęły? Jeśli uda mu się trzymać z daleka od czarnych i dostać na jakąś farmę, będzie bezpieczny. Potem musi tylko dopilnować, żeby znowu go wynajęto. Nie pójdę do więzienia, pomyślał, w żadnym razie, raczej ucieknę.

Zrobiło mu się niedobrze na myśl o Krillu i drugim poganiaczu, których zamordowały dzikusy, pociągnął więc łyk wody z bukłaka, żeby splukać smak żółci.

Kiedy wjechali w parną i rozpaloną Brisbane Valley, lało jak z cebra, okoliczne wzgórza zasłaniała ściana deszczu. Konie potykały się i ślizgały na błocie, wozy grzęzły. Przemoczona do nitki Georgina znalazła się w długiej procesji zdezorientowanych uchodźców, kierujących się do miasta. Jasin nie miał dla niej żadnego okrycia, ale jeden z poganiaczy zrobił dziurę w derce i wsunął jej przez głowę. Była wdzięczna za ten spontaniczny gest.



Koło nich jechali żołnierze w pelerynach przeciwdeszczowych, wykrzykując pytania, próbując się dowiedzieć, co zaszło. Georgina odnosiła wrażenie, że oficerowie z szablami szczękającymi u boków byli bardziej rozgorączkowani niż osadnicy.

Jasin kłusował obok żony; oboje nie przejmowali się już deszczem. Przynajmniej jest ciepło, pomyślała Georgina i spojrzała na swoje zabłocone ubranie. Nie miała się w co przebrać, kiedy znajdą się u celu, gdziekolwiek to będzie, ale to też było bez znaczenia.

Ze wszystkich stron otaczali ich ludzie z Montone, lojalna i rycerska grupa. Georginie chciało się płakać nad tymi, którzy zginęli w ataku, także nad kucharką Jessie, biedną więźniarką, która starała się jak mogła.

441

Zrównał się z nimi jeden z oficerów.

- Skąd jesteście? - zapytał.

- Z farmy Montone - odparł Jasin ze wzrokiem utkwionym ponuro przed siebie.

- Pańskie nazwisko?

- Lord Heselwood - padła gniewna odpowiedź. Poganiacze uśmiechnęli się rozbawieni zażenowaniem oficera.

Georgina po raz kolejny zadumała się nad osobliwymi cechami natury poganiaczy, którzy taką wagę przykładali do niezależności i szefów traktowali nieufnie, a mimo to gdyby Jasin powiedział, że wraca do Montone, natychmiast by z nim pojechali. Uznała, że to zależy od sytuacji. Jechali od wielu dni, człowiek musi o czymś myśleć, by jakoś przetrwać i nie zamartwiać się o przyszłość. Heselwoodowie znowu byli bezdomni, w drodze do miasta, w którym nie znali żywej duszy.

- Jakie plemię zaatakowało waszą farmę? - pytał oficer.
- A skąd mam wiedzieć, do diabła? Nie pytałem ich o bilety wizytowe.
- Przepraszam, sir. Próbuujemy tylko ustalić... wie pan, wygląda na to, że ten atak był częścią doskonale zorganizowanej napaści na wszystkie pograniczne farmy. To do niczego nie pasuje, rozumie pan. Nikt nigdy nie słyszał, żeby czarni walczyli w taki sposób.
- No to teraz wszyscy usłyszeli - warknął Jasin, a Georgina pomyślała, że młody oficer postąpi rozsądnie, jeśli da spokój temu przesłuchaniu, nim nastrój jej męża jeszcze się pogorszy. Ulewa przeszła w gęstą mżawkę, chmury zwisały nisko nad widocznym w oddali nędznym miasteczkiem, przez które płynęła błotnista rwąca rzeka.

Jednakże oficer nie rezygnował.

- Musieli mieć wodza, kogoś, kto dowodził całością, ale nie znamy jego imienia. Gdybyśmy mogli odkryć, kto zorganizował ataki, wiedzielibyśmy, od czego zacząć. Nie miał pan żadnych znaków ostrzegawczych? Nawet czarni z farmy o niczym nie wspominali?
- Jedyne nazwisko, jakie mnie jest potrzebne - wycedził Jasin - to nazwisko pana przełożonego.

Żołnierz otarł deszcz z twarzy.

- Przepraszam, sir. Bardzo mi przykro - powiedział i zostawił w spokoju rozgniewanego osadnika.

442

Musiał jednak przekazać wiadomość, bo kiedy wreszcie wjechali na zalane wodą uliczki Brisbane, dowódca, porucznik Gravatt, sam poszukał Jasina.

- Proszę za mną, lordzie Heselwood, mam dla pana i lady Heselwood mieszkanie w mojej kwaterze.

- Lepiej, żeby pan znalazł miejsca dla moich ludzi! - odparł Jasin.
- Oczywiście, sir. Zanocują w koszarach.
- Dobrze. Słyszałem, że w mieście jest nowy hotel. Żona i ja wolelibyśmy tam się zatrzymać. Może pan to załatwić?
- Naturalnie, lordzie Heselwood.

Ostatnie pół mili zawsze jest najtrudniejsze, przypomniała sobie Georgina czyjeś stwierdzenie. To była prawda. Zgodziłaby się na koszary, gdyby były bliżej. Kiedy dotarli pod hotel, ledwie się już trzymała w siodle. Dzięki porucznikowi, który popędził przodem, zaprowadzono ich do najlepszego pokoju w hotelu. Pokojówki gorączkowo sprzątały i wnosiły rzeczy jakiegoś nieszczęśnika, którego zmuszono do zwolnienia miejsca dla nich. Georgina siedziała apatycznie na twardej sofie, podczas gdy wokół niej trzepano prześcieradła i oblekano poduszki w czyste poszwy. Pokojówki pootwierały też wszystkie okna w złudnej nadziei na powiew świeżego powietrza.

Wczesnym rankiem deszcz monotonicznie bębnił o żelazny dach. Dało to Georginie pretekst do pozostania w łóżku. Szary dzień, pomyślała, całkiem stosownie, przypuszczalnie to najbardziej szary dzień w całym ich życiu. Jej mokre ubranie wciąż wisiało na krześle, tam gdzie wczoraj je rzuciła. Przypomniała sobie, że Jasin padł na łóżko w spodniach. Wciąż spał jak zabity. Delikatnie dotknęła jego bryczesów i ze zdziwieniem stwierdziła, że są tylko lekko wilgotne, zdążyły wyschnąć w tym monsunowym upale. Zastanawiała się, czy nie powinna go obudzić, żeby się nie przeziębził, ale w końcu zostawiła go w spokoju. Jeśli któreś z nich miało zachorować, to teraz i tak było za późno, żeby temu zapobiec. Lepiej niech Jasin dobrze wypocznie. Pamiętała jego załamanie po ich ostatniej porażce, a przecież

tym razem sytuacja była o wiele gorsza. Rzeczą absolutnie konieczną było, żeby wypoczął.

W końcu wysunęła się z łóżka i otulona kołdrą podeszła do okna. Była teraz wdzięczna za upał. Uznała, że czas najwyższy

443

zrobić coś konstruktywnego, uchyliła więc drzwi i cicho zawołała na pokojówkę.

- Możesz poprosić żonę hotelarza, żeby na chwilkę do mnie przyszła?

Pokojówka popatrzyła na gościa w bieli i pobiegła wypełnić polecenie. Po kilku minutach pojawiła się wysoka koścista kobieta w czarnej sukni z kluczami szczękającymi w pasie.

Nie zwróciła uwagi na osobliwy strój Georginy.

- Ach, pani Heselwood, nie śpi pani. Dobrze się pani czuje?

- Całkiem dobrze, dziękuję, pani...?

- Pratt, madame. Jestem pani Pratt. Znaleźliście się w trudnej sytuacji, prawda?

- Istotnie - odrzekła Georgina zamykając drzwi. Zupełnie jej nie obchodziło, że stoi na korytarzu w tak dziwacznym odzieniu. - Nie chcę budzić męża - wyjaśniła. - Czy ktoś mógłby wysuszyć nasze ubrania? Mamy tylko to co na sobie.

- Oczywiście. Zaraz się tym zajmą. Georgina wróciła do pokoju po ubrania i buty.

- Hotel jest pełny - powiedziała pani Pratt. - Ale proszę do mojego pokoju, dam pani szlafrok i zje pani śniadanie.

Pokój pani Pratt niczym się nie różnił od ich pokoju, panował w nim taki porządek, jakby nikt tu nie mieszkał. Georgina siedziała przy stoliku w

kącie, ubrana w obszerny szorstki szlafrok, i próbowała dać radę śniadaniu, które przed nią postawiono. Gorące kakao, świeży chleb, masło, kotlety i jajka stanowiły składniki typowego śniadania w kolonii, w każdym razie w tych jej częściach, które znała, tak więc zawartość talerza nie była dla niej zaskoczeniem. Nie mając nic innego do roboty, zjadła kotlety i jajka.

Koniecznymu musimy kupić ubrania, pomyślała, to najważniejsze, w dodatku na kredyt. Zadrżała wspominając, jak odnosili się do takich transakcji rzemieślnicy i kupcy w Sydney. Będzie musiała znaleźć prawnika i polecić mu, żeby skontaktował się z ich prawnikami w Newcastle, bo trzeba przelać fundusze do tutejszego banku, a potem z Jasinem wsiądną na statek z Brisbane do... właśnie, dokąd? Do Sydney? Do rezydencji rządowej? Ale Bourke wyjechał, zastąpił go nowy gubernator, Gipps, którego nie znali. Do Newcastle? Znowu zwalić się Burnettom na głowę? Albo Juanowi Rivadavii? Ciekawe, czy ktoś mieszka w nadmorskim domu.

444

To byłoby jakieś rozwiązanie. Siłą powstrzymała łyzy na myśl, że znowu będą zależni od innych. Do pokoju bez pukania weszła pani Pratt.

- Ach, bardzo dobrze. - Zabrała ze stolika tacę. - Nie znoszę tych, co grymaszą przy jedzeniu. Dziewczęta uprały wasze ubrania i suszą je przy ogniu. Czy jeszcze czymś mogę pani służyć? Na dole powiadają, że jest pani lady. To prawda?

- Tak.

- I pani mąż to lord?

- Tak.

- Ojej. w głowie się nie mieści! To jak powinnam się do pani zwracać?
- Pani Heselwood wystarczy - odparła Georgina. Potrzebowała tej kobiety.
- Straciliście farmę i wszystko?
- Mieliśmy szczęście. Mnóstwo ludzi zginęło, w tym moja kucharka.
- Och, niech Bóg ma nas w opiece. Przeszliście straszne rzeczy.
- Pani Pratt, wkrótce prześlą nam pieniądze z Newcastle, ale czy sklepikarz mógłby przynieść nam do wyboru trochę ubrań? Musimy kupić nowe ubrania. Na kredyt - dodała nerwowo.

Kiedy Jasin się obudził, nowe ubrania, niezbyt modne, czekały już na niego, zaraz też podano gorące śniadanie. Georgina w czarnej sukni, z włosami splecionymi wokół głowy i spiętymi grzebieniem z szylkretu, przymierzała buty dostarczone przez sklepikarza. Jasin podczas śniadania niewiele mówił, zjadł tylko jajka i odsunął talerz.

- Wolałbym herbatę - mruknął. - Nie przepadam za czekoladą na gorąco. Georgina wybiegła, żeby zamówić herbatę. Kiedy wróciła, zobaczyła, że jednak wypił kakao.

- Mamy mnóstwo do zrobienia, Jasinie, nie wiadomo, od czego zacząć. Pokiwał głową, usadowiony niewygodnie na lekkim krześle, które dla niego było za małe. Wyglądał na spiętego.

- Kiedy wszystko tu uporządkujemy, pojedziemy na południe z wizytą. Zrobimy sobie wakacje - powiedziała lekkim tonem.

445

- To nie jest pora na wakacje. Co to za łachmany? Mam się w nie ubrać?

- Nic innego nie mogłam tu znaleźć. Myślałam, żebyśmy odwiedzili Burnettów w Newcastle - spróbowała znowu.

- Myślałaś, że Heselwoodowie znowu są bez dachu nad głową - poprawił

ją.

Georgina zmieszała się; nie chciała denerwować męża. Jasin wstał.

- Obejrzyj to zadrapanie na moim ramieniu, lepiej chyba je przemyć i posmarować jakąś maścią.

Odwiązała bandaż, który założył Jasinowi Passey. Rana była szeroka, ale nie głęboka.

- Nie wygląda na zabrudzoną.

- Swędzi jak nie wiem co - skrzywił się Jasin. - I boli mnie cała ręka. A co do tamtej kwestii, to nie jesteśmy bezdomni. Zapominasz, że mamy drugą farmę, Carlton Park. W Montone przez jakiś czas będzie niebezpiecznie, zamieszkamy więc w Carlton Parku.

- A co z Forrestami?

- Co z nimi? - Niecierpliwym gestem wziął nowe ubranie. - Carlton Park należy do nas, teraz jest nam potrzebny i zażądamy swojej własności. Jeśli sprawa trafi do sądu, to każdy sędzia, słysząc o naszej tragedii, wyda wyrok korzystny dla nas. Każę prawnikom wysłać nakaz eksmisji, do czego niestety zmusza mnie ta sytuacja. Forrestów i ich krewnych już tam nie będzie, kiedy stąd wyruszymy. Pojedziemy prosto do naszej farmy na Liverpool Plains.

Georgina westchnęła. Heselwood był taki jak dawniej. Na dobre albo złe.

Pogoda nie poprawiała się, podobnie jak nastrój Jasina. W Boże

Narodzenie wciąż przebywali w Brisbane, ponieważ Jasin odmawiał wyjazdu, dopóki nie pozalátwiają wszystkich spraw. Śledztwo ciągnęło się w nieskończoność, bo brakowało ludzi, a dodatkowo rzecz utrudniali żołnierze, którzy wszczęli własne dochodzenie. Nikt nie potrafił podać imion aborygeńskich przywódców i rozważano możliwość, że na okręg

napadły inne plemiona.

Wysłano żołnierzy, żeby „zaprowadzili porządek” nad rzeką Mary.

Oznaczało to wypędzenie stamtąd czarnych przy użyciu

446

wszelkich metod, jakie uznają za stosowne. Niestety, przed wejściem do doliny zaatakowali ich tubylcy, w rezultacie czterech ludzi zginęło, a trzech odniosło rany, i oddział zmuszony był wrócić do miasta. Osadnicy na Darling Downs padli ofiarą gorzej zorganizowanych napadów i panował tam względny spokój, jednakże nie można było zagwarantować bezpieczeństwa białym podróżującym na północ. Jasin wynajął prawnika, żeby ten skontaktował się z firmą w Newcastle, i pomiędzy częstymi wizytami na posterunku policji spędzał wiele godzin w pokoju, pisząc listy, ale Georgina nie miała nic do roboty.

Czasami wychodziła z nim i siedziała w poczekalniach, pragnąc choć na trochę odetchnąć od czterech ścian ich tymczasowego domu, jednakże Jasinowi przeszkadzało, że na niego czeka, uważał, że to poniżej jej godności.

Pieniądze wciąż nie nadchodziły, Jasin zaciągnął więc kredyt u miejscowego prawnika, nie mogli jednak zapłacić ani pensa za hotel i pani Pratt demonstracyjnie okazywała zniecierpliwienie. Chociaż nie wspomniała jeszcze o rachunku, Georgina czuła, że niedługo zażąda zapłaty. A koszty rosły, bo z jakichś powodów Jasin odkładał wyjazd. Jego żonę coraz bardziej to irytowało.

Idąc na pocztę okrężną drogą dla zabicia czasu, Georgina zobaczyła w porcie statek i pasażerów żegnających się z bliskimi na nabrzeżu, zeszła więc na pomost.



W jej stronę zmierzali dwaj mężczyźni w nowych ubraniach, na których wciąż widniały ślady po składaniu.

- Przepraszam - powiedziała - płyną panowie tym statkiem?

- Tak, madame - odparł wyższy z dwójki brodaczy z wyraźnym irlandzkim akcentem. Georgina dziwiła się własnej odwadze, teraz zwracała się do każdego napotkanego człowieka, jeśli było jej to potrzebne.

- Zastanawiam się, czy moglibyście wziąć moje listy? - zapytała. - Nie zdążę na pocztę na czas.

- To żaden kłopot - odezwał się mniejszy, ale jego towarzysz mu przerwał:

- Wysyła pani listy do Anglii?

- Tak, do rodziny.

- W takim razie niech pani lepiej poczeka na inny statek. My płyniemy na Daleki Wschód, w przeciwnym kierunku.

447

- Och, przepraszam bardzo. - Georgina odwróciła się zakłopotana.

- Chwileczkę - powiedział Irlandczyk. - Nigdy nie zapominał twarzą.

Pani była jedną z dam na pokładzie „Emmy Jane”, prawda?

- Ach, istotnie. To było tyle lat temu, ma pan znakomitą pamięć.

- Niewiele mieliśmy tam rzeczy, które umilałyby nam dni - odparł i Georgina poczuła, jak policzki zalewa jej rumieniec. Więźniowie! To na pewno są więźniowie!

- Wszystko w porządku - uśmiechnął się O'Meara. - Już dawno zostaliśmy ułaskawieni.

- Świetnie, bardzo się cieszę - rzekła uprzejmie, pragnąc uciekać, sama jednak wplątała się w tę rozmowę i nie mogła teraz odwrócić się do nich

plecami.

- Czy zna pani Pace'a MacNamarę?

- Tak. A raczej wiem, gdzie przebywa.

- To wystarczy. Czy mogłaby pani go powiadomić, że Minogue i jego kamrat popłynęli do Chin? Będzie mu przykro, żeśmy pojechali, to nasz wielki przyjaciel. Spędziliśmy miło czas w Nowej Południowej Walii.

- Daj spokój, Dinny - wtrącił jego towarzysz. - Nie musisz wygłaszać przemowy.

Georgina w oczach Irlandczyka dostrzegła błysk. Nie wierzyła w ani jedno jego słowo, zresztą on tego od niej wcale nie oczekiwał. Odpowiedziała na jego ukłon uśmiechem, z wysiłkiem starając się zachować powagę.

- Przekażę mu pańską wiadomość - odparła.

Kiedy statek odbił od brzegu, Irlandczyk mrugnął do niej znacząco.

Przesadnie zasalutował; Georgina zrozumiała, że nie ją tak żegna, lecz kolonię karną, i zasłoniła usta dłonią w rękawiczce, by stłumić śmiech.

W lepszym nastroju poszła na pocztę, gdzie spotkała Jasina.

- Jak długo jeszcze tu zostaniemy, Heselwood? Mam już dość tego miasta.

Wziął od niej listy i poszedł je nadać. Po powrocie powiedział cicho:

- Jakiś czas.

- Na litość boską, dlaczego? Powiedz mi, dlaczego?

448

- Ponieważ wracam po bydło - szepnął.

- Co? Wykluczone, mój panie! To zbyt niebezpieczne.

- Passey i inni ludzie zgodzili się jechać ze mną. Są spłukani, nie mają pracy. Zapłacę im dobrze i dodam premię.

- Oszalałeś? Jaka korzyść z pieniędzy, jeśli wszyscy zginiecie? Wyraźnie

słyszałam, jak policja mówiła, że cały tamten okręg oraz Wide Bay są poza granicami.

- To tylko oznacza, że nie mogą zapewnić ochrony. Nie powstrzymają nas. Ale nie chcę, żeby ktokolwiek o tym wiedział.

Georginie zrobiło się słabo. Może to inna forma załamania nerwowego. Wyprawa w niebezpieczne okolice po bydło.

- Nie zgadzam się!

- Posłuchaj, Georgino, zyski są zbyt wielkie, żeby z nich zrezygnować. Będziemy dobrze uzbrojeni i zachowamy wszelką ostrożność, nie popędzimy otwarcie jak ci zwariowani żołnierze. Czarni nie pozabijali bydła, to wykluczone. Wszyscy pozostali osadnicy z okręgu uciekli, tak więc stada, które znajdziemy, będą nasze. Czarni nienawidzą bydła, kiedy zobaczą, że je zabieramy, nie będą nam przeszkadzać. Każde zwierzę, jakie znajdę, będzie należało do mnie. A tam muszą być tysiące porzuconych sztuk. W drodze powrotnej ominiemy Brisbane i sprzedamy je hodowcom z południowego wybrzeża. Zapłacą gotówką i nie mów mi, że nie potrzebujemy pieniędzy.

- Mam tylko nadzieję, że wiesz, co robisz.

- Moja droga, ja zawsze wiem, co robię.

Georgina patrzyła na niego, gdy szedł ulicą szybkim krokiem, spodziewając się, że żona dotrzyma mu kroku. Jasin zawsze mówił niezwykle przekonująco. Zadawała sobie pytanie, czemu mają tyle kłopotów, skoro on nigdy się nie myli.

ROZDZIAŁ Czterdziesty Piąty.

Kiedy Pace przyszedł na kolację, Dolour dała mu list. Przeczytał go i schował do kieszeni. Postawiła przed nim talerz z zupą, ale on wciąż

milczał.

- Kto do ciebie napisał?

449

Wyjął list z kieszeni i rzucił na stół. Nazwisko „Heselwood” od razu rzuciło się jej w oczy, ale zaraz zobaczyła, że autorką jest Georgina, żona Heselwooda.

- „Drogi Pace” - zaczęła czytać na głos. Popatrzyła na męża. - Nie wiedziałam, że to twoja przyjaciółka.

Machnął lekceważąco łyżką i bez słowa wrócił do jedzenia.

Dolour tak się bała zawartości listu, że woląla resztę przeczytać cicho.

Stała za plecami Pace'a, ręce jej się trzęsły. Na samą wzmiankę o Heselwoodzie w domu wciąż wybuchała burza.

Georgina pisała:

Drogi Pace,

nim ten list do Ciebie dotrze, będzie już Nowy Rok, wysyłam więc najlepsze życzenia pomyślności Tobie, Twojej żonie i całej rodzinie.

Nie wie, odetchnęła z ulgą Dolour. Nie wie. Boże, dlaczego musiała napisać i zaczynać wszystko od początku?

Słyszałam, że u Was panuje susza, ale tego samego nie można powiedzieć o Brisbane, pada, odkąd tu przybyliśmy. Bez wątpienia wiecie, że straciliśmy dom w Montone.

Dolour uniosła brwi ze zdumienia: o niczym nie wiedzieli.

Spłonął, zostały z niego zgliszcza. Zaatakowali nas czarni, zabili sporo ludzi, ale dzięki Bogu my uszliśmy z życiem.

- To musi być dla ciebie wielkie rozczarowanie - powiedziała do Pace'a.

- Co mianowicie? - zapytał z udawaną obojętnością.

- Że Heselwoodowie przeżyli atak.
- I rzeczywiście. Gdyby czarni potraktowali drania włócznie, oszczędziliby mi fatygi.
- Wiedziałam, że tak powiesz. Nigdy nie rezygnujesz, co?
- Nie, jeśli chodzi o twojego kochasia, który kazał mnie zabić.
- Nigdy w to nie wierzyłam! - krzyknęła Dolour. - Bóg świadkiem, że ten stary głupiec łągał jak pies.
- Więc kiedy następnym razem spotkam się z Heselwoodem, będzie miał okazję zaprzeczyć po tym, jak dam mu w gębę. Co na kolację?
- Stek i zapiekanka z nerek. Jadłam z chłopcami. - Zdjęła rondle z pieca.
- Dlaczego nie wolno mi jadać z rodziną? Nieważne, o której wracam, zawsze jestem za późno. Jak wychowujesz moich synów?

450

Traktuje się mnie jak pariasa w moim domu. Chyba zacznę jeść z poganiaczami.

- To da się załatwić - odparła Dolour i wróciła do lektury listu.

Oczywiście nie tylko nas to spotkało, wszyscy w całym okręgu są w tej samej sytuacji. Musieliśmy schronić się w Brisbane, na nieszczęście jednak kilku rodzinom nie udało się uciec. Pamiętam, że pan Rivadavia mówił, iż macie działkę w Brisbane Valley. W tamtych okolicach także były ataki. Mam nadzieję, że na waszej ziemi nie było ludzi.

- Och nie! - krzyknęła Dolour. - Dinny O'Meara jest w Brisbane Valley!
  - Dinny O'Meara ma dziewięć żyć - powiedział Pace sucho. - Czytaj dalej.
- Jednakże powodem, dla którego piszę (a nie wątpię, iż zaskoczył Cię list ode mnie), jest to, że tutaj, w Brisbane, spotkałam dwóch wesołych mężczyzn. Jeden był Irlandczykiem, powiedział, że nazywa się Minogue,

ale w sposób, który kazał mi przypuszczać, że to nieprawda. Prosił wszakże, bym Ci przekazała, że on i jego przyjaciel popłynęli do Chin oraz że wspaniale spędzili czas w Nowej Południowej Walii. Jestem przekonana, że nie mówił poważnie, ale to byli ludzie z „Emmy Jane”, którzy mnie rozpoznali.

- Udało im się! - Dolour wyrzuciła ręce do góry w zachwycie. - Bogu niech będą dzięki, udało im się! Och, taka jestem rada. - Podniecona rzadkimi dobrymi wieściami, zapomniała o własnych problemach i podbiegła do Pace'a. - Jak mogłeś czytać to tak obojętnie? On jest wolny! Wyobrażasz sobie, jak Dinny O'Meara ląduje w Ameryce i zbiera chłopaków? Do diabła, da popalić tym w kraju. - Usłyszała, że Pace wciąga powietrze przez zaciśnięte zęby. Wciąż nie znosił, gdy przeklinała. - Ale jak on dostanie się z Chin do Ameryki? To bardzo daleko?

Pace zmusił się do uśmiechu.

- Nie tak daleko, jak dzisiaj na to popatrzymy. To tylko jeden ocean stąd. Żeby się tu dostać, my przeplłynęliśmy trzy oceany.

- Tak? Szkoda, że wcześniej o tym nie wiedziałam.

Zakłopotana tą miłą wymianą zdań, co zdarzało im się rzadko, wróciła do listu, ale poza grzecznościami i podpisem „Georgina Heselwood” nic więcej tam nie było. Miała ochotę powiedzieć mężowi,

451

że zawsze jej się wydawało, iż osoby z tytułami podpisują się w bardziej wymyślny sposób, ale znowu rozdzielała ich dawna ściana.

- Jak długo to potrwa? - zapytał Pace głosem znacznie łagodniejszym.

- Co?

- Chryste, Dolour! Nie możemy dłużej żyć, jakbyśmy mieszkali w dwóch

innych światach. I bez tego mam dość problemów.

- To będzie trwało, dopóki mnie nie przeprosisz.
- Boże wszechmogący. To ty popełniłaś błąd, a chcesz, żebym ja przeproszała. W życiu nie spotkałem się z takim tupetem!
- Bardzo dobrze. Powiedz mi jedno. Gdybym wtedy w Newcastle opowiedziała ci o Heselwoodzie, ożeniłbyś się ze mną?

Pace spojrział na nią uważnie.

- Chcesz, żebym odpowiedział szczerze?
- Tak.
- W takim razie odpowiedź brzmi: nie. Nie ożeniłbym się. Za nic.

Skuliła się, jakby ją uderzył.

- Dobrze. Mam swoją odpowiedź, prawda? W tym domu nie ma miłości. Najlepiej zrobisz, jak pojedziesz na tę twoją północną farmę tak szybko, jak to będzie możliwe.

- Dolour, pytałaś, jak bym się wtedy zachował, i powiedziałem ci prawdę. Chciałaś, żebym powiedział ci prawdę.

- Oczywiście, i teraz ją znam. Nie skarzę się. - Nie ulegało wątpliwości, że robi dobrą minę do złej gry, ale wolała to, niż uciekać z kuchni, po raz kolejny pokonana. - To miejsce jest suche jak wiór. Myślałam, że chciałaś zabrać bydło na północne pastwiska. Zrób to. Idź tam!

Pace skończył jeść.

- Nie możemy teraz tego zrobić. Rivadavia przestrzegał przed tym, a ten list dowodzi, że miał rację. Na razie jest tam za wiele kłopotów z czarnymi.

- A więc kupiłeś kota w worku? - zadrwiła. - Chciałaś być wielkim posiadaczem, choć ledwo tutaj wiążemy koniec z końcem.

- Nieprawda! - krzyknął na nią Pace. - Ziemia to ziemia. Kiedy wreszcie się tego nauczysz? Nasi synowie na tym skorzystają.

452

- A my przymieramy głodem. Farma popada w ruinę i dobrze o tym wiesz. Nie ma paszy dla bydła. Czarni ostatnio coraz gorzej się zachowują, zabijają zwierzęta i podpalają uprawy. Powinieneś był kupić ziemię na południu, w zasiedlonych okolicach, ale nie, ty musisz mieć całe hrabstwo!

- Ucisz się, kobieto! Wiecznie tylko zrzedzisz. Trzasnęła drzwiami i usiadła na stopniach werandy. Więc wiecznie zrzedzę, pomyślała, ale co innego mi pozostało? Rozmawiamy tylko wtedy, kiedy się kłócimy, wyjątkiem są takie chwile jak ta, ale nie mogę pozwolić, żeby mną poniewierał. Jeśli nie uda mi się skłonić go do zmiany zdania, to nie ma dla mnie szansy. Zawsze będę grzesznicą, on zaś tym, przeciwko któremu zgrzeszono, a na to się nie zgodzę. Pewne jak słońce na niebie, że któregoś dnia mnie opuści, jeśli dalej będę tak się zachowywała, ale kobieta musi się cenić i od niej samej zależy wysokość tej ceny. Moją są jego przeprosiny, bo nie zrobiłam mu żadnej krzywdy. Może zgrzeszyłam przeciwko Bogu, ale nigdy nie zastrzeliłam człowieka. Przed ślubem Pace powiedział jej, dlaczego musiał wyjechać z Irlandii, choć już wcześniej wiedziała, że należał do tych, co walczyli z Anglikami. Z jego słów wywnioskowała, że był jednym z najlepszych, i uważała go za bohatera Erinu. Teraz wszakże, kiedy miała czas się nad tym zastanowić, zadawała sobie pytanie, dlaczego najgorsze grzechy to te, które popełniają kobiety w łóżku. Wyłącznie kobiety. A przez cały czas mężczyźni pożądamy kobiet, podczas gdy one szukają tylko miłości.



Siedzi sobie w kuchni, drań jeden, a jej serce wyrywa się do niego, chciałaby przytulić go do siebie i powiedzieć, jak bardzo go kocha, co jednak przez to by osiągnęła? Przecież przed chwilą powiedział, że nigdy by się z nią nie ożenił. Postawił sprawę jasno. Poczowała gorące łzy pod powiekami. Czy nigdy nie przestanę płakać? westchnęła.

Chłopcy odbijali piłkę kijami z Henrym, Aborygenem mniej więcej w ich wieku, i innymi kolegami z obozu, a dokoła biegały nianie, krzycząc wesoło i przeszkadzając dzieciom w grze. Oni skończą dziewięćdziesiątkę, a czarne dziewczęta wciąż będą pracowały jako piastunki, Dolour w to nie wątpiła. Spodziewała się lamentów, kiedy John i Paul pójdą do szkoły.

Najmłodszego Pierce'a (Dolour nigdy nie nazywała go Dukiem) w blaszanej balii kąpała Maja, samowolnie pełniąca funkcję szefowej pracujących

453

w domu dziewcząt. Dolour czuła się zbędna. Jak piąte koło u wozu.

- Psze pani! - szepnęła Maja, nie patrząc na nią. - Psze pani, trzeba zamknąć konie na noc. Czarni po nie przyjdą.

- O co chodzi? - zapytała Dolour, ale dziewczyna zacisnęła usta, wyraźny znak, że nic więcej nie doda. Dolour pobiegła do domu.

- Pace, dzisiaj wieczorem czarni mogą przyjść po konie! - zawołała. -

Powiedziała mi o tym jedna z dziewczyn.

- Chryste! Przyrowadź ją tu.

- Nie, jest przerażona. Dość już powiedziała.

- Niewykluczone, że chodzi im nie tylko o konie. Zawołaj wszystkich do domu, zamkniemy drzwi i okna. W nocy wyślę patrole z latarniami, czarni zobaczą, że mamy się na baczności.

- Nie wyglądasz na zbyt zaniepokojonego...

- Jeśli czarni na farmie nie są wystraszeni, to mamy czas. Pojadę do obozu, pogadam ze starym Bulpoorą. Jestem przekonany, że to on podusza tubylców do walki z osadnikami. Tylko jemu przysłoby do głowy, żeby wypuścić konie, aby zrobić nam na złość.

Pace pojechał do obozu czarnych, który od domu dzieliła mila, i z ulgą zobaczył, że wszyscy jak zwykle zajmują się swoimi sprawami.

- Gdzie Bulpoora? - krzyknął. Nie zsiadł z konia, żeby patrzeć na nich z góry.

Otyła kobieta z niemowlęciem na biodrze uśmiechnęła się do niego.

- Bulpoora poszedł.

- Dokąd? Na wędrowkę?

- Nie - roześmiała się. - Na polowanie.

- Bulpoora nie polował, odkąd był dzieckiem, leniwy stary głupiec. - Pace rozmyślnie przybrał żartobliwy ton, nie chciał rozdrażnić czarnych.

- Racja, Bulpoora leniwy głupiec - zgodziła się kobieta, po czym powtórzyła innym. Wszyscy uśmiechnęli się do Pace'a.

- Macie tu dobre jedzenie? - Wskazał ryby, które kobiety układały na żarze ogniska.

- Dobre jedzenie, szefie. Chcesz kawałek ryby? Gestem kazał jej podejść bliżej.

- Podnieś rękę.

454

Posłuchała go zaintrygowana.

- To jest pięć - powiedział odginając jej po kolei palce. - Pięć dni. Za pięć dni będzie wielka uczta. Mnóstwo mięsa, pudding, a pani zrobi wam toffi.

Wiesz, co to toffi?

Kobieta przewróciła oczami i klasnęła.

- Toffi dobre, szefie.

- Powiesz wszystkim, że za pięć dni jest wielka uczta? Pokiwała głową, oczy lśniły jej z podniecenia.

- Powiedz Bulpoorze - ciągnął Pace - że jak sprowadzi złych czarnych do Kooraminu, nie będzie uczyty, koniec z jedzeniem, ze wszystkim.

Na jej twarzy radość ustąpiła miejsca rozczarowaniu. Rozejrzała się dokoła zmartwiona. Zaraz się jednak wyprostowała i napięła mięśnie.

- Bulpoora! - splunęła, po czym nie kończąc rozmowy z Pace'em, pobiegnęła do kobiet. Gestykulując zamasyście, powtórzyła im jego słowa. Odpowiedziały jej gniewne krzyki. Pace wybuchnął śmiechem. Kobiety na całym świecie są takie same. Stary Bulpoora będzie miał się z pyszna, jak wróci do obozu, dziewczęta nie cofną się przed sprawieniem mu lania. Mimo to konie zostały zamknięte, warta rozstawiona, psy spuszczone. Pace założył łańcuchy na przydomowych pastwiskach i kazał poganiaczom sprowadzić stada bliżej domu. Z jakiegoś powodu było szybciej wyczuwało niebezpieczeństwo niż konie. Wysłał też jeźdźców, by ostrzegli sąsiednie farmy, że coś się szykuje. Nic więcej nie mógł zrobić, mimo to był zdenerwowany.

List Georginy wstrząsnął nim. Niemal zapomniał tamten wypadek na Darling Downs, kiedy zamordowano żonę i syna osadnika, teraz jednak przypomniał to sobie wyraźnie.

Z relacji Georginy wynikało, że na północy toczy się regularna wojna, a nie istniał żaden powód, dla którego dżicy czarni tu, na południu, nie mieliby o tym wiedzieć. Przypuszczalnie wiedzieli, zawsze wiedzieli o

wszystkim, ale trudno było cokolwiek z nich wydobyć. Kiedy chcieli, można by pomyśleć, że doznali szczękościsku. Jeśli dzicy czarni z plemienia Kamilaroi, a było mnóstwo takich, którzy nie pojawiali się na farmach, usłyszeli o tryumfie na północy, to być może poczuli się silniejsi i postanowili powtórzyć tutaj sukces pobratymców.

Pace obserwował, jak poganiacze spędzają rozdrażnione bydło bliżej domu, gdzie - o czym zwierzęta dobrze wiedziały

455

- brakowało trawy. Mężczyźni pokrzykiwali gniewnie i strzelali z batów, gwizdali i przeklinali, każdym gestem zdradzając zdenerwowanie.

Rozmyślał o ich życiu na uboczu: gazety sprzed kilku miesięcy dostawali od przypadku do przypadku, kiedy na farmę przyjeżdżali woźnice albo kiedy ktoś z Kooraminu załatwiał coś w mieście. Mieli w domu listy do Forrestów z Carlton Parku, które zapomniał im oddać, ale to może poczekać.

Wszystko co do tej pory osiągnął, trzymało się na nitce. Zorganizowany atak może zakończyć się katastrofą. Ogień strawiłby cały jego dorobek.

Pace wszedł do domu i wziął strzelbę.

- Gdzie się z tym wybierasz? - zapytała go Dolour.

- Na dach. Rozejrzę się po okolicy.

Z dachu zobaczył, że na farmie kipi praca. Jego myśli powędrowały do hrabstwa Curragh i życia, które tam zostawił.

- Walczysz teraz po drugiej stronie, MacNamara - powiedział do siebie. - Tutaj ci, którym odebrano ojczyznę, chcą, żebyś odszedł. Teraz jesteś właścicielem ziemskim, gotowym zabijać czarnych, bo walczą z tobą tak, jak ty walczyłeś, tylko że nie mają nic poza gołymi rękami i nędznymi

włóczyniami. Ten świat jest taki podły czy ty, MacNamara? Od razu widać, że sam nie wiesz, czego chcesz.

Siedział na dachu aż do zapadnięcia jasnej chłodnej nocy. Słyszał, jak Dolour rozmawia z dziećmi. Przy pierwszej okazji przeprosi ją, bo przez niego oboje mają podłe życie, prowadząc tę wendetę, a w dodatku stawiają w niezręcznej sytuacji przyjaciół, z których nikt nie ma pojęcia, o co poszło małżonkom. Powiódł wzrokiem po ciemnych polach, usiłując odpędzić od siebie poczucie, że z jego strony to będzie wspaniałomyślność, w końcu dopiero strach przed atakiem czarnych uświadomił mu, jak bardzo kocha żonę, i chciał jej o tym powiedzieć. Kiedy zsunął się z dachu, na podwórze galopem wpadł jeździec.

- Miałeś rację, szefie, oni tam są. Jeszcze trochę, a w stadach wybuchnie panika, bydło kręci się na wszystkie strony.

- Nie przejmuj się stadami - odparł Pace. - Powiedz wszystkim, żeby zaczęli strzelać.

- Nie ma sensu, czarni są poza zasięgiem kul.

- I o to chodzi, nie chcemy ich zabijać.

456

- Od kiedy to? - roześmiał się poganiacz.

- Od chwili kiedy to powiedziałem - warknął Pace. - Nie ma potrzeby zabijać. Naróbcie sporo hałasu. Niech wiedzą, że jesteśmy przygotowani.

- Ty jesteś szefem - syknął poganiacz. Pace z gniewem ściągnął go z siodła.

- I lepiej o tym nie zapominaj. Idź do domu, zostaniesz z kobietami. Ja się wszystkim zajmę.

Poganiacze zaczęli strzelać, choć z tej odległości niemożliwe było

wypatrzenie żadnego czarnego. Pace biegł wzdłuż ogrodzenia i powtarzał, żeby nie przerywać ognia, miał bowiem nadzieję, że napastnicy nie podejną bliżej, ale z ciemności wyłoniła się grupa czarnych z pochodniami.

- Och, głupcy z was - jęknął. - Wracajcie. Sami pchacie się w tarapaty. Procesja z pochodniami zafalowała, jedni szli naprzód, inni się cofali.

- Strzelajcie! - krzyknął Pace. - Zaraz zmienię zdanie. - W huku ciągłego ognia usłyszał wrzaski dochodzące z drugiej strony pastwiska. To go zdezorientowało.

- Czemu tak wrzeszczą? - zdziwił się któryś z poganiaczy. - Przecież jeszcze nikogo nie trafiliśmy. Nie byliśmy w stanie.

Ze strzelbą w dłoni Pace ostrożnie obszedł stodoły, zaglądając za każde drzewo i krzew, za którym mógł się kryć napastnik. Tak dotarł do ostatniego ogrodzenia.

- Co tam się dzieje? - zapytał.

- Nie wiemy, szefie - odparł jeden z jego ludzi. - To nie wygląda na wojenny taniec, raczej na bójkę.

Jedna po drugiej pochodnie zgasły, ostrzał ustał. Czekali z nerwami napiętymi jak postronki, nasłuchując krzyków.

Pace patrolował teren i pytał strażników, ale żaden nie widział czarnych. Hałas umilkł, w buszu zapanowała cisza jak w grobie.

- Pięć dni, szefie - powiedział ktoś za jego plecami. Odwrócił się tak szybko, że boleśnie uderzył się łokciem w płot. Obok niego stała tłusta Aborygenka.

- Matko przenajświętsza! - wykrzyknął. - Narana! Skąd się tu wzięłaś? Zdumiona pokazała na zarośla za pastwiskiem.

- Pięć dni, wielka uczta, szefie - przypomniała mu.

- Tak, oczywiście. Ale co się tam dzieje?

- Cholernie głupi ludzie. Stary Bulpoora. Wykopaliśmy ich. Kopnęliśmy Bulpoorę w tyłek. - Ujęła się pod obfite biodra i wybuchnęła śmiechem. - Cholernie dobra walka. - Na dekolcie miała brzydką ranę, krew spływała na jej pełne piersi.

- Jesteś ranna?

- Tak. Biliśmy ich po głowach. - W dłoni miała pałkę rozmiarów jej solidnego uda.

- Wszyscy odeszli?

- Tak. Ludzie z Kooraminu ich wykopali.

Pace się roześmiał, a ona zawtórowała mu donośnie, dumna z wypadków nocy.

- Chodź ze mną - powiedział. - Pani opatrzy ci ranę. Podreptała za nim, nie wypuszczając pałki z dłoni.

- Naprawdę przeszłaś przez pastwisko? - zapytał.

To znaczyło, że była w zasięgu strzelb. Zastanawiał się, jakie miałoby szanse, gdyby czarni zdecydowali się zaatakować z ukrycia.

Przez całą noc poganiacze pełnili straż na wypadek, gdyby napastnicy powrócili. Kiedy wstał dzień, Pace podziękował za trud swoim ludziom, w szczególności więźniom, których sześciu pracowało obecnie na farmie.

Oznajmił, że wystąpi z prośbą o zwolnienie warunkowe dla całej szóstki.

Odpowiedzieli wiwatami, a Pace'a ogarnął smutek. Chodziło o coś jeszcze.

Jeśli susza się nie skończy, nie będzie mógł ich zatrudniać, może więc przynajmniej podjąć próbę, by odzyskali wolność.

Dochodziło południe, a Dolour wciąż była na nogach. Wyglądała na wyczerpaną.

- Czemu się nie połóżysz? - zapytał.
- Zaraz, najpierw muszę parę rzeczy zrobić.
- Nie mogą poczekać?
- To nie potrwa długo.

Przez okno do kuchni zajrzała Lena.

- Pani Forrest jedzie, psze pani, w tym swoim kiwaczu. Dolour roześmiała się. Wszyscy w okręgu dobrze znali powozik Milly, czerwony z czarnymi siedzeniami. Sprawiał raczej kłopoty, niż przydawał się w tych stronach, ale Milly upierała się,

458

żeby wszędzie nim jeździć w eskorcie dwóch konnych, którzy musieli wypychać powóz z błota zimą, a latem naprawiać połamane koła. Milly nie zawsze patrzyła uważnie na szlak.

- Jest z nią Fred, a przecież rzadko nas odwiedza - powiedział Pace, po czym krzyknął do gości: - Hej, co was sprowadza do Kooraminu?

- Wszystko, Pace, po prostu wszystko! W nocy nas napadli! - odparła Milly histerycznie. Pace pomógł jej wysiąść, odplątując pelerynę, która zahaczyła się o uchwyt na bat.

- Nie dostaliście wiadomości ode mnie?

- Dostaliśmy - odparł Fred z przygnębieniem. - Zrobiliśmy co w naszej mocy. Ale oni spalili wszystkie zabudowania, stajnie, stodołę, mleczarnię...

Dolour wybiegła, żeby wprowadzić Milly do środka.

- Czy komuś coś się stało? - spytała rzeczowo. Milly zaczęła płakać.
- Paru się poparzyło, kiedy próbowali wyprowadzić konie, choć nie



mocno. Ale, Dolour, te czarne diabły spaliły warsztat Dermotta. Mógł zginąć.

- Straszna sprawa - odezwał się Fred. - Naprawdę nas to przygnębiło. Co powiemy Heselwoodowi?

- Przeklęty Heselwood! - burknął Pace. - Ilu czarnych was napadło?

- Trudno powiedzieć. Chłopcy mówią, że około piętnastu, czterech zastrzelili, ale reszta uciekła. Teraz ich szukają po okolicy. I jeszcze jedno. Chłopcy mówią, że jeden z tych zastrzelonych czarnych był stąd, z twojej farmy.

- Stary?

- Tak.

- Bulpoora. - Pace pokiwał głową. - To podżegacz, pewnie przyłączył się do innej grupy. O której was napadli?

- Około pierwszej w nocy.

- Zgadza się. Musieli pójść prosto od nas.

- Co? Tu też byli?

- Byli. To długa historia, koniec wygląda tak, że pobili się z czarnymi z Kooraminu, więc poszli do was. Przykro mi.

Fred ze znużeniem rozejrzał się po podwórzu.

- Coś zniszczyli? Pace pokręcił głową.

- Wejdz, napijesz się. Szklaneczka dobrze ci zrobi.

459

- Dobrze by mi zrobiło kilku pomocników. Dom to jedyny budynek, który ostał się cały w Carlton Parku.

- Poślę chłopców, sam też pojedę z tobą. A co z końmi?

- Rozbiegły się na cztery wiatry. Złapaliśmy kilka, poganiacze szukają

reszty. Ale czarni zabili mnóstwo bydła, i to dla samej przyjemności, do diabła.

- Dermottowi nic się nie stało? - zapytała Dolour.

- Nic, ale to było straszne - lamentowała Milly. - Przerażające, cały ten hałas i te wrzaski...

- Próbowali spalić dom?

- Nie, Dolour. - Fred wytarł pot z łysiejącej głowy. - Spalili zabudowania i uciekli.

- Skąd wiesz, Fredzie Forrest? - krzyknęła Milly. - Ludzie ich wygonili, ale mogli nas zamordować we śnie. To było straszne! - I ruszyła w stronę kuchni. Dolour poszła za nią.

Dwaj starsi synowie MacNamarów, którzy siedzieli przy posiłku, słuchali z fascynacją.

- Zastrzeliła pani któregoś, pani Forrest? - zapytał John.

- Tata żadnego nie trafił - dodał jego brat zde gustowany.

- Cicho, chłopcy - zganiła ich Dolour. - Idźcie na dwór się pobawić.

- Nie - sprzeciwił się John. - Chcemy posłuchać. W tej samej chwili w progu stanęli Pace i Fred.

- Wychodzić! - polecił Pace i synowie z ociąganiem posłuchali.

- Napijesz się herbaty, Milly? - zaproponowała Dolour.

- Nie, wolę rum z mlekiem. Czuję się chora. Och, ci bandyci! Powinniście zobaczyć to miejsce! Kwatery dla robotników i kuchnia doszczętnie spłonęły razem z wyposażeniem i zapasami.

- Pomożemy wam się odbudować, Milly - pocieszył ją Pace. - Nie jest tak źle, jak z pozoru wygląda. Gdzie indziej zdarzyły się gorsze rzeczy.

- Łatwo ci mówić, Pace, ale jak byś się czuł na moim miejscu? Wszystko

wokół płonęło, a mój mąż siedział na wózku inwalidzkim...

Dolour spojrzała na Pace'a ostrzegawczo; uznał, że ma rację. To nie była odpowiednia pora na wspomnianie o przeżyciach Georginy.

460

- Jak się czuje Dermott? - podchwycił. - Jak to przyjął?

- Dermott czuje się dobrze, przyjął to spokojnie - odparł Fred - a moja Bess to prawdziwy skarb. Już sprawdza, co da się uratować.

Zarumieniona twarz Milly przybrała odcień purpury.

- Jasne, że to skarb. A czemu miałyby się przejmować? To nie jej dom. Powiedz mi, Fredzie, kto zapłaci za nowe budynki? Od Heselwooda nie dostaniemy ani pensa. Mamy ponosić koszty budowy kwater dla ludzi, stajni i składów, wszystkiego? Myślałeś o tym?

- Napij się, Milly, jakoś to rozwiążemy - powiedział Pace, ale rozumiał, o co jej chodzi. A ponieważ dom Heselwooda na północy także został spalony, w żadnym razie nie można było liczyć na pieniądze od niego.

Dolour przygotowywała dla nich posiłek. Wyjęła zimne peklowane mięso i poszła do spizarki po ziemniaki i przetwory. Sięgając po słoiki, zobaczyła, że ręce jej się trzęsą. Zawsze było tak samo, na wspomnienie o Jasinie zaczynała drżeć i nic nie mogła na to poradzić. Zwlekała z wyjściem ze spizarni, starając się odzyskać panowanie nad sobą, kiedy jednak wróciła, Milly wciąż trajkotała o „wyniosłym pyszałku” Heselwoodzie. Dolour poczuła na sobie wzrok męża.

Przez cały posiłek mężczyźni szukali sposobu na odbudowę przy możliwie najniższych kosztach. Do rozmowy ciągle wtrącała się zrozpaczona Milly, aż wreszcie Pace znalazł powód do zmiany tematu.

- Milly, o mało nie zapomniałem. Mam korespondencję do Carlton Parku.

Jeden z poganiaczy przywiózł pocztę z miasta. Chciałem odesłać ją wam wczoraj, ale wyleciało mi to z głowy.

Wyszedł i wrócił z małym płóciennym workiem.

- Proszę.

Milly złapała worek i bezceremonialnie wytrząsnęła zawartość na podłogę. Posypały się gazety, katalogi, listy. Zaczęła je segregować, gazety podając mężczyznom. Trzy listy zaadresowane były do Dermotta i do niej, otwierała więc koperty, podczas gdy Dolour resztę poczty na powrót wkładała do worka.

- Dwa z domu - powiedziała Milly; humor jej się poprawił. - A ten to od kogo? Ładne pismo, dobry papier.

Rozcięła kopertę nożem, przeczytała list raz i drugi, a potem wybuchnęła histerycznym płaczem. Chłopcy wbiegli do kuchni,

461

żeby zobaczyć, co się dzieje. Milly zerwała się gwałtownie, przewracając krzesło.

- Od kogo jest ten list? - zapytał przestraszony Fred.

- Od Heselwooda! - krzyknęła przeraźliwie. - Macie, czytajcie!

Rzuciła listem w Dolour, która cofnęła się jak oparzona.

- Nie!

Fred wziął list, bo Pace siedział bez ruchu.

- Od niego. - Spojrzał na Pace'a i dodał: - On nigdy sam do nas nie pisze, zawsze za pośrednictwem prawników. - Wrócił do listu i zaczął czytać na głos.

Drodzy Państwo Forrestowie,

jak zapewne wiecie, w naszym okręgu doszło do poważnych zamieszek

wywołanych przez czarnych, w wyniku czego wiele osób straciło majątek, a niektórzy także życie. Farma Montone została zniszczona, a ja z żoną oraz naszymi pracownikami zmuszony byłem wycofać się do Brisbane.

- Szkoda, że nie przebili go włócznią - stwierdziła Milly gniewnie.

- Pisz, że radził się sędziego - powiedział Fred - ale nie rozumiem, co to ma wspólnego z nami.

- Czytaj ten przeklęty list albo daj go mnie! - krzyknęła Milly.

- Dobrze, Milly, nie gorączkuj się tak. Zaraz, zaraz... radził się sędziego... Poinformowano mnie, że skoro nasz dom uległ zniszczeniu, mamy teraz pełne prawo zamieszkać w Carlton Parku. To niefortunne rozwiązanie dla nas wszystkich, dlatego bez złych intencji z mojej strony powiadamiam Was o konieczności opuszczenia Carlton Parku w ciągu miesiąca od tej daty, jako że moja żona i ja tam zamieszkamy. Nakaz eksmisji dostarczony zostanie przez moich prawników. Przykro mi, ale musicie zrozumieć, że nie mamy wyboru.

Fred upuścił kartkę, jakby zajęła się ogniem.

- On nas wyrzuca?

Pace rozgniewany podniósł list i przejrzał go, by się upewnić, że Fred nie popełnił błędu. Złapał spojrzenie Dolour.

- Ładnych masz przyjaciół, nie ma co! - warknął. - Więc jednak będzie naszym sąsiadem.

Milly nie rozumiała, co właściwie powiedział, ale ucieszył ją jego gniew.

462

- Najpierw sama spalę dom! - krzyknęła. Fred położył jej dłoń na ramieniu.

- Spokojnie, dziewczyno. Musimy porozmawiać z Dermottem.

Zastanowić się, co dalej robić. Może Heselwood tylko blefuje.

- Nie blefuje - powiedział Pace, po czym zwrócił się do żony. - Prawda?

Prawda, Dolour?

Patrzył na nią tak, jakby to była jej wina. Przez minutę stała jak sparaliżowana, potem po cichu wyszła na dwór. Może wszyscy za bardzo się wywyższamy, pomyślała, Pace i Forrestowie próbują być wielkimi właścicielami ziemskimi, ja zaś sądzę, że mogłabym być żoną właściciela ziemskiego. Żyję z mężczyzną, który mną pogardza, dla którego najważniejsi są synowie i farma. Chłopcy niedługo pójną do szkoły i co wtedy? Z Heselwoodem za miedzą w tym domu nigdy nie będzie spokoju, a jeśli Jasin tu przyjdzie, Pace wpakuje mu kulkę w łeb, zawsze powtarzał, że to zrobi. Dolour współczuła Forrestom, ale dla nich to nie był koniec świata, byli rodziną, mogli wrócić do Sydney. Lucy Mae, ich mała córeczka, tylko by na tym skorzystała, już teraz wyglądało na to, że bardziej jest przywiązana do Bess niż do Milly. Jeśli chodzi o moich synów, rozważała Dolour, Pace nie zrobi im krzywdy. Mnie i tak nie słuchają, zresztą trudno się dziwić, skoro ojciec daje im przykład. A Heselwoodowie przejmą Carlton Park. Może z prawa wszystko należy się lordom, a reszta ludzi takich jak my nie powinna się wywyższać. Niech sobie biorą wszystko, pomyślała, Forrestowie, Heselwoodowie, Pace. Była zmęczona tym wiecznym cierpieniem, które wcale się nie kończyło, tylko dopiero zaczynało. Pragnęła wrócić do Irlandii, zielonej krainy, gdzie rozbrzmiewały śmiech i śpiew, wiedziała jednak, że nie zobaczy więcej ojczyzny.

I czy Pace nie powiedział, że nigdy by się z nią nie ożenił, gdyby wiedział o jej związku z Heselwoodem?

- Boże kochany - szlochała. - Tak mi przykro. Strasznie żałuję. Błagałam cię o wybaczenie, Boże, ale nie wybaczysz mi nigdy, będziesz mnie karał, aż dłużej tego nie zniosę.

W kuchni tamci troje siedzieli przy stole i dyskutowali.

- Nie możemy zaczynać budowy, dopóki tego nie wyjaśnimy - stwierdził Fred.

- A co z Dermottem? - zapytała Milly, jeszcze bardziej zaniepokojona. - To go zabije, spowoduje następny atak. Nie możemy mu nic mówić.

463

- Musimy mu powiedzieć - zaproponował Pace. - Nie możesz tego przed nim ukrywać. Chociaż oczywiście będzie to dla niego cios.

Milly zdjęła kapelusz i odgarnęła włosy z twarzy. Wyglądała na znużoną i pokonaną.

Z podwórza doszły ich wrzaski, dziewczęta biegały w kółko ogarnięte paniką. Do kuchni wpadła Lena.

- Szefie! Chodź szybko! Pani umiera. W szopie z narzędziami.

Pace w sekundzie był na podwórzu. Znalazł Dolour leżącą na ziemi. Kiedy ją podniósł, głowa poleciała jej do tyłu.

- Jest nieprzytomna! - krzyknął, wciąż nie potrafiąc tego pojąć. Za jego plecami stanął zadyszany Fred.

- Co z nią? Co się stało, Pace?

- Nie wiem - odparł Pace piskliwie. - Natychmiast pošlij kogoś po doktora, niech weźmie dwa konie.

Tulił Dolour do siebie, próbując ją ocucić. Usłyszał świszczący oddech, który zarazem przyniósł mu ulgę i go przeraził. Jej twarz straciła kolory, tylko usta miała sine.

Milly odepchnęła Pace'a.

- Żyje?

- Tak - szepnął. - Na Boga, co jej się stało?

- Przynieś mleko, szybko! - krzyknęła Milly i łapiąc Dolour, odwróciła ją na bok. - Idź po to przeklęte mleko, skoro ci każę! - wrzasnęła. - Ona się otruła. Wypiła truciznę!

ROZDZIAŁ Czterdziesty Szósty.

Rozpaczliwy plan Jasina Heselwooda polegał na zebraniu wszystkich sztuk bydła i koni, na które trafi, niezależnie od tego jakie będą miały piętna. Uzbrojeni w strzelby i pistolety poganiacze byli podnieceni tą śmiałą eskapadą. Nawet Barrett, którego przyprowadził policjant, przyłączył się do grupy.

Jasina zasmuciła wiadomość o śmierci Krilla. Był przekonany, że sierżantowi jakoś udało się wymknąć. Z drugiej zaś strony, jak twierdził Barrett, gdyby nie upadek konia, to Krill, doświadczony żołnierz, wywalczyłby sobie przejście. Jasinowi wydawało się głupie,

464

że ten kościsty mały więzień jakoś się przebił, chociaż potem przez tydzień błądził w buszu, a Krill zginął. Pech, nic więcej. Będzie mu brakowało Krilla, przyzwyczał się na nim polegać. Dzięki Bogu, Passey przeżył.

Brisbane opuścili o świcie, by uniknąć pytań, racje żywnościowe umieścili w sakwach przy siodłach. Przez pierwszych kilka dni galopowali, kiedy wszakże tereny zasiedlone zostawili za sobą, jechali spokojnie i rozważnie.

Jasin usiłował zachować dobry humor.



- Istnieje możliwość, że dzicy czarni już stąd uciekli.
- Słyszałem co innego - odparł Passey. - Czarni tropiciele uważają, że się przyczaili.

Każdy szelest w krzakach i zwodnicze kołysanie koron drzew sprawiały, że Jasin podrygiwał nerwowo, nie zamierzał jednak rezygnować. Musi dokończyć to, co zaczął, albo czeka go ruina. Z dziesięcioma poganiaczami będzie mógł przeprowadzić ogromne stado przez dolinę i otaczające je wzgórza. Tutejsze bydło było tłuste i zdrowe, nie przypominało stad pędzonych z południa. Dostanie za nie dobrą cenę. Znajome aromaty tropikalnych kwiatów przypominały mu Montone i ogród, z którego tak dumna była Georgina. Nocą uroczyny i jaśmin napełniały dom przyjemnym zapachem. Myśl o tym, jak Montone może teraz wyglądać, przeraziła go, ale odpędził od siebie emocje. Nie ma sensu płakać, to był tylko dom. Po raz kolejny sytuacja wymagała zmiany planów.

Czy zawsze tak jest? pytał siebie.

Sądził, że po dwóch latach w Montone wszystko będzie układać się gładko, i teraz przeklinał czarnych. Po tym co się stało, będzie trzymał tych drani na odległość wielu mil od swojej farmy.

- Pełno tu bydła, szefie - odezwał się Passey, przerywając mu te rozmyślenia. - Może powinniśmy już zacząć je zbierać.
- Pojedziemy prosto do Montone i zaczniemy stamtąd. Lepiej na razie się nie rozdzielać, to niebezpieczne.

Mijali inne domy, niektóre spalone, niektóre opuszczone, ale Jasin uznał, że rozsądniejszym wyjściem jest obozowanie na otwartym terenie, a nie w pobliżu zabudowań.

- Jeśli będziemy ciągle w ruchu, pomyślą, że po prostu przejeżdżamy przez ten teren, taką mam nadzieję - powiedział poganiaczom. - Jak zaczniemy zaganiać stada, zorientują się, co robimy, pod warunkiem że w ogóle mają rozum.

465

Świadom był, że zobaczy ruinę, a mimo to widok Montone był szokiem. Ze zgliszczy sterczały tylko dwa kominy. Jasin czuł się dziwnie, patrząc na odległe ogrodzenia zagród dla byków.

Za tą ponurą sceną wspaniałe złote i purpurowe bugenwille oplatały furtkę prowadzącą do sadu, przywodząc na myśl wieniec pogrzebowy.

Gdy Passey wystrzelił, w powietrze wzbily się gniewnie kruki, które grzebały w zgliszczach, a w kierunku buszu pobiegły psy dingo.

Z resztek domu buchnął mdlący odór, mężczyźni wyjęli chustki, by zawiązać nimi twarze. Jasin wypuścił z rąk cugle, by zrobić to samo, ze wstrząsem uświadamiając sobie źródło tego ohydneho smrodu.

- Czy ciała wciąż tu są? - zapytał cicho, nachylając się do Passey'a.

- Jeśli wolisz zostać na zewnątrz, szefie, to pójdę i sprawdzę - zaproponował Passey, ale Jasin musiał zachować kontrolę nad sytuacją.

- Nie, pójdę z tobą. A wy - zwrócił się do poganiaczy - zacznijcie zaganiać stado.

- Nie możemy - odparł jeden. - Najpierw musimy pogrzebać naszych kompanów, to co z nich zostało.

- Tak, oczywiście. - Jasin patrzył ze wstrętem na ruiny.

- No to lepiej od razu się do tego zabierajmy - powiedział Passey.

Wszyscy ponagli konie.

Dwaj trzymali straż, reszta ruszyła przez zgliszczka. Jasin zostawił

poganiaczom ponurą pracę, sam zaś z miejsca, gdzie były frontowe drzwi, poszedł przez hol do głównej sypialni i tam grubym patykiem zaczął grzebać w ruinach.

Za jego plecami poganiacze do jutowych worków zbierali szczątki łopatami, które znaleźli na miejscu dawnej szopy z narzędziami.

- Do diaska! - zawołał jeden. - Patrzcie na fortepian! Pani serce by pękło, jakby to widziała!

Jasin pokręcił głową. Ciągnęli za sobą ten przeklęty fortepian przez pół świata, żeby tutaj spotkał go taki marny los. Odepchnął poczerniałe deski, by dostać się do resztek toaletki.

- Hej, Passey! - usłyszał wołanie Barretta. - Grzebiemy tylko naszych, tak?

466

- Tak! - odkrzyknął Passey. - Choć mi się wydaje, że czarni swoich zabrali.

Jasin znalazł zamek z brązu. Georgina trzymała swoją biżuterię w lakierowanym pudełku, nie miał więc zbyt wielkiej nadziei. Z toaletki została kupka popiołu, mimo to znalazł kilka sztuk. Niektóre były kosztowne, inne mniej warte, w większości wykonane ze srebra, ale żar stopił je w jeden kłęb. Wyjął chusteczkę do nosa i zawinął w nią znalezisko. Później je oczyści i zanieś do jubilera.

Wyprostował się i rozejrzał, rozgniewany tą bezsensowną destrukcją. Próbował odtworzyć wydarzenia tamtego dnia. Tutaj stał, w progu, a jeden z dzikich padł u drzwi Georginy. Pamiętał, że zastrzelił go bez mierzenia. Widział, jak ciało tutaj leży. Passey miał rację, czarni zabrali swoich poległych, bo tutaj jeden powinien być. Wciąż widział tę dziką,

pomalowaną na białą twarz.

- Bóg tylko wie - westchnął głośno - jak udało mi się z tego wyjść.

W popiele błysnął brąz i Jasin szturchnął go patykiem. To pewnie klamka, Georgina miała upodobanie do ozdobnych klamek, ale odniósł wrażenie, że metal okryty jest skórą, bardzo nadpaloną, acz rozpoznawalną. Kucnął i ostrożnie przysunął do siebie skórę, po czym starł z niej popiół. Skóra miała pięć cali szerokości i wyglądała jak pas. W głowie mu się zakręciło, odór śmierci wciąż unosił się nad tym miejscem, ale przecież był wszędzie w ruinach jego domu. Próbował sobie przypomnieć, czy miał coś z brązu w skórzanej pochwie, i z roztargnieniem przesunął po pasie dłonią. Nie chciał przyłączać się do mężczyzn wykonujących upiorną pracę, nie zaszkoździ wyglądać na zajętego szukaniem swojej własności.

Próbował wydrzeć kawałek brązu, ale wystawał tylko we fragmencie i siedział mocno, Jasin pociągnął więc pas czy cokolwiek to było, zaskoczony jego ciężarem. To nie może być pas, pomyślał, piekielnie ciężki, tylko wół by to unióśł, a potem ze zdumieniem graniczącym ze strachem przyjrzał się jeszcze raz metalowi. To nie brąz, tylko złoto, wiedział to na pewno. Wiele lat temu, kiedy był chłopcem, ojciec pokazał mu bryłkę złota z jakiejś kopalni. Jasin pamiętał swoje rozczarowanie, zawsze myślał, że złoto jest gładkie i błyszczące jak złoty zegarek ojca. Przez minutę trwał w oszołomieniu, później czujnie spojrzął na swoich ludzi. Byli zajęci pracą. Ustawił się plecami do nich

467

i zaczął macać skórę. W kilku miejscach trafił na wybrzuszenia. Coś mu to przypominało. Na drugim końcu przez skórę także widział żółte błyski. Kiedy zobaczył wystrzępione i przypalone rzemyki, uświadomił sobie,

dlatego ta rzecz jest znajoma: to był pas na pieniądze, prymitywny, ale mocny i uszyty starannie. Wyjął nóż i wydlubał pierwszą ciężką bryłkę. Stwierdził, że trzyma w dłoni złoto ważące co najmniej pół funta. Co najmniej pół funta, powiedział do siebie z rosnącym podnieceniem. Jeszcze raz przesunął palcami po pasie i przekonał się, że twarda skóra kryje też mniejsze grudki. Pot strumieniem lał mu się po twarzy. Znalazł fortunę. To musiało należeć do czarnego, który zginął dokładnie w tym miejscu. Żaden biały nie mógł nosić takiego pasa, nie zwracając na siebie powszechnej uwagi, był szerszy od pasa, którym nagradzano zwycięskich bokserów. I co czarny robił ze złotem? A co ważniejsze, skąd się wzięło? Czy na farmie Mon tonę jest złoto?

Jasin trząsał się jak w gorączce. Myślał o sprzedaniu Montone i powrocie do Carlton Parku, ale teraz niezależnie od tego co się wydarzy, ta farma nie była na sprzedaż.

Pamiętał tego czarnego, ale wtedy widział tylko jego pomalowaną na białą twarz.

- Gdybym wiedział, że to masz - mruknął - oddałbym ci cały ten przeklęty dom.

Lord Heselwood, earl Montone, przysypał pas popiołem, przykrył kawałkiem deski i swobodnym krokiem wrócił do konia.

- Znalazłeś coś, szefie? - zagadnął go Passey.

- Niewiele - odparł Jasin ze smutkiem. - Trochę biżuterii żony, stopiła się, ale może jubiler zdoła coś uratować. To pamiątki, mają wartość tylko sentymentalną, ale przyrzekłem Georginie, że poszukam. - Wziął sakwę i wrócił do swego znaleziska, krocząc z udanym przygnębieniem. Tam wyciągnął pas ze złotem i wepchnął do sakwy, przykrywając go szmatami.

Na wierzchu umieścił zawiniątko z żalnymi resztkami biżuterii.

Wiele czasu minęło, nim poganiacze pogrzebali szczątki i odprawili krótką ceremonię.

- Mamy przejść przez dom i sprawdzić, co jeszcze dałoby się stąd zabrać?

- zapytał Passey.

- Po co? - Jasin wzruszył ramionami. - Nie możemy nic wieźć, pędząc bydło. Rozbijemy obóz i wyjeżdżamy o świcie.

468

Rano wszyscy zerwali się, pragnąc jak najszybciej opuścić pogorzeliśko.

Obudzili leniwie pasące się bydło trzaskaniem z bata. Konie galopowały w stronę buszu, by odciąć stado drogę, ptaki skrzeczały, kangury czmychały, ale nigdzie nie było widać śladu czarnych. W ciągu kilku dni w granicach farmy zebrali setki sztuk bydła, po czym rozpoczął się wielki spęd na południe. Jasin i Passey prowadzili stado, pozostali zaganiali kolejne zbłąkane grupki, ale przedsięwzięcie okazało się o wiele trudniejsze, niż Jasin sobie wyobrażał. Zwierzęta były nieposłuszne, zirytowane zabraniem ich ze znajomego terytorium, a ludzi za mało, żeby poradzić sobie z liczebnym stadem. Poza tym bez wozu z zapasami żywności, bez kucharza, nie byli odpowiednio wyposażeni na powolną wędrówkę.

Pod koniec drugiego tygodnia Jasin porzucił pomysł, by ominąć Brisbane i udać się prosto do Ipswich (jak obecnie nazywano Limestone), co miało ich uchronić przed sporami z hodowcami, którzy rozpoznają swoją własność. Jasin i jego ludzie żywili się upolowaną zwierzyną i owocami, które znajdowali przy szlaku, kradli też ryby z pułapek zastawianych w rzekach przez Aborygenów. Nie było czasu na ubój, nie mieli nic do popicia przypalonego mięsa, noce spędzali pod gołym niebem, z którego

łał się deszcz.

Tylko Passey był zaniepokojony.

- Niektóre znaki własnościowe mogą być powodem do awantury - ostrzegał.

- Do diabła z nimi! - prychnął Jasin. - To porzucone bydło, a my je znaleźliśmy. Targi znajdują się na peryferiach miasta. Pojedziemy tam i sprzedamy wszystko na pniu. Kto pierwszy, ten lepszy, i guzik mnie obchodzi, czy będą musieli po raz drugi kupić własne bydło.

Z okna hotelowej łazienki Georgina zobaczyła Jasina wjeżdżającego na dziedziniec, zbiegła więc po schodach, by na oczach wszystkich rzucić mu się na szyję z ulgą i radością.

- Ostrożnie - wyszczerzył zęby. - Jestem brudny jak nieboskie stworzenie, to była ciężka droga.

- Tak się cieszę, że wróciłeś! Tyle tygodni minęło od twojego wyjazdu, bałam się, że spotkało cię coś strasznego, a nie chciałam iść na policję, bo mi zabroniłeś. Na pewno nic ci nie jest? Wyglądasz na wyczerpanego.

469

- Oczywiście, że nic mi nie jest. - Zdjął sakwę i zarzucił sobie na ramię. Stajenny odebrał cugle i oboje, Jasin i Georgina, weszli do hotelu tylnymi drzwiami. Minęli panią Pratt, która spojrzała na nich lodowato, po czym odwróciła się tyłem.

- Ona chce pieniędzy - szepnęła Georgina.

- Moja droga, mamy pieniądze. Za dwa, trzy dni już nas tu nie będzie.

Po opłaceniu poganiaczy Jasinowi zostało ponad tysiąc funtów ze sprzedaży bydła. Zignorował gniewne pomruki osadników i niepewne pytania komendanta okręgu, którego wysłano, by zbadał, skąd wzięły się

stada z taką różnorodnością znaków własnościowych. Nazajutrz uregulował długi, po czym rozgniewany tym, że z banku wciąż nie przysłano im pieniędzy, wsiadł z żoną na przybrzeżny parowiec płynący do Sydney.

- Ten przeklęty dyrektor banku odpowie mi za to - odgrażał się. - Moglibyśmy przymierać głodem, nic by go to nie obchodziło. Już ja dopilnuję, żeby wylali go na bruk, nie popuszczę.

Georgina słuchała go skonfundowana.

- Może lepiej załatwić to spokojnie, Jasinie? Nasze kłopoty jeszcze się nie skończyły. Myślałam, że jedziemy do Newcastle odwiedzić Burnettów, a stamtąd do Carlton Parku.

- Plany uległy zmianie - oznajmił Jasin wesoło. Żona zauważyła, że wrócił z Montone szczęśliwy, wydawał pieniądze bez oporów, jakby gotówka ze sprzedaży bydła miała im wystarczyć do końca życia.

- Ciągłe zmieniasz nasze plany. Czy przynajmniej raz nie moglibyśmy zrobić tego, co ustaliliśmy? Doprawdy, Jasinie, zupełnie cię nie rozumiem. Kajutę mieli małą i zatęchłą. Jasin rzucił na koję sakwę i kufer zawierający ich skromną garderobę.

- I jak możemy jechać do Sydney w tych okropnych strojach? -jęknęła Georgina. - Heselwood, naprawdę uważam, że powinieneś jeszcze to przemyśleć.

Sprawdził drzwi, ale nie było w nich zamka.

- Stań przy drzwiach, moja droga, i nikogo nie wpuszczaj. Od początku chciałem ci o tym powiedzieć, ale uznałem, że poczekam, aż wyjedziemy z Brisbane. - Wyjął płócienny worek z sakwy i wysypał jego zawartość na koję.



- Co to jest? - zapytała. - Co ty tu masz?

470

- To złoto - roześmiał się. - Czyste złoto! Wcale nie jesteśmy biedni. W Sydney była piękna pogoda, kiedy Heselwoodowie po wielu latach wrócili do miasta. Z portu wzięli dorożkę prosto do Australian Hotelu.

- Cudownie znowu tu być - westchnęła Georgina. - I ten wygodny apartament... co za niespodzianka! Bardzo mi się tutaj podoba. Musimy odnowić kontakty i zaprosić przyjaciół na kolację. Wreszcie czuję się swobodnie. Jak długo tu zostaniemy?

- Dopóki nie znajdziemy przyzwoitej kajuty na statku do Londynu.

- Znowu jedziemy do Anglii? Nie wiedziałam.

- Chcę złoto sprzedać w Londynie - Jasin zniżył głos. - Sądzę, że dostaniemy tam lepszą cenę. Tutaj nikt nie może się o nim dowiedzieć, bo wszyscy rzucają się do Montone, nie zważając na obecność czarnych. Jeśli pokażę swoje bryłki, wiadomość się rozejdzie i nikt nie będzie mieć wątpliwości, że znalazłem złoto w Montone. Na to nie możemy pozwolić.

- Ale z Carlton Parkiem?

- Musimy pozbyć się Forrestów, a utrata Montone to idealny pretekst.

Zarządcą może być Passey, weźmie ze sobą poganiaczy. Każę prawnikom raz na zawsze uporządkować kwestie finansowe, nie chcę wiecznie zaprzętać sobie tym głowy, ale nie zrezygnujemy z Carlton Parku, to doskonała farma. A w odpowiednim czasie odzyskamy też Montone, wojsko wypędzi stamtąd czarnych. Istnieje też możliwość, że w Montone jest złoto, chociaż to nie jest pewne, ten czarny mógł je przynieść z innego miejsca. - Pociągnął za dzwonek. - Co powiesz na sherry przed kolacją? A skoro o tym mowa, lepiej zjedźmy ją tutaj. Nie możemy pokazać się w

jadalni w tych łachmanach.

- Doskonały pomysł. Będziemy patrzeć na zachód słońca. Jutro przyjrzymy się obecnej modzie w Sydney, choć oczywiście nie dorównuje londyńskiej.

Do drzwi zapukał kelner. Jasin polecił, by poprosił do nich dyrektora.

- Wyjaśnię mu nasze trudne położenie - rzekł do Georginy - i powiem, żeby przysłał nam najlepsze dania. Wiesz, w Londynie będzie nam dość zimno po tutejszym balsamicznym klimacie. Człowiek zapomina o chłodzie i mgłach. Zastanawiałem się,

471

czy nie wolałabyś kupić domu w Sydney? Mogłabyś go urządzić według własnego gustu.

- Jasinie, jak dla mnie jesteś za szybki. Cieszę się na spotkanie z Edwardem, a ty mi mówisz, żebym tu została.

- Wcale nie. Popłyniemy do Londynu, ale przed wyjazdem powinniśmy kupić dom tutaj, bo ceny przez cały czas idą w górę. Będziemy mieli gdzie wracać. Moglibyśmy wynająć go jakiemuś wysokiemu urzędnikowi, który by się nim opiekował.

Do apartamentu przyszedł dyrektor z kelnerem, który niósł szampana i przystawki dla wspaniałych gości. Poinformował, że na dole już czekają dżentelmeni z prasy, pragnący przeprowadzić z nimi wywiad.

- Słyszę, że pan i pańska żona znaleźli się w samym środku północnej masakry, milordzie. To musiało być straszne.

- Istotnie - potwierdził Jasin, dostrzegając świetną okazję. - Musieliśmy uciekać w tym, co mieliśmy na sobie. Rozumie więc pan, że na razie nie możemy nikogo przyjmować. Bardzo by nam pan pomógł, gdyby jutro

przysłał pan do mnie cieszącego się renomą krawca oraz doradził lady Heselwood osobę, która mogłaby jej dostarczyć odpowiednią garderobę.

- Naturalnie, milordzie. Proszę to zostawić mnie. W progu pojawił się kolejny dżentelmen.

- Kim pan jest? - zapytał Jasin.

- Gubernator Gipps przesyła ukłony, sir, i zaprasza lorda i lady Heselwood do rezydencji rządowej - wyrecytował młodzieniec. Hotelarzowi zrzędał mina.

- Proszę w naszym imieniu podziękować jego ekscelencji

- odrzekł Jasin - i przekazać, że z przyjemnością skorzystamy z jego zaproszenia w późniejszym terminie, na razie jednak znajdujemy się w dobrych rękach.

Wysłaniec uklonił się i odszedł, dyrektor hotelu natomiast nie krył zadowolenia. Splótł dłonie i spojrzał na lady.

- To na razie wszystko - oznajmił Jasin, nie dopuszczając do dalszej rozmowy. Dyrektor pośpiesznie się wycofał.

- Nasze przygody na wiele lat zapewnią nam kolacje

- roześmiał się, gdy zostali sami. - Powinienem był powiedzieć, że nie chcę wołowiny, robi mi się niedobrze na sam jej widok. Ale zawsze możemy ją odesłać.

Georgina rozmyślała o projektach Jasina... wyjazd do Londynu... kupno domu w Sydney. Kiedy był w dobrym nastroju,

472

zawsze snuł wielkie plany, które wszakże nie zawsze kończyły się sukcesem.

- Jasinie, może sprzedamy Montone podczas pobytu w Londynie? Możesz

powiedzieć, że znalazłeś tam złoto, i nie skłamiesz, a dzięki temu cena poszybuję w górę.

- Myślałem o tym, staruszko, ale prawdziwym złotem jest ziemia. -

Spojrzał na nią z powagą. - Dawno, dawno temu Heselwoodowie byli niezwykle majątni. W porównaniu ze stanem posiadania moich przodków to, co mamy obecnie, doliczając nawet złoto, które na jakiś czas zapewni nam spokój, jest drobnostką. Zamierzam dopilnować, żeby nikt z naszej rodziny już nigdy nie zaznał upokorzeń, które stały się naszym udziałem. Zatrzymamy Carlton Park i Montone, a także poszerzymy nasze ziemie.

- Jak?

- Przecież wiesz, Georgino, nie udawaj, że jest inaczej. Zamierzam nabyć kolejne działki, i to tanio. Miliony akrów wciąż czekają na zajęcie.

Georgina zeszywniała.

- Doskonale, możesz to robić do woli, ale jeśli będziemy mieć tutaj dom, nigdy więcej nie pojedę w busz. Czasami myślę, że musiałam oszaleć.

- Ależ nie będzie takiej potrzeby, moja droga! Właśnie o to mi chodziło. Zamieszkamy w Sydney, a ja poszukam nowych gruntów. Nie będziemy sami prowadzić farm. Przekonałem się o tym w Montone. Muszę tylko znaleźć godnych zaufania ludzi, którzy potrafią czytać i pisać, tak mówił Horton, pamiętasz? Przedsiębiorczych ludzi rozumiejących busz. Oni będą zarządzać naszymi farmami. - Ujął kieliszek szampana. - Wiesz, zawsze się zastanawiałem, dlaczego Horton chciał, żebym zarządzał jego farmą. A teraz rozumiem. Wtedy sądziłem, że postradał zmysły, ale on bardziej we mnie wierzył niż ja sam. Gdyby teraz prosto z Anglii przyjechał John Horton, natychmiast i bez namysłu oddałbym mu farmę w zarząd.

Wypijmy za drogiego Hortona!

Georgina uśmiechnęła się.

- Wypiłabym raczej za to, że w Montone nie było z nami Edwarda. Dla chłopca byłoby to przerażające doświadczenie. Nie chcę się dłużej nad tym rozwodzić, Jasinie, ale wciąż uważam, że ten czarny, który włamał się do sypialni, próbował mnie chronić.

473

- Kompletne bzdury. Przewrócił cię. Byłaś cała posiniaczona.

- Jasinie, on wepchnął mnie pod łóżko, a potem uciekł!

- Pozwalasz bujać swojej wyobraźni, Georgino, bo jest ci go żal.

Zastrzeliłem go w progu twojego pokoju. Bóg wie, co zamierzał. To było okropne, nie chcę o tym myśleć. Porozmawiajmy o czymś przyjemnym.

Co powiesz na to, żebyśmy jutro zaczęli szukać domu?

Lord Heselwood został serdecznie przyjęty w siedzibie Banku Anglii przez Wilfreda Lutona, który zaprosił znamienitego gościa do sali konferencyjnej na drinka przed lunchem.

- Drogi lordzie Heselwood, słyszałem, że pan wrócił, i miałem nadzieję, że mnie pan odwiedzi.

Jasin uśmiechnął się. Wcale w to nie wątpię, pomyślał, gość wygląda na zdenerwowanego, pewnie niepokoi go stan moich finansów. Z trzaskiem postawił na stole stalową skrzynkę.

- Czytałem o tej tragedii w gazetach - rzekł Luto. - To przerażające.

- Niech pan nie wierzy w połowę tego, co wypisują.

- Ale zaatakowali was czarni! I farma spłonęła.

- Spłonął dom, farma wciąż tam jest. Nie można spalić ziemi. To nadal jest wspaniała posiadłość.

- Och, naturalnie, aczkolwiek nam to sytuację cokolwiek utrudnia. Chodzi

mi o to, że farma nie działa, lordzie Heselwood. Z przykrością o tym wspominam, bo tyle pan przecierpiał, ale są odsetki i raty do zapłacenia. Może mi pan wierzyć, zastanawiałem się długo, jak najlepiej panu pomóc, ale sytuacja jest doprawdy poważna.

Jasin położył mu dłoń na ramieniu.

- Wręcz przeciwnie, drogi przyjacielu, wręcz przeciwnie. - Nie zamierzał wspominać o sprzedaży bydła, ponieważ ten liczykrupa spróbowałby wydrzeć mu zyski z kieszeni. - Utrata Montone i wszystkich rzeczy osobistych była strasznym przeżyciem dla mojej żony.

- Czy to prawda, że pan i pańska żona, przepraszam, lady Heselwood, musieliście uciekać ścigani przez dzikusów?

- Tak! To niesamowita historia, dlatego jestem rad, że lady Heselwood może teraz odpocząć w Sydney.

474

Luton z oczami okrągłymi z ciekawości słuchał nowin, które osobiście przekazywał mu earl.

- Musi pan zostać na lunchu i wszystko mi opowiedzieć!

- Przepraszam, ale to niemożliwe. Dzisiaj przeprowadzamy się do rezydencji rządowej, nalegał na to gubernator. Może odwiedziłyby nas pan i zjadł z nami lunch?

- Z ogromną przyjemnością - odrzekł bankier i podjął przerwany wątek: - Wróćmy do kwestii płatności. Jakie rozwiązanie mógłby pan zaproponować?

- Za kilka dni będę dysponował gotówką, to nie jest problem. Wciąż mamy Carlton Park, pamięta pan? Lokatorzy są mi co nieco winni, niedługo zakończymy rozliczenia. Zastąpię ich Passeyem z Montone,

który dowiedział, że jest idealnym kandydatem na zarządcę, godnym zaufania, znającym swój fach. Wprowadzi ulepszenia w Carlton Parku. Kiedy tylko niepokoje na północy wygasną, ponownie uruchomię Montone. Teraz jednak muszę już iść.

Nie miał żadnych wiadomości z Carlton Parku. Prawnicy wysłali nakaz eksmisji, ale dotąd nie otrzymali odpowiedzi. Zapewnili Jasina, że to najlepsze rozwiązanie tego problemu, i skrytykowali za zbyt łagodne potraktowanie Forrestów i zezwolenie im na zamieszkanie na farmie.

- I jeszcze jedno - dodał. - Mógłby pan na jakiś czas umieścić tę skrzynkę w sejfie? W tym pęku mam klucz, ale wiecznie któryś gubię, tak więc go panu zostawię. Nalegam jednak, by skrzynki nie otwierać, zawiera osobiste dokumenty oraz biżuterię uratowaną z Montone.

- Naturalnie, dopilnuję tego. Może pan na mnie polegać.

- Doskonale. Wrócę, kiedy zadomowimy się w rezydencji rządowej.

Prawdę mówiąc, cała ta sprawa w Montone była sporym szokiem, dopiero zaczynam odzyskiwać panowanie nad sobą. I dziękuję za pańską cierpliwość, bardzo ją doceniam.

Wyszedłszy z banku, Jasin roześmiał się głośno. Ludzka natura jest niezmienna, kiedy dyrektor weźmie skrzynkę do ręki i stwierdzi, jaka jest ciężka, z całą pewnością w tajemnicy ją otworzy i zobaczy, że zawiera złoto. To zupełnie zmieni sytuację, bankier nie odważy się nikomu o tym wspomnieć. O tak, panie Luton, kiedy znowu pana odwiedzę, inaczej będzie pan śpiewał, a w dodatku powiem panu, co sędzę o tym draniu, dyrektorze banku w Newcastle, który odmówił pożyczania nam pieniędzy,

475

kiedy byliśmy w potrzebie. Który zostawił nas bez środków do życia!

Jakże on się nazywa? A tak, Jackson. Cóż, Jackson, pomyślał Jasin ponuro, lepiej zacznij się pakować.

Szedł ulicą, wielce z siebie zadowolony. Rzeczywiście rano przeprowadzili się do rezydencji rządowej. Gipps planował powrót do Londynu, jak tylko zakończy serię pożegnalnych wizyt, ponieważ stan zdrowia nie pozwalał mu na dłuższe przebywanie w kolonii, i zaprosił lorda i lady Heselwood, by podróżowali z nim jednym z okrętów wojennych jej królewskiej mości. Jasin z zachwytem przyjął zaproszenie. Nie tylko w czasie rejsu będą się cieszyli wszelkimi wygodami i doborowym towarzystwem, ale też nie zapłacą za to ani pensa. Kroczył prężnie ulicą zalaną porannym słońcem, kiedy nagle jak spod ziemi wyrósł przed nim nieznajomy, silnie zbudowany, odziany jak buszmen.

- Heselwood? - krzyknął i nim Jasin zdążył odpowiedzieć, zamachnął się batem, celując w twarz. Jasin odchylił się i uniósł ramiona, by się ochronić. Bat trafił go w szyję.

Nie potrafiąc obronić się przed tym nagłym atakiem, Jasin odwrócił się i zaczął uciekać. Wtedy jednak długi ostry bat wystrzelił ponownie i spadł mu na plecy. Drgnął z bólu i potknął się. Czuł krew zalewającą mu twarz, słyszał okrzyki i wołania, potem jakieś ręce wciągnęły go do fryzjera i posadziły na krześle, napastnik jednak nie zrezygnował z pogoni.

- To za mojego brata! - krzyknął szalenie, zbliżając brodatą twarz do twarzy Jasina. - Za Dermotta Forresta!

A potem wybiegł na ulicę.

Jasin odpychał fryzjera i jego pomocników, którzy wilgotnymi szmatkami ocierali mu krew. W progu tłoczyli się gapie.

- Niech się pan nie rusza, sir! - zawołał ktoś. - Posłaliśmy po doktora.



Może trzeba będzie szyć tę ranę na policzku.

- A na szyi? - odezwał się inny.

- Ach, co za szkoda! - rozległ się kobiecy głos. - Taki śliczny surdut zupełnie zniszczony!

Nikomu nie przyszło do głowy, by wezwać policję. Porachunki powszechnie załatwiano przy użyciu bata, a Jasin nie mógł myśleć o niczym poza bólem i upokorzeniem.

- Zostawcie mnie w spokoju! - krzyknął. - I zamknijcie te przekłete drzwi!

476

ROZDZIAŁ Czterdziesty Siódmy.

Fred Forrest po powrocie do Carlton Parku nie wspomniał o ataku na Heselwooda, nie było takiej potrzeby, osiągnął swój cel i wiedział, że Heselwood go nie oskarży, bo nie będzie chciał, żeby o sprawie powszechnie dyskutowano i pisano w gazetach.

Milly była apatyczna, nie odstępowała teraz na krok Lucy Mae i trzęsła się nad Dermottem. Wciąż nie potrafiła pogodzić się z myślą, że muszą opuścić Carlton Park.

- A gdybyśmy nie wyjechali? - po raz setny pytała Freda.

- Mówiłem ci, Milly. Mogą nas usunąć siłą, a tego byś nie chciała. Dopóki nie będziemy w stanie dowieść praw Dermotta, Heselwood jest właścicielem posiadłości, koniec, kropka, miejscowy sędzia nic więcej nie musi wiedzieć.

- Sędzia? - pisnęła Milly. - On chyba nie może kazać sędziemu, żeby nas usunął?

- Właśnie to Fred próbuje ci wytłumaczyć - wtrącił Dermott. - Tak czy owak my będziemy się śmiali ostatni. Nie jesteśmy bankrutami. Życie tutaj

nic nas nie kosztowało, a przy tej suszy nie moglibyśmy wybrać lepszego momentu na wyjazd. Pozwiemy go do sądu, a jeśli wyrok wydany tutaj nie będzie dla nas korzystny, odwołamy się do sądów w Anglii. Nie ustąpię.

- Tak trzymaj, Dermott. - Fred poklepał brata po ramieniu. - Nie ma sensu, żebyśmy dłużej tu siedzieli. Bydło jest sprzedane, i tak by tutaj nie przeżyło. Powiedziałem prawnikowi, dlaczego musimy je sprzedać.

Stwierdził, że dopisało nam szczęście, bo całe stado kupił Dangar, więc w tej sprawie mamy wiarygodne wytłumaczenie, i nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy zająć się odbudową.

- Racja - zgodziła się Milly z gniewem. - Ale można by pomyśleć, że ten podły drań Heselwood będzie chciał, żebyśmy zostali i to zrobili.

Fred spojrzał na nią ze smutkiem.

- Daj spokój, Milly. Heselwood przysyła swoich ludzi. Wolałbym wyjechać, nim się tu zjawią.

Rozejrzała się dziko dokoła.

- A co z naszymi rzeczami? Meblami? Sprzętami?

- Załatwiłem wóz - odparł Fred. - Weźmiemy, co się da.

477

- O nie! Weźmiemy wszystko, ogołocimy dom do cna, nawet gdybyśmy musieli wynająć trzy wozy. Nie zostawię im niczego!

- W takim razie sprawa załatwiona - powiedział Fred zadowolony, że decyzja wreszcie zapadła. Cieszył się z powrotu do Sydney, gdzie znowu zaczną zarabiać prawdziwe pieniądze. Zamierzał otworzyć wytwórnię wyrobów skórzanych.

- Ale gdzie będziemy mieszkać? - zawołała Milly z rozpaczą. - Sprzedałeś dom.

- Na razie wynająłem mieszkanie przy Clarence Street.
- Och, świetnie! - Czuła, że wracają jej siły. - To wystarczy na czas, kiedy będziemy szukać innej farmy.

Juan Rivadavia jechał przez Kooramin, przygnębiony suszą. Małe stadka bydła skubały osty, które poranią im pyski i wnętrzości. Trwająca drugi rok susza dotknęła także Hunter Valley, aczkolwiek nie tak mocno.

Juanowi było żal hodowców na Liverpool Plains, znaleźli się w strasznym położeniu, a nadchodziło długie suche lato. Przede wszystkim zaś współczuł Pace'owi, wiedział bowiem o jego innych kłopotach.

Zastanawiał się, co też mogło zmusić Dolour MacNamarę do próby samobójczej. Wydawała się wesołą osobą, pewną siebie, a w dodatku była piękną kobietą.

Kiedy do Chelmsfordu dotarła wiadomość, że żona właściciela Kooraminu usiłowała odebrać sobie życie, Juan w to nie wierzył, przekonał go dopiero Andy, który spotkał poganiaczy Pace'a. Oni też zachodzili w głowę, dlaczego tak się stało. Pace i jego żona cieszyli się powszechną sympatią. Nikt nie potrafił znaleźć wiarygodnego powodu. W dodatku Dolour miała trzech synów... to najbardziej zszokowało Juana. Wciąż nie potrafił się otrząsnąć.

Tak bardzo pragnął syna, ale Delia dwa razy poroniła w pierwszych miesiącach brzemienności. Juanowi złamało to serce, nie mógł pojąć, że żona tak lekko to przyjmuje. Z drugiej strony Delia niczym nigdy się nie przejmowała. Nie interesowała jej farma i z prawdziwym talentem domagała się wyjazdu do Sydney albo Newcastle akurat wtedy, kiedy Juan był najbardziej zajęty pracą. Narzekała na upał i chciała przenieść się do domu nad morzem, on jednak zdecydował, że uczynią to dopiero na Boże

Narodzenie. Żałował, że kupił ten dom w Newcastle, Delia wołała go od domu w Chelmsfordzie.

478

W oddali zobaczył człowieka w dwukółce odjeżdżającego spod domu i serce mu się ścisnęło. To był Tom Green w swojej charakterystycznej białej pelerynie. Juan zawrócił konia i pogalopował za dwukółką.

- Dzień dobry, panie Rivadavia! - zawołał Green. Widać było, że ma ochotę na pogawędkę.

- Dzień dobry, doktorze. Był pan u MacNamarów?

- A tak. Objeżdżam farmy.

- Wszystko u nich w porządku?

- Pyta pan o panią MacNamara? Nieźle dostało się jej płucom, ale Irlandczycy nie mają silnych płuc, pewnie z powodu tamtejszej wilgoci. Nam też by się jej trochę przydało, prawda?

- Ale pani MacNamara czuje się już dobrze?

- O tak, choć powiem panu, że jej mąż strasznie to przeżył. Minał już miesiąc, a on wciąż chodzi z taką miną, jakby to była jego wina. Mówiłem mu, że nie powinien się obwiniać. W buszu to wcale nie jest rzadkością. Kobiety się załamują. Przybywają z odległych krajów i busz to dla nich za wiele. Jedne wchodzą w rzekę i zostaje po nich tylko kapelusz, inne uciekają w busz i wszelki śluch po nich ginie. Zagubiona w buszu, tak brzmi oficjalny werdykt, ale ja mam wątpliwości. Nie sądzę, by chciały, żeby je odnaleziono, w każdym razie niektóre, oczywiście nie wszystkie. Jedzie pan do nich z wizytą?

- Tak.

- To dobrze, MacNamarze poprawi się humor. Osadnicy zresztą nie mają

ostatnio powodów do radości. Niech pan spojrzy na niebo. Ani jednej chmurki. A jak się miewa pana żona, znowu jest przy nadziei?

- Obawiam się, że nie. Doktor pyknął z fajki.

- Cóż, następnym razem niech pan potrzyma ją w łóżku przez pierwsze miesiące. Zresztą i tak nie ma za wiele do roboty. Z drugiej strony to zabawne, widuję kobiety, które harują jak woły, a mimo to co roku rodzą dzieci. Przypuszczam, że to kwestia budowy. Pani Rivadavia jest trochę za chuda. Niech pan ją odkarmi, co wieczór poi szklaneczką porteru, zachęci do ruchu. No, muszę jechać. Jeden z poganiaczy w Carlton Parku miał wypadek, złamał nogę i parę żeber. - Wyciągnął do Juana dłoń. - Miło było pana spotkać. - Lekko strzelił z bata i dwukółka potoczyła się po wyboistym szlaku.

479

Dolour powitała go we frontowych drzwiach. Na początku wydawała się zadowolona z jego widoku, później jednak poprowadziła go do salonu.

Jednym tchem zaproponowała, że przyniesie mu kawę i sprowadzi Pace'a.

- Nie, poczekaj - powstrzymał ją. - Jak się czujesz? Uśmiechnęła się ironicznie.

- Już słyszałeś? Wygląda na to, że wszyscy słyszeli. Ciekawe, czy król Anglii też już wie?

- Teraz jest królowa - poprawił ją.

- Ach, to bez znaczenia.

- Myślałem, że jestem przyjacielem rodziny - zaczął, ostrożnie dobierając słowa - a nie tylko współnikiem w interesach. Jeśli zachowałem się niegrzecznie, zadając to pytanie, to bardzo przepraszam.

- Och! - Dolour splotła dłonie. - Tak mi przykro. Czuję się już dobrze,

dziękuję. Pójdę po Pace'a.

- Nie ma powodów do takiego pośpiechu. Zostań i porozmawiaj ze mną trochę.

- To co mam do powiedzenia, nie wyda ci się zbyt interesujące - odparła z nutą buntowniczości w głosie.

- Chyba nie - przyznał.

Dolour ze zdziwienia głośno wciągnęła powietrze. Od tamtego zdarzenia wszyscy obchodzili się z nią jak z jajkiem, a jego uwaga bardziej przypominała obelgę niż uprzejme potwierdzenie. Czuła, że powinna się bronić, nie wiedziała jednak, jak to zrobić.

Juan usiadł i Dolour nie pozostało nic innego, jak także przysiąc niespokojnie naprzeciwko niego.

- Wiedziałaś, że w Argentynie mieszka dużo Irlandczyków?

- Nie - odparła sztywno.

- Jest ich sporo i zawierają małżeństwa z nami. To dobre połączenie, ponieważ Irlandczycy nas rozumieją. Oni też lubią, żeby życie toczyło się dramatycznie. Tak jak my są albo bardzo weseli, albo bardzo smutni, bardzo poważni albo rozmyślnie obojętni. Ty dzisiaj też taka jesteś. Czy to ja wydaję ci się dzisiaj tak mało interesujący, czy dotyczy to wszystkich?

- Wszystkich. - Dolour wzruszyła ramionami.

- Tak myślałem. I dlatego próbowałaś się zabić? Czy twoje życie jest aż tak nudne?

480

Wpatrywała się w niego, ledwo mogąc uwierzyć, że ktoś tak bezceremonialnie wdziera się w jej myśli, z drugiej strony bojąc się odejść, czuła bowiem, że Juan zdobywa nad nią przewagę.

- Jasne, że nie - powiedziała gniewnie. - To o wiele bardziej skomplikowane i wolałabym o tym nie mówić.
- Jak sobie życzysz. O czym w takim razie porozmawiamy? Co się stało, że teraz czujesz się lepiej? Życie stało się lepsze?
- Tak, wyjeżdżam stąd.
- Dokąd?
- Wracam do Irlandii.
- Ach tak? Dlaczego? Siebie już ukarałaś, więc teraz karzesz swojego męża?
- Bo na to zasłużył - wypaliła bez namysłu. - Nie, chciałam powiedzieć, że on mnie nie chce. Wyjeżdżam. Już za późno na zmianę.
- Nie może być za późno. Było za późno, kiedy próbowałaś się zabić, ale tamta chwila minęła. Tamta gra została zakończona. Teraz grasz w inną. Zrobiłaś z siebie głupca, twoja duma doznała uszczerbku i uciekasz. Rozumiem to. Duma dla ludzi takich jak my jest najważniejsza. Z niedowierzaniem wpatrywała się w niego. Mówił tak łagodnie, z takim namysłem, że konfrontacja, którą prowokował, wydawała się zależeć od niej, nie od niego. Czy naprawdę radził jej wyjechać?
- Do salonu wbiegł Pace, by przywitać Rivadavię.
- Juanie, tak się cieszę, że jesteś, miałem zamiar cię odwiedzić, kiedy pozwoli mi czas.
- Przyniosę kawę - powiedziała Dolour, ale Pace ujął ją za rękę.
- Nie fatyguj się, Dolour. Zostań i porozmawiaj z Juanem. Ja pójdę. - Patrzył na nią żarliwie, pragnąc ją zadowolić. Wzruszyła ramionami i odwróciła od niego wzrok, tak jak wcześniej odwróciła wzrok od Juana, Pace wycofał się więc do kuchni.

Było jasne, że Pace'owi bardzo na niej zależy, a ją ten objaw uczuć wprowadził w zakłopotanie. Juan uśmiechnął się.

- Ale choroba wcale ci nie zaszkodziła. Jesteś piękna jak zawsze. Nie wierzę, że on chce, żebyś wyjechała. Co możemy zrobić, żebyś z nami została?

- Żartujesz sobie ze mnie - powiedziała. - Głupio się przy tobie czuję.

481

Skoczył na równe nogi.

- Nigdy bym tego nie zrobił. Nigdy! To następna nasza cecha, nie lubimy, kiedy się z nas kpi. Lubimy, żeby traktowano nas poważnie. Czy nie tak?

Dolour wybuchnęła śmiechem.

- Rozmowa z tobą jest jak zabawa w kółko graniaste! Nie wiem, gdzie za chwilę wyląduję.

Wracając do salonu, Pace nie krył zdziwienia. Po raz pierwszy od długiego czasu słyszał jej śmiech i bał się, że nieopatrzonym słowem zepsuje atmosferę, ale Juan nie był w nastroju do lekkiej pogawędki.

- Jadę z farmy Henry'ego Dangara - powiedział.

- Mówią, że ma wielki dom - wtrącił Pace. - Dziewczeta przyniosą nam kawę, chyba że pomylą ją z herbatą. - Dolour uniosła się, by pójść sprawdzić, ale mąż ją powstrzymał. - Niech same to zrobią.

- To nie jest wielki dom, tylko prawdziwy dwór - stwierdził Juan. -

Potężny i okropny. Nazywają go Domem Zabaw Dangara. A przy okazji, wykupuje okolicznych hodowców. Tobie też złożył propozycję?

- Powiedziałem mu, że nie sprzedam. Dolour wstała.

- Przepraszam, muszę sprawdzić, co one tam robią. - I była za progiem, nim zdążyli zareagować.



Pace odprowadził ją nieszczęśliwym spojrzeniem, po czym z wysiłkiem mówił dalej:

- Co nie znaczy, że obecnie dobrze sobie radzę, ale to musi minąć. Nie zrezygnuję z ziemi.

- Czy istotnie jest tak źle, jak powiadają?

- Widziałeś okolicę. Nigdy bym nie uwierzył, że pastwiska tak szybko wyschną.

Juan kiwnął głową.

- Przykro mi, że nie mogę pomóc, moje pastwiska po drugiej stronie farmy Dangara też są zbyt wysuszone. Wysyłam tam owce, w Chelmsfordzie jest za mało miejsca, żeby wyżywiły się podczas suszy.

- A co robisz z bydlętem?

- Dangar otwiera fabrykę konserw. Sprzedałem mu stada i ty chyba też powinienesz to zrobić. Chude bydło nadaje się tylko na przetwory. Na twoim miejscu sprzedałbym je szybko, póki

482

mają jeszcze na sobie trochę mięsa. Zatrzymaj tylko sztuki rozplodowe.

- Konserwy, co? Już wolałbym patrzeć, jak moje bydło zdycha. Myślałem o otwarciu rzeźni i eksportowaniu solonej wołowiny, to nie wymagałoby zbyt wielkiego kapitału, ale skoro on ma fabrykę konserw... Co o tym sądzisz?

- Sprzedałbym stada.

- I co dalej? Co stanie się z farmą?

- Jakoś przeżyjesz. Pory roku się zmieniają, w końcu przyjdzie deszcz, a z nim nowe życie, nowe stada, trzeba tylko dać ziemi szansę. Mieliśmy dobry plan. Na nieszczęście nie możemy korzystać z działki w Brisbane

Valley, tyle tam zielonej paszy, jak o tym myślę, dostaję szału. Dopóki jednak nie jest tam bezpiecznie, musimy czekać.

Kolację zjedli w minorowych nastrojach. Pace nigdy wcześniej nie słyszał, żeby Juan opowiadał o Argentynie, i wiedział, że przyjaciel dokłada starań, żeby rozładować panujące przy stole napięcie. Modlił się w duchu, by nie przyszło mu na myśl wspominać o Carlton Parku, i na szczęście tego nie zrobił, pewnie nie chciał mówić o kolejnych tragediach w okręgu.

Zastanawiał się, jak sam Juan sobie radzi. Pace słyszał, że Dora jest nieszczęśliwa w Chelmsfordzie i serdecznie nienawidzi swojej pani.

Została tam tylko dlatego, że Andy nie chciał odejść. Rivadavia ma dobrego nadzorcę, myślał Pace, dziwne, że nie wpłynął na żonę, żeby lepiej odnosiła się do służby. To wszakże była drobnostka w porównaniu z jego własnymi problemami.

Wieczorem znowu próbował przekonać Dolour.

- Nie musisz wyjeżdżać. Heselwood nic mnie nie obchodzi. Zapomnij o nim. To już skończone. Ja cię potrzebuję i chłopcy też.
- Na farmie jest pełno ludzi, którzy zaopiekują się chłopcami, a zresztą niedługo i tak pójda do szkoły. Nie zabiorę ich ze sobą, lepiej im będzie jako synom osadnika niż irlandzkiej nędzarki.
- Dolour, nigdy nie uważałem cię za nędzarkę.
- I to uspokaja twoje sumienie, tak? Poszedł w drugi kąt sypialni.
- Nic nigdy nie zagłuszy moich wyrzutów sumienia. Czyżbym stał się takim nikczemnikiem, że próbowałaś odebrać sobie życie, żeby się ode mnie uwolnić?

483

- Tak. Ty i Heselwood. Obaj zabiliście Dolour Callinan. Teraz jestem

tylko panią MacNamara, którą można poniewierać i lekceważyć.

- Nie mów tak, Dolour. Kocham cię. Wszystko będzie w porządku.

Wszystko dobrze się ułoży. Sprzedam bydło, więc latem będziemy mogli odpocząć. Juan zaprosił nas, żebyśmy z chłopcami pojechali do jego nadmorskiego domu na Boże Narodzenie. Zdajesz sobie sprawę, że nasi synowie nigdy nie widzieli morza?

- No to z nimi jedź. Ja chcę tylko, żebyś zapewnił mi przewóz do Queenstown. Stamtąd już sobie poradzę. - Rysy jej stężały z gniewu. - Głupia byłam, że próbowałam się zabić. Teraz czuję się dobrze i wyjadę w tym tygodniu. Nic na to nie poradzisz, więc zostaw mnie w spokoju.

Rano sądziła, że Juan wyjechał z Pace'em na farmę, zastała go jednak na werandzie.

- Gdzie jest Pace? - zapytała.

- Sprawdza stada. Zostań i porozmawiaj ze swoim gościem.

- Żebyś znów mógł się ze mnie naigrawać?

- Nie. Żebyś mogła mi powiedzieć, dlaczego jesteś taka nieszczęśliwa.

Wstał i czekał, aż usiądzie. Dolour znowu się poddała. Był bardzo przekonujący i emanował dobrym humorem, któremu nie mogła się oprzeć. Nie obnosił się z ponurą miną, jak wszyscy na tej nieszczęsnej farmie.

- Dlaczego nie zapytasz Pace'a?

- Pytałem. Rozmawiałem z nim rano, jest taki nieszczęśliwy z powodu twojego wyjazdu, że nie potrafi myśleć jasno. Ale nie chciał mi powiedzieć, jaki jest powód tego dramatu. Stwierdził, że to zbyt osobiste.

- Bo jest. - Płakała teraz zakłopotana. - O Boże, to taki straszny bałagan.

- Powiem ci, co zrobię. Jeśli naprawdę chcesz wyjechać, sam odwiozę cię

do Sydney. Po drodze możesz odpocząć w Chelmsfordzie. Ale musisz mi powiedzieć, dlaczego Nowa Południowa Walia jest dla ciebie tak okropnym miejscem, że wracasz do kraju, gdzie ludzie z głodu umierają na ulicach.

Zamrugnęła. O tym nie myślała. Irlandia, ta zielona i piękna kraina, była wciąż dla niej domem, tam zostali przyjaciele i rodzina. Zapomniała o cierpieniu. Nieskazitelnie błękitne niebo bez wysiłku przecinał jastrząb.

Juan był od niej młodszy, ale wydawał

484

się o wiele mądrzejszy, bardziej jak wspólnik niż surowy sędzia zaproponował, że zabierze ją do Sydney. Wątpiła, by cokolwiek mogło go zaszokować.

- Och, co to ma za znaczenie? Nie chciał ci powiedzieć, dla niego to zbyt wstydlive. Prawda jednak jest taka, że nigdy by się ze mną nie ożenił, gdyby wtedy wiedział, co wcześniej robiłam.

- Bardzo interesujące. Kobieta z przeszłością. To nadaje ci tajemniczości. Spojrzała na niego znad chusteczki.

- To nie jest aż tak interesujące. I nie mów „chyba nie”, bo znowu się zapłaczę.

Uśmiechał się, odchylony na krześle z rękami splecionymi za głową.

- Uśmiechnęłaś się, widziałem. Tak samo jak ja nie wierzysz, że twoja przeszłość jest aż tak zła.

- Ale złe jest, kiedy mąż ci mówi, że nie ożeniłby się z tobą.

- Zgadza się - odparł, najwyraźniej zastanawiając się nad tym. - Tak, to niewybaczalne. Gdybym ja powiedział coś takiego Delii, płaciłbym do końca swoich dni. Z drugiej zaś strony Delia karze mnie za moje grzechy,

żądając prezentów. Czy jest szansa, żeby Pace mógł się wykupić?

- Nie ma. Najmniejszej.

- Powiedz, czy ta sprawa z twojej przeszłości ma jakiś związek z Heselwoodem? To był romans?

Dolour skuliła się na krześle wstrząśnięta. Po raz pierwszy ktoś się domyślił i powiedział to na głos.

- Skąd wiesz?

- Gołym okiem widać, jak bardzo Pace nienawidzi Heselwooda, co zważywszy, że tylko dla niego pracował, jest zupełnie bezpodstawne. I nie zapominaj, że znam Heselwooda. On tę nienawiść odwzajemnia.

Wpatrywała się w niego, z jednej strony zaskoczona, że domyślił się prawdy, z drugiej zaintrygowana spokojem, z jakim o tym mówił. Kiwnęła głową.

- Wiesz teraz, gdzie leży pies pogrzebany... Pace powiedział, że nie ożeniłby się ze mną, gdyby wiedział o Heselwoodzie.

- I tego nie potrafisz mu wybaczyć? A może siłą wyciągnęłaś z niego to stwierdzenie?

- Zapytałam go wprost.

Juan wyprostował się i obrzucił ją poważnym spojrzeniem.

485

- Czasami ludzie zadają niewłaściwe pytania. Pozwól, że też o coś cię zapytam. Czy Pace ożeniłby się z tobą, gdybyś nie była katoliczką?

- Nie.

- A ty byś wtedy uciekła i odebrała sobie życie?

- Jasne, że nie.

- W takim razie moim zdaniem całą tę sprawę rozdmuchujesz.

MacNamarowie powinni częściej rozmawiać. Och, nużę cię, mówię jak mój ojciec.

Dolour wciąż miała zamęt w głowie i żałowała, że Juan zakończył tę rozmowę.

- Chciałbyś obejrzeć konie? Pace mówił, że na jakiś czas niektóre weźmiesz.

Kiedy weszli do stajni, jej wzrok przykuło wiszące na haku siodło.

- Czyje to? - zapytała. - Och, twoje, Juanie, oczywiście. - Przesunęła dłonią po czarnej skórze ze skomplikowanymi szwami i bogatymi srebrnymi zdobieniami. - To prawdziwe srebro?

- Tak. Siodło należało do mojego ojca. To pożegnalny prezent od niego. Zobaczyła jadącego przez pastwisko Pace'a.

- Lepiej wróć do domu. I dziękuję ci, Juanie, ale nie uważam, że rozmowa zawsze wszystko załatwia.

- Uwierz mi, Dolour, załatwia. Trzeba tylko zadawać właściwe pytania. Rozejrzała się zmieszana.

- Nie wiedziałabym, o co pytać.

- W takim razie Pace musi zastanowić się nad pytaniami. Uśmiechnęła się.

- Znowu mówisz zagadkami.

- Ależ skąd! Na miejscu Pace'a nie pozwoliłbym ci odejść.

- I jak byś mnie powstrzymał?

- Przywiązałbym cię do łóżka - roześmiał się, po czym ruszył środkiem stajni, zaglądając do boksów.

- Nigdy ze mną nie rozmawiasz - powiedział Pace - chyba że przy innych ludziach.

- Wiesz teraz, jak to jest - odrzekła. Siedziała na końcu starej trzciny

kanapy, ustawionej w odległym kącie werandy, jakby chciała się ukryć.

486

- Nie podoba mi się. Czy to poprawia ci samopoczucie? W dłoniach

Dolour skupionej nad haftem błysnęła igła.

- Dolour, błagam cię, nie wyjeżdżaj. Co mam powiedzieć, żebyś zmieniła zdanie?

- Możesz nie strzępić języka, to nic nie da. Zapalił fajkę i oparł się o balustradę.

- Bardzo dobrze, w takim razie wyjeżdżamy wszyscy. Sprzedam farmę i wracamy.

Zaskoczona upuściła robótkę na kolana.

- Do Irlandii?

- Tak jest.

- Nie możesz wracać, od razu cię aresztują.

- Zaryzykuję, niewykluczone, że o mnie zapomnieli.

- W takim razie inni skłonią cię, żebyś robił to co przedtem. Walka wciąż trwa.

- Nie będziemy brali w tym udziału. Teraz jestem głową rodziny. Kupimy farmę w Irlandii. Co ty na to?

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Już cię widzę z sześcioma krowami i czterema świniami.

- To nieważne. Nie mogę cię stracić, Dolour, bez ciebie nic tu dla mnie nie ma znaczenia. Czy nie widzisz, że zrobiłbym wszystko z miłości do ciebie?

- To byłaby śmieszna ucieczka, gdyby wszyscy uciekli ze mną - rzekła cicho.

- Zastanowisz się nad tym?
- Zrobiłbyś to dla mnie? Sprzedałbyś swoją drogocenną ziemię?
- Przecież powiedziałem, że tak. I pozwolisz, że usiądę koło ciebie, trochę jestem zmęczony.

Wzruszyła ramionami. Długo próbowała się zdecydować, co powinna zrobić, i sama też czuła się wyczerpana. Potem zobaczyła, że Pace zapadł w drzemkę. Położyła mu dłoń na ramieniu. Obudził się przestraszony.

- Zastanowiłam się - powiedziała. - Chyba moglibyśmy zacząć od nowa.
- A gdzie, tutaj czy w Irlandii? Popatrzyła na spokojne pastwiska.
- Tutaj byłoby najlepiej, nie sądzisz?

CZEŚĆ TRZYNASTA.

Dolina Lagun.

ROZDZIAŁ Czterdziesty Ósmy.

W Chelmsfordzie wydawano uroczystą kolację na cześć gubernatora, sir Charlesa Augustusa FitzRoya, który wizytował Hunter Valley wraz z sekretarzem kolonii, Edwardem Deasem Thomsonem, i kilka dni spędzał na farmie Cormacków.

Sir Charles FitzRoy znany był wszystkim odpowiednim ludziom w kolonii jako człowiek ustępliwy, który rzadko wtrąca się w codzienne sprawy.

Wciąż przeżywano szok, jaki wywołał konflikt Gippsa z osadnikami, dotyczący polityki gruntowej oraz jego planów rozszerzenia systemu oświatowego na wszystkie dzieci, bogate i biedne. Chociaż nie wspominał o czarnych, wszyscy uważali, że gdyby miał czas, posunąłby się tak daleko. Zwłaszcza odkąd zażądał powtórnej rozprawy ludzi zaarrestowanych za udział w masakrze w Myall Creek, gdzie zginęło trzydziestu albo czterdziestu czarnych. Druga rozprawa unieważniła



pierwszy wyrok, wszystkich podejrzanych uznano za winnych i większość powieszono. Do ostatniej chwili mordercy i większa część mieszkańców kolonii oczekiwali ułaskawienia, lecz na próżno.

W ciągu pierwszego roku rządów FitzRoya osadnicy przekonali się, że gubernator przychylnie odnosi się do ich planów ekspansji terytorialnej. Dla przeciętnego człowieka nie był ani gorszy, ani lepszy od innych. I na tym właśnie zależało FitzRoyowi. Zamierzał z żoną pozostać w kolonii do końca sprawowania urzędu, po czym wrócić do Anglii z tarczą, a nie na tarczy, jak wielu jego poprzedników.

Gipps był spokojny i trzymał się na dystans, FitzRoy natomiast rzucił się w wir życia towarzyskiego Sydney, bywał na hucznych przyjęciach i sam je też wydawał. Lubił wyścigi konne

489

i jeździł własnym faetonem po Sydney. Dla wszystkich jasne było, że temu gubernatorowi życie w Nowej Południowej Walii sprawia przyjemność, i doceniali taką postawę.

Chociaż czarni na dalekiej północy wciąż sprawiali niejakie kłopoty, osadnicy przemieszczali się z Brisbane i portów w pobliże Moreton Bay. Każdy wszakże, kto żeglował Cieśniną Cooka za wielką rafę koralową, opowiadał o wspaniałych nie zamieszkanym ziemiach, które oglądał z pokładu statku.

- Tysiące mil żyznej linii brzegowej - mówiono gubernatorowi. - Tę ziemię trzeba zbadać.

I FitzRoy zgodził się wysłać ekspedycję pod przewodnictwem Edmunda Kennedy'ego, której celem była eksploracja odległego regionu ciągnącego się od zwrotnika Koziorożca do cieśnin. Odkrywcy zawojowali

wyobrażnię mieszkańców, a FitzRoy zawsze miał nosa do spraw popularnych.

Powóz toczył się podjazdem do domu w Chelmsfordzie, a FitzRoy rozmyślał o dziwnym niemieckim odkrywcy nazwiskiem Ludwig Leichhardt, który odbył fantastyczną podróż z Darling Downs aż do zatoki Carpentaria, a potem okrążył zatokę i dotarł do skazanego na klęskę Port Essington, z wolna wyniszczanego chorobami i odosobnieniem.

Odpoczywając po tej niewiarygodnej wyprawie, Leichhardt wędrował po łagodnej Hunter Valley i zbierał okazy botaniczne. Gubernator dał znać gospodarzowi, panu Rivadavii, że Ludwig Leichhardt będzie stanowił miły dodatek do listy gości.

Okienka nad masywnymi drzwiami połyskiwały zapraszająco, kiedy powóz gubernatora zatrzymał się i kamerdyner w liberii, innowacja wprowadzona przez Delię, zbiegł ku gościom.

Państwo Rivadavia wyszli powitać wicekróla, w domu goście czekali na prezentację.

Dobroduszny gubernator szedł wzdłuż rzędu, spoglądając na chylące się w ukłonie głowy. Uśmiechnął się do MacNamary, który stał wyprostowany, i jego żony, ni to kłaniającej się, ni to wyprostowanej. Nie przejął się postawą MacNamary, to dodało smaku wieczorowi.

Stanął na progu salonu.

- Bardzo przyjemny dom, sir - pochwalił. - Hiszpański, lubię ten styl. Ale widzę, że na żonę wybrał pan angielską różę. Mądry wybór, w dodatku z korzyścią dla kolonii.

490

Delia zarumieniła się zachwycona.

FitzRoy rozglądał się po pokoju. Byli tu osadnicy, których znał, Dangarowie, De Lisle'owie, Barringtonowie, Cormackowie i jacyś Szkoci z wydatnymi szczękami. Mężczyźni wyglądali, jakby właśnie przybyli prosto z pogranicza, kobiety natomiast zachowywały się sztywno i z rezerwą, ubrane w czerń, która kontrastowała z suknią pani domu z niebieskiej satyny inkrustowanej perłami. Gubernator krążył po salonie, rozmawiając z gośćmi z niekłamaną ciekawością.

- Nie jestem w kolonii od tak dawna - oznajmił - żeby znużyły mnie opowieści o przygodach, a bez wątpienia zdobywanie nowych ziem jest największą ze wszystkich przygodą.

Podszedł do Pace'a MacNamary i zamienił z nim kilka zdań, stwierdził jednak, że z trudem odrywa wzrok od jego żony, a z jeszcze większym powstrzymuje się od prawienia jej komplementów. Intuicja podpowiadała mu jednak, że mężowi mogłoby się to nie spodobać. Oto kobieta, powiedział więc tylko do siebie, artysta nie zdołałby oddać sprawiedliwości tej kremowej cerze i rudym włosom. Uśmiechnął się do niej przelotnie i zauważył, że Rivadavia jako jedyny z obecnych mężczyzn najwyraźniej podziela jego podziw dla Irlandki. Uniósł znacząco brew i stwierdził, że gospodarz odpowiada tym samym. Bez dwóch zdań Latynosi mają oko do pięknych kobiet, pomyślał, w przeciwieństwie do tych zimnych ryb, co odwiedzają rezydencję rządową.

- Często bywa pan w Sydney? - zwrócił się do Rivadavii.

- Dość często.

- Musi mnie pan odwiedzić. Pójdziemy na wyścigi, przyjemnie spędzimy dzień. A gdzie jest pan Leichhardt?

- Jeszcze się nie pojawił, wasza ekscelencjo - odrzekł Juan. - Jeśli pan

sobie życzy, zasiądziemy do kolacji bez niego.

- Dobrze - zgodził się FitzRoy rozczarowany. Wolałby poczekać, ale nie znosił zimnych potraw.

Podano główne danie, soczystą jagnięcinę duszoną w białym winie i przyprawach, którą FitzRoy uznał za przepyszną, kiedy do jadalni wszedł Leichhardt.

- Dobry wieczór, panie i panowie - powiedział głośno z silnym niemieckim akcentem i wszystkie głowy zwróciły się ku niemu. Miał na sobie cylinder, niedobraną odzież i płócienne buty.

491

Gubernator nalegał, by zostawiono koło niego miejsce dla odkrywcy, nie miał bowiem wcześniej okazji go poznać, teraz wszakże żałował swojej decyzji.

- Nie można oczekiwać wytwornych manier po ludziach, którzy czas spędzają w dziczy - powiedział później żonie - ale ten człowiek jadł jak świnia, pochrzäkując i mlaskając, a poza tym cuchnął. Z drugiej strony był fascynujący. Nie pamiętam równie ciekawego wieczoru. Usłyszałem niesamowite opowieści, zwłaszcza kiedy damy zostawiły nas samych. Leichhardt znajdował się w centrum uwagi. Juanem wstrząsnęło prostactwo tego człowieka i dziwił się, że gubernator je przyjmuje z takim spokojem. Brytyjczycy byli dla niego zagadką. Poczul się swobodniej po wyjściu dam, ponieważ niektóre komentarze i relacje Leichhardta były dość ordynarne, nazbyt dosłowne i nie mieszczące się w ramach przyzwoitości.

Podczas gdy porto lało się szerokim strumieniem, Leichhardt opowiadał o swojej wielkiej ekspedycji, następnie podjął filozoficzny temat skutków

osamotnienia na rozległych, nie zaludnionych przestrzeniach. Słuchacze wprost spijali słowa z jego ust.

- Człowiek musi bezgranicznie ufać swoim towarzyszom - skomentował FitzRoy. - Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, by tak to ująć.

- Istotnie, człowiek uczy się kochać ich serdecznie, lecz przecież miłość człowieka do człowieka jest najwyższą formą miłości.

Brytyjczycy z mądrymi minami potwierdzili.

- I nigdy nie znalazła lepszego wyrazu niż na polu walki, gdzie człowiek oddaje życie za przyjaciela - powiedział De Lisie.

Juan przyglądał się im, szeroko otwierając oczy. Naprawdę nie wiedzą, o czym ten Niemiec mówi, czy udają?

- Tak. Tak to jest. Serce i dusza człowieka wyrażają największy podziw dla tych, którzy są mu najbliżsi, nie zapominając o boskiej kreacji, czyli ciele, cudzie samym w sobie.

Juan omal nie wybuchnął śmiechem, słuchając tej dwuznacznej rozmowy, podczas gdy światowiec FitzRoy, przygryzając cygaro, złośliwie zachęcał Leichhardta, by nie przestawał. W końcu gubernator z ociąganiem dał znak do wyjścia, nie mógł pozwolić, by damy czekały w nieskończoność, i nie mógł też dopuścić, by

492

przyjęcie zmieniło się w spotkanie męskiego klubu. Przy pożegnaniu roześmiał się serdecznie.

- Co za wieczór! Proszę przyjąć wyrazy uznania za wyśmienitą kolację i doskonałe wina, najlepsze, jakie piłem w kolonii. A konwersację trudno uznać za nudną, czyż nie?

- Cieszę się, że wieczór sprawił panu przyjemność - odparł krótko Juan. -

Przygotowałem dla pana skrzynkę. To okolica idealna na winnice, pomyślałem, że zechce pan popróbować.

- Dziękuję. Pańskie wina są wyborne, powinien pan pomyśleć o eksporcie. Porozmawiamy o tym, jak przyjedzie pan do Sydney.

Juan uśmiechnął się zadowolony. To był główny cel tej kolacji.

Zaprosił MacNamarów, ponieważ chciał podyskutować o interesach z Pace'em. Kiedy ostatnia susza dobiegła wreszcie końca, Pace odnowił stada w Kooraminie, a Juan otworzył pastwiska na północ od posiadłości Dangara i wykorzystując je jako bazę, wysłali bydło do Brisbane Valley, region ten bowiem uważany był obecnie za bezpieczny. Andy pełnił tam funkcję zarządcy. Ten awans zadowolili wszystkich i rozwiązał problem narastającej niechęci pomiędzy Dorą a Delią. Juan i Pace mieli teraz ponad sto tysięcy sztuk bydła i gotowali się do ekspansji na północny zachód. Wciąż czekały tam na osadników rozległe tereny; obaj zdecydowali, że muszą różnicować swoje posiadłości, żeby nigdy więcej żywioly nie zagroziły im bankructwem.

Juan pożegnał gości i zirytowany zobaczył, że Leichhardt wrócił do jadalni, gdzie opowiadał Pace'owi o swoich odkryciach.

- Co z nim zrobimy? - zapytała Delia. Juan zniecierpliwiony cmoknął.

- Nie mogę mu powiedzieć, żeby wyjechał. Ty i Dolour najlepiej zrobicie, jak pójdziecie się położyć. Nie sądzę, by tematy przez niego poruszane o tej godzinie były stosowne dla uszu dam.

Poszedł do jadalni, by dotrzymać towarzystwa ostatniemu gościowi, szybko jednak, podobnie jak Pace'a, wciągnęła go ta opowieść. To co wcześniej mówił Leichhardt, wydawało się zwykłą relacją z podróży po egzotycznym kraju, teraz wszakże, gdy podawał szczegółową trasę swojej

wyprawy, rzeczy nabrały realności.

493

- Nie ma co gadać po próżnicy - stwierdził. - Poczekajcie, pokażę wam mapy, zawsze je wożę w sakwach przy siodle. - Wybiegł na dwór, a kiedy wrócił, rozwinął mapy na stole, pokazując miejsca, w których był. - Tutaj jest wielka rzeka Burdekin, nazwałem ją na cześć damy z Sydney, która udzieliła mi finansowego i moralnego wsparcia. Wzdłuż jej biegu dotarliśmy nad zatokę. A tutaj o mało wszyscy nie postradaliśmy życia.

- Muszę przyznać - powiedział Pace - odbył pan imponującą podróż. A co z czarnymi?

- Jak wam mówiłem, biedny Gilbert został śmiertelnie raniony włócznią, ale dzięki Bogu tylko on zginął. Gdyby nie dzicy na końcu tej trasy, wszyscy byśmy umarli. Wyprowadzili nas z dziczy do Port Essington. I w samą porę. Powinniście byli widzieć miny tych w Port Essington! Byliśmy jak duchy wychodzące z krainy cieni.

Juan z podziwem pokręcił głową.

- Ja też jestem pod wrażeniem. Wspaniale! Leichhardt uśmiechnął się do niego.

- A na mnie wrażenie zrobiła kolacja. Zostały jakieś kotlety?

- Zobaczę - odparł Juan i poszedł do kuchni. Wrócił z zimnymi kotletami, serami i chlebem.

Trzej mężczyźni rozmawiali jeszcze długo po zapadnięciu ciemności, Leichhardta nie trzeba było zachęcać.

- Musi pan zostać na noc - powiedział Juan. - Jest za późno, żeby jechać. Leichhardt przyjął to jako oczywistość.

- Naturalnie. Widzicie, przygotowuję się duchowo na następną podróż,

która będzie najwspanialsza ze wszystkich. Przemierzę cały kontynent, początkiem będzie rzeka Mitchell, końcem wybrzeże Oceanu Indyjskiego.

- To niemożliwe! - zdumiał się Juan.

- Wszystko jest możliwe, jeśli umysł tego chce. A co do pana, sir, to jestem zszokowany, że jako Argentyńczyk czepia się pan miast, gdy na północy ciągną się cudowne pastwiska dla bydła.

- Mamy posiadłość tutaj. - Juan wskazał na mapie Brisbane Valley.

- I pan nazywa się hodowcą! - wybuchnął Leichhardt. - Istnieją o wiele lepsze ziemie, otwarte i świeże jak pampy

494

w pańskim kraju, a pan siedzi tu i marnuje czas, bawi się pastwiskami wielkości chusteczki do nosa. Proszę zobaczyć tutaj, nad rzeką Burdekin...

- Przesunął dłonią po mapie w głąb lądu.

- Może pan mieć hodowlę o powierzchni stu mil kwadratowych i wie pan co? Nikt nawet nie zauważy. To będzie kropka na mapie.

Pace ze zdumieniem spojrział na podniszczoną mapę.

- Ta kraina jest ogromna, teraz to widzę, wcześniej nie zdawałem sobie z tego sprawy. Ale na Boga, w którym miejscu by pan zaczął?

- Powiem panu, zacząłbym od najbardziej dojrzałej śliwki.

- Niemiec odciął kawałek sera i wpakował do ust. - Dobry ser, sam pan go wyrabia?

- Nie, jest z importu - odparł Juan z roztargnieniem, chciał bowiem, żeby gość mówił dalej. W końcu milczenie przerwał Pace.

- A czy można zapytać, gdzie ta kraina się znajduje?

- Ależ naturalnie. Mówiłem wielu ludziom, ale nikt nie słucha albo go to nie obchodzi, zbyt jest odległa.



- Gdzie? - szepnął Juan podniecony.
- Tutaj! - Leichhardt dźgnął kościstym palcem w mapę.
- To najpiękniejsze pastwiska na świecie. Istny raj, słodka zielona trawa, mnóstwo wody i zatoczki pełne ptactwa. Kiedy pierwszy raz ujrzałem ów eden, taki byłem zaskoczony, taki zachwycony, że górę widoczną w oddali nazwałem Niespodzianką. Bo tym to właśnie było, największym zaskoczeniem mojego życia.

Jego towarzysze słuchali jak zaczarowani.

- Oaza dzikości - ciągnął Niemiec. - Nadałem jej nazwę: Dolina Lagun.
- Dolour budziła się przez całą noc, czekając na Pace'a. Kiedy o świcie wiatr dmuchnął przez otwarte okna, żałowała, że nie jest w domu, bo mogłaby się napić herbaty. Poranne światło sączyło się do pokoju, nadając ścianom różowy połysk, a czarnym meblom głębię. Zimne kamienne podłogi pokrywały grube czerwono-czarne dywany. Dolour pomyślała, że kamienne podłogi są ładne i zawsze wyglądają czysto, wołała jednak swoje drewniane. Wraz z poprawą pogody farma bujnie rozkwitała i Dolour mogła swój dom umeblować wygodnie, tak jak chciała, ale zawsze interesująco było podpatrzeć u innych, co jeszcze można by zrobić.

495

Drzwi uchylły się cicho, zawołała więc:

- Nie musisz chodzić na palcach! Nie śpię.
- A czemu właściwie nie śpisz o tej porze? - zapytał Pace zmęczonym głosem.
- W każdej chwili się ciebie spodziewałam. Mam ci coś do powiedzenia.
- Powiesz mi jutro. Jestem wykończony, muszę się położyć.
- Rozmawiałeś z Juanem?

- O czym? - Pace ziewnął szeroko. - Rozmawialiśmy z tym Niemcem...
- Więc ci nie powiedział?

Pace milczał. Ściągnął buty, zrzucił surdut z wymyślnymi klapami, spodnie i kamizelkę, na dalszy ciąg zabrakło mu sił. Padł na łóżko.

- Nie kładź się w najlepszej koszuli, Pace - powiedziała Dolour prosząco, ale nie doczekała się żadnej reakcji. Pochyliła się nad mężem i potrząsnęła nim: - Pace! Słuchaj mnie, Delia wyjeżdża. Mówiła mi o tym wczoraj wieczorem. Wraca do Anglii, ponieważ nienawidzi tego kraju. Co możemy zrobić?

On już jednak spał jak suseł.

Kiedy po domu zaczęła kręcić się służba, ubrała się starannie i spięła włosy, po czym wyszła poszukać Juana. Rozmawiał na podwórzu z parobkiem.

- Możesz poświęcić mi chwilkę? - zawołała. Miała nadzieję, że Delia jeszcze jest w swoim pokoju.

- Oczywiście, Dolour. Wyglądasz pięknie. Dobrze się bawiłaś wczoraj wieczorem?

- O tak, wieczór był uroczy. Kiedy mnie wsadzali na statek, w najśmielszych snach nie przypuszczałam, że będę jadła kolację z gubernatorem.

- Jego ekscelencja bardzo cię polubił.

- Daj spokój, to nieprawda, nie powinieneś mówić takich rzeczy. Ale chciałam porozmawiać z tobą o Delii. Powiedziała, że wyjeżdża.

Westchnął i uniósł dłonie w geście rezygnacji.

- Pragnie wyjechać. Myślę, że tęskni za domem, tu jej się nie podoba, nie lubi Nowej Południowej Walii. Nie mogę jej nawet przekonać, żeby

zamieszkała w Sydney.

- Więc ona tylko wyjeżdża na wakacje?

496

- Nie. To nie jest nagła decyzja. Od długiego czasu widziałem, że się na to zanoszą. Delia zamierza wrócić do ojczyzny i zamieszkać z matką. Będę ją utrzymywał, powiedziałem, że jeśli sobie życzy, kupię jej dom w Londynie, zresztą gdziekolwiek zechce.

Wstrząśnięta Dolour ujęła go za ramię. Jak temu zapobiec? zastanawiała się gorączkowo.

- Z tego co mówisz, można by wywnioskować, że chcesz, by wyjechała.

- Nie chcę. To nie jest słuszna decyzja, ale nie chcę też, żeby całe życie była nieszczęśliwa. I nie mogę jej powstrzymać.

- Musisz!

- W jaki sposób?

- Doprawdy dziwię ci się, Juanie. Nie tak dawno temu ty powstrzymałeś mnie od wyjazdu. Wtedy miałeś na wszystko odpowiedź. Co się z tobą stało?

- Jeśli się nad tym zastanowisz, zrozumiesz, że to nie ja powstrzymałem cię od wyjazdu, tylko Pace, który gotów był wiele poświęcić, bo nie chciał cię stracić.

- Dobrze. Teraz ty musisz coś takiego zrobić. Wymyśl coś.

- Humor jej się poprawił, była przekonana, że Juan rozwiąże ten problem. Trudno było pojąć, dlaczego kobieta chce opuścić tak urodziwego mężczyznę, który zawsze traktował ją uprzejmie i z szacunkiem. Dolour

przypomniała sobie, że w strumieniu skarg na wszystko - upał, owady, odległości, niewygody podróży

- Delia prawie wcale nie mówiła o Juanie. Rozbawił ją brak taktu Angielki; powiedziała, że pogardza ludźmi, z którymi zmuszona jest przestawać w kolonii, nawet w Sydney.

- Jest tylko garstka osób odpowiadających mi urodzeniem i nigdy ich nie ma, kiedy chcę złożyć im wizytę. Czasami myślę, że Rivadavia nie jest tak akceptowany we właściwych kręgach, jak mu się wydaje.

- To nieprawda, Delio - zaprzeczyła Dolour. - Juan cieszy się powszechnym szacunkiem. Przecież ostatnio sporo było mowy o tym, żeby został członkiem parlamentu.

- Och, nie ma obaw. On też o tym myślał, ale musiałby przyjąć brytyjskie obywatelstwo. Z drugiej wszak strony nie widzę, jak reprezentowanie tutejszych prostaków mogłoby zmienić jego status.

497

Dolour wtedy uciekła, czuła bowiem, że Delia powiedziała już dość.

- Przekonasz ją, żeby została, prawda, Juanie? Pokręcił głową.

- Nie mogę. Rozmyślałem o tym, co zrobił Pace. Nie jestem gotowy na takie jak on poświęcenia, wygląda więc na to, że nie kocham jej dostatecznie mocno.

Ta myśl jeszcze bardziej go przygnębiła i Dolour poczuła wyrzuty sumienia, jak gdyby dobrymi intencjami tylko pogorszyła sprawę.

ROZDZIAŁ Czterdziesty Dziewiąty.

Piętrowy dom z solidną kamienną werandą, z której rozciągał się widok na port, był przytulny i wygodny; Georgina czuła się w nim dobrze nawet pod nieobecność Jasina i Edwarda. Przystudiowała plany architekta, nim

wydała pozwolenie na rozpoczęcie remontu. Pamiętając chłód panujący w miejskiej rezydencji Cormacków, dopilnowała, żeby dom był odpowiednio przygotowany zarówno na zimę, jak i na nieznośne letnie upały. Nawet teraz trzeba było zasłaniać pokój śniadaniowy przed porannym słońcem, kazała więc na zewnątrz założyć płócienne rolety, które w razie konieczności podnosiło się lub opuszczało.

Z powodu Forrestów i upartej niezgody Jasina na negocjacje zmuszeni byli zostać w Anglii dłużej, niż na początku planowali. Przez cały ten czas martwiła się zdrowiem Jasina. Kilka razy chorował, miał ostre nawroty grypy, nie chciał jednak wracać do Nowej Południowej Walii, dopóki sprawa nie zostanie raz na zawsze wyjaśniona. Wygrał pierwszą rozprawę, ale Dermott Forrest odwołał się do wyższej instancji, gdzie stwierdzono, iż Forrestowie byli partnerami lorda Heselwooda przy zakupie Carlton Parku. Jednakże pierwotna umowa nie pozostawiała wątpliwości, że byli tylko cichymi współnikami, bez praw do zamieszkania na terenie posiadłości. Sąd nakazał, by sprzedali swoją część lordowi Heselwoodowi za obowiązującą obecnie cenę, z kolei Heselwood miał oddać im pieniądze pożyczone na rosnący procent.

498

Edward nie posiadał się z radości, kiedy wyrok wreszcie zapadł. Nie lubił Anglii i pragnął wrócić do Nowej Południowej Walii. Georgina niepokoiła się, że syn mimowolnie upiększa wspomnienia z dzieciństwa.

- Tam nie jest tak cudownie, jak może się z pozoru wydawać, Edwardzie.
- Dlaczego więc wracamy?
- Ponieważ lubię Sydney i mam tam przyjaciół. A twój ojciec uwielbia farmy, wyprawy w busz oraz przejmowanie nowych ziem, które niewiele

go kosztują, czuje się wtedy wyjątkowo sprytny.

- I dlatego chcę z wami tam wrócić. Ja też chcę mieszkać na farmie.

Ojciec mówi, że w Carlton Parku nauczę się, na czym to polega, a potem pomogę mu na nowo zorganizować Montone. To o wiele ciekawsze niż to nudne miejsce. Ojciec mówi też, że możemy mieć kilka farm na północy, naprawdę wielkich farm.

Georgina żywiła nadzieję, że syn pozostanie w Anglii i będzie kontynuował naukę, z drugiej zaś strony bardzo za nim tęskniła. Po przyjeździe do Australii Edward wykazywał większy entuzjazm i ambicje niż ojciec, o ile w ogóle było to możliwe, i obaj doskonale się ze sobą zgadzali. Farma Montone znowu pracowała, Edward przebywał w Carlton Parku. Jasin, zdrowy jak rydz, cieszył się życiem w Sydney.

- Co ty tu robisz? - zapytał idąc przez ogród.

- Wróciłeś? Nie słyszałam, jak nadjeżdżasz. Zakładają rolety, które zamówiłam. Pamiętasz, widzieliśmy takie w tym uroczym domu w Bath.

- O tak. Spotkałem twoich przyjaciół Rivadaviów.

- To dobrze. Zaprosiłeś ich do nas?

- Panienska sama się zaprosiła. Przyjdzie o piątej. - Jasin zawsze mówił o Delii „panienka”, mimo że przecież była mężatką.

- A Juan? On nie przyjdzie?

- Myślę, że nie, i nie nalegałem. Sytuacja mogłaby być kłopotliwa.

FitzRoy powiedział mi, że ona go opuszcza.

- Ale dlaczego? - zdumiała się Georgina.

- Jak rozumiem, ma dość. Nie wiem, sama ją zapytaj. Jego ekscelencja ucieszy się z jej wyjazdu. Delia nie odstępuje go na krok, najwyraźniej

uważa, że tak samo jak ona potępia w czambuł

499

życie w kolonii. Bardzo to zabawne, tak przynajmniej wynika z opowiadań gubernatora. Mówi, że z mrocznym spojrzeniem ciągle chodzi z jednego kąta pokoju w drugi, żeby się uwolnić od Delii i jej krzykliwego krytycyzmu, przez co sprawia wrażenie, że się z nią zgadza.

- A jak Juan to przyjmuje? - Georgina nie kryła troski.

- Sfinks, moja droga. Nikt nie wie. Ona mówi za nich oboje, trudno więc odgadnąć, co myśli Juan.

- Tak mi przykro, co za szkoda. A przy okazji, jest list od Edwarda.

Położyłam ci go w gabinecie.

- Co pisze?

- A jak myślisz? - uśmiechnęła się. - Pogoda, bydło, nowa rasa, którą masz sprowadzić, nowe wydawnictwa rolnicze, w sumie mnóstwo zleceń dla ciebie.

- Doskonale! Słowo daję, że wyrasta z niego hodowca. Przyjrzę się temu.

Jeśli przyjdzie Lachie Cormack, przyslij go do mnie. Zakłada

Stowarzyszenie Hodowców Bydła, powiedziałbym, że to przede

wszystkim grupa lobbystyczna. Ja nie jestem zainteresowany, ale Edward mógłby zostać członkiem, to mu się w przyszłości przyda.

Odwrócił się, by odejść, ale Georgina go powstrzymała.

- Jedno w liście Edwarda mnie zaniepokoiło, Jasinie. Chcę, żebyś z nim o tym porozmawiał. Pisze, że dodają opium do mąki i herbaty, które rozdzielają czarnym na farmie, i najwyraźniej uważa to za zabawne.

„Dzięki temu są potulni”, tak pisze. To straszne. Każ mu przestać.

- Wszyscy tak robią. Nie mogę ich powstrzymać. Czarni i tak dostają

tylko resztki, mnóstwo osadników odurza się dymem z opium. Rozrywka w sobotnią noc.

- To odrażające! Ty nigdy tak nie robiłeś.
- Nie musiałem, zresztą mnie mdli po opium.
- A jeśli Edward wpadnie w nałóg? Ma dopiero osiemnaście lat.
- Nie wpadnie - roześmiał się Jasin. - Wie o tym wszystko. Zabrałem go do palarni opium i pokazałem mu klientów leżących na zapleczu w tej tak zwanej euforii, i uznał to za żałosne.
- Naprawdę tam go zabrałeś? Jasinie, nigdy mi nie mówiłeś.
- Teraz ci mówię. Palarnie opium są wszędzie, farmerzy zamawiają dostawy razem z innymi zapasami. Lepiej, że zobaczył, jak ci palacze wyglądają, niż żeby sam próbował.

500

- Takie lokale powinny zostać zakazane. Porozmawiam o tym z gubernatorem.
- Porozmawiaj, choć nie sądzę, żebyś coś osiągnęła. Odszedł, zostawiając Georginę samą. Kiedy odwróciła się ku robotnikom, zobaczyła, że zawiesili rolety przodem do tyłu. Po południu z niecierpliwością czekała na Delię, rozważając, jak powinna wstawić się za Juanem, jeśli plotki istotnie są prawdziwe. Niewykluczone, że Delia jedzie do Anglii tylko z wizytą.

Delia wszakże nie zamierzała przeproszać za swoją decyzję.

- To bez sensu, Georgino. To miejsce straszliwie mnie męczy. Jeśli Rivadavia zechce się ze mną zobaczyć, może przyjechać do Anglii. Cała ta sprawa od samego początku była pomyłką, a winą obarczam mojego dziadka. Byłam za młoda, zanadto podatna na wpływy, żeby podejmować



decyzję o życiu w obcym kraju.

- Inni mogą pomyśleć, że miałaś wielkie szczęście, wychodząc za czarującego i majątnego Juana. Chyba był dla ciebie dobry, prawda?

- A dlaczego miałyby nie być? Jestem jego żoną. Jeśli jednak chciałam zrobić coś, na co on nie miał ochoty, nie dał się przekonać, to było jak rzucanie grochem o ścianę. I w domu jest niemożliwy! Wszystko musi być na swoim miejscu, a jeśli gdzieś coś jest nie tak, robi awanturę. Ciągle mu powtarzam, że to nie moja wina. Służba jest do niczego. Pozbyliśmy się tej okropnej Dory i od tego czasu mieliśmy cztery kucharki, każdą gorszą od poprzedniej. A jakie są aroganckie! Służba tutaj nie zna swojego miejsca. Nawet moja pokojówka Lee obróciła się przeciwko mnie. Zostaje w Sydney, nie chce wracać do Anglii. Moja matka będzie oburzona.

- Zastanawiałaś się nad zamieszkaniem w Sydney? Delia spojrzała na nią z gniewem.

- Rozmawiałaś z Juanem!

- Nawet go nie widziałam, odkąd jest w Sydney - odparła Georgina cicho.

- Wysłuchaj mnie. Muszę przyznać, że zaraz po przyjeździe nie mogłam ścierpieć tego kraju...

- Właśnie, sama widzisz - przerwała Delia. - Wiedziałam, że mnie zrozumiesz. Wszystko tutaj jest prymitywne i brzydkie. To nie jest miejsce dla nas.

501

- Chciałam powiedzieć, że powinnaś dać sobie czas. Teraz wolę Nową Południową Walię od Anglii. Lubię tu mieszkać, nie uważam, żeby tu było prymitywnie, rzekłabym raczej, że ogólna atmosfera zachęca do działań. A twój mąż to człowiek wyrafinowany.

- Mój mąż chciałby, żebym została kłaczą rozplodową, miałby dziesięciu synów, gdyby to było możliwe. Powiedziałam mu, że my, kobiety z rodziny Forsterów, nie wydajemy na świat stadka dzieci, i nie pojmuję, dlaczego to takie ważne. Przecież ma już córkę.

- Niektórzy ludzie pragną więcej dzieci, to zrozumiałe.

- Ty nie. Masz tylko jedno dziecko.

- I uważam to za swoje nieszczęście - odparła Georgina sztywno. Delia doprowadzała ją do rozpacz, ze względu na Juana podjęła jednak jeszcze jedną próbę. - Juana twoja decyzja musiała zasmucić.

- Naturalnie, ale nic na to nie mogę poradzić. Zaproponował, żebym spędziła w Anglii jakiś czas i wróciła, kiedy poczuję się lepiej, ale wie, że nie mam zamiaru wracać. Nigdy.

- Delio, zdajesz sobie sprawę, że może się z tobą rozwieść?

- Nie bądź śmieszna, nie rozwiedzie się, jesteśmy katolikami. A ja nie chcę powtórnie wychodzić za mąż. Mam dość małżeństwa. Szczęście, że mogę uciec bez płaczącego dziecka na rękach.

I w jakiej sytuacji stawia to Juana? zastanawiała się Georgina. Z coraz większym trudem przychodziło jej traktować gościa uprzejmie. W drzwiach pojawił się Jasin - szukał Lachiego Cormacka, który wciąż nie nadjeżdżał.

- Wejdz, Jasinie! - zawołała pośpiesznie. - Musisz pożegnać się z Delią.

- A tak. Pani Rivadavia. Niedługo pani wyjeżdża, czy tak? Delia usiadła prosto, wsuwając włosy pod czepek.

- Pojutrze. Taka jestem podekscytowana.

- A jak się miewa pan Rivadavia? - zapytał Jasin. Georgina wiedziała, że zamierzał zirytować Delię, ta jednak odrzekła swobodnie:

- Bardzo dobrze, dziękuję. Jest teraz zajęty nowym wielkim planem.
- A na czym ten plan polega?

502

- Kiedy gościliśmy na kolacji gubernatora, był u nas też ten okropny Leichhardt i powiedział Juanowi o jakiejś ziemi. Mówię ci, Jasinie, gorszej rzeczy nie mógł zrobić. Od jego wyjazdu nie słyszę o niczym innym, tylko o Dolinie Lagun.

Jasin spokojnie usiadł.

- Co to jest ta Dolina Lagun? Jakieś moczary? - zapytał znudzonym tonem, choć bacznie przypatrywał się Delii.

- W żadnym razie. Podobno to jakiś raj na krańcu świata. Znasz Juana, ziemia i więcej ziemi, tylko o tym myśli. Niemiec odkrył tamten region i teraz Juan ze swoim irlandzkim przyjacielem Pace'em MacNamarą zupełnie oszaleli na tym punkcie.

Georgina próbowała zmienić temat:

- Jakim statkiem płyniesz, Delio? Jasin jednak nie dopuścił Delii do głosu.

- Ach, teraz sobie przypominam, że już słyszałem tę nazwę

- skłamał. - To gdzieś na północy, za Montone.

- O wiele dalej na północ, w kraju czarnych. Mówiłam Juanowi, że jest głupi, w ogóle myśląc o tym. Czarni ich zabijają, ale on odpowiedział, że Leichhardt wrócił stamtąd cały i zdrowy.

Jasin zostawił Georginie obowiązek odprowadzenia „panienki” do drzwi, zadowolony, że przynajmniej raz paplanina tej Angielki na coś się przydała. Czytał o wyprawie Leichhardta, ale w żadnej relacji nie pojawiła się wzmianka o Dolinie Lagun. Coś musi w tym być, skoro Rivadavia i Irlandczyk potraktowali opowieść Leichhardta poważnie. Cóż to byłoby za

policzek dla nich, gdyby on, Jasin, dotarł tam pierwszy.

Wrócił do gabinetu, wielkiego przestronnego pokoju na końcu domu z osobnym wejściem, tak jak u Hortona. Teraz wiedział, że lepiej jest, jeśli ludzie wchodzą prosto do biura, zamiast niepokoić domowników.

Pomieszczenie służyło mu także do przechowywania broni, butów do konnej jazdy, akcesoriów z poprzednich wypraw oraz dokumentów dotyczących farm i inwestycji. Często myślał o Hortonie, który umarł tak młodo - obecnie z przyjemnością wymienialiby uwagi o odnoszonych sukcesach. Ciekawe, który z nich byłby teraz bogatszy.

- Stary przyjacielu - zwrócił się do pustego pokoju.

- Założę się, że pokonałbym cię w tej grze.

Usiadł i zaczął list do Edwarda. Napisał o tym miejscu, Dolinie Lagun, doskonałej ziemi czekającej na przejęcie. Z każdym zdaniem ogarniał go większy entuzjazm.

503

Dowiem się, gdzie ta dolina się znajduje, i dam Ci znać. Jeśli okolica jest tak żyzna, jak mi mówiono, rozważymy możliwość ekspedycji.

Zdobycie informacji o dolinie nie było łatwe, nikt o niej nie słyszał, nawet nowy sekretarz kolonii, dopiero przypadkowe spotkanie z głównym geodetą, majorem Mitchellem, dało Jasinowi możliwość obejrzenia kopii map Leichhardta.

- Wyprawił się dalej, niż sobie wyobrażałem - powiedział, kiedy obaj z Mitchellem ślęczeli nad mapami. - Nie miałem pojęcia! Co za osiągnięcie! Ten facet zasługuje na medal!

- Jeśli kiedyś go znajdziemy, to kto wie? - mruknął Mitchell.

- Niech pan tu popatrzy. Co to za kraina? - Jasin skupił się na własnych

poszukiwaniach. - Nie miałbym nic przeciwko zajęciu działki nad rzeką Burdekin. - Wypatrzył Dolinę Lagun, która znajdowała się tak daleko na północy, że o mało jej nie przegapił. - Podobno sam Leichhardt twierdzi, że są tam wspaniałe pastwiska dla bydła.

- A tak, rzeczywiście. Snuje liryczne opowieści o dolinie przy ujściu rzeki Burdekin, ale to za daleko, żeby na razie brać tamte regiony pod uwagę. Jeśli pan sądził, że nad Mary miał pan kłopoty z czarnymi, to tam przeżyje pan prawdziwy koszmar. Ta okolica położona jest tysiące mil za granicami.

- Mogę poczekać kilka lat. Dzięki temu będę miał czas na przygotowania i zebranie informacji. Ale to dopiero jest wyzwanie, co, Mitchell?

Wieczorem podniecony Jasin znowu napisał do Edwarda: Zlokalizowałem dolinę, o której wcześniej wspominałem, i załączam szkic. Obecnie te tereny znajdują się poza zasięgiem, ale postanowiłem, że Heselwoodowie w stosownym czasie zgłoszą prawa do tamtejszych ziem. Rozmawiałem z Mitchellem, głównym geodetą, będzie nas informował o postępach na północy, zwłaszcza jeśli chodzi o porty. Wydaje się, że jeżeli popłyniemy do zatoki Halifaz, znajdziemy się całkiem blisko Doliny Lagun.

Leichhardtowi należy się pochwała za tę nazwę, nie zamierzam jej zmieniać. Kiedy przyjedziesz na Boże Narodzenie, przedyskutujemy sprawę obszerniej. Wtedy będę miał już kopie oficjalnych map.

504

Zarządca Carlton Parku nie odnosił się do syna szefa z takim entuzjazmem, jak sądzili rodzice. Edward, znany na farmie jako Eddie, był wysoki jak ojciec i zaczynał nabierać tężyzny, jednakże z punktu widzenia Passeya chłopak za bardzo się wywyższał. Szkoda, że nie wysłano go na

inną farmę, gdzie traktowaliby jako zwykłego poganiacza, bo tam nauczyłyby się fachu, tutaj natomiast tylko bawił się w robotnika, a mieszkał w głównym domu.

Jaki pożytek z poganiacza, który myśli, że jego rozkazy nie dotyczą? martwił się Passey. Gdyby to od niego zależało, Eddie mógł cały dzień wałęsać się po farmie i nic nie robić, ale on pracował, kiedy miał na to ochotę. I w tym tkwił problem. Nie można było na nim polegać. Kiedy zlecano mu jakieś zadanie, istniała możliwość, że nie zostanie wykonane albo przerwane w połowie. Passey mruczał pod nosem, wchodząc do kuchni.

- Ten przeklęty Eddie - powiedział do żony. - Tydzień temu kazałem mu wziąć kilku ludzi i wykopać studnię w Blackman's Gully, a on tego nie zrobił. Teraz strumień prawie wysechł i utknął tam wół.

- Nie bądź dla niego zbyt surowy - odparła. - Jest bardzo młody.

- Ma dość lat. Chłopcy MacNamarów lepiej by sobie poradzili, nawet gdyby byli o połowę młodszy.

- Oni są inni. Wychowali się tutaj.

Passey nalał sobie rumu do cynowego kubka i wyszedł na dwór zapalić fajkę. Ludzie schodzili się na kolację, ale Eddie jeszcze się nie pokazał. Spędzał czas z dwoma poganiaczami, którzy jak psy chodzili za synem szefa, parą wyjątkowych rozrabiaków. To nie było towarzystwo dla Eddiego. Passey wiedział, że we trójkę często odwiedzają obóz czarnych, gdzie zawsze znajdują uległe dziewczęta. Rozmawiał o tym z Eddie.

- Niewiele mogę zrobić z tamtymi dwoma, Eddie, ale ty chyba nie chcesz się tam kręcić.

- Chodzę tylko dla zabawy - odparł Eddie. - Nigdy żadnej nie dotknąłem.

Passey wiedział, że chłopak kłamie.

- Mam nadzieję, synu. Nie są zbyt czyste. Możesz złapać jakieś choróbko. - Jego słowa trafiały w próżnię, spróbował więc z innej beczki.
- Jeśli potrzebujesz kobiety, to może czas, żebyś zaczął myśleć o małżeństwie. - Chciał wierzyć, że to jest dobra rada.

505

- Nie do mnie należy niańczenie poganiaczy - powiedział do żony, kiedy kładli się spać. - Jeśli wpadają w tarapaty, sami muszą znaleźć wyjście, ale gdyby Eddie miał kłopoty, lord Heselwood mnie będzie obwinił. Kilku poganiaczy w zeszłym tygodniu groziło, że spuszczą Eddiemu cięgi.
- Są zazdrośni o niego.
- A co to za różnica, zazdrośni czy nie? Traktuje ludzi źle. I ma tych dwóch byczków, tak samo aroganckich jak on.
- Którzy to?
- Bracia, Ben i Max Belcherowie. Nie mają rozumu za grosz.
- Ale to dobrzy poganiacze.
- To przekłeci łgarze! Bill Craddock skarżył się, że w zeszłą niedzielę narobili hałasu na jego farmie. O mało nie wywołali bójki.
- Craddockowie zawsze na coś się skarżą. Nie wiem, dlaczego tak się martwisz - powiedziała żona. - Eddie to miły chłopiec, zawsze jest dla mnie uprzejmy. A poza tym niedługo jedzie do Sydney, żeby spędzić Boże Narodzenie z rodzicami.
- Nie mogę się już doczekać. Mam nadzieję, że tam zostanie.

ROZDZIAŁ Pięćdziesiąty.

Sir Charles FitzRoy planował wielki bal w rezydencji rządowej w wigilię Bożego Narodzenia, wyjątkowe wydarzenie na zakończenie pomyślnego

roku. Udało mu się utrzymać spokój wśród osadników, a równocześnie podwyższyć podatki od stad i gruntów, pierwszy statek parowy regularnie kursował pomiędzy Sydney a Adelaide, powstał jeden klub jeździecki w Five Dock, drugi w Parramacie, a sam gubernator patronował najrozmaitszym przedsięwzięciom towarzyskim.

W sumie jego panowanie jak dotąd było niezwykle udane. Przewodniczył zgromadzeniu, które domagało się, by Victoria została odrębną kolonią, a teraz pojawiły się żądania, by na północy powstał jeszcze jeden stan. Gubernator nie odsłaniał kart, spodziewał się bowiem, że będzie to powodem kontrowersji, ale już zarekomendował separację w liście do ministerstwa spraw wewnętrznych.

506

Rzeczą niemożliwą było administrowanie miastami odległymi o sześćset mil. Zasugerował nawet, by nową kolonię nazwać Queen's Land.

Wciąż odczuwał wielki żal po stracie żony, to brzemie będzie dźwigał do końca swoich dni. Nie było dla niego ucieczki przed wyrzutami sumienia, sam przecież powoził faetonem, kiedy ten się przewrócił, zabijając kochaną lady Mary i jego adiutanta. Wstrząs niemal go załamał.

Gubernator westchnął. Człowiek musi żyć dalej. Urządzał więc rezydencję rządową w stylu, który odpowiadałby lady Mary, wykonywał obowiązki związane z urzędem, lecz żal wciąż go nie odstępował, przez co ta tragedia i jej skutki były dlań trudniejsze do zniesienia, niż zgodziłby się przyznać. Edmund Kennedy i dziesięciu jego towarzyszy zginęło w czasie wyprawy na północ. Większość, w tym Kennedy, została zamordowana przez czarnych. To była straszna wiadomość, Kennedy cieszył się w kolonii powszechną sympatią, a jego wyprawa wzbudziła ogólne podniecenie.



Główny geodeta, major Mitchell, obwinił gubernatora, który wydał pozwolenie na ekspedycję, i krytykował go bezlitośnie.

- To ze strony Mitchella nie jest w porządku - powiedział sir Charles swojemu asystentowi. - Twierdzi, że najpierw powinienem był zasięgnąć jego rady, ale przecież wtedy nie było go w kraju. Bardzo nie w porządku. Kiedy opuszczał część mieszkalną, zobaczył, że damy z Królewskiego Towarzystwa Dobroczynnego wychodzą z Zielonej Sali, żegnane przez jego synową. Wypatrzył wśród nich lady Heselwood, jedną ze swych najlepszych przyjaciółek.

- Ach, Georgie, moja droga, właśnie z tobą chciałem się zobaczyć. W sobotę wieczorem wydaję małą kolację dla kilkorga przyjaciół, żeby omówić bal wigilijny. Musisz przyjść z lordem Heselwoodem.

- Z największą przyjemnością, sir Charlesie.

- Doskonale. Większość gości chyba znasz. Nasz przyjaciel Rivadavia jest w mieście. Będzie towarzyszył lady Rowan-Smith. To wdowa po starym sir Percym. Znasz ją?

- O tak. Jej pierwszy mąż, John Horton, był naszym przyjacielem.

- Cudownie. Wróciła z Anglii z córką, zapomniałem, jak ma na imię, i Rosą, córką Rivadavii. Wygląda na to, że dziewczęta chodziły do tej samej szkoły w Paryżu. W Boże Narodzenie

507

będziemy się cieszyli towarzystwem sporej grupki młodzieży. Twój syn Edward jest w mieście, prawda? Georgina potaknęła.

- Musi przyprowadzić swoich przyjaciół, żeby młode damy miały z kim tańczyć.

Inne damy z Towarzystwa Dobroczynnego czekały, by złożyć mu wyrazy

uszanowania, Georgina więc się wycofała, podczas gdy gubernator wylewnie dziękował im za ich wysiłki.

- Nie usiądę przy jednym stole z tą kobietą - oznajmił Jasin. - A czemu właściwie Rivadavia kręci się koło niej?

- Musi z kimś przyjść.

- To dlaczego nie zaprosi jednej z dziewcząt Courtneyów? Biedna pani Courtney ma dom pełen córek. Teraz, kiedy staruszek umarł, dokłada wszelkich starań, żeby wydać je za mąż.

- Twoje współczucie dla Courtneyów jest doprawdy wzruszające, mój drogi - mruknęła Georgina. - Nie sądziłam, że zauważasz takie sprawy.

- To konieczne. Courtney był sprytnym starym Szkotem. Okropnie musiał się irytować, że zostawia całą swoją fortunę tym głupim kobietom.

Georgina wybuchnęła serdecznym śmiechem.

- I ty widzisz jakieś rozwiązanie?

- Nie zaszkodzi, jeśli zaprosimy kilka jego córek, żeby poznały Edwarda. Później znowu poruszyła temat kolacji, ale ku jej rozczarowaniu Jasin nie dał się przekonać. Przyjęcia u FitzRoya zawsze były świetne. Uwielbiał zaskakiwać gości grami albo występami artystów. Przesłali przeprosiny, mimo to Georgina miała wrażenie, że Jasin popełnił błąd. Znowu pozwolił, by Vicky zyskała nad nimi przewagę.

Powrót do Sydney po tak długim okresie okazał się dla lady Rowan-Smith o wiele bardziej ekscytujący, niż przypuszczała. Cieszyła się, że przywozi do domu Mariettę, która wychowała się w Anglii i wyrosła na piękną młodą damę. Vicky oczekiwała, że powitają ją starzy przyjaciele, i nie zawiodła się.

Mieszkały w hotelu Majestic i czekały, aż Wilkin House zostanie

wyremontowany i na nowo umeblowany. Doprawdy

508

powrót do domu był bardzo przyjemny, a dodatkowo umiliła go obecność Juana Rivadavii, który czekał na niego na nabrzeżu.

Rowanowie-Smithowie nalegali, by Marietta uczęszczała do Konwentu Świętej Cecylii w Paryżu, kosztownej szkoły dla dorastających panien. W trakcie jednej z wizyt Vicky zauważyła na liście uczennic nazwisko Rivadavia, należące przecież do dość rzadkich. Nigdy go nie zapomniała, tego przystojnego młodego Argentyńczyka, który kupił Chelmsford.

Wypytała Rosę Rivadavię i dowiedziała się, że istotnie jest córką hodowcy z Nowej Południowej Walii. Zaprosiła ją do Anglii. Obie dziewczęta bardzo się zaprzyjaźniły, a kiedy ukończyły szkołę, ktoś nadawał się lepiej do towarzyszenia Rosie w długim rejsie do domu niż Marietta i jej matka? Rivadavia nie tylko wyraził zgodę, Rosa powiedziała im, że był zachwycony.

Naturalnie Vicky słyszała wszystkie historie o rodzinie Rivadaviów: o śmierci matki Rosy i o jego małżeństwie z młodą Angielką, które wszakże nie okazało się udane - żona nie znosiła Nowej Południowej Walii i obecnie mieszkała w Anglii. Przekonała się też, że Rosa w odwecie darzy macochę szczerą niechęcią.

Rivadavia, pomyślała Vicky, jest przystojny i elegancki jak zawsze, może nawet bardziej.

Wziął na siebie kłopotliwe sprawy związane z bagażem i zaprosił podróżniczki na uroczystą kolację w hotelu Majestic. Całej trójce wręczył kwiaty i prezenty.

Oszołomiona Vicky znalazła w srebrnym puzderku wąski zegarek

wysadzany brylantami.

- Panie Rivadavia, to zbyt kosztowny podarek - powiedziała.

- Proszę go przyjąć jak wyraz mojej wdzięczności za przywiezienie mi córki bezpiecznie do domu i za dobroć dla niej - odrzekł.

Dziewczęta zachwyciły się swoimi prezentami: Marietta otrzymała perłowy naszyjnik z maleńkim brylantowym zapięciem, a Rosa wspaniałą kolbę z rubinów i brylantów.

Vicky dziwiła się zmianom, które zaszły w Sydney, nowym budynkiem, eleganckim sklepem, ulicom oświetlonym latarniami gazowymi. No i oczywiście był Chelmsford. Rosa nalegała, żeby obie z Mariettą odwiedziły farmę. Vicky cieszyła się, że znowu ją zobaczy.

509

Aby sprawić przyjemność córce, Rivadavia zgodził się pozostać w mieście na okres karnawału i rzeczą naturalną było, że towarzyszył Vicky na rozmaitych przyjęciach, skoro oboje mieli córki. Wszyscy nie mogli się doczekać wigilijnego balu w rezydencji rządowej.

Sąsiadkę Vicky, Mary Cormack, intrygowało szalenie, że tajemniczy Rivadavia jest na każde zawołanie Vicky.

- Przyjaźni się z Heselwoodami - powiedziała. - Mówi się nawet, że bliżej przyjaźni się z nią niż z nim.

- To wcale nie jest trudne - prychnęła Vicky - bo ona jest sympatyczniejsza.

- Och, zapomnij o tych nieprzyjemnych sprawach - odparła Mary. - Teraz się dobrze między nami układa. Poczekaj, aż poznasz gubernatora. Jest czarujący, a w dodatku to wdowiec, Vicky. Nie zapominaj, że twój przyjaciel Rivadavia ma żonę.

- Wielkie nieba! Ledwo wróciłam do domu. Nie myślę o małżeństwie. I w gruncie rzeczy mówiła prawdę. Było za wcześnie myśleć o małżeństwie, coraz trudniej wszakże przychodziło jej opierać się urokowi Juana.

Zabrał ją na kolację do gubernatora. Przekonała się, że obu łączy silna przyjaźń, częściowo dlatego, że dzielają zainteresowanie wyścigami konnymi i kartami. Zastanawiała się, czy na tym koniec wspólnych rozrywek, nie ulegało bowiem wątpliwości, że lubią towarzystwo dam. W pewnym momencie usłyszała, jak umawiają się na wyścigi w Parramacie i zaskoczył ją własny gniew. Po raz pierwszy od wielu lat doświadczała zazdrości i to bolało. Kiedy nadeszło Boże Narodzenie, Vicky była już po uszy zakochana w Rivadavii i czuła się bardzo niepewnie. Bała się, że go utraci, i z przykrością myślała, że nikt już nie wspomina o jej wizycie z Mariettą w Chelmsfordzie.

Bal był wspaniały. Cała socjeta Sydney przybyła w eleganckich strojach, satynowe i jedwabne krynoliny wirowały pod ogromnymi kryształowymi żyrandolami, piękna biżuteria połyskiwała w jasno oświetlonej sali balowej.

Sir Charles, niezwykle elegancki w paradnym mundurze ozdobionym medalami, poprowadził Georginę i Jasina do wielkiej srebrnej wazy z ponczem.

510

- Musicie koniecznie skosztować, to wyjątkowy przepis: szampan, truskawki, curacao i inne smakowitości. Wyborne.
- Dziękuję, na pewno spróbujemy - rzekła Georgina.
- Wieczór jest cudowny, sir Charlesie, tym razem naprawdę przeszedłeś

sam siebie.

Jakaś kobieta poklepała gubernatora wachlarzem po ramieniu. Odwrócił się, nie okazując najmniejszej irytacji jej bezceremonialnością.

- Ależ to pani Paget, a ja już chciałem pani poszukać. Zna pani lorda i lady Heselwoodów?

- Znam, sir Charlesie. Nasza farma jest w pobliżu Carlton Parku.

Mieliśmy nadzieję, że lady Heselwood zawita w nasze strony. - Spojrzała prosto na Georginę. - A może milady nie zapuszcza się na zachód?

Georginę wyręczył FitzRoy.

- Moja droga, lady Heselwood wypuściła się dalej w dzicz niż ktokolwiek z nas.

- Och, rzeczywiście - odparła pani Paget obojętnie.

- Zapomniałam. Jednakże jesteśmy cywilizowani, sir Charlesie.

Powiadają, że nasza farma Blair jest wyjątkowa.

Georgina dostrzegła błysk w oczach gubernatora.

- Tak słyszałem. Pan Paget, jak mi mówiono, zbudował zamek, fascynujące! I rodzina musi cudownie się czuć, mieszkając w zamku.

Niech mi pani nie mówi, że go jeszcze nie widziała, lady Heselwood?

- Nie widziałam, sir Charlesie - odrzekła krótko Georgina. Nie odważyła się nic więcej dodać; ona też słyszała o zamku Pagetów, absolutnym okropieństwie, piętrowym budynku z dwiema wieżami i iglicami z niebieskiego kamienia.

- Godna podziwu pomysłowość - mówił sir Charles.

- Skąd pan Paget zaczerpnął inspirację?

- Ma prawo do zamku, wasza ekscelencjo - oznajmiła pani Paget. -

Czekałam na okazję, żeby panu o tym opowiedzieć. W czasie ostatniej

wizyty w Szkocji odkrył, że jeden z przodków był baronetem.

I pani Paget zaczęła snuć opowieść, dość powszechną wśród kolonistów, którzy zdobyli majątek i pragnęli się pozbyć skromnego pochodzenia.

Płacili fortunę brytyjskim genealogom, by za wszelką cenę znaleźli im arystokratycznych przodków. Georgina uważała to za smutne, że ludziom nie wystarczają własne osiągnięcia.

511

Pagetowie zgromadzili w Australii niebywały majątek, a to wymagało inteligencji i energii.

Obok niej Jasin, wyraźnie znudzony, słuchał wywodów pułkownika Norberta. Kiedy delikatnie przycisnął jej ramię, dając znak, że chce już iść, w tłumie dokładnie naprzeciwko zobaczyła Vicky Rowan-Smith; wyglądała bardzo elegancko, zupełnie inaczej niż w przeszłości. Cera pozbawiona teraz piegów miała kolor kości słoniowej, niesforne kosmyki ułożono starannie pod połyskliwą tiarą. Grając na zwłokę, Georgina zwróciła się do pani Paget:

- Musi pani więcej opowiedzieć mi o tym zamku. FitzRoy wykorzystał pretekst do ucieczki i wkrótce pochłonęła go następna grupka.
- Czuję się winna zaniedbania - ciągnęła Georgina.
- Nigdy nie byłam w Carlton Parku, a to nasza pierwsza farma. Chyba w przyszłym roku w końcu tam się wybiorę.

Pani Paget była zachwycona, jej wachlarz pracował jak oszalały.

- Koniecznie musi nas pani odwiedzić. Przygotujemy dla pani rozrywkę, może wyścigi.
- Byłoby mi bardzo miło.
- Widzisz, kogo mamy przed sobą? - syknął Jasin.

- Pani Paget mówi, że powinniśmy odwiedzić ich farmę, mój drogi - odparła Georgina w nadziei, że odwróci jego uwagę.

- Wspaniały pomysł - powiedział z roztargnieniem.

- A teraz wybacz nam pani, madame.

Prowadził Georginę przez tłum bez pośpiechu, po drodze zamieniając słowo ze znajomymi.

- Popatrz na nią - szepnął - wystrojona jak choinka.

Georgina westchnęła. Suknia Vicky z ciemnozielonej i srebrnej tafty była wyjątkowo piękna, ozdobiły ją prześliczne perełki. Teraz już nieuchronnie zmierzali w kierunku Vicky, która stała z Rivadavią. Georgina wiedziała, że ich zauważyła, nie wykonała jednak żadnego ruchu, by uniknąć spotkania, chyba więc wszystko było w porządku.

- Lady Rowan-Smith - powiedział Jasin kłaniając się lekko Juanowi.

- Jasin i Georgina - odezwała się Vicky pomijając tytuły.

- Miło znowu was widzieć. Naturalnie znacie pana Rivadavię.

512

Juan ucieszył się na ich widok i polecił kelnerowi, by przyniósł szampana, co Jasinowi dało okazję zwrócić się do Vicky:

- Przykro mi z powodu śmierci sir Percy'ego. To musiało być straszne dla ciebie, biedna Vicky, stracić drugiego męża.

- Wychowano mnie tak, bym nie pogrążała się w nieszczęściu, Jasinie - odparła Vicky. Muzyka zaczęła grać i Georgina miała nadzieję, że teraz odejdą.

Jasin jednak nie ustępował.

- A jak się miewa Delia, Juanie? Co porabia?

- Z tego co wiem, miewa się doskonale - powiedział Juan z obojętną



nonszalancją.

- Uroczą dziewczyną - zwrócił się Jasin do Vicky. - Byłaś długo w Anglii.

Poznałaś panią Rivadavia?

- Nie miałam zaszczytu. - W oczach Vicky malował się chłód.

Dostrzegłszy znajomą, wyciągnęła ramiona w geście sprawiającym wrażenie spontanicznego i bez słowa przeprosin odwróciła się plecami do Heselwoodów.

- Nic się nie zmieniła - prychnął Jasin, kiedy szli do sali jadalnej.

- Wręcz przeciwnie, mój drogi, myślę, że bardzo się zmieniła.

Przez cały okres świąteczny lady Rowan-Smith bywała na przyjęciach i balach w towarzystwie Juana Rivadavii, głównie z inicjatywy córek, jednakże ich związek pozostawał przyjacielski, przeszli tylko na ty.

Marietta wciąż trajkotała o wyjeździe do Chelmsfordu i zastanawiała się, jakie weźmie stroje, Vicky więc zwróciła jej uwagę, że jeszcze nie dostały zaproszenia.

- Ależ tak - odparła Marietta. - Rosa cały czas o tym mówi.

- Pan Rivadavia słowem mi o tym nie wspomniał.

- Zrobi to, mamó. Wiesz, jacy są mężczyźni. Zapominają. Vicky jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić, że Juan Rivadavia

o czymkolwiek zapomina, poczekała więc na stosowną okazję i sama taktownie poruszyła ten temat. Juan wynajął kuter na niedzielny rejs po zatoce i zaprosił około czterdziestu osób. Wszyscy świetnie się bawili, dzień bowiem był pogodny, jedzenie i napoje wyśmienite, a czas umiłał kwartet instrumentalistów.

- To twoja ostatnia niedziela w mieście, prawda, Juanie?

- Tak. Pora wracać do domu.

- Wybacz, że cię o to pytam, ale Marietta najwyraźniej sądzi, że mogłaby pojechać z wami. Nie chciałabym narzucać wam jej towarzystwa.

- Marietta w żadnym razie nie mogłaby być niepożądanym gościem, zawsze będzie u nas serdecznie witana. - Zaprowadził ją na rufę, gdzie usiedli na ławkach wykładanych pulchnymi poduchami. - Ciebie też chciałbym zaprosić do Chelmsfordu, Vicky, ale rozumiesz, jestem żonaty. To stawia mnie w niezręcznym położeniu. Muszę dawać przykład córce, a poza tym ludzie będą plotkować.

- Nie dbam o to, co ludzie mówią.

- Powinnaś. Masz dobrą reputację. Rozważam unieważnienie małżeństwa. Co ty o tym sądzisz?

- Wydaje mi się, że najwyższy czas, żebyś to zrobił - odparła bez ogródek, ucieszona tą wiadomością.

- Chyba tak - roześmiał się Juan. - Będzie mi brakowało twojego towarzystwa, ale wrócimy do miasta na wystawę rolniczą w Wielkanoc i mam nadzieję, że wtedy się znowu z tobą zobaczę.

Vicky przypadkiem spotkała panią Forrest na porannym spotkaniu pań zajmujących się dobroczynnością. Była żoną bogatego kupca; Vicky uświadomiła sobie, że to właśnie ci ludzie procesowali się z Heselwoodami o prawa własności do Carlton Parku. Szybko też Milly zaczęła jej o tym opowiadać.

- Szczwany lis z tego lorda Heselwooda - stwierdziła jak zwykle. - A syn wcale nie lepszy. Już i w mieście mówią, że to rozpustnik, ludzie z farm też wiedzą swoje. Ale słyszałam, że Juan Rivadavia kupił od pani Chelmsford, lady Rowan-Smith. Fascynujące! - Zachichotała i o mało nie

szturchnęła Vicky w żebra. - Naturalnie sam Rivadavia też jest fascynujący, nie sądzi pani?

- To czarujący człowiek - przyznała Vicky. Pani Forrest pokiwała głową.

- Byłaby pani dla niego idealną żoną. Powinien zerwać to swoje małżeństwo i łapać panią, póki może.

Mimo iż Vicky uznała, że pani Forrest jest na jej gust nazbyt prostacka, patrzyła na nią z sympatią. Trudno nie lubić tak oczywistego sojusznika. I Juan dobrze znał Forrestów. Wyglądało na to, że to starzy przyjaciele.

514

Marietta pojechała do Chelmsfordu na kilka tygodni, została dłużej, po czym wróciła do domu, z entuzjazmem opowiadając o cudownych wakacjach, dziwnej przyrodzie, dobroci Rivadawiów i o wizytach, jakie składali na innych farmach.

- Rosa ma adoratora - podzieliła się z matką wiadomością.

- Kto to?

- Ach, sam pan Edward Heselwood - oznajmiła zachwycona Marietta. -

Traktują to bardzo poważnie, ale na razie nikomu nie mówią. Edward lada dzień przejmie Carlton Park. Byliśmy tam z wizytą, farma jest ogromna, a dom uroczy. Rosa w nim zamieszka, kiedy wyjdzie za mąż. Zarządca, pan Passey, przenosi się na północ, gdzie będzie prowadził inną farmę Heselwoodów.

Vicky poszła do swojego pokoju, żeby w ciszy się nad tym zastanowić. Na początku odczuła ulgę, że młody Heselwood zagiął parol na Rosę, a nie jej córkę, później jednak pomyślała o konsekwencjach. Znowu Heselwood! Gdyby poślubiła Juana, weszliby do tej samej rodziny. To wystarczało, żeby ponownie sprawę rozważyć. I jeszcze jedno, wedle wszelkiego

prawdopodobieństwa Edward Heselwood, choć szlachcic, nie był w żadnym razie rycerzem na białym koniu, choć tak widziały go dziewczęta. I tu tkwił problem. Rosa była za młoda, żeby wdawać się w ten niemądry flirt. Juan musi się o tym dowiedzieć. Vicky chciała sama do niego napisać, obawiała się jednak, że tego rodzaju interwencja z jej strony zostanie nieprzychylnie przyjęta.

A potem się rozluźniła, rozbawiona własnymi niepokojami. Jakież to ma znaczenie? Najważniejszy jest Juan. I tak za wiele problemów trzeba rozwiązać, nim będzie mógł pomyśleć o małżeństwie.

Kiedy następnym razem spotkała Milly Forrest na fecie w kościele Świętego Jakuba, wspomniała, naturalnie przelotnie, że młodemu Edwardowi Heselwoodowi wpadła w oko Rosa Rivadavia. Sprawiała wrażenie, że nie pamięta, co o jego reputacji mówiła Milly.

Strzała dość szybko dotarła do celu.

Marietta otrzymała rozpaczliwy list od Rosy: w Chelmsfordzie wybuchła straszna awantura i ojciec wszystko z niej wydobył. Na targu bydlą Juan zagroził Edwardowi, że wychłoszcze go batem,

515

jeśli znowu ośmieli się rozmawiać z jego córką o małżeństwie.

Zasmucona Rosa pisała:

Wygląda na to, że ludzie rozsiewają kłamstwa o Edwardzie. Ojciec posunął się nawet do stwierdzenia, że Edward cieszy się w okręgu reputacją rozpustnika, ale jestem pewna, że nie mówił poważnie. Był rozgniewany. Dostałam liścik od Edwarda, wciąż jest zdecydowany na małżeństwo. Kiedy osiągnę pełnoletniość, sprawa będzie wyglądać inaczej. Marietto, Twoja matka zna lorda i lady Heselwoodów. Poproś ją,

żeby się za nimi wstawiała. I u ojca też, skoro o tym mowa.

- Wielka szkoda - powiedziała Marietta. - Piękna z nich para. Wstawisz się za nimi, mamó?

- Zobaczymy - odparła Vicky, używając odwiecznej rodzicielskiej wymówki. - Zobaczymy.

CZEŚĆ CZTERNASTA.

Kraina Warunga.

ROZDZIAŁ Pięćdziesiąty PIERWSZY.

Juan Rivadavia wszedł do gabinetu i dorzucił szczap do ognia na kominku. Noc była zimna, Rosa już spała i w domu panowała cisza, co dało mu okazję do lektury stosu gazet z Sydney, które od dawna czekały, aż do nich zajrzy. Położył je na szerokim blacie biurka i podkręcił lampę, zdejmując z niej klosz, tak że w pokoju zrobiło się jasno jak w dzień.

W Sydney panowało wielkie podniecenie związane z ukończeniem budowy linii kolejowej między Redfern a Parramattą, sir Charles FitzRoy wygłosił mowę o znaczeniu kolei w kraju, w którym brakuje żeglownych rzek, jakich pełno w Ameryce Północnej. Juan pokiwał głową, sir Charles miał rację. Kiedy kolej dotrze w głąb lądu, nic nie powstrzyma ekspansji osadników.

Przewrócił stronicę. Złoto! Tylko o tym ludzie mogli myśleć, odkąd w Bathurst odkryto złoża. Opowiadali historie o szczęściu i pechu.

Wydawało się, że jeśli autor zdoła umieścić słowo „złoto” w swoim artykule, wtedy na pewno zostanie on wydrukowany.

Zirytowany pominął kilka następnych stron, a potem jego wzrok padł na nagłówek. Przeczytał ponownie. Dżentelmen nazwiskiem Christopher Allingham wyruszył w towarzystwie dwóch aborygeńskich przewodników

z Liverpool Plains szlakiem wytyczonym przez Ludwiga Leichhardta, dotarł na daleką północ i powrócił. Podążał wzdłuż rzeki Burdekin, nie zapuścił się jednak w tropikalną dżunglę na półwyspie York, gdzie żaden biały nie odważył się postawić nogi po śmierci Kennedy'ego. Zamiast tego zawrócił do zielonej i żyznej doliny, której nazwę nadał Leichhardt. To była Dolina Lagun.

517

Juan wstał, podszedł do kredensu i z przepastnej szuflady wyjął plany, nad którymi pracował z Pace'em MacNamarą. Kartograf w Sydney przeniósł mapę Leichhardta na płócienny zwój; to był pomysł Juana, bo w tym klimacie owady i pleśń szybko zniszczyłyby papier. Co się stało z naszymi marzeniami? pomyślał. Chyba wszyscy mamy za dużo zajęć. A teraz w gazecie wydrukowano nazwę: Dolina Lagun. Cały świat może o niej przeczytać. Jakimi byliśmy głupcami! Powinniśmy byli wyruszyć wiele lat temu.

Wziął inne dzienniki z podobną datą, szukając dalszych informacji. Znalazł je w „Gazette”, aczkolwiek z typową dla tej redakcji niedbałością w kwestii szczegółów.

Pan Christopher Allingham wyruszył na północ z Canning Downs...

- Do diabła! - zawołał Juan z podnieceniem. - Przecież to farma Lesliego! ...potem szedł przez trzęsawiska Toowoomba, Brisbane zostawiając na wschodzie.

- Dokładnie koło naszej farmy! - prychnął Juan. - Niech tylko Pace o tym usłyszy! - I czytał dalej:

Pan Allingham podążał wzdłuż rozlewisk szerokiej rzeki Burdekin i odkrył dopływ, który nazwał Starr, na końcu szlaku zaś czekał na niego widok na

Dolinę Lagun. Od czasu ekspedycji Leichhardta po raz drugi biały człowiek miał możliwość spoglądać na te cudowne pastwiska. Pan Allingham wytyczył dwie rozległe działki, po czym spokojnie ruszył w drogę powrotną liczącą tysiąc pięćset mil.

Juan bębnił palcami po biurku. To jest to samo miejsce! I Allingham dokonał tego w pojedynkę!

Dziwił się sobie i Pace'owi, jak mogli pozwolić, żeby ten projekt stracił na ważności, i ponownie przyjrzał się mapie. Dolina Lagun wciąż znajdowała się daleko poza granicami, zakładali, że mają mnóstwo czasu, a ten dzielny młodzieniec pojechał tam po cichu, Dawid porywający się na Goliata. Juan uśmiechnął się do siebie, podziwiając brawurę Allinghama. Co za odwaga! Tymczasem on i Pace nic nie zrobili, wiele tylko gadali.

Odepchnął gazety. Jak może siedzieć w domu niczym starzec, kiedy ma przed sobą takie wyzwanie? W gazecie napisano, że Allingham wytyczył dwie wielkie działki, a to znaczyło, że wciąż pozostało mnóstwo wolnej ziemi. Jutro pojedzie do

518

Kooraminu i pokaże Pace'owi artykuły. Bardzo chciał zobaczyć jego minę. Pace MacNamara nie rozczarował go. Przeczytał artykuł, po czym rzucił gazetę na stół.

- A niech mnie dunder śwśnie! Daliśmy się ubiec! Zawsze liczyłem, że zajmiemy tam ziemię.

- Nie widzę przeszkód - powiedział Juan. - Może jednak tam wyruszymy? Byle szybko.

Pace miał wątpliwości.

- Na razie to wykluczone, niebawem zacznie się spęd. I w Peel czeka

wielkie stado.

- I co z tego? Każ to zrobić swoim ludziom, pozałatwiał sprawy i w drogę.
- A dokąd? - zapytała Dolour zdejmując fartuch.
- Do Doliny Lagun - odpowiedział Pace. Roześmiała się.
- Boże, miej nas w opiece! A wy znowu o tym? Pokazali jej wycinki.

Przeczytała artykuły z zainteresowaniem,  
ale pokręciła głową.

- To ponad tysiąc mil stąd. Dziwaczny pomysł.
- Mniej z naszej farmy w Brisbane Valley - rzekł Pace.
- Może być więcej, i tak nic dobrego z tego nie wyniknie. Jesteś za stary na taką podróż, MacNamara.

Juan przysłuchiwał się im bez słowa. Gdyby potrzebował kogoś, kto odwiódłby go od tego zamiaru, nie musiałby daleko szukać, Dolour nadawała się do tej roli idealnie. Pohamował śmiech, kiedy Pace eksplodował:

- Za stary?! Powiem ci, kobieto, że lepszego ode mnie trapera nie ma na całej farmie, w siodle każdego przetrzymam. Za stary, do diabła? W życiu ani jednego dnia nie chorowałem i wciąż mam własne zęby.
- Zgoda, możesz to zrobić, ale to niebezpieczne, Pace. I nie musisz jechać. Dość mamy ziemi. Och, zresztą się poddamę. Po co ci taka odległa farma?
- Pewnego dnia na północy będą hodowle bydła dziesięć razy większe od największych tutaj - powiedział Juan. - To będzie kraina dla nielicznych.
- A my się w tym gronie znajdziemy - dodał Pace. - Nie przepuszczę takiej okazji.

519

Kilka tygodni później Juan pojechał do Newcastle w poszukiwaniu



najświeższych map. Kiedy Pace odwiedził Chelmsford, pokazał mu szlak, który ułożył.

- Najpierw przez Darling Downs pojedziemy do naszej farmy w Brisbane Valley, tam uzupełnimy zapasy i ruszymy na północ, cały czas lądem.

- Dlaczego nie popłyniemy statkiem? - zapytał Pace. - Przypuszczalnie moglibyśmy wysiąść w zatoce Keppel, jest tam wioska, nazywa się Rockhampton.

- Myślałem o tym. Ale nie wiemy, jak daleko w głąb lądu jesteśmy w stanie dotrzeć z Rockhampton. Leichhardt i Allingham trzymali się z daleka od wybrzeża. Mój plan jest taki: na farmie w Brisbane Valley zostawiamy konie juczne i zmieniamy wierzchowce, dzięki czemu będziemy mogli przyśpieszyć.

Pace'a to nie przekonało.

- Jedno tu nie gra. Andy ma tylko konie pociągowe i nie będziemy mogli kupić lepszych. Dobre konie to podstawa.

- Przewidziałem to. Zabierzemy ze sobą parę koni czystej krwi.

Zostawimy u Andy'ego konie juczne i te, na których do niego dojedziemy, będą mogły odpocząć. Wybrałem dwa wyjątkowe wierzchowce na podróż.

- Wyjrzał przez okno i gwizdnął na parobka. - Powiedz Jimmy'emu w stajni, żeby przyprowadził tu Sonny'ego! - krzyknął.

Wyszli na dziedziniec, po którym biegł już ku nim stajenny z cisawym ogierem.

- Pace, to jest Sonny. Co o nim myślisz?

Pace przesunął dłonią po błyszczącym karku konia.

- Wspaniały. Po prostu piękny! - Cofnął się, by podziwiać zwierzę, które stajenny dumnie prowadził dokoła dziedzińca.

- Jest twój - powiedział Juan.
- Co to znaczy, jest mój? Człowieku, on musi być wart fortunę!
- To darowany koń, MacNamara, słyszałeś o takich koniach. Kiedy pożegnamy się z Andym, ruszymy galopem i nie chcę, żebyś zostawał z tyłu. Sonny jedyny z mojej stadniny może dorównać Vencadorowi.
- Vencador! Widziałem go. Więc go zabierasz? Cóż, w takim razie Sonny jest mi potrzebny. Dziękuję za dar. Co to będzie za jazda! I nie bierzemy przewodników?

520

- Nie, przez nich musielibyśmy zwolnić tempo. Kompas i twoje wyczucie buszu powinny nas doprowadzić na miejsce. - Argentyńczyk roześmiał się i dodał: - A jeśli na szlaku będą jacyś wrogo nastawieni czarni, nie zdążą nas dogonić. My musimy tylko wytyczyć działki, wrócić do domu i czekać.

Juan uzgodnił, że Rosa podczas jego nieobecności zamieszka u Vicky Rowan-Smith. List od Milly Forrest zirytował go, ale też w samą porę ostrzegł. Fatalnie, że syn Heselwoodów ma taką reputację (poganiacze byli zawołanymi plotkarzami, każdy w okręgu wiedział, że Edward pali opium i sypia z czarnymi dziewczętami), i dość żenujące, że na obiekt swoich uczuć wybrał akurat Rosę. Juan zdecydował, że nie pozwoli mu się z nią widywać. W żadnych okolicznościach. Nawet jeśli oznaczałoby to zerwanie przyjaźni z Heselwoodami. Syn to ich problem, nie jego. Lord Heselwood także przeczytał relację z wyprawy Allinghama i postanowił, że wynajmie łódź, nie wiedział jednak, jaki typ będzie mu potrzebny, udał się więc do majora Mitchella, który wręczył mu egzemplarz swojej książki „Geografia Australii”.

- Dokąd chce pan dopłynąć? - zapytał Mitchell.
- Do zatoki Halifax. Zamierzam dotrzeć do Doliny Lagun. Zawsze miałem na oku te rejony.
- Tak, pamiętam - powiedział Mitchell cicho. - Proszę jednak nie zapominać, że ekspedycja nieszczęsnego Kennedy'ego wyruszyła z zatoki Rockingham tuż na północ od Halifaxu. Wystarczy powiedzieć, że za zatoką Halifax wznosi się łańcuch górski, tamtędy pan nie przejdzie, nie ma przełęczy. Góry te, Seaview Range, są wysokie i skaliste, bez strumieni, z czego można wyciągnąć wniosek, że ziemia po zachodniej stronie jest żyzna. - Pokręcił głową. - Może się wydawać, że Dolina Lagun jest blisko wybrzeża, ale dojście do niej od strony morza nie wchodzi w grę.
- Jak więc się tam dostanę?
- Nie chciałbym mieć na sumieniu zachęcania pana do wyprawy w tamte okolice. Niech pan się skontaktuje z niejakim Dalrymple'em. Przyjechał niedawno do Sydney i ma ochotę tam wyruszyć. Albo lepiej ja pana przedstawię. Dalrymple zdaje sobie sprawę z szans, jakie tamten rejon oferuje, ale jest bardzo przezorny. Czarni na północy są niebezpieczni.

521

Leichhardt, który podjął ekspedycję ze wschodu na zachód, zaginął z towarzyszami bez wieści. Bóg tylko wie, co się z nimi stało.

- Dlaczego akurat Dalrymple?
- Ponieważ tworzy syndykat. Proponuję to panu, bo wiem, że pana na to stać. Są tam rozległe pastwiska, w które jednak trzeba zainwestować, żeby można było właściwie je wykorzystać. Radzę, by związał się pan z Dalrymple'em. Nie będzie pan żałował, a w odpowiednim czasie na własne

oczy zobaczy pan, jak w Australii hodowcy bydła staną się poważnymi konkurentami hodowców owiec.

Wszyscy na farmie Kooramin zebrali się, by oglądać, jak szef i jego przyjaciel Rivadavia wyruszają w nieznane krainy, i to pomimo wiatrów, które obwieszczały nadejście burzy. Nad wzgórzami zawisły ołowiane chmury, ciągłe dudnienie grzmotów wzmagało powszechne podniecenie. Na podwórzu tłoczyli się czarni, dzieci łakomie piły lemoniadę, którą pani zawsze im przygotowywała na wyjątkowe okazje.

Paul MacNamara przez wiele dni błagał ojca, żeby pozwolił mu pojechać z nimi.

- Jeszcze jest czas, tato. Weź mnie ze sobą. Nie będę wam przeszkadzał.
- Powtarzam: zostaniesz i będziesz prowadził farmę. Daj mi spokój, John tak mnie nie męcz. I miej oko na małego Duke'a, matka nie może być wszędzie.

Juan czekał cierpliwie, gawędząc z poganiaczami, którzy podziwiali Vencadora. Pace wiedział, że Juan zrozumie powody tej zwłoki. Dolour była przygnębiona i musiał ją pocieszyć, nie chciał bowiem zostawiać jej nieszczęśliwej, w przeszłości zbyt często jej to robił.

W końcu Dolour wyszła, wyglądała na dość spokojną. Juan podszedł do niej i pocałował w oba policzki, ona zaś wyjęła koniczynkę z materiału, którą sama zrobiła, i włożyła w dziurkę od guzika jego kamizelki z czarnej skóry.

- To na szczęście, Juanie. Bądźcie ostrożni, nie ryzykujcie bez potrzeby. Jeśli droga okaże się za trudna, zawróćcie, prawda? I opiekuj się moim mężem.

Poklepał ją po ramieniu.

- Dbaj o siebie. Nie pozwolę mu wpaść w kłopoty.

522

Pace wybuchnął śmiechem.

- Jestem mniej ważny od jego konia. Jak Vencador zamoczy sobie kopyta, Rivadavia wróci do domu.

- Zobaczymy, MacNamara. - Juan wsunął strzelbę w olstra i wskoczył na siodło.

Pace pocałował Dolour na pożegnanie, tłum wiwatował.

- Można by pomyśleć - powiedział wesoło - że wybieram się do Anglii, a nie na wyprawę w odległą krainę.

ROZDZIAŁ Pięćdziesiąty DRUGI.

Na południe od Kooraminu, w Carlton Parku, nowy zarządca Edward Heselwood miał kłopoty, ale obwiniał o nie Stwórcę. Przez dwa tygodnie padały ulewne deszcze i rzeka Namoi spływała wartko ze wzgórz, napęlniając wysuszone koryta strumyków, zbyt szybko pędząc po spalonej i popękanej ziemi, by ta miała czas ją wchłonąć, tworząc kanały wiążące w pułapce bydło, które zawędrowało na chłodne łąki.

Byli tacy, którzy mówili, że Passey nigdy by do tego nie dopuścił, nikt jednak nie powiedział tego wprost Edwardowi, który w księdze zapisał stratę czterdziestu sztuk zamiast osiemdziesięciu. Ale kto miałby się mu sprzeciwić?

Mimo to wypadek go martwił. Wiedział, że ojciec przykładą wielką, jego zdaniem nadmierną wagę do liczenia stada. Aby uzupełnić braki, kupił tanio pięćdziesiąt sztuk od gadatliwego poganiacza, który twierdził, że ma powyżej uszu szlaku.

Edward przy pomocy braci Belcherów ruszył ze stadem do Carlton Parku.

Nim wrócili do domu, liczba bydła niemal się podwoiła, ponieważ zbierali nie oznakowane sztuki, przechodząc przez nie ogrodzone posiadłości.

- Znalezione nie kradzione - roześmiał się Edward, a przyjaciele mu przytaknęli. Wśród bydłokradów obowiązywała tylko jedna zasada: nie dać się złapać.

Tydzień później główny poganiacz Jack Temple naskoczył na Edwarda:

- Skąd masz to ostatnie stado? Połowa jest chora. Musimy je zastrzelić, zanim zarażą wszystkie sztuki na farmie.

523

- Nie będziesz zabijał mojego bydła - ostrzegł go Edward. - Zostaw je w spokoju.

- Musimy to zrobić, w przeciwnym wypadku nie będziemy mieli nic. Ktoś ci sprzedał swój kłopot.

Edward patrzył, jak jedni poganiacze oddzielają chore sztuki i zabijają je, podczas gdy inni palą truchła w dziurach wykopanych w rozmięklej ziemi, i odwrócił się z niesmakiem.

Kilka dni później, żeby powstrzymać zrzęczenia Temple'a, awansował go na nadzorcę i pozwolił wybrać własnego głównego poganiacza, co nie spodobało się Benowi Belcherowi.

- Myślałem, że ja zostanę głównym poganiaczem, jesteśmy przecież kumplami.

Edward go nie słuchał. Zdawał sobie sprawę, że jeśli ma utrzymać porządek na farmie, musi polegać na ludziach takich jak Temple, w przeciwnym razie ojciec się rozgniewa. A bracia Belcherowie nie byli jego przyjaciółmi, poza nimi nie miał tu towarzystwa. Nie mógł się doczekać

następnej wizyty w Sydney, kiedy pojawi się tam jako właściciel farmy. Sydney oszalało na punkcie osadników, i nie bez powodu. Edwarda zdumiało, jak wiele ojciec zarabia na bydło, i teraz rozumiał ciągłą potrzebę zdobywania nowej ziemi, nowych pastwisk i stad.

Na wspomnienie zatargu z Rivadavią wybuchnął śmiechem. Ożeni się z Rosą, przyjemnie było mieć przyszłość zaplanowaną. Rosa była piękna ze swoimi ciemnymi oczami i ustami jak pączki róży, a w dodatku różniła się od tych prostaczek w kolonii, bo spędziła dwa lata w Europie.

Jego rodzice naturalnie słyszeli o awanturze, Bóg wie, kto im doniósł. Matka się martwiła, za to ojciec był rozbawiony.

- Ale ten Hiszpan ma tupet, co? Zapomnisz o niej, kiedy pojawi się następna ślicznotka, a gdyby tak się nie stało, ożeń się z nią. Sam musisz wybrać sobie żonę. Niewykluczone jednak, że w takim razie on ją wydziedziczy.

- Nie dbam o to - oznajmił Edward z powagą, czasami wszakże się nad tym zastanawiał. Wszyscy wiedzieli, że Rivadavia jest bajecznie bogaty, pewnego dnia Rosa odziedziczy fortunę. Dzięki połączeniu majątków Heselwoodów i Rivadaviów pan Edward Heselwood zyskałby poważne wpływy w kolonii.

Znowu była niedziela. Niestety ten weekend przyniósł rozczarowanie.

Edwarda zaproszono na przyjęcie do zamku Pageta, obrzydliwego miejsca, choć gospodarze wiedzieli, jak przyjmować gości.

524

W ostatniej chwili przybył jeździec z listem, w którym przepaszali, ale przyjęcie zostało odwołane, kilkoro członków rodziny zachorowało na świnkę. Znowu był skazany na towarzystwo Bena i Maxa.

Nigdy nie zaprosił ich do domu, ale rozumieli to, wystarczało im, że siedzą na szerokiej werandzie. Z farmy wyjechało kilku jeźdźców.

- Dokąd oni się wybierają? - zapytał Edward.

- Po dzikie konie - wyjaśnił Max. - Rzeka wezbrała i odcięła stadu powrót na wzgórze.

- A jak je złapią, to co?

- Znalezione nie kradzione, dzikie konie to łatwa zdobycz - odparł Max.

- Jedźmy z nimi - powiedział Edward. - Osiodłaj dla mnie konia, Ben.

- Jasne, szefie. - I Ben poszedł wypełnić polecenie.

- Jeśli te konie są na terenie mojej posiadłości, powinny należeć do mnie - stwierdził Edward, ale Max pokręcił głową.

- Nie, za szybko się poruszają, nigdy nie wiadomo, na czyjej ziemi będą za chwilę.

Dołączyli do grupy. Kiedy poganiacze już myśleli, że złapali stado złożone z dziesięciu sztuk, konie uciekły. W południe Edward miał dość.

- Nigdy ich nie złapią.

- Wręcz przeciwnie, złapią - zaproponował Ben. - To może wyglądać, że ciągle się im nie udaje, ale przez cały czas zacieśniają krąg. W końcu koniom nie pozostanie nic poza tą zagrodą.

- Brednie! - parsknął jego brat. - To słabe ogrodzenie ich nie powstrzyma, ogier rozwali je jednym kopnięciem. Albo popędzi na nie klacze. Nie będzie się przejmował, że klacze zrobią sobie krzywdę, ma ich pełno. Hej, Ben - roześmiał się - widziałeś wczoraj tego wielkiego czerwonego byka na tylnym pastwisku?

- Chryste, tak - odparł Ben. Zeskoczył z siodła i z sakwy wyjął butelkę rumu. - Chcesz się napić, szefie?



- Ale to chyba nie jest ten rum co ostatnio? - skrzywił się Edward, zsiadł jednak i sięgnął po butelkę. Cieszył się, że przynajmniej jest pierwszy, nie lubił pić ze wspólnej butelki, ale uważał, żeby nie wycierać szyjki. Kiedy poprzednim razem tak zrobił, wyśmiali go. - Boże! - zakrztusił się. - Smakuje jak nafta.

525

- Po kilku łykach nie będziesz na to zwracał uwagi - powiedział Ben. Usiedli oparci o białe pnie drzew, podając sobie butelkę z rąk do rąk.

- Woda ognista - stwierdził Ben z uznaniem.

- A o co chodziło z tym bykiem? - zapytał Edward. Bracia znowu wybuchnęli śmiechem.

- To prawdziwy rozpruwacz - odrzekł Max. - Jak nie może dorwać krowy, to gramoli się na woły. Ma fajfusa wielkiego jak noga i musi gdzieś go wsadzić, nieważne gdzie.

- Na farmie jest kilku gości całkiem do niego podobnych - prychnął Ben. Mieli rację, zauważył Edward, po czwartym łyku rum wcale tak źle nie smakował.

- Co to znaczy? - zaciekawiał się i bracia ryknęli śmiechem, ucieszeni, że choć raz wiedzą lepiej.

- A według ciebie co to może znaczyć? Jak ci stoi, musisz coś z tym zrobić. Ja nic do nich nie mam.

- Ale Passey ostro ich potraktował - wtrącił Max.

- Passey to przeklęty świętoszek. Sam ma dobrze, żona na niego czeka. Edward słuchał, ukrywając niesmak, choć równocześnie poczuł podniecenie. Ben z wysiłkiem podniósł się na nogi, zasłaniając napęczniałe krocze.

- Cholera. Popatrzcie na mnie! Też mi stanął.

Przez sekundę Edward ze strachem myślał, że Ben zdejmie portki.

- Nazywamy go koniem - rechotał Max. - Koń! Powinieneś to zobaczyć.

Hej, koniu, pokaż się!

Ale Ben wskazywał w dół strumyka.

- Popatrzcie. - Małe stado bydła przedzierało się przez zarośla do wody. -

Jesteśmy na obrzeżach farmy Craddocków. Do drogi jest stąd tylko pół mili. - I ruszył w tamtą stronę.

- Dokąd się wybierasz? - Edward był skonsternowany tą nagłą zmianą zachowania.

- Sprawdzić, czy są oznakowane - szepnął Max. - Ukryły się tutaj, mogli ich nie zauważyć.

- A jeśli nie są? - zapytał Edward z głupia frant. Już się domyślał, co bracia knują.

- Możemy je wziąć.

526

Edward podszedł bliżej, żeby lepiej się przyjrzeć. Czemu nie? To był nudny, zmarnowany dzień. Ben chodził między zwierzętami, szukając znaków.

- Craddock nigdy się nie dowie - namawiał Max. Ben podniósł ręce w geście zwycięstwa.

- Chcesz to stado? - zapytał Max.

- Jasne - odparł Edward. - Bierzemy je.

- Masz rację - roześmiał się Max. - Bierzemy.

- To było dla hecy - lamentował Ben. - Tylko dla hecy.

- Właśnie - dodał Max. - Wyglupialiśmy się.

- Więc jeszcze raz mi powiedz, co się stało - warknął Jack Temple - a jeśli dalej będziesz łął, złamię ci szczękę.

I Max zaczął od nowa...

- Pędziliśmy to bydło drogą, tak dla żartu, trochę wypiliśmy i było bardzo gorąco.

- Pieprzyć bydło! - krzyknął Temple. - Co się stało?

- Kiedy to się z tym łączy...

Temple wziął na świadków szefa poganiaczy Taffy'ego i McGinty'ego; obaj mieli już dość przedłużającej się rozmowy. Taffy podniósł leżący w kącie szopy bat.

- Wybijemy z nich prawdę.

- Nie macie prawa mnie tknąć, wy dranie! - wrzasnął Ben.

- McGinty, wyprowadź go stąd - polecił Temple. - Każdy osobno opowie nam tę historię.

Kiedy McGinty popchnął Bena w stronę wrót, Taffy nagle zaciął batem i uderzył go w pośladki. Ben z jękiem podskoczył. Nawet Max się roześmiał.

- Zaraz ty będziesz się śmiał tyłkiem - pogroził mu Temple. - Tym razem gadaj prawdę albo posmakujesz bata

Taffy'ego.

- Przecież od początku próbuję ci powiedzieć - poskarżył się Max. -

Byliśmy na drodze z bydłem, kiedy nadjechała pani MacNamara z małym czarnym dzieckiem na siodle. Uchyliłem kapelusza i życzyłem jej dobrego dnia, ale ona gapiła się na stado. „Co wy robicie, chłopcy?” zapytała.

Eddie zawołał z drugiej strony drogi: „Pędzimy bydło do Craddocków!”

No i wtedy pani MacNamara zsiadła z konia i przyjrzała się bydłu, i Eddie

też zsiadł. Zaczęli się kłócić, bo się okazało, że jesteśmy na farmie MacNamarów, o milę od Craddocków. Mrugnąłem do Eddiego,  
527

żebyśmy się zmywali, nikt nie chce zwady z MacNamarą, wpakuje ci kulkę, zanim się obejrzysz, ale Eddie na mnie nie patrzył. Ona wrzeszczała, że kradniemy jej bydło i że napuści na nas męża, ale wtedy wtrącił się Ben. „Szefie, MacNamara poszedł na wędrownkę. Wyjechał na północ z Rivadavią z Chelmsfordu”, powiedział. Do pani MacNamara dotarło, kim jest Eddie, i wpadła we wściekłość, dostała ataku irlandzkiego szału. „Ty jesteś Edward Heselwood! Powinieneś się wstydzić. Pójdę z tym na policję”, groziła. Ale Eddie gadał tak, jakby jej tam nie było. „To naprawdę jest pani MacNamara?”, zapytał. „Tak”, powiedziałem. „Może się pomyliliśmy, co?” Dawałem mu szansę, żeby się wyplątać. „Jasne, żeście się pomylili”, krzyknęła pani MacNamara. „Zostawcie to bydło i zbierajcie się stąd, albo oskarżę was o kradzież!” Byliśmy trochę wstawieni, poza tym nic nie jedliśmy, i tak mi się wydawało, że Eddie udaje ważniaka, kiedy nie chciał zostawić bydła, ale on miał coś lepszego na myśli. „Nie strasz mnie”, powiedział jej. „Ojciec mówił mi o tobie, byłaś więźniarką i jego dziwką, no nie?”

Temple zeszywniał i spojrzał na Taffy'ego.

- Jezu!

- Kłamał, gówniarz jeden - wycedził Taffy ze złością, ale Max pokręcił głową.

- Po mojemu gadał prawdę, Taffy. - Przesząpił z nogi na nogę. - Mogę usiąść?

- Nie, dopóki nie skończysz - odparł Temple.

- Dobra. No więc to dla mnie i dla Bena była nowość, a ona się uciszyła, w każdym razie na chwilę. Potem rzuciła się na Eddiego i walnęła go w twarz. Chciała go jeszcze raz uderzyć, ale złapał ją i śmiał się z niej. Ściągnął ją z drogi w krzaki, chociaż szarpała się jak oszalała. „Trzymajcie ją”, wrzasnął do nas, więc obaj z Benem go posłuchaliśmy. To czarne dziecko musiało zwiać, nie widzieliśmy nawet kiedy, bo okropny był zamęt, ona tak walczyła, że koszula jej się rozerwała. - Oblizął wargi i uśmiechnął się na to wspomnienie. - Mówię wam, niezła z niej sztuka. Temple uderzył go w szczękę i Max zwałił się na klepisko. Taffy podniósł go na nogi.

- Niech najpierw skończy, Jack. Szkoda i tak już się stała. Max rozcierał szczękę.

- Nie musiałeś tego robić, Temple, ja tylko mówiłem... - Spojrzał na obu mężczyzn i podjął opowieść. - W każdym

528

razie trzymaliśmy ją we trzech, a ona nas wyzywała. Mówię wam, to nie jest dama, musielibyście słyszeć ten język. Wcześniej nie miałem pojęcia, że była więźniarką. Tak czy owak trzymaliśmy ją jak do znakowania i to musiało nasunąć Eddiemu pomysł, bo powiedział: „Zobaczymy, co jest pod tymi spodniami.” Miała na sobie męskie spodnie, wiecie, bryczesy. Myśleliśmy, że to dla draki, Ben śmiał się, kiedy Eddie zdjął jej buty, ściągnęliśmy jej spodnie, ale miała na sobie pantalone, wszyscyśmy się trochę napalili i zrobiło się cicho. Ona wciąż się wyrywała, choć usta miała zaciśnięte, coś kombinowała. Ściągnęliśmy jej pantalone do połowy i Eddie zaczął odpinać spodnie. Przysięgam, że byśmy jej nie tknęli, Ben i ja, w żadnym razie, ale Eddie to szef, chciał jej, a ona tam była. Traktował

ją miło. „Nie zrobimy ci krzywdy, Dolour”, powiedział. „Na imię masz Dolour, prawda?” Wydało mi się śmieszne, że ona jest taka cicha, ale nagle wrzasnęła: „Weź strzelbę!” Nie mieliśmy pojęcia, do kogo mówi.

Pomyśleliśmy, że do tego czarnego dziecka, choć niewiele by jej pomogło, więc się rozejrzeliśmy i nikogo tam nie było. Zaraz jednak w krzakach pojawiła się ta wielka czarna kobieta z Kooraminu, ta z plemienia Tingum, i miała strzelbę pani MacNamara. Powiedziałem jej, żeby się odpieprzyła, a Eddie kazał jej odłożyć broń. Ale teraz pani MacNamara walczyła jak szalona. „Strzelaj!” wrzasnęła, a ta czarna natychmiast strzeliła. Nie wycelowała ani nic, tylko nacisnęła spust i pif-paf! Eddie padł na ziemię z krzykiem, pocisk przeszedł mu przez kolano. Ta głupia suka mogła kogoś z nas zabić.

- Mogła też chybić - warknął Taffy.

- Racja. Ale pani MacNamara wstała, bo my zajmowaliśmy się szefem. Poprawiła ubranie, złapała strzelbę, tej czarnej powiedziała, żeby wzięła naszą broń, a nam kazała się wynosić. Nie pozwoliła opatrzyć Eddiego, który płakał z bólu, musieliśmy wsadzić go na konia, choć krwawił jak zarżnięta świnia.

- Czemuście nie zawieźli go do Craddocka? - zapytał Temple. - Byliście blisko jego domu.

- Nie pozwolił nam. Zatrzymaliśmy się na drodze, zabandażowaliśmy go i pojechaliśmy prosto do domu. Resztę już wiecie. - Max popatrzył na obu mężczyzn. - Jego noga będzie w porządku?

- Nie wiem - odparł Temple. - Musimy czekać, aż przyjedzie doktor. Ach, wy głupi dranie. Paskudna sprawa.

- Racja - zgodził się Max. - Musicie złapać tę czarną. Powinna odpowiedzieć za strzelanie do białego.

Jack Temple chwilę mu się przyglądał, a potem warknął do Taffy'ego:

- Wyprowadź go, bo zaraz ja mu strzelę w kolano.

Tydzień później sierżant Buchanan przyjechał na farmę Kooramin, żeby - jak to ujął - „pogawędzić” z panią MacNamara. Dolour zaprosiła zarządcę Joego Donnelly'ego i jego żonę Sheenę, żeby byli świadkami rozmowy.

- Słyszę, że doszło u was do awantury - zwrócił się do Donnelly'ego, który skinął głową.

- Tak, żona i ja wiemy o wszystkim, ale pani MacNamara nie mówiła o tym nikomu innemu, a zwłaszcza synom.

- Rozsądne posunięcie - stwierdził Buchanan. - Łatwiej będzie zrobić z tym porządek. Jak wiem, jedna z czarnych kobiet pracujących w Kooraminie postrzeliła pana Edwarda Heselwooda w kolano. Będzie miał nogę sztywną do końca życia, tak mówi doktor.

Dolour siedziała bez słowa, Joe i Sheena, biorąc z niej przykład, także milczeli.

Buchanan wyjął notatnik.

- Ta dziewczyna ma na imię Maja, czy tak?

- Tak - potwierdziła Dolour.

- I przypuszczam, że wyruszyła na wędrowkę? - uśmiechnął się Buchanan.

- Nie, jest w domu. Maja nie ma powodu uciekać - oznajmiła Dolour stanowczo.

Buchanan zakaszłał.

- Znam całą historię od Jacka Temple'a. Pomyślałem, że najlepiej zrobię,

jak panią odwiedzę i powiem, że pan Heselwood nie zamierza składać skargi, nie musi się pani tym martwić.

- To dobra wiadomość - odrzekł Donnelly. - Maja próbowała pomóc swojej pani. Nawet nie celowała.
- Tak słyszałem. Uznamy to za wypadek. - Sierżant zamknął notatnik.
- Przynieść panu coś do picia i jedzenia, sierżancie? - zaproponowała Sheena.
- Proszę otworzyć swój notatnik - odezwała się Dolour.

530

- A w jakim celu? - zdziwił się Buchanan.
- Ponieważ chcę wnieść oskarżenie.
- Jakie oskarżenie?
- Przeciwno Edwardowi Heselwoodowi i tym dwóm... jakże się oni nazywają, Joe?

Jakby już stali przed sądem, Joe monotonnym tonem wymienił nazwiska:

- Max Belcher i Ben Belcher. Ale dlaczego, Dolour?
- Oskarżam ich o kradzież bydła z Kooraminu i próbę gwałtu na mnie. Buchanan poczerwieniał.
- Ojej, pani MacNamara, powinna być pani ostrożniejsza w tych sprawach. Niech pani trochę poczeka.
- Czy to nie z panem powinnam o tym rozmawiać?
- Ze mną, oczywiście, ale jako przyjaciel powiem tak: rozumiem pani gniew, z drugiej zaś strony Edward Heselwood gorzej na tym wyszedł.
- A tamci dwaj uciekli - dodała Dolour.

Buchanan, bębniąc palcem po kolanie, zwrócił się do Donnelly'ego:

- Przedyskutuj to jeszcze z panią MacNamara.



- Nie ma takiej potrzeby - oznajmiła Dolour. - Podjęłam decyzję. To zgodne z prawem posunięcie, w przeciwnym wypadku może się zdarzyć coś złego. Jak pana zdaniem zareagują John i Paul, kiedy się dowiedzą, co przytrafiło się ich matce?

Buchanan nie krył irytacji.

- Moim zadaniem jest utrzymanie porządku, pani MacNamara. Sam porozmawiam z chłopcami. Ale jeśli wniesie pani oskarżenie, wszyscy będą gadać, a to nie będzie dla pani miłe. Wręcz przeciwnie, może okazać się bardzo żenujące.

- Nie było miłe to, co mi się przytrafiło - warknęła Dolour.

- Prawda, to było okropne - zgodził się sierżant - i bardzo mi przykro z tego powodu. Ale niech pani zrozumie, ja tylko próbuję oszczędzić pani dalszych nieprzyjemności.

Patrzyła na niego bez słowa.

- No dobrze - westchnął - spiszę pani zeznanie. Oraz zeznanie Mai.

- Oczywiście.

Spojrzał na swój mały notatnik.

531

- Będę potrzebował więcej papieru. Przeżyła pani straszne chwile, pani MacNamara. Nie może pani tego zostawić?

Dolour wstała.

- Na biurku leży papier. A także pióro i atrament. Kiedy Buchanan odjeżdżał, zirytowany koniecznością powrotu do Carlton Parku, Joe Donnelly próbował przekonać Dolour, żeby odstąpiła od oskarżenia.

- Nie rób tego, Dolour. Poczekaj, aż Pace wróci do domu, pogadaj z nim o tym.

- Pace? Wyobrażasz sobie, że z Pace'em omawiam taką sprawę? Przecież od razu ruszyłyby do Carlton Parku z naładowaną strzelbą!

- Chyba tak. Z drugiej strony, Dolour, mogłabyś mu powiedzieć... Boże wszechmogący, trudno mówić to kobiecie. Ale w gruncie rzeczy nic ci nie zrobili. Nie zgwałcili cię. W sumie nie stała ci się żadna krzywda.

Jej oczy wypełniły się łzami.

- I tu się mylisz, Donnelly. Skrzywdzono mnie, bardzo mocno mnie skrzywdzono. Będę ci wdzięczna, jeśli zajmiesz się swoimi sprawami. Ja swoje załatwię po swojemu. Drugi raz mnie nie pokonają.

Decyzja Dolour wywołała kłótnię z synami. Chcieli natychmiast jechać do Carlton Parku, ale matka im zabroniła. Nie będą łamać prawa.

Po spokojnym tygodniu bez dalszych incydentów do spizarki, gdzie Dolour czyściła półki, wpadła Sheena Donnelly z wiadomością, że do domu zbliża się powóz.

- Kto to jest?

- Nie mam pojęcia - odparła Sheena.

- Zaprowadź gości do salonu, a ja się ogarnę.

Umyła twarz i dłonie w pralni i po cichu przeszła do sypialni, żeby uczesać włosy i małym koronkowym kołnierzem spiętym broszką z kameą ozdobić prostą brązową suknię.

Sheena wstawiła głowę w drzwi.

- To lady Heselwood - szepnęła.

- Tak myślałam.

Dolour zzuła robocze buty i wciągnęła miękkie skórzane trzewiki, po

czym poszła do salonu.

- Lady Heselwood, czy tak? - zapytała.

532

- Tak - uśmiechnęła się Georgina. - Pani MacNamara, prawda? Bardzo się cieszę, że wreszcie panią spotykam. Znamy pani męża od wielu lat.

- Wiem. Proszę usiąść.

- Jak się miewa Pace?

- Bardzo dobrze, o ile się orientuję. Jest na północy z Juanem Rivadavią, szukają nowych działek.

- O tak, słyszałam. Mój mąż robi to samo. Jest teraz w Brisbane. Myślę, że ciągle poszukiwanie nowej ziemi bardziej im odpowiada od samego jej posiadania.

- To prawda - rzekła Dolour zaskoczona, że żona Heselwooda podziela jej przekonanie. - Nigdy nie mają dość ziemi.

Obie kobiety mierzyły się wzrokiem, oceniały. Lady Heselwood wyglądała niezwykle elegancko w niebieskoszarej jedwabnej sukni z niewielką krynoliną, dzięki której spódnica miękko układała się na figurze, i ciemnym kapeluszu z szerokim rondem na zwiniętych w wałki jasnych włosach. Czas obchodził się z nią łaskawie, kremowej twarzy nie znaczyły zmarszczki.

- Napije się pani herbaty? - zaproponowała Dolour.

- Nie teraz, dziękuję. - Georgina splotła dłonie w rękawiczkach i zaczęła: - Pani MacNamara, przyjechałam, by serdecznie panią przeprosić za zachowanie mojego syna. - W jej oczach błysnęły łzy i nieoczekiwanie Dolour poczuła, jak coś ściska ją w gardle. Mogła tylko kiwnąć głową i pozwolić, by lady Heselwood mówiła dalej, z wysiłkiem dobierając słowa.

- Jestem przekonana, że zarządca Carlton Parku, pan Temple, przekazał mi prawdziwą relację z tego incydentu. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi przykro, że spotkała panią równie nieprzyjemna sytuacja.

Dolour milczała. Georgina wzięła głęboki oddech.

- Nigdy w życiu nie czułam takiego wstydu. Mam nadzieję, że wierzy pani w szczerść moich słów.

Dolour nie spodziewała się przeprosin i współczuła lady Heselwood.

Temple powiedział jej, co się stało, ale na pewno nie wszystko. Na pewno nie powtórzył słów, których Dolour nigdy nie zapomni, że była więźniarką i dziwką Jasina Heselwooda, żaden z mężczyzn nie odważyłby się o tym wspomnieć.

- Edward naturalnie także panią przeprosi, kiedy poczuje się lepiej - ciągnęła Georgina. - Bóg wie, co jego ojciec na to powie.

533

Zdenerwowanie opuściło Dolour, przypomniawszy sobie bowiem, że to Heselwood był przyczyną wszystkiego, chełpiąc się przed synem, brukając ich związek.

- Czy mogłabym w jakiś sposób pani to wynagrodzić? - zapytała Georgina.

- Nie, ale dziękuję, że pani to mówi - odparła Dolour. Na chwilę zapadło niezręczne milczenie, które w końcu przerwała Georgina.

- Pani MacNamara, czy wciąż zamierza pani wnieść oskarżenie?

Dolour odwróciła od niej wzrok. Nie chciała ranić matki, mimo to rzekła stanowczo:

- Tak.

Georgina westchnęła głęboko, jakby tłumiąc łzy.

- Nie sądzi pani, że Edward poniósł dostateczną karę? Do końca życia będzie miał sztywną nogę, kolana nie da się wyleczyć.

- To nie ma z tym nic wspólnego.

- Tamci dwaj uciekli - ciągnęła Georgina - zostawili Edwarda, by poniósł wszelkie konsekwencje.

- Takich przyjaciół sobie wybrał. - Dolour wzruszyła ramionami.

- Pani MacNamara - Georgina nachyliła się ku niej - pozwoli pani, że szczerze pani powiem: nie wygra pani takiej sprawy. Bydło w zasadzie nie zostało skradzione, odzyskała je pani. I niezależnie od tego, jak strasznie panią potraktowano, w gruncie rzeczy nie ucierpiała pani.

Dolour otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Georgina uniosła dłoń.

- Nie, proszę poczekać. Zgadzam się z panią, że wyrządzono pani krzywdę, ale sądy będą innego zdania. Zupełnie innego. I nie chodzi o to, że sędziami są mężczyźni, kobiety także nie wydałyby wyroku skazującego. Musi pani zrozumieć, że oba zarzuty zostaną oddalone i pani przegra.

- Wiem, że tak.

Georgina ze zdumieniem zamrugwała.

- Więc dlaczego, na Boga...?

- Brytyjska sprawiedliwość, lady Heselwood. Wie pani, że byłam więźniarką?

- Nie wiem.

534

Dolour uśmiechnęła się, to stanowiło odpowiedź na drugie pytanie.

Mężczyźni dbali o siebie wzajemnie.

- To, że była pani więźniarką, nie powinno mieć najmniejszego znaczenia, pani MacNamara. Nie wiem, co powiedzieć, poza tym że w społeczności cieszy się pani wielkim szacunkiem. Proszę, niech pani nie naraża się na straszną rozprawę sądową, której nie może pani wygrać.

- Nie muszę wygrać - odparła Dolour. - Ja chcę, by stanęli przed sądem, by wszyscy dowiedzieli się, jacy oni są. Policja znajdzie pozostałe dwie kanalie.

Jej słowa nie pozostawiały złudzeń. Edwarda Heselwooda także uważała za kanalię. Georgina oblała się rumieńcem.

- Sprowadzę świadków, w tym Aborygenki, którzy zaświadczą o charakterze całej trójki - oznajmiła Dolour pośpiesznie. - Na pani miejscu, lady Heselwood, zostałabym w domu.

- Pani MacNamara, błagam, by pani tego nie robiła.

- Zaraz, zaraz, przed chwilą martwiła się pani, co powie na to mąż. A może pani sobie wyobrazić reakcję Pace'a? Nie chcę, żeby wplątał się z tego powodu w problemy. Chciałby się mścić i aresztowano by go za napaść albo coś gorszego. Nie, załatwię to zgodnie z prawem, to najlepszy sposób.

Georgina pokręciła głową.

- Może pani przekonała siebie, ale mnie nie. Myślę, że po prostu chodzi pani o odwet. Chce pani się zemścić. Przedstawiła pani wiarygodny powód swojego postępowania i wszyscy pani uwierzą, ale ja nie. Nigdy.

Dolour to stwierdzenie wcale nie zakłopotало.

- A jeśli tak jest? Staną przed sądem jak pospoliccy przestępcy i tylko to się liczy.

- Przykro mi, że tak pani na to patrzy. Jak mogę panią przekonać, żeby

pani tego nie robiła? Czy nie ma innego sposobu?

Wydawała się zaskoczona, kiedy Dolour odpowiedziała:

- Jest.
- A jaki?
- Pani syn może wrócić do ojczyzny.
- Pani MacNamara, Anglia nie jest jego ojczyzną. Urodził się w Sydney.

Dolour odgarnęła z twarzy płomienne włosy, patrząc gdzieś w przestrzeń.

535

- Ja urodziłam się w Irlandii i siłą zabrano mnie stamtąd, choć nikomu nie zrobiłam nic złego.

Zaszokowana Georgina cofnęła się.

- O mój Boże, więc o to w tym chodzi.
- Chyba możemy stwierdzić, że za jednym zamachem odnalazłyśmy powód i rozwiązanie, lady Heselwood. Powie pani synowi, żeby natychmiast opuścił Australię, bo ja mu nie daruję. Jeśli za pierwszym razem przegram, odwołam się do wyższej instancji, a wtedy wszyscy, którzy pierwszą rozprawę przegapili, następnym razem na pewno o niej usłyszą. Nie pozostanie ani jeden człowiek, który by nim nie pogardzał.
- I obstaje pani przy tej decyzji?
- Wy, Anglicy, układacie zasady, nie ja.
- Aż tak nas pani nienawidzi?
- Uważam, że postępuję rozsądnie - odparła Dolour. - On nie będzie tak cierpiał jak ja. Niech pani tylko powie synowi, żeby stąd wyjechał.
- A wtedy wycofa pani zarzuty?
- Och nie, tego nie mogę zrobić. To gwarancja, że pani syn pozostanie w

Anglii. Ale trochę poczekam, żeby dać mu czas na wyjazd.

Georgina wstała.

- Nie cofam przeprosin, choć myślę, że jest pani bardzo surowa.
- Statki transportujące więźniów odbierają człowiekowi łagodność.
- Moi prawnicy przypuszczalnie zaproponują pani ugode.
- Niech im pani powie, żeby nie tracili czasu. Georgina pokiwała głową, jakby spodziewała się takiej odpowiedzi.
- W takim razie życzę dobrego dnia, pani MacNamara.

## ROZDZIAŁ Pięćdziesiąty TRZECI.

Juczne konie nie spowalniały tempa, tak więc po wyjeździe z farmy w Brisbane Valley Pace i Juan pędzili przez otwarte równiny. Przed nimi na horyzoncie wznosiły się poszarpane szczyty gór.

536

Nazajutrz podróż okazała się trudniejsza, musieli przedzierać się przez porośnięte gęstymi lasami wzgórza, które ciągnęły się w nieskończoność, i przeprowiać przez szerokie strumienie i rzeki. Trzeciego dnia zgodnie z planem dotarli nad brzeg Dawson.

Podążając szlakiem wytyczonym przez Leichhardta, wędrowali przez żyzne równiny nadrzeczne, potem przez gęste zarośla, które doprowadziły ich do stromych gór Christmas. Po drugiej stronie łańcucha czekała na nich rzeka Comet.

Dzień po dniu zmierzali na północ tak szybko, jak pozwalało na to ukształtowanie terenu. Przekonali się, że podróż jest wyczerpująca, chociaż nie tak trudna, jak się spodziewali, na trawiastych równinach popędzali konie do galopu i nadrabiali stracony czas.

Okolica wydawała się nie zamieszкана, nie zagrażali im więc bandyci, ale



czujnie wypatrywali czarnych. Dopiero kiedy przeprawili się przez rzekę Isaac i szukali przejścia przez góry, trafili na obóz Aborygenów. Kobiety krzyczały, konie stawały dęba, a wojownicy włóczniami zagrodzili im drogę.

Pace trzymał dłoń na pistolecie, podczas gdy Juan zsiadł z konia i ruszył naprzeciw Aborygenom. Z uśmiechem się uklonił, po czym powiedział coś po aborygeńsku, ale go nie zrozumieli.

- Nie to narzecze - rzekł do Pace'a. - Podaj mi puszkę z fasolą.

Pace spełnił prośbę, czujnie obserwowany przez czarnych. Juan wsadził nóż w puszkę, palcami wyłowił kilka ziaren fasoli i zjadł z wielkim apetytem, po czym podał puszkę stojącemu obok Aborygenowi.

Ten wziął do ust parę ziaren, ale nie okazał nadmiernego entuzjazmu, podobnie jak następni. Nie ulegało wątpliwości, że jedzenie białych nie budzi w nich zachwyty.

- Zapytaj ich, gdzie jest przełęcz - powiedział Pace.

- Lepiej zrobimy, jak stąd odjedziemy - odparł Juan.

- Możemy stracić cały dzień na szukanie przejścia.

- Spróbuję. - Juan pochylił się i na ziemi narysował mapę. Aborygeni pojęli, o co mu chodzi. Jeden wystąpił i ku uciesze pobratymców ostrzem włóczni dorysował słońce. Juan nakreślił rzekę, skrapiając ją dla lepszego efektu wodą z bukłaka, po czym wyrysował ostre szczyty. Przekroczył je i zapytał:

537

- Jak?

Zdumiali się, bo poskutkowało. Juan wskazywał różne kierunki, ale Aborygeni kręcili głowami. W końcu dali im młodzieńca, żeby ich tam

zaprowadził.

Juan szedł koło swojego wierzchowca, Pace podążał za nim. Odwrócił się, by pożegnać czarnych, którzy patrzyli na niego ze zdziwieniem.

Przewodnik biegł przodem, pragnąc jak najszybciej wywiązać się z zadania. Przeprowadził ich przez przełęcz, z której zobaczyli płaską równinę i rzekę płynącą w oddali.

- To chyba Suttor! - zawołał Juan. - Jesteśmy w połowie drogi. Stąd dojdziemy do rzeki Burdekin, a ona zawiedzie nas do Doliny Lagun! - Poklepał przewodnika po ramieniu i odwrócił się, by otworzyć sakwę. - Co mam mu dać w nagrodę?

- Spóźniłeś się, już go nie ma. Chyba myślą, że jesteśmy parą włóczęgów, którzy kręcą się po okolicy bez celu.

Dwa dni później dotarli do ujścia Suttoru do Burdekinu i z biegiem wielkiej rzeki podążyli na północ. Na północy panowała pora sucha, nurt toczył się wolno, a od brzegów wodę oddzielały półmilowe łachy piasku.

- Ta rzeka mnie niepokoi - odezwał się Pace. - Widzisz te brzegi? W czasie deszczów jest tu pewnie tyle wody, ile w życiu nie widziałem.

Na razie jednak przyjemnie się jechało przez równinę znaczoną tu i tam wysokimi kopcami mrówek i zakurzonymi drzewami. Panował spokój, który nagle przerywało stado ptaków podrywające się do lotu albo czmychające w popłochu kangury.

Na noc rozbili obóz o kilka mil od celu swej wyprawy i podnieceni wstali przed świtem. O wschodzie słońca ze wzgórza patrzyli na mglistą krainę, która była Doliną Lagun.

- Oto jest! - krzyknął Juan. Pace wstrzymał konia.

- Na Boga, wiedziałem, że się nam uda.

- Musimy więc to uczcić - oznajmił Juan. - Przygotowałem się na tę okazję. - Wyjął srebrną piersiówkę i podał Pace'owi. - Wychylimy za Dolinę Lagun toast najlepszą brandy.

Pace pociągnął łyk i powiedział:

- Za nas! To wygląda zupełnie inaczej, niż się spodziewałem.

538

- Ale chyba nie jesteś rozczarowany, MacNamara?

- Wręcz przeciwnie, jestem oszołomiony. Bo wiesz, myślałem o dolinie, długiej zielonej dolinie, jakie mamy w Irlandii. Przypominają tunel. A to nie jest dolina, tylko równina.

- Pochodzisz z małego kraju i do wszystkiego przykładasz małą miarę, co? - zażartował Juan. - Cud, że nie zabłądziłeś w tym kraju. Popatrz na te laguny. Leichhardt miał rację. Tutaj są wspaniałe pastwiska!

- A co to za góry na zachodzie?

- Nie wiem. Jak daleko jesteśmy od wybrzeża?

- Zaledwie sto mil, nie więcej, ale równie dobrze to może być tysiąc.

Obaj z podziwem wpatrywali się w porośnięte bujnym lasem góry Seaview.

ROZDZIAŁ Pięćdziesiąty CZWARTY.

Wołali go Wodoro. Potrafił swoje imię wymówić prawidłowo, „Wodrow”, bo nauczył go tego ojciec, i znał symbole, którymi zapisują je biali, ojciec wycinał je dla niego na pniach drzew. Bawiło go, że inni chłopcy łamią sobie język na jego imieniu, choć nie żywił do nich pretensji, uważał, że Wodoro brzmi o wiele lepiej, dźwięczniej.

Wodoro miał doskonałe koneksje. Ojciec był białym wojownikiem, który przyniósł wiadomość od ludu Kamilaroi do ludu Tingum i który z taką

odwagą walczył w wielkich wojnach. Kiedy zginął w bitwie w domu białego, dobre duchy dopilnowały, by jego stos pogrzebowy objął niebiosy na wiele mil dokoła. Stos zapalili wojownicy, ale wspaniałe płomienie liżące niebo były hołdem duchów dla wybitnego człowieka.

Po okresie żałoby wielki Bussamarai uznał Wodoro za własnego syna, w ten sposób okazując lojalność i wdzięczność wobec swojego przyjaciela Dzakadu.

Wodoro wiedział, że z powodu swojej pozycji przejdzie inicjację najwyższego porządku, znosił więc cierpienia w jej trakcie z godnością, strachem pokrywając pokorą, choć nie czuł pokory. Próby i doświadczenia przeprowadziły go w wiek męski i teraz,

539

mając szesnaście lat, mówił w językach ludów Kamilaroi i Tingum oraz znał wiele wyrazów, jakich używał biały człowiek.

Wielki Bussamarai dotrzymał słowa, żaden biały nie mógł obozować bezpiecznie w krainie nad rzeką Mary. Intruzów spotykała gwałtowna i natychmiastowa kara, ponieważ wywiadowcy byli wszędzie, a wojownicy posłusznie wypełniali rozkazy wodza. Kiedy wszakże umarł, wraz z nim umarła jego władza i plemię wiedziało, że nadszedł ich kres: krainę Tingum otaczali ze wszech stron biali osadnicy.

Niektórzy pozostali na dawnych łowiskach, inni poszukali schronienia w górach, na terenach zbyt trudnych dla bydła białych i niezdatnych pod uprawy, i rodzina Wodoro poszła z nimi. Młody Wodoro kochał swój lud i rozpaczał, zawsze bowiem marzył, że zostanie wojownikiem.

Wbrew życzeniom matki, którą wciąż biali przerażali, choć przecież była żoną jednego z nich, Wodoro śmiało schodził na farmy, by lepiej przyjrzeć

się ludziom, o których tyle słyszał. Kana wiele razy opowiadała mu o mordzie na krewnych i przyjaciółach i o swojej ucieczce. Słuchając, czuł palący gniew.

Biali go ignorowali, śmiali się tylko z jego jastrzębiego nosa, tak odmiennego od płaskich nosów jego pobratymców. Przysłuchiwał się ich mowie i ćwiczył słowa, i czerpał radość z ukrywania tego przed wszystkimi. Wędrował tak od farmy do farmy, gdzie nazywano go „kukielką”, bo nigdy się nie odzywał, za to w obozach czarnych, kiedy w pobliżu nie było białych, Wodoro zabawiał przyjaciół angielskimi oracjami. Nie dla niego łamana angielszczyzna, jego język zręcznie radził sobie z obcymi głoskami. Jak nikt inny potrafił naśladować białych szefów. Przyjaciele, klepiąc się po udach, pękali ze śmiechu i żaden nie zdradził jego tajemnicy.

„Kukielka” kręcił się wokół pastwisk i stajni, nigdy nie proponując pomocy, nawet jeśli miałyby polegać na przyniesieniu cebra wody. Czarni, którzy zostali poganiaczami, zaproponowali mu, żeby został i podjął pracę. - Dlaczego miałbym pracować? - zapytał. - Mogę przecież polować i łowić ryby, kiedy mam na to ochotę. - Uśmiechnął się szeroko i dodał po angielsku: - My z ludu Tingum jesteśmy dżentelmenami. Nie pracujemy. To stało się żartem powtarzanym przez wszystkich czarnych na farmie i zawsze, kiedy widzieli Wodoro, pękali ze śmiechu.

540

Usłyszał dziwne słowo „opium” na farmie Montone, widział rozbawionych białych, jak dosypują popiół do spleśniałej mąki i herbaty przeznaczonej dla czarnych, i ogarnął go strach. Wszyscy słyszeli o otruciach, nigdy o tym nie zapomną ani tego nie wybaczą.

Kiedy nikt nie widział, nabrał garść popiołu i dodał do paszy dla koni. Uznał, że jeśli konie zdechną, ludzie się przestraszą i uciekną.

Rano konie były senne, jedna stara klacz śmiesznie się zataczała, a biali przeklinali, bo sądzili, że zwierzęta są na coś chore. Wodoro pojął, czym jest opium, przypomniał sobie szklisty wzrok, który często widywał u czarnych, przede wszystkim u kobiet, bo spożywały więcej jedzenia białych, jako że mężczyźni pierwsi częstowali się mięsem i rybami. Próbował im powiedzieć, na czym to polega, ale go nie słuchali - nie chcieli wiedzieć.

Wodoro nie potrafił pojąć, dlaczego biali to robią. Czarni znali wiele liści i bulw, które wywoływały podobne skutki, ale zwykle nie używali ich przy przygotowywaniu posiłków. Biali to bez wątpienia dziwni ludzie, wcale nie tacy wojowniczy, jak sobie wyobrażał. Widział jednak strzelby w działaniu i zdał sobie sprawę, że lud Tingum może przetrwać wyłącznie jako gość na rodzinnej ziemi.

Wrócił do swoich, po drodze mijając pola kukurydzy, które były łatwą zdobyczą dla czarnych ciemnymi nocami zbiegających jak błyskawica z gór, ale opuścili już obóz. Szlak zaprowadził go na północ, nad wielkie jezioro leżące niemal na granicy terytorium Tingum. Matka powitała go łzami radości i wieścią, że starszyzna życzy sobie spotkać się z nim w sekretnym miejscu.

Przygotował się starannie. Wtarł ziemię w zwinięte w kok włosy, blizny na piersiach i ramieniu pomalował żółtą ochrą, na szyi zawiesił pojedynczy kiel psa dingo, symbol ludu Warrigal, wsunął boondi za pas ozdobiony frędzlami sięgającymi niemal do kolan. Wypróbował bumerang o rozpiętości równej odległości pomiędzy jego pasem a ziemią i ujął w dłoń

włócznie, o jeden krok wyższą od niego. Zadowolony poszedł do starszyny.

Moolingi siedział kilka stóp przed pozostałymi dwoma mężczyznami. Był najstarszy, dlatego przemawiał w ich imieniu. Zaprosił Wodoro, żeby usiadł, i nie śpieszył się z przejściem do sedna. Dobrodusznie wypytywał młodzieńca o jego wędrówki. Wodoro, czując się swobodniej, odpowiadał na pytania, aczkolwiek

541

zdawał sobie sprawę, że ci trzej mężczyźni znają każdy jego krok.

- I co sądzisz o białych?

- W żadnym razie nie można im wybaczyć - odparł Wodoro. - To nie są ludzie moralni. Nie dotrzymują przyrzeczeń. Używają obraźliwego języka w stosunku do naszych ludzi i są okrutni wobec naszych psów.

Moolingi spojrział na niego przenikliwie.

- I szukasz na nich zemsty? Wodoro wzruszył ramionami.

- A jaki w tym sens? Ich jest zbyt wielu. Zabicie jednego to jak zabranie jednego oposa z lasu.

- Mimo to mówisz, że pragniesz zostać wojownikiem. Chcesz zabijać tylko wrogich czarnych, a nie wrogich białych?

Wodoro znieruchomiał. Matka zawsze mu powtarzała, że za dużo gada.

Starzec dał mu czas na zastanowienie, choć nie domagał się odpowiedzi.

- O czym mówią biali?

- Głównie o koniach. - Od tej chwili Wodoro nie zamierzał wyrywać się z żadnymi informacjami, postanowił tylko odpowiadać na pytania.

Moolingi uśmiechnął się z aprobatą.

- Jesteś z ludu Warrigal. Słyszałeś o Ilkepali?

- Tak. - Słyszał o Ilkepali. Z dumą mógłby powiedzieć, że jego ojciec kiedyś go widział, ale ugryzł się w język.
- Ilkepala był tutaj, naradzał się z nami. Wyzaczył cię na posłańca, bo szanował twojego ojca, a ty znasz kilka języków, umiejętność dla posłańca podstawowa. Czy gotów jesteś poddać się nauce?
- Tak - odparł Wodoro podniecony. Posłaniec mógł podróżować po całym kraju.
- Rozumiesz, że nie możesz na nikogo podnosić broni, chyba że w obronie własnej, twojej rodziny i honoru? Z chwilą gdy zostaniesz oficjalnie mianowany posłańcem, nie możesz być wojownikiem.
- Tak, rozumiem. Kiedy zaczynam?
- Naukę rozpoczniesz po pierwszych gwałtownych burzach, tak by nie zbiegła się z polowaniem. - Pozostali przytaknęli, Moolingi mówił dalej: - Smutne to, że od posłańca obecnie

542

rzadko wymaga się podróży na południe w chłodne kraje, ale wiele będziesz się musiał nauczyć. Wciąż do nas należą gorące kraje, mokre kraje i kamienne pustynie, w które zapada się słońce.

Kiedy Wodoro powtórzył matce decyzję starszyny, bardzo się ucieszyła. Po raz kolejny znalazła się w centrum uwagi.

- To wielki przywilej, Wodoro. Po kilku latach zostaniesz specjalnym posłańcem, darzonym szacunkiem nawet przez obce ludy. Och, jakie cuda zobaczysz i jakie wspaniałe dary będziesz mógł przynieść matce!

I właśnie Kana przez cały czas go zachęcała, by wytrwał. Wodoro sądził, że nauka będzie łatwa jak złapanie ryby w pułapkę, okazała się jednak wyczerpująca pod każdym względem. Musiał się nauczyć błyskawicznego



pokonywania długich dystansów bez jedzenia i picia, ponieważ jak mu powiedziano, wiadomości często są niezwyklej wagi, dlatego szybkość jest tak istotna. Musiał studiować gwiazdy, by znaleźć drogę w obcych krajach, i nauczyć się praw regulujących międzyplemienne uroczystości, narady, kary i bitwy, bo obowiązkiem posłańca było ustalanie pory i miejsca takich wydarzeń.

Pokazano mu, jak układać jastrzębie pióra we włosach i ozdabiać włócznię, tak by inni na pierwszy rzut oka wiedzieli, że jest posłańcem, i ostrzeżono go, by nocą nosił zapalony patyk dla odstraszenia złych duchów.

Jego matce polecono, by nauczyła go pieśni ludu Kamilaroi, sprawdzono też jego znajomość pieśni i legend ludu Tingum, ponieważ miał je śpiewać i opowiadać na spotkaniach w innych krainach. Musiał ciągle powtarzać je przy ognisku, pozostali słuchali i śmiali się z jego pomyłek, aż wreszcie odnalazł właściwy rytm i przewyciężył nieśmiałość.

Uczyli go wielu rzeczy, odnosił wrażenie, że na nowo uczy się życia. Zdawał już sobie sprawę, że czeka go samotny żywot, w którym tylko dzięki sprytowi i przebiegłości wyjdzie cało z trudnych sytuacji. Wątpił we własne umiejętności i martwił się, że w końcu głowę odetnie mu jakieś odległe dzikie plemię. Albo go zje. Wszyscy wiedzieli, że ludzie z równin zjadają wrogów.

Kiedy nauka dobiegła końca, Moolingi polecił Wodoro, żeby się pożegnał. Wodoro podziękował za to „Bogu w niebiosach”. Lekcje zaczęły być nudne. Moolingi strasznie się czepiał w obawie, że obrazi potężnego Ilkepalę, jeśli źle wykształci swojego ucznia.

Bicie bezbronnego dziecka uważano za okrucieństwo, ale Moolingi nie cofał się przed palnięciem Wodoro w głowę, jeśli ten nie uważał.

Na zakończenie pory deszczowej, kiedy ziemia parowała, przybyli dwaj obcy. Podobno byli z ludu Kalkadoon, z krainy wysokich dziewcząt.

Wodoro powiadomiono, że to posłańcy i że dokona się wymiana. Młodszy pozostanie i nauczy się zwyczajów Tingum, Wodoro zaś w tym samym celu pojedzie ze starszym imieniem Gumurra do kraju Kalkadoon.

Spodziewano się też, że nauczy się ich języka. Z uczuciem, że na serce spada mu ogromny kamień, Wodoro pojął, że jego nauka zaczyna się od nowa. Nowi ludzie. Nowe pieśni i rytuały.

W drodze Gumurra objaśniał, do jakich plemion należą ziemie, przez które przechodzą, aż wreszcie zobaczyli morze o barwie tak głębokiego błękitu, jaki można znaleźć tylko na piórach najpiękniejszych ptaków. Drzewa uginały się pod ciężarem owoców, częstowano ich też smaczными rybami. Wodoro pomyślał, że mieszkający tu lud jest najszczęśliwszy na świecie. Gumurra poprowadził go przez góry, które sprawiały wrażenie, że nigdy nie postąpiła w nich ludzka noga. To była kraina ludu Kalkadoon, Gumurra jednak się nie zatrzymywał, biegł ku bardziej suchym pastwiskom.

Powiedział, że je woli, bo nie ma tam tak dużo moskitów.

Kiedy lud Kalkadoon był pewny, że Wodoro poznał dobrze ich język i obyczaje, przekazano go plemieniu Jangga, tak by w razie mediacji między różnymi ludami nie złamał praw.

Każdy następny lud wyglądał na groźniejszy od poprzedniego i Wodoro baczył, by nie uczynić nierozważnego kroku. Lud Jangga żył na otwartych przestrzeniach, nieprzyjaznych, tak wydało się Wodoro. Ziemia była czerwona i rozpalona,znaczona kępami zielonych drzew, ale im to nie

przeszkadzało. Nie tracili dobrego humoru, w zakurzonych chatach czekali na wielki deszcz, który zamieniał ich rzekę w morze, i wtedy ruszali na wędrówkę.

Przyprowadzano do Wodoro przedstawicieli innych plemion, bo nie starczyłoby mu czasu na odwiedzenie wszystkich, i w jego umyśle powoli zaczynał się rysować ogólny obraz czarnej rasy. Jego rola nie polegała na rozsądzaniu sporów, był raczej mistrzem ceremonii, czuł jednak dumę, gdy zwracano się do niego o radę. Pewnego dnia przyszedł do niego mężczyzna z ludu Jangga, by przedstawić swoje nieszczęścia.

544

- Ożeniłem się z kobietą z ludu Mandanggai i ojciec się ode mnie odwrócił. Nie zgadza się na obecność kobiety z innego ludu i powiada, że jej totem jest nieczysty dla naszej rodziny. Ponieważ ojciec mnie wyklął, przyjaciele też nie chcą ze mną rozmawiać, niektórzy nawet pokazali mi tyłek. Co mam robić?

- Przychylność ojca możesz odzyskać tylko w jeden sposób: odsyłając żonę do domu - odrzekł Wodoro mądrze.

Kilka godzin później krewka kobieta podkrađła się do niego i stłukła go do nieprzytomności. Cały obóz śmiał się z Wodoro. Z bolącą głową odkrył ulotność mądrości.

Z każdym dniem lud Jangga coraz bardziej go intrygował. Lubili toczyć dyskusje o życiu, jego związkach ze śmiercią i świecie po drugiej stronie. Rozumieli Czas Snu lepiej niż ludy, które dotąd poznał, i uczyli go, czym jest myśl.

- Dzięki myśli - mówili mu - możesz po tęczy wdrapać się na niebo, a stamtąd podróżować do świata innych ludzi i do świata ludzkiego umysłu,

choć nie śpisz i oczy masz szeroko otwarte.

Kiedy czuł, że już, już się zbliża do granicy zrozumienia, nadeszła pora rozstania się z nimi. Mędrcy zaprosili go, by do nich powrócił, kiedy zakończy swoją wędrówkę, i to go zachwyciło. Ci ludzie rozumieli wszechświat! Nigdy przedtem nie dyskutował o takich problemach, jego wcześniejsze doświadczenia zawierały się w trzech wymiarach. Kto wie, co znajduje się poza nimi?

Miał łzy w oczach, gdy w ostatni wieczór siedział przy ognisku naprzeciwko dwóch obcych mężczyzn z ludu Warunga, którzy mieli przeprowadzić go dalej na północ.

W obozie rozległy się gniewne pomruki i szepty, nikt jednak nie podszedł do starszyny.

- Co się dzieje? - zapytał Wodoro.
- Nie wiesz? - odpowiedział pytaniem jeden z jego nauczycieli.
- Nie.
- Nic nie wyczuwasz? - odezwał się inny.
- Nie. A powinienem?
- Chyba nie. Jeszcze na to za wcześnie. Na naszym terytorium są biali.

Rok wcześniej Wodoro okazałby gniew i zaskoczenie, teraz jednak nauczył się, że posłaniec nie może okazywać uczuć.

545

Ci z ludu Warunga chwyтали już za broń, ale gospodarze ich uspokajali.

- Oni tylko przejeżdżają. Dwaj mężczyźni na koniach. Wodoro uśmiechnął się pod nosem. Często musiał wyjaśniać, że nie istnieje takie zwierzę jak człowiek na czterech nogach. Kiedyś w przeszłości czarni po raz pierwszy zobaczyli konie, obce na tej ziemi aż do

pojawienia się białych, i widząc siedzących na nich ludzi, doszli do wniosku, że to jedno zwierzę. Koń z głową i ramionami człowieka. Jednakże lud Jangga, chociaż nie miał styczności z białymi, nie dał się oszukać.

- Jeśli są tutaj, to niebezpieczny znak - ostrzegł Wodoro.

- Inni byli wcześniej - odparł wódz. - I odjechali. Ziemia jest dla ludzi.

Odmawiasz ludziom prawa do kroczenia po ziemi? Czy oni nie mają głów, uszu i stóp?

- Nie mają też manier - burknął jeden z mężczyzn Warunga. - Powinno się ich ukarać.

- Czy nie ukarałbyś czarnego, który wdarłby się na twoją ziemię bez pozwolenia? - zapytał ciekawie Wodoro.

Munjundi z ludu Jangga spojrział na niego swoim jednym dobrym okiem.

- Złem jest intencja, a oni nie wiedzą. Zbyt długo wszakże nasze ludy ślepo wymierzały karę, tworząc skomplikowane prawa. Ważne są totemy, dlatego krewni nie mogą się łączyć w pary i rodzić złych owoców, jednakże dokonywane przez ludzi podziały, które rosną bujnie niczym trzcina dusząca rzeki, należy obecnie dokładnie zbadać i odrzucić dla wspólnego dobra. Biali tutaj są. Ty, Wodoro, synu Dżakadu, wiesz o tym dobrze. Twój ojciec był białym człowiekiem.

Przy ognisku zapadła nagła cisza. Czarne twarze, odbijające czerwone płomienie, zwróciły się ku Wodoro, który czuł się tak, jakby go wychłostano. Jego duma z ojca wydawała się teraz wstydliwym sekretem. Zdumiewało go, że ci ludzie na końcu ziemi o tym wiedzieli. Nigdy wcześniej nie mówiono o kolorze jego skóry.

Munjundi położył mu dłoń na ramieniu.

- Rzekłem to z miłością. Nie wzdrygaj się. Odpowiedz mi: gdybyśmy byli jednym licznym narodem czarnych ludzi, którzy mówią jednym językiem i przestrzegają tych samych praw, to czy znając nasz kraj tak dobrze, jak go znamy, ponieśliśmy równie sromotną klęskę?

546

Wodoro poczuł, jak w oczach wzbierają mu łzy.

- Nie wiem.

- Naturalnie, że nie wiesz - powiedział Munjundi. - Zobacz, jak daleko doszedłeś. Nie masz już na wszystko gotowych odpowiedzi. Pytaniem była myśl o Śnie. Jednakże jako posłaniec powinieneś to rozważyć. Nie szukaj odpowiedzi, tylko pytań. Odpowiedzi udzielono w Czasie Snu.

Wszystko czego cię uczono, miało na celu utrzymanie istniejącego od dawna porządku rzeczy, a ty wiesz, że to niemożliwe. W trakcie swych podróży proś ludzi, by z większą ochotą brali udział w naszym braterstwie, mniej zaś dbali o naruszanie granic i ceremonialne stroje. Proś ich, by się jednoczyli, by wszystkie ludy połączyła więź. W ten sposób nie zwyciężymy, ale przetrwamy.

Okazało się, że ludzie Warunga byli tylko zwiadowcami, których zadaniem było przeprowadzenie Wodoro na ich terytorium. Mieli podążać wzdłuż wielkiej rzeki z wysokimi piaszczystymi brzegami aż do jej ujścia, gdzie znajdował się obóz. Grupy należące do plemienia Warunga wędrowały po ogromnych przestrzeniach i spotykały się na wspólnych naradach tylko co kilka lat, dlatego też w obozie cieszone się na wizytę gościa.

Opuściwszy obóz Jangga ruszyli śladem białych, choć nie mieli zamiaru ich tropić, i dotarli w samo serce krainy Warunga. Towarzyszy Wodoro z

każdym krokiem ogarniał większy gniew.

- Pójdziemy szybciej i zabijemy ich, żeby dalej nie poszli

- powiedział jeden z nich.

- Nie, poczekajcie - przestrzegł Wodoro. - Może tylko przejeżdżają, tak jak mówił Munjundi.

- Nie zrozumiałem ani słowa z tego, co mówił Munjundi

- odparł starszy ze zwiadowców. - Lud Jangga jest dziwny. Mieszkają w kurzu, a głowy mają w chmurach. Czy tutaj ziemia nie jest lepsza?

- Jest - potwierdził Wodoro. Sam nie był pewien, czy zrozumiał wywody Munjundiego, z drugiej zaś strony, tak jak mówił mądry starzec, najważniejsze jest myślenie.

Weszli na niskie wzgórza, skąd rozciągał się widok na laguny, i patrzyli, jak biali zjeżdżają na równiny. Zwiadowcy nie kryli gniewu.

- Naszym zadaniem jest ochrona granic. Dlaczego na to pozwalamy?

547

- Dokąd oni mogą jechać? - zaciekawiał się Wodoro. - Co jest za tymi lagunami?

- Po czterech, pięciu dniach marszu jest wielka rzeka i morze.

- Myślałem, że morze jest na wschodzie.

- Tak, za tymi wielkimi górami też jest morze, lecz po dwóch, trzech dniach marszu. Ale co z tymi białymi?

- Poczekajmy do jutra - zaproponował Wodoro. - Zostaniemy i będziemy ich obserwować.

Noc spędzili na wzgórzach, spoglądając na dym unoszący się z obozu białych. Rano podeszli bliżej.

- Bądźcie ostrożni - powiedział Wodoro. - Te ich patyki zabijają was w

sekundę.

Intruzi nie zwinęli namiotu, lecz wyruszyli na badanie okolicy. Wrócili dopiero wieczorem.

- Widzisz, zostają! - wykrzyknęli zwiadowcy zniecierpliwieni postawą Wodoro. - Zabijemy ich, kiedy zasną.

- Nie ma powodów do pośpiechu - odparł Wodoro. - Musimy się upewnić. Gdzie są te smaczne ryby, które tutaj można złowić?

Sam nie rozumiał, dlaczego odwleka nieuniknione. Być może mędracy Jangga rzucili na niego urok. A może zakaz walki odebrał mu dreszczyk związany z taką przygodą. Dopóki biali go nie zaatakują, są bezpieczni od włóczy posłańca, jednakże zwiadowców zaczynało nużyć jego gadanie.

Nie lubili strzepić języka po próżnicy.

Nazajutrz zamiary intruzów stały się jasne. Jechali przez okolicę, znacząc drzewa, a od czasu do czasu zsiadali i wycinali symbole.

- Zostańcie tutaj - powiedział Wodoro. - Podejdę do nich i posłucham, o czym mówią.

Przemknął się pomiędzy drzewami, ukrył w wysokiej trawie i nadstawił ucha. To byli dwaj osadnicy, znaczyli ziemię ludu Warunga na farmę, zachwycając się pięknem krainy, która nie do nich należała.

- Cholera jasna - mruknął do siebie. Rozwahał nawet, czy nie porozmawiać z nimi, to mogłoby być zabawne, ale zwiadowcy pewnie źle zrozumieliby jego intencje. Łatwo się obrażali i wciąż podejrzliwie zerkali na jego miedzianą skórę. Nigdy wcześniej takiej nie widzieli.

Mężczyźni mówili jak szefowie, choć głosy mieli inne; Wodoro pomyślał, że pewnie należą do różnych plemion. I zastanawiał się,



skąd przybyli. Po raz pierwszy zadał sobie pytanie, skąd przybył jego ojciec. Może pewnego dnia zada je mędrcom z ludu Jangga. Skąd przybywają biali?

Do zwiadowców dołączyli pobratymcy. Zobaczyli białych intruzów, ale zostawili ich w spokoju, zaczęto bowiem przygotowania do uczy. Wiele dni trwało, nim zebrano jaja emu i owoce, złapano ryby i upolowano tłustego kangura. Z tego co Wodoro rozumiał, bo plemię Warunga posługiwało się językiem podobnym do mowy ludu Jangga, zbliżał się wyjątkowy dzień. Schwytali ogromne jaszczurki i przynieśli do obozu. Wodoro nigdy w życiu nie widział jaszczurek długich na wzrost człowieka; martwe zawieszono wysoko na drzewach, by nie dobrały się do nich psy dingo.

Uczta odbywała się głęboko w górach, od Wodoro oczekiwano, że będzie bawił biesiadników. Zrobił to z wielką pewnością siebie, budząc zachwyt i podziw, kobiety wychwalały jego talenty i podsuwały mu smakołyki. Zgodnie ze zwyczajem przyprowadzono do niego młodą dziewczynę. Nazajutrz rano okazało się, że biali przenieśli obóz. Spowodowało to poruszenie, ale zwiadowcy twierdzili, że intruzi nie opuścili doliny. Być może przestraszyły ich śpiewy i dźwięki didżeridu.

Zwołano naradę, by zdecydować, co zrobić z białymi. Nikt już nie wątpił, że znaczą teren, a celem tego mogła być jedynie chęć zamieszkania tutaj. Rano spotka ich za to kara.

- Nie! - krzyknął Wodoro. - Nie możecie tego zrobić! Oni się nie poddadzą, zabiją pierwszego, który podniesie na nich włócznię, i następnych.

- W takim razie zaatakujemy ich, kiedy będą spali.

- Tak czyni tchórz. To niemożliwe - zaprotestował inny. Dyskusja trwała, a dla Wodoro stawało się jasne, że biali nie ujdą z życiem. I zaczął się zastanawiać.

- Zabijcie jednego - powiedział. - Tylko jednego. Popatrzeni na niego ze zdumieniem.

- Ale obaj wdarli się na naszą ziemię.

- Nie mieli o tym pojęcia - powtórzył Wodoro za Munjundim. - Zabijcie jednego, drugiego zaś puście wolno. Niech wraca, skąd przyszedł, i ostrzeże swoich. W przeciwnym razie przyjadą następni, przekonani, że to bezpieczne miejsce. Nie będą wiedzieli, co się stało z tymi dwoma.

549

- Inni biali już tu byli, a my pozwoliliśmy im przejść. Dłużej tego nie będziemy znosić. Muszą umrzeć.

Jednakże szanowany posłaniec zwyciężył tego dnia, podjęto decyzję, by zabić tylko jednego, choć zaraz zaczęto się sprzeczać którego: odzianego w czerń czy w kolorową koszulę.

Ponieważ Wodoro nie mógł brać udziału w tej akcji, poszedł poszukać Djeni, najpiękniejszej dziewczyny, jaką widział w życiu, łagodnej, lecz silnej i serdecznej.

Lud Warunga przedstawił mu ją z wielką dumą. Nawet kobiety powstrzymały się od zwykłego chichotania, kiedy Djeni wystąpiła, ale traktowały ją z szacunkiem, a okrywając jej ramiona kwiecistym szalem, szeptały do ucha rady.

Myśląc teraz o niej, o jej pełnym jędrnym ciele, gęstych włosach okalających twarz niczym winorośle, poczuł, że ciało przenika mu ciepło jak od porannego słońca. Już postanowił, że weźmie Djeni za żonę. Djeni

było jednym z wielu jej imion oznaczających pochodzenie i pozycję w szczepie i najbardziej mu się podobało.

Imiona wskazujące na rodzinę po kądzieli były najważniejsze, dlatego Wodoro będzie musiał uzyskać zgodę brata matki na małżeństwo oraz wręczyć dary bratu wybranki. Wiedział, że jako zręczny mówca bez problemu doprowadzi do małżeństwa, jednakże zabranie Djeni od jej bliskich było zupełnie inną kwestią. Nie mógł zostać w krainie Warunga, zresztą nie miał na to ochoty. Pozostało mu jedno: uczynić wszystko, by zdobyć sobie u nich autorytet, bo wtedy sami mu ją oddadzą, żeby zrobić na nim wrażenie.

Djeni przyrzekła, że pokaże mu wielki wodospad, źródło życia i siły ludu. Mieli tam pójść kąpać się i łowić ryby, kiedy załatwiony zostanie problem białych. Wodoro nie mógł się doczekać, aż będzie miał Djeni tylko dla siebie.

## ROZDZIAŁ Pięćdziesiąty PIĄTY.

Jeszcze w domu zdecydowali, jak nazwą farmę. Czarni z Kooraminu powiedzieli im, że w ich języku laguna to „Mungowa”, przesuwali się więc po granicach swej nowej posiadłości,

550

wycinając na pniach drzew „M” oraz rzymskie cyfry i trzymając się w odpowiedniej odległości od znaków pozostawionych przez Allinghama.

- Jak wrócimy do domu, powiem wszystkim, że te „M” oznaczają MacNamarę! - zawołał Pace.

- Jasne - roześmiał się Juan. - A ja będę u ciebie dzikim lokatorem.

Pace cofnął się i rozejrzał.

- Wiesz, tak się zastanawiałem. Chłopcy, John i Paul, mogą zarządzać

Kooraminem. Farma jest teraz dla mnie za mała i chcę tutejszą posiadłość sam zorganizować. To będzie dopiero za kilka lat, ale wezmę do pomocy młodego Duke'a. Pali się do pracy. - Wytarł spocone czoło chusteczką. - Wracajmy do obozu. Zrobiliśmy wszystko, na czym nam zależało, nadmierna chciwość nie ma sensu. Rano powinniśmy ruszyć w drogę powrotną.

Złowili ryby i upiekli je, zmęczeni po upalnym dniu.

- Ach, to wielka nagroda - westchnął Pace. - Byłoby dobrze wybudować dom na tym wzniesieniu. Widać stamtąd laguny, które o zachodzie słońca różowieją. Co o tym myślisz?

- Dobry wybór. Ja swój dom zbuduję jakieś dziesięć mil na południe stąd, przodem do porannego słońca.

- Nie wiedziałem, że chcesz mieć tu dom - zdziwił się Pace. - Wydawało mi się, że zależy ci na ziemi, a staremu kumpłowi MacNamarze zostawisz resztę.

Juan rozejrzył się, jakby chciał uniknąć odpowiedzi.

- To żyźniejsza ziemia, niż sobie wyobrażałem. Bóg wie, jak daleko sięga na zachód.

- Zaraz, zaraz, ja będę miał żonę ze sobą. A ty co tu będziesz robił bez żadnej przyjaciółki, Rivadavia?

- Może wcale nie będę sam - uśmiechnął się Juan.

- Doszedłem do wniosku, że muszę postanowić coś w sprawie Delii.

Niewykluczone, że postaram się o unieważnienie małżeństwa.

- Najwyższy czas, do diabła - powiedział Pace z aprobatą.

- Potrzebujesz prawdziwej żony. Ale uzyskanie unieważnienia nie jest proste, prawda?

- Nie, jeśli zwróciłbym się do któregoś z tych zakutych irlandzkich księży. Nie miałbym u nich szans. Załatwię to przez Buenos Aires. Tamtejsi biskupi nie są tacy zgorzkniali. Poza tym

551

i tak powinienem odwiedzić rodziców. Dyktatora już nie ma, przesyłam więc fundusze mojego ojca z powrotem do Argentyny.

- Chciałbyś tam zostać?

- Nie, to by się nie udało. Tutaj jestem panem siebie, znam swoje posiadłości.

- To prawda. Wróćmy jednak do tego unieważnienia. Czyżbyś miał jakąś nową panią na oku? Doszły mnie słuchy, że w Sydney widywano cię często z tą wdową, lady Rowan-Smith.

Juan przytaknął.

- Ona przedtem mieszkała w Chelmsfordzie. Pierwszy dom zbudował jej ojciec.

- W takim razie coś was łączy. No i urodziła się tutaj, nie przeżyje szoku jak biedna Delia.

- Delia! - prychnął Juan. - Delia narzekałaby, nawet gdyby mieszkała we własnym pałacu. - Roześmiał się. - Małżeństwo wyleczyło mnie z tej miłości, od tej pory wolałem nie ryzykować.

- Ale myślisz o lady Rowan-Smith? Juan zapatrzył się w ognisko.

- Sam nie wiem. Lubię Vicky, ale jej nie kocham.

- Och, dajże spokój, Rivadavia. To dobre dla chłopców. Miłość przychodzi później, tak było z Dolour i ze mną. Mieliśmy trudne okresy, ale teraz słodko jest z nią być. Tak czy owak lepiej się kładźmy, jutro czeka nas długa jazda. Będę szczęśliwy dopiero wtedy, kiedy zobaczę tę

posiadłość notarialnie zapisaną i przygotowaną do rejestracji. - Owinął się derką. - Dziwne, że noce tutaj są takie zimne. Myślałem, że na północy jest gorąco przez cały czas.

Rano Pace zdusił żarzące się polana i odwiązał Sonny'ego. Koń kręcił się nerwowo.

- Spokojnie, Sonny. Wszystko w porządku. - Pace wsunął nogę w strzemię, ale koń przerażony stanął dęba i Pace zatoczył się do przodu. W tej samej chwili koło twarzy przeleciała mu włócznia.

- Jezu! - krzyknął do Juana. - Skąd to się wzięło? Wynośmy się stąd czym prędzej.

Juan już osiodłał Vencadora i gorączkowo zapinał popręg. Kiedy Pace ruszył w dół zbocza, Sonny'ego nie trzeba było ponaglać. Koń skoczył naprzód, przedarł się przez zarośla, przeskoczył

552

wielki pień i wypadł na otwartą przestrzeń. Vencador pędził za nim. Pace usłyszał krzyk, obejrzał się i zobaczył, że Juan spadł z konia. Zawrócił Sonny'ego, minął Vencadora, który chwilę jeszcze galopował, a potem stanął zdezorientowany.

W sekundę Pace był na ziemi, strzelbę trzymając w pogotowiu. Serce waliło mu jak młotem. Odwrócił Juana i z ulgą przekonał się, że przyjaciel żyje, choć włosy ma zlepione krwią.

- Co ci się stało?

- Nie wiem - odparł Juan. - A nie, wiem, coś uderzyło mnie w głowę. Kamień. Boże, kawałek dalej i straciłbym oko.

Pace pomógł mu się podnieść, w tej samej jednak chwili Sonny zarżał przeraźliwie i upadł. Z boku sterczała mu włócznia.

- O nie! - krzyknął Pace i pobiegł ku swojemu koniowi. - Matko przenaświętsza, nie!

Zaciągnął Juana do szczeliny w skałach i popędził za Vencadorem, żeby zaprowadzić go w bezpieczne miejsce. Po raz pierwszy też zobaczył napastników, naprzeciwko biegł czarny z uniesioną włócznią. Pace go zastrzelił. Pojawili się następni wojownicy; Pace starannie wymierzył i zastrzelił jeszcze jednego. Pozostali natychmiast się rozpierchli.

Konający Sonny znowu rozdzierająco zarżał.

- Biedny Sonny - odezwał się Juan. - Osłaniaj mnie, dobiję go, nie możemy pozwolić, żeby tak cierpiał.

- Weź Vencadora i ruszaj - powiedział Pace. - Na jednym koniu daleko nie zajedziemy.

- Nie bądź głupi.

- Nie jestem głupi. Vencador to najcenniejsze, co posiadamy, a równocześnie najbardziej bezbronne. Wyprowadź go stąd. Za dzień albo dwa spotkamy się w dole strumienia.

Sonny wciąż żył, wstrząsały nim drgawki. Załamany Juan zobaczył, że koń dogorywa, w jego wielkich oczach malowało się niedowierzanie i cierpienie. Rivadavia uniósł pistolet i wypalił, a potem pobiegł przez krzaki.

- To był wspaniały koń - rzekł Pace, jakby wygłaszał mowę pogrzebową. Juan wcisnął się w szczelinę; było mu niedobrze, w głowie czuł ból.

- Jak myślisz, ilu czarnych tam jest? - zapytał.

- Za wielu - odparł Pace. - Powiedziałem ci, żebyś jechał.

553

- A czemu ty nie pojedziesz?

- Bo ty jesteś kawalerzystą, a ja strzelcem wyborowym.
- Byłeś na wojnie?
- Tak, chociaż nie jestem przyzwyczajony do ludzi strzelających do mnie.

Bardzo często Juan nie wiedział, czy MacNamara żartuje czy mówi poważnie.

Schylali się nisko, gdy spadał na nich grad włóczni, i odpowiadali ogniem, kiedy czarni się wycofywali.

- Jeśli się nie obrazisz - powiedział Pace - to byłoby lepiej, gdybyś ty ładował, a ja strzelał, w ten sposób nie zmarnujemy amunicji. Moja została przy Sonnym.

- Jednego zabiłem - sprzeciwił się Juan.

- Nieprawda, i wiesz o tym. Przez jakiś czas nie będzie mógł usiąść na tyłku, to wszystko. Ale czy nie moglibyśmy tego jakoś przerwać? Nie chcę do nich strzelać. W przyszłości będą naszymi sąsiadami, a to nie jest najlepszy sposób na zawarcie znajomości.

- Chyba nie proponujesz, żebyśmy wyszli do nich z białą flagą?

- To nie byłoby za mądre. Masz jeszcze trochę brandy?

- Nie.

- I wody też nie mamy?

- Nie. Zamierzałem napełnić bukłaki po drodze.

- Cóż, jakiś czas tu zostaniemy. Ty pilnuj konia, ja będę obserwował z drugiej strony. Może zdecydują się odejść. Zdarza się, że tak robią.

- Kiedy tak zrobili?

- Ach, teraz ci nie powiem.

To był długi dzień, czarni co jakiś czas w przypływie brawury wznawiali atak, Pace strzelał. Słyszeli krzyki w buszu, zbliżał się wieczór, a nadal nie



mogli się ruszyć.

Kiedy zapadła noc, busz ożył i zobaczyli czerwone ślepia psów dingo.

- Wywęszyły konia - szepnął Juan i strzelił w kierunku Sonny'ego. Jeden pies zaskomlał, inne gniewnie warknęły.

- Zaraz poczują Vencadora - powiedział Pace. - Te bestie go okaleczą. Jest zdenerwowany, nie będzie z nimi walczył, tylko wpadnie w panikę.

- Nie on jeden - odparł Juan. - Musimy ruszać. Pytanie brzmi: nocą czy w dzień?

554

- W ciemności nie mamy najmniejszej szansy, nie przechytrzymy czarnych. W takim razie pozostaje nam dzień. Nie możemy tu siedzieć, bo w końcu do obrony będziemy mieć tylko kamienie. - Na przemian z włóczniami spadały na nich z trzaskiem odłamki skał.

- W takim razie wyruszamy rano - zdecydował Juan. Przez całą noc siedzieli skuleni niewygodnie w szczelinie.

- Popatrz na te gwiazdy - odezwał się Pace. - Wydaje się, że jest ich dzisiaj milion, i wiszą tak nisko, prawda? Wszyscy mówią o Krzyżu Południa, ale ja nigdy nie umiałem go znaleźć.

- Nad nami - rzekł Juan. - Widzisz te gwiazdy tworzące kształt szalek i obok wielką gwiazdę?

- Tak.

- A teraz przesuń po nich okiem. To jest Krzyż.

- No nie! Rzeczywiście, to krzyż! Świat jest cudowny. Juan przyglądał się pniom drzew, które połyskiwały bielą w poświacie księżycowej. Starał się nie słuchać warczenia pożywiających się psów. Znowu wystrzelił w ich kierunku, spodziewając się, że Pace

zgani go za marnowanie amunicji, ale przyjaciel milczał.

Kiedy pierwsze promienie słońca rozjaśniły dolinę, Juan zaczął się niepokoić o Vencadora.

- Musi być spragniony.

- Masz jakiś plan? - zapytał Pace.

- Tak. Ruszamy.

- Tak będzie najlepiej. Do tej pory na pewno się już zniecierpliwili.

Zawsze mogą wykurzyć nas ogniem. Uwielbiają ogień.

Rano Wodoro dołączył do mężczyzn, którzy obserwowali białych, i słuchał ich pełnych rozgoryczenia relacji. Odsłaniali zęby, syczeli, spluwali i obrzucali go gniewnymi spojrzeniami. Stracili dziewięciu wojowników. Nigdy dotąd plemieniu nie przydarzyło się takie nieszczęście i Wodoro cały drżał. Schodzili się inni, szeptem obwiniając go o to, że nie pozwolił zabić białych.

- To wasza wina - oznajmił Wodoro. - Czy nie mówiłem wam o strzelbach? - Użył słowa białych, by ich zastraszyć. - Czy nie przybyłem z daleka, żeby was ostrzec? I kto mnie posłuchał? Lecz wasi młodzieńcy przeszli w Czas Snu z wielkimi honorami, jako wojownicy, i są z tego dumni. Na zawsze żyć będą w Czasie Snu jako silni mężczyźni, a nie zasuszeni staruszkowie.

555

Ponuro przetrawiali jego słowa. Po chwili Wodoro uniósł dłoń.

- Rozmawiałem o waszej sprawie z dobrymi duchami. Rzekły, że rozwiązanie jest proste, musimy otoczyć intruzów ogniem.

Nagle rozległy się krzyki i Wodoro zapomniał o swej roli, z innymi popędził w dół zbocza.

- Uciekają! - usłyszał wołanie. - Biali odchodzą! Wodoro biegł, serce ze strachu waliło mu jak młotem. Jeśli biali uciekną, on znajdzie się w niełasce, może nawet jego życie będzie zagrożone. Przeciął zbocze, by wyprzedzić pozostałych, wiedział bowiem, że kiedy koń znajdzie się na równinie, pogalopuje jak wiatr, ale się spóźnił. Niektórzy wojownicy też wpadli na ten pomysł i biegli koło niego. Miotali włóczniami za wielkim czarnym koniem z dwoma białymi na grzbiecie. Wodoro ogarnęła panika. Krzyknął gniewnie i złapał bumerang z twardego drewna, ostry i mocny. Poczł w dłoniach, jak doskonale jest wyważony, i w duchu podziękował temu, co go wykonał. Odchylił się i rzucił nim za uciekającymi.

Rzut stał się jedną z legend ludu Warunga. Powiadali, że śmiertelnik nie byłby do niego zdolny, że bumerang przeciął powietrze i zaatakował ofiarę niczym orzeł. Orzeł był ich totemem.

Bumerang uderzył w ziemię nie przed pędzącym celem, jak planował Wodoro, ale nieco z boku. Odzyskał prędkość i siłę, po czym trafił w plecy białego w barwnej koszuli, tego, którego już wcześniej wybrali. Ofiara spadła.

Zaskakujące było to, że drugi nie uciekał, tylko zawrócił wielkiego czarnego konia, po czym zeskoczył na ziemię, by z płaczem klęknąć przy skrwawionym przyjacielu, którego głowa niemal została odcięta.

Wodoro podszedł spokojnie do konia i wziął go za uzdę. Podniósł strzelby i wręczył wojownikom.

- Zniszczcie je!

Jeden ze starszyzny wystąpił.

- Teraz zabijemy drugiego.

- Nie - odparł Wodoro. Nie zależało mu na życiu białego, walczył o zachowanie własnego autorytetu; teraz chodziło o kobietę. - Zmusiliście mnie do złamania ślubów, by nigdy nie brać do ręki broni, lecz musiałem to uczynić, w przeciwnym razie wasz honor zostałby splamiony.

Zapomnieliście, że przyrzekliśmy duchom,

556

iż zabijemy tylko jednego z białych, a drugiego puścimy wolno?

Mieliśmy nasze powody. Tak zdecydowano. Ten nikogo więcej nie może skrzywdzić, musicie go puścić.

Na otaczających go twarzach Wodoro widział zwątpienie, skorzystał więc ze swojego największego atutu. Spojrzał na białego, który klęczał w środku kręgu, bezbronny i załamany.

- Powiedziałem im, żeby cię puścili wolno.

Rivadavia utkwiał w nim wzrok, zdumiony tak samo jak czarni.

- Mówisz po angielsku?

- Mój ojciec był białym człowiekiem - odparł Wodoro.

- Dlaczego nie odezwałeś się wcześniej? - krzyknął na niego biały. -

Mogłeś do tego nie dopuścić. Nie chcieliśmy nikomu zrobić krzywdy. - W przyпіływie wściekłości złapał Wodoro za gardło i musieli go odciągnąć, aż się uspokoi. Wodoro był wstrząśnięty, wszyscy wkoło mieli do niego pretensje. Odzyskał panowanie nad sobą.

- Jesteś niewdzięczny. Próbuję ci pomóc.

- Tak jak pomogłeś mojemu przyjacielowi. Który z tych drani rzucił bumerangiem?

Wodoro tłumaczył. W jego wersji brzmiało to tak:

- Mówi, że bardzo mu przykro, a jeśli go puścicie, nigdy więcej nie

wtargnie na waszą ziemię.

Czarni chwilę się naradzali, po czym Wodoro zwrócił się do Juana:

- Mówią, że możesz iść, jeśli przyrzekniesz, że nigdy więcej nie wtargniesz na ich ziemię.

Juan, który wciąż był w szoku, potaknął niejasno.

- Muszę pochować swojego przyjaciela.

- Pomożemy ci - zaproponował Wodoro, a Juan potrząsnął głową, jakby chciał się obudzić z koszmaru.

Nigdy w życiu nie był tak zrozpaczony, tak załamany. Wiedział, że do końca jego dni towarzyszyć mu będzie pamięć o tych strasznych chwilach.

Nieważne, jak usilnie próbował, nie umiał wymazać z myśli krwawego obrazu. Modlił się, choć nie wiedział, o co się modli. Pace nie żył, było już za późno. Krzyczał i przeklinał, a kiedy zapadła noc, bał się zamknąć oczy.

Słyszał żałobne śpiewy czarnych i buczenie didżeridu i czuł się obcy w tym makabrycznym otoczeniu, nie mógł jednak odejść, nie mógł się zmusić, by opuścić przyjaciela leżącego pod prymitywnym krzyżem.

557

Dni mijały, czarni zajmowali się własnymi sprawami, a Juan odchodził od zmysłów, za jedyne towarzystwo mając tego mówiącego po angielsku dzikusa.

Odmawiał przyjmowania jedzenia, które przynosiły mu kobiety.

Bywały chwile, kiedy myślał, że jest ich więźniem, i dręczyło go straszne poczucie winy, że wciąż żyje, chodzi swobodnie pomiędzy mordercami

Pace'a. Leżał w szałasie, który dla niego zbudowali, i zmagął się z koszmarami i przygniatającym żalem.

- Czy twój przyjaciel nie był dobrym człowiekiem? - zagadnął go Wodoro.

- Jasne, że był dobry - mruknął Juan, zirytowany głupotą tego pytania.
- Więc dlaczego tak rozpaczasz? Wkroczył w dobry i potężny sen.

Wszyscy ludzie umierają.

- On nie powinien być umrzeć! - krzyknął Juan. - Zostaw mnie w spokoju.
- Wodoro podał mu miskę słodkiego mleka kokosowego.

- Wypij to. Do dna.

Juan obudził się nagle w szałasie. Obok niego siedziała po turecku kobieta i piórem odganiała muchy, nie zwracając uwagi na to, że otworzył oczy. Skrzeczenie kakadu na pobliskich drzewach boleśnie odbiło się echem w jego głowie. Jęknął i zasłonił oczy przed światłem.

Ból był znajomy, taki jak po nadmiernej ilości whisky, i Juan przypomniał sobie napój, którym poczęstował go Wodoro.

- Tego mi tylko brakowało - mruknął. - Kaca.

To był najgorszy kac od wielu lat, od tej nocy w Carlton Parku, kiedy Dermott Forrest doznał udaru, a on i Pace pili do rana. Młodszy z tej dwójki Juan zakończył libację w gorszym stanie i Pace się z niego śmiał. Śmiał się często. Wyjątkiem był okres, kiedy między nim a Dolour nie układało się dobrze.

- O Boże! - szepnął. - Dolour! I dzieci!

Usiadł raptownie i poczuł, jakby głową uderzył się w drzewo. Szok wywołany śmiercią Pace'a był tak wielki, że Juan jak sparaliżowany tkwił w dolinie, nie myśląc o świecie zewnętrznym. Łzy popłynęły po jego policzkach, smutne łzy, i kobieta wyszła z szałasu.

- Nigdy im nie powiem, nigdy. Nie mogą się dowiedzieć, jak zginął. Nie obciążę ich tym brzemieniem - mówił do siebie Juan.

W wejściu stał Wodoro.

- Dlaczego płaczesz?
- Z powodu jego rodziny. Wodoro kiwnął głową.
- Czujesz się lepiej. Musimy stąd odejść. Oni też nie będą wiecznie płakać.

Tego wieczoru rozmawiał z Wodoro po raz pierwszy.

- Kim był twój ojciec?
- Nazywał się Dżakadu, był wielkim wojownikiem, który walczył przy boku Bussamarai w wojnach.
- Jakich wojnach?
- Niedaleko Gimpi Gimpi, wy, biali, nazywacie to rzeką Mary.

Bussamarai spadł na białych jak orzeł. Miał tysiąc wojowników.

Juan przypomniał sobie pierwszy nieudany atak czarnych na Montone.

Starannie dobierał słowa, nie zdradzając podniecenia, jakie wywołała w nim ta informacja.

- Opowiedz mi o Bussamaraiu.

Wodoro wspaniale umiał opowiadać i Juan słuchał go długo w noc, próbując znaleźć ulgę w swym cierpieniu. Uzmysłowił sobie, że przypuszczalnie jest pierwszym białym, który poznał prawdziwą historię i imię nieuchwytnego czarnego wodza.

Przed odejściem obaj z Wodoro przystanęli nad grobem Pace'a MacNamary.

- Skąd pochodził twój ojciec? - zapytał Juan.
- Nie wiem, skąd pochodzą biali - odparł Wodoro.
- Przybywamy tu na wielkich statkach - powiedział Juan. - Ten człowiek, który jest tu pochowany, przyплыł na statku o nazwie „Emma Jane” z

odległego kraju, zwanego Wielką Brytanią. Przypuszczalnie twój ojciec także stamtąd pochodził.

Wodoro był wniebowzięty. Miał temat do rozmyślań i dyskusji z mędrkami z plemienia Jangga.

## ROZDZIAŁ Pięćdziesiąty SZÓSTY.

Lord Jasin Heselwood przebywał w Brisbane, załatwiając interesy i z przyjemnością oglądając miasto, w którym czuł się jak

559

mąż stanu. Wkrótce Queensland miał zyskać status odrębnej kolonii ze stolicą w Brisbane. Jasin zatrzymał się w Newstead House, zbudowanym przez Patricka Lesliego z Canning Downs. Był to rozległy parterowy budynek z widokiem na rzekę, bardzo jednak wygodny w tym klimacie i idealnie nadający się na dyskusje z Dalrymple'em i innymi członkami syndykatu.

Cieszył się teraz, że posłuchał Mitchella, pomimo iż wcześniej miał obiekcje co do wspólnych wypraw. Doświadczenia z Montone nauczyły go, że rozsądniej jest maszerować z tyłu. Obecnie farma znowu rozkwitła, wrogich czarnych przepędzono z okręgu, tak więc jego znajomość terenów na północ od Brisbane była niezwykle istotna w ich dyskusjach.

Czy ktoś sobie wyobrażał, rozmyślał idąc William Street, że ten podły mały port tak szybko się rozwinie? Było tu kilka pięknych domów.

Najbardziej w oczy rzucały się Bulimba House należący do McConnellów, osadników z Brisbane Valley, oraz usytuowany na Kangaroo Point Shafton, miejski dom Russellów z Cecil Plains, tak więc nie można było narzekać na brak gościnnych gospodarzy. Plotkowano nawet, że w Newstead House zamieszka pierwszy gubernator, dopóki nie zostanie



zbudowana rezydencja rządowa.

Statki pływające pod banderą Hunter River Steamship Company regularnie przybijały do portu w Brisbane, łodzie wiosłowe, parostatki i lichtugi kursowały do Ipswich i z powrotem, przewożąc towary, wełnę i naturalnie pasażerów. Jasin wynajął prywatną kajutę za sześć szylingów, żeby ponownie obejrzeć nadbrzeżne okolice. Z zachwytem stwierdził, że liczba ludności wzrosła, przez co powstały nowe rynki dla jego bydła. Myślał jednak o Edwardzie. Sprowadzi syna do miasta, żeby poznał ludzi, którzy w tej kolonii będą potęgą. Hodowle bydła mogą tylko się powiększać. Edward znajdował się obecnie na właściwej pozycji, żeby poszukać swojego miejsca w tym gronie, i był na tyle młody, że nie musiał się śpieszyć. Jasin wrócił do czekającego powozu i polecił woźnicy, by zawiózł go do hotelu Victoria, gdzie wydawano kolację dla udziałowców syndykatu.

Większość dżentelmenów zebrała się już w prywatnej sali. Kiedy wszedł, powitano go serdecznie, tak jak się spodziewał. Już zaprosił kilku z nich, żeby w przyszłym tygodniu pojechali z nim do Montone. Albert Reynolds, który miał nadzieję, że w końcu uzyska nominację na dyrektora, pośpieszył ku niemu.

560

- Lordzie Heselwood, w recepcji jest list do pana. Czy mam go panu przynieść?

- Tak - odparł Jasin, po czym zwrócił się do człowieka, który twierdził, że ma interesujące wiadomości. - Co jest powodem tego zamętu?

- Sir, w mieście jest dżentelmen, który właśnie wrócił z dalekiej północy. Twierdzi, że wyznaczył posiadłość w Dolinie Lagun.

- Jak to, następny? - zapytał Jasin gniewnie.  
- Jak w takim tempie będziemy działać, nic tam nie zostanie - dodał inny z pretensją. - Już dawno mówiłem, że za dużo tu próżnego gadania. Lepiej by było, gdyby syndykat mniej mówił, a więcej robił. W przeciwnym wypadku rezygnuję.

- A co na to mówi Dalrymple? - zainteresował się Jasin.

- Próbuje przekonać tego dżentelmena do wzięcia udziału w naszej naradzie, ale na próżno.

- Bardzo to egoistyczne ze strony tego gościa - wtrącił ktoś.

Jasin rozejrzał się po zatłoczonej sali, ale nigdzie nie dostrzegł Dalrymple'a, wrócił więc do holu. Podszedł do niego Reynolds.

- Pański list, lordzie Heselwood.

Jasin otworzył kopertę z napisem PILNE i przebiegł wzrokiem po liście. Georgina domagała się, by natychmiast wrócił do domu, ponieważ w Carlton Parku mają problemy. Zirytowany wepchnął list do kieszeni. Wyobraża sobie, że gdzie niby on jest, w Parramacie? Nie zamierzał pędzić do domu z powodu jakichś głupstw na farmie. Był tam Edward, on to załatwi. Stawka jest za wielka, zyski z inwestycji zależą od ludzi wybranych na dyrektorów i Jasin miał zamiar wziąć udział w głosowaniu. A poza tym zaprosił do Montone gości. Co za bzdura, żeby wracał! Nim dopłynie do Sydney, problem, na czymkolwiek polega, i tak będzie już rozwiązany.

W głównym wejściu zobaczył Dalrymple'a z grupą mężczyzn i ruszył w jego kierunku. Z bliska zobaczył, że rozmawiają z Rivadavią.

- Cóż cię sprowadza do Brisbane, Rivadavia? - zapytał ignorując pozostałych.

- Pan Rivadavia przyjechał właśnie z Doliny Lagun, lordzie Heselwood -  
wyjaśnił Dalrymple cicho. Wydawał się przygnębiony;

561

masz powód, pomyślał Jasin, ta informacja musiała tobą nieźle  
wstrząsnąć. O ile oczywiście jest prawdą.

- Tylko mi nie mów, przyjacielu, że zrobiłeś to samo co Allingham? -  
roześmiał się. - Byłeś tam sam?

Rivadavia przyjrzał mu się badawczo.

- Nie, byłem z Pace'em MacNamarą.

- I wytyczyliście działki?

- Tak.

Jasin powiódł wzrokiem po twarzach otaczających go mężczyzn i  
wzruszył ramionami.

- I mamy w to uwierzyć?

- Chwileczkę, lordzie Heselwood - wtrącił Dalrymple. - Pan Rivadavia  
wrócił sam, jego współnika zabili czarni. Bardzo, bardzo mu  
współczujemy.

Jasin zdumiony zrobił krok do tyłu.

- Zabili MacNamarę? Dobry Boże! Mnie też oczywiście jest bardzo  
przykro. - Teraz sobie uświadomił, że Rivadavia ma twarz poszarzałą,  
jakby istotnie spotkała go tragedia.

- Nie jest ci przykro - odparł Juan z goryczą. - Zawsze go nienawidziłeś.

- Nie jestem jego stróżem, nie musisz na mnie napadać. Rzeczywiście  
wytyczyliście działki?

- Tak. - Juan odwrócił się, żeby odejść, Dalrymple z szacunkiem zrobił  
mu przejście, ale Jasin musiał mieć ostatnie słowo.

- No cóż, teraz całość należy do ciebie.

Juan spojrzał na niego z niedowierzaniem, a potem pięścią uderzył Jasina w twarz. Ten zatoczył się na stolik i upadł, rozbijając wazon z kwiatami. Dopiero po kilku tygodniach Jasin czuł się na tyle dobrze, by opuścić Newstead House, Rivadavia wybił mu zęby i zwichnął szczękę. Rozważał oskarżenie o napaść, jednakże opowieść Rivadavii drukowały wszystkie gazety i Argentyńczyk był obecnie bohaterem w mieście. Poza tym, jak argumentował Dalrymple, Rivadavia, który zresztą wyjechał do Newcastle, działał w afekcie, pod wpływem tragicznych przeżyć. Przy najbliższej wizycie w mieście Jasin poszedł do Biura do spraw Gruntów, by sprawdzić wielkość działki w Dolinie Lagun. Ze zdumieniem stwierdził, że Rivadavia całość, tysiące akrów, zapisał na nazwisko Duke'a MacNamary.

562

Nadał posiadłości nazwę Mungowa i ulokował rodzinę MacNamarów w samym sercu pożądaney przez wszystkich krainy ze wspaniałymi pastwiskami!

Jasin z biura pomaszerował prosto do hotelu Victoria. Odnalazł Dalrymple'a i wypisał mu czek na sumę o wiele większą od tej, którą wcześniej ustalili.

- Heselwoodowie wchodzą w to - oznajmił.

- Mądra decyzja - stwierdził Dalrymple. - Tamten rejon ma niezwykle perspektywy. Zbudujemy największe hodowle bydła w świecie. Queensland stanie się wielką i znaczącą kolonią.

ROZDZIAŁ Pięćdziesiąty SIÓDMY.

Niewielu gubernatorów mieszkańcy Nowej Południowej Walii żegnali z

takim żalem i serdecznością jak sir Charlesa FitzRoya. Przedłużono jego kadencję, ale teraz nadeszła pora, by wrócił do Anglii, a urząd przekazał sir Williamowi Denisonowi, który miał zorganizować nową kolonię o nazwie Queensland.

Sir Charles zaprosił lady Georginę Heselwood na poranną kawę, wiedział bowiem, że lord Heselwood wciąż prowadzi w Brisbane negocjacje z Dalrymple'em.

- Georgie, moja droga, napisałaś o wszystkim Heselwoodowi?

- To nie są sprawy, które powierza się papierowi, sir Charlesie.

Dwukrotnie żądałam, żeby Heselwood niezwłocznie przyjechał, ale mnie zignorował. Widzisz, nic nie jest ważniejsze od jego posiadłości, tak więc w głowie mu się nie mieści, że może być naprawdę źle. Żeby jednak uniknąć skandalu, Edward musi opuścić kraj.

Gubernator pokiwał głową. - I ty wyjeżdżasz z nim?

- Tak, wracam do Anglii z synem.

- Mogłabyś chyba jednak poczekać na Heselwooda.

- Nie mam czasu. Trochę potrwało, nim uzmysłowiłam Edwardowi powagę jego położenia i przekonałam, by przyjechał ze mną do Sydney.

563

- On nie jest już chłopcem, musi zdawać sobie sprawę, że nie może wszystkich traktować z góry i robić, co mu się podoba. - Gubernator się roześmiał. - Wiesz, nastąpił Rivadavii na odcisk, kiedy oświadczył się jego córce. Juan był oburzony!

Georgina westchnęła.

- Jakbym o tym nie wiedziała. Zachował się jak głupiec.

- Georgie - przemówił FitzRoy poważnie. - Wiesz, że próbowałam,

prawda? Ale nic nie mogę zrobić od chwili, kiedy zarzuty nabierają mocy prawnej. Gdybym się wtrącił, rozległyby się krzyki oburzenia. Głośniejsze niż w Anglii. Zamieniłem słowo z komendantem policji, ale on też nie mógł pomóc. W Anglii nikt nie ma nic przeciwko drobnym porządkom, tutaj natomiast gazety od razu by się na nas rzuciły, gdyby się o tym dowiedziały.

- Wiem. To było z twojej strony bardzo uprzejme.

- Sytuacja jest okropna. Zaprosiłbym ciebie i Edwarda na mój statek, ale ponieważ przymykam oko na jego wyjazd, nie mogę mieć go na pokładzie. Choć ogromnie bym się cieszył z twojego towarzystwa w czasie rejsu.

- Jesteś najmiłszym z ludzi, Charlesie - uśmiechnęła się Georgina. - Nie wiem, jak ci dziękować.

- Nie da się przekonać pani MacNamara do zmiany zdania?

Pokręciła głową.

- Po śmierci Pace'a to chyba ostatnia rzecz, o jakiej myśli.

- Tak, podobno jest w szoku. I ten biedny Rivadavia, który wrócił do domu z takimi wieściami! Straszne! Mówią, że MacNamara zginął od włóczy, tak jak młody Kennedy. Nie czytałem raportu, zostawiam go Denisonowi. To zbyt przygnębiające.

Drzwi balkonowe poruszyły się od podmuchu zachodniego wiatru i FitzRoy wstał, by je czymś podeprzeć.

- Może napiszesz do Heselwooda? List z moją pieczęcią dostarczy osobiście goniec, będzie całkowicie bezpieczny.

- Dziękuję, ale to nic nie da. Dostał moje wezwania. Heselwood nie mógłby zrobić nic więcej, niż ty zrobiłeś. „Plymouth” odbija za dwa dni,

wynajęliśmy kajutę. Musimy jechać.

- Ach, z czasem sprawa ucichnie. Zostań na lunchu, bardzo proszę.

Zapomnisz o zmartwieniach, urządzimy sobie pożegnalne przyjęcie.

- Charlesie, dziękuję za zaproszenie, ale nie dzisiaj. Muszę jeszcze złożyć parę wizyt. - Podniosła się z krzesła. - Masz rację,

564

sprawa ucichnie. W porównaniu z tym co przeżywa pani MacNamara, moje troski są trywialne. A najgorsze jest to, że dołożyliśmy się do jej nieszczęść.

- Jesteś wielkoduszną kobietą, Georgie. Zobaczymy cię przed wyjazdem, prawda?

- Naturalnie.

Kiedy powóz odjeżdżał spod rezydencji rządowej, wiatr przyniósł strugi deszczu i Georgina mocniej otuliła się wełnianą peleryną. Wielkoduszna? pomyślała. Nie sądzę. Trudno okazywać wielkoduszność, zwłaszcza wobec Heselwooda.

Imię Dolour знаła od dawna, od czasu pierwszej wizyty Jasina w Camdenie, a kiedy dowiedziała się, że takie nosi żona Pace'a MacNamary, pojęła, iż to jest główny powód wrogości pomiędzy oboma mężczyznami. Jednakże Dolour, jakkolwiek rozgniewana i zraniona, nie pociągała za wszystkie sznurki.

Naturalnie Georgina od dawna wiedziała, że Dolour to więźniarka, takie rzeczy trudno ukryć, choć mówienie o tym głośno byłoby aroganckie i bezsensowne. Ale w trakcie burzliwej awantury w Carlton Parku od przykutego do łóżka i użalającego się nad sobą Edwarda usłyszała, że nie powinno się pozwalać więźniarce i dziwce na pakowanie ludzi w takie

kłopoty.

Georgina miała ochotę spoliczkować syna, zamiast tego jednak zmusiła go, by powiedział jej, od kogo to wie.

A wówczas tak samo jak Dolour pojęła, iż prawdziwym winowajcą jest Jasin. Cokolwiek robił w młodości, zostało zapomniane, powinno zostać zapomniane; postąpił niewybaczalnie, opowiadając synowi o sprawie, która dla jego żony była upokorzeniem, a dla żony sąsiada skandalem i hańbą. Doszła do wniosku, iż najlepiej będzie, jeśli Dolour pozostanie w przekonaniu, że tej części incydentu jej nie powtórzono.

Tak więc pani MacNamara wymierzała karę przede wszystkim Jasinowi, a gdyby Georgina była na jej miejscu, postąpiłaby tak samo. Nie zostawi mężowi listu. Kiedy wróci z Brisbane, przekona się, że żona i syn wyjechali z kraju. I sam będzie to musiał wytłumaczyć otoczeniu.

Powóz toczył się po South Head Road; pod wpływem impulsu Georgina poleciła stangretowi skręcić do Wilkin House. Najwyższa pora odwiedzić lady Rowan-Smith.

565

Wprowadzono ją do salonu, który tak dobrze pamiętała. Umeblowano go na nowo, ale wciąż pozostał przytulnym pomieszczeniem.

- Cóż za niespodzianka, Georgino - powiedziała Vicky. Wyglądała na zmęczoną, ale gościa przyjęła miło.
- Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam - rzekła Georgina.
- Ależ nie.
- Vicky, przyszłam prosić cię o przysługę. W gruncie rzeczy o kilka.
- Jeśli chcesz, żebym wstawiła się za tobą do Dolour MacNamary, to nie mogę tego zrobić.



- Już słyszałaś?
- Tak. Niedawno przyjechałam z Kooraminu. To było straszne. Juan przysłał wiadomość z Brisbane, żebym natychmiast przywiozła Rosę do Chelmsfordu, od razu więc wiedziałam, że stało się coś złego. Pojechałam z nim do Kooraminu, żeby przekazać wiadomość Dolour i rodzinie.
- Biedna kobieta.
- Tak. Jej synowie wspomnieli o incydencie z twoim synem. Dolour nie chciała o tym rozmawiać.
- Wcale się nie dziwię. Ale nie o to mi chodzi. Chciałabym, żebyś kiedyś, gdy wszystko się uspokoi, przekazała jej, jak bardzo mi przykro z powodu śmierci Pace'a.

Vicky wzruszyła ramionami.

- Dobrze, jeśli będę się z nią widzieć.
- No tak. Za kilka dni wracam do Anglii i chciałam się dowiedzieć, co u Juana. Zawsze był naszym dobrym przyjacielem. Jak się czuje po tym okropnym przeżyciu?

Vicky wstała i zadzwoniła po pokojówkę.

- Nie wiem, czy tobie również, Georgino, ale mnie potrzebna jest szklaneczka. Kilka ostatnich tygodni wyczerpało moją wytrzymałość.
- Czuję się podobnie.

Pokojówka z szacunkiem zapukała. To w tym domu zmiana, pomyślała Georgina.

- Proszę, Anno, podaj sherry i wafle - poleciła Vicky, po czym zwróciła się do gościa. - Przykro mi, że Edward przyczynił ci tyle zmartwień.
- Dziękuję. To istotnie nie należało do przyjemności. Sprawia mi ciągłe kłopoty, tak jak przedtem Jasin. Obraził

nawet Rivadavię, a to wielkie osiągnięcie. Jasinowi to się nie udało.

Vicky pokręciła głową.

- Więc nie słyszałaś?

- O czym? Ja zawsze o wszystkim dowiaduję się ostatnia. Poczekaj, aż pokojówka wyjdzie.

- Juan spoliczkował Jasina - powiedziała Vicky.

- Gdzie to było?

- W Brisbane.

- A o co chodziło?

- Nie wiem, Juan się nad tym nie rozwodził. Georgina piła sherry wielkimi łykami.

- Chyba nie chcę wiedzieć. Edward leży przykuty do łóżka i wciąż twierdzi, że pewnego dnia ożeni się z Rosą.

- Mało prawdopodobne, Juan zabiera ją do Argentyny.

- Naprawdę? Cóż, w tej sytuacji to chyba dobry pomysł. Ale nie powiedziałaś mi, jak się miewa Juan.

- Jest zdruzgotany. Msza żałobna była dla niego straszliwą udręką. Źle przyjmuje śmierć Pace'a, obwinia siebie.

- W takim razie podróż do Argentyny jemu także wyjdzie na dobre.

Przeżaj mu moje ukłony, naturalnie w odpowiednim czasie. Odnoszę wrażenie, że pozostajecie w zażyłych stosunkach. Bardzo się z tego cieszę, to prawdziwy dżentelmen, i chciałam ci powiedzieć, że moim zdaniem doskonale do siebie pasujecie. Poruszamy się w tych samych kręgach, nie zważaj więc na Jasina i jego przycinki.

Vicky chwilę milczała.

- Mieliśmy uroczę Boże Narodzenie - rzekła. - W czwórkę z dziewczynkami byliśmy jak rodzina. Ale to minęło.
- Rzecz absolutnie zrozumiała, to musi być dla niego trudny okres. Zobaczysz jednak, na pewno się wam ułoży.
- Nie, między nami wszystko skończone, straciłam go. Dlatego tak szybko wyjechałam z Chelmsfordu. To nie było łatwe, bo bardzo przywiązałam się do Juana. Będę za nim strasznie tęskniła.
- O Boże, co za szkoda. - Georgina była poruszona. - Przypuszczałam, że rozwiedzie się z Delią i ożeni z tobą.
- Ja też tak sądziłam. Nie jestem dzisiaj najlepszym kompanem. Takie sprawy ranią dotkliwiej, kiedy człowiek jest starszy. Czuję się podle. - Spojrzała z namysłem na Georginę. - Czy

567

spotkałaś kiedyś mężczyznę takiego jak on, który nie zdawałby sobie sprawy, jak bardzo pociąga kobiety?

- Och, nie wątpię, że on o tym wie, ale lubi kobiety. I my wszystkie na tę jego sympatię reagujemy. - Spojrzała w okno balkonowe, lecz wysokie krzewy i żywopłot zasłaniały widok. - Pamiętam, że z tego pokoju widać było bramę - zauważyła.

Vicky podeszła do okna.

- Tak. Wypatrywałam stąd Hortona, a potem biegłam, żeby go przywitać.
- W deszczu - dodała Georgina z uśmiechem.
- Tak, nawet w deszczu.

Coda, rok 1958.

Samolot linii Trans-Australia leciał nad niewiarygodnie błękitnymi wodami Cieśniny Zielonoświątkowej, która oddziela Wielką Rafę Koralową od wschodniego wybrzeża Australii, po czym zniżył lot nad czerwono-brunatnym pejzażem Townsville, znaczonego skarłowaciałymi drzewami i wyschniętymi korytami strumieni.

Hank Wedderburn nie odrywał wzroku od krajobrazu. Cieszył się na powrót do tego osobliwego kraju, który aż do ubiegłego stulecia opierał się cywilizacji.

Elena i Lukę MacNamarowie czekali na nich przed barakiem z blachy falistej, który pełnił funkcję prowizorycznego terminalu. Powitanie było serdeczne.

Kiedy Lukę podał mu rękę, Hank poczuł dziwne mrowienie na karku.

- Dlaczego nie mówiłeś, że w czasie wojny stacjonowałeś w Townsville? - zawołał Lukę. - Ze zdumieniem przeczytałem o tym w liście od Marii.

Więc wcale nie jesteś obcy w tych stronach.

- Nie chciałem cię zanudzać w dzień twojego ślubu - roześmiał się Hank.

- Cieszę się, że już nas odwiedzacie! - wykrzyknęła Elena. - Teraz tatuś nie będzie mógł dalej twierdzić, że przeprowadziłam się w kosmos.

Lukę powiedział Hankowi o planach na najbliższe dni: teraz pojedą na farmę, później na kilka dni wrócą do Townsville, żeby obejrzeć Wielką Rafę.

- Pasuje mi - odparł Hank, czując się już lepiej.

569

- Jak dostaniemy się na farmę? - zapytała Maria.

- Samolotem - odrzekła Elena. - Mamy na farmie lądowisko. Pilotować będzie Lukę. Musimy mieć tutaj samoloty, drogi przez te góry są straszne.

- Czyli drogami wcale nie można tam dojechać? - zdziwiła się Maria.
- Jest łatwiejsza trasa, ale okrężna, podróż trwa w nieskończoność.
- W takim razie lecimy. - Hank rozglądał się po cichym lotnisku obrośniętym niskimi namorzynami, w uszach mając gwar wielkiej bazy wojskowej.

Wraz z innymi pasażerami poszli do baraku. Ich głosy zaskoczyły go, zapomniał ten akcent. Lukę mówił łagodnie i powoli.

- Takim wiejskim głosem - zauważyła Maria już wcześniej - z tembrem i tempem jak u Jimmy'ego Stewarta.

Teraz miała problemy, nie potrafiła zrozumieć ani słowa z tego, co wokół mówiono.

- To musi jakiś czas potrwać - powiedziała Elena. - Zobaczysz, potem już będzie łatwo, ciociu Mario.

Hank poszedł z Lukiem po bagaż, który obsługa wrzuciła na starą ciężarówkę wojskową przed barakiem. Wysoki kowboj opierał się o płot i zwijał papierosa. Kiwnął głową do Hanka.

- Jak leci, stary?

Hank z uśmiechem pstryknął w kapelusz. Przypomniawszy sobie, że to dziwne w formie pytanie nie wymaga odpowiedzi. Po raz pierwszy usłyszał je na szlaku Kokoda od Australijczyków i w końcu domyślił się, że to bardziej zachęta niż pozdrowienie. I teraz tak się poczuł: odważniej.

Wsiedli do małego samolotu. Lukę zajął miejsce za sterami, Hank kucnął na chwiejnym siedzeniu za pilotem, Maria i Elena usadowiły się w fotelach. Lukę wystartował kierując się na północ.

- Jakiś czas polecimy wzdłuż wybrzeża ze względu na krajobraz, Elena lubi widok morza i wysp.

Hank wskazał w dół.

- Tutaj mieliśmy bazę i na Boga, wygląda tak samo, niektóre baraki wciąż tu stoją.

- Tak. Nie zamierzają ryzykować, to nadal będzie baza wojskowa.

Właśnie ją przebudowują.

570

Dzień idealnie nadawał się na lot, niebo było bez jednej chmurki, po spokojnym morzu pływały kutry rybackie i jachty.

- To zatoka Halifax - wyjaśnił Lukę. - Teraz skręcamy w głąb lądu.

Z wybrzeża wydawało się, że góry porasta gęsty las, wykrzywione drzewa na szczytach rysowały się na tle nieba, kiedy jednak zbliżyli się do nich, Hank dostrzegał półki, jaskinie i głębokie wąwozy.

- Jak się nazywają te góry?

- Seaview.

Hank cieszył się, że wybrali drogę powietrzną, mógł się obejść bez jazdy przez góry, w których nie widział żadnych szlaków.

- Już jesteśmy. Dolina Lagun - obwieścił Lukę.

Hank próbował patrzeć równocześnie na wszystkie strony. Dolina była zaskoczeniem, przypominała raczej rozległą równinę pomiędzy dwoma łańcuchami gór, porastające ją tu i tam kępy drzew wyglądały nierealnie, jak zabawki, a w oddali połyskiwały mlecznie niebieskie laguny.

Lukę wytracił wysokość i leciał wzdłuż doliny. Przestraszone stada bydła z groźnymi szerokimi rogami pokłusowały kilka jardów, po czym stanęły, z oburzeniem spoglądając za intruzami zakłócającymi im spokój, a z nagiego drzewa zerwało się stado błękitnych kakadu.

- To Dalrymple Shire - wyjaśniał Luke. - Nazwa pochodzi od pierwszego wielkiego hodowcy, który tutaj przybył. MacNamarowie mieli szczęście, że udało się im zająć tu ziemię. Heselwoodowie przyszli z Dalrymple'em. Może poznaliście małżeństwo z tej rodziny na naszym ślubie.

Maria słuchała pilnie, równie zainteresowana jak jej mąż. Musiała złożyć relację bratu, Eduardowi Rivadavii.

- Zastanawiałam się nad związkami - powiedziała. - Ale Heselwood jest lordem, czy tak?

- Tak. Mają wielką farmę po drugiej stronie góry Niespodzianka. Kolosalna powierzchnia. To jedna z największych farm na północy. Tam niżej jest farma Allinghamów, oni pierwsi zajęli ziemię po tej stronie góry, zmuszając Heselwoodów do przesunięcia się na zachód. Przez lata niewiele się tu zmieniło, w gruncie rzeczy mieszkają tu potomkowie tej garstki pionierów. - Roześmiał się. - Nazywają to ziemią dla wybranych.

571

- Jest tu gdzieś miasto? - zapytała Maria.

- Tak, nieco na południe. Zbudowali miasto Dalrymple, ale w czasie gorączki złota większe znaczenie zyskało Charters Towers.

- Jesteśmy nad Mungową, niedługo będziemy w domu.

- Co oznacza ta nazwa? - zaciekawił się Hank.

- Lagunę, choć miejscowi czarni kłócą się o to. Mówią, że to zły język. Oni mają inne słowo na określenie laguny. Pewnie to słowo pochodzi z języka południowego plemienia.

- Mungowa to główna farma - powiedziała Elena. - Luke ma jeszcze

ranczo na zachodzie i tam budujemy nasz dom. Na razie mieszkamy z jego matką i dziadkiem. Polubisz Maca, Hank. To bardzo sympatyczny staruszek.

- Jest sympatyczny, kiedy ma na to ochotę - roześmiał się Luke. - To nasz dom, zaraz zejdziemy do lądowania. Przedtem dom stał bliżej rzeki, ale zalała go powódź, więc Mac zbudował nowy tutaj i przekazał mojemu ojcu. A potem ten głupi dureń poszedł na wojnę i nie wrócił.

Głos mu się załamał, brzmiała w nim gorycz, która wstrząsnęła Hankiem. Spojrzał na Luke'a i zobaczył twarz stężoną na wspomnienie ojca.

- Wszyscy musieliśmy pójść - zauważył.

- On nie! - odparł ostro Luke. - Hodowców bydła zwalniano z tego obowiązku. To była podstawowa gałąź przemysłu spożywczego, potrzebowali wołowiny tak samo jak ludzi.

Elena i Maria spoglądały na czerwony dach wielkiego domu stojącego pośród drzew. Hank zamilkł, zły i dotknięty.

Kiedy wylądowali, przy pasie w landrowerze czekali na nich matka Luke'a, Elizabeth i jego dziadek. Mac wysiadł, żeby się z nimi przywitać. Był po siedemdziesiątce, ale trzymał się prosto. Miał na sobie tweedową marynarkę, skórzane spodnie i wysokie buty. W pobliżu na koniach siedziała grupka czarnych poganiaczy. Chcieli zerknąć na gości, zupełnie ignorując samolot; Hank przypuszczał, że to dla nich codzienny widok. W samochodzie milczał, przysłuchując się rozmowie.

- Sądzę, że tutejsze farmy nie różnią się od argentyńskich - mówiła Maria.

- Chyba nie - odparła Elizabeth. - Też muszą być samowystarczalne, prawda?

- Rzeczywiście. Ale dlaczego dom zbudowano na palach?



- Z wielu powodów. Dzięki temu jest w nim chłodniej, woda go nie zalewa w czasie powodzi. I nie zapominaj o węzach. To świetna ochrona przed węzami.

Mac odwrócił się do nich z uśmiechem.

- Wąż wejdzie wszędzie, jeśli będzie chciał. Trzeba tylko pamiętać, że najpierw się strzela, a dopiero potem pyta go o nazwisko.

Weszli po schodach na szeroką werandę. Mac podpierał się ciężką laską, ale nie przyjmował od nikogo pomocy. Usadził się na wiklinowym fotelu.

- Siadaj koło mnie - powiedział do Hanka, ale Elizabeth zaprotestowała.

- Tu jest za gorąco, tato. Wejdźcie do środka.

- Nie zwracaj na nią uwagi - burknął Mac. - Siadaj, Hank. Założyli elektryczne wiatraki do mieszania powietrza i myślą, że im chłodno.

Pozostali zrezygnowali i weszli do środka.

- Zjemy tu lunch! - zawołał Mac. - Przystaw sobie fotel, Hank. Napijesz się piwa?

- Jasne, z wielką chęcią. Mam przynieść?

- Nie trzeba. Dobrze wyszkoliłem młodego Luke'a. Jeszcze nie skończył mówić, kiedy Lukę wyszedł, niosąc piwo i dwie szklanki.

- Może wolałbyś whisky, Hank?

- Nie, mam ochotę na piwo.

Kiedy Lukę wrócił do domu, Mac powiedział:

- Dobra dziewczyna z waszej Eleny. Znakomicie jeździ konno.
- Wygląda na szczęśliwą. Cieszę się, że ją pan lubi - odparł Hank. Starzec przyglądał mu się bacznie spokojnymi szarymi oczami i Hank zmuszony był podtrzymać rozmowę: - Urodził się pan tutaj, panie MacNamara?
- Tak, ale mów do mnie Mac.
- Twój ojciec był tutaj pionierem?
- O nie, on też się tu urodził. Jego ojciec, Duke MacNamara, to znaczy mój dziadek, założył tu hodowlę. A przed nim jego staruszek, Pace MacNamara, wytyczył tę posiadłość razem ze swoim przyjacielem. Tylko że Pace'a zabili czarni. Zaczyna się od John's Ridge. - Wskazał laską skały u podnóża gór. - To punkt orientacyjny wschodniej granicy. Stary Duke uważał, że napisali

573

to źle, kiedy sporządzali mapy, pieklił się z tego powodu, ale nigdy nie wpadliśmy na żaden inny sposób napisania „John”.

- Spojrzał przed siebie rozmarzony. - Urodziłem się w starym domu, który stał nad rzeką przed powodzią. To był wspaniały dom, piękne deski, nie te śmieci jak teraz. Niedaleko znajdował się stary cmentarz, ale powódź też go zmyła. Ta rzeka rwie z wielką siłą, kiedy nabiera wody. Byłeś tu w czasie wojny?

- zapytał nagle.

- Tak. - Hanka znowu ogarnęły wyrzuty sumienia i spojrzał w bok. - Tak. Spędziłem sporo czasu w Townsville. Doszedłem nawet do Charters Towers.

- Naprawdę? Słowo daję, niezły wyczyn. Rozkwit Charters Towers przypadła na okres gorączki złota, wtedy nazywali to miasto „Światem”.

Miało własną giełdę.

- Kiedy ja tu byłem, też nie panował w nim spokój - roześmiał się Hank. - Znałeś staruszka, którego zwali Kościsty Jack?

- Kościsty Jack? Jasne. Wszyscy go znali. Stary poszukiwacz złota, umarł kilka lat temu. Zrzucił go koń. Tych starych nie da się ściągnąć z siodła. Stary Duke MacNamara też tak zginął. Ojciec powtarzał, że jak przestajesz podskakiwać na siodle, czas strzemiona odwiesić na kołek. Więc poznałeś Kościstego Jacka, tak?

- Jasne.

W oczach Maca pojawiły się błyski.

- Powiedz mi, synu, byłeś sprytny i kupiłeś od niego złoto?

- Pewnie! Chciałem zabrać je do domu, żołnierze wracali ze wszystkich stron świata i nikt nie miał czasu przeglądać bagażu, ale dojechałem z nim tylko do Townsville. Chłopaki szukali pamiątek, a złoto biło inne rzeczy na łeb. Wszyscy poszaleli. Podaj cenę, człowieku! Potem latałem do Charters Towers samolotami wojskowymi, a stary Kościsty Jack mnie zaopatrywał. Jednego tylko nigdy nie mogłem zrozumieć. Dlaczego sprzedawał mi je tak tanio?

- Od lat nie zmieniał nawyków, to wszystko. Był analfabeta, dostawał gotówkę i nie musiał wypełniać formularzy rządowych ani płacić wojennych podatków. Był też przykrywką dla innych poszukiwaczy. Nazywali to uproszczeniem systemu.

- O tak! - roześmiał się Hank. - A ty znalazłeś złoto na tej farmie?

574

- Złota nie, ale srebro. Ta ziemia jest pełna minerałów i szlachetnych metali. W Charters Towers złoża były potężne, wciąż nie zostały

wyczerpane, teraz doszli do wniosku, że pod główną ulicą jest żyła. Na północ stąd jest Palmer, rzeka złota. Ale jak w wypadku kalifornijskiej gorączki jedni mieli szczęście, inni musieli się długo męczyć. Weźmy Heselwoodów, mają posiadłość w tej okolicy. Stary lord nigdy nie przepuścił okazji do powiększenia swoich farm, nigdy nie miał dość ziemi.

- Mac pyknął z fajki i mrugnął znacząco. - Zawsze uważali, że wiedział o złocie na farmie Montone na północ od Brisbane, ale nigdy o tym nie mówił.

- Dlaczego to ukrywał?

- Jak przypuszczam, nie chciał, żeby poszukiwacze spadli na jego farmę jak szarańcza, wołał wziąć złoto sam. Ale kiedy gorączka wybuchła, kopacze byli wszędzie i naturalnie znaleźli wielkie pokłady w Gympie, w samym środku jego ziemi.

- Dożył tej chwili?

- Jasne. Zachował się z klasą, zatrudnił mnóstwo górników. Kazał się nawet sportretować z nimi przed kopalnią. Rodzina wciąż ma ten obraz. Ale my nie możemy narzekać. Złoto zbudowało ten kraj, sprowadziło nowych ludzi, dzięki niemu powstawały miasta i tworzyły się rynki wołowiny, dzięki niemu hodowle mogły rozkwitać.

Po lunchu Mac zaprosił Hanka na wycieczkę po farmie. Wskazywał zabudowania i rozmawiał z pracownikami, każdego przedstawiając Hankowi.

- Zagrody są tam. - Machnął dłonią w kierunku labiryntu wysokich ogrodzeń, które Hank znał z domu. - Zabiorę cię tam później. Jesteś z Teksasu, powiesz mi, co sądzisz o naszym bydle.

Z szopy wyniósł butelkę rumu i dwie zakurzone szklanki, które wypłukał

pod kranem.

- Usiądź koło mnie - rzekł prowadząc Hanka do ławki pod kwitnącym drzewem. - Napij się rumu. Dobrze zrobi na to, co cię gryzie.

Hank popijał ognisty rum.

- Lubimy rum tu, na północy - stwierdził Mac - ponieważ uważamy, że to jedyny alkohol wart picia bez lodu.

Hank pokiwał głową. Miał nadzieję, że rum poprawi mu nastrój.

- Stąd wyruszyłeś na wojnę?

575

- Tak, za drugim razem - odparł Hank. Dłonie miał zimne i spocone.

Żałował, że tutaj przyjechał. Lukę go rozczarował, zepchnął na pozycje obronne.

- Mój syn zginął na wyspach w czasie wojny - powiedział Mac.

Amerikanin sięgnął po butelkę i nalał sobie następną porcję.

- Jak przypuszczam, ty też uważasz, że nie powinien był brać w niej udziału? - zapytał szorstko. Starzec spojrział na niego zdziwiony. Wytarł białe wąsy chusteczką.

- Wcale tak nie myślę. Skąd przyszło ci to do głowy?

- A potem pojął. - Lukę ci powiedział.

- Co powiedziałem? - Za nimi stał Lukę. Dziadek popatrzył na niego spokojnie.

- Miałem zamiar wyjaśnić Hankowi, że wciąż masz pretensje do ojca.

- Nieprawda - odparł Lukę z gniewem. - Uważam tylko, że nie musiał iść na wojnę. To było głupie i niepotrzebne. Byli inni.

- Jak Hank. On walczył - podkreślił Mac.

- Miałeś rodzinę, Hank? - zapytał Lukę.

- Nie.
- Więc byłeś w innej sytuacji.
- Masz, napij się rumu. - Mac podał szklanę wnukowi.
- Idę pogadać z Billym Flynnem. Ciągłe upycha śmieci w moim magazynie. A ty sprawdź, czy zdołasz przemówić do rozsądku temu facetowi, Hank. Mam już powyżej uszu sprzeczek z nim.

Po odejściu Maca Lukę powiedział:

- Przepraszam, Hank. Nie warto o tym mówić.
- Sądzę, że warto - odparł Hank cicho. - Masz siostry, gdzie one są?
- Jedna mieszka w Brisbane, druga wyszła za mąż i prowadzi farmę nad rzeką Fitzroy.
- Wygląda na to, że wszyscy troje przeżyliście wojnę bez szwanku.
- Nie w tym rzecz.
- Chyba nie. Powiedz, uważasz, że gdyby ojciec naprawdę cię kochał, nie poszedłby na wojnę?
- Nie wiem, o co ci chodzi - odrzekł Lukę zakłopotany.
- Teraz to i tak historia.

576

- Wielkie dzięki. Ja tam byłem, nie mów mi, że jestem historią. Aż taki stary nie jestem.
- Przepraszam, nie to miałem na myśli. Ja tylko uważam, że nie miał prawa iść.
- Miał prawo. Choć nie sądzą, że z tego powodu jesteś na niego zły. Jesteś zły, bo dał się zabić. Gdyby wrócił do domu, uważałbyś, że postąpił słusznie. Jak inne dzieci wszystkim byś się chwalił: „A mój ojciec walczył na wojnie!”

Lukę ponuro wpatrywał się w ziemię i Hankowi zrobiło się go żal, gniew jednak powrócił, gdy pomyślał o jego ojcu, sierżancie MacNamarze.

- W tym rzecz, Lukę, nie potrafisz wybaczyć ojcu, że dał się zabić. Tak to przynajmniej dla mnie wygląda. To cię boli tak bardzo, że łatwiej ci obwiniać go, wściekać się na niego. A on nie zasługuje na tę gorycz. Tak jak powiadają tutaj ludzie, oddaj mu sprawiedliwość.

Lukę milczał, Hank więc mówił dalej:

- Musiał czuć, że to jego obowiązek. Może myślał o rodzinie, uważał, że w ten sposób troszczy się o wasz los.

Poczęstował Luke'a papierosem. Chłopak sprawiał wrażenie, że chce zakończyć tę rozmowę. Wyprostował się.

- Idzie dziadek. Zobaczymy się później, Hank. Mac odprowadził wnuka wzrokiem.

- Dałeś mu trochę do myślenia, co? - zapytał, jakby podsłuchiwał.

Hank wzruszył ramionami.

- Może. Pokazałem mu inny punkt widzenia.

- Ale trudno do niego dotrzeć - powiedział Mac. - Zostawmy to. W dawnych czasach jeździły tu platformy zaprzężone w woły. Widziałeś kiedyś takie wozy, Hank?

- Nie.

- W takim razie chodź, pokażę ci.

Zaprowadził Hanka do starej szopy. Zostawił podwójne wrota otwarte, żeby wpuścić do środka światło, drewniane okiennice podparł palikami.

- To skład z uprzężami. Trzymam tu moje skarby. Ciągle mam zamiar je oczyścić, ale nigdy się jakoś do tego nie mogę zabrać.

Szopa była muzeum uprzęży, które wisiały na ścianach i leżały w

zakurzonych stosach na ziemi, a także batów i żelaznych prętów

577

o dziwnych kształtach. W kącie stał nawet stary wóz do przewozu drewna.

- Popatrz tu - odezwał się Mac - na te skórzane resory. Używano ich w dyliżansach Cobb and Company zamiast stalowych. Przeznaczone na wyboiste drogi.

Hank chodził za nim i oglądał kolejne przedmioty. Z krokwi zwisały siodła.

- Co one tu robią?

- Żeby myszy się do nich nie dostały. Jeszcze jedno gdzieś tu leży, zamierzam je też powiesić. - Wyciągnął jutowy worek z ciemnego kąta, odrzucił coś, co wyglądało na obciążane skórą siedzenie staroświeckiej dwukółki, po czym wyjął siodło owinięte w płótno.

- Piękne! - Podszedł z nim do światła, ścierając pleśń gołymi rękami. - Nie ma już podściółki. Hej, Billy, przynieś mi wilgotną ścierkę.

Parobek podał mu irchę. Mac przetarł siodło, po czym cofnął się z podziwem.

- Te ozdoby to czyste srebro. Cudeńko, prawda?

Hank przykucnął zaintrygowany. Siodło było ogromne, staroświeckie i bardzo dekoracyjne dzięki skomplikowanym przeszyciom na czarnej skórze i inkrustacji ze srebra.

- Wspaniale! - Zmarszczył brwi. - Nie powinno się go tu zostawiać, żebygniło.

- Wiem, wiem. Oddam je do dobrego rzemieślnika. Już niedługo.

- Skąd się wzięło? - zapytał Hank przesuwając dłonią po srebrze.

- Nie wiemy na pewno. W tym kraju takich siodła nie było. Myślmy, że



mogło należeć do gościa z Ameryki Południowej. Był współnikiem Pace'a MacNamary i po jego śmierci ożenił się z wdową po nim. Oboje nie mogli być młodzi, ona miała dorosłych synów. Ale tak wtedy było, żadna wdowa, jeśli była coś warta, nie zostawała sama. Powtarzam to Elizabeth. Jest ładna, powinna szukać drugiego męża.

Wzmianka o synowej była kolejnym wstrząsem dla Hanka, który usiłował pogodzić się z tymi ciągłymi przypomnieniami, traktując je jako pokutę za przyjazd tutaj. Nie ulegało wątpliwości, że Mac kochał syna. Może wraz z wiekiem człowiek lepiej rozumie życie, nieuchronność losu.

578

- Ojciec nigdy nie interesował się historią rodziny - mówił Mac. - To co wiem, wiem we fragmentach od mojego dziadka, starego Duke'a.

Opowiadał, że jego matka nigdy tu nie przyjeżdżała, mieszkała z mężem w Nowej Południowej Walii, gdzieś w Hunter Valley. A inna gałąź rodziny żyje na Liverpool Plains.

- Też hodują bydło?

- Jasne. Słyszałem, że mają wielkie farmy. Elegancyjcy ludzie, nie tacy buszmeni jak my.

- Skąd wzięło się to siodło?

- Należało do Duke'a. Kiedy pojechał na pogrzeb swojego ojczyma, dała mu je matka. Dlatego myślę, że musiało należeć do jej południowoamerykańskiego męża.

Hank słuchał z zaciekawionym.

- A skąd z Ameryki Południowej pochodził?

- Tego nie wiem. Rodzina ciągle się o to kłóci. Jedna z moich sióstr, Dolour, która dostała imię po matce Duke'a, twierdzi, że to był bardzo

bogaty i wpływowy człowiek, Hiszpan. Moja żona, niech spoczywa w pokoju, zawsze chciała sprowadzić dokumenty z archiwów, ale nie skończyła nawet ze swoją rodziną, a co dopiero mówić o MacNamarach. - Mac się roześmiał. - Dowiedziała się, że jej przodkowie byli więźniami. - I twój pradziadek Pace też był więźniem? - zapytał Hank żartobliwie. - Nie wiem, całkiem możliwe. Łatwo to sprawdzić. Anglicy prowadzili staranne rejestry, które zachowały się nietknięte. Pace był tajemniczym człowiekiem, musiał połowę swojego życia spędzić na koniu, wytyczając działki. W Brisbane Valley jest jeszcze jedna farma. Dostała ją siostra Duke'a, Mary. Mówią, że była prawdziwą herod-babą, trzymała rodzinę żelazną ręką. Ale stary Pace dobrze o nas zadbał, słowo daję, że tak. - Co zrobisz z siodłem? Chyba nie zostawisz go w szopie? - Nie, zabierzemy je do domu. - Schylił się, ale Hank go ubiegł. - Ja je poniosę. Marię na pewno zainteresuje. Nie mylił się, Maria była zafascynowana. - Jest bardzo cenne i koniecznie wymaga renowacji. Jeśli pozwolisz, zabierzemy je do domu. Nasi złotnicy może więcej będą mogli o nim powiedzieć.

Mac wyraźnie się wahał, Hank postarał się więc go przekonać:

579

- Maria uwielbia wyzwania. Zgódź się, żeby zabrała siodło do Argentyny, a kiedy zostanie odnowione, osobiście oddamy ci je do rąk własnych. Co ty na to? - Dziękuję - powiedział Mac. - Nigdy jakoś nie mogłem się do tego zabrać, ale zawsze chciałem je zobaczyć w pełnej świetności.

W ostatni wieczór pobytu na farmie Mungowa Hank i Mac siedzieli na

werandzie na swoich ulubionych fotelach. Była pogodna upalna noc, nietoperze żerowały na drzewach owocowych. Po jakimś czasie Mac przerwał milczenie uwagą, która sprawiła, że Hank zeszywniał.

- Z powodu Luke'a nigdy nie powiedzieliśmy dzieciom, jak John Pace zginął. - Pozwolił, by Hank przetrawił jego słowa, po czym mówił dalej. - Jestem ci wdzięczny, bo dzięki tobie Lukę złagodniał. Okropnie przeżył śmierć ojca, nie mieliśmy serca mu powiedzieć, jak to się stało, a potem z każdym rokiem stawało się to trudniejsze. Elizabeth nie potrafiła o tym mówić. Pewnego dnia Lukę być może zechce poznać okoliczności i zapyta nas albo poszuka informacji w archiwach. Ale czuję, że zmienia nastawienie. Widziałeś to zdjęcie Johna Pace'a w mundurze, które wisi w salonie?

- Tak.

- Lukę zawsze je ignorował, a teraz słyszałem, jak powiedział: „To mój ojciec”.

- Tak - wymamrotał Hank. Mówienie sprawiało mu trudność.

- Ty też go poznałeś.

- Słucham? - zapytał poruszony Hank.

- Spojrzałeś na zdjęcie i powiedziałeś: „Tak, to sierżant MacNamara”.

Nikt nie zwrócił na to uwagi poza mną.

- Przecież był sierżantem?

- Naturalnie, ale kiedy robiono to zdjęcie, miał stopień kaprała.

Hank czuł, jak odpływa. Do tej chwili sądził, że postąpił dobrze. Zobaczył twarz na fotografii w momencie, kiedy przekroczył próg, i radził sobie z tym. Mógł patrzeć na nią bez strachu, jakby wreszcie zostawił tę sprawę za sobą. Czuł, że przyjechał tutaj, by wstawić się za sierżantem MacNamara

do jego syna, i doświadczył obcego sobie ojcowskiego zadowolenia, że syn MacNamary jest szczęśliwy ze swoją młodą żoną, że otacza go miłość

580

bliskich. A teraz to? Spojrzał na Maca i zadał sobie pytanie, czy jednak nie powinien był trzymać się z daleka. Starzec położył mu na ramieniu silną dłoń.

- Spotkałeś mojego syna Johna Pace'a, prawda? Hank po chwili wahania odparł:

- Tak.

- Wszystko w porządku, Hank, nie dręcz się tym dłużej. Jestem jego ojcem. Zbadałem uważnie każdy raport. Musisz takie sprawy poznać niezależnie od tego, jak bardzo to boli. Zawsze miałem nadzieję, że poznam gościa, który uciekł. My, MacNamarowie, nie umiemy przegrywać. Kiedy czytałem ten raport, pomyślałem: „Udało ci się, ty przeklęty Jankesie”. John Pace byłby zadowolony.

- Wiedziałeś, że to ja?

- Nie od początku. Nazwisko wydało mi się znajome, więc zadzwoniłem do przyjaciela i poprosiłem, żeby jeszcze raz sprawdził. Mam u siebie schowaną butelkę dobrej whisky, co powiesz na szklaneczkę? - Mac wszedł do domu, hałaśliwie tupiąc po wypastowanych deskach, a Hank wiedział, że daje mu czas na dojście do siebie w tej nowej sytuacji.

Kiedy wrócił, Hank czekał na niego:

- Czuję, że powinienem był sam ci powiedzieć, ale nie byłem w stanie.

- Nigdy nie było takiej potrzeby - odparł Mac. - Twój raport jest dostatecznie jasny. Nie obwiniaj się. Dręczysz się tak samo jak Lukę, tylko że on nigdy się do tego nie przyzna, a ty nie potrafisz przestać. Popatrz na

tę spokojną dolinę. Nieznacznie się zmieniła przez lata. Na wojnie wielu dobrych ludzi po obu stronach cierpi. Wiesz, czarni mówią, że te gwiazdki to dzieci, które czekają na przyjście na świat, a kiedy umiera dobry człowiek, po tęczy odchodzi w swój Sen. To mi się podoba. My zbyt twardo stąpamy po ziemi, oni dostrzegają więcej cudów w życiu i śmierci niż my. Wypijmy za Johna Pace'a. On też dobrze się nam przysłużył. Bardzo dobrze.

## POSŁOWIE.

Irlandzki poeta Aidghagan O'Rathaille, Dante Munsteru, jak go nazywano, na początku osiemnastego wieku podróżował po Irlandii, witany z gościnnością tradycyjnie należną poecie. Opowiadał swoim współczesnym o przeszłości i o bolesnej teraźniejszości, wykorzystując bogactwo ojczystego języka do wyrażenia wielkiej dumy i siły ludzkich marzeń: Odejdę teraz, śmierć jest blisko, Bo wojownicy Laune, Lein i Lee zostali pokonani. Podążę za ukochanymi bohaterami do grobu, Za tymi książętami, którzy władali mymi przodkami, nim narodził się Chrystus.

Przejmująco smutne poezje O'Rathaille'a mówią o wszystkich plemionach i narodach świata, które doznawały cierpień z rąk innych ludów.

Australijscy Aborygeni przetrwali wielkie cywilizacje, znane od czterdziestu tysięcy lat, jednakże nie ma skąd czerpać pociechy, jeśli zagłada dokonuje się za pamięci żyjących.

Większość ras swą kulturę buduje na dumie z dawnych herosów.

Aborygeni koncentrowali się na duchowym aspekcie życia, dla nich herosem była natura, a nie człowiek, dlatego nie potrafili przekonać

najeźdźców, że dorównują im poczuciem honoru i godnością. Dopiero niedawno świat zaczął doceniać cudowne opowieści i legendy o Czasie Snu.

W niniejszej książce pojawia się wielki wódz aborygeński Bussamarai, który jest postacią historyczną.

582

Kolejni gubernatorzy Nowej Południowej Walii, których spotykamy w książce, a także William Wentworth, Macarthurowie, Alexander Macleay oraz „Major” Mudie z więziennej farmy Castle Forbes to postaci dobrze znane z australijskiej historii.

Dom Macarthurów w Parramacie zachował się do dziś, podobnie jak Vaucluse House Williama Wentwortha i Elizabeth Bay House Macleaya. Te wspaniałe rezydencje należą obecnie do Historie Houses Trust of New South Wales.

Los Ludwiga Leichhardta jest nieznany. „Książę Odkrywców” zaginął podczas próby przemierzenia kontynentu ze wschodu na zachód.

Christopher Allingham istotnie odbył fantastyczną, liczącą tysiąc pięćset mil podróż z Armidale w Nowej Południowej Walii do nieznanych rejonów tropikalnej północy, z której powrócił cały i zdrowy. Jego rodzina należała do pierwszych pionierów na Dalrymple Shire, na której terenie znajduje się Dolina

Lagun.

J. Elphinstone Dalrymple poprowadził pierwszą oficjalną ekspedycję na daleką północ, gdzie później powstał nowy stan o nazwie Queensland.

Mniej więcej w tym samym czasie odkryto złoto w Gimpi Gimpi, obecnym Gympie, i zaczęła się wielka gorączka.

Dalrymple'owi i jego ekipie po piętach deptali inni pionierzy, w których gronie był niejaki James Atkinson. On pierwszy otworzył farmę koło góry Niespodzianka, a jego syn założył kolejne hodowle. Do dziś dnia Atkinsonowie są właścicielami wielkiej hodowli bydła w tamtych stronach. A jak brzmi jej nazwa?

DOLINA LAGUN.

Historia opowiedziana w pierwszej części książki oparta jest na faktach.

Australijczyk zginął dokładnie tak, jak opisano. Przekazał ostrzeżenie:

Niżej, stary" nieznajomemu żołnierzowi sił sprzymierzonych, który ukrywał się w dżungli i przypadkiem natrafił na miejsce egzekucji.

Żołnierz posłuchał. Zdołał wrócić do swoich i przeżył wojnę.

Większość postaci występujących w książce jest fikcyjna, postaci historyczne natomiast zostały zbeletryzowane w sposób odpowiadający temu, co wiemy o ich osobowościach i losach.

Pozostaje mi tylko podziękować Sally Milner za pomoc i rady. Winna też jestem słowa wdzięczności Lorraine Poynton, Laurie Paul, Mary i Geoffreyowi Neathom, moim czytelnikom, którzy nie szczędzili mi słów zachęty, poznając kolejne fragmenty maszynopisu.

Patricia Shaw, 1988.